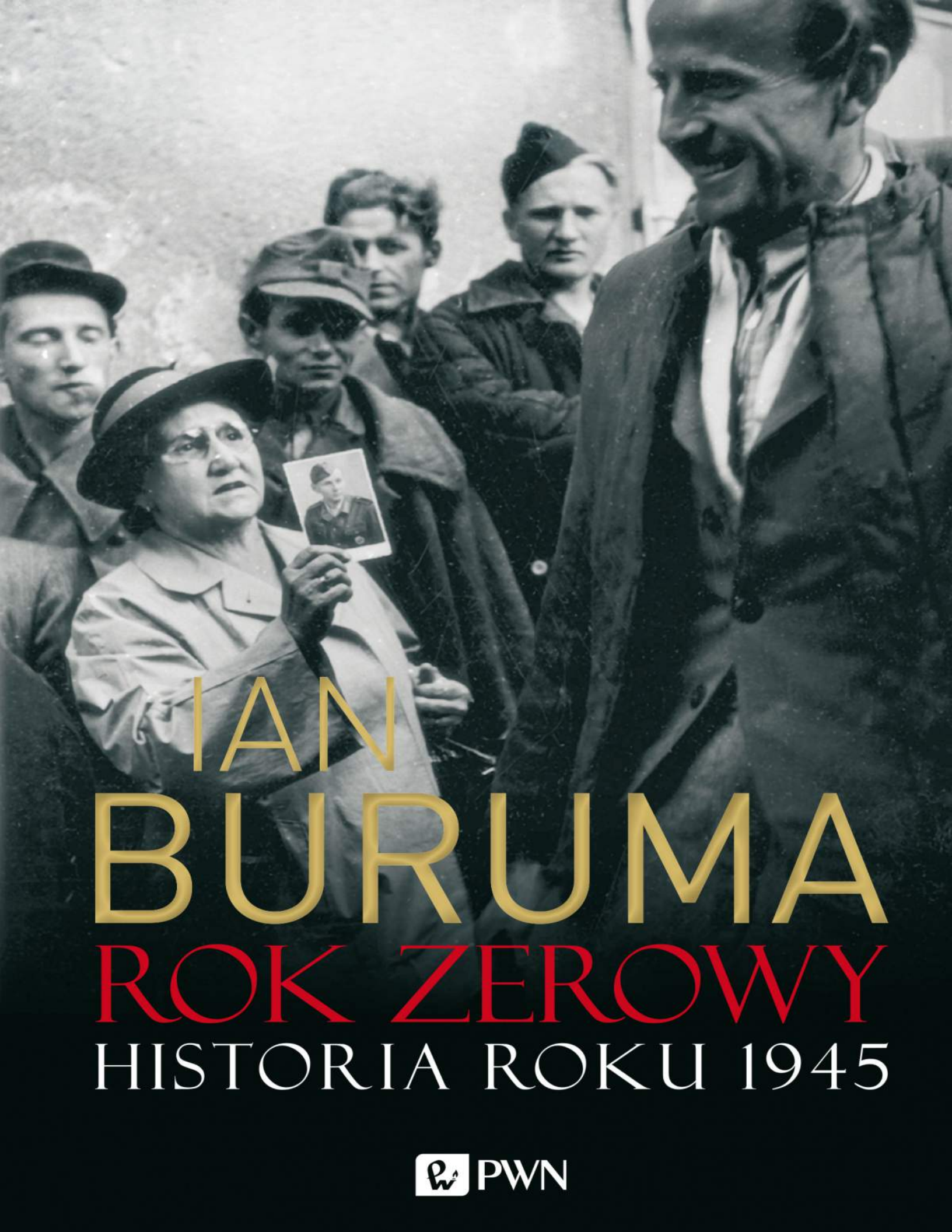


IAN

BURUMA

ROK ZEROWY

HISTORIA ROKU 1945

PWN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

IAN

BURUMA

ROK ZEROWY

HISTORIA ROKU 1945

Tłumaczyła
Klaudyna Michałowicz

PWN

Tytuł oryginału: *YEAR ZERO. A HISTORY OF 1945*
Copyright© Ian Buruma, 2013
All rights reserved

Wydanie polskie
Tłumaczenie: Klaudyna Michałowicz
Redaktor prowadzący: Dąbrówka Mirońska
Redaktor naukowy: Prof. dr hab. Jakub Tyszkiewicz
Redakcja: Piotr Chojnacki
Korekta: Zofia Kozik, Anna Sot
Oryginalny projekt okładki: Gretchen Achilles
Zdjęcie na okładce: Dworzec kolejowy w Wiedniu, rodziny oczekują na powrót austriackich więźniów wojennych ze stalinowskich obozów, 1 stycznia 1947 roku (fot. Ernst Haas/Hulton Archive/Getty Images).
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Tomasz Szymański

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN, Warszawa 2015

ISBN 978-83-7705-667-7 (ePub)
ISBN 978-83-7705-667-7 (Mobi)

Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o.
02-460 Warszawa, ul. Gottlieba Daimlera 2
infolinia: 801 33 33 88
www.dwpwn.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

SPIS TREŚCI

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA. SYNDROM WYZWOLENIA

- Rozdział 1. Euforia
- Rozdział 2. Głód
- Rozdział 3. Zemsta

CZĘŚĆ DRUGA. SPRZĄTANIE GRUZÓW

- Rozdział 4. Powroty do domu
- Rozdział 5. Odsączanie jadu
- Rozdział 6. Rządy prawa

CZĘŚĆ TRZECIA. NIGDY WIĘCEJ

- Rozdział 7. Poranek jasnego dnia
- Rozdział 8. Jak ucywilizować bestie
- Rozdział 9. Świat zjednoczony

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Mojemu ojcu, S.L. Burumie,
oraz Brianowi Urquhartowi

Klee namalował obraz, zatytułowany *Angelus Novus*. Przedstawia anioła, który wygląda, jak gdyby chciał się oddalić od czegoś, w co się uporczywie wpatruje. Oczy szeroko rozwarte, usta otwarte, skrzydła rozpięte. Tak musi wyglądać anioł historii. Zwrócił oblicze ku przeszłości. Gdzie nam ukazuje się łańcuch zdarzeń, on widzi jedną wieczną katastrofę, która nieustannie piętrzy ruiny na ruinach i ciska mu pod stopy. Chciałby zatrzymać się, zbudzić umarłych i złączyć to, co rozbite. Ale od raju wieje wicher, który napiera na skrzydła i jest tak silny, że anioł nie może ich złożyć. Ten wicher pędzi go niepowstrzymanie w przyszłość, do której jest zwrócony plecami, podczas gdy przed nim rośnie stos ruin. Tym wichrem jest to, co nazywamy postępem.

Walter Benjamin, *O pojęciu historii*, [w:] *Anioł historii. Eseje, szkice, fragmenty*, wybór i oprac. Hubert Orłowski, tłum. Krystyna Krzemieniowa, Hubert Orłowski, Janusz Sikorski, Poznań 1996, s. 418.

PROLOG

W biografii mojego ojca jest jedna rzecz, której długo nie mogłem zrozumieć. Jego przeżycia podczas drugiej wojny światowej nie były nietypowe dla mężczyzny w jego wieku i o jego pochodzeniu – i oczywiście nie były dobre, choć wielu ludzi spotkał gorszy los.

Tego, jak wyglądała wojna w oczach mojego ojca, dowiedziałem się wcześnie. Inaczej niż wielu dorosłych, bez oporu opowiadał mi o tamtych czasach, choć przecież niektóre wspomnienia musiały być bolesne. Chętnie go słuchałem. Ilustrację do jego słów stanowiły maleńkie czarno-białe zdjęcia w albumie, który potajemnie wyciągnąłem z szuflady jego biurka. Nie przedstawiały niczego wstrząsającego, ale były wystarczająco dziwne, żeby mnie frapować: sceny z prymitywnego obozu pracy we wschodnim Berlinie, ojciec robiący okropną minę, żeby zepsuć urzędową fotografię, sztywni Niemcy z nazistowskimi emblematami na ubraniach, niedzielne wycieczki nad jezioro na przedmieściu, jasnowłose Ukrainki uśmiechające się do obiektywu.

To były jeszcze w miarę dobre czasy. Fraternizowanie się z Ukraińcami było zapewne zabronione, ale na wspomnienie tych kobiet w oczach ojca wciąż pojawia się nostalgia. Na żadnym zdjęciu nie widać, jak umiera z głodu i wyczerpania, jak dręczą go wszy, jak wraz z towarzyszami używa błotnistego leja po bombie nie tylko jako toalety, ale także jako jedynej dostępnej umywalni. Ale to nie te przeciwności losu tak mnie dziwiły. Nie mogłem zrozumieć czegoś, co wydarzyło się później, kiedy już wrócił do domu.

Domem było zamieszkane głównie przez katolików miasto Nijmegen we wschodniej Holandii, w okolicy którego w 1944 roku rozegrała się bitwa

pod Arnhem. Alianci zajęli Nijmegen po bardzo ciężkich walkach, a Arnhem leżało o jeden most za daleko. W latach dwudziestych mój dziadek, który był pastorem, otrzymał skierowanie do Nijmegen i został duszpasterzem niewielkiego zboru mennonitów[I]. Miasto leży tuż przy granicy. Z domu dziadków wychodziło się wprost do Niemiec. Większość rodzin jeździła tam na wakacje, gdyż w Niemczech było dość tanio, ale to się skończyło około roku 1937: nawet turyści nie mogli już wytrzymać zachowania hitlerowców. Pewnego dnia ojciec przechodził koło obozu Hitlerjugend i widział, jak młodzieńcy w mundurach znęcają się nad małymi chłopcami. Z kolei mój dziadek podczas wycieczki statkiem po Renie wywołał (niewykluczone, że specjalnie) konsternację wśród niemieckich pasażerów, kiedy wyrecytował odę do rusałki Lorelei napisaną przez Heinricha Heinego – Heine był Żydem. Wtedy babcia oznajmiła, że dość tego, nie będą tam więcej jeździć. Trzy lata później niemieckie wojska wkroczyły do Holandii.

Życie toczyło się dalej, nawet pod niemiecką okupacją. To dziwne, ale przez pierwszy rok czy dwa dla większości Holendrów, poza Żydami, niewiele się zmieniło. W 1941 roku mój ojciec został studentem prawa na uniwersytecie w Utrechcie. Aby mieć jakąś przyszłość jako prawnik, młody człowiek koniecznie musiał zostać członkiem elitarnej korporacji studenckiej (w pewnym stopniu nadal tak jest). Było to dość kosztowne. Pastor cieszył się wysoką pozycją społeczną, ale nie zarabiał aż tyle, by starczało mu na rachunki. Na szczęście bogaty wuj zdecydował się wesprzeć finansowo mojego ojca.

Niestety, ojciec zapisał się do korporacji już po tym, jak władze niemieckie zakazały działalności takich stowarzyszeń w obawie, że będą zalążkiem ruchu oporu. Nieco wcześniej ze wszystkich uczelni usunięto profesorów żydowskiego pochodzenia. Dziekan wydziału prawa na uniwersytecie w Lejdzie, Rudolph Cleveringa, wygłosił słynną mowę protestacyjną. Wcześniej spakował szczoteczkę do zębów i bieliznę na zmianę, gdyż spodziewał się aresztowania – całkiem słusznie, jak się okazało, gdyż faktycznie natychmiast go aresztowano. Studenci, w większości członkowie korporacji, zastrajkowali. Władze zamknęły

uczelnię w Lejdzie. Korporacja amsterdamska rozwiązała się sama w odpowiedzi na zakaz przyjmowania Żydów na studia.

Uniwersytet w Utrechcie działał nadal, a korporacja zeszła do podziemia. Brutalny rytuał inicjacji nowych członków musiał więc odbyć się w tajemnicy. Tym razem studenci pierwszego roku, znani w korporacji pod nazwą „fuksów", nie zostali zmuszeni do ogolenia głowy na zero, ponieważ to by ich zdradziło przed Niemcami; innych obrzędów dokonano jednak jak zwykle. Starsi chłopcy zmuszali nieszczęsnych „fuksów" do skakania żabką, pozbawiali ich snu, traktowali jak niewolników i ogólnie rzecz biorąc, dręczyli i poniżali na wszelkie sposoby, jakie przyszły im do głowy. Mój ojciec, tak samo jak inni młodzieńcy o podobnym pochodzeniu i wykształceniu, poddał się tym sadystycznym próbom bez protestu. Taki był (i do pewnego stopnia jest nadal) obyczaj, czyli, jak górnolotnie mówili biegli w łacinie korporanci, *mos*.

W początkach 1943 roku młodzi ludzie stanęli wobec poważniejszej próby. Okupanci kazali wszystkim studentom przysiąc, że nigdy, w żaden sposób nie wystąpią przeciwko Trzeciej Rzeszy. Zagrozili też, że kto odmówi, zostanie wywieziony do Niemiec i zatrudniony w przemyśle zbrojeniowym. Osiemdziesiąt pięć procent studentów odmówiło podpisania lojalki i zaczęło się ukrywać. Wśród nich znalazł się mój ojciec.

Parę miesięcy później komórka studenckiego ruchu oporu w Utrechcie kazała ojcu wracać do rodzinnego miasta. Do dziś nie wiadomo dlaczego – może była to głupia pomyłka, może ktoś spanikował, a może po prostu zabrakło wprawy w tajnych akcjach; studenci nie byli wytrawnymi konspiratorami. Ojciec poszedł na dworzec w towarzystwie swojego ojca, mojego dziadka. Na nieszczęście hitlerowcy wybrali akurat ten moment, by zrobić obławę na młodych mężczyzn potrzebnych do pracy w Niemczech. Policjanci zablokowali oba końce peronu. Ogłoszono, że za ucieczkę potencjalnych robotników zostaną pociągnięci do odpowiedzialności ich rodzice. Ojciec, w obawie o bezpieczeństwo rodziców, zapisał się na listę. Był to czyn podyktowany synowską troską, ale niespecjalnie bohaterski, którego ojciec do dziś trochę się wstydzi. Ujęci w łapance młodzi ludzie zostali przewiezieni do niedużego, ale paskudnego obozu

koncentracyjnego, gdzie esesmani wtajemniczali młodych holenderskich opryszków w tajniki swojej okrutnej sztuki. Po krótkim pobycie tam ojciec trafił do fabryki hamulców kolejowych w Berlinie, gdzie spędził resztę wojny.

Nie było mu tam bardzo źle, przynajmniej z początku. Holenderscy studenci wysłani na roboty do Rzeszy nie szli do obozów koncentracyjnych, jeśli tylko nie sprzeciwiali się Niemcom. Ojciec wstydził się, że pracuje dla wroga, praca w fabryce była monotonna i żmudna, a baraki mieszkalne – nieogrzewane i pełne robactwa; ale sytuacja miała też plusy. Ojciec pamięta, że chodził do filharmonii berlińskiej na koncerty, podczas których dyrygował Wilhelm Furtwängler.

Oprócz tego fabryka hamulców Knorra kryła pewne tajemnice. Milczący brunet znany jako pan Elisohn znikał bez słowa, gdy tylko któryś z pracujących tam holenderskich studentów próbował do niego zagadać. Kontaktów unikali też inni robotnicy, noszący takie nazwiska jak Rosenthal. Ojciec przypuszcza, że w fabryce ukrywano Żydów, ale domyślił się tego dopiero dużo, dużo później.

Sytuacja pogorszyła się w listopadzie 1943 roku, gdy rozpoczęły się naloty aliantów na Berlin. W 1944 roku do lancasterów RAF-u dołączyły amerykańskie bombowce B-17. Ale kampania niszczenia niemieckiej stolicy – i jej mieszkańców – ruszyła na dobre dopiero w pierwszych miesiącach 1945 roku. Bombardowania trwały praktycznie bez przerwy, a miasto płonęło. Amerykanie nadlatywali w dzień, Brytyjczycy nocą, w kwietniu radzieckie katiusze zaczęły ostrzeliwać miasto od wschodu.

Czasami studentom udawało się wcisnąć do schronu albo stacji metra. Więźniowie obozów koncentracyjnych nie mieli nawet tej możliwości. Podczas wielu nalotów – których, jak wspomina ojciec, on i jego koledzy oczekiwali z radością i strachem jednocześnie – jedyną kryjówkę stanowił naprędce wykopany rów. Jedną z najgorszych udręk była bezsenność: huk bomb i pocisków nie ustawał ani na chwilę, ciągle wyły syreny alarmowe, słychać było wybuchy, krzyki, grzmot walących się murów i zgrzyt szkła. Ale holenderscy studenci i tak trzymali kciuki za brytyjskie i amerykańskie

bombowce, które przecież w każdej chwili mogły przynieść im śmierć – i w kilku przypadkach to uczyniły.

W kwietniu w obozie nie dawało się już mieszkać: ogień i wywołana przezeń burza ogniowa zmiotły dachy i ściany baraków. Ojciec ukrył się w podmiejskiej willi. Być może trafił tam dzięki kontaktom z którymś z protestanckich kościołów mniej sprzyjających nazistom. Właścicielka, pani Lehnhard, już wcześniej przyjęła do domu kilku uciekinierów ze zrujnowanego śródmieścia. Wśród nich było niemieckie małżeństwo: doktor Rümmelin, prawnik, i jego żona, Żydówka. Doktor Rümmelin obawiał się aresztowania i trzymał w domu rewolwer, aby w razie zagrożenia zastrzelić żonę i siebie. Pani Lehnhard lubiła śpiewać niemieckie pieśni. Ojciec akompaniował jej na pianinie. Jak twierdził, był to „rzadko spotykany przejaw cywilizacji” w obłędzie ostatnich dni obrony Berlina.

W drodze do fabryki, która mieściła się we wschodniej części miasta, ojciec mijał zburzone ulice, gdzie niemieccy i radzieccy żołnierze walczyli o każdy dom. Na Potsdamer Platz stał tuż za katiuszą, z której ostrzeliwano Kancelarię Rzeszy, i z bliska słyszał charakterystyczne wycie pocisków. Potem do końca życia obawiał się głośnego huku i nienawidził sztucznych ogni.

Pod koniec kwietnia albo na początku maja do domu pani Lehnhard weszli żołnierze radzieccy. Zazwyczaj taka wizyta oznaczała gwałt zbiorowy na wszystkich kobietach, niezależnie od wieku. Tym razem tak się nie stało, ale mój ojciec o mały włos nie stracił życia, kiedy Rosjanie znaleźli rewolwer doktora Rümmelina. Wyjaśnienia na nic się nie zdały, gdyż żaden z nich nie rozumiał ani po niemiecku, ani po angielsku. Jedyni mężczyźni, jacy przebywali w domu, czyli doktor Rümmelin i mój ojciec, zostali postawieni pod ścianą i mieli zostać rozstrzelani. Ojciec wspomina, że miał dość fatalistyczne podejście do sytuacji. Już tyle razy widział śmierć, że własny zbliżający się zgon wcale go nie zdziwił. Wtedy nastąpił jeden z tych przedziwnych zbiegów okoliczności, jakie oznaczają różnicę między życiem a śmiercią: zjawił się rosyjski oficer, który, jak się okazało,

znał angielski. Uznał on historię doktora Rümmelina za wiarygodną. Egzekucję odwołano.

Ojciec zdołał nawiązać kontakt z innym radzieckim oficerem, w cywilu nauczycielem w leningradzkim liceum. Nie mieli żadnego wspólnego języka, więc porozumiewali się, podśpiewując urywki z Beethovena i Schuberta. Oficer ten, o imieniu Walentin, zaprowadził ojca na zrujnowane robotnicze przedmieście w zachodniej części Berlina. Stamtąd ojciec miał sam znaleźć drogę do obozu dla dipisów na wschodzie miasta. Podczas wędrówki przez gruzy przyłączył się do niego jakiś obcy Holender, całkiem możliwe, że kolaborant albo były esesman. Ojciec od kilku tygodni nie spał ani nie jadł porządnie, więc ledwo powłóczył nogami.

Uszli zaledwie kawałek, kiedy ojciec kompletnie stracił siły. Jego podejrzany towarzysz zataszczył go do częściowo zburzonego budynku i razem wspięli się po schodach na jakieś wysokie piętro; mieszkała tam przyjaciółka tego Holendra, niemiecka prostytutka. Z dalszych wydarzeń ojciec niewiele pamięta. Zapewne długo leżał nieprzytomny. Ale ta kobieta ocaliła mu życie, bo podleczyła go na tyle, że zdołał dowlec się do obozu dla dipisów. Tkwiło tam ponad tysiąc osób wszelkich narodowości, wśród nich ludzie, którzy przeżyli obozy koncentracyjne. Na wszystkich przypadał jeden kran z wodą.

Na zdjęciu zrobionym w Holandii ponad pół roku później ojciec jest dziwnie opuchnięty – to wciąż jeszcze obrzęk głodowy. Ma na sobie źle dopasowany garnitur. Może to ten, który dostał od mennonickiej organizacji dobroczynnej ze Stanów Zjednoczonych, ze spodniami poplamionymi moczem. A może to stare ubranie dziadka. Jednakże mimo opuchlizny i bladości ojciec spogląda wesoło. Otaczają go rówieśnicy. Wznoszą kufle, usta mają otwarte – z czegoś się cieszą albo śpiewają studencką piosenkę.

Jest już z powrotem w swojej korporacji w Utrechcie. Zdjęcie pochodzi zapewne z września 1945 roku. Ojciec ma dwadzieścia dwa lata. W czasie wojny korporanckie rytuały inicjacyjne odbywały się w tajemnicy, więc seniorzy bractwa uznali, że „fuksów” należy pomęczyć raz jeszcze. Ojciec nie pamięta, żeby kazano mu skakać żabką czy na serio go wyszturchano. Tego rodzaju traktowanie było zarezerwowane dla młodziaków, którzy

świeżo przybyli na uczelnię – niektórzy być może prosto z obozów o wiele gorszych niż ten, w którym siedział ojciec. Wśród tego narybku mogli też być młodzi Żydzi, którzy wojnę przetrwali w skrytkach pod podłogami w domach odważnych przedstawicieli ludności nieżydowskiej, gotowych ryzykować życie dla ich przetrwania. Ale ojciec nie pamięta, żeby to kogokolwiek obchodziło – nikogo nie interesowały przeżycia wojenne kolegów, wszyscy mieli za sobą jakieś doświadczenia, często nieprzyjemne. Podczas obrzędu przyjęcia do korporacji nowych „fuksów” obrzucano ich obelgami, poniżano, a nawet wpychano do ciasnych piwniczek (próba ta była znana później w kręgach korporanckich pod nazwą „zabawa w Dachau”).

No i właśnie tego nie mogłem zrozumieć. Jak po tym, co przeżył, mój ojciec mógł bez protestu być świadkiem takich groteskowych imprez? Czy nikt nie uważał tego typu zachowań za, łagodnie mówiąc, dziwne?

Nie, tłumaczył mi ojciec wielokrotnie. Nie, to właśnie było normalne. Taki był *mos*, obyczaj. Nikt go nie kwestionował. Jakiś czas później zastrzegł, że on sam byłby uznał dręczenie studenta Żyda za niewłaściwe, ale za poglądy swoich kolegów nie ręczy.

Długo mnie to męczyło, lecz wydaje mi się, że w końcu zrozumiałem, w czym rzecz. Zdaje mi się, że kluczowe jest tu stwierdzenie: „to właśnie było normalne”. Ludzie rozpaczliwie chcieli powrócić do świata, który znali sprzed okupacji, do świata sprzed czasu bomb, obozów i śmierci. Dręczenie „fuksów” wydawało się normalne, bo przywracało dawny stan. Był to swego rodzaju powrót do domu.

Istnieje też oczywiście inna możliwość. Niewykluczone, że mężczyźni, którzy byli świadkami straszliwej przemocy, uważali te studenckie zabawy za stosunkowo nieszkodliwe – ot, swawole zdrowej młodzieży. Jest jednak o wiele bardziej prawdopodobne, że z największym zapałem dręczyli narybek ci spośród starszych studentów, którzy nie zaznali prawie nic. Oto okazja, żeby zagrać twardziela! A jeszcze większa przyjemność, gdy ofiarą jest ktoś, kto przeszedł drogę przez prawdziwą mękę.

***

Wojenne losy mojego ojca – jak już mówiłem, lepsze niż wielu innych ludzi, ale i tak niedobre – sprawiły, że zainteresowałem się tym, co właściwie wydarzyło się zaraz po najbardziej wyniszczającej wojnie w historii ludzkości. W jaki sposób świat podnosi się z upadku? Co się dzieje, kiedy miliony ludzi głodują albo pragną krwawej zemsty? Jak społeczeństwa, albo „cywilizacja” (modne słowo w tamtych czasach), powstają z kolan? Pragnienie normalności – jedna z najbardziej zrozumiałych reakcji w obliczu katastrofy – jest jednocześnie bardzo ludzkie i całkowicie nierealne. Nadzieja, że przedwojenny świat może powrócić, że dekada zabijania, która rozpoczęła się długo przed rokiem 1939, da się wymazać jak złe wspomnienie, była z całą pewnością złudna.

Złudzenie to żywiły jednak nie tylko jednostki, lecz także rządy wielu państw. Władze francuskie i holenderskie były przekonane, że dawne kolonie da się zająć ponownie i życie potoczy się tym samym torem, jakim toczyło się przed inwazją Japończyków na południowo-wschodnią Azję. To było jednak tylko złudzenie. Świat absolutnie nie mógł stać się znów „taki sam”. Za dużo się wydarzyło; zbyt wiele osób, a nawet całych społeczeństw, utraciło korzenie. Zresztą niewielu ludzi pragnęło powrotu dawnych stosunków; nie pragnęły tego nawet niektóre rządy. Brytyjscy robotnicy, którzy ryzykowali życie za króla i ojczyznę, nie mieli już ochoty żyć w starym systemie klasowym i pozbyli się Winstona Churchilla ze stanowiska zaledwie dwa miesiące po kapitulacji Niemiec. Stalin nie miał zamiaru zezwolić Polsce, Węgrom czy Czechosłowacji na przywrócenie jakiejkolwiek formy liberalnej demokracji. Nawet na Zachodzie wielu intelektualistów uważało komunizm – przyodziany w moralnie wygodny płaszczyk „antyfaszyzmu” – za system lepszy od starego porządku.

W Azji nadchodziły jeszcze bardziej dramatyczne zmiany. Indonezyjczycy, Wietnamczycy, Malajowie, Chińczycy, Birmańczycy, Hindusi i tak dalej byli świadkami, jak naród azjatycki rzucił białych panów, dawnych posiadaczy kolonii, na kolana. Przekonanie o wszechmocy Zachodu prysło nieodwracalnie i stosunki musiały się zmienić. Jednocześnie Japończycy, tak samo jak Niemcy, ujrzeli, jak butne plany ich przywódców obracają się wniwecz, i dzięki temu stali się otwarci na

zmiany częściowo zasugerowane, a częściowo narzucone im przez zwycięskich aliantów, którzy trzymali ich państwa pod okupacją.

Brytyjki i Amerykanki, które wojna wysłała do pracy, wcale nie miały ochoty wracać do domu i do stanu podporządkowania, rezygnując tym samym ze świeżo uzyskanej niezależności ekonomicznej. Oczywiście wiele kobiet uległo i wróciło, tak samo jak koloniom trochę czasu zabrało uzyskanie pełnej niepodległości. Zachowawcze pragnienie „normalności" zawsze współzawodniczy z pragnieniem zmian, pragnieniem, by zacząć od zera i zbudować lepszy świat, w którym nigdy już nie wydarzy się wyniszczająca wojna. Takie nadzieje inspirował szczery idealizm. W 1945 roku fakt, że Liga Narodów nie była w stanie zapobiec (drugiej) wojnie światowej, nie powstrzymywał idealistów od wyrażania nadziei, że Narody Zjednoczone wprowadzą trwały pokój. Z czasem ideały te okazały się równie iluzoryczne jak pomysł powrotu do przeszłości, ale to ani nie zmniejsza ich mocy, ani nie dewaluuje intencji.

Historia powojennego roku 1945 jest pod pewnymi względami bardzo stara. Starożytni Grecy dobrze znali niszczącą siłę pragnienia odwetu; w swych tragediach greccy dramaturdzy opisywali, jak rządy prawa kładą kres krwawej zemście, jak zamiast wendety następuje rozprawa sądowa. Historia zarówno Zachodu, jak i Wschodu pełna jest marzeń o nowych początkach, o traktowaniu gruzów jako placu budowy, na którym rośnie nowe społeczeństwo oparte na nowych ideałach – które zresztą często nie były wcale tak nowe, jak się ludziom wydawało.

Moja fascynacja historią okresu tuż po zakończeniu wojny zrodziła się częściowo pod wpływem niedawnych wydarzeń. W ostatnich latach zbyt często byliśmy świadkami, jak z wojnami, które miały obalić dyktatorów i zrodzić nowe demokracje, wiązano daremne nadzieje. Ale przede wszystkim chciałem przyjrzeć się tym czasom, aby zrozumieć świat, w jakim żył mój ojciec, i światopogląd jego pokolenia. Być może to z powodu ciekawości dziecka wobec doświadczeń rodzica, coraz silniejszej w miarę jak dziecko staje się starsze, niż był wówczas rodzic. Ciekawość ta jest szczególnie dojmująca, kiedy dziecko może sobie tylko wyobrażać ciężar doświadczeń, jakie stały się udziałem rodzica.

To jednak nie wszystko. Świat, który mój ojciec pomagał dźwigać z gruzów – gruzów, pod którymi o mały włos nie zginął – to świat, w którym ja i moi rówieśnicy dorośliśmy. Jego pokolenie wymarzyło naszą rzeczywistość, jaką jest państwo opiekuńcze, ONZ, amerykańska demokracja, japoński pacyfizm, Unia Europejska. Ale świat, który powstał w roku 1945, miał też swoją ciemną stronę: dyktatura komunizmu w Rosji i Europie Wschodniej, dojście Mao do władzy podczas wojny domowej w Chinach, zimna wojna.

Spora część świata zbudowanego przez naszych ojców już przestała istnieć albo właśnie ulega szybkiej dezintegracji. Oczywiście prawie wszędzie, gdzie dotarła druga wojna światowa, obecnie żyje się o wiele lepiej niż w 1945 roku, przynajmniej w sensie materialnym. Nie wydarzyło się wiele z tych rzeczy, których ludzie obawiali się najbardziej. Upadło radzieckie imperium. Ostatnie okopy zimnej wojny przecinają Półwysep Koreański lub biegną wzdłuż brzegów wąskiej Cieśniny Tajwańskiej. Jednakże w czasie kiedy piszę te słowa, wszędzie mówi się o upadku Zachodu, zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Europy. Rozwiało się wiele upiorów okresu powojennego, lecz także wiele ówczesnych marzeń. Mało kto wciąż wierzy, że jakiś ogólnoświatowy rząd wprowadzi wiecznotrwały pokój albo że ONZ ustrzeże świat od konfliktów. Ideologia i ograniczenia gospodarcze położyły kres nadziejom wiązanym z demokracją społeczną i państwem opiekuńczym – tym samym nadziejom, które były przyczyną porażki Churchilla w 1945 roku – a przynajmniej poważnie je ograniczyły.

Ze sceptycyzmem odnoszę się do myśli, że z historii można się wiele nauczyć, a zwłaszcza że znajomość błędów przeszłości pomaga uniknąć podobnych błędów w przyszłości. Historia to wyłącznie kwestia interpretacji. A niewłaściwe interpretacje bywają groźniejsze od niewiedzy. Pamięć starych krzywd i zatargów może na nowo rozniecić płomienie nienawiści. Mimo tego jednak należy wiedzieć, co wydarzyło się dawniej, i starać się to zrozumieć. Inaczej nie rozumie się własnych czasów. Chciałem się dowiedzieć, przez co przeszedł mój ojciec, gdyż to pomaga mi

pojąć, kim jestem i kim jesteśmy my wszyscy – my, żyjący w długiej, ciemnej smudze cienia przeszłości.

CZĘŚĆ PIERWSZA

SYNDROM WYZWOLENIA

ROZDZIAŁ 1

EUFORIA

Gdy wojska aliantów wyzwoliły miliony więźniów hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy z obozów koncentracyjnych, obozów jenieckich i obozów pracy, spodziewano się, że ludzie ci będą pokorni, należycie wdzięczni oraz gotowi do wszelkiej współpracy ze swymi wyzwolicielami. Czasami na pewno tak było. Często jednak alianci napotykali coś, co określano nazwą „syndromu wyzwolenia". Naoczny świadek nieco biurokratycznie definiował ten syndrom tak: „Jednoczyły się w nim wola zemsty, głód i euforia, a połączenie tych trzech odczuć sprawiało, że dipisi, którzy świeżo odzyskali wolność, sprawiali problemy nie tylko w kwestii opieki, wyżywienia, dezynfekcji i repatriacji, lecz także z powodu ich zachowania i prowadzenia się"[1].

Występowanie tego syndromu nie ograniczało się do obozów dla dipisów; określenie to można zastosować do całych krajów tuż po wyzwoleniu, a pod pewnymi względami także do narodów pokonanych.

Urodziłem się za późno i w zbyt zamożnym kraju, aby dostrzec jakiekolwiek skutki głodu; lecz słabe echa euforii i pragnienia odwetu nadal dawały się słyszeć. Wciąż cicho, dyskretnie, prawie niezauważalnie dokonywano zemsty na tych, którzy kolaborowali z wrogiem – albo, co gorzej, sypiali z nim. Tu nie kupowało się jedzenia, tam papierosów, bo przecież „wszyscy wiedzą", że właściciele sklepu „robili źle" w czasie wojny.

Euforia natomiast została w Holandii zinstytucjonalizowana pod postacią corocznych obchodów Dnia Wolności, 5 maja.

Z dzieciństwa pamiętam, że 5 maja zawsze świeciło słońce, biły kościelne dzwony, a czerwono-biało-niebieskie flagi łopotały na wiosennym wietrze. 5 grudnia, czyli wigilia świętego Mikołaja, to większa uroczystość rodzinna, lecz Dzień Wolności był radosnym świętem patriotycznym, przynajmniej za moich lat chłopięcych, czyli w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. 5 maja 1945 roku Holendrzy nie wyzwolili się sami spod niemieckiej okupacji, lecz zostali wyzwoleni przez wojska kanadyjskie, brytyjskie, amerykańskie i polskie, więc ten coroczny wybuch patriotycznej dumy jest dość osobliwy. Niemniej Holendrzy, tak samo jak Amerykanie i Brytyjczycy, uważają, że to właśnie wolność definiuje tożsamość narodową; nic więc dziwnego, że w holenderskiej świadomości narodowej klęska Niemców zlała się w jedno ze zbiorowym wspomnieniem zwycięstwa nad królestwem Hiszpanii podczas wojny osiemdziesięcioletniej na przełomie XVI i XVII wieku.

Mojemu pokoleniu (urodziłem się sześć lat po wojnie) łatwo jest rzewnie wzdychać na widok takich obrazków, jak szkocki dudziarz maszerujący pod ogniem karabinowym przez plażę w Normandii albo obywatele Francji śpiewający *Marsyliankę* – ale oczywiście wszystko to znamy nie z własnych wspomnień, tylko z hollywoodzkich filmów. Wspomnienie dawnej euforii widziałem na własne oczy dokładnie pięćdziesiąt lat po 5 maja 1945 roku, kiedy podczas uroczystych obchodów rocznicy wyzwolenia odbył się ponowny wjazd kanadyjskich żołnierzy do Amsterdamu. Nieważne, że tak naprawdę alianci dotarli tam dopiero 8 maja. To musiało być niesamowite wydarzenie. Naoczny świadek, brytyjski korespondent wojenny, opisywał je tak: „Ludzie całowali nas, ściskali, walili po plecach, płakali, krzyczeli i wrzeszczeli tak, że byliśmy ogłuszeni i cali posiniaczeni. Holendrzy bodajże ogołocili swoje ogródki, bo na alianckie pojazdy spadał niekończący się deszcz kwiatów”[2].

Pięćdziesiąt lat później wiekowi Kanadyjczycy z medalami przypiętymi do przyciasnych i wypłowiałych mundurów znów jechali ulicami miasta w starych dżipach i samochodach pancernych, ze łzami w oczach salutując

tłumom i wspominając dni, kiedy byli królami świata – dni, o których ich wnuczętom już dawno znudziło się słuchać: czas triumfu, zanim bohaterowie wojenni musieli wrócić do Calgary czy Winnipeg i zmienić się w księgowych i dentystów.

Jednakże znacznie bardziej niż widok starców wspominających te piękne dni zdziwiło mnie zachowanie starszych pań, odzianych jak przystoi szacownym holenderskim matronom. Te kobiety szalały, piszczały jak nastolatki na koncercie rockowym, w uniesieniu wyciągały ramiona do mężczyzn w dżipach, dotykały ich mundurów: „Dziękujemy! Dziękujemy! Dziękujemy!”. Nie mogły się powstrzymać. One też ponownie przeżywały chwile dawnej euforii. Była to przedziwnie erotyczna scena, jedna z najosobliwszych, jakich byłem świadkiem.

***

Jako się rzekło, ani Kanadyjczycy nie wkroczyli do Amsterdamu 5 maja, ani też wojna nie skończyła się tego dnia. Owszem, 4 maja na Pustaci Lüneburskiej wielki admirał Hans-Georg von Friedeburg i generał Eberhard Hans Kinzel przyszli do namiotu marszałka polnego Bernarda Montgomery’ego, zwanego powszechnie Montym, by podpisać akt kapitulacji wojsk Trzeciej Rzeszy w północno-zachodnich Niemczech, Holandii i Danii. Młody brytyjski oficer nazwiskiem Brian Urquhart widział, jak mercedesy z Niemcami jadą polną drogą do kwatery głównej Monty’ego. Nieco wcześniej Urquhart znalazł się wśród pierwszych alianckich oficerów, jacy weszli do położonego nieopodal obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen, gdzie większość z oswobodzonych więźniów „nie byłaby w stanie się wysłowić, nawet gdybyśmy mieli wspólny język”. To, co z daleka wziął za leżące „jak okiem sięgnąć”[3] pnie drzew, okazało się stosami trupów. Gdy parę dni później admirał von Friedeburg, wciąż odziany we wspaniały skórzany płaszcz, przeczytał relację amerykańskiego dziennikarza o popełnionych przez Niemców zbrodniach, uznał ją za obrazę swego kraju i wpadł we wściekłość.

6 maja niedaleko Arnhem, w na wpół zburzonym budynku na farmie pod Wageningen, generał Johannes Blaskowitz poddał swoje oddziały kanadyjskiemu generałowi dywizji Charlesowi Foulkesowi. Z samego Arnhem została kupa gruzów po ostrzale we wrześniu 1944 roku, kiedy to brytyjskie, amerykańskie i polskie oddziały próbowały przebić się przez Holandię podczas katastrofalnej ofensywy, znanej jako operacja „Market Garden". Tego właśnie obawiał się Brian Urquhart, podówczas oficer wywiadu w sztabie jednego z głównych architektów tej operacji, generała Fredericka Browninga. Ten dziarski elegant, znany jako „Boy", miał na rękach krew wielu ludzi. Gdy Urquhart pokazał mu zdjęcia niemieckich czołgów przyczajonych wokół Arnhem, usłyszał, że powinien pójść na urlop zdrowotny. Nikt, a już z pewnością nie skromny oficer wywiadu, nie miał prawa psuć Monty'emu imprezy[II].

Lecz wojna trwała nadal, także w Holandii. 7 maja przed pałacem królewskim na placu Dam w centrum Amsterdamu zgromadził się tłum. Oczekując zbliżających się już zwycięskich oddziałów brytyjskich i kanadyjskich, ludzie wiwatowali, śpiewali i machali flagami w kolorze pomarańczowym, barwie rodziny królewskiej. Z okna eleganckiego klubu, który mieścił się w kamienicy przy placu, obserwowali ich oficerowie niemieckiej marynarki wojennej. Entuzjazm Holendrów tak ich rozgniewał, że zaczęli strzelać z zamontowanego na dachu karabinu maszynowego. Dwadzieścia dwie osoby zginęły, a ponad sto odniosło poważne rany.

Ale nie był to ostatni akt przemocy podczas tej wojny. Dwaj Niemcy zostali rozstrzelani 13 maja, ponad tydzień po wyzwoleniu. Byli to antyfaszyści, którzy zdezerterowali z Wehrmachtu i ukrywali się wśród Holendrów. Jeden z nich był synem Żydówki. 5 maja opuścili swoje kryjówki i oddali się w ręce członków holenderskiego ruchu oporu, którzy przekazali ich Kanadyjczykom. Ci żołnierze padli ofiarą typowego podczas wojny bałaganu. Kiedy 4 maja Montgomery przyjął niemiecką kapitulację, w Holandii było za mało aliantów, żeby rozbroić Niemców i zająć się jeńcami. Niemieckim oficerom pozwolono tymczasowo zachować komendę nad oddziałami. Dwaj pechowi dezerterzy zostali umieszczeni wraz z innymi żołnierzami Wehrmachtu w opuszczonej fabryce Forda pod

Amsterdamem. Oficerowie, chcąc po raz ostatni pokazać, kto tu rządzi, naprędce zorganizowali sąd wojskowy i obaj dezerterzy zostali skazani na śmierć. Następnie Niemcy zwrócili się do Kanadyjczyków z prośbą o wydanie im broni, aby wykonać wyrok na „zdrajcach". Kanadyjczycy, nie znając przepisów i nie chcąc komplikować tymczasowego układu, spełnili prośbę. Wyrok bezzwłocznie wykonano. Ci dwaj dezerterzy nie byli jedynymi, których stracono; po jakimś czasie Kanadyjczycy zorientowali się, co się dzieje, i zapobiegli dalszym egzekucjom, ale dla rozstrzelanych było już za późno[4].

Oficjalnie wojna w Europie zakończyła się 8 maja. Bezwarunkową kapitulację całej armii niemieckiej podpisano w budynku szkoły w Reims już 6 maja, ale świętowanie zwycięstwa nie mogło się zacząć od razu, gdyż Stalin wpadł we wściekłość, że generał Eisenhower śmiał przyjąć niemiecką kapitulację nie tylko na froncie zachodnim, lecz także na wschodnim. Ten przywilej należał się wszak Rosjanom, a kapitulacja musiała nastąpić w Berlinie! Stalin zażądał, żeby Dzień Zwycięstwa wyznaczono dopiero na 9 maja.

To z kolei rozgniewało Churchilla. W Wielkiej Brytanii już pieczono chleby, by podczas obchodów zwycięstwa podać na poczęstunek świeżutkie sandwicze, szyto flagi i transparenty, dzwonnicy czekali w pogotowiu, by rozhuśtać dzwony. Nastąpiło ogólne zamieszanie – i w końcu to Niemcy jako pierwsi ogłosili koniec wojny w transmisji radiowej z Flensburga, skąd admirał Dönitz wciąż nominalnie zarządzał tym, co pozostało z Trzeciej Rzeszy. Radosną wieść najpierw podchwyciło BBC, a zaraz potem rozgłosiły wydania specjalne francuskich, brytyjskich i amerykańskich gazet. W Londynie miała się zacząć najbardziej huczna zabawa wszech czasów, ale tłum zgromadzony na Piccadilly Circus i Trafalgar Square czekał, aż Churchill ogłosi zwycięstwo. Serpentyny z taśmy dalekopisowej zasypały ulice Nowego Jorku. Lecz oficjalny raport alianckich dowódców, że wojna z Niemcami dobiegła końca, wciąż nie nadchodził.

Tuż przed północą 8 maja w sztabie wojsk rosyjskich w Karlshorst – niedaleko obozu pracy, w którym przebywał wcześniej mój ojciec – marszałek Gieorgij Żukow, dowódca genialny acz brutalny, przyjął

wreszcie niemiecką kapitulację. Admirał von Friedeberg po raz drugi poświadczył klęskę Rzeszy swoim podpisem. Feldmarszałek Wilhelm Keitel – sztywny pruski żołnierz z nieruchomą twarzą – oznajmił, że jest zszokowany rozmiarami zniszczeń w stolicy Niemiec. Jeden z rosyjskich oficerów zapytał, czy podobnie szokuje marszałka świadomość, iż z jego rozkazu zrównano z ziemią tysiące rosyjskich miast i wsi, przy czym zginęły miliony ludzi, w tym również dzieci. Keitel wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział[5].

Żukow kazał Niemcom wyjść, po czym Rosjanie oraz ich amerykańscy, brytyjscy i francuscy sprzymierzeńcy uczcili zwycięstwo łzawymi przemowami i wielką ilością wina, koniaku i wódki. Następnego dnia w tej samej sali odbył się bankiet. Żukow wzniósł toast na cześć Eisenhowera, nazywając go jednym z największych generałów, jakich zna historia. Później szedł toast za toastem, a rosyjscy generałowie, także Żukow, tańczyli do upadłego. Pod koniec imprezy mało kto trzymał się na nogach.

W Nowym Jorku tłumy szalały już 8 maja. Na ulicach Londynu też było gęsto, ale panowała dziwna cisza, jak gdyby jedynie głos Churchilla mógł dać sygnał do rozpoczęcia uroczystości. Premier zdecydował się zignorować życzenie Stalina, aby odwlec ogłoszenie zwycięstwa do 9 maja. Na trzecią po południu zapowiedziano oficjalny komunikat. Generał Charles de Gaulle, nie chcąc, żeby uwaga świata skupiła się na Churchillu, uparł się, że swoje orędzie do narodu wygłosi o tej samej porze. Prezydent Truman zrobił to wcześniej.

Transmitowanego przez BBC przemówienia Churchilla słuchał cały świat. Na placu przed Westminsterem, gdzie zainstalowano głośniki, nie dało się wcisnąć szpilki. Ludzie cisnęli się do bramy pałacu Buckingham. Na West Endzie samochody nie mogły przedrzeć się przez tłum. Trzy razy zadzwonił Big Ben. Zapadła cisza. I wreszcie z głośników zagrzmiał głos Churchilla: „Wojna z Niemcami dobiegła zatem końca […] niemal cały świat zjednoczył się w walce ze zbrodniarzami, którzy teraz klęczą przed nami zdruzgotani […] Nie będziemy szczędzić sił ni środków, by ukończyć nasze zadanie, zarówno w kraju, jak i za granicą”. Tu głos mu się załamał: „Naprzód, Brytanio! Niech żyje wolność! Boże błogosław króla!”. Wkrótce

potem Churchill ukazał się na balkonie Ministerstwa Zdrowia i złożył palce w literę V, znak zwycięstwa. „Niech was Bóg błogosławi! To wasze zwycięstwo!”. A tłum odkrzyknął: „Nie! Twoje!”.

„Daily Herald” pisał: „Byliśmy świadkami wspaniałych scen, gdy w samym sercu miasta roześmiani, tańczący, wiwatujący ludzie niepowstrzymanym tłumem otaczali autobusy, wskakiwali na dachy samochodów, wyrywali z parkanów deski na uliczne ogniska, obcałowywali policjantów i ciągnęli ich do tańca […] Klaksony samochodów grały rytm wiktorii. Syreny holowników i statków nadawały [morse’em] ten sam znak – V, aż cała rzeka rozbrzmiewała echem”.

Gdzieś tam świętowała zwycięstwo osiemnastolatka, która dostała specjalne pozwolenie na opuszczenie szkolnego internatu, oraz jej młodszy brat. Dziewczyna ta miała zostać moją mamą. Cieszyła się też moja babcia, Winifred Schlesinger, córka niemieckich Żydów imigrantów, która bez granic wielbiła Churchilla. Jednocześnie jednak obawiała się, że w tym „rozszalałym, pijanym, a w dodatku pełnym Jankesów tłumie” coś się przytrafi jej dzieciom.

Na ulicach Nowego Jorku świętowało pół miliona ludzi. Zniesiono godzinę policyjną. Kluby – Copacabana, Versailles, Latin Quarter, Diamond Horseshoe, El Morocco – były czynne do świtu i zapchane po brzegi. W klubie Zanzibar grał Lionel Hampton, w hotelu Roosevelt Grill – Eddie Stone, a kuchnia restauracji Jacka Dempseya wydawała potrójne porcje.

Na paryskim placu Republiki reporter z gazety „Libération” obserwował „falujący, najeżony alianckimi flagami tłum. Amerykański żołnierz chwiał się na długich nogach, w tym stanie nierównowagi wciąż próbując robić zdjęcia; z kieszeni jego munduru wystawały dwie butelki koniaku, jedna pełna, druga już pusta”. Inny Amerykanin, pilot bombowców, ku dzikiemu zachwytowi tłumu przeleciał swoim B-25 pod łukiem między podstawami wieży Eiffla. Na Boulevard des Italiens odbył się improwizowany konkurs między „olbrzymiego wzrostu amerykańskim marynarzem” a „imponującej postury Murzynem”: panowie przyciskali do swych „potężnych piersi” przechodzące kobiety, a potem liczyli, który z nich ma na policzkach więcej śladów po całusach uszminkowanych warg. Widzowie robili zakłady. Przy

Łuku Triumfalnym największy tłum, jaki kiedykolwiek tam widziano, składał podziękowania generałowi de Gaulle'owi. Słynący z powagi generał nawet się uśmiechnął. Śpiewano *Marsyliankę* i piosenkę z czasów pierwszej wojny, sławiącą uroki karczmareczki imieniem Madelon:

Gdy Madelon do stołu nam podaje,
Spokoju nie da nigdy gości rój,
I każdy szepcze w uszko słodkie baje,
I każdy szepcze na sposób swój.
Bo Madelon jest dla nas tak łaskawa,
Że choć uszczypniesz lub pogłaszczesz ją,
Nie gniewa się, śmiech jej obroną całą,
Madelon[6].

Niektórzy paryżanie lekceważyli jednak te obchody. Francja została przecież wyzwolona w 1944 roku. Simone de Beauvoir pisała: „Wspomnienie, które zachowałam o tej nocy, zatarło się o wiele bardziej niż pamięć naszych dawnych zabaw – może dlatego, że doznawałam uczuć dość mieszanych. To zwycięstwo osiągnięte zostało gdzieś bardzo daleko od nas; nie czekaliśmy na nie jak na wyzwolenie, w gorączce i trwodze; było spodziewane od dawna i nie otwierało nowych nadziei. Był to tylko ostatni akcent kończący wojnę; ten koniec w jakiś sposób przypominał śmierć"[7].

Za to mieszkańcy Moskwy wylegli na ulice, kiedy tylko ogłoszono, że wojna się skończyła, czyli wczesnym rankiem 9 maja. Ludzie – niektórzy wciąż w koszulach nocnych i piżamach – tańczyli i wiwatowali aż do wieczora, krzycząc: „Zwycięstwo! Zwycięstwo!". W liście do brytyjskiego historyka Martina Gilberta Walentin Bierieżkow, jeden z tłumaczy Stalina, tak wspominał ten dzień: „Źródłem tego szczególnego poczucia ulgi i wiary w przyszłość były duma z pokonania podłego i zdradzieckiego wroga, żałoba po poległych (a jeszcze nie wiedzieliśmy, że na polach bitew zginęło prawie 30 milionów ludzi) i nadzieja na trwały pokój i dalszą współpracę z naszymi wojennymi sprzymierzeńcami"[8].

„Libération” z 8 maja miało chyba rację, pisząc, że było to przede wszystkim święto ludzi młodych. „Tę euforię czuła jedynie młodzież. Tylko młodzi, z flagami w uniesionych dłoniach i z pieśnią na ustach, wskakiwali na jadące przez Pola Elizejskie dżipy, które przypominały trybuny przy torze wyścigowym w Longchamp. Ale to dobrze, tak być powinno. Teraz młodzi są już bezpieczni”.

Tymczasem w Anglii moja babcia nie podzielała rozradowania swoich dzieci – tęskniła za mężem, który służył w armii brytyjskiej w Indiach. Z całą pewnością nie była w tym odosobniona. Wielu mężów i synów nie wróciło jeszcze do domu albo miało już nigdy nie wrócić, więc byli i tacy, którzy stracili zbyt wiele, by się cieszyć. Reakcja tej córki imigrantów jest też ogromnie angielska. „Za bardzo za Tobą tęskniłam, aby świętować – napisała do dziadka – więc uświetniłam tę godzinę triumfu odrobiną nadprogramowej pracy w ogródku”.

Mój ojciec nie ma wspomnień z dnia oficjalnego zakończenia wojny. Niejasno pamięta, że słyszał, jak Rosjanie strzelają na wiwat. Marszałek Żukow wspominał o tym w swoich pamiętnikach: „[9 maja] Wyszliśmy z sali bankietowej przy akompaniamencie kanonady ze wszystkich rodzajów broni […] W całym Berlinie i na przedmieściach trwała palba”[9]. Ale ojciec był przyzwyczajony do huku wystrzałów i nie zwrócił na nie specjalnej uwagi.

Młody oficer brytyjskiego wywiadu Brian Urquhart dalej tkwił w północnych Niemczech. On też nie odczuwał euforii; nie pozwalał mu na to szok, jakiego doznał przy wyzwalaniu obozu w Bergen-Belsen. „Trudno mi odtworzyć, co właściwie czułem w tej przełomowej chwili. Prawie sześć lat od upadku do triumfu, śmierć wielu przyjaciół, straszliwe straty i zniszczenia? Tysiące bezimiennych twarzy na wojennych fotogramach, uchodźcy, jeńcy, cywile pod bombami, Rosjanie w śniegu na gruzach swojej ojczyzny, marynarze na tonących frachtowcach – zastanawiałem się, ilu z tych ludzi ujrzy jeszcze swoich bliskich”[10].

Takie myśli nie mąciły radości ludziom świętującym zwycięstwo w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie. Było to święto nie tylko młodości, lecz także światła – i to dosłownie. „Miasto się jarzy!” – wołał nagłówek na

pierwszej stronie „New York Herald Tribune” 9 maja. Dzień wcześniej „London Daily Herald” donosił: „Nocą niebo nad Londynem znowu lśni”. Światła Opery Paryskiej rozbłysły – po raz pierwszy od września 1939 roku – na czerwono, biało i niebiesko. Ponownie oświetlono Łuk Triumfalny, a potem kolejno kościół św. Magdaleny i plac Zgody. „Herald Tribune” z dumą doniósł, że przed budynkiem redakcji przy Rue de Berri powiewają wielkie, rzęsiście oświetlone flagi Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji.

W Nowym Jorku częściowe zaciemnienie ogłoszono w kwietniu 1942 roku, a całkowite w październiku 1943 roku. Miasto zgasło. Świeciła jedynie pochodnia Statuy Wolności, ale bardzo słabo. „New York Daily News” raportował, że 8 maja już o ósmej wieczorem „lśniły wszystkie klejnoty w koronie Broadwayu, a wielkie tłumy ludzi zdawały się płynąć w tym świetle, które ogrzewa duszę”.

W Londynie oświetlono punktowcem kolumnę Nelsona na Trafalgar Square. W centrum zbombardowanej dzielnicy bankowej stała samotnie zalana światłem katedra św. Pawła, jaskrawe neony kin rozjaśniły Leicester Square. Dziesiątki tysięcy ognisk rozpalonych nie tylko w Londynie, ale też w całej Anglii i Szkocji, rzucały ciepły czerwony blask.

Chodziło o coś więcej niż tylko ulgę, że można już nie obawiać się bomb i pocisków V-1. W tym powrocie światła było coś wzruszająco symbolicznego. Czytając te doniesienia, przypomniałem sobie opowieść pewnej rosyjskiej uczonej, która specjalizowała się w literaturze francuskiej i głęboko ją kochała. Całe życie marzyła o podróży do Francji i innych krajów Europy, które znała jedynie z książek. Jej marzenie się spełniło: w roku 1990, po upadku muru berlińskiego, dostała pozwolenie na wyjazd do Paryża. Spytałem, co zrobiło na niej największe wrażenie. Odpowiedziała, że chwila, kiedy w nocy jej pociąg przejechał z wschodniej do zachodniej części Berlina. Nagle wszędzie rozbłysło tyle światła!

***

Rytuały niesienia światła, wszechobecne i tak dawne, jak dawno rozgorzała pierwsza pochodnia, często zawierają element mistyczny, związany z cyklem pór roku i odrodzeniem życia. W niektórych relacjach z pierwszych dni po wyzwoleniu brzmi nuta religijnego uniesienia. Dotyczy to szczególnie powitania alianckich żołnierzy przez kobiety. Maria Haayen, wówczas młoda mieszkanka Hagi, wspomina, jak ujrzała toczący się w jej stronę pierwszy kanadyjski czołg. Z włazu wystawała głowa żołnierza. „Krew mi zastygła w żyłach; pomyślałam: oto nadciąga wolność. Czołg się zbliżał, zabrakło mi tchu, i wtedy ten żołnierz wstał – wyglądał jak święty”[11].

Tego rodzaju uczucia były zapewne częstsze wśród kobiet, ale podzielali je też mężczyźni. Pewien Holender wspomina, że „nawet dotknąć rękawa munduru Kanadyjczyka to był dla nas zaszczyt. Każdy kanadyjski szeregowiec był Chrystusem, był zbawcą…”[12].

Pod pewnym istotnym względem doświadczenia alianckich żołnierzy w krajach wyzwalanych latem 1945 roku dają się porównać z późniejszymi o dwadzieścia lat wydarzeniami podczas tournée Beatlesów. Radość z odzyskania wolności też wyrażała się jako swego rodzaju szał o zabarwieniu przede wszystkim erotycznym. W 1945 roku w takich krajach jak Holandia, Belgia czy Francja, a tym bardziej w pokonanych Niemczech i Japonii, mężczyźni albo siedzieli w niewoli, albo byli ubodzy, niedożywieni i złamani. Okupacja i klęska zniszczyły, przynajmniej na czas jakiś, autorytet mężczyzn. Holenderski historyk ujął to tak: „Holendrzy zostali pokonani militarnie w 1940, a seksualnie w 1945 roku”[13]. Tak samo było we Francji i w innych krajach, które znajdowały się pod okupacją. Jednym ze skutków wojny był fakt, że kobiety wyzbyły się części swej odwiecznej zależności od mężczyzn. Poszły do pracy, działały w ruchu oporu, samotnie opiekowały się rodzinami – były, jak to ujmuje ówczesne wysoce pejoratywne określenie, *homminisée*: zaczęły się zachowywać jak mężczyźni.

Szykowni Kanadyjczycy i przystojni Amerykanie – dobrze odżywieni, dobrze wynagradzani i eleganccy w seksownych mundurach zwycięskich armii – musieli faktycznie wyglądać jak młodzi bogowie w porównaniu

z wychudłymi, zmizerniałymi, niedomytymi i obdartymi Holendrami, Francuzami czy Niemcami. Jedna z wielu Holenderek, które poślubiły Kanadyjczyków, stwierdziła zwięźle: „Cóż poradzić, po tym, przez co przeszliśmy, Kanadyjczycy byli po prostu apetyczni”.

Erotyzm wyzwolenia doskonale wyraża muzyka towarzysząca aliantom, a zakazana przez Niemców: swing, jazz, *In the Mood* Glenna Millera, Tommy Dorsey, Stan Kenton, Benny Goodman, *Hey! Ba-Ba-Re-Bop* Lionela Hamptona. W Paryżu na potańcówkach puszczano nagrania jazzowe z kolportowanych wśród alianckich żołnierzy „płyt zwycięstwa”. Duch przyjaźni francusko-amerykańskiej inspirował też francuskie *chansons*. Jacques Pills śpiewał przebój roku 1945:

Oh! Là là!
Bonjour mademoiselle
Oh! Là là!
Hello, qu’elle fait comme ça
Oh! Là là!
Je pense you are très belle
Oh! Là là!
You very beau soldat…

W 1945 zachodni alianci mieli oficjalny zakaz fraternizowania się z Niemcami, lecz do bratania się z miejscową ludnością w Holandii i Francji wręcz zachęcano. Prowadzono nawet kampanię o nazwie operacja „Braterstwo”. W lipcu ukonstytuował się Holenderski Komitet do spraw Rozrywki pod patronatem księżnej Juliany i księcia Bernharda; jego celem było zapewnienie ponad stu tysiącom Kanadyjczyków asysty mówiących po angielsku młodych kobiet. W założeniu miały one towarzyszyć żołnierzom podczas wycieczek na wystawy, do muzeów czy do kina oraz, oczywiście pod należytą opieką przyzwoitek, na potańcówkach.

Pobożnym życzeniem organizatorów było, aby dziewczęta „podtrzymywały honor naszego narodu”. Moja holenderska babka, jako żona pastora, została wyznaczona na jedną z przyzwoitek. Chodziło o to,

aby podczas tańców nie zaszło nic, przez co rzeczony honor mógłby doznać uszczerbku. Jej partnerem w tym przedsięwzięciu był katolicki ksiądz, ojciec Ogtrop, którego nazwisko tańczący wykrzykiwali na melodię *Hey! Ba-Ba-Re-Bop*. Nie wiem, co działo się na tych zabawach, ale jeden z kanadyjskich żołnierzy twierdził, że on i jego koledzy w życiu nie spotkali „chętniejszych pań niż te, które poznaliśmy w Holandii”[14].

I bardzo dobrze, przynajmniej z punktu widzenia młodych aliantów, gdyż dowódcy niechętnym okiem patrzyli na wizyty żołnierzy u prostytutek. Obowiązywał zakaz odwiedzin w dzielnicach czerwonych latarni, nawet we Francji, chociaż pod okupacją niemiecką tamtejsze *maisons de tolérance* prosperowały. Niektórzy starsi wiekiem amerykańscy żołnierze mieli jeszcze miłe wspomnienia z pobytu w Paryżu w 1918 roku, tuż po zakończeniu pierwszej wojny – w burdelach przy placu Pigalle (zwanym przez nich „Pig Alley”) witano ich wówczas nader ciepło. Ale nawet po drugiej wojnie zakazu wizyt u prostytutek nie zawsze przestrzegano. Znamy jeden udokumentowany przypadek, że zespół burdeli był prowadzony nieoficjalnie przez armię Stanów Zjednoczonych; rzecz działa się w Cherbourgu[15]. Niektóre z nich przeznaczone były dla żołnierzy czarnoskórych, inne wyłącznie dla białych, a porządku w kolejkach pilnowała amerykańska żandarmeria wojskowa. Najczęściej jednak – ku zmartwieniu tych, którzy (najzupełniej słusznie) obawiali się, że brak zorganizowanego przemysłu usług seksualnych zaowocuje wzrostem zachorowań na choroby weneryczne – panie, z którymi nawiązywali kontakty żołnierze, były niezrzeszone.

To nie oznacza, że znajomości między żołnierzami a miejscowymi kobietami opierały się na zasadzie równości. Mężczyźni mieli pieniądze, dobra luksusowe, papierosy, jedwabne pończochy, a co najważniejsze – żywność, której tak straszliwie brakowało. Czołobitność widoczna w wielu opisach wyzwolicieli również sugeruje taki potencjalnie poniżający brak równowagi. Jednakże błędem jest postrzeganie kobiet, które chętnie zawierały znajomości z wyzwolicielami, jako naiwnych, zapatrzonych w bohaterów głupiątek lub bezsilnych ofiar. Simone de Beauvoir

wspominała w swoich pamiętnikach młodą paryżankę, której ulubioną rozrywką było *la chasse à l'Américain* – polowanie na Amerykanów.

Benoîte Groult, która później została znaną powieściopisarką, w relacji napisanej na spółkę ze swoją siostrą Florą opisywała swe sukcesy w tym polowaniu. Autorki nazywały swój *Journal à quatre mains* powieścią, lecz w rzeczywistości to pamiętnik, tylko lekko zbeletryzowany. Groult znała angielski i była jedną z Francuzek, które zgłosiły się do Amerykańskiego Czerwonego Krzyża jako ochotniczki do asystowania żołnierzom. Ale jej prawdziwe tereny łowieckie były mniej przyzwoite: Groult spędzała wieczory w paryskich klubach o nazwach tak niewinnych, jak Klub Kanadyjski, Wolność czy Tęczowy Zakątek. W takich lokalach mile widziano Francuzki, lecz Francuzi nie mieli do nich wstępu.

Szczegółowe portrety amerykańskich i kanadyjskich żołnierzy, jakie znajdujemy w relacji Groult, są tak samo pełne uwielbienia jak opowieści ludzi, którzy widzieli w nich świętych; jedyna różnica w tym, że jej opisy są zaskakująco szczere, a mężczyznom daleko do świętości. O swych podbojach Groult pisze tak samo, jak niektórzy mężczyźni chwalą się podrywaniem dziewczyn. O klubach mówi „targi niewolników"; tymi niewolnikami są dzielni zwycięzcy.

Oto opis Amerykanina imieniem Kurt, pilota myśliwców: „Nos trochę za krótki, a raczej lekko zadarty, nadaje mu dziecinny wygląd typowy dla wszystkich Amerykanów; skóra opalona w stratosferze; silne ręce, barki jak u orangutana […] biodra doskonałe, proste, co poprawia proporcje przyciężkiego tułowia". Kurt w ogóle nie czytał książek, a interesował się wyłącznie samolotami i jedzeniem, ale co ją to obchodziło? Pisała: „Pragnę uścisków idioty, pocałunków idioty. Ma uroczy uśmiech, kąciki ust unoszą mu się nad idealnymi amerykańskimi zębami"[16].

Francuzi zapewne uważali Benoîte Groult za obrzydliwie *homminisée*. Była wdową; jej mąż zmarł w czasie wojny. Dzięki wyzwoleniu latem 1944 roku miała możność, a przy tym i ochotę, szukać w ramionach mężczyzn rozkoszy tylko i wyłącznie przelotnych. Bezcenna swoboda! To Kurt pragnął trwałego związku, pokazywał jej zdjęcia rodziców i miał nadzieję,

że zabierze ją ze sobą do Stanów jako wojenną żonę. Młoda paryska intelektualistka i aspirująca pisarka uznała to rzecz jasna za wykluczone.

Benoîte Groult była wyjątkowo bezwzględna (albo taką udawała), ale jej relacja doskonale ilustruje obserwację francuskiego historyka Patricka Buisson, zajmującego się historią Francji za czasów niemieckiej okupacji. Jego zdaniem spowodowana wojną obecność we Francji znacznej liczby młodych Niemców dała asumpt do buntu nieszczęśliwym mężatkom, córkom małomieszczańskich rodzin o surowych zasadach, służącym maltretowanym przez chlebodawców, starym pannom lub po prostu tym kobietom, które, niezależnie od pochodzenia, pragnęły choć na jakiś czas wyrwać się z okowów konserwatywnego patriarchalnego społeczeństwa. Ta swoista zemsta była tym słodsza, że związek z okupantem przynosił korzyści materialne, więc kobiety, które się nań zdecydowały, żyły w lepszych warunkach niż współobywatele (w wielu wypadkach ich byli pracodawcy)[17].

Dotyczy to nie tylko kobiet. Członkowie mniejszości, chcąc wyzwolić się spod dyktatury większości, często zawierają sojusze z potężnymi outsiderami – to powszechna cecha społeczeństw kolonialnych. Jednakże fakt, że odsetek homoseksualistów wśród francuskich kolaborantów był nieproporcjonalnie wysoki oraz że w okupowanym Paryżu kwitła kultura gejowska, może mieć coś wspólnego z buntem kobiet przeciwko władzy szacownej burżuazji. Cóż z tego, że propaganda władz hitlerowskich oraz rządu Vichy była homofobiczna? Gej niekoniecznie popierał samą okupację, ale oferowała mu ona zwiększone możliwości.

Fraternizacja z wyzwolicielami była bez wątpienia bardziej nęcąca niż kolaboracja z Niemcami, gdyż nie nosiła piętna zdrady. Trudno jednak powiedzieć cokolwiek na temat odsetka związków homoseksualnych między żołnierzami alianckimi a mężczyznami z wyzwolonych przez nich krajów, gdyż nikt się tym rzecz jasna nie chwalił. Jeden taki związek pięknie opisuje Rudi van Dantzig, tancerz, pisarz i choreograf Holenderskiego Baletu Narodowego, w opartej na jego doświadczeniach powieści *Voor een verloren soldaat*. Podczas „zimy głodu” na przełomie 1944 i 1945 roku bohater powieści, Jeroen, zostaje ewakuowany

z Amsterdamu do wioski na północy kraju. Chłopiec ma zaledwie dwanaście lat, ale odczuwa już pożądanie, które nie do końca rozumie. Do wioski wjeżdżają Kanadyjczycy. Na polnej drodze zatrzymuje się dżip. Wychyla się żołnierz, wyciąga rękę, chłopiec wsiada do samochodu. Tak Jeroen spotyka Kanadyjczyka Walta, który go uwiedzie. Ale powieść bynajmniej nie stanowi oskarżenia o pedofilię, wręcz przeciwnie, jest pełna nostalgii: „Obejmuje mnie ciepłe ramię; jest mi wygodnie, jakbym siedział w fotelu. Pozwalam na to z czymś w rodzaju radości. I myślę: «Oto dzień wyzwolenia. Taki właśnie powinien być, odmienny od wszystkich innych dni. To jest święto»”[18].

Benoîte Groult doskonale zdaje sobie sprawę z korzyści materialnych, jakie przynosi seks z Amerykaninem. Bez skrępowania przyznaje, że istnieje związek między głodem a pożądaniem. Zauważa, że leżeć w łóżku pod ciałem Kurta to jak spać z całym kontynentem, „a kontynentowi się nie odmawia”. Później kochankowie siadają do posiłku: „Cztery lata okupacji i blisko dwadzieścia dwa lata czystości wyostrzyły mi apetyt. Pochłaniałam jaja, które kura zniosła dwa dni temu w Waszyngtonie. Mielonkę puszkowaną w Chicago. Kukurydzę, która wyrosła cztery tysiące mil stąd. Ta wojna to jednak coś!”.

Mielonkę, jajka i czekoladę można było zjeść, pończochy – wciągnąć na nogi, papierosy – wymienić na jedzenie na czarnym rynku. Prezenty od amerykańskich żołnierzy oznaczały dostatek. Było to równie pociągające jak ich szerokie barki, urocze uśmiechy, zgrabne biodra i wytworne mundury. W bardzo ubogich krajach sam dostęp do papierosów czynił z nich bogaczy. Łatwo zatem było uznać, że kobiety, które sypiają z żołnierzami, to w zasadzie dziwki.

I rzeczywiście wielu ludzi – zwłaszcza kobiet, które ledwo wiązały koniec z końcem, oraz mężczyzn, którym zakazany był wstęp do klubów, kin i sal tanecznych przeznaczonych dla wyzwolicieli i ich miejscowych bogdanek – tak właśnie uważało. Potępienie było tym głębsze, że niejedna z towarzyszących alianckim żołnierzom dziewczyn nosiła na głowie chustkę czy szal, by ukryć odrastające włosy. W czasie okupacji kobietom golono głowy do gołej skóry za to, że wzięły sobie niemieckich kochanków.

Bez wątpienia wiele kobiet dorabiało prostytucją, zwłaszcza w krajach, które poniosły klęskę. Świadczenie usług seksualnych pozwalało przeżyć nie tylko samej kobiecie, lecz często także jej dzieciom. Jednak nawet kobiety, które nieprzyzwoicie szybko zmieniły kochanka z Niemca na alianta, miewały po temu powody o wiele głębsze niż zwykła sprzedajność. Świeżo ogolona „łóżkowa kolaborantka" z małego miasteczka we Francji, słysząc groźbę, że jeśli się nie poprawi, spotkają ją dalsze kary, oznajmiła samozwańczemu komitetowi obrony moralności: „Wszystko mi jedno, czy ogolicie mi głowę. Nie mam kontaktu z mężem [byłym jeńcem wojennym]. Będę się zabawiać z Amerykanami, jeśli tylko będę miała na to ochotę"[19].

Czytając współczesne relacje i doniesienia prasowe, można odnieść wrażenie, że lato 1945 roku to była niekończąca się orgia – chciwe, zdeprawowane lub samotne miejscowe kobiety gziły się z cudzoziemskimi żołnierzami. Statystyki wydają się to potwierdzać: w 1945 roku z powodu chorób wenerycznych hospitalizowano w Paryżu pięć razy więcej kobiet niż w 1939 roku. W Holandii w 1946 roku urodziło się ponad 7 tysięcy nieślubnych dzieci, trzy razy więcej niż w 1939 roku. Zwiększona zapadalność na choroby weneryczne daje się wytłumaczyć brakiem opieki medycznej i środków antykoncepcyjnych, niskim poziomem higieny w rejonach uboższych czy wieloma innymi czynnikami. Faktem jest jednak, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety łaknęli towarzystwa, ciepła i miłości, często nawet myśląc przy tym o małżeństwie. Owszem, w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu panowała ogromna swoboda seksualna; ale ludzie tęsknili także za powrotem do normalności. Nie można zapominać, że w 1946 roku w Holandii urodziło się 277 tysięcy ślubnych dzieci; rekordowa wielkość w całym okresie, który obejmują rejestry urodzeń.

***

Obóz w Bergen-Belsen został wyzwolony 15 kwietnia. Brytyjskie oddziały pod dowództwem porucznika Derricka Singtona miały rozkaz dotrzeć tam tak szybko, jak tylko możliwe. Wojna wprawdzie jeszcze trwała, ale

warunki w obozie były tak straszne, że istniała poważna obawa, iż szalejąca w obozie epidemia tyfusu – ta sama, która kilka tygodni wcześniej spowodowała śmierć Anne Frank – dosięgnie miejscowej ludności. Niemieckie władze nie mogły lub nie chciały radzić sobie z tym zagrożeniem, więc wydały pozwolenie na wejście oddziałów brytyjskich do Belsen, mimo że oficjalnie były to wciąż oddziały nieprzyjacielskie.

Żołnierze przejeżdżający obok stosów trupów i baraków śmierdzących ekskrementami i zgnilizną z trudnością wierzyli własnym oczom. Zdjęcia stamtąd były jednymi z pierwszych, jakie ukazały się w zachodniej prasie; dlatego dla Brytyjczyków właśnie KL Belsen jest głównym symbolem hitlerowskiego ludobójstwa. Brian Urquhart pisze, że o antysemityzmie hitlerowców wiedział już wcześniej, „ale «ostateczne rozwiązanie», eksterminacja milionów ludzi, po prostu nie mieściło się w głowie. Byliśmy kompletnie nieprzygotowani na Belsen”[20]. A przecież ani Urquhart, ani pozostali żołnierze brytyjscy nie zdawali sobie sprawy, że Belsen to nie był obóz zagłady. Te znajdowały się na terenie okupowanej przez Niemców Polski, i w tym czasie większość z nich już nie istniała – hitlerowcy zniszczyli je przed wycofaniem się na zachód.

Porucznik Sington jechał przez obóz, ogłaszając przez zainstalowany na samochodzie megafon, że obóz jest wolny. Ci, którzy przeżyli, byli w większości za słabi, żeby w jakikolwiek sposób zareagować. Potem, wciąż trzymając w dłoni mikrofon, dotarł do głównego obozu kobiecego.

> Kilka sekund później auto otoczyły setki kobiet. Krzyczały i zawodziły histerycznie, nieopanowanie, nie słychać było ani słowa z megafonu. Teren obozu był obsadzony młodymi brzózkami; kobiety zrywały ich gałązki i rzucały je na samochód[21].

Te kobiety, które wciąż były w stanie chodzić, miały szczęście. Pewien Brytyjczyk, student medycyny, zgłosił się na ochotnika do pomocy w wyzwolonym obozie i w jednym z baraków stał się mimowolnym świadkiem następującej sceny:

> Stałem przerażony wśród tego brudu i plugastwa, próbując przyzwyczaić się do smrodu, który był mieszaniną woni prosektorium, kanału ściekowego, potu i gnijącej

ropy, kiedy nagle usłyszałem skrobanie na podłodze. Spojrzałem i mimo półmroku dostrzegłem kucającą przy moich stopach kobietę. Miała czarne, skołtunione, rojące się od robactwa włosy, a jej żebra sterczały, jakby pomiędzy nimi było zupełnie pusto. Wypróżniała się, ale była tak słaba, że nie mogła unieść pośladków z podłogi, a ponieważ miała biegunkę, płynny żółty kał bulgocząc wypływał jej na uda[22].

Lekarze i pielęgniarze-ochotnicy rozpaczliwie apelowali o więcej pożywienia, lekarstw i zaopatrzenia medycznego. Mierzyli się z głodem i chorobami w skali, której nie tylko nigdy nie doświadczyli, ale też nawet sobie nie wyobrażali. Wciąż co dzień umierały setki ludzi, niekiedy po zjedzeniu żołnierskich racji, tak pożywnych, że nie wytrzymywały skurczone głodem jelita. Lecz armia nie zawsze działa sprawnie, a w Niemczech panował chaos. Pod koniec kwietnia nie wiadomo skąd i dlaczego przyjechał do Belsen spory transport szminek.

Te szminki okazały się darem niebios. Podpułkownik Gonin, dowódca brytyjskiej jednostki medycznej, napisał:

Jestem zdania, że nic nie pomogło więźniarkom bardziej niż szminka. Kobiety leżały na pryczach bez pościeli, bez koszul, ale ze szkarłatnymi wargami, chodziły po obozie ubrane jedynie w narzucony na ramiona koc, ale ze szkarłatnymi wargami… Wreszcie ktoś coś zrobił, by przywrócić im tożsamość, znów były osobami, a nie jedynie wytatuowanym na przedramieniu numerem. Wreszcie mogły zadbać o swój wygląd. Szminka stanowiła pierwszy krok w stronę odzyskania człowieczeństwa[23].

Richard Wollheim, późniejszy słynny brytyjski filozof, tak samo jak Urquhart służył w wywiadzie. W maju został skierowany na krótko do Belsen, gdzie warunki życia były wciąż straszne, ale już nie tak katastrofalne jak wcześniej. Na którymś szczeblu dowództwa ktoś wpadł na świetny pomysł, żeby zorganizować potańcówkę dla żołnierzy i byłych więźniarek. Wollheimowi kazano się tym zająć. Niestety, impreza skończyła się fiaskiem w wyniku nieporozumienia. Do tańca mieli przygrywać byli strażnicy obozowi, słynący z brutalności Węgrzy, odziani w stroje narodowe. W chwili gdy muzykanci wydobyli z akordeonów pierwsze nuty, kobiety, które nie miały wspólnego języka z organizatorami zabawy, obnażyły ramiona i pokazały obozowe numery. Żołnierzom

dosłownie zabrakło słów. Nie wiedząc, jak poprosić kobiety do tańca, zaczęli chwytać je za ręce. Przerażone więźniarki próbowały ich bić. Węgrzy grali coraz szybciej i szybciej[24].

To pechowe wydarzenie było jednak wyjątkiem. Mniej więcej w tym samym okresie na placu między barakami odbyła się inna potańcówka, podczas której do tańca grała orkiestra RAF-u. Jeden z brytyjskich żołnierzy relacjonował, że wprawdzie niektóre z dziewcząt „ledwo chodziły", a inne „wyglądały, jakby się miały zaraz przełamać na pół", lecz impreza odniosła ogromny sukces. Pewien oficer, bardzo wysokiego wzrostu Kanadyjczyk, tańczył walca z dziewczyną tak drobną, że czubkiem głowy ledwo sięgała mu do pasa. „Była tak uszczęśliwiona, że ci, którzy na nią patrzyli, z trudnością powstrzymywali uśmiechy – lub łzy"[25].

Ta scena jest chyba bardziej typowa niż relacja Wollheima, gdyż wiele osób pracujących w wyzwolonych obozach, od amerykańskich rabinów po pracowników misji oenzetowskich, z różnym stopniem aprobaty lub zgorszenia odnotowało, że byłym więźniom błyskawicznie wróciła sprawność seksualna. Pożądanie, podobnie jak szminka, przywracało im poczucie ludzkiej godności, którego ich tak brutalnie pozbawiono.

W 1946 roku wskaźnik urodzin w Holandii był wysoki, a w obozach dla dipisów – jeszcze wyższy. W samej tylko amerykańskiej strefie okupacyjnej rodziło się w tych obozach 750 niemowląt miesięcznie. W tejże strefie prawie jedna trzecia Żydówek w przedziale wiekowym 18–45 lat albo już urodziła, albo była w ciąży[26]. Byłe obozy koncentracyjne, w tym Bergen-Belsen, gdzie tyle tysięcy ludzi zmarło w straszliwych warunkach, stały się sceną gorączkowej aktywności seksualnej; zupełnie jakby ocaleli więźniowie musieli koniecznie dowieść sobie i całemu światu, że nie tylko wciąż żyją, lecz także są zdolni płodzić nowe życie.

Zaszokowani tym pracownicy organizacji humanitarnych mówili że dipisi, wśród których było wielu Żydów, „bez żadnych zahamowań oddawali się rozpuście". Niektórzy przypisywali to nudzie; w obozach oprócz picia i uprawiania seksu nie było nic do roboty. Inni moralizowali. Francuski lekarz pracujący dla organizacji dobroczynnej pisał z wyraźnym potępieniem: „Poziom moralny wielu z tych, którzy ocaleli z obozów

koncentracyjnych, jest bardzo niski […] rozpasanie seksualne osiąga przerażające rozmiary". Jednakże nawet on nie zaprzeczał istnieniu pewnych okoliczności łagodzących. Trudno było winić młode kobiety, które przeszły przez piekło, że „zdjęte niepohamowanym pragnieniem czułości i zapomnienia, próbują je zaspokoić za pomocą wszelkich dostępnych im środków"[27].

Przemyślenia innych obserwatorów są bardziej złożone. Polka Marta Korwin, pracownica organizacji charytatywnej, była zdania, że więźniowie obozów koncentracyjnych wyobrażali sobie, iż wraz z końcem katuszy nastanie świat idealny: „Wszystkie przeszłe trudy zostaną zapomniane, wolność przeniesie ich z powrotem do świata, w którym wszystko będzie tak dobrze jak kiedyś". Zamiast tego znaleźli się w obozach dla dipisów, egzystowali w ciężkich warunkach, stracili bliskich, stracili nadzieję. Alkohol lub seks stanowiły jedyną ucieczkę od nędzy życia[28].

Wszystkie te wyjaśnienia są całkowicie prawdopodobne. Nie należy jednak zapominać o aspekcie biologicznym. Podczas ciężkiego kryzysu ludzie chcą się rozmnażać, aby przetrwać. Żydzi siedzący w obozach dla dipisów w większości nie przeszli przez obozy koncentracyjne – te przetrwali tylko nieliczni – lecz przyjechali ze Związku Radzieckiego, dokąd uciekli przed hitlerowcami[29]. Niemniej jednak prawie każdy Żyd stracił kogoś bliskiego: dzieci, rodziców, rodzeństwo, krewnych. Starsi nie mieli innego wyboru, jak tylko żyć wspomnieniami. Młodzi pragnęli zawierać nowe związki, by mieć dla kogo żyć. Oprócz tego syjoniści i inne organizacje żydowskie nawoływały do biologicznego odrodzenia narodu. Śluby zawierano po paru tygodniach, a nawet paru dniach znajomości. W obozach dla dipisów narodowości żydowskiej używanie środków antykoncepcyjnych było ostro potępiane. Ludzie czuli się w obowiązku spłodzić tyle potomstwa, ile tylko się dało. Seks nie był wyłącznie przyjemnością – był także aktem oporu wobec Zagłady.

***

Bycie Niemcem czy Japończykiem w roku 1945 oznaczało oczywiście całkiem inny bagaż doświadczeń niż bycie Francuzem, Holendrem czy Chińczykiem, o Żydach już nie wspominając. Dotyczy to także spotkań z żołnierzami zwycięskich armii. Amerykanie – *amis* w niemieckim slangu lub *ameko* w japońskim – a także Kanadyjczycy, Australijczycy, Brytyjczycy i Rosjanie przyszli do nich nie jako wyzwoliciele, lecz jako zdobywcy. Podobnie czuli się Włosi, zwłaszcza na południu kraju, gdzie wkroczenie aliantów pogorszyło już i tak trudne warunki życia. Zbombardowane miasta leżały w gruzach, sytuacja gospodarcza była katastrofalna. Kobiety prostytuowały się z konieczności.

W Berlinie kobiety wędrujące po gruzowiskach i oddające się żołnierzom za parę groszy, coś do jedzenia lub kilka papierosów nazywano *Ruinenmäuschen*, „myszami z ruin”. Najmłodsze, często ledwo dojrzałe dziewczęta pracowały w improwizowanych *Trümmerbordellen*, „burdelach na gruzach”, prowadzonych przez czarnorynkowych handlarzy. Chłopcy sprzedawali się amerykańskim żołnierzom w specjalnych przybytkach. Jeden z ich klientów, znany jako Tante Anna (Ciocia Anna), był słynną figurą frankfurckiego półświatka.

Aby przeżyć, często należało zapomnieć o różnicach klasowych. W znakomitej relacji pod tytułem *Neapol ’44* Norman Lewis opisuje, jak to jako młody oficer stacjonował w Neapolu. Pewnego dnia w jego kwaterze złożył wizytę włoski arystokrata, właściciel wspaniałego *palazzo* na południu, oraz jego siostra.

> Z wyglądu niezwykle do siebie podobni: chudzi, o bardzo bladej skórze i chłodnym, niemal surowym wielkopańskim spojrzeniu. Wizyta miała na celu zasięgnięcie informacji, czy moglibyśmy siostrze księcia wystarać się o zatrudnienie w wojskowym burdelu. Wyjaśniliśmy, że w armii brytyjskiej taka instytucja nie istnieje. „Szkoda” – stwierdził książę. Oboje mówili doskonałą angielszczyzną, ponieważ za młodu uczyła ich angielska guwernantka. „Cóż, Luizo, jak się nie da, to się nie da”. Podziękowali nam z chłodną uprzejmością i poszli[30].

W Japonii prostytucja była zinstytucjonalizowana od samego początku. Nie bez powodu. Tamtejsze władze ogromnie się obawiały, że alianci

postąpią z Japończykami tak samo, jak żołnierze cesarscy postępowali z Chińczykami i innymi Azjatami. Podczas rzezi Nankinu w 1937 roku i zniszczenia Manili po ostatniej rozpaczliwej bitwie w 1945 roku Japończycy zgwałcili i okaleczyli dziesiątki tysięcy kobiet; jeśli przeżyły, zwykle je zabijali. To dwa szczególnie drastyczne, ale bynajmniej nie jedyne przypadki. Masowe gwałty na Chinkach dokonywane przez żołnierzy cesarza Japonii zaczęły stanowić problem dla wojska, gdyż prowokowały bardziej zacięty opór ze strony Chińczyków. Aby temu zaradzić, w Korei i innych krajach znajdujących się pod okupacją japońską rozpoczął się nabór tak zwanych pocieszycielek. W rzeczywistości większość tych dziewcząt została porwana, by służyć jako niewolnice seksualne w japońskich burdelach wojskowych.

Rządowa i wojskowa propaganda straszyła obywateli Japonii ciągłymi ostrzeżeniami, że w razie porażki Japonki będą gwałcone, torturowane i zabijane przez cudzoziemskich żołnierzy. Aby ustrzec je przed tym okrutnym i hańbiącym losem, Japończykom kazano walczyć aż do śmierci lub popełnić samobójstwo. Na wyspach Pacyfiku i na Okinawie kobiety i dzieci otrzymały rozkaz, by wysadzić się w powietrze granatami lub skoczyć z urwiska do morza. Wiele usłuchało.

Nic zatem dziwnego, że 18 sierpnia, trzy dni po kapitulacji Japonii, ministerstwo spraw wewnętrznych wydało lokalnym organom policji rozkaz zorganizowania „przybytków pociechy” dla zwycięskich aliantów. Kobiety z niższych klas werbowano do Stowarzyszenia Rozrywki i Rekreacji (RAA), by spełniły patriotyczny obowiązek „złożenia swych ciał w ofierze”. Były premier, książę Konoe Fumimaro, na którym spoczywa znaczna część odpowiedzialności za wywołanie wojny na Pacyfiku, poprosił naczelnego komisarza policji o „obronę naszych młodych kobiet”[31]. Chodziło o to, by tym sposobem udobruchać zdobywców i by szanujące się Japonki mogły opuścić kryjówki i chodzić po ulicach przez nikogo niezaczepiane.

To musiało być obrzydliwe. Ośrodki Rozrywki i Rekreacji urządzono w takim pośpiechu, że nie wystarczyło łóżek dla żołnierzy i ich pocieszycielek. Kopulowano gdzie tylko się dało, głównie na podłodze oraz

w korytarzach i salach tymczasowych burdeli. Kilka miesięcy później japońskie władze zorganizowały tę obsługę bardziej efektywnie. W Funabashi pod Tokio zbudowano wielki, długi, podobny do hangaru dom rozpusty o nazwie Pałac Międzynarodowy. Kopulacja odbywała się tu taśmowo; proces ten nazywano *willow run* od fabryki bombowców zbudowanej przez Forda w miejscowości Willow Run pod Detroit. Żołnierze zdejmowali buty przy wejściu do budynku i odbierali je, wyczyszczone do połysku, przy wyjściu.

Kwatery wojskowe, takie jak hotel Nomura w Tokio, roiły się od kobiet podających się za urzędniczki lub sprzątaczki, które zazwyczaj zostawały tam na noc. Zimą wiele z nich przyprowadzało swoje rodziny. Szyld wielkiego klubu tanecznego w centrum Tokio głosił po japońsku: „Młode patriotki! Służąc jako fordanserki, pomagacie w odbudowie kraju!”[32]. Prezerwatywy były dostępne w wojskowych sklepach PX, gdzie żołnierze sił okupacyjnych kupowali artykuły żywnościowe, ubrania i inne niezbędne produkty.

W Japonii, inaczej niż w Niemczech, nie obowiązywał surowy zakaz „fraternizowania się z miejscowym personelem”. Generał Douglas MacArthur, głównodowodzący sojuszniczych wojsk okupacyjnych w Japonii, uważał ten zakaz za absurd. Jednemu ze swoich adiutantów powiedział: „Chcą, żebym ukrócił wizyty u tutejszych *mesdames* Butterfly. Nie zamierzam tego robić. […] Nie wydam zakazu bratania się z miejscowymi, choćby mi za to dawali całą herbatę Chin”[33].

Na początku okupacji w Japonii stacjonowało około 600 tysięcy Amerykanów, a oprócz tego Australijczycy, Brytyjczycy oraz niewielka grupa żołnierzy innych narodowości. Było się komu fraternizować. Oficer marynarki amerykańskiej William Theodore de Bary, później znany sinolog i japonista, opisywał sytuację w Sasebo, dużej bazie marynarki na wyspie Kiusiu, w październiku 1945 roku:

> Już same kontakty z miejscowymi stanowiły problem. Żandarmeria wydała zakaz zatrzymywania się na dużym moście przy kwaterze głównej, bo zbierało się tam tylu marines rozmawiających ochoczo, choć niekiedy tylko na migi, z przyjaznymi,

roześmianymi Japończykami, że nie dawało się przejść. Od samego początku tak było[34].

I to pomimo propagandy, która w Stanach potrafiła być niesłychanie rasistowska. „Saturday Evening Post” w artykule na temat okupacji Japonii pisał: „Przeciętna Japonka ma płaskie piersi, nos jak kartofel i płaskie stopy, i dla większości Amerykanów jest równie pociągająca jak kamienny bożek sprzed tysiąca lat. Nawet mniej. Bożkom fajnie jest robić zdjęcia”[35].

Bądźmy miłosierni i załóżmy, że autor tego artykułu nie miał pojęcia, o czym mówi. Większość wyższych rangą oficerów sztabu sojuszniczych wojsk okupacyjnych jeszcze w 1945 roku sprawiła sobie japońskie utrzymanki. Nic dziwnego, skoro z początku w Japonii prawie nie było białych kobiet. Sytuacja zmieniła się nieco po przyjeździe kolejnej grupy oficerów, którzy często nie uczestniczyli w żadnych walkach i mieli skłonność do nietolerancji. Postanowili oni zaostrzyć dyscyplinę (było to w tym samym czasie, kiedy w Niemczech już stopniowo znoszono ograniczenia). W tym celu wprowadzono zakaz przebywania żołnierzy w większości miejsc publicznych: w miejscowych restauracjach, łaźniach przy gorących źródłach, kinach i hotelach wojskowych.

W rezultacie związki z miejscowymi kobietami utrzymywano nadal, tylko nieco dyskretniej, i coraz częściej z niezarejestrowanymi prostytutkami. Natychmiast wzrosła zapadalność na choroby weneryczne. Prostytutki miały swoje rewiry, tak zwane wyspy, na gruzach ulic i w parkach miejskich. Niektóre sprzedawały się już za dolara; na czarnym rynku tyle mniej więcej kosztowało pół paczki papierosów. Interes kwitł, zwłaszcza od roku 1946, kiedy to administracja wojsk Sprzymierzonych postanowiła zlekceważyć rady Japończyków i kategorycznie zakazać prostytucji zorganizowanej.

Japończycy lubią mieć wszystko ładnie poszufladkowane. Nielegalne prostytutki, czyli *panpan*, dzieliły się na specjalistki w obsłudze białych zagranicznych żołnierzy, czarnych zagranicznych żołnierzy lub wyłącznie Japończyków, chociaż te bardziej przedsiębiorcze nie prowadziły tak zdecydowanej selekcji klientów. Niektórym, tak zwanym *onrii* (od słów

only one, jedyna), udawało się zdobyć opiekuna, który stawał się ich wyłącznym klientem. *Panpan*, które były bardziej rozwiązłe od innych, nazywano *batafurais* (*butterflies*, motyle). Niektóre zakątki śródmieścia Tokio, na przykład park Hibiya naprzeciwko kwatery głównej generała MacArthura lub pobliska stacja Yurakucho, były ulubionymi terenami łowieckimi *panpan*[36].

Japończycy gardzili mocno umalowanymi, noszącymi wysokie obcasy *panpan* jako żywym symbolem poniżenia narodu, ale jednocześnie byli nimi zafascynowani – i zazdrościli im. *Panpan* znajdowały się zwykle w lepszej sytuacji materialnej niż bezdomni, głodni i zubożali obywatele Japonii. Te pracujące dziewczyny były najwcześniejszymi i najbardziej ochoczymi konsumentkami sprowadzanych z Ameryki dóbr, a także lepiej niż gros rodaków orientowały się w popkulturze zwycięzców. W żargonie *panpan* miejscowy slang mieszał się z prymitywną żołnierską angielszczyzną, łamaną wprawdzie, ale zrozumiałą, więc dziewczęta porozumiewały się z okupantami swobodniej niż zdecydowana większość Japończyków.

Panpan do pewnego stopnia wpasowywały się w nonszalancką japońską tradycję łączącą ordynarność i blichtr. W czasach gdy Tokio nazywało się jeszcze Edo, kurtyzany były symbolami mody, uwiecznianymi na drzeworytach i wychwalanymi w teatrze kabuki. W początkach alianckiej okupacji kultura kojarzona z *panpan* była o wiele mniej wyrafinowana. Klęska militarna oraz brak wojennej cenzury i militarystycznej edukacji sprawiły, że odrodziła się kultura płatnej miłości o mocnych korzeniach historycznych, a jednocześnie o silnym zabarwieniu amerykańskim. Mnożyły się sprośne czasopisma o takich tytułach jak „Lovely”, „Venus”, „Sex Bizarre” czy „Pin-Up”. W starych dzielnicach rozrywki kluby ze striptizem mieściły się w barakach wciśniętych między leje po bombach. W tancbudach alfonsi, królowie czarnego rynku i młodzi gangsterzy w hawajskich koszulach tańczyli mambo ze swoimi przyjaciółkami. Przestał obowiązywać wieloletni zakaz wykonywania dekadenckiej zagranicznej muzyki; japońskie orkiestry znowu grały swinga, pojawili się wokaliści jazzowi. Wszyscy oszaleli na punkcie boogie-woogie.

Wiele kobiet prostytuowało się z konieczności. Ale nie wszystkie. Przeprowadzone wówczas badania wykazały, że całkiem sporo zostało *panpan* „z ciekawości”[37]. Właśnie z tego powodu, a wcale nie dlatego, że uprawiały seks dla pieniędzy, *panpan* tak ostro potępiano. „Złożenie swego ciała w ofierze” z patriotycznego obowiązku lub by wykarmić głodującą na wsi rodzinę było do przyjęcia, może nawet godne pochwały. Zrobić to samo z ciekawości, dla pieniędzy albo za papierosy czy parę jedwabnych pończoch to była hańba. Prostytucja zorganizowana miała długą tradycję i tolerowano ją. Ale obrotność *panpan* spotykała się z naganą. Te kobiety były po prostu zbyt niezależne.

Kultura płatnej miłości w roku 1945 z reguły była tandetna i naznaczona desperacją, lecz podobnie jak nowe tańce: mambo i boogie-woogie, niosła swego rodzaju wyzwolenie, przez jednych witane z radością, przez innych ze wstrętem. Około 90 tysięcy niemowląt urodzonych przez niezamężne matki w roku 1946 nie wzięło się jedynie z płatnej miłości[38]. Japonki, długo karmione przez propagandę obrazami barbarzyńskich gwałcicieli i morderców, odczuły ogromną ulgę, gdy okazało się, że Amerykanie wcale nie są tacy groźni. Korespondentka „Fujin Gaho”, bardzo szacownego i przyzwoitego czasopisma dla kobiet, pisała: „Stwierdziłam, że są uprzejmi, przyjaźni, beztroscy i w pełni odprężeni. Cóż za ostry i szokujący kontrast z wyniosłymi, nikczemnymi i grubiańskimi japońskimi żołnierzami, którzy kiedyś mieszkali w koszarach niedaleko mojego domu”[39].

To nie oznacza, że żołnierze sił Sprzymierzonych nigdy nie zachowywali się w sposób podły czy uwłaczający, zwłaszcza na początku okupacji. Według niektórych obliczeń w drugiej połowie 1945 roku gwałcone było czterdzieści kobiet dziennie, a prawdopodobnie więcej, gdyż często kobieta ze wstydu nie zgłaszała gwałtu[40]. Takie dane oczywiście nie miały prawa pojawić się w ocenzurowanej okupacyjnej prasie. Nawet w tej sytuacji jednak Japończycy w większości uważali, że Amerykanie są o wiele bardziej zdyscyplinowani, niż się obawiano; zwłaszcza w porównaniu z zachowaniem japońskich żołnierzy w podbitych krajach.

Dziwna rzecz, ale zmiana obyczajów seksualnych pasowała do wysiłków amerykańskiej propagandy, by „reedukować” Japończyków. Aby zapanowała demokracja, pouczali Amerykanie, japońskie kobiety muszą być w większym stopniu traktowane jako równe mężczyznom. Zapewne *panpan* nie były dokładnie tym, co mieli na myśli autorzy propagandy; niemniej jednak Japończyków zachęcano do okazywania uczuć bardziej otwarcie, na modłę amerykańską. W 1946 roku japońscy widzowie ujrzeli pierwszy pocałunek na srebrnym ekranie. Scenę umieszczono w filmie *Hatachi no seishun* (Dwudziestolatek) po wielu zachętach ze strony Amerykanów, którzy uważali, że przyda się to Japończykom w celach szkoleniowych. Film okazał się hitem, zwłaszcza wśród młodzieży.

Od ulicznic podrywających żołnierzy w parku Hibiya do pierwszego filmowego pocałunku daleka droga, ale ten wyraźny głód erotycznej rozrywki i przesyconej namiętnością muzyki popularnej sugeruje, że przepaść między narodami wyzwolonymi a narodami podbitymi nie była aż tak głęboka, jak mogłoby się wydawać. Także na Japończyków poczucie swobody spłynęło wraz z dźwiękami *In the Mood* Glenna Millera.

W zachodniej strefie Niemiec działo się podobnie. W radzieckiej strefie okupacyjnej rzeczy miały się zupełnie inaczej, przynajmniej jeśli chodzi o seks. Na Zachodzie stosunki miejscowych z żołnierzami zwycięskich armii definiuje termin „fraternizacja”. Gwałty były jednym z nieszczęść, jakie spotkały tych, którzy mieli pecha zostać pokonani przez Armię Czerwoną. Oczywiście w strefach państw zachodnich także zdarzały się przypadki gwałtu, szczególnie pod okupacją francuską. Na przykład w Stuttgarcie żołnierze francuscy, zwłaszcza ci wywodzący się z Algierii, zgwałcili podobno około 3 tysięcy kobiet[41]. W strefie amerykańskiej, która była znacznie większa od pozostałych, w całym 1945 roku zarejestrowano nie więcej niż 1,5 tysiąca gwałtów dokonanych przez amerykańskich żołnierzy[42].

Przyczyn, dla których w zachodniej strefie okupacyjnej było mniej gwałtów niż w radzieckiej, jest kilka. Alianci, być może z wyjątkiem Francuzów, byli mniej mściwi od Rosjan. Oprócz tego ich dowódcy nie zachęcali podwładnych, mówiąc, że w kontaktach z Niemkami nie

obowiązują żadne hamulce (podczas gdy Stalin stwierdził, że żołnierze, którzy przeszli tysiące kilometrów pod ogniem i brodząc we krwi, mają prawo „pozabawiać się z kobietami"). Co więcej, Niemki z własnej woli tak chętnie fraternizowały się z alianckimi żołnierzami, że nie trzeba było ich gwałcić. Latem 1945 roku między amerykańskimi żołnierzami krążyło powiedzonko, że łatwiejszych kobiet niż Niemki nie znajdziesz, „no chyba że na Tahiti"[43].

To bez wątpienia przesada. Opinię taką rozpowszechniali nie tylko uradowani żołnierze, ale także Niemcy, rozwścieczeni działaniami, które uważali za dodatkową obelgę dla ich i tak już głęboko zranionej dumy narodowej. Ale wojskowi dalej twierdzili, że Niemki – o których mówiono „frojlajny", „furliny" lub „fratkernazistki" – oddają im się chętniej niż Francuzki. Pewien żołnierz zaraz po powrocie do Stanów przedstawił dość brutalną, ale chyba niezupełnie odbiegającą od prawdy analizę tego zjawiska: „Ryzykując, że przez to wyjdzie szydło z worka, trzeba przyznać, że wszystkim, czego nasz żołnierz pragnie w Europie, jest «fajny układ»", co oznacza między innymi „możliwość zadawania się z kobietami tak często, jak tylko się da". I dalej: „Najfajniejszy układ nasz żołnierz znajduje oczywiście w Niemczech. We Francji układ jest inny. Tam nie liże mu butów z takim zapałem jak w Niemczech. Francja to już nie ta zabaweczka, o której opowiadali mu jego tatuś oraz chłopcy, którzy wyzwalali ją w czterdziestym czwartym"[44].

No i oczywiście w Niemczech proporcja kobiet do mężczyzn wynosiła mniej więcej szesnaście do dziesięciu, a w dodatku mężczyźni ci byli często starzy, niedołężni lub godni pogardy. W wybitnym filmie Roberto Rosselliniego *Niemcy – rok zerowy*, który kręcono w ruinach Berlina, młody Niemiec ujmuje to tak: „Kiedyś byliśmy mężczyznami, narodowymi socjalistami, teraz jesteśmy tylko nazistami".

W swoim zbeletryzowanym pamiętniku ze świeżo wyzwolonej Francji Benoîte Groult nie może się powstrzymać, by nie porównywać „urodziwych Amerykanów" z Francuzami, którzy „w moich oczach są wszyscy pokrzywieni, śniadzi i niedożywieni"[45]. Niemcy i Japończycy byli rzecz jasna w gorszym stanie psychicznym. Carl Zuckmayer, niemiecki

dramaturg i scenarzysta (m.in. filmu *Błękitny anioł*), który wrócił do ojczyzny w 1946 roku jako attaché kulturalny ambasady Stanów Zjednoczonych, przeprowadził wywiad z Niemką, która pracowała jako kelnerka. Stwierdziła ona, że Niemca palcem by nie dotknęła, ponieważ „Niemcy są za miękcy, już w ogóle nie męscy. Dawniej za bardzo się popisywali”[46]. Wydaje się, że ta reakcja była typowa.

Relację o męskim upokorzeniu, która najsilniej do mnie przemówiła, zawiera doskonała nowela *Amerika Hijiki* (Amerykańskie hijiki, 1967) japońskiego pisarza Akiyukiego Nosaki. W 1945 roku był on nastolatkiem i włóczył się po czarnych rynkach w Osace. Jest to opowieść o pojęciu męskości i rasy. Jej bohater, Japończyk w wieku pisarza, podczas wojny chodził do szkoły i dowiedział się, że mężczyźni z Zachodu są wyżsi od Japończyków, ale słabsi, zwłaszcza w lędźwiach, ponieważ mają zwyczaj siedzieć na krzesłach, a nie na matach tatami. Mały, twardy Japończyk o muskularnych udach zawsze pokona takiego mięczaka. Chłopcom często przypominano, jak idiotycznie wyglądały w szortach patykowate nogi brytyjskiego generała Percivala, kiedy „Tygrys Malajów”, barczysty i krępy generał Yamashita, przyjmował od niego kapitulację Singapuru.

Potem jednak nastoletni Japończyk po raz pierwszy widzi prawdziwego, żywego Amerykanina. Niezapomniany to widok: mężczyzna „o ramionach jak bierwiona, talii jak moździerz […] męskość jego pośladków obleczona w błyszczące mundurowe spodnie. […] Ach, nic dziwnego, że Japonia przegrała wojnę”[47]. Oczywiście nie każdy aliancki żołnierz był równie wysoki i krzepki, a i wielu Japończyków też nie było ułomkami. Ale ta konstatacja, to pierwsze wrażenie wygłodzonego nastolatka przetrwało jako melancholijne wspomnienie wojny, którą w Japonii przedstawiano jako konflikt rasowy, starcie szlachetnego azjatyckiego wojownika z butnym białym człowiekiem. Z tego powodu pierwsze konfrontacje zwycięzców z pokonanymi okazywały się większym wstrząsem dla Japończyków niż dla Niemców.

Z początku władze zachodnie w Niemczech (radzieckie nie) starały się narzucić zasadę całkowitego braku fraternizacji. „Ładne dziewczęta sabotują zwycięstwo Sprzymierzonych” – ostrzegała American Forces

Network, oficjalna stacja radiowa armii. „Mądry to żołnierz, co się nie brata” – wtórowała gazeta wojskowa „Stars and Stripes”, dodając: „Nie bądź Samsonem, nie chodź z Dalilą, co włosy ci utnie wraz z szyją”[48]. Londyński „Times” konstatował, że zniesienie zakazu fraternizacji „na pewno zasmuciłoby wiele czekających w ojczyźnie kobiet”[49]. Ale to wszystko nie przekonywało mężczyzn stacjonujących w pokonanych Niemczech. Nazwa „kochanka armia”, jaką często określano wojska aliantów na Zachodzie, to aluzja do niezliczonych Niemek znajdujących kochanków wśród amerykańskich oficerów (o wiele częściej niż brytyjskich; wydaje się, że Brytyjczycy woleli oddawać się pijaństwu). To budziło zazdrość niższych rang; ich gorycz znajdowała ujście w złośliwych uwagach typu: „Cała ta zasada jest po to, żeby zarezerwować oficerom pierwsze miejsce w kolejce do ładnych babek”[50].

Generał George Patton, podobnie jak generał MacArthur, uważał zakaz fraternizacji za bezsensowny. Czemu doskonale odżywiony Amerykanin nie miałby dać cukierka głodnemu dziecku? Czy naprawdę wszyscy Niemcy byli nazistami? (Trzeba tu wspomnieć, że Patton ze znacznie większą tolerancją odnosił się do Niemców, nawet nazistów, niż do komunistów, mimo że byli sprzymierzeńcami, i do Żydów). Nawet „New York Times”, rzadko przecież idący w awangardzie opinii publicznej, krytykował to, co działo się w strefach okupacyjnych. W czerwcu lokalny korespondent gazety donosił, że „jeszcze nie spotkał żołnierza, nieważne, czy rodem z Londynu, znad Missisipi czy z pszenicznych pól Alberty, który popierałby dalsze istnienie tego zakazu”. Ten sam reporter opisywał, jak absurdalne środki podejmowano, by go jak najściślej przestrzegać: w pewnej wiosce w amerykańskiej strefie okupacyjnej specjalny oddział kontrwywiadu został oddelegowany do nadzorowania strażnika, który obserwował żandarma wojskowego, który uprzednio „flirtował z Niemką”[51].

8 czerwca generał Eisenhower zniósł zakaz kontaktów z dziećmi. Od tego dnia amerykańscy i brytyjscy żołnierze witali dziewczęta słowami: „Dzień dobry, dziecko!”. W sierpniu żołnierzom pozwolono odzywać się do dorosłych, a nawet trzymać dorosłą kobietę za rękę – pod warunkiem że

rzecz się dzieje w bezpiecznym miejscu, pod gołym niebem, nie w budynku. Wreszcie 1 października Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec, organ sprawujący władzę zwierzchnią na okupowanym terytorium, całkowicie zniosła zakaz fraternizacji. Na decyzję tę wpłynęło wkroczenie Amerykanów i Brytyjczyków do Berlina, gdzie Rosjanie zadawali się z miejscowymi bez żadnych ograniczeń. Tej różnicy zachodni żołnierze nie byli w stanie tolerować. W pewnym sensie zatem zgoda na fraternizację z Niemcami stała się jednym z najwcześniejszych skutków rywalizacji między mocarstwami. Zakaz zniesiono jednak warunkowo: małżeństwo z Niemką było wciąż zabronione, podobnie jak wprowadzanie ludności miejscowej do żołnierskich kwater. Z czasem także ten zakaz okazał się martwą literą i dziesiątki tysięcy Niemek wyjechało ze świeżo poślubionymi mężami na spotkanie obiecanego lepszego życia w Stanach Zjednoczonych.

W Niemczech istniała miejscowa wersja *panpan*. Wśród nich zdesperowane *Ruinenmäuschen*, „myszy z ruin”, zajmowały najniższy szczebel. Jednakże w żadnym z okupowanych krajów rozgraniczenia między uczuciem, pożądaniem i prostytucją nie były zupełnie jasne. Stosunki seksualne z cudzoziemskimi żołnierzami nie były kwestią bezproblemową nawet w radzieckiej strefie Berlina, gdzie niewiele kobiet, także tych najmłodszych i najstarszych, uniknęło napaści i gdzie gwałty były na porządku dziennym nawet wiele miesięcy po zakończeniu wojny. Najlepsza i najbardziej wstrząsająca relacja stamtąd to *Kobieta w Berlinie*, zapiski trzydziestoparoletniej dziennikarki, która oddała się pod opiekę rosyjskiemu oficerowi i w ten sposób zdołała uniknąć zgwałcenia przez grupę żołnierzy. Łagodny porucznik Anatol został jej stałym kochankiem. O innym ze swych kochanków napisała: „Prawdopodobnie bardziej szuka ludzkiego, kobiecego ciepła niż samego seksu. Więc mu je daję, dobrowolnie, chętnie”[52].

W zachodniej strefie okupacyjnej do kobiet, które przyjmowały podarunki od swoich amerykańskich chłopców – a robiła to większość – szybko przywierała etykietka dziwek. Inaczej byłoby, gdyby przyjmowały podarunki od Niemców. Dostęp do towarów ze sklepów PX bywał

oczywiście kwestią życia i śmierci. Zimą nawet klub nocny, kiedy jest dobrze ogrzewany, to miła odmiana od dzielonych z obcymi ludźmi lodowatych pokoi w na wpół zburzonych budynkach. Ale dla kobiet, a także licznych młodych mężczyzn, te papierosy, czekoladki i jedwabne pończochy, dźwięki swinga i wyluzowany sposób bycia amerykańskich żołnierzy oznaczały kulturę, tym bardziej wytęsknioną, że w Trzeciej Rzeszy surowo zabronioną. Ludzie łaknęli atrybutów Nowego Świata, nawet tych najbardziej wulgarnych, gdyż Stary Świat upadł, zhańbiony nie tylko fizycznie, lecz także kulturalnie, intelektualnie i duchowo. Jeśli sądzono tak nawet w krajach wyzwolonych, na przykład we Francji i Holandii, to w krajach okupowanych, Niemczech i Japonii, poczucie to musiało być jeszcze silniejsze. I to właśnie w tych krajach powojenna amerykanizacja kultury, która rozpoczęła się od żołnierskiego fraternizowania się z miejscową ludnością, poszła najdalej.

Co najmniej jedna kobieta jasno dostrzegała prawdę: że to wszystko to tylko sen, który musi skończyć się rozczarowaniem, chociaż zostawi niezatarte ślady. Benoîte Groult, po raz ostatni odpowiedziawszy odmownie na oświadczyny swego kochanka Kurta, zdecydowała się skończyć z „polowaniem na Amerykanów”. Teraz „stara Europa została sama. Czuję się jak Europa, bardzo stara i zdesperowana. Dzisiejszego wieczoru pożegnałam się z całą Ameryką. Pożegnałam się też z wami, Stevie, Donie, Teksie, Wolfie, Ianie, którzy wkroczyliście w moje życie z dodającym otuchy uśmiechem, zamykam drzwi […]. Już mnie nie bawi wygłupianie się z wami, przybysze z Dalekiego Zachodu: przyjechaliście ze zbyt daleka, i tam powrócicie. Wyzwoliliście mnie. Teraz do mnie należy ukształtowanie mojej wolności na nowo”.

***

Ponad dwa miesiące po kapitulacji Japonii, 9 października, pisarz Kafu Nagai, autor nostalgicznych powieści osadzonych w realiach tokijskiego półświatka, zapisał w swoim dzienniku: „Jadłem kolację w hotelu Sanno. Obserwowałem siedmiu czy ośmiu młodych Amerykanów o wyglądzie

oficerów. Wydawali się posiadać nieco ogłady. Widziałem, jak po kolacji usiedli przy barze i ćwiczyli swój japoński na młodych kobietach z obsługi. W porównaniu z żołnierzami japońskimi zachowywali się wyjątkowo spokojnie”[53].

Miesiąc wcześniej Nagai notował, że gazety donoszą, iż amerykańscy żołnierze bezwstydnie figlują z Japonkami. No cóż, dodał, „jeśli to prawda, jest to zapłata za wybryki japońskich żołnierzy w okupowanych Chinach”[54].

Nagai był ekscentrykiem o wyrafinowanym umyśle, frankofilem, który nie wahał się wyrażać poglądów odmiennych od opinii ogółu. Jego punkt widzenia istotnie nie jest typowy. Z reguły nawet w kręgach uczonych i intelektualistów zdecydowanie potępiano fraternizowanie się Amerykanów z Japonkami. Nieco młodszy od niego pisarz Jun Takami – który miał stosunkowo liberalne poglądy i wstydził się, że popierał, choć niezbyt zdecydowanie, agresywny nacjonalizm władz – opisał w swoim dzienniku scenę, której był świadkiem pewnego październikowego wieczoru na tokijskim dworcu głównym. Hałaśliwi amerykańscy żołnierze flirtowali z dwiema Japonkami, pracownicami obsługi, próbując je namówić, żeby przy nich usiadły. Dziewczęta chichotały i widać było, że mają ochotę spełnić prośbę. Takami napisał: „Wyglądały tak, jakby bycie obiektem tego rodzaju umizgów sprawiało im niewysłowioną przyjemność. Nadeszła jeszcze jedna dyżurna. Całą postawą dawała znać, że też by chciała, żeby się z nią droczyli. Cóż za nieopisanie zawstydzający widok!”[55].

Zarówno sama ta scena, jak i reakcja na nią musiały być dość typowe. Ale co właściwie Takami uważa za zawstydzające – sam flirt czy raczej fakt, że japońskie dziewczęta flirtują z cudzoziemcami? A może sam, jak mężczyzna – Japończyk, odczuwa wstyd? Niekiedy dezaprobatę dla tego rodzaju fraternizacji wyrażano o wiele bardziej gwałtownie. Młode Japonki zatrudnione w rozmaitych instytucjach armii amerykańskiej na wyspie Hokkaido skarżyły się na napaści ze strony Japończyków. Mężczyźni bili je, bo pracowały dla obcego wojska. Incydenty się powtarzały, aż wreszcie

pracownice zaczęto rozwozić do domów ciężarówkami pod uzbrojoną eskortą.

Oburzenie mężczyzn było na pewno w znacznym stopniu podszyte zazdrością: pokonani zazdrościli zwycięzcom, żołnierze amerykańscy – rosyjskim (zanim zlikwidowano zakaz fraternizacji), szeregowcy – oficerom i tak dalej. W *Amerika Hijiki* Akiyuki Nosaka opisuje, jak długo mogła się utrzymywać taka awersja. Główny bohater dorasta i zakłada rodzinę. Podczas wakacji na Hawajach jego żona zawiera znajomość z małżeństwem Higginsów, Amerykanami w średnim wieku. Przyjeżdżają oni z wizytą do Japonii, skąd pan Higgins, który niegdyś służył w armii okupacyjnej, ma miłe wspomnienia. Nasz bohater, zmuszony przez żonę do pełnienia obowiązków gościnnego gospodarza, w ramach zapewniania gościom rozrywek decyduje się zabrać pana Higginsa do tokijskiego klubu nocnego na spektakl erotyczny na żywo. Jeden z wykonawców, znany jako „Pierwszy Numer" w kraju, zapowiada, że oto pokaże widzom, co potrafi krzepka japońska męskość. Niestety, tego wieczoru „Pierwszy Numer" nie staje na wysokości zadania! Nieszczęsny bohater, czując wstyd, jakby to on sam zawiódł, przypomina sobie pierwszego Amerykanina, którego napotkał w ruinach Osaki – te ramiona podobne bierwionom, te twarde pośladki obleczone w błyszczącą gabardynę.

Pan Higgins jest biały. Japońska propaganda wojenna przemilczała istnienie Murzynów, oprócz przypadków, gdy dla zdyskredytowania wroga przywoływała ich jako kolejny przykład amerykańskiego rasizmu. Ale okupacja przez wielorasowe wojsko wzbudziła uczucia bardziej niepokojące niż zwykła rywalizacja na tle seksualnym. W liście przechwyconym przez amerykańską cenzurę wojskową pewna Japonka wspomina krążące uparcie plotki, że „w Jokohamie dwadzieścia tysięcy kobiet utrzymuje intymne stosunki z żołnierzami alianckiej armii. Prefekturze zwrócono uwagę, że w Kansai należy oczekiwać narodzin trzynastu tysięcy dzieci półkrwi. Dreszcz przechodzi na myśl, że w Jokohamie już trzy tysiące Japonek wydało na świat czarne noworodki"[56]. Gniew i odrazę budzi tu nie niemoralne zachowanie kobiet ani nawet nie prostytucja, lecz zbrukanie czystości rasy.

W Niemczech panowały podobne uczucia, zwłaszcza pod koniec 1945 roku, kiedy zniesiono zakaz fraternizacji, a jednocześnie wielu młodych Niemców zaczęło wracać z obozów jenieckich do domów. Tak samo jak w Japonii, to właśnie młodzi weterani byli szczególnie wrażliwi na kwestię fraternizacji. Oto cytat z wydanej w Norymberdze ulotki potępiającej *Negerweibern*, „kobiety czarnuchów": „Wypacykowane i wystrojone w jaskrawe kolory, z pomalowanymi na czerwono pazurami, z oczkiem w pończosze i grubym chesterfieldem w dziobie, przechadzają się dumnie ze swymi czarnymi kawalerami"[57]. Dziewczęta, które fraternizowały się z czarnoskórymi żołnierzami, nazywano także *Chokoladeweibern*, „czekoladami", nawiązując tym zarówno do ich zachłanności, jak i do upodobania do Murzynów.

Nie jest z pewnością przypadkiem, że w tak wielu japońskich i niemieckich filmach poświęconych okresowi okupacji występuje scena gwałtu dokonywanego przez czarnoskórych amerykańskich żołnierzy na miejscowych kobietach – zupełnie jakby rasa gwałcicieli pogłębiała hańbę ofiar. Niemiecka ulotka ostrzega: „Wiedzcie już teraz, że będziemy golić wam głowy, czarna lista jest gotowa i czeka, aż czasy się zmienią"[58]. Niektóre kobiety kara spotkała od razu, jeszcze w 1945 roku. W Bayreuth pewną kobietę podpalono. W Würzburgu aresztowano trzech mężczyzn, którzy założyli grupę o nazwie „Czarne Pantery" i grozili, że zetną włosy „wszystkim niemieckim dziewczynom, które chodzą z kolorowymi żołnierzami"[59]. Pewien dwudziestolatek, były nazista, pisał o fraternizujących się kobietach: „Czyż Niemcy nie mają już ani krzty honoru? […] Można przegrać wojnę, można zostać upokorzonym, ale czy trzeba wobec tego kalać swą cześć własnymi rękami?"[60].

To nawiązanie do honoru jest równie znamienne jak sposób, w jaki Jun Takami używa słowa „wstyd". Honor kobiet kompletnie się tu nie liczy, nie wspominając już o ich prawie do samodzielnego decydowania, z kim się chcą zadawać. Chodzi o honor mężczyzn. To mężczyźni czują się poniżeni. Tak działo się we wszystkich społeczeństwach tradycyjnie zdominowanych przez mężczyzn. Powojenne warunki naruszyły stary porządek – kobiety

wydostały się spod męskiej kontroli. Być może na tym polegał ich największy grzech.

Jednym ze sposobów interpretacji tych resentymentów jest bezpośrednie łączenie ich z reakcyjnymi poglądami politycznymi, które Sprzymierzeni starali się wykorzenić – jeśli nie we własnych krajach, to przynajmniej w świeżo pokonanych państwach. Porucznik armii amerykańskiej nazwiskiem Julian Sebastian Bach, który później był redaktorem tygodnika „Life", napisał relację z okupacji Niemiec. Jego zdaniem „poziom aprobaty dla fraternizacji stanowi termometr wskazujący, do jakiego stopnia niemieccy mężczyźni zaakceptowali porażkę, opanowali dumę narodową i oczekują nowego, bardziej odpowiedniego stylu życia. Widok Niemki w asyście amerykańskiego zdobywcy ewidentnie rozwścieczy «niezreformowanego» Niemca bardziej niż Niemca, który jest chętny do współpracy z nami"[61].

Bardzo podobną opinię wyraził w swoim dzienniku Jun Takami. Zaledwie parę dni po tym, gdy uznał zachowanie rozchichotanych dyżurnych za przynoszące wstyd, zaobserwował kolejną dworcową scenę. Młoda Japonka wychyla się z okna wagonu i woła „bajbaj!" do swego amerykańskiego przyjaciela, kompletnie nie zauważając nienawistnych spojrzeń współpasażerów. Takami dostrzegł w tej sytuacji szczególny patos. W oczach postronnych, łącznie z nim samym, dziewczyna „ma wygląd pocieszycielki ze «specjalnego ośrodka rekreacji»". Ale dziewczyny, która w rzeczywistości wcale nie jest dziwką, ani trochę nie obchodzi ich opinia. Wręcz przeciwnie, wydaje się „dumna, że może zachowywać się szokująco z amerykańskim żołnierzem". Takami prorokował, że taki widok wkrótce będzie w Japonii codziennością. Co więcej, „nie będzie to wcale złe […] A najlepszy byłby zalew takich scen. Japończycy mieliby niezły trening. Z czasem wytworzą się wtedy bardziej naturalne, a wręcz piękne stosunki społeczne"[62].

To, co w ujęciu Takamiego wydaje mi się rozsądne, a nawet życzliwe, w ujęciu Juliana Bacha, porucznika amerykańskiej armii okupacyjnej, jest naiwne i partykularne. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy odczuwali zazdrość i resentymenty wobec fraternizujących się z okupantami rodaków

i rodaczek, nie byli bowiem bez wyjątku zatwardziałymi faszystami. Przegrani bez wątpienia najsilniej odczuwali upokorzenie. Uczucie to było jednak nieobce także wyzwolonym, nawet tym, którzy całkiem niedawno witali młodych aliantów kwiatami i widzieli w nich świętych.

Zaraz po wojnie w Holandii popularna była piosenka *Pilnuj się, dziewczyno*.

Dzielni chłopcy, dumni wojacy
Przybyli do nas z daleka
Wolność nam przynieśli
Więc należy im się uciecha

Ale niejedna holenderska panna
Szybko pozbyła się cnoty
Za paczkę papierosów
I tabliczkę czekolady […]

Wielu już drogo zapłaciło
Za to, że Hunów witali radośnie
Ty, dziewczyno, zdradziłaś swój kraj
Zupełnie tak samo […]

Żaden holenderski chłopiec
Nigdy na ciebie nie spojrzy
Skoro go zostawiłaś na mrozie

Zawiera ona wszystko: honor narodu, brak zasad moralnych, chciwość, wzgardę dla uczuć miejscowych chłopców. Najbardziej znamienna jest bezpośrednia paralela między dziewczynami, które utrzymywały stosunki z niemieckimi okupantami, a tymi, które oddawały się brytyjskim i amerykańskim wyzwolicielom. Implikacja jest jasna: liczy się kobieca niemoralność. Właśnie dlatego w Holandii niejednej dziewczynie, która przyjaźniła się z Kanadyjczykami, rozwścieczony tłum obciął włosy tak samo, jak kiedyś obcinał je „szkopskim dziwkom” (*Moffenhoeren*).

Popłoch wśród strażników moralności, jaki okupacja przez obce wojska wywołała zarówno w krajach pokonanych, jak i wyzwolonych, wzmagało

parę czynników. Niefortunne decyzje władz okupacyjnych zaostrzały resentymenty wśród miejscowych. Alianci rekwirowali kina, kawiarnie, kluby taneczne i pływalnie, wydając zakaz wstępu do tych lokali całej ludności miejscowej z wyjątkiem dziewcząt, które miały chłopaka wśród żołnierzy. To się nie mogło podobać. W Utrechcie grupa młodych Holendrów przydybała kilka dziewcząt, które widywano z kanadyjskimi żołnierzami, i próbowała ogolić im włosy. Kanadyjczycy oczywiście nadeszli z pomocą. W ruch poszły noże i kamienie, rozległy się strzały. Tym razem nikt nie zginął, ale było kilkunastu rannych.

Wydany przez dowództwo Sprzymierzonych zakaz prostytucji zorganizowanej sprawił również, że drastycznie wzrosła zapadalność na choroby weneryczne. Zaraz po ogłoszeniu zakończenia wojny wśród Amerykanów stacjonujących w Niemczech popularne było powiedzonko *VD follows V-E*: „W Dzień Zwycięstwa w Europie zwyciężył syf”[63]. W amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech pomiędzy Dniem Zwycięstwa a końcem 1945 roku zapadalność na choroby weneryczne wzrosła podobno aż o 235 procent, czyli z 75 przypadków do 250 przypadków na 1000 żołnierzy rocznie[64], pomimo tego, że na dworcach kolejowych i w stacjach Czerwonego Krzyża żołnierzom rozdawano „pakiety pe-syf”, zawierające kondomy i tabletki nadmanganianu potasu. W Holandii zapadalność na choroby weneryczne zwiększała się już w czasie okupacji niemieckiej, a po wyzwoleniu natychmiast poszybowała ostro do góry. Prasa nakręcała panikę, podając, że już ponad 10 tysięcy kobiet jest nieświadomymi nosicielkami chorób wenerycznych. Podobne relacje ukazywały się też w prasie francuskiej, co podsycało histerię wśród czytelników.

W południowych Włoszech strażnicy moralności głosili, że zagrożenie chorobami wenerycznymi równa się poniżeniu narodu. Ten popłoch moralny znalazł typowo histeryczne ujście w słynnej *Skórze* Curzia Malapartego. Malaparte nie był dokumentalistą, lecz pisarzem, czemu zresztą nigdy nie zaprzeczał, i w więcej niż skromnym stopniu sprzyjał reżimowi faszystowskiemu, ale bez wątpienia miał dar wyrażania nastrojów społecznych, nawet jeśli kreowane przezeń fabuły są efekciarskie. Powieść

przedstawia inwazję aliantów jako zarazę, w której „organy pozornie pozostawały nienaruszone”, lecz „zdrowa dusza psuła się i gniła”. W czasie okupacji niemieckiej, wyjaśnia Malaparte, „tylko prostytutki robiły interesy z wrogiem”, pod władzą Amerykanów i Brytyjczyków zaś „w następstwie tej obrzydliwej zarazy, która przede wszystkim poraża poczucie honoru i godności niewieściej”, każde włoskie domostwo jest zakażone wstydem. Czemu? Ponieważ „tak wielka była siła zarazy, że prostytucja stała się aktem godnym pochwały, niemal dowodem na miłość ojczyzny, i wszyscy, mężczyźni i kobiety, dalecy od rumieńca wstydu, zdawali się chełpić własnym i powszechnym upodleniem”[65].

To najprawdopodobniej przesada. Takie przekonania żywił jednak nie tylko Malaparte, lecz także wielu innych Włochów. Utrzymywanie stosunków seksualnych z cudzoziemskim żołnierzem równa się prostytucji. Jeśli kobieta robi to z własnej woli, to tym gorzej.

Amerykańskim żołnierzom stacjonującym we Francji pokazywano film dokumentalny pod tytułem *Good Girls Have VD Too* (Przyzwoite dziewczęta też mają choroby weneryczne). Jednym z najbardziej poniżających doświadczeń kobiet w okupowanych miastach od Amsterdamu po Tokio były regularne kontrole lekarskie: losowo wybrane kobiety badano na obecność chorób wenerycznych. Pogorszeniu problemów zdrowotnych sprzyjał wywołany powojennym chaosem brak opieki medycznej, fatalne warunki higieniczne, a także relatywny brak doświadczenia seksualnego u młodych mężczyzn i kobiet, często wywodzących się z konserwatywnych lub purytańskich środowisk. Jednakże Malaparte w typowym dla niego histerycznym tonie dotknął kwestii najbardziej bolesnej: z różnych powodów kobiety robiły to, co chciały.

Nie wszyscy to potępiali. Ludzie o postępowych poglądach, jak na przykład holenderski ginekolog i reformator kultury seksualnej Wim Storm, dostrzegali pozytywne strony fraternizacji: wywołała ona długo oczekiwany przełom w emancypacji kobiet i położyła kres przestarzałym poglądom na prerogatywy mężczyzn oraz podległość żony mężowi. Kobiety szukające szczęścia w „umundurowanych ramionach” Kanadyjczyków, „uczące się

mówić w obcym języku, tańczyć jitterbuga i kochać” – no cóż, „wszystkie te kobiety świetnie wiedzą, czego chcą”. Zarzut, że prostytuują się dla tabliczki czekolady albo kilku papierosów, „to straszliwa zniewaga”[66]. Problem chorób wenerycznych najskuteczniej jest rozwiązywany przez rozdawanie prezerwatyw kobietom oraz edukację seksualną młodzieży.

Storm i jemu podobni byli jednak w mniejszości i z tej debaty wyszli pokonani, przynajmniej na razie. W atmosferze paniki na tle moralnym głos tych, którzy zalecali odrodzenie moralne oraz odbudowę społeczeństwa na fundamencie tradycyjnych zasad, okazał się silniejszy. Tak było w Holandii, gdzie nawet tak liberalna gazeta jak założony przez antyniemiecki ruch oporu „Het Parool” zwolniła jednego z redaktorów za to, że dopuścił do druku artykuł popierający rozdawanie prezerwatyw kobietom: „Uważamy za swój obowiązek kształcić naszych rodaków, by dążyli ku wyższym normom moralnym […] i wystrzegali się rozpasania w każdej postaci”[67]. Podobnie działo się we Francji; rząd tymczasowy generała de Gaulle’a był głęboko zatroskany tym, że okupacja i wyzwolenie podkopały zasady moralności w narodzie, co stanowi straszliwe zagrożenie dla „nacji Francuzów”[68]. Sankcje prawne za przerwanie ciąży lub zdradę małżeńską były równie, a niekiedy bardziej surowe w wyzwolonej Francji niż za rządów Vichy.

Purytańska reakcja na to, co uważano za degenerację moralną, nie ograniczała się do prawicy lub kręgów konserwatystów religijnych. We Francji romantyzm lub idealizm pchnął wielu ludzi do wstąpienia w szeregi partii komunistycznej. W warunkach wojennych normy konwencjonalnej moralności uległy rozluźnieniu, lecz po wojnie partia komunistyczna pod przewodnictwem Maurice’a Thoreza szybko to ukróciła. Żarliwie propagowano oddanie partii oraz uregulowane życie rodzinne, a potępiano zrodzoną przez warunki wojenne „rozpustę” oraz fraternizację z cudzoziemskimi wojskami. W Niemczech, gdzie komuniści pod opieką swych radzieckich mocodawców stopniowo wzmacniali kontrolę nad strefami wschodnimi, wprowadzaniu nowego ładu moralnego towarzyszyły represje polityczne. Erich Honecker, przywódca młodzieżówki Komunistycznej Partii Niemiec, robił co mógł, by zniechęcić niemieckie

dziewczęta do frywolnych igraszek, takich jak swing i seks, w nadziei zyskania ich poparcia dla ideologii komunistycznej. Czuł jednak, że jego wysiłki są daremne. Oczywiste, twierdził, w czym leży problem: „Musimy przezwyciężyć ich *Drang nach Lebensfreude* – pęd do uciech życia”.

Honeckerowi też nieobce były uciechy życia: miał kilkanaście romansów ze znacznie młodszymi kobietami. Jednakowoż niepotrzebnie się martwił. Stan euforii nie może trwać bez końca. Pod koniec 1945 roku gorączka wyzwolenia już opadała. Coraz więcej cudzoziemskich żołnierzy wracało do domu, choć w Niemczech i Japonii, a w mniejszym stopniu także w Wielkiej Brytanii i Włoszech, pozostały duże bazy wojskowe. Powojenna panika moralna dała początek reakcjom głęboko zachowawczym. Lęk przed seksualnym wyzwoleniem kobiet oraz powszechne po latach zagrożenia, chaosu i ubóstwa pragnienie powrotu do małomieszczańskiej stabilizacji wkrótce przywróciły tradycyjny ład moralny zarówno w krajach wyzwolonych, jak i w pokonanych. W latach pięćdziesiątych lato 1945 roku stanowiło już tylko odległe wspomnienie. Na wyzwolenie seksualne trzeba było czekać jeszcze dwadzieścia lat. Pod wpływem pigułki antykoncepcyjnej i drugiej fali anglosaskiego hedonizmu, Beatlesów i Rolling Stonesów wyzwoliło się coś, o czym Glenn Miller i Benny Goodman mogli tylko marzyć.

Mimo tego powojenny chaos, choć jedynie chwilowy, miał też pozytywne skutki. Pragnienie Benoîte Groult, by swoją wolność kształtować samodzielnie, nie jest całkowitą iluzją. We Francji rząd tymczasowy dał kobietom prawo głosu jeszcze przed wyzwoleniem, w marcu 1944, z powodu niedoboru mężczyzn – uważano, że żony będą reprezentować poglądy swych nieobecnych mężów. Włoszki uzyskały to samo prawo w 1945 roku, Japonki, Rumunki i Jugosłowianki rok później, a Belgijki w 1948 roku. Niektórzy ludzie z pewnością ogromnie pragnęli, by świat powrócił w te same koleiny, jakimi toczył się przed wojną, lecz nie było to już możliwe.

ROZDZIAŁ 2

GŁÓD

Zdaniem wielu Holendrów przybywający w maju Kanadyjczycy wyglądali jak bogowie. Drugi równie podniosły obraz, który zawsze kojarzy się z wyzwoleniem Holandii, to operacja „Manna”. Jeszcze dziesiątki lat później ludzie ze łzami w oczach wspominali dar Czerwonego Krzyża: „biały chleb ze Szwecji” zrzucany nad Holandią przez bombowce RAF-u i armii amerykańskiej w maju 1945 roku. Jako dziecko wyobrażałem sobie tę niezwykłą akcję absolutnie dosłownie: że z nieba spadały bochenki białego chleba. W rzeczywistości lancastery i B-17 nurkowały tuż nad kryte czerwoną dachówką dachy, na których stali rozradowani ludzie wymachujący jasnymi kuchennymi ścierkami, i zrzucały worki z mąką oraz skrzynie wypełnione czekoladą, margaryną, puszkami mielonki, jajkami w proszku, papierosami, paczkami kawy i gumą do żucia. Brytyjczycy nazywali tę operację „Manna”, Amerykanie – „Chow Hound”.

Piloci amerykańskich i brytyjskich bombowców uważali zrzuty paczek żywieniowych nad Holandią za przyjemną odmianę od codziennych obowiązków. Wśród puszek czekolady i worków z mąką znaleziono kiedyś liścik od brytyjskiego pilota:

> Do Holendrów.
> Nie martwcie się wojną z Niemcami. Już prawie koniec. Te loty to dla nas odmiana od bombardowań. Teraz będziemy często zrzucać wam nowe zapasy jedzenia. Uszy do góry. Wszystkiego dobrego.
> Pilot z RAF-u[1].

Ludzie byli im nieopisanie wdzięczni. W kraju panował głód. W maju, tuż po wyzwoleniu, „New York Times” pisał, że w „szpitalu dla zagłodzonych” w Rotterdamie „ludzie podobni do szkieletów” otrzymują „sześć porcji lekkiego pokarmu dziennie”. Zdaniem korespondenta, mężczyźni i kobiety w wieku zaledwie trzydziestu lat „wyglądają na dwa razy tyle, a ich zapadłe oczy, pożółkła skóra i okropnie napuchłe kończyny wskazują, jak straszny był ich los, nim zostali uwolnieni”. Tymczasem w mieście wciąż działają restauracje, w których „dostatnio odziani goście” spożywają „wyborne jadło i rozliczne napoje”. Oburzeni Holendrzy, „obeznani z życiem skrajnie różnym od tego luksusu, z miejsca wyjaśniają: czarny rynek”[2].

Podobnie działo się w większości regionów Europy. W wielu miejscach było o wiele gorzej niż w Rotterdamie. W niektórych częściach Związku Radzieckiego umierały z głodu miliony ludzi. Jednakże w Holandii ten głód jest w pewnym sensie szczególny. Tu bowiem, jako jedynym kraju Europy Zachodniej, głód został wywołany umyślnie, jako zbiorowa kara. Narody słowiańskie poddawano takim sankcjom, ale Europejczyków z Zachodu – nie.

We wrześniu 1944 roku, starając się wspomóc podjętą przez marszałka Montgomery’ego próbę przekroczenia Renu pod Arnhem, holenderscy kolejarze rozpoczęli strajk. W odpowiedzi Niemcy odcięli dostawy prądu i dowóz żywności do zachodniej części kraju, którą wciąż zajmowali, zalali wodą tereny rolne i zakazali obywatelom holenderskim korzystania z transportu kolejowego. Na dodatek „zima głodu” na przełomie 1944 i 1945 roku była wyjątkowo mroźna. Z głodu i chorób wywołanych niedożywieniem zmarło 18 tysięcy ludzi. Ci, którzy przeżyli, rąbali meble na opał, jedli koty i psy, jeśli jeszcze je mieli, oraz końską padlinę – kiedy koń zdechł na ulicy, od razu go ćwiartowano – a także gotowali zupę z pokrzyw i smażyli cebulki tulipanów.

Problem z niedożywieniem polega na tym, że za dużo pokarmu albo niewłaściwy jego rodzaj też może zabić. Wielu więźniów zmarło po zjedzeniu herbatników, które ze szczerej życzliwości rozdawali kanadyjscy żołnierze. Przychodziło wtedy silne pragnienie. Aby je ugasić,

nieszczęśnicy pili zimną wodę, od której niestrawione herbatniki pęczniały; następowało pęknięcie ścian żołądka i szybka śmierć.

Głód panował praktycznie na całym świecie, zarówno w krajach wyzwolonych, jak i pokonanych – wszędzie tam, gdzie załamał się system usług i przestała funkcjonować normalna gospodarka. Nie tylko w Holandii jedzenie zrzucano jak mannę z nieba. Nastolatek z *Amerika Hijiki* Akiyukiego Nosaki obserwuje, jak z amerykańskiego bombowca wypada stalowa beczka ze spadochronem. Z początku japońscy wieśniacy myślą, że to kolejna straszliwa bomba. Słyszeli o Hiroszimie. Tam też bomba była podobno podwieszona na spadochronie. Ale beczka nie wybucha, więc strach ustępuje w końcu przed głodem i ciekawością. Wieśniacy podważają wieko i znajdują paczki żywnościowe; domyślają się, że są przeznaczone dla leżącego w pobliżu obozu jenieckiego. Ale w tak okropnych czasach trudno wymagać miłosierdzia wobec obcych. W paczkach jest chleb, czekolada i guma do żucia, którą dzieciaki żują potem całymi dniami; stwardniałe, pozbawione już smaku kawałki gumy wędrują z buzi do buzi. Jest też paczka wypełniona dziwną brązową substancją, którą wieśniacy uznają za *hijiki*, wodorosty, które w Japonii są wysoko cenionym przysmakiem. Ale te spadłe z nieba wodorosty smakują obrzydliwie, nawet po ugotowaniu, i trudno je strawić. Wszyscy się dziwią, jak Amerykanie mogą jeść takie świństwo, ale mimo to spożywają cały zapas „amerykańskiego *hijiki*" – czyli w rzeczywistości liści czarnej herbaty.

W ciągu tego głodnego roku najgorsze warunki panowały w obozach koncentracyjnych. Japońskie obozy w południowo-wschodniej Azji to potworność. W większości obozów w Niemczech, dokąd hitlerowcy spędzili robotników przymusowych i więźniów, którzy przeżyli marsze śmierci, było jeszcze gorzej. Jednym z najobrzydliwszych obozów było Bergen-Belsen, początkowo przeznaczone dla „Żydów do wymiany" – ludzi dobrze sytuowanych i ze znajomościami, których planowano wymieniać na wziętych do niewoli Niemców. Niewiele takich wymian rzeczywiście doszło do skutku. Później do obozu kierowano także więźniów politycznych i kryminalistów. Wreszcie pod koniec 1944 roku zaczęto zwozić tam Żydów ewakuowanych z obozów zagłady znajdujących

się na szlaku Armii Czerwonej. Wśród nich była Anne Frank, która zmarła na tyfus niecały miesiąc przed wyzwoleniem obozu. W Belsen od początku panowała ciasnota, ale w pierwszych miesiącach 1945 roku przeludnienie było już takie, że ludzie dosłownie spali jeden na drugim, brakowało instalacji sanitarnych, a przed samym wyzwoleniem skończyły się zapasy jedzenia i wody. Więźniowie, którzy jeszcze mieli trochę sił, w rozpaczy jedli mięso z trupów piętrzących się w stosach przed barakami. Tylko pilnujący obozu esesmani mieli jedzenia w bród. Wieprzowina dla komendanta obozu Josefa Kramera pochodziła z trzymanych w obozie świń.

Brytyjscy żołnierze w życiu nie widzieli nic podobnego, więc nie mieli pojęcia, co robić. Jedyne, co mogli dać umierającym z głodu ludziom, to ich własne wojskowe racje: szynkę, boczek, duszoną fasolę, kiełbaski i mięso zapiekane w cieście. Skurczone od głodu wnętrzności nie są w stanie strawić takiego pokarmu, wszystko od razu przez człowieka przelatuje. Mimo to niejeden więzień łapczywie pożarł podobny posiłek. W rezultacie około dwóch tysięcy ludzi zmarło.

Głód na taką skalę Brytyjczycy napotkali tylko raz, w Bengalu w 1943 roku; szacuje się, że do 3 milionów ludzi zmarło tam w wyniku nałożenia się klęsk: powodzi, nieurodzaju, niekompetencji władz, korupcji, chaosu wywołanego wojną i szokującej nieczułości urzędników. Kierując się wynikami niedawnych badań, brytyjscy lekarze wojskowi zaczęli stosować wtedy tak zwaną bengalską mieszankę głodową: słodki kleik z cukru, mleka w proszku, mąki i wody. Oprócz tego próbowali podawania aminokwasów w zastrzykach i poprzez sondy donosowe. Także i w Belsen tym, którzy jeszcze mogli przełykać, próbowano podawać bengalską mieszankę głodową, a tym, którzy nie mogli – aminokwasy. Obie metody zawiodły. Mieszanka była za słodka, ludzie wymiotowali. Zastrzyków i zakładania sond trzeba było zaniechać, gdyż więźniowie śmiertelnie bali się wszystkiego, co przypominało eksperyment medyczny. Byli przekonani, że lekarze chcą ich zabić; łamaną obozową niemczyzną skomlili: *Niks krematorium*[3].

To, że aż tylu jednak przeżyło, to zasługa niewiarygodnego wysiłku lekarzy i studentów medycyny z Wielkiej Brytanii, a także medyków, którzy sami wyszli z obozów. To oni metodą prób i błędów stwierdzili, jakich dawek pokarmów i płynów potrzeba, by więźniowie zaczęli wracać do życia. Wśród lekarzy – byłych więźniów – jest polska dentystka Ada (Hadasa) Bimko, która jeszcze w Belsen wyszła za mąż za Josela, Josefa Rosensafta, twardego polskiego Żyda, który kilkakrotnie uciekał z transportów do Auschwitz, a w obozie był jednym z przywódców ruchu syjonistycznego; jeszcze o nim usłyszymy. Ich syn Menachem urodził się w Belsen.

***

W Wielkiej Brytanii żyło się lepiej niż w Holandii, we Włoszech, w Polsce, Jugosławii czy Niemczech, ale też nielekko. W maju 1945 roku zmniejszono wojenne racje żywnościowe: mniej tłuszczu do smażenia, mniej bekonu, w następnym roku nawet chleb zaczął być na kartki. W tunelach londyńskiego metra dalej spało wielu bezdomnych. Zimą z 1944 na 1945 rok prawie zupełnie nie działało ogrzewanie, więc żartowano, że to zima „shinwellowskich dreszczy” (minister paliw i energii nazywał się Emanuel Shinwell) i „stracheyowskiego przymierania głodem” (ministrem zaopatrzenia był John Strachey).

Amerykański krytyk literacki Edmund Wilson był w Londynie latem 1945 roku. Pewnego dnia spacerował ze znajomym po dzielnicy Holborn. Nagle poczuł smród. Rozejrzał się i zobaczył „nieduży sklepik; a w nim, w otwartych oknach, leżały na półkach martwe wrony, rząd za rzędem. To było – zdaje się – jedyne, co sprzedawano w tym sklepie”[4].

W grudniu do portu w Bristolu zawinął statek z ładunkiem bananów i pomarańczy (oraz czterema pasażerami na gapę, Jamajczykami, którzy natychmiast wyskoczyli za burtę i popłynęli do brzegu). Oficjalny komitet powitalny z burmistrzem na czele już czekał: to były pierwsze banany, jakie widziano w Wielkiej Brytanii od początku wojny.

Zaledwie kilka miesięcy po hucznych obchodach zwycięstwa w Londynie było strasznie ponuro, i to nie tylko z powodu braku przyzwoitego jedzenia. Edmund Wilson celnie podsumował nastrój Brytyjczyków: „Teraz, gdy wojna się skończyła, wszystko nagle wydaje się takie puste, takie chore, takie bezsensowne! Musimy teraz żyć w poniżeniu, zubożałym, przyziemnym życiem, o którym, walcząc z wrogiem, byliśmy w stanie nie myśleć. W czasie kiedy wszystkie nasze wysiłki kierowaliśmy ku zniszczeniu, nie zbudowaliśmy nic, na czym moglibyśmy się oprzeć w chwili naszego własnego upadku”[5].

We Francji panowała jeszcze głębsza demoralizacja. Ministra zaopatrzenia, Paula Ramadiera, nazywano „Ramadanem”, od muzułmańskiego miesiąca postu, a mizerne przydziały żywnościowe – ramadietą[6]. Francuscy rolnicy nie mieli zamiaru sprzedawać swoich produktów po regulowanych odgórnie cenach, gdyż bogacili się na wszechobecnym czarnym rynku, bez którego życie większości Francuzów byłoby znacznie cięższe. Aby oderwać się od zamówionego przez rząd brytyjski raportu o stanie kultury, nad którym pracował w Niemczech, poeta Stephen Spender spędził parę miesięcy we Francji. Zaobserwował on pewną istotną różnicę między Wielką Brytanią a Francją, dotyczącą właśnie morale społeczeństwa. Otóż w Wielkiej Brytanii obywatel był w stanie wyżywić się i ubrać bez konieczności korzystania z czarnego rynku. We Francji, obracając się w raczej majętnym towarzystwie, Spender stale spotykał takich ludzi jak pewien profesor Sorbony, który miał na sobie „dwa razy za duży” garnitur, i który „z krzywym uśmiechem” wyjaśnił, że „już od dwóch miesięcy nie zaopatruje się na czarnym rynku”[7].

A przy tym większość Francji: wspaniałe zabytkowe miasta, kościoły, katedry, wyglądała na nietkniętą. W oczach Spendera, który świeżo przyjechał ze zniszczonych Niemiec, kraj wyglądał jednak jak nawiedzony przez jakieś złowieszcze, choć nienamacalne duchy. „Francja to niewidzialna ruina” – pisał. Francję, tak samo jak Niemcy, trzeba „odbudowywać od zera”, ale „mimo że atmosfera jest przesycona tą świadomością, mury wciąż stoją, w kafejkach tłumy (choć kawy brakuje), a czarny rynek kwitnie jak zawsze”[8].

Czarny rynek działał we Francji już od dawna, ponieważ Niemcy metodycznie wykrwawiali tamtejszą gospodarkę. Po wyzwoleniu główny problem stanowił nie brak żywności, lecz jej transport z terenów wiejskich do wygłodzonych miast. Brakowało ciężarówek, benzyny praktycznie nie było w ogóle. Kto miał dostęp do tych podstawowych środków transportu, mógł bardzo szybko zbić fortunę. Przedsiębiorczy amerykańscy żołnierze – niektórzy z kryminalną przeszłością w ojczyźnie – dezerterowali i organizowali grupy przestępcze w Paryżu. Przekręt polegał na kradzieży wojskowych ciężarówek, zaopatrywaniu się w paliwo na podstawie sfałszowanych dokumentów albo dzięki łapówkom, po które ochoczo wyciągali ręce pracownicy wojskowych stacji rozdziału benzyny, oleju i płynu hamulcowego, i sprzedaży całości francuskim gangsterom. Błyskawicznie rosły olbrzymie fortuny, ale wielu amerykańskich aferzystów wpadło, bo nie umiało się pohamować. Przelewy dużych kwot do Stanów zdradziłyby ich proceder, więc ludzie ci żyli po królewsku w Paryżu – i władze się zorientowały. Jeśli w kontynentalnej Europie ktoś rozrzucał pieniądze garściami, musiał mieć kontakty w półświatku czarnorynkowych restauracji i nocnych klubów, gdzie szampan i wyborne wina wciąż płynęły jak rzeka, a na stołach pojawiały się najróżniejsze specjały.

Z Londynu Edmund Wilson poleciał do Rzymu, który wydał mu się „bardziej zepsuty i cuchnący niż kiedykolwiek”[9]. Wraz z grupą przyjaciół z Ameryki jadł obiad w czarnorynkowej restauracji, siedząc przy stoliku w ogródku ulicznym. Zajęci jedzeniem i rozmową biesiadnicy nie zauważyli, że za ich plecami gromadzą się ludzie. „Sięgali nam przez ramię, próbując porwać coś z talerza” – pisał Wilson. Pojawił się wykidajło, popchnął jakąś starszą panią tak, że się przewróciła, i rozpędził tłum, złożony głównie z kobiet i dzieci; „niektórzy sobie poszli, a reszta stała opodal, patrząc ponuro na ludzi, którzy jedli obiad”[10].

Na pozór Rzym, podobnie jak Paryż, stał mniej więcej nietknięty. Inne miasta, na przykład Palermo czy Neapol, nie miały tyle szczęścia. Także Mediolan mocno ucierpiał podczas alianckich bombardowań i wojny domowej. Wilson, który odwiedził Mediolan w maju, uznał, że miasto

„wygląda jak zakątek piekła. Jeździ wprawdzie trochę zdezelowanych zielonych tramwajów, a część mieszkańców stara się podejmować codzienne czynności, lecz miasto wygląda na ogłuszone i bezwładne, a bezkrwiści, niedożywieni ludzie, ubrani w łachmany, byle tylko okryć nagą skórę, wydają się pogrążeni […] w stanie ciągłego napięcia”[11].

Węgierski pisarz Sándor Márai w okresie wyzwolenia mieszkał w Budapeszcie. Miasto było ogromnie zniszczone, gdyż Rosjanie oblegali je przez dwa miesiące. W lutym 1945 roku, kiedy Armia Czerwona wreszcie do niego wkroczyła, nadeszła straszliwa inflacja. Cena dolara czy sztabki złota potrafiła wzrosnąć o kilka miliardów w ciągu doby. Chłopi wyczuli koniunkturę i bogacili się, „na targowisku w Peszcie wymieniając opitą wodą tuczoną świnię na fortepian, na złote napoleony”, podczas gdy „intelektualiści, robotnicy i urzędnicy wciąż czekali, coraz bledsi, coraz głodniejsi, coraz bardziej pozbawieni nadziei”. Márai wspominał, że podczas tych miesięcy galopującej inflacji budapeszteńczycy tak wychudli, że większość z nich wyglądała jak „szkielety na schematach budowy ludzkiego ciała w atlasach anatomicznych, bez odrobiny mięsa ani tłuszczu”[12].

Jednakże w porównaniu z większością niemieckich miast nawet w Budapeszcie żyło się jako tako. Z Berlina, Frankfurtu, Hamburga, Bremy, Drezna – a nawet mniejszych miast, takich jak Würzburg czy Pforzheim, zniszczonych ot tak, dla porządku, w 1945 roku – pozostały tylko kupy gruzów, nad którymi wciąż unosił się dym i smród gnijących zwłok. Ludzie odwiedzający te miasta w pierwszych miesiącach po wojnie zwracali uwagę na panującą w nich upiorną ciszę.

Dramatopisarz Carl Zuckmayer stał w śródmieściu Berlina, pomiędzy ruinami Romanisches Café – niegdyś, za czasów Republiki Weimarskiej, najmodniejszej kawiarni w mieście – a wypalonym kościołem Pamięci Cesarza Wilhelma, i wspominał, jak wyglądało to miejsce przed wojną: nieustający warkot silników, buczenie klaksonów, głosy ludzi spieszących tłumnie na zakupy, do restauracji, do barów. Teraz, wśród milczących ruin, wydawało mu się, że jest jedynym żywym człowiekiem w mieście. Wtedy rozległ się cichy stukot. Wychudły chłopiec w drewnianych sandałach

ciągnął ręczny wózek po zaśmieconym bruku. Nad tym pustkowiem powiewał łagodny wietrzyk. Zuckmayer słyszał bicie własnego serca.

A jednak, jak zanotował, „w tym samym czasie w całych Niemczech bez przerwy wyczuwało się pełzanie, skrobanie, macanie na oślep, jak w ogromnym mrowisku, […] nieskończone przyjścia i odejścia, wędrowanie, kluczenie, mijanie; chrobot i szuranie milionów butów. Oto czarny rynek […]. Przemarsz bezdomnych, wypędzonych, rozproszonych tłumów, band młodych maruderów”[13].

O Kolonii, kolejnym obróconym w gruzy niemieckim mieście, Stephen Spender pisał tak: „Spustoszenie tego miasta jest odbiciem wewnętrznego upadku jego mieszkańców, którzy mogliby być żywą tkanką tworzącą bliznę na jego ranach, a tymczasem są pasożytami przyssanymi do jego ścierwa, ryjącymi wśród gruzów w poszukiwaniu skrytek z żywnością, kupczącymi na nielegalnym targowisku przy katedrze – to handel, który niszczy, nie buduje”[14].

Sytuacja w Kolonii czy Berlinie była fatalna, ale w Tokio czy Osace, nie wspominając już o Manili, Warszawie, Stalingradzie i innych miastach zniszczonych przez państwa Osi, zapewne jeszcze gorsza. W grudniu 1945 roku doktor Solomon Schonfeld, główny rabin angielskiej ortodoksyjnej synagogi, przebywał w Warszawie. Później powiedział reporterom, że cały teren dawnego getta „to dosłownie jedno wielkie pustkowie cegieł i gruzów. Ulice wciąż wyglądają tak samo jak ostatniego dnia eksterminacji. Pod tym morzem cegieł spoczywają tysiące zwłok, osobiście podnosiłem z ziemi ułamki kości”[15].

Zniszczenie warszawskiego getta stanowiło część szeroko zakrojonej zbrodniczej akcji. Japońskie miasta zostały zbombardowane z innych powodów, ale spustoszenie było takie samo. Domy budowano tam głównie z drewna. Naloty dywanowe i następujące po nich straszliwe burze ogniowe niszczyły praktycznie wszystko, jedynie tu i tam z popiołów sterczał żałośnie kamienny komin publicznej łaźni. Także w Japonii panowała ta straszna cisza. W liście do przyjaciela, Donalda Keene’a, który później został słynnym badaczem literatury japońskiej, porucznik amerykańskiej marynarki Sherwood R. Moran pisał tak: „Tokio, pierwsza ofiara wojny,

jaką przyszło mi ujrzeć, to pustkowie nieprzyzwoitych ruin, ale najbardziej działa mi na nerwy cisza; żadnych klaksonów, okrzyków, brzęków, tych zazwyczaj tak irytujących, ale jednak spodziewanych odgłosów miasta. W Tokio, i jak przypuszczam w całej Japonii, klęska to już przeszłość, ale wszyscy wciąż patrzą nieruchomym wzrokiem w tej okropnej ciszy”[16].

W pokonanych krajach panował prawdziwy głód i groził wybuch pandemii. W niemieckich miastach notowano masowe przypadki duru brzusznego, tyfusu plamistego i gruźlicy. W 1945 roku ponad 20 tysięcy Japończyków zmarło na czerwonkę, a do 1948 roku prawie 700 tysięcy zachorowało na dur, tyfus, gruźlicę, cholerę lub chorobę Heinego-Medina[17]. Na terenach wiejskich, dzięki nieco lepszemu zaopatrzeniu w żywność, nie było aż tak źle, ale w miastach żyło się prawdopodobnie gorzej niż w Niemczech, gdzie zgłoszenie się do pracy uprawniało przynajmniej do otrzymywania kartek żywnościowych. W reportażu z Berlina, który ukazał się w czasopiśmie armii amerykańskiej „Yank”, opisano typowe dzienne wyżywienie robotniczej rodziny z sześciorgiem dzieci: na śniadanie po filiżance herbaty i kromce czarnego chleba na głowę, a na kolację zupa z jednej cebuli, jednego ziemniaka i ćwierci litra mleka z dodatkiem kawałka kalafiora. Żeby się najeść do syta, oczywiście nie wystarczy, ale to dość, żeby przeżyć.

Japończycy głodowali już na długo przed końcem wojny. Władze publikowały porady, jak przyrządzać żołędzie i otręby, placki z wiórów drzewnych, potrawy ze ślimaków, pasikoników i szczurów. Kiedy po klęsce żołnierze zaczęli masowo wracać do kraju, trudności zaopatrzeniowe zmieniły się w ostry kryzys. Bezdomni mieszkali w dworcowych przejściach podziemnych jak w labiryntach slumsów wiktoriańskiego Londynu. Ten świat rodem z powieści Dickensa zaludniały także osierocone dzieci, które zbierały niedopałki papierosów, aby wymienić je na coś do jedzenia, okradały nieostrożnych przechodniów albo sprzedawały swoje niedożywione ciała. Tokijska stacja Ueno zyskała szczególnie złą sławę jako przeludnione siedlisko bezdomnych. Wałęsające się gromadami zagłodzone dzieci nazywano *charinko*, „dzieci *charin*” – to słowo oznacza brzęk monet[18]. Widoczne na zdjęciach obdarte dzieciaki z petami

w buziach wyglądają jak dzikie zwierzątka; jest w nich coś nieludzkiego. Dokładnie to samo widział pewien brytyjski żołnierz w Niemczech: dzieci „z kamuflażem z brudu tak doskonałym, że łatwo ich nie zauważyć", kryły się w pasażach podziemnych i w ruinach dworców kolejowych. Na widok cudzoziemskiego żołnierza uciekały, ale zaraz wracały z kamieniami lub żelaznymi prętami w dłoniach. „Miały czarne, połamane zęby"; czyste były jedynie białka ich oczu – oczu „sparszywiałych lamparcich szczeniąt, których jedynym wrogiem jest człowiek"[19].

Aby nie stracić dystansu, powinniśmy nadmienić, jak wyglądała powojenna dola niezliczonych milionów Chińczyków. Amerykańscy żołnierze na obszarze kontrolowanym przez nacjonalistów generała Czang Kaj-szeka byli zaszokowani, widząc dzieci wślizgujące się na teren koszar, by grzebać w śmietnikach w poszukiwaniu resztek jedzenia. Pewien sierżant wspominał, że „kobiety podchodziły do wartowni, prowadząc swoje córki, oferowały je nam i wymieniały dziewczynki za batoniki i papierosy"[20]. Mężczyźni natomiast wczołgiwali się pod koszarowe latryny, by przez szpary w podłodze łowić ludzkie odchody, które sprzedawali rolnikom na nawóz.

Skala ludzkiego nieszczęścia, jakie było pokłosiem wojny, jest tak monstrualna, że wszelkie porównania są tu praktycznie daremne. W Niemczech problem stanowili nie tylko obywatele oraz wracający z wojny żołnierze, lecz także ponad 10 milionów niemieckojęzycznych uchodźców z Czechosłowacji, Polski i Rumunii, których – z oficjalnym poparciem rządów alianckich – wypędzono z rodzinnych ziem[21]. Po drodze do Niemiec, kraju, którego niejeden z nich wcześniej nie widział, wielu z tych uchodźców zmarło lub zostało zabitych. Prawie wszyscy utracili cały swój majątek. Ten ogromny tłum dołączył do mas ludzkich przewalających się po całym kontynencie w poszukiwaniu żywności i schronienia.

Zarówno w Japonii, jak w Niemczech kryzys pogłębiły fatalne żniwa 1945 roku. Podczas wojny rolnictwo mocno ucierpiało: wybito zwierzęta hodowlane, pola leżały odłogiem, maszyny rolnicze były poniszczone i brakowało rąk do pracy, a w dodatku pogoda nie sprzyjała. We wschodniej

części Niemiec większość urządzeń została zdewastowana lub rozkradziona w ostatnich miesiącach wojny. Przymusowi robotnicy rolni, którzy podczas wojny zastępowali Niemców, powyjeżdżali do rodzinnych krajów. Japonia została odcięta od dostaw żywności ze swego azjatyckiego imperium, na których do niedawna polegała.

W październiku japoński minister finansów poinformował amerykańskich dziennikarzy, że albo natychmiast rozpocznie się import żywności, albo podczas nadchodzącej zimy około 10 milionów obywateli umrze z głodu. Prognozy dla Niemiec były równie katastrofalne. Zarządca Dolnej Saksonii, socjaldemokrata, oznajmił, że „można już określić, kiedy Niemcy zaczną umierać z głodu, jeśli dawni wrogowie nie przyjdą im z pomocą”[22]. Doniesienia o zbliżającej się zapaści w Niemczech były omawiane na posiedzeniach brytyjskiego parlamentu. Arthur Salter, wysoki urzędnik UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, United Nations Relief and Rehabilitation Administration), wystosował poważne ostrzeżenie, że „jeśli zgodnie z obecnymi przewidywaniami w ciągu nadchodzącej zimy miliony ludzi umrą z zimna i głodu, nie będzie to nieunikniony wynik zniszczeń materialnych i globalnego niedostatku materiału”. Członkowie Izby Gmin usłyszeli, że nadciąga „największa katastrofa, jakiej ludzkość kiedykolwiek doświadczyła”[23].

Okazało się, że to przesada. Wysłannicy stwierdzili, że w zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech warunki nie są gorsze niż w wielu innych krajach Europy Zachodniej, a na pewno lepsze niż dalej na wschód. Jednak ogólnie rzecz biorąc, sytuacja była marna, nawet jeśli gdzieniegdzie pozostały jeszcze resztki żywności zrabowanej przez Niemców w okupowanych krajach. Szczególnie źle działo się w Berlinie, ale z innych części Niemiec też dochodziły ponure wieści. W okolicy Hamburga amerykański dziennikarz zaobserwował taką oto scenę: „Starszy pan w garniturze, z laseczką, spaceruje wieczorem po błotnistej łączce. Widzi kaczkę. Łapie mocniej laskę i tłucze ptaka tak długo, aż ten zdechnie. O sytuacji żywnościowej w Niemczech jeszcze będziemy mówić, ale w zasadzie tyle by wystarczyło”[24].

To oczywiście bardzo przykre, jednak w czasie kiedy ofiary hitleryzmu dalej umierały z głodu w takich miejscach jak Bergen-Belsen, żołnierze wzięci do niewoli przez Japończyków wciąż tkwili w obozach jenieckich, setki tysięcy uchodźców i dipisów czekały na repatriację, Brytyjczycy, Holendrzy, Francuzi, Polacy i Włosi musieli się zadowalać głodowymi racjami, Filipińczycy, Chińczycy i Indonezyjczycy jedli jeszcze mniej, obywatelom Związku Radzieckiego zaś trudno było zapomnieć, że jeszcze niedawno armia niemiecka oraz SS metodycznie morzyły ich głodem, opinia publiczna miała niewiele współczucia dla Niemców i Japończyków. Amerykańscy kongresmeni (zwłaszcza republikanie, zwolennicy izolacjonizmu) niechętnie dali się przekonać, że powinni przyznać fundusze dla międzynarodowych organizacji humanitarnych, na przykład UNRRA, z przeznaczeniem na pomoc dla ofiar przemocy niemieckiej i japońskiej. Trudno się też dziwić, że pomysł żywienia Niemców na koszt amerykańskiego podatnika lub, jak również proponowano, obcięcia Brytyjczykom racji żywnościowych na rzecz niedawnych wrogów nie cieszył się poparciem.

Coś jednak należało zrobić – z powodów jeśli nie moralnych, to praktycznych. Całkowite załamanie systemu w Niemczech lub w Japonii stanowiłoby nieznośne obciążenie dla administracji krajów alianckich i uniemożliwiłoby odbudowę jakiegokolwiek porządku, o porządku demokratycznym już nie wspominając. Popularna wśród żołnierzy laburzystowska gazeta „Daily Mirror” przedstawiała argumenty na rzecz pomocy humanitarnej dla Niemiec pod zwięzłym tytułem: *Karmić bestie?* Artykuł wyjaśniał, że trzeba to uczynić, ale niekoniecznie z litości wobec narodu niemieckiego czy nawet wobec wypędzonych z ojczyzn niemieckojęzycznych uchodźców. Nie, „to nie żadne poczucie miłosierdzia każe nam podkreślać konieczność podjęcia działań” – problem jest całkiem inny: „Im dłużej Europa będzie zapadać się w to bagno, tym dłużej potrwa, zanim się zeń podźwignie – i z konieczności tym dłużej potrwa okupacja”[25].

Pojawiły się też inne argumenty, które kongresmeni uznali za bardziej przekonujące. Międzynarodową UNRRA podejrzewano wprawdzie

o sprzyjanie komunistom, lecz narastające zatargi ze Związkiem Radzieckim wymagały podjęcia jakichś działań, i tu UNRRA okazywała się niezbędna. Kongresman z Pensylwanii, demokrata Daniel J. Flood, oznajmił: „Głód, nędza i choroby staną się zarzewiem niepokojów i obudzą upiora komunizmu. Głodni ludzie to podatny grunt dla filozofii Antychrysta i dla tych, którzy swym bogiem czynią wszechmocne państwo”[26].

Podjęto zatem pewne środki. Pod koniec listopada w brytyjskiej strefie okupacyjnej generał Gerald Templer dał zielone światło dla operacji „Barleycorn”, uwalniając z obozów około 800 tysięcy niemieckich jeńców; zostali oni skierowani do pracy na roli, by ratować resztki plonów. Brytyjczycy musieli zacisnąć pasa, aby zwiększyć eksport żywności do Niemiec; to dlatego od 1946 roku chleb był na kartki. Wydana jeszcze w 1944 roku dyrektywa Kolegium Szefów Połączonych Sztabów (JCS 1067) w sprawie „rozlokowania jeńców wojennych ujętych w północno-zachodniej Europie” zobowiązała Amerykę do udzielenia pomocy gospodarczej w takim stopniu, aby „zapobiec chorobom i zamieszkom”. Chodziło o to, aby standard życia w Niemczech utrzymać na poziomie podstawowego minimum. Pytanie brzmiało: jak bardzo podstawowe ma być to minimum. Politycy popierający ideę „twardego pokoju” chcieli, aby w ramach sankcji zlikwidować niemiecki przemysł, a obywatelom zapewnić minimum socjalne i nic więcej. Czołowym stronnikiem twardej linii był Henry Morgenthau, sekretarz skarbu w rządzie Roosevelta. Chciał on zmienić Niemcy w kraj rolniczy, który już nigdy nie odzyskałby zdolności do wywołania wojny. Administracja aliancka w Japonii otrzymała równie rygorystyczne wytyczne. Na mocy dyrektywy Kolegium Szefów Połączonych Sztabów nr 1380/15 generał MacArthur miał ograniczyć pomoc humanitarną dla Japonii „do stopnia […] niezbędnego, aby zapobiec szerzeniu się takich chorób i niepokojów społecznych, które groziłyby bezpieczeństwu wojsk okupacyjnych lub zakłócały operacje wojskowe. Import ograniczy się do minimalnych ilości artykułów spożywczych […], paliw oraz środków medycznych i zaopatrzenia sanitarnego”[27].

Na szczęście dla Niemców i Japończyków wysocy funkcjonariusze administracji terenów okupowanych dostrzegli, jak katastrofalne byłyby

skutki realizacji tych dyrektyw, i albo je zignorowali, albo złagodzili wprowadzone na ich mocy sankcje. Doradca finansowy przy sztabie wojskowego gubernatora amerykańskiej strefy okupacyjnej generała Luciusa Claya uznał dyrektywę JCS 1076 za dzieło „ignorantów gospodarczych". Zamiast zlikwidować przemysł Niemiec i tym samym pogłębić chaos, Clay wkrótce zaczął pomagać Niemcom w jego odbudowie. Poparli go w tym wpływowi waszyngtońscy politycy, na przykład sekretarz wojny Henry Stimson. Miał on więcej zrozumienia dla sytuacji Niemców niż Morgenthau, którego Stimson podejrzewał zresztą o „brak obiektywizmu wywołany semickimi ansami"[28]; ten nieżyczliwy pogląd dość powszechnie wyrażano na wyższych szczeblach rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Notabene bynajmniej nie chodziło tu o brak zrozumienia dla uczuć Żydów, lecz o obawę, że doprowadzeni do ostateczności Niemcy zwrócą się w stronę komunizmu albo zaczną mieć ciągoty rewanżystowskie. Generał MacArthur nie czuł się w obowiązku pomagać w odbudowie japońskiego przemysłu, lecz podobnie jak Stimson i Clay był przekonany, że „głód […] sprawia, iż ludzie gotowi są zwrócić się ku każdej ideologii, jeśli tylko dostarczy ona żywność"[29].

We wschodniej strefie okupacyjnej, gdzie skupiała się większość niemieckiego rolnictwa, a także – w Lipsku, Dreźnie i Chemnitz – spora część przemysłu, władze radzieckie nie robiły nic, aby odbudować niemiecką gospodarkę, a wręcz przeciwnie: wszystko, co jeszcze się zachowało w fabrykach i zakładach przemysłowych, podlegało grabieży. Maszyny, wagony kolejowe, tramwaje, ciężarówki jechały w wielkich konwojach na wschód. Sejfy banków opróżniono ze złota i papierów wartościowych, z instytucji naukowych zabrano archiwa, a wiele dzieł sztuki skonfiskowano w ramach reparacji wojennych. Nawet przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec, którzy właśnie wyszli z hitlerowskich więzień lub wrócili z Moskwy, dokąd wyemigrowali, nie mieli szans powstrzymać tych przejawów bratniej życzliwości ze strony swych radzieckich protektorów.

Nie inaczej działo się w Mandżurii, północno-wschodnim regionie Chin, gdzie od wczesnych lat trzydziestych istniało marionetkowe państwo

Mandżukuo. Faktyczną władzę sprawowali w nim Japończycy, było to bowiem przemysłowe centrum imperium japońskiego. Związek Radziecki wypowiedział wojnę Japonii pod sam koniec wojny, 8 sierpnia, za namową Stanów Zjednoczonych. 9 sierpnia, trzy dni po zbombardowaniu Hiroszimy, wojska radzieckie wkroczyły do Mandżukuo. Metodycznie rozmontowano zakłady przemysłu ciężkiego, nowoczesne środki transportu szynowego oraz kopalnie (zbudowane przez Japończyków rękami straszliwie gnębionej lokalnej ludności), rozebrano na części całe fabryki, a pozyskany materiał wywieziono setkami pociągów do Związku Radzieckiego. W końcu zabrano także urządzenia kolejowe, szyny, a nawet drewniane podkłady z torowisk. Zanim Chiny zdążyły odzyskać Mandżurię, było po wszystkim. Zresztą ani chińscy komuniści, ani nacjonaliści Czang Kaj-szeka nie zdołaliby powstrzymać tej gigantycznej operacji rabunkowej. Rosjanie bez wątpienia zrobiliby to samo w północnej Japonii, gdyby zdążyli do niej wkroczyć; to między innymi właśnie z tego powodu Amerykanie tak bardzo chcieli szybko zakończyć wojnę na Pacyfiku.

Niemcy w strefie radzieckiej, nawet komuniści, znaleźli się w kropce, gdyż mieli obowiązek wyżywić nie tylko siebie, ale także radzieckie wojska okupacyjne, a tymczasem środki produkcji podlegały grabieży. Często zdarzało się, że niemieccy robotnicy uruchamiali fabrykę za pomocą maszyn poskręcanych z części, którymi pogardzili rabusie – a kiedy produkcja ruszyła, rabusie pojawiali się ponownie. Protest karano biciem. Nie można powiedzieć, aby budziło to wśród niemieckich robotników sympatię dla ideologii komunizmu. Oto piosenka z tego okresu:

Witajcie, wyzwoliciele!
Zabieracie nam jaja, mięso i masło, bydło i paszę,
A także zegarki, pierścionki i inne drobnostki.
Uwalniacie nas od wszystkiego, od aut i maszyn,
Zabieracie ze sobą wagony i urządzenia kolejowe.
Od wszystkich tych śmieci nas uwalniacie!
Płaczemy z radości.
Jacy wy jesteście dla nas dobrzy!
Kiedyś było strasznie, a teraz jest pięknie.

Niemniej minimalne racje żywnościowe przyznane Niemcom w strefie radzieckiej nie były mniej pożywne niż w pozostałych strefach okupacyjnych: około 1500 kalorii dziennie na osobę pracującą, a uważa się, że minimum konieczne dorosłemu człowiekowi dla zachowania zdrowia to 1200 kalorii. Oczywiście w 1945 roku mieszkaniec miasta miał szczęście, jeśli dostał połowę przydziału. Chleba było właściwie dość, ale brakowało świeżych produktów. Tym, co ocaliło Niemców i Japończyków w pierwszym roku po wojnie, było zaopatrzenie wojskowe. Kiedy jesienią kontyngent aliancki w Japonii został zredukowany z 600 do 200 tysięcy żołnierzy, władzom państwowym przekazano do dystrybucji duże nadwyżki żywności przeznaczonej dla wojska, między innymi mielonki i fasoli. Japończycy nie byli przyzwyczajeni do takiej strawy. Dystyngowane Japonki narzekały, że fasola wywołuje wzdęcia i przydarzają się wtedy krępujące wypadki. Jedna z nich zwierzyła się gościowi: „Te nowe racje żywnościowe są zabójcze dla dobrych manier”[31]. Ale bez nich ludzie umieraliby z głodu. Latem 1946 roku krajowe źródła żywności były w stanie zapewnić obywatelowi Tokio jedynie 150 kalorii[32].

Zaopatrzenia dostarczanego przez aliantów było jednak za mało, by przeciętny mieszkaniec Europy czy Japonii mógł obyć się bez ogromnej sieci nielegalnych dostaw, czyli czarnego rynku. Gospodarkę pieniężną zastąpiły różne formy handlu wymiennego, w którym główną walutę stanowiły papierosy. Takiej pokusie żołnierze wojsk okupacyjnych po prostu nie mogli się oprzeć. W Holandii najwyższą wartość miały papierosy kanadyjskie, zwłaszcza marka Sweet Caporal. Paskarze kupowali je po guldenie, a sprzedawali po pięć guldenów za sztukę. Rodzina mogła przysłać kanadyjskiemu żołnierzowi tysiąc papierosów, płacąc za całość trzy dolary, co dawało mu prawie tysiąc guldenów zysku[33].

Za papierosy dało się kupić prawie wszystko: piękne stare zegarki, lornetki teatralne, pierścionki z diamentami, aparaty fotograficzne marki Leica i inne tego typu rzeczy, które ludzie chętnie wymieniali na paliwo czy żywność. Papierosy pozwalały też kupić coś bardzo istotnego. W maju

1945 roku niemiecki pisarz Erich Kästner był na wsi w Austrii i obserwował niekończący się pochód chorych, kulejących niemieckich żołnierzy powracających do domów z pól bitewnych na Wschodzie. Zanotował wtedy w swoim dzienniku: „Potrzebują pieniędzy, więc sprzedają papierosy. Cena waha się od jednej do trzech marek za sztukę. Jest stały popyt na cywilne ubrania. Podaż praktycznie żadna. W sąsiednim domu ktoś wziął 450 papierosów za stare portki. Nie miałbym nic przeciwko, żeby dostać tyle za spodnie, ale mam tylko jedną parę, te, które noszę. Ten handel i jego rezultaty są niemoralne. Mając tylko jedną parę spodni, nie da się prowadzić interesów”[34].

Słynący z sarkazmu japoński eseista i nowelista Ango Sakaguchi, jeden z pisarzy okresu wczesnopowojennego nazywanych „dekadentami”, zauważył, że młodzi żołnierze i piloci, nauczeni wszak chwalebnie umierać za cesarza, bardzo szybko przekształcili się w czarnorynkowych handlarzy. Wdowy po żołnierzach też w mgnieniu oka zapomniały o poległych mężach i znalazły nowych kochanków. Takie jest życie, pisał Sakaguchi bez nuty potępienia. Dzięki upodleniu, dzięki zakosztowaniu ludzkiej chciwości i żądzy w najczystszej postaci Japończycy odnajdą swe wspólne człowieczeństwo. Dość już niedorzecznego kultu cesarza! Dość heroicznych samobójstw pilotów! „Upadliśmy tak nisko nie dlatego, że przegraliśmy wojnę. Upadamy, bo jesteśmy ludźmi, bo żyjemy”[35].

Bez wątpienia wielu weteranów wojsk cesarskich zostało paskarzami, dołączając do koreańskich i tajwańskich gangsterów, band japońskich wyrzutków i całej reszty szumowin, jakie rodzi rozkład każdego społeczeństwa. W tym okresie mówiło się: „Kobieta zostaje *panpan*, mężczyzna szmugluje towar na czarny rynek”[36]. W Japonii działało ponad 15 tysięcy nielegalnych targowisk, zlokalizowanych zazwyczaj obok dworców kolejowych. Niektóre istnieją do dzisiaj, choć w okrojonym zakresie, na przykład tokijskie Ameyoko-cho (niewykluczone, że nazwa pochodzi od słowa „American”), rojący się od klientów rząd małych jadłodajni i sklepików odzieżowych wzdłuż torów przy stacji Ueno. Na targowisko szło się kupić najbardziej niezbędne artykuły albo zjeść posiłek w jednej z tysiąca budek, gdzie w menu było wszystko, od smażonych żab

po gulasz z podrobów najróżniejszych zwierząt – jeśli się miało szczęście, krążyły bowiem plotki, że do garnka od czasu do czasu trafiało też ludzkie mięso.

Wszystko dawało się sprzedać, nawet stare szpitalne koce poplamione krwią. W Mandżurii japońscy władcy, którzy przez piętnaście lat gnębili chińską ludność, pozostali bez środków do życia. Przerażeni inwazją wojsk radzieckich i bez możliwości powrotu do ojczyzny (środki transportu zarezerwowane były dla wojska i urzędników wyższego szczebla), wyprzedawali więc na czarnym rynku cały swój majątek: kimona, meble, antyki. Czasem nawet dzieci. Kolonialistyczny mit głosił, że naród japoński inteligencją przewyższa inne, więc japońskie małe dzieci stanowiły towar poszukiwany, zwłaszcza przez chińskich chłopów, dla których taki nabytek to była para rąk do pracy w przyszłości. Nastoletni Sakuya Fujiwara, przyszły wiceprezes Banku Japonii, pod koniec wojny przebywał z rodzicami w Mandżurii. Jego rodzice sprzedali na czarnym rynku wszystko, co mieli. On sam zapamiętał okrzyki chińskich przekupniów: „Dzieci kupuję! Dzieci kupuję!”. Średnia cena: od 300 do 500 jenów. Czasami świeżo kupione dziecko było natychmiast odsprzedawane dalej za wyższą cenę[37].

Większość towarów na japońskim czarnym rynku pochodziła z zaopatrzenia wojskowego; żołnierze alianccy chętnie handlowali z japońskimi gangsterami. Rozmawiałem kiedyś z pewnym Japończykiem, emerytowanym gangsterem, któremu łzy stanęły w oczach na wspomnienie tych dobrych czasów, kiedy zarabiał krocie, ułatwiając przepływ towarów z amerykańskich sklepów PX na czarny rynek, i jeździł wielkim amerykańskim autem wypchanym banknotami aż po dach. On był jednak płotką w porównaniu z japońskimi urzędnikami bardzo wysokiego szczebla, którzy pod koniec wojny zdołali zakamuflować gdzieś 70 procent rezerw wojskowych. To, co pozostało, między innymi różne maszyny i urządzenia budowlane, Amerykanie przekazali władzom japońskim do użytku na rzecz dobra publicznego. Ale te resztki też w większości zniknęły tymi samymi kanałami, co wcześniej zagrabione dobra, i w ten sposób

wielu urzędników, w tym niejeden zbrodniarz wojenny, niezmiernie się wzbogaciło.

Między Niemcami a Japończykami istniały oczywiste różnice w zakresie kultury, polityki i historii, lecz pod względem zachowań ludzi w podobnych okolicznościach te dwa narody miały wiele wspólnego. Gospodarka o charakterze kryminalnym, żerująca na ludzkiej nędzy i nieszczęściu, nieuchronnie prowadzi do załamania więzów solidarności międzyludzkiej – to właśnie jest część tego upodlenia, o którym wspominał Ango Sakaguchi. Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, myśli wtedy tylko o sobie. Jak powiedział Heinrich Böll: „Każdy posiadał jedynie swoje życie plus to, co mu wpadło w ręce: węgiel, drewno, książki, materiały budowlane. Każdy mógł oskarżyć wszystkich innych o kradzież i miałby słuszność”[38].

No i oskarżano. W Niemczech każdy wiedział, że Żydzi oraz dipisi to brutale i aferzyści. W Japonii to samo mówiło się o Koreańczykach, Chińczykach i Tajwańczykach. Ludzie ci, często przywiezieni do Japonii w czasie wojny jako robotnicy przymusowi, byli znani zbiorowo jako „obywatele państw trzecich”, czyli ani Japończycy, ani Amerykanie, i uważani za najgorszych przestępców. Trudno zaprzeczyć, że gangi koreańskie i tajwańskie walczyły z japońskimi o łupy, oraz że niektórzy Żydzi oraz dipisi handlowali na czarnym rynku; oni też chcieli jakoś przeżyć. Bergen-Belsen stało się wielkim ośrodkiem czarnego rynku. Wielu dipisów pochodzenia żydowskiego, polskiego, ukraińskiego i jugosłowiańskiego utkwiło w obozach na wiele lat, a warunki były, jakie były. W raporcie na temat sytuacji w Niemczech i Austrii Carl Zuckmayer ostrzegał, że „antysemityzmu w Niemczech nie uda się wykorzenić, dopóki nie pojawi się międzynarodowe rozwiązanie kwestii dipisów”[39]. W rzeczywistości Niemcy często nie zwracali uwagi na szczegóły: Łotysze, którzy z własnej woli współpracowali z hitlerowską Trzecią Rzeszą, byli „cudzoziemcami” tak samo jak Żydzi. I czasem Niemiec musiał pójść do kogoś takiego, by kupić żywność po wygórowanej cenie. Faktem jest jednak, że paskarzami w większości byli ich rodacy, wcale nie Żydzi; bez wątpienia najbardziej potężni i wpływowi handlarze, prawdziwi królowie czarnego rynku, byli Niemcami.

Amerykański major Irving Heymont, wojskowy zarządca rejonu Bawarii, w którym znajdowały się duże obozy dla dipisów narodowości żydowskiej (między innymi Landsberg, miasto, w którym niegdyś Hitler siedział w więzieniu i w którym napisał *Mein Kampf*), stwierdził: „Mieszkańcy obozu handlują na czarnym rynku tak samo jak wielu innych ludzi w Niemczech. […] Ich działalność ogranicza się głównie do nabywania artykułów gwarantujących podstawowe wygody oraz świeżej żywności drogą prostego handlu wymiennego”[40]. Zauważył też, że działający na czarnym rynku „nieliczni więksi przedsiębiorcy” dawniej byli albo biznesmenami, albo przestępcami. Robili to, do czego mieli naturalne zdolności. To było ich rzemiosło.

Jednym z powodów, dla których Żydzi, „obywatele państw trzecich” oraz inni cudzoziemcy byli uważani za przestępców z natury, są zwyczajne uprzedzenia. Skłonność do uprzedzeń jest cechą ludzką, ale tę niechęć potęgowały trudne warunki oraz powszechne przekonanie, że alianci faworyzują cudzoziemców: że amerykańska żandarmeria wojskowa w Japonii pozwala Koreańczykom robić, co chcą, albo że alianckie władze zapewniają Żydom królewskie warunki kosztem niewinnych Niemców. Było w tym ziarno prawdy, chociaż bardzo niewielu Żydów – zwłaszcza tych w obozach dla dipisów – żyło w miarę komfortowo, o królewskich wygodach już nie wspominając. Ale nie więcej niż ziarno, gdyż urzędnikom alianckim także nieobcy był antysemityzm czy rasizm. Generał Patton miał w tej kwestii poglądy bardziej skrajne niż inni, a na pewno nie bawił się w delikatność, kiedy wyrażał pogardę dla żydowskich więźniów, którzy przeżyli obóz w Dachau: opisywał ich jako istoty „stojące niżej od zwierząt”[41]. Generał Eisenhower wprawdzie poinstruował amerykańskich urzędników w okupowanych Niemczech, że dipisi pochodzenia żydowskiego mają mieć pierwszeństwo przed Niemcami, ale jego zalecenie często ignorowano. Zdaje się, że Amerykanie uważali Niemców, a także ich dawnych sprzymierzeńców i uchodźców z krajów bałtyckich, za łatwiejszych we współpracy niż Żydów z ich urazami psychicznymi[42].

To poczucie krzywdy własnej i zrzucanie wszelakich win na cudzoziemców wyraźnie wskazuje jednak na proces o wiele głębszy: na wyparcie się odpowiedzialności za to, co Niemcy i Japończycy uczynili innym narodom. Zaprzeczając faktom, łatwiej jest czuć się pokrzywdzonym. Reporter z czasopisma „Yank" podczas spaceru po Berlinie w sierpniu zauważył Niemkę w obdartej sukience i za dużych męskich butach, która pokazała język radzieckiej żołnierce. „Ty jesteś nażarta, a my, Niemcy, głodujemy" – powiedziała i splunęła na ziemię[43]. Ale nawet wtedy głoszono też poglądy całkiem przeciwne. „Berliner Tagesspiegel" ubolewał, że Niemcy „wznoszą mury, za którymi chronią się przed [świadomością] straszliwych zbrodni przeciwko Polakom, Żydom i jeńcom", oraz narzekał na „głupi i arogancki brak wdzięczności za żywność podarowaną nam przez Amerykę i Wielką Brytanię"[44].

Z czasem oczywiście bardziej uregulowana gospodarka powoli zastąpiła czarnorynkową, ale długofalowe skutki tego okresu bezprawia, zwłaszcza w Niemczech i Japonii, były poważne. Otóż powojenna zapaść gospodarcza, a w następstwie rozkwit czarnego rynku spowodowały zanik dawnych podziałów klasowych. Kobiety z najlepszych rodzin chodziły pieszo na wieś, aby wymieniać rodzinne pamiątki na żywność. Ubodzy niegdyś chłopi mieli gotówkę. Widywano japońskie chłopki brodzące w błocie na polach ryżowych w pięknych zabytkowych kimonach, które kiedyś kosztowały fortunę. Córki zubożałych arystokratów z konieczności wychodziły za mąż za obrotnych, ale często bynajmniej nie uczciwych nuworyszy. Jednak powojenny chaos przyniósł też swobodę zakładania przedsiębiorstw bez przeszkód ze strony okrzepłej już konkurencji. W 1945 roku w uszkodzonym przez bomby domu towarowym w Tokio Masaru Ibuka założył warsztat naprawy aparatów radiowych. Taki był początek firmy o nazwie Sony.

Spostrzeżenie Alfreda Döblina, autora znakomitej przedwojennej powieści *Berlin Alexanderplatz* (1929), warte jest przytoczenia w całości. Przetrwawszy wojnę na emigracji w Kalifornii, Döblin powrócił do Niemiec, gdzie znów poczuł się jak wygnaniec. Oto co napisał po przyjeździe do uzdrowiska Baden-Baden:

W Niemczech zauważyłem głównie to, że ludzie biegają w tę i z powrotem jak mrówki po zrujnowanym mrowisku, wśród tego upadku mimo wszystko podnieceni i rozpaczliwie pragnący wziąć się do roboty. Martwią się tylko tym, że nie mając właściwych narzędzi i wytycznych, nie mogą się do niej wziąć natychmiast. Zniszczenia nie załamały ich, lecz raczej natchnęły zapałem, by jeszcze ciężej pracować. Gdyby mieli środki, których im dziś brakuje, jutro by się radowali – radowali się, że ich przestarzałe, źle rozplanowane domy zostały unicestwione, a oni otrzymali szansę, by w to miejsce zbudować coś świetnego i nowoczesnego[45].

ROZDZIAŁ 3

ZEMSTA

Latem 1945 roku niedaleko słynącego z doskonałego piwa miasta Czeskie Budziejowice znajdował się obóz koncentracyjny. Nad jego bramą widniał napis: „Oko za oko, ząb za ząb”. Obozem zarządzali teraz Czesi, a więźniami byli Niemcy, w większości cywile. Komendant, znany z okrucieństwa młody Czech, zmuszał więźniów do pracy po dwanaście godzin na dobę na minimalnych racjach żywnościowych, a potem kazał ich budzić w środku nocy i spędzać wszystkich na plac apelowy, gdzie ku uciesze strażników musieli śpiewać, czołgać się, bić się wzajemnie, tańczyć – pomysłom rozbawionych Czechów nie było końca[1].

Żądza zemsty jest równie ludzka jak pragnienie zaspokojenia głodu czy potrzeb seksualnych. Mało kto zdołał wyrazić to równie precyzyjnie, a przy tym równie brutalnie jak Tadeusz Borowski. Aresztowany w 1943 roku po publikacji jego wierszy w konspiracyjnej prasie – podczas wojny w Warszawie kwitła kultura podziemna, działało wiele szkół, gazet, czasopism poetyckich i teatrów, a uczestnictwo w konspiracji groziło obozem koncentracyjnym lub rozstrzelaniem na miejscu – Borowski przeżył więzienie gestapo, a później obozy w Auschwitz i Dachau. Po wyzwoleniu Dachau znalazł się w dawnych koszarach SS pod Monachium jako dipis, czyli praktycznie tkwił dalej w zamknięciu. Słynny zbiór opowiadań o obozowym życiu i śmierci zawiera relację z tego przygnębiającego życia w zawieszeniu.

Jedna z nowel, zatytułowana *Milczenie*, opowiada, jak dipisi złapali sługusa hitlerowców, który próbował uciec przez okno, i „poczęli go tłamsić dziesiątkami zachłannych rąk”. Usłyszeli jednak nadbiegających amerykańskich żołnierzy, którzy zarządzali obozem. Wepchnęli zbiega pod warstwy koców na sienniku. Oficer, młodziutki Amerykanin w pięknie odprasowanym mundurze, mówi im przez tłumacza, że absolutnie rozumie, jak bardzo więźniowie, którzy przeżyli obóz, muszą nienawidzić Niemców, ale że trzeba szanować prawo. Winni będą ukarani po sprawiedliwym procesie, Amerykanie już tego dopilnują. Dipisi potakują, oklaskując sympatycznego Amerykanina i wznosząc życzliwe okrzyki. Oficer życzył im dobrej nocy i „żegnany przyjaznym gwarem” wyszedł, aby dokończyć obchód baraków. Wtedy dipisi wywlekli Niemca spod koców, obalili go na betonową podłogę i skopali na śmierć[2].

Tuż po wyzwoleniu – lub, w przypadku dipisów, półwyzwoleniu – tego rodzaju incydenty były na porządku dziennym. Wiadomo też, że na widok śladów niemieckiego bestialstwa alianccy żołnierze byli często tak zszokowani, że nie nazbyt ściśle trzymali się litery prawa. W Dachau amerykańscy wojskowi nie interweniowali, gdy więźniowie linczowali esesmanów, topiąc ich, rżnąc nożami, dusząc lub tłukąc łopatami na śmierć; co najmniej jednemu ucięto głowę bagnetem pożyczonym w tym celu od jednego z Amerykanów. Niekiedy żołnierze osobiście rozstrzeliwali strażników obozowych. W Dachau pewien porucznik seriami z karabinu maszynowego zabił ponad trzystu strażników. Trudno się dziwić, że wpadł w furię; chwilę wcześniej zobaczył stosy trupów piętrzące się pod krematorium[3].

W kwietniu 1945 roku w Bergen-Belsen brytyjska pielęgniarka widziała, jak na teren obozu po raz pierwszy wpuszczono grupę Niemek, także pielęgniarek. Rozkazano im zająć się chorymi w najcięższym stanie. Kobiety weszły na salę w lazarecie. W tym momencie „tłum byłych więźniów, wśród których byli nawet umierający, rzucił się na nie z krzykiem, drąc je paznokciami i raniąc widelcami i nożami, a nawet porwanymi z wózków instrumentami medycznymi”[4].

W tym wypadku Brytyjczycy musieli stanąć w obronie niemieckich cywilów, gdyż ich obecność zwiększała szansę przeżycia chorych. Niemniej alianckim oficerom, powracającym z emigracji urzędnikom państwowym, pracownikom organizacji charytatywnych oraz innym osobom zajętym przywracaniem powojennej Europy do stanu jakiej takiej normalności wcale nie było łatwo radzić sobie z ludźmi, którymi kierowało naturalne pragnienie zemsty, żądza wymierzenia brutalnej sprawiedliwości oko za oko. Jak ten naiwny oficer w opowiadaniu Borowskiego, często nie byli w stanie zapobiec dalszym aktom przemocy, zwłaszcza w krajach wstrząsanych wojną domową. Niejednokrotnie też albo odwracali wzrok, albo wręcz aktywnie uczestniczyli w czynach o wiele bardziej godnych potępienia niż pożyczenie bagnetu, do czego ograniczył się ów amerykański żołnierz w Dachau. Wiele aktów zorganizowanej zemsty nie mogłoby mieć miejsca, gdyby nie milcząca zgoda, a nawet zachęta ze strony władz. Pożądanie seksualne rzadko samo z siebie kończy się orgią; tak samo masowa przemoc rzadko wynika z działań jednostek, tu potrzeba przywództwa, organizacji.

I wyboru właściwej chwili. Jednym z zadziwiających aspektów powojennej rzeczywistości jest fakt, że Niemcy nie rzucili się sobie wzajemnie do gardeł. Berlińska dziennikarka, która należała do jakże nielicznego niemieckiego ruchu oporu, w dzienniku z pierwszych miesięcy powojnia pisała, że ludzie „pragnęli odwetu”. W ostatnich miesiącach wojny, kiedy wielu Niemców znalazło się w rozpaczliwej sytuacji, „nawet największy głupiec zrozumiał, jak zbrodniczo został oszukany przez nazizm”. I dlatego, pisała dalej, „gdyby upadek [Trzeciej Rzeszy] od zwycięstwa [aliantów] oddzieliło chociaż trzy dni, tysiące rozczarowanych, poniżonych i skrzywdzonych przez Rzeszę ludzi byłoby poszukało zemsty na krzywdzicielach. Każdemu dostałby się jego osobisty mściciel. «Oko za oko» – przysięgali ludzie. «Pierwsza godzina po upadku to czas długich noży!» Los chciał inaczej”[5].

Fakt. Niemców zjednoczyły nędza i cierpienie pod obcą okupacją. Zemstę wywarł na nich kto inny.

Hrabia Hans von Lehndorff prowadził szpital w Królewcu – mieście, które dawniej leżało w Prusach Wschodnich i nazywało się Königsberg, a obecnie należy do Rosji i nazywa się Kaliningrad – kiedy w kwietniu 1945 roku wkroczyła tam armia radziecka. Jego pamiętnik zdradza w nim człowieka równie roztropnego, jak i głęboko religijnego. Otóż von Lehndorff relacjonuje, jak kilkunastu czerwonoarmistów, pijanych w sztok po obrabowaniu pobliskiej gorzelni, wtoczyło się do budynku i zgwałciło wszystkie kobiety, jakie przebywały w salach szpitalnych, nieważne – młode czy stare, pielęgniarki czy pacjentki, kilka z tych ostatnich tak ciężko rannych, że praktycznie nieprzytomnych. Niektóre kobiety błagały żołnierzy, by je zastrzelili, ale ten akt łaski zwykle poprzedzony był wielokrotnym zgwałceniem – co zresztą w wielu przypadkach sprawiło, że żołnierze nie musieli już marnować nabojów.

Von Lehndorff nie był nazistą, wręcz przeciwnie, członkowie tej arystokratycznej rodziny w większości brzydzili się nazistami. Jego matkę aresztowało gestapo, kuzyn został stracony za udział w zamachu na życie Hitlera 20 lipca 1944 roku. Widząc swoje miasto w ogniu, gwałcone kobiety, rozstrzeliwanych mężczyzn i podziurawione kulami, systematycznie rabowane domy, zastanawiał się nad sensem tego wszystkiego: „Czy to wciąż jeszcze skutki wrodzonej dzikości, czy już zemsta? Pewnie zemsta. […] Ileż wysiłku wkładają w unaocznienie nam chaosu! […] I te oszalałe dzieciaki, nie starsze niż piętnaście czy szesnaście lat, które jak wilki rzucają się na nasze kobiety, nie mając żadnego pojęcia, o co tu chodzi. To nie ma nic wspólnego z Rosją, z danym narodem czy rasą; oto człowiek bez Boga, groteskowa karykatura człowieczeństwa. Inaczej nie bolałoby to tak strasznie – tak jak nasze poczucie winy”[6].

Szlachetne to uczucia, i Lehndorff z pewnością ma rację, że zawsze i wszędzie człowiek, któremu przyzwoli się, by czynił bliźniemu co tylko zechce, czyni najgorsze zło, i to z ochotą. Lecz największymi krzywdzicielami są ci, którzy uważają, że Bóg lub jakiś jego ziemski zamiennik jest po ich stronie. Zemsta nie jest mikrobem, który swobodnie unosi się w powietrzu – zazwyczaj stoi za nią osobista lub zbiorowa historia. Poza Żydami to właśnie obywatele Związku Radzieckiego doznali

największych cierpień z rąk Niemców. Statystyka jest przerażająca, wręcz niewyobrażalna. Śmierć poniosło ponad 8 milionów żołnierzy radzieckich, z czego 3,3 miliona zmarło z głodu w obozach jenieckich, w których nie mieli nawet baraków, by schronić się przed mrozem czy upałem. Ludności cywilnej zginęło 16 milionów. Straty podobnego rzędu ponieśli jedynie Chińczycy, którzy pod japońską okupacją stracili ponad 10 milionów cywilów. Ale to jedynie statystyka, która nie daje prawdziwego obrazu rzeczy. Głód i eksterminacja to nie wszystko: nie należy zapominać o poniżeniu. Hitlerowcy uważali Rosjan i wszystkie inne narody słowiańskie za *Untermenschen*, podludzi, nadających się jedynie do niewolniczej pracy na rzecz germańskich panów – a niewolnik, który nie jest w stanie pracować, nie zasługuje, by go karmić. Program eksploatacji gospodarczej okupowanych terytoriów Związku Radzieckiego, „Plan głodowy", zakładał zapewnienie Niemcom *Lebensraum*, przestrzeni życiowej, oraz żywności przez zamorzenie Rosjan głodem. Gdyby ten bestialski plan został w pełni wykonany, zginęłyby dziesiątki milionów ludzi.

Akt zemsty nie zawsze jest jednak wynikiem braku dyscypliny lub wybuchu furii. Żołnierz brutalnie traktowany przez oficera chętnie wyładowuje frustrację na cywilu. Niewykluczone, że ta właśnie frustracja, oprócz rasistowskiej pogardy dla Chińczyków jako podludzi, leży u źródła okrucieństw, jakich dopuszczali się japońscy żołnierze w Chinach. Oficerowie Armii Czerwonej, o politrukach i enkawudzistach już nie wspominając, również nie mieli cienia litości dla żołnierzy. Oprócz tego jednak, kiedy tylko wojska niemieckie zaczęły się wycofywać ze Związku Radzieckiego, czerwonoarmistom powiedziano otwarcie, że po wkroczeniu na ziemie wroga będą mogli robić, co tylko zechcą. Na przygranicznej drodze stały tablice informacyjne z napisem: „Żołnierzu, jesteś już w Niemczech – mścij się na hitlerowcach"[7]. Żołnierzom codziennie wbijano do głowy apele Ilii Erenburga i innych agitatorów: „Dzień, w którym nie zabijesz przynajmniej jednego Niemca, to dzień stracony. Jeśli zabiłeś jednego Niemca, zabij następnego; nic nie jest nam milsze niż stos niemieckich trupów". W rozkazie ze stycznia 1945 roku marszałek

Żukow pisał: „Biada ziemi morderców! Wywrzemy na niej straszliwą pomstę za wszystko”[8].

Jakiej więcej zachęty potrzeba temu, kto przez wiele lat doznawał poniżeń, był traktowany jako członek rasy podludzi, a straciwszy krewnego lub przyjaciela, wiedział, że umarł on straszną śmiercią. Ale to nie wszystko. Człowiek radziecki już od lat był karmiony propagandą na temat drapieżnego kapitalizmu. Oto nadarzyła się okazja, by dokonać na burżujach zemsty godnej rewolucjonistów. Żołnierzy – z których niejeden w życiu nie widział sprawnie funkcjonujących urządzeń elektrycznych, a co dopiero tak luksusowych przedmiotów jak zegarek – szokowała stosunkowa zamożność niemieckiej ludności cywilnej, nawet w warunkach wojennego niedostatku w zbombardowanych miastach. Żądzę zemsty podsycały chciwość, nienawiść etniczna, zawiść klasowa, wpływ propagandy politycznej i świeże wspomnienia niemieckich zbrodni. Pewien radziecki oficer tak podsumował te uczucia: „Im głębiej wkraczamy na terytorium Niemiec, tym większe odczuwamy obrzydzenie na widok tutejszego powszechnego bogactwa. […] Z największą rozkoszą roztrzaskałbym pięściami te równe rządki puszek i butelek”[9].

Uczucia takie łatwo prowadzą do wybuchu agresji, nawet kiedy nie są podsycane przez żądzę zemsty. W sierpniu 1945 roku, niecały tydzień przed kapitulacją Japonii, Armia Czerwona wkroczyła do północno-wschodnich Chin, czyli do Mandżurii. W dużych miastach: Harbinie, Mukdenie i Shinkyō, żołnierze urządzili rzeź, mimo że nie mieli przecież żadnego powodu mścić się na licznej tam japońskiej ludności cywilnej, a chińskiej tym bardziej. Owszem, podczas wojny rosyjsko-japońskiej, która toczyła się w latach 1905–1906 właśnie w Mandżurii Rosja odniosła poniżającą porażkę, ale Japończycy nigdy nie wkroczyli na jej terytorium. Nieostrożnego ataku na Związek Radziecki dokonali tylko raz – stało się to w 1939 roku na granicy mongolskiej – i zostali wtedy zdecydowanie odparci. A jednak w północno-wschodnich Chinach żołnierze radzieccy dopuścili się czynów, których nie powstydziliby się szesnastowieczni konkwistadorzy.

Japońska ludność cywilna była tak samo bezbronna jak ludność niemiecka w krajach Europy Wschodniej, i to z tego samego powodu: większość Niemców – esesmanów, oficerów i urzędników wyższego szczebla – uciekła na zachód, a oficerowie i urzędnicy japońscy zajęli wszystkie pociągi do portów, z których odpływały statki do Japonii, zostawiając cywilów na pastwę losu. Prawie 2 miliony Japończyków pozostało w Mandżurii bez żadnej ochrony. Wielu z nich przeniosło się tam po założeniu w 1932 roku marionetkowego państwa Mandżukuo: rząd japoński, szukając *Lebensraum* dla mieszkańców wsi, gorąco zachęcał obywateli do emigracji. W Mukdenie, Shinkyō, Kirinie i Harbinie osiedleńcy mieli własne banki, koleje, sklepy, szkoły, akademie sztuk pięknych, kina i restauracje (wszystko to prowadzone przez Japończyków dla Japończyków), a na wsiach przejęli ziemię odebraną chińskim chłopom. Propaganda usprawiedliwiała całą tę przemoc podniosłymi hasłami o Azji dla Azjatów oraz nowym wspaniałym Wschodzie: teraz, pod wodzą Japonii, nowocześniejszym, prężniejszym i sprawiedliwszym niż pod rządami imperialistów z Zachodu.

Korzystając z klęski Japonii, Chińczycy zaczęli łupić japońską ludność. Nimi też kierowało poczucie krzywdy, w Mandżukuo bowiem, założonym i rządzonym przez japońską Armię Kwantuńską, byli obywatelami trzeciej kategorii, gorszymi nawet od Koreańczyków, i żyli na japońskiej łasce. Lecz we wspomnieniach tamtejszych Japończyków czerwonoarmiści zapisali się o wiele gorzej niż jakikolwiek Chińczyk: „Wdzierali się do japońskich domów i nie tylko kradli wszystko, na co mieli ochotę, lecz także gwałcili każdą kobietę, która im się spodobała”[10].

Japończyków, którzy uciekli przed Armią Czerwoną na południe, spotkał niewiele lepszy los. Wędrowali w większości pieszo. Skończyła się żywność. Wszy szerzyły tyfus. Matki dusiły swoje niemowlęta, by ich płacz nie sprowadził pałających zemstą Chińczyków, Koreańczyków lub czerwonoarmistów. Starsze dzieci sprzedawano chińskim chłopom w nadziei, że chociaż tak przeżyją. Podczas tej ucieczki życie straciło ponad 11 tysięcy japońskich osadników; około jednej trzeciej popełniło samobójstwo.

Opowieści o okrucieństwie radzieckich żołnierzy rozchodziły się szerokim echem. Niekiedy uciekano się do osobliwych sposobów ugłaskiwania najeźdźców. Japończycy z miasteczka Andong, leżącego przy granicy Mandżurii z Koreą, zorganizowali komitet powitalny. Dzieciom rozdano czerwone chorągiewki, na dworcu kolejowym stanął łuk triumfalny, obwieszony czerwonymi flagami i hasłami wyrażającymi głęboką przyjaźń dla Związku Radzieckiego, a lokalni notable przygotowali kwieciste przemowy. A potem czekano… i czekano… i czekano. Dzieci się pospały, wciąż ściskając w dłoniach chorągiewki. Późną nocą dotarła wiadomość, że oddziały Armii Czerwonej obrały inną drogę i w Andong pojawią się kiedy indziej.

Relacje japońskie rzadko nadmieniają, że radzieckie wojsko fatalnie traktowało także Chińczyków, ale prawdą jest, że Japończycy ucierpieli bardziej. Ich bogactwa (a przynajmniej wieści o nich) stanowiły nieodpartą pokusę. Tak opowiadał cytowany już świadek wydarzeń: „Żołnierze radzieccy paradowali po mieście, jak gdyby było ich własnością, nosząc zegarki na obu nadgarstkach, aparaty fotograficzne na szyjach, rzędy wiecznych piór wystające z kieszeni płaszczy”[11]. W Mandżurii tak samo jak w Niemczech zaobserwowano, że wielu żołnierzy w życiu nie widziało niektórych nowoczesnych urządzeń. Kiedy nienakręcony zegarek przestawał działać, lądował w rowie. Chińscy ulicznicy sprzedawali potem te wyrzucone z gniewem czasomierze na czarnym rynku. Kręcące się pod sufitem elektryczne wiatraki przerażały czerwonoarmistów tak, że strzelali do nich z karabinów maszynowych.

Prawdopodobnie jednak radzieccy żołnierze nie okradaliby cywilów do tego stopnia, gdyby nie zachęta, czy wręcz przykład, ze strony przywódców. Czym jest kradzież paru zegarków w porównaniu z ograbieniem japońskich fabryk, kopalń, kolei i banków? Jedynym usprawiedliwieniem, jakie mogli ewentualnie podać Rosjanie (chociaż jakoś specjalnie nie próbowali się usprawiedliwiać), było to, że podczas wojny przeciwko faszyzmowi – który komunistyczna propaganda przedstawiała jako przedłużenie kapitalizmu – wszelkie łupy przynależą się ludowi. Grabież była częścią programu rewolucji. W każdym razie

zachowania żołnierzy radzieckich w północno-wschodnich Chinach nie da się usprawiedliwić wcześniej doznanymi upokorzeniami, chyba że mówimy o upokorzeniach, jakich doznaje nędzarz, wchodząc w świat ludzi stosunkowo zamożnych. Niemcy to było coś całkiem innego. I faktycznie – tam żołnierze radzieccy zachowywali się o wiele brutalniej.

Najpewniejszy sposób, by zapłacić hańbą za hańbę, to zgwałcić kobiety – publicznie, na oczach bezsilnych, niemogących temu zapobiec mężczyzn. Gwałt na kobietach to najstarsza forma terroru w historii konfliktów międzyludzkich i w żadnym wypadku nie typowa wyłącznie dla czerwonoarmistów. Rację miał tu hrabia Hans von Lehndorff. Różnią się jednak powody, jakimi ludzie usprawiedliwiają swoje bestialstwa. Człowiek radziecki wykazywał szczególną brutalność właśnie w Niemczech, ponieważ różnice poziomu zamożności w połączeniu z rasizmem stworzyły między tymi dwoma krajami błędne koło wzajemnie wrogiej propagandy. Niemcy regularnie słyszeli, że walczą po to, aby bronić swych kobiet przed „mongolskimi" lub „azjatyckimi" barbarzyńcami. Im zacieklej walczyli Niemcy, tym straszliwszą pomstę pragnęli wywrzeć Rosjanie za okrucieństwa, które dalece przewyższały cokolwiek, co oni sami uczynili Niemcom. Z kolei w ich przypadku pomsta na wrogu łączyła się z walką z kapitalizmem. Radziecka propaganda przedstawiała Niemki nie tylko jako nazistki równie fanatyczne jak ich mężowie, lecz w dodatku jako nazistki tłuste, rozpieszczone i bogate. Pewien radziecki rysunek satyryczny przedstawia bogatą Niemkę, jej córkę i pokojówkę, które otoczone rzeczami zrabowanymi z Rosji rozpaczliwie szukają czegoś, co można by wywiesić jako białą flagę. Cóż za ironia: w czasopiśmie wydawanym przez armię amerykańską Niemka wygląda niemalże identycznie – „Miss Veronica Dankeschön" to pulchna blondyna w spódnicy haftowanej w swastyki. Jedyna różnica w tym, że amerykańskiemu żołnierzowi doradza się, by się trzymał z daleka od miss Veroniki, bo może go ona zarazić chorobą weneryczną, podczas gdy żołnierza radzieckiego zaprasza się, aby brał, co mu się należy. Kolejny rysunek: robotnik przymusowy, Rosjanin, mówi do swojej byłej właścicielki: „Teraz zobaczysz, frau. Przyszedłem odebrać należność"[12].

No i odbierał. Anonimowa autorka zapisków *Kobieta w Berlinie* ze wstrząsającą dokładnością opisuje hańbienie kobiet: objaw tego samego obrzydzenia, któremu dawał wyraz żołnierz pragnący roztrzaskać pięściami schludne ozdóbki w domach niemieckich burżujów. Ona również była wielokrotnie gwałcona przez czerwonoarmistów. Pewnego razu dostrzegła, że żołnierz, który właśnie ją gwałci, podczas gdy tuż obok jego kolega czeka na swoją kolej, praktycznie jej nie zauważa. Ona też jest dla niego przedmiotem. „Tym bardziej przerażające jest jego pchnięcie, które mnie przyciska do podłogi. […] Nagle czuję palce na ustach, smród konia i tytoniu. Otwieram oczy. Obce palce zręcznie rozchylają mi szczękę. Oko w oko. Potem z jego ust powoli wpada do moich ust nagromadzona ślina”[13].

Gwałcenie Niemek, zwłaszcza tych, które wydawały się posiadać niezmierzone bogactwa, i zwłaszcza na oczach tak niedawno jeszcze butnych, a dziś bezsilnych wojowników z „rasy panów”, sprawiało, że pogardzani podludzie znów czuli się mężczyznami. Wysokiej rangi oficer radziecki w Berlinie nie ukrywał, że „z początku nasi upojeni zwycięstwem chłopcy z niejaką satysfakcją dawali nauczkę paniom z Herrenvolku”[14]. Tylko że to nie było jedynie z początku, w chwili upojenia zwycięstwem. Przez całe lato 1945 roku brutalne gwałty, których dowództwo w żaden sposób nie powściągało ani nie karało, były codziennością. Później radzieckie władze wojskowe i cywilne sporadycznie próbowały je ograniczać, niekiedy za pomocą drakońskich środków, z karą śmierci włącznie. W rzeczywistości jednak Niemki poczuły się bezpiecznie, dopiero kiedy oddziały Armii Czerwonej zostały skoszarowane, czyli w 1947 roku.

***

Pragnienie zmazania hańby i przywrócenia sobie męskiej dumy jest jedną z możliwych przyczyn bestialstw popełnionych przez radzieckich żołnierzy na ziemiach niemieckich. Mściwość ludzi, którzy ucierpieli daleko mniej niż Rosjanie, może mieć to samo źródło. We Francji około 6 tysięcy osób

straciło życie podczas tak zwanej dzikiej czystki, *l'épuration sauvage*, którą przeprowadzono w 1944 roku, czyli jeszcze przed końcem wojny. Ludzie ci zostali oskarżeni o zdradę i kolaborację z Niemcami, a zamordowali ich członkowie rozmaitych zbrojnych ugrupowań powiązanych z ruchem oporu, częstokroć komuniści. Dwa razy tyle kobiet rozebrano do naga, ogolono im głowy, na różnych częściach ciała namalowano swastyki i w takim stanie prowadzono je ulicami, gdzie były opluwane, wyszydzane i na różne inne sposoby poniżane. Wiele z tych kobiet zamknięto w prowizorycznych więzieniach; gwałcili je strażnicy, ponad 2 tysiące zabito. Podobne sceny, choć na mniejszą skalę, rozgrywały się w Belgii, Holandii, Norwegii i w innych krajach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji. Niekiedy wobec kobiet stosowano karę, którą od wieków zwykł wymierzać rozwścieczony tłum: wymazanie smołą i wytarzanie w pierzu.

W przypadku kobiet kolaboracja zwykle oznaczała stosunki seksualne z wrogiem. Występku tego, w przeciwieństwie do zdrady, nie uwzględniał wcześniej żaden kodeks prawa. Postępowanie takie uważano za nietaktowne, egoistyczne, nieprzyzwoite, obraźliwe – ale nie karalne. Zatem w 1944 roku Francja wprowadziła nowe prawo. Ktokolwiek przez swe niepatriotyczne zachowanie, na przykład sypianie z wrogiem, naraża na szwank morale narodu, jest winien *indignité nationale*, niegodziwości narodowej, i będzie ukarany utratą praw obywatelskich.

W maju 1945 roku we Francji rozpoczęła się czystka, prowadzona często ze straszliwą brutalnością. Jej ofiarą padło kilka tysięcy osób; około 4 tysięcy otrzymało wyrok śmierci. Niektóre z nich rzeczywiście dopuściły się zdrady, ale wiele zostało skazanych z powodu osobistych zatargów lub z przyczyn politycznych, częstokroć dlatego, że partia komunistyczna uznała je za niewygodne. Ale kobiety oskarżone o „kolaborację na plecach" spotkało nieproporcjonalnie wielkie potępienie i publiczna kara. To także da się wytłumaczyć, przynajmniej częściowo, powszechnym poczuciem hańby. Fakt poddania się Francji przeważającej sile Niemiec często opisywano w tych samych słowach co stosunek seksualny. Nieposkromiona niemiecka armia, reprezentująca krzepki, męski, potężny naród, podporządkowała swojej woli słabą, zniewieściałą, zdeprawowaną Francję.

Najbardziej bolesnym symbolem tego upodlenia była właśnie kolaboracja na plecach – obraz rozchichotanych młodych Francuzek, które ochoczo rozsiadają się na kolanach boszów opitych wybornym francuskim szampanem. A skoro tak, to właśnie kobiety należało ukarać z największą surowością i w sposób najbardziej hańbiący.

Francuzki otrzymały prawo głosu jeszcze przed wyzwoleniem i okresem dzikiej czystki, a mianowicie w kwietniu 1944 roku. Poniższy fragment artykułu, który ukazał się w wydawanej przez ruch oporu gazecie „Le Patriote de l'Eure" w lutym 1945 roku, jest bardzo znamienny. Powszechna opinia na temat kobiet, które zabłądziły do niewłaściwego łóżka, była we Francji następująca:

> Niedługo ujrzymy te kobiety w lokalach wyborczych, głosujące ramię w ramię ze zwykłymi, dzielnymi Francuzkami, dobrymi matkami i żonami jeńców wojennych. Nie zamierzamy chyba pozwolić, by kobiety, które z nas szydziły, które nam groziły, które omdlewały w ramionach boszów, w jakimkolwiek stopniu uczestniczyły w podejmowaniu decyzji o losach odrodzonej Francji[15].

Wyobraźmy sobie ten kontrast: szydzące, omdlewające ladacznice naprzeciw cnotliwych matek i żon jeńców wojennych. Nietrudno dostrzec tu poczucie wstydu, a także wyraźne ciągoty purytańskie. Łóżkowe kolaborantki nie tylko były niepatriotyczne, lecz także zagrażały moralności małomieszczańskiej rodziny. Wystarczy dodać toksyczną zawiść z powodu ich lepszej sytuacji ekonomicznej, a oburzenie osiągnie punkt wrzenia. Z miotanych na te „podłe kobiety" oskarżeń nie zawsze jasno wynika, co uważano za gorsze: niemoralność obyczajową czy płynące z niej korzyści materialne. Sypianie z wrogiem było złe samo w sobie, ale egzystowanie w lepszych warunkach niż współobywatele ogromnie tę zbrodnię pogarszało. Ponurą ilustrację tego faktu stanowi historia madame Polge, żony znanego piłkarza z Nîmes.

Podczas okupacji madame Polge została kochanką dowódcy garnizonu, Niemca, który nosił francuskie nazwisko Saint Paul. Ze swoich usług czerpała rozmaite korzyści. Gazeta „Le Populaire" pisała, że madame Polge „przyznała się, iż komendant przysyłał jej dwa czy trzy litry mleka

dziennie, a świeżą dziczyznę dwa albo trzy razy na tydzień. Nie płacąc ani centyma, miała w domu przyjemnie i ciepło oraz często odwiedzała fryzjera. […] A tymczasem robotnicy całymi rodzinami umierali z głodu”[16]. Madame Polge została skazana na śmierć. Na miejsce straceń wieziono ją nagą, z ogoloną głową. Tam ją rozstrzelano. Jej ciało wystawiono na widok publiczny. Cnotliwi mieszkańcy Nîmes długo pluli na zwłoki, a wreszcie – ostateczna hańba, prawdziwie odpowiednia dla współczesnej czarownicy – nadziali je na kij od miotły.

Najbardziej gorliwymi prześladowcami *filles de Boches* byli zazwyczaj wcale nie ci, którzy odznaczyli się odwagą w czasie wojny. We wszystkich krajach wyzwolonych spod okupacji pojawili się różnego autoramentu osobnicy, którzy podawali się za członków ruchu oporu. Afiszowali się na ulicach z nowiutką opaską na rękawie i pistoletem maszynowym na ramieniu, udając bohaterów wojennych i polując na zdrajców oraz upadłe kobiety. Oto kolejne zjawisko, które wydaje się prawdziwe zawsze, wszędzie, we wszystkich okresach historii: ten, kto krył się po kątach, kiedy groziło prawdziwe niebezpieczeństwo, często wybiera zemstę jako lekarstwo na nieczyste sumienie. Doskonale ujął to prawdziwie bohaterski dysydent Adam Michnik, gdy sprzeciwiał się projektom przeprowadzenia antykomunistycznej czystki po roku 1989; powiedział, że jeśli chodzi o jego przeszłość, to on nie ma się czego wstydzić, więc teraz nie potrzebuje dowodzić swoich zasług przez wskazywanie palcem na innych. To szlachetne, głęboko humanitarne podejście jest zawsze rzadkością, a w powojennej rzeczywistości raczej nie występowało.

Aby zrozumieć jeden z najbardziej niegodziwych aktów powojennej zemsty, a mianowicie prześladowanie Żydów w Polsce w 1945 roku, trzeba wziąć pod uwagę chciwość, uprzedzenia i nieczyste sumienie[17]. Osiadła w Polsce od wieków społeczność żydowska uległa prawie całkowitemu unicestwieniu. Podczas okupacji zginęło 3 miliony polskich Żydów, zastrzelonych lub zagazowanych w niemieckich obozach zagłady, które w większości znajdowały się na ziemiach polskich. Przeżyło około 10 procent, zazwyczaj dzięki temu, że ukryli ich Polacy lub że przebywali w odległych rejonach Związku Radzieckiego. Ci, którzy ocaleli, stracili

większość, a często wszystkich krewnych. Wyczerpani fizycznie i psychicznie, dowlekli się do rodzinnych wsi i miasteczek – tylko po to, by stwierdzić, że nikt ich tam nie chce[18]. I jeszcze gorzej: często spotykali się z groźbami, siłą usuwano ich poza granice osady. W ich dawnych domach mieszkali już obcy ludzie. Synagogi leżały w ruinach. Wyposażenie opuszczonych domów zostało rozkradzione, często przez sąsiadów[19]. I mało kto był skłonny cokolwiek zwrócić.

W tym akurat Polska nie była odosobniona. Niejeden Żyd, powróciwszy do swojego domu w Amsterdamie, Brukseli czy Paryżu, odkrył, że już nie ma domu. Ale tylko w Polsce, szczególnie w mniejszych miejscowościach, Żydom groziło fizyczne niebezpieczeństwo. Były wypadki, że żydowska rodzina została wyciągnięta z pociągu, obrabowana z całego majątku i zabita na miejscu. Od lata 1945 do lata 1946 roku w Polsce zamordowano ponad tysiąc osób żydowskiego pochodzenia[20]. Nawet w dużym mieście Żyd nie zawsze był bezpieczny.

11 sierpnia 1945 roku po Krakowie rozeszła się pogłoska, że Żydzi zamordowali w synagodze chrześcijańskie dziecko. Była to oczywiście unowocześniona wersja antyżydowskiej bredni krążącej po Europie od wieków. Szeptano, że ocaleli z pogromu Żydzi piją chrześcijańską krew, by podbudować swoje nadszarpnięte zdrowie. Wkrótce zebrał się rozwścieczony tłum, na którego czele stali milicjanci. Ludzie przypuścili szturm na bożnicę, ograbili żydowskie domy, wypędzili Żydów – mężczyzn, kobiety i dzieci – na ulice i tam ich bili, paru (do dziś nie wiadomo ilu dokładnie[21]) zamordowali. Był to krwawy pogrom na ludziach, którzy ledwo uszli z życiem z Zagłady. W szpitalu, do którego zabrano ciężko rannych, niektórych z nich znowu pobito, gdy oczekiwali na opatrunki. Jedna z Żydówek opowiadała:

> W karetce pogotowia słyszałam uwagi sanitariusza i żołnierza eskortującego, którzy wyrażali się o nas jako o żydowskich ścierwach, które muszą ratować, że nie powinni tego robić, żeśmy dzieci pomordowali, że trzeba by nas wszystkich powystrzelać. […] Po chwili przyszli dwaj kolejarze, z których jeden powiedział: „To skandal, żeby Polak nie miał odwagi cywilnej uderzyć bezbronnego człowieka”, i uderzył rannego.

> […] Kobiety, między innymi pielęgniarki, stały za drzwiami, odgrażając się i mówiąc, że czekają na zakończenie operacji, żeby nas rozszarpać[22].

Sytuacja Polaków w czasie okupacji również była straszliwa. Zostali uznani za podludzi tak samo jak Rosjanie, ich stolicę zrównano z ziemią, zginęło ponad milion Polaków nieżydowskiego pochodzenia. W żaden sposób także nie można ich winić za to, że większość obozów zagłady Niemcy umieścili na terytorium ich kraju. Niemniej wygląda to tak, jakby za swoje cierpienia Polacy zemścili się na jedynym narodzie, który ucierpiał jeszcze bardziej[23].

Nierzadko słyszy się opinię, że motywem zemsty Polaków było mniemanie, że ucisk ze strony komunistów to wina Żydów. Kiedy wojska radzieckie zajmowały poszczególnie rejony Polski, wielu Żydów sądziło, że Rosjanie ochronią ich przed Polakami-żydożercami oraz daleko bardziej niebezpiecznymi Niemcami[24]. Członkowie tej narażonej na różnego typu prześladowania mniejszości od dawna uważali komunizm za przeciwwagę dla przesyconego antysemityzmem nacjonalizmu, jest zatem całkiem naturalne, że mu sprzyjali[25]. Ale chociaż wielu komunistów było Żydami, nie wszyscy Żydzi byli komunistami. Zemsta na Żydach za tak zwaną żydokomunę była w najlepszym razie skierowana pod niewłaściwy adres. Tak naprawdę jednak główną przyczyną pogromów wcale nie była polityka. Zazwyczaj atakowano Żydów nie za to, że są komunistami, lecz za to, że są Żydami. W populistycznej antysemickiej retoryce Żydzi byli przedstawiani nie tylko jako bolszewicy, lecz także jako kapitaliści. Demagodzy głosili, że są oni zamożniejsi od Polaków i wręcz uprzywilejowani. Sami komuniści także chętnie podsycali nastroje antyżydowskie. Nic dziwnego, że w końcu większość ocalałych z Zagłady polskich Żydów opuściła rodzinny kraj.

Bynajmniej nie wszyscy polscy Żydzi byli zamożni, lecz przeświadczenie o ich bogactwie miało twardy żywot[26]. Nieczyste sumienia leczyła komunistyczna propaganda, która przedstawiała Żydów jako kapitalistów[27]. Polacy z pewnością nie ponosili odpowiedzialności za niemiecki program eksterminacji ludności żydowskiej. Niemniej na

skraju opróżnianych gett już czekały wozy; Polacy z zapałem grabili żydowskie domy, gdy tylko Niemcy usunęli ich mieszkańców[28]. Inni z radością wprowadzali się do domów i mieszkań, których prawowici właściciele poszli do gazu; tak działo się w całej Europie.

Gdzieniegdzie, zwłaszcza w północno-wschodniej Polsce, w miasteczkach w okolicy Białegostoku, Polacy samodzielnie mordowali Żydów. W lipcu 1941 roku w Radziłowie spędzono Żydów do stodoły i spalono żywcem, podczas gdy ich polscy sąsiedzi ładowali ich dobytek do worków[29]. Naoczny świadek wydarzeń opowiadał: „To Polacy spędzali i ganiali Żydów. I od razu latali po domach, rabowali. […] Tam oszalał naród, wchodzili do mieszkań, pierzyny rozrywali, pierze uciekało, wiatr je gnał, a oni brali tobołek na plecy i lecieli do domu, aby zaraz wrócić z pustym workiem”[30]. Rodzinie Finkelstejnów udało się uciec. Po powrocie do wsi, w nadziei, że zmiana wiary pozwoli im przeżyć, Finkelstejnowie poprosili miejscowego proboszcza o chrzest. Ich córka Chaja Finkelstejn wspominała, że przez całą zimę z 1941 na 1942 rok rozmowy sąsiadów dotyczyły głównie tego, kto jakie żydowskie mienie zrabował i kto więcej na tym skorzystał”[31].

Nie wolno zapominać, że byli też Polacy, którzy zachowywali się zupełnie inaczej. Ukrywanie Żydów lub udzielanie im jakiejkolwiek pomocy było bardzo ryzykowne. Kto się na to zdecydował, sprowadzał niebezpieczeństwo na całą rodzinę. W krajach zachodnich Niemcy wysyłali osoby pomagające Żydom do obozu koncentracyjnego; w Polsce wpadka oznaczała śmierć przez powieszenie. Ale wielu Żydów ocalało dzięki odwadze Polaków. Przygarniali oni żydowskie dzieci, ukrywali całe rodziny. Słynna jest historia kilku żydowskich rodzin ze Lwowa, które przeżyły w miejskich kanałach dzięki pomocy kanalarza, a przy tym złodzieja, Leopolda Sochy. Ponad dwadzieścia osób ocalało, żyjąc w całkowitej ciemności, jedząc dostarczane przez Polaka skórki chleba i odpędzając szczury; raz przyszła burza i kanał błyskawicznie wypełnił się wodą, niewiele brakowało, żeby wszyscy utonęli. Gdy bladzi, wychudzeni, zawszeni, umazani ekskrementami wyszli wreszcie spod ziemi, lwowiacy dziwili się, że jeszcze widzą żywego Żyda. Niecałe dwa lata później Socha

zginął, przejechany przez pijanego kierowcę radzieckiej wojskowej ciężarówki. Jego sąsiedzi szeptali, że spotkała go kara boża za pomaganie Żydom[32].

To chyba jest najbardziej szokujące w tej powojennej historii. Polacy, którzy w czasie okupacji ratowali Żydów, słusznie zrobili, jeśli po wojnie zachowali to w tajemnicy – nie tylko z obawy przed gniewem Boga za pomaganie „mordercom Chrystusa", lecz także z powodu podejrzeń o czerpanie zysków z tej pomocy. Powszechnie uważano, że Żydzi byli bogaci i hojnie wynagradzali swoich wybawicieli. Każdy, kto się przyznał, że ich ukrywał, ryzykował, iż zostanie napadnięty, a jego dom splądrowany.

Nawet dawno zmarli Żydzi wciąż mogli mieć coś wartego zrabowania. Jesienią 1945 roku teren obozu zagłady w Treblince, gdzie zginęło ponad 800 tysięcy Żydów, był błotnistym masowym grobem. Okoliczni chłopi zaczęli rozkopywać ziemię w poszukiwaniu czaszek, z których dałoby się wyrwać przeoczone przez Niemców złote zęby. Setki ludzi przekopywały błoto łopatami i przesiewały hałdy popiołu, zmieniając ten masowy grób w rozległe pole usiane fragmentami kości i pełne dołów.

Trzeba tu jeszcze raz podkreślić, że Polacy nie byli odosobnieni. Nieludzkie warunki okupacji rodziły chciwość, a w warunkach tych żyły przecież niezliczone tysiące Europejczyków. Historyk Tony Judt zauważył: „Podejście nazistów do życia i zdrowia słusznie okryte jest złą sławą, ale to, jak traktowali oni własność, być może stanowi ich najważniejsze praktycznie dziedzictwo, które ukształtowało świat powojenny"[33]. Bezpańskie nieruchomości zawsze są potężnym bodźcem do brutalnych czynów. Polska jest nietypowa pod względem rozmiarów grabieży. Po wojnie powstała w Polsce praktycznie cała klasa ludzi, którzy wzbogacili się na zaborze majątku zamordowanych lub wypędzonych. Ciche, lecz uporczywe poczucie winy miewa przedziwne skutki.

We wrześniu 1945 roku artykuł w polskim tygodniku „Odrodzenie" ujął rzecz zwięźle:[34] „[…] znaleźliśmy w kraju całą warstwę społeczną – nowo narodzone polskie mieszczaństwo – które zajęło miejsce pomordowanych Żydów – często dosłownie – i które, czując może odór krwi na swych palcach – nienawidzi Żydów silniej niż kiedykolwiek"[35].

To najlepiej wyjaśnia akty zemsty, niekiedy krwawej, na głównych ofiarach hitlerowskiej Rzeszy. Rabunek mienia pożydowskiego był poniekąd częścią szerszej rewolucji społecznej. Trzeba też dodać, że tego rodzaju odwet nie mógłby nastąpić, gdyby nie poparcie ze strony wpływowych oportunistów we władzach oraz w milicji. Poparcie to zazwyczaj ograniczało się do milczącego przyzwolenia, lecz niekiedy zmieniało się w aktywną pomoc. W 1945 roku zdominowany przez komunistów polski rząd nie prowadził oficjalnej polityki prześladowania Żydów, lecz zachęta ze strony urzędników średniego szczebla często w zupełności wystarczyła.

***

To, że Polacy pragnęli wziąć odwet na Niemcach, łatwiej zrozumieć; ale nawet tu żądza zemsty do pewnego stopnia podszyta była walką klas[36]. W granicach Polski znalazły się regiony od wieków zasiedlone przez Niemców, na przykład Śląsk i Prusy Wschodnie. Duże miasta, takie jak Breslau – Wrocław, czy Danzig – Gdańsk, były w znacznej części niemieckie, po niemiecku mówili członkowie miejskich elit: lekarze, bankierzy, profesorowie, przedsiębiorcy. W 1945 roku na zajętych przez Armię Czerwoną dawnych ziemiach niemieckich mieszkało jeszcze ponad 4 miliony Niemców. Mniej więcej tyle samo, słysząc pogłoski o okrucieństwie Rosjan, uciekło na zachód. Projekt wypędzenia tych, którzy pozostali, był gotowy na długo przed majem 1945 roku. Już w 1941 roku premier rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie generał Władysław Sikorski bez ogródek głosił, że „niemiecką hordę, która od wieków parła na wschód”, należy rozbić i zmusić do odwrotu[37].

Przywódcy aliantów poparli projekt[38]. Stalin doradził polskim komunistom, aby stworzyli Niemcom „takie warunki, żeby sami chcieli uciec”. W grudniu 1944 roku Churchill poinformował Izbę Gmin: „Wypędzenie to metoda, która, na ile mogliśmy się zorientować, będzie najbardziej satysfakcjonująca i da trwałe skutki”[39].

Dopóki na ziemiach polskich kontrolę sprawowała Armia Czerwona, Polacy się bardziej lub mniej hamowali[40]. Libussa Fritz-Krockow, która pochodziła z bogatej ziemiańskiej rodziny z Pomorza, twierdziła, że ona i jej podobni czuli się bezpieczniej pod opieką Rosjan, i to mimo faktu, iż ci sami Rosjanie „popełniali przeważającą większość gwałtów i rabunków". Różnica w tym, podkreślała, że „akty przemocy z ich strony były dla nas w jakiś sposób zrozumiałe, niezależnie czy tłumaczyliśmy je sobie jako wynikające z zasady oko za oko, z nadmiaru energii czy z uprawnień zwycięzców. Natomiast ich pachołkowie, Polacy, okazywali swoją władzę zupełnie inaczej. W ich zachowaniu był jakiś chłód, obłuda, niemalże ukradkowość, i to robiło o wiele bardziej złowrogie wrażenie niż naga przemoc"[41].

Członkowie rodziny Krockowów nie sprzyjali hitlerowcom. Christian von Krockow, który opracował pamiętniki swojej siostry Libussy, był liberałem i doskonale rozumiał, że gehenna Niemców jest „skutkiem naszego własnego szaleństwa"[42]. Niewykluczone natomiast, że przekazany przez Libussę opis zawiera cień antypolskich uprzedzeń, goryczy, może nawet poczucia zdrady. Nie były to nietypowe emocje. Coś podobnego twierdził protestancki pastor Helmut Richter. Dawniej sądził, że Polacy to dobrzy ludzie. Poza tym w przeszłości Niemcy traktowali ich właściwie, czyż nie? Teraz jednak zdał sobie sprawę z „odrażającej natury tych ludów Wschodu". Polacy byli potulni, dopóki „czuli pięść nad głową", ale wystarczyło im „zyskać władzę nad bliźnimi, a natychmiast zmienili się w barbarzyńców"[43]. W ten sposób kolonizatorzy mówią o tubylcach. Różnica polega na tym, że w większości europejskich kolonii w Afryce czy Azji niegdysiejsi kolonizatorzy nie zamienili się w tubylców (chociaż należących do uprzywilejowanej klasy), a w tym wypadku i owszem.

W każdym razie Polacy nie życzyli sobie, aby Armia Czerwona spędziła na wyzwolonych przez siebie terenach, które teraz już oficjalnie należały do Polski, choćby dzień dłużej, niż to było konieczne. Poza tym decyzja o masowych przesiedleniach ludności została podjęta na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku[44], a okrucieństwo, jakie im towarzyszyło, nie wynikało wyłącznie z polskiej żądzy zemsty. Ponad 2 miliony Polaków

z dawnych ziem Rzeczypospolitej, której znalazły się na wschód od granicy polsko-radzieckiej, przesiedlono na Śląsk i tak zwane Ziemie Odzyskane, mniej więcej oczyszczone już wtedy z Niemców. Przejęli oni po dawnych mieszkańcach domy, ruchomości i miejsca pracy; proces ten rzadko przebiegał łagodnie.

Oczywiście czystki etnicznie rozpoczęły się nie w 1945 roku, lecz znacznie wcześniej. Hitlerowskie przesiedlenia Polaków i eksterminacja Żydów zmierzały do zapewnienia Niemcom przestrzeni życiowej na Śląsku i w pozostałych regionach przygranicznych. W wielu wypadkach zatargi o ziemię miały jeszcze starszy rodowód. Krwawą zemstę na tle etnicznym poprzedziły, jak to często bywa, wojny domowe. Po klęsce Niemiec i Austro-Węgier w 1918 roku decydował się los Śląska. Część otrzymała Austria, część Czechosłowacja, Polska i Niemcy także po kawałku. Górny Śląsk pozostał terenem spornym. Istniał tam silny ruch niepodległościowy, wspierany przez śląskich Polaków i Niemców. Jednakże na mocy traktatu wersalskiego o tym, czy Górny Śląsk zostanie przyłączony do Polski czy do Niemiec, miał zadecydować zorganizowany w 1919 roku plebiscyt. Decyzja ta doprowadziła do wybuchu zamieszek. Uzbrojeni polscy nacjonaliści rozpoczęli ataki na Niemców, szczególnie w przemysłowym okręgu katowickim. To sprowokowało krwawy odwet ze strony Freikorpsu. Ta założona pod koniec 1918 roku, już po klęsce Niemiec, ultranacjonalistyczna formacja paramilitarna miała stać się kolebką nazizmu. Jednym z okrzyków bojówkarzy z Freikorpsu było: „Czarny-czerwony-złoty! Śmierć Polakom!”. Większość głosujących opowiedziała się za przyłączeniem Górnego Śląska do Niemiec, co spowodowało wybuch kolejnych walk. W końcu część Górnego Śląska dostała się Polsce. W 1945 roku pamięć o tych zajściach była jeszcze świeża, a postępowanie okupantów wobec Polaków podsyciło zastarzałe urazy.

Rodzina Hoenischów mieszkała na Górnym Śląsku od pokoleń. Josef Hoenisch nie należał do NSDAP, więc w 1945 roku sądził, że może bezpiecznie pozostać w domu. Błąd. Został aresztowany przez polską milicję, która wypełniła miejsce opróżnione przez Armię Czerwoną. Spytany, czy był nazistą, Hoenisch zaprzeczył – i dostał kopniaka w twarz.

Przesłuchanie trwało przez jakiś czas, aż wreszcie zakrwawiony więzień wylądował w celi dwa na trzy metry, w której przebywało już dziewięciu innych Niemców i ledwie można było stać, a co dopiero usiąść. Wspominał później, że milicjanci dla zabawy kazali więźniom i więźniarkom rozbierać się do naga i bić wzajemnie. Po ośmiu dniach gehenny Hoenisch został postawiony przed milicjantem, którym okazał się jego kolega ze szkolnej ławy, kołodziej Jerzy Pisarczyk. W 1919 agitował on za przyłączeniem Górnego Śląska do Polski, a później walczył z Niemcami. Teraz nadarzyła mu się okazja do zemsty. No, już go ten Niemiec popamięta! Ale tu następuje typowo śląski zwrot akcji. Przy następnym spotkaniu więzień przypominał milicjantowi, że we wczesnych latach dwudziestych, kiedy żaden Niemiec nie chciał zatrudnić ojca Pisarczyka, ojciec Hoenischa znalazł mu pracę. Może teraz jego syn pomógłby synowi dawnego dobroczyńcy ojca? Cztery tygodnie później Hoenisch wyszedł na wolność.

Skazą na tej opowieści, a także na świadectwach wielu innych Niemców, którzy ucierpieli z rąk Polaków, jest niestety osobliwa niewrażliwość na cierpienia bliźnich. Hoenisch podkreśla, że miał ogromne szczęście, po wyjściu z więzienia nie został bowiem wywieziony do Auschwitz, „jednego z osławionych [powojennych] polskich obozów zagłady, z których ani jeden Niemiec nie wyszedł żywy”[45]. W tym samym tonie wypowiadali się inni niemieccy reakcjoniści. Wspominając rok 1945, oficer i pisarz Ernst Jünger mówił o „rosyjskich obozach zagłady” i porównywał „antygermanizm” do antysemityzmu. Twierdził też, że dziennikarze „w orgiastyczny sposób folgowali swej nienawiści do Niemców”[46].

Nawet najbardziej rozczulający się nad swoim losem Niemcy nie relacjonują niczego, co by sugerowało, że spontaniczne akty zbiorowej zemsty ze strony Polaków zdarzały się nagminnie. Z drugiej strony jednak nie ulega wątpliwości, że wielu Niemców absolutnie bezpodstawnie oskarżono o przynależność do SS lub NSDAP. Ich los był nie do pozazdroszczenia. Wywiezieni do obozów (częstokroć byłych hitlerowskich obozów koncentracyjnych), byli tam traktowani z ogromną brutalnością. Niemcy śląscy tracili prawa obywatelskie, jeśli nie zmienili obywatelstwa na polskie; lecz obywatelstwa tego nie mógł uzyskać nikt, kto nie mówił po

polsku. Człowiek pozbawiony praw obywatelskich był zdany na łaskę byle milicjanta czy urzędniczyny. W obozie więzień, który nie mógł odpowiedzieć na wyczytanie jego nazwiska po polsku, dostawał pięścią albo i gorzej.

Libussa Fritz-Krockow chciała sprzedać dywan z rodzinnego domu żonie burmistrza, Polce, która już wcześniej kupowała od niej za grosze różne cenne przedmioty. To było przestępstwo, Niemcom zakazano wyprzedawania majątku. Milicjant złapał ją na gorącym uczynku. Libussa została przykuta do pręgierza, aby przechodnie mogli pluć jej w twarz. Ale „Polacy zazwyczaj tylko odchrząkiwali albo pluli na ziemię, a Niemcy przechodzili na drugą stronę ulicy”[47].

Najgorsze przypadki prześladowania Niemców z całą pewnością należy przypisać milicji. Funkcjonariusze zarządzali obozami koncentracyjnymi, torturowali i zabijali więźniów, przykuwali ludzi do pręgierza często bez żadnego powodu. W szeregach pośpiesznie organizowanej milicji znalazło się wielu Polaków o nader nieciekawej reputacji, między innymi liczni bardzo młodzi kryminaliści. Czesław Gęborski, osławiony komendant obozu w Łambinowicach (Lamsdorf), miał zaledwie 21 lat. W okresie kiedy zarządzał obozem, zginęło tam ponad 6 tysięcy osób, w tym 800 dzieci. Z relacji świadków wynika, że Gęborski napawał się władzą jak mały chłopiec, który dla zabawy wyrywa skrzydełka muchom.

Niejeden milicjant sam był wcześniej więźniem obozu koncentracyjnego; dotyczy to wielu z tych, których uważano za najgorszych okrutników. Ich postępowanie przynajmniej w części dyktowało pragnienie odwetu. Ale i tu żądzę krwi podsycały chciwość i nienawiść klasowa. Wyjątkowo bestialsko znęcano się nad nauczycielami, naukowcami czy przedsiębiorcami. Polscy strażnicy przy ochoczym współudziale Niemców-renegatów ze szczególną przyjemnością torturowali tych więźniów, którzy niegdyś cieszyli się wysokim statusem społecznym. W Łambinowicach pewien profesor uniwersytetu został zakatowany tylko dlatego, że nosił „inteligenckie okularki”. Zarówno młody wiek strażników, jak wybór ich ofiar wyraźnie kojarzy się z Czerwonymi Khmerami z Kambodży oraz chińską Czerwoną Gwardią. Nietrudno jest poszczuć

nastolatków na nauczycieli czy kogokolwiek, kto w ich przekonaniu nie zasłużył na swój status lub autorytet. Tu zadawniony konflikt etniczny dodatkowo pogłębiał skłonność do sadyzmu.

Podobnie działo się w innych częściach dawnego cesarstwa austro-węgierskiego, gdzie w 1919 roku niemieckojęzyczna ludność znalazła się pod władzą nie-Niemców, później zmieniła się w uprzywilejowanych obywateli Trzeciej Rzeszy, a w końcu została wypędzona przez sąsiadów, dawnych pracodawców, czasami nawet przyjaciół. Niemcy czechosłowaccy najbardziej obawiali się bestialstwa nastoletnich chłopców podburzanych przez pałających chęcią zemsty (często nie bez powodu) dorosłych. Czechosłowacja mocno ucierpiała po aneksji Kraju Sudeckiego przez hitlerowskie Niemcy w 1938 roku, wielu Czechów i Słowaków przeszło przez Dachau, Buchenwald czy inny obóz koncentracyjny. Konflikty był podobnie zadawnione jak na Górnym Śląsku, ich korzenie sięgały XVII wieku, kiedy to po bitwie pod Białą Górą katolickie wojsko cesarskie urządziło rzeź protestanckiej szlachty czeskiej. Od tego czasu wszyscy Czesi i Słowacy stali niżej od Niemców, należeli do klas służebnych i chłopstwa. A więc także tutaj latem 1945 roku naszedł czas zemsty i za ucisk gospodarczy, i za krzywdę narodową. I znowu zachęta szła z góry.

Prezydent Czechosłowacji na uchodźstwie Edvard Beneš, czeski nacjonalista, który niegdyś śnił o wieloetnicznym kraju, gdzie wszystkie narody żyłyby w harmonii, teraz zdecydował, że problem niemiecki należy rozwiązać raz na zawsze. W 1945 roku wołał przez radio: „Biada, biada, biada, po trzykroć wam biada, Niemcy – wykorzenimy was!”[48]. Dekrety wydane w kwietniu, maju i czerwcu stopniowo pozbawiały Niemców prawa własności. Powstały „nadzwyczajne sądy ludowe”, przed którymi stawali hitlerowscy zbrodniarze, ich zwolennicy i zdrajcy narodu. W październiku karalne stało się działanie przeciwko „honorowi narodu”, co w rezultacie oznaczało uznanie prawie wszystkich Niemców za winnych.

Czesi w niczym nie różnią się od innych ludzi – poszczuci przez władzę na bezbronnych bliźnich, z ochotą popełnią najgorsze okrucieństwa. W Pradze i innych miastach znajdowały się w więzieniach izby tortur.

Domniemanych esesmanów wieszano na latarniach. Rozbawieni strażnicy dla zabawy pruli seriami z karabinów maszynowych w tłum złożony z ponad 10 tysięcy Niemców, cywilów, stłoczonych na strachowskim stadionie; zginęły tysiące ludzi. Gwardia Rewolucyjna, czeski odpowiednik polskiej Milicji Obywatelskiej, składała się z młodych awanturników, którzy z błogosławieństwem władz obracali swoje sadystyczne fantazje w rzeczywistość. Rozwścieczona tłuszcza pod wodzą gwardzistów kamienowała Niemców na ulicach i na różne sposoby prześladowała ludzi, którzy jeszcze niedawno należeli do grup uprzywilejowanych lub nosili „inteligenckie okularki". A wszystko to z poparciem władz wojskowych, a także najwyższych władz cywilnych świeżo wyzwolonego kraju.

Wystarczy jedna relacja, i to wcale nie z tych najbardziej wstrząsających, aby pojąć, jaka atmosfera panowała podczas tych szalonych letnich miesięcy, zanim dobiegła końca orgia przemocy, tak jak w innych częściach Europy dobiegł końca okres niehamowanej swobody seksualnej, i zanim wprowadzono nowy porządek. Jest to relacja aktorki Margarete Schell. Przed wojną ta Niemka urodzona w Pradze była gwiazdą teatru i radia. 9 maja została aresztowana przez członków Gwardii Rewolucyjnej, wśród których znalazł się rzeźnik z sąsiedztwa. Zaprowadzono ją wraz z kilkunastoma innymi Niemkami na dworzec kolejowy i kazano sprzątać gruzy po nalocie. Schell nosiła płyty chodnikowe, a gwardziści kopali ją ciężkimi buciorami i bili kolbami karabinów. Z tłumu padały okrzyki: „Niemieckie świnie! Tyle lat się tuczyłyście, teraz możecie podziękować swojemu Führerowi!".

Szybko nastąpiła eskalacja agresji. „Nie miałam czym nakryć głowy, a widok moich włosów chyba drażnił ludzi. […] Ktoś mnie rozpoznał i wrzasnął: «Ona była aktorką!». Na nieszczęście miałam zrobiony manicure i lakier na paznokciach, a na ręce srebrną bransoletkę, co jeszcze bardziej rozwścieczyło tłum"[49].

Niemkom kazano jeść zdjęcia Hitlera, obcięto im włosy, które potem wpychano im do ust. Schell trafiła do obozu pracy przymusowej, gdzie gwardziści ją wychłostali, nie wiedziała z jakiego powodu. Z jej relacji wynika jednak, że okazywano jej o wiele więcej współczucia niż wielu

innych Niemcom z Europy Środkowej i Wschodniej. Nie wszyscy Czesi zachowywali się okrutnie. Jeden gwardzista, widząc, że w zniszczonych butach Niemka ledwo chodzi, o pracy już nie wspominając, zaofiarował się, że skombinuje jej parę sandałów. Schell napisała: „Gdy usłyszałam, przez co ten człowiek przeszedł w ciągu siedmiu miesięcy w niemieckim obozie koncentracyjnym, to pomyślałam, że naprawdę nie powinniśmy się dziwić, że nas tak traktują”[50].

Schell domyśliła się także, w czym leżało źródło urazy Czechów. Zastanawiając się, dlaczego to właśnie jej wymierzono szczególnie okrutną chłostę, przypomniała sobie plotki, że komendant obozu uważa ją za „przesadnie wyrafinowaną”. Tego samego dnia, 8 sierpnia, w swoim dzienniku pisała o wyjątkowo złośliwej i brutalnej strażniczce, która pilnowała obozowej kuchni: „Zawsze najgorsze są kobiety. To dlatego, bo doskonale widzą, że my, mimo że pracujemy teraz jak służące, dalej jesteśmy tym, czym byłyśmy zawsze, i to je doprowadza do furii”[51].

Edvard Beneš nie był komunistą. Starał się jednak zdobyć przyjaźń Stalina i – pamiętając, że w przeszłości zachodnie demokracje wielokrotnie pozostawiały Czechosłowację własnemu losowi – nieopatrznie zawarł sojusz ze Związkiem Radzieckim. Ta fatalna decyzja doprowadziła do przejęcia władzy przez partię komunistyczną w 1948 roku. Ale ziarno rewolucji wzrastało już wcześniej, czego dowodem przenikliwie zdiagnozowana przez Margarete Schell furia kobiet w obozowej kuchni. W Czechosłowacji, zwłaszcza w regionach od stuleci zdominowanych przez Niemców, rok 1945 przypominał Wielki Terror, z tą różnicą, że we Francji dwa wieki wcześniej okres ten nastąpił po rewolucji, a tu ją poprzedził.

***

Warto wspomnieć jeszcze jeden epizod z dziennika Schell. Pewnego dnia grupę więźniów zaprowadzono do domu, w którym uprzednio urzędowało gestapo. Więźniarkom kazano posprzątać świeżo wyremontowane pomieszczenia i wnieść nowe meble. Ich nadzorca był Żydem. Mimo tego

traktował Schell i pozostałe niemieckie więźniarki zupełnie przyzwoicie. „Powiedział nam, że spędził pięć lat w obozie koncentracyjnym, gdzie stracił oboje rodziców i wszystkie siostry, i teraz nie ma chęci nikogo krzywdzić; sam wie, jak to jest być więźniem. Ten człowiek miał całkowicie uzasadniony powód nienawidzić wszystkich Niemców, a jednak się na nas nie mścił”[52].

To być może rzadki i nietypowy przypadek współczucia w czasach powszechnej akceptacji zachowań prawdziwie nieludzkich. Faktem jest jednak, że podczas gdy w całej Europie mnożyły się akty zemsty – na Niemcach, na zdrajcach, na kobietach, które obraziły godność narodową, na wrogach klasowych, na faszystach – Żydzi, którym zadano najstraszliwsze cierpienia, zachowywali się z niezwykłą powściągliwością. Bynajmniej nie dlatego, żeby nie posiadali tego podstawowego instynktu, który innym ludziom nakazuje zemstę. Z całą pewnością Żydzi w 1945 roku nie żywili żadnych ciepłych uczuć wobec narodu, który próbował ich eksterminować. Żydzi ocaleli z obozów zagłady byli w większości zbyt osłabieni lub zbyt odrętwiali, by mieć siły się mścić, ale w obozach i tak zdarzały się przypadki samosądów. Amerykańscy Żydzi przesłuchujący domniemanych hitlerowców wykazywali przy pracy więcej niż profesjonalny entuzjazm. Śledztwo w sprawie nieco zbyt surowego traktowania oficerów SS w pewnym więzieniu pod Stuttgartem wykazało, że 137 Niemców „doznało trwałego uszkodzenia jąder w wyniku kopnięć wymierzonych przez śledczych z Amerykańskiej Komisji Badania Zbrodni Wojennych”[53]. Większość śledczych nosiła żydowskie nazwiska.

To jednak były odosobnione przypadki. Żydzi nie podjęli ani jednej zorganizowanej próby wymierzenia sprawiedliwości oko za oko. I znowu: to nie brak chęci był przyczyną takiej powściągliwości, lecz polityka. Chęci absolutnie nie brakowało. Brygada Żydowska, utworzona w armii brytyjskiej w 1944 roku, po klęsce Niemiec stacjonowała w Tarvisio na granicy Włoch i Austrii, a następnie dołączyła do wojsk okupacyjnych w Niemczech. Wielu żołnierzy utraciło w Zagładzie całe rodziny, naturalne więc, że pragnęli pomścić na Niemcach śmierć bliskich i swoją krzywdę. Lecz komendant brygady powiedział im: „Pamiętajcie, że krwawa pomsta

należy do nas wszystkich, więc też każdy nieodpowiedzialny czyn to porażka dla nas wszystkich”. Inny dowódca wyjaśnił swoim podkomendnym, że wywieszenie flagi syjonistów w Niemczech to dostatecznie słodka zemsta[54].

Zamiast pozwolić pojedynczym osobom wymierzać sprawiedliwość oko za oko, Brygada utworzyła oddział egzekucyjny, Tilhaz Tizi Geszeften, czyli Biuro Całujcie Nas w Dupę, pod dowództwem Israela Carmiego. Mściciele z TTG zdobywali informacje dzięki siatce kontaktów w wojsku lub wydobywali je siłą z niemieckich więźniów, a następnie nocą opuszczali koszary i likwidowali oficerów SS oraz inne osoby odpowiedzialne za śmierć Żydów. Po jakimś czasie armia brytyjska zorientowała się w ich działalności i Brygada została przeniesiona z Niemiec na mniej zapalne terytorium Belgii i Holandii. Nie wiadomo dokładnie, ilu hitlerowców rozstrzelali członkowie TTG; prawdopodobnie nie więcej niż kilkuset.

Jednym z tych, którzy nie zrezygnowali z marzeń o zemście, był Aba Kowner, litewski Żyd o wyglądzie nie zabójcy, lecz romantycznego poety (którym zresztą był), miał bowiem długie kręcone włosy i uduchowione spojrzenie. Do dziś jest znany w Izraelu głównie ze swoich wierszy. Kowner urodził się w Sewastopolu, lecz jego rodzina wkrótce przeniosła się do Wilna. Przed wojną wstąpił do socjalistycznej młodzieżówki Światowej Organizacji Syjonistycznej. W 1941 roku wydostał się z wileńskiego getta, przez jakiś czas ukrywał się u sióstr dominikanek, a potem uciekł do lasu i przyłączył się do partyzantów. Po kapitulacji Niemiec Kowner i jego towarzysze, głównie polscy i litewscy Żydzi, uważali, że wojna jeszcze się nie skończyła, że wręcz nie powinna się skończyć. Utworzyli formację Dam Yehudi Nakam, w skrócie Nakam (Zemsta). Jedna z jej sformułowanych przez Kownera zasad brzmiała: „Z pamięci ludzkości trzeba wymazać myśl, iż wolno bezkarnie rozlewać żydowską krew”. Kowner był zdania, że w przeciwnym wypadku pomysł eksterminacji Żydów może się kiedyś odrodzić. „To będzie więcej niż zemsta – pisał. – To musi być prawo pomordowanych Żydów! A nazywać się będzie DIN [skrót hebrajskiego zdania „krew Izraela będzie pomszczona”,

a jednocześnie słowo „sąd”], aby przyszłe pokolenia wiedziały, że w tym bezlitosnym, pozbawionym miłosierdzia świecie istnieją i sędziowie, i sąd”[55].

To starotestamentalne podejście sugeruje czyny o wiele poważniejsze niż skrytobójcza egzekucja paru esesmanów. I rzeczywiście: Kowner planował zemstę narodu na narodzie. Jego zdaniem jedynie śmierć 6 milionów Niemców stanowiła odpowiednią karę za to, co ich naród uczynił Żydom. Po latach, mieszkając już w kibucu, Kowner przyznał, że jego plan zdradzał oznaki szaleństwa. Jak powiedział, „każdy rozsądny człowiek by zauważył, że to szalony pomysł. Ale któż wtedy nie był bliski obłędu […] a może i gorzej niż obłędu. To był potworny, zrodzony z rozpaczy plan, w którym było coś samobójczego”[56]. Ale najbardziej znamienna jest przyczyna, dla której projekt „zorganizowanej, szczególnej zemsty” upadł.

Plan zakładał zatrucie wodociągów w kilku dużych niemieckich miastach. Kowner pojechał do Palestyny, aby zdobyć odpowiednią truciznę. Spotkał się ze współczuciem, ale jego plan masowego morderstwa, nawet byłych hitlerowców, nie znalazł żadnego poparcia. Dawid Ben-Gurion i inni przywódcy ruchu syjonistycznego mieli zupełnie inny priorytet: stworzyć żydowskie państwo, a do tego potrzebowali poparcia aliantów. Nadrzędnym celem było uratować ocalałych europejskich Żydów i zmienić ich w dumnych obywateli Izraela. Powrót do normalnego życia w Europie był wykluczony. Europa to była przeszłość. Udział w projekcie morderstwa na Niemcach stanowił w najlepszym wypadku stratę czasu. Hagana, syjonistyczna organizacja paramilitarna, nie wykazała więc chęci do pomocy, nawet pomimo faktu, że Kowner zachował rozmiary planowanego ataku w tajemnicy.

Ciąg dalszy tej historii zakrawa na farsę. Pomimo braku współpracy ze strony władz Kowner zdobył truciznę z laboratorium chemicznego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Pracowali w nim dwaj bracia nazwiskiem Kacir (z których jeden, Efraim, miał zostać czwartym prezydentem Izraela). Myśląc, że Kowner zamierza eliminować wyłącznie byłych esesmanów, którego to planu mało kto by wówczas nie poparł, dali

mu szczególnie silną truciznę: jeden jej miligram wystarczyłby, aby spowodować śmierć bardzo wielu ludzi.

W grudniu 1945 roku Kowner i jego towarzysz nazwiskiem Rosenkranz zaokrętowali się na statek do Francji. Puszki z trucizną, opisane jako mleko w proszku, nieśli w drelichowym worku. Podróżowali na fałszywych papierach, udając brytyjskich oficerów, mimo że Kowner nie znał angielskiego. Przez większą część rejsu Kowner cierpiał na chorobę morską. Statek już-już miał zawinąć do Tulonu, kiedy z głośników padło nazwisko Kownera. Myśląc, że został rozpoznany i jego plany odkryto, Kowner wyrzucił połowę puszek z „mlekiem w proszku” za burtę i kazał Rosenkranzowi, żeby w razie potrzeby zniszczył resztę.

W rzeczywistości Kowner bynajmniej nie został rozpoznany, a jego misji nic nie groziło. Aresztowano go z powodu całkiem słusznego podejrzenia, że ma fałszywe dokumenty. Ale trucizna nie dotarła do Europy: Rosenkranz spanikował i wyrzucił za burtę pozostałe puszki. Wodociągi Norymbergi, Monachium, Hamburga i jeszcze kilku miast były bezpieczne, setki tysięcy Niemców ocalało. Kilku towarzyszy Kownera spróbowało jeszcze zatruć żywność w obozie dla byłych esesmanów. Znów się nie udało – paru więźniów zachorowało, nikt nie umarł.

I tak okazuje się, że Żydzi nie dokonali zemsty, gdyż nie było dla niej poparcia politycznego. Przywódcy ruchu syjonistycznego dążyli do osiągnięcia innego rodzaju normalności. Bohaterstwo Izraelczyków miało być bohaterstwem dumnych obywateli: oraczy zmieniających pustynię w żyzne pola i żołnierzy walczących z wrogami ojczyzny z dala od skrwawionych ziem powojennej Europy. Jeszcze nieśmiało, ale z pełną świadomością spoglądano w przyszłość. Ta także przyniesie rozlew krwi oraz konflikt etniczny i religijny – ale krew ta nie będzie krwią Niemców. Aba Kowner nigdy nie przystosował się do tego nowego życia. Dręczony upiorami przeszłości, tworzył smutne wiersze i po nocach budził się z krzykiem.

O swojej siostrze pisał:

Wołałem do ciebie z ziemi obiecanej,

Szukałem cię
wśród stosów malutkich bucików.
Kiedy tylko zbliżało się święto.

O ojcu zaś:

Przez czterdzieści lat ojciec wyjmował chleb, Bogu dzięki,
z tego samego pieca. Nigdy sobie nie wyobrażał,
że cały naród mógłby powstać z pieców,
a życie, z pomocą Boga, toczyć się dalej[57].

***

Zdaniem Tony'ego Judta członkowie francuskiego ruchu oporu i kolaboranci „największym wrogiem byli […] najczęściej sami dla siebie: Niemcy w zasadzie nie angażowali się w ten konflikt"[58]. To samo można powiedzieć o Jugosławii, Grecji, Belgii, Chinach, Wietnamie, Indonezji i wielu innych okupowanych krajach. Wojska okupacyjne wykorzystywały wcześniejsze konflikty tak samo, jak od zawsze robiły to władze w koloniach. Ani reakcjoniści z rządu Vichy, ani okrutny chorwacki faszysta Ante Pavelić i jego ustasze nigdy nie dorwaliby się do władzy, gdyby nie Niemcy. Flamandzki Związek Narodowy wysługiwał się Niemcom w nadziei, że w zdominowanej przez nich Europie Flandria zdoła uwolnić się od frankofońskich Walonów. We Włoszech i Grecji faszyści i inni prawicowcy współpracowali z okupantami nie tylko dla zysku, lecz także po to, aby pognębić lewicę.

A w Chinach? Kiedy w 1972 roku premier Japonii Kakuei Tanaka przepraszał przewodniczącego Mao za krzywdy, jakie jego rodacy wyrządzili Chińczykom w czasie wojny, Mao, który miewał przebłyski makabrycznego poczucia humoru, uspokoił dostojnego gościa: to raczej my powinniśmy wam dziękować, bez was nigdy nie doszlibyśmy do władzy. I miał rację. To, co wydarzyło się w Chinach, to absolutnie dramatyczny przykład niezamierzonych skutków. Japończycy i nacjonaliści Czang Kaj-szeka identycznie nienawidzili komunistów. Nacjonaliści podejmowali nawet próby współpracy z japońskimi okupantami, jedna z frakcji wręcz

z nimi kolaborowała. Lecz Japończycy zadali nacjonalistom śmiertelną klęskę, czym zapewnili komunistom zwycięstwo w wojnie domowej, która w 1945 roku już się tliła, a wkrótce później osiągnęła punkt kulminacyjny.

W Chinach i w Grecji wojna domowa rozpoczęła się jeszcze przed wkroczeniem obcych wojsk. We Francji i Włoszech tliła się tuż pod powierzchnią. W dawnych koloniach w Azji stosowana przez europejskich kolonizatorów zasada *divide et impera* zrodziła ogromne napięcia społeczne. Japończycy i Niemcy podsycili te konflikty tak, że stały się śmiertelnie groźne.

Komuniści i lewicowcy odegrali ogromną rolę w antyhitlerowskim i antyfaszystowskim ruchu oporu, a japońskie i niemieckie próby budowania imperiów sprawiły, że do wielu luminarzy prawicy przylgnęło hańbiące miano kolaborantów. Dumna ze swojej działalności w ruchu oporu Francuska Partia Komunistyczna chętnie określała się mianem *le Parti des Fusillés*, partii rozstrzelanych. Lewicowców sprzeciwiających się stalinowskiej linii partyjnej komuniści nazywali antypatriotami, kolaborantami lub hitletrockistami. Lewica domagała się wprowadzenia nowego porządku politycznego; zważywszy na jej aktywne uczestnictwo w Résistance, miała do tego prawo. Po wojnie Związek Radziecki wykorzystał te żądania, przynajmniej w krajach bloku wschodniego, podczas gdy na Zachodzie alianci niejednokrotnie rozbrajali lub pomagali rozbić te same siły, które wcześniej walczyły po ich stronie przeciwko Niemcom. Co gorsza, to właśnie z pomocą aliantów do władzy powrócili niektórzy członkowie kolaboracyjnych władz. Oto siew, z którego później wyrosła zimna wojna.

Kolaboracja nie zawsze była kwestią czarno-białą. W 1943 roku w Jugosławii partyzanci Josifa Broz Tity, komuniści, negocjowali z Niemcami, ponieważ Tito chciał mieć wolną rękę do walki z czetnikami, serbskimi monarchistami. Jesienią tego samego roku czetnicy ręka w rękę z Niemcami bili partyzantów Tity. Bośniaccy muzułmanie byli gotowi do współpracy z każdym, kto oferował im ochronę: chorwackimi faszystami, serbskimi partyzantami, nawet hitlerowcami. Wszystkie te efemeryczne sojusze zawierano w celu walki z wrogiem wewnętrznym, nie z najeźdźcą.

Większość kolaborantów francuskich współpracowała nie bezpośrednio z okupantem, lecz z rządem marszałka Philippe'a Pétaina. Rząd Vichy miał nadzieję, że z pomocą Niemców odrodzi się prawdziwa Francja – katolicka, patriotyczna, chroniąca rodzinę, oczyszczona z liberałów, Żydów, masonów i innych skaz na obliczu *La France profonde*. Włoskich faszystów nie można właściwie nazywać kolaborantami aż do roku 1943, kiedy wojska niemieckie wkroczyły na terytorium kraju i jurysdykcja faszystów Mussoliniego ograniczyła się do marionetkowego państewka nad jeziorem Garda. Ale w ciągu poprzednich dwudziestu lat lewica zdążyła tak znienawidzić faszystów, że z chwilą kiedy Niemcy rozpoczęli odwrót, przystąpiła do działań odwetowych.

Harold Macmillan, późniejszy premier Wielkiej Brytanii, był pełnomocnikiem Churchilla na kraje śródziemnomorskie. W kwietniu 1945 roku przyjechał wojskowym dżipem do Bolonii na spotkanie z dowódcą wojsk alianckich, który świeżo zainstalował się w pięknym, nieuszkodzonym budynku ratusza. Tam Macmillan ujrzał otwarte trumny dwóch znanych miejscowych liberałów. Zastrzelili ich faszyści z Czarnych Brygad, którzy opuścili miasto zaledwie poprzedniego dnia. „Ciała ich były teraz wystawione na widok publiczny w gmachu ratusza i liczni, ale zdyscyplinowani mieszkańcy przechodzili obok zamordowanych, żegnając ich ze łzami w oczach i obsypując kwiatami" – zanotował tego dnia Macmillan w swoim dzienniku. Ludzi tych rozstrzelano pod murem ratusza; nad miejscem kaźni wisiały już kwiaty oraz zdjęcia kobiet i mężczyzn zabitych niedawno przez Czarne Brygady.

Przytoczywszy ten fragment ze swojego dziennika, Macmillan pisze: „Faszystowski prefekt nie zdążył uciec. Został rozstrzelany przez partyzantów obok ciała swojej ostatniej ofiary. Na murze było widać ślady rozpryśniętego mózgu, a na ziemi – krwi"[59]. Potem Macmillan poszedł na obiad i zauważył, że włoscy kucharze, którzy wcześniej przyrządzali włoskie dania dla niemieckich oficerów, teraz przyrządzają amerykańskie dania dla oficerów alianckich. Jest w tym jakiś morał, zakończył relację Macmillan, nie zdradzając jednak jaki konkretnie.

Wśród ofiar prowadzonej przez partyzantów w kwietniu 1945 roku akcji odwetowej znalazł się sam Benito Mussolini i jego kochanka Clara Petacci. Ujęto ich, gdy w eskorcie niemieckich żołnierzy z jednostki obrony przeciwlotniczej próbowali przedostać się do Austrii. Partyzanci, którzy zatrzymali konwój przy szlabanie, puścili Niemców wolno, lecz zatrzymali wszystkich Włochów. Mussolini został rozpoznany, mimo że założył długi płaszcz od niemieckiego munduru, aby ukryć generalskie bryczesy z czerwonym lampasem. 28 kwietnia byłego duce, Clarę i piętnastu losowo wybranych faszystów rozstrzelano pod murem willi nad jeziorem Garda. Następnego dnia powieszono ich za nogi, głowami w dół jak zające, na dźwigarze stacji benzynowej Esso przy Piazzale Loreto w Mediolanie. Rozwścieczony tłum zbezcześcił zwłoki. Wkrótce twarzy zabitych już nikt by nie rozpoznał.

Miesiąc później pokazano to miejsce Edmundowi Wilsonowi. Nabazgrane czarną farbą nazwiska skazańców wciąż widniały na dźwigarze opuszczonej teraz stacji benzynowej. „Nad całym miastem wisiał smród zabójstwa Mussoliniego i jego popleczników, wystawienia ich ciał na widok publiczny i pohańbienia ich przez tłum – pisał Wilson. – Włosi zaczepiali mnie w barach i pokazywali fotografie, które wtedy zrobili”[60].

Ale to tylko jedna z wielu egzekucji; pomiędzy kwietniem a lipcem na północy Włoch stracono około 20 tysięcy faszystów i kolaborantów: 8 tysięcy w Piemoncie, 4 tysiące w Lombardii, 3 tysiące w Emilii, 3 tysiące w okolicach Mediolanu[61]. Wielu z nich partyzanci, najczęściej komuniści, rozstrzelali bez sądu, innych pośpiesznie skazały na śmierć doraźne sądy ludowe – zwano to wymierzaniem sprawiedliwości na *piazza*, placu miejskim. Egzekucje przeprowadzano w trybie natychmiastowym. Z pewnością zginął wtedy także niejeden niewinny. Znanych faszystów rozstrzeliwano wraz z żonami i dziećmi. Większość zabitych bez sądu stanowili policjanci i urzędnicy faszystowskiego rządu. Nawet więźniowie nie byli bezpieczni. 17 lipca do więzienia w Schio pod Vicenzą wdarła się grupa zamaskowanych partyzantów, którzy zabili pięćdziesięciu pięciu przetrzymywanych tam faszystów. Niektórzy z mścicieli byli w ruchu oporu od dawna, inni należeli do tych pseudobohaterów, którzy do

partyzantki wstępują dopiero wtedy, kiedy prawdziwa walka już się skończy; żaden ruch oporu nie był od nich wolny. Znaleźli się też wśród nich kryminaliści, którzy wykorzystując swój nowy status „patriotów", szantażowali bogatych przedsiębiorców i ziemian lub rabowali ich domy.

Także we Włoszech zemsta łączyła się z polityką: rewolucjoniści prowadzili porachunki z przeciwnikami. Komunistyczni partyzanci uważali czystkę za nieunikniony element walki z kapitalizmem. Na celowniku były wielkie koncerny, które nie przestały działać za czasów Mussoliniego, na przykład turyński Fiat. Większość wpływowych biznesmenów z Turynu i Mediolanu ocaliła życie, uciekając do Szwajcarii, lub przekupiła potencjalnych zabójców towarami z czarnego rynku, ale trupy ich podwładnych często znajdowano pod bramami lokalnych cmentarzy.

Dowództwo wojsk alianckich we Włoszech, mocno zaniepokojone prężnością działań komunistów, szybko zaczęło rozbrajać partyzantów, mimo że niejeden odznaczył się przecież w walce z Niemcami. Rozbrajanie odbywało się przy poparciu konserwatywnych polityków włoskich; nic dziwnego, skoro wielu z nich wcześniej sprzyjało faszystom. Rząd tymczasowy w Rzymie wprowadzał kary dla faszystów z dużym ociąganiem; to między innymi dlatego organizowano sądy doraźne.

Aby ukoić zranioną dumę byłych partyzantów, w wielu miastach organizowano defilady odbierane przez dowódców wojsk alianckich w otoczeniu włoskich notabli. Partyzanci nosili na szyjach chusty oznaczające przynależność do poszczególnych opcji politycznych: lewicowcy czerwone, katolicy niebieskie, *autonomi* – głównie dezerterzy z włoskiej armii – zielone. Bynajmniej nie wszyscy złożyli broń. Radykalna lewica wciąż była silna, a przy tym często zbrojna. Ale, jak się okazało, konserwatyści niepotrzebnie się martwili: rewolucja nie dotarła do Włoch. Stalin zostawił rejon Morza Śródziemnego zachodnim aliantom w zamian za zgodę na rozciągnięcie radzieckiej strefy wpływów na Europę Środkową. Jednak krwawe porachunki trwały nadal. Dziedzictwem tych wydarzeń są awersja wobec komunizmu, a na lewicy gorzkie poczucie zdrady, które niekiedy nawet obecnie, w XXI wieku, wciąż kształtują włoską rzeczywistość.

Edmund Wilson, który zawsze sympatyzował z lewicą, przyglądał się tym wydarzeniom z niesmakiem. Jego zdaniem głównym wkładem Ameryki w powojenną demokrację we Włoszech było „nazwanie jednej z naszych centrali telefonicznych Wolność, a także to, że dozbrajaliśmy i zachęcaliśmy partyzantów do działania, kiedy służyło to naszym celom, a teraz odbieramy im broń, zakazujemy organizowania zebrań politycznych i wtrącamy ich do więzień, kiedy sprawiają kłopoty". Wilson zdawał sobie sprawę, że lewicowcy też mają krew na rękach, ale – jak twierdził – „ta włoska rewolucja to coś więcej niż brutalna wendeta"; jego zdaniem „impetu tego ruchu nie da się już obecnie powstrzymać"[62].

A jednak powstrzymano, tak samo jak w południowej Korei, we Francji, w południowym Wietnamie, Japonii i Grecji, w której Wilson pojawił się latem 1945 roku. Zatrzymał się w hotelu Grande Bretagne przy placu Syntagma w Atenach. Obsługiwano go z opryskliwością bliską otwartej wrogości, a w ścianach jego pokoju widniały dziury po kulach. Niechęć nie była bezzasadna, bo nad Atenami także wisiał smród – smród kolejnej zdrady.

Tutaj należy wytłumaczyć, skąd się wzięły te dziury po kulach. W grudniu poprzedniego roku zwolennicy Frontu Wyzwolenia Narodowego (Ethniko Apeleftherotiko Metopo, EAM), partyzanckiej organizacji kontrolowanej przez komunistów, zorganizowali wielką demonstrację. Oficjalnie władzę w wyzwolonej Grecji sprawowała armia brytyjska. Władzę w Atenach dzierżył tymczasowy grecki rząd jedności narodowej, w którym zasiadali konserwatyści, monarchiści oraz grupa lewicowców. Reszta kraju była w większości w rękach EAM i jego zbrojnego ramienia, oddziałów ELAS (Ellinikos Laikos Apeleftherotikos Stratos, Grecka Armia Narodowowyzwoleńcza). Lewicowcy z EAM/ELAS oczekiwali, że skoro walczyli z Niemcami, to teraz przejmą rządy i wprowadzą w Grecji rewolucję. Popierani przez Wielką Brytanię konserwatyści chcieli za wszelką cenę temu zapobiec. Takie było tło demonstracji 3 grudnia 1944 roku. Według Harolda Macmillana tego dnia „zaczęła się w Grecji wojna domowa"[63].

Właściwie wojna domowa zaczęła się o wiele wcześniej, o czym zresztą Macmillan musiał wiedzieć. Podczas pierwszej wojny światowej Grecja była głęboko rozdarta, gdyż premier Elefterios Venizelos dążył do sojuszu z państwami ententy, a król Konstantyn I oraz wódz naczelny greckiej armii, Joanis Metaksas, wręcz przeciwnie. Zaciekły konflikt między monarchistami a zwolennikami premiera trwał kilka lat. W 1936 roku Metaksas, człowiek o twarzy bankiera, a brutalności faszystowskiego caudillo, objął rządy dyktatorskie i wzorując się na hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, „zjednoczył" Grecję jako Ojciec Narodu. Oznaczało to między innymi delegalizację wszystkich partii politycznych oraz prześladowania komunistów i innych przeciwników reżimu. W 1941 roku, ku wielkiej uldze większości Greków, Metaksas zmarł.

W tym momencie wkroczyli Niemcy. Zwolennicy reżimu Metaksasa poszli na współpracę z okupantem, a komuniści, którzy wyszli z więzień, zaczęli organizować ruch oporu. Popierane przez Niemców greckie formacje faszystowskie ruszyły do walki z lewicową partyzantką, którą z początku wspomagali alianci. Obie strony działały z ogromną brutalnością. Ofiarą starć padło wielu niewinnych ludzi, którzy dostali się w krzyżowy ogień.

Macmillan o tyle miał rację, że z punktu widzenia Brytyjczyków wszystko rozpoczęło się dopiero w 1944 roku, kiedy żołnierze brytyjscy przy wsparciu jednostek przerzuconych z Włoch zaczęli bić lewicowych partyzantów – tych samych, którzy zaledwie parę miesięcy wcześniej bili Niemców. Dezaprobatę Wilsona podzielano powszechnie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie działania te uznano za kolejną typowo brytyjską interwencję imperialistów, ale również w Wielkiej Brytanii. Churchilla głęboko podziwiano za postawę podczas konfliktu z Niemcami, ale jego agresywność w kwestii zwalczania komunistycznej partyzantki nie budziła zaufania.

Harold Macmillan zauważył: „Według naszych rodzimych propagandystów ruch oporu w Grecji, a także w innych krajach, skupiał w swoich szeregach romantyków i idealistów, którzy wzorem Byrona poświęcali życie dla wyzwolenia kraju"[64]. Najbardziej bajronicznym

z partyzanckich bohaterów był niejaki Aris Veluchiotis, dowódca czarnej bandy z gór – jego ludzie nosili czarne berety, czarne koszule, czarne brody. Ale ten malowniczy bojownik, który w 1945 roku zerwał z komunistami, był zarazem brutalnym mordercą. W rejonach, w których działał, odkryto później masowe groby, a w nich kości jego przeciwników politycznych.

Podobnie jak w Grecji, Chinach i wielu innych krajach, u podstaw konfliktu, jaki rozgorzał po wyzwoleniu, leżał monopol na użycie siły. Po długich negocjacjach bojownicy z Frontu Wyzwolenia Narodowego (EAM/ELAS) zgodzili się złożyć broń, pod warunkiem że ugrupowania prawicowe, na przykład osławione kolaboracyjne Bataliony Bezpieczeństwa, zrobią to samo. Jednakże zdaniem EAM/ELAS rząd, który planował wcielić najlepsze oddziały obu stron do armii narodowej, nie dotrzymał przyrzeczenia – lewicowe ugrupowania złożyły broń (chociaż nie całą), a prawicowym pozwolono ją zatrzymać. Do dzisiaj wielu byłych bojowników ELAS uważa to za jawną zdradę. Pewien partyzant wspominał, jak to w 1944 roku ujęci przez jego oddział kolaboranci, zamiast zostać rozstrzelani na miejscu, zostali przekazani policji. Błąd, bo policjanci dali im broń i puścili wolno. Dla pokonanych w 1945 roku partyzantów wniosek był jasny: „Ci, którzy radzili ich rozstrzelać, mogli potem mówić «a nie mówiłem», bo druga runda walk, czyli wojna domowa, nie miałaby miejsca, gdybyśmy od razu zabili wszystkich faszystów”[65].

W Atenach panowała gorączkowa atmosfera, której ślady Edmund Wilson widział na ścianach swego pokoju jeszcze w 1945 roku. 3 grudnia 1944 roku tłum zgromadzony na placu Sindagma w Atenach (czyli placu Konstytucji), zbliżał się do hotelu Grande Bretagne, w którym zadekował się rząd tymczasowy. Na czele tłumu maszerowały kobiety z dziećmi. Oficjalne źródła twierdziły potem, że demonstranci chcieli wedrzeć się do budynku. Niewielu Greków uwierzyło w tę wersję wydarzeń. Wilson dowiedział się od znajomych lewicowców, że w chwili gdy monarchistyczna policja otworzyła ogień, demonstranci szli zupełnie spokojnie. Około stu osób zginęło lub zostało rannych. Następnego dnia wczorajsi demonstranci znów szli obok hotelu, tym razem w kondukcie

pogrzebowym. Monarchiści zaczęli strzelać z okien budynku. Zginęło dwieście osób.

Macmillan, jak należałoby się spodziewać, widział to nieco inaczej. Jego zdaniem w tłumie cywilów „znajdowało się wielu uzbrojonych partyzantów ELAS", a „tragiczne strzały" prawdopodobnie oddał komunistyczny prowokator[66].

Nawet jeśli do dzisiaj nie wiadomo, jak było naprawdę, dwie rzeczy nie podlegają kwestii. Po pierwsze, sterowani przez komunistów partyzanci byli ludźmi pozbawionymi skrupułów, którzy jeszcze przed wyzwoleniem Grecji w październiku 1944 roku zlikwidowali wielu rzeczywistych lub domniemanych kolaborantów i „wrogów klasowych", a po wyzwoleniu spokojnie kontynuowali czystkę. Po drugie, grecka lewica jak najbardziej miała powód, by czuć się zdradzoną.

Komuniści i lewicowcy stanowili podporę antyhitlerowskiego i antyfaszystowskiego ruchu oporu w wielu krajach, lecz w Grecji ruch ten po prostu zmonopolizowali, brutalnie eliminując wszystkie inne ugrupowania. Na terenach wiejskich EAM/ELAS zorganizował coś w rodzaju powstańczego państwa, w którym sądy ludowe szybko rozprawiały się z wszelkiej maści wrogami rewolucji. We wrześniu 1944 roku stacjonujący w Grecji brytyjski oficer donosił o komunistycznych „rządach terroru" w Attyce i Beocji. „W ostatnich tygodniach rozstrzelano ponad pięciuset ludzi. Niedaleko naszego obozu jest miejsce, obok którego z powodu smrodu rozkładających się zwłok po prostu nie da się przejść. Nagie, bezgłowe trupy leżą niepogrzebane na ziemi. [ELAS] koncentruje się na tej okolicy, bo wśród tutejszej ludności jest silny element reakcyjny"[67].

Nie bez powodu zatem obawiano się skutków rewolucji w Grecji. Restauracja króla Jerzego II, ukochany projekt Churchilla, którego monarchistyczne perory irytowały już nawet greckich konserwatystów, to nie był najlepszy pomysł. Krótkie panowanie Jerzego II pod koniec lat trzydziestych zbiegło się w czasie z brutalną prawicową dyktaturą Joanisa Metaksasa, za którą nikt nie tęsknił.

Jednakże wobec groźby komunizmu Brytyjczycy uznali, że nie mają innego wyboru jak tylko pomóc rządowi w Atenach zwalczać lewicową partyzantkę. Walki trwały przez pięć tygodni na początku 1945 roku. Około 20 tysięcy „wrogów klasowych" zostało wysiedlonych, a często też zabitych przez ELAS podczas marszów śmierci przez góry. Z drugiej strony Brytyjczycy deportowali wielu domniemanych lewicowców do obozów w Afryce. Walki były tak zacięte, że w lutym ludność powitała początek negocjacji pokojowych z nieopisaną ulgą. Churchill pojawił się na balkonie hotelu Grande Bretagne w towarzystwie prawosławnego arcybiskupa i wygłosił przemówienie do wiwatującego tłumu: „Niech żyje Grecja! Grecja dla wszystkich!"[68].

Spokój nie trwał długo. Już w następnym roku wojna domowa wybuchła z nową siłą i trwała kolejne trzy lata. Ale jeszcze przedtem, praktycznie zanim ucichły echa porywającej przemowy Churchilla, wichry zemsty powiały w odwrotną stronę: prawica zaczęła eliminować lewicę. Prawicowe formacje paramilitarne i żandarmeria działały bez żadnych hamulców. Komunistów i domniemanych lewicowców całymi setkami aresztowano bez nakazu, katowano, rozstrzeliwano lub osadzano w więzieniach. Front Wyzwolenia Narodowego apelował do światowej opinii publicznej, zwracając jej uwagę na „reżim terroru straszliwszego nawet niż za czasów dyktatury Metaksasa"[69]. Pod koniec 1945 roku w więzieniach siedziało prawie 60 tysięcy zwolenników EAM, w tym aż tyle kobiet i dzieci, że trzeba było budować specjalne obozy odosobnienia dla kobiet. Standardowy zarzut: zbrodnie popełnione podczas okupacji. Ale byłym niemieckim kolaborantom albo członkom prawicowych Batalionów Bezpieczeństwa ich zbrodnie w większości uszły na sucho.

Harold Macmillan był brytyjskim ministrem rezydentem, a Edmund Wilson amerykańskim literatem i dziennikarzem, więc przyglądali się Grecji z bardzo odmiennej perspektywy, ale pod jednym względem się zgadzali. Należało dołożyć o wiele większych starań, aby oddzielić demokratyczną lewicę od prorewolucyjnych komunistów. „Moim zdaniem – pisał Macmillan – zachowując umiar i bezstronność, mieliśmy szanse na odzyskanie sympatii wielu ich [EAM/ELAS] zwolenników, a w każdym

razie na stworzenie podstaw, na których w przyszłości byłaby możliwa liberalizacja stosunków politycznych w Grecji”[70]. Według Wilsona Anglia powinna była pomóc przywództwu EAM „wywikłać się ze związków z Rosją i ująć w ryzy ten bardziej narowisty element, którego waleczność Brytyjczycy z takim zapałem wspierali za czasów ruchu oporu”[71]. Największa szkoda, że wysiłki w tym kierunku szybko kończyły się porażką, nawet gdy istniała wola działania ku zgodzie: siły polityczne podsycały żądzę zemsty, gdyż kontynuacja zatargów leżała w ich interesie.

***

„Wyzwolenie” to niezbyt odpowiednie słowo na opisanie końca wojny w społeczeństwach kolonialnych. Większość Azjatów z radością pozbyła się Japończyków, zważywszy, że „azjatycka wolność” w ich wykonaniu okazała się gorsza niż zachodnioeuropejski imperializm. Ale wolność to niezupełnie to, co w 1945 roku przewidywali Holendrzy dla Holenderskich Indii Wschodnich, Francuzi dla Indochin, a Brytyjczycy dla Malajów.

Amerykańskie plany wobec Filipin w większym stopniu uwzględniały życzenia lokalnej ludności, a lord Louis Mountbatten, naczelny dowódca sił alianckich w południowo-wschodniej Azji, odnosił się do ruchów niepodległościowych w krajach azjatyckich z ostrożną życzliwością. Natomiast Holendrzy i Francuzi zamierzali jak najszybciej przywrócić w swoich koloniach przedwojenny porządek. Nawet holenderscy socjaliści, którzy mieli sporo zrozumienia dla indonezyjskich dążeń niepodległościowych, obawiali się, że bez kolonii azjatyckich gospodarka Holandii, mocno nadwerężona podczas niemieckiej okupacji, po prostu się załamie. Stwierdzenie „Katastrofę ujrzymy, jeśli Indie stracimy” (*Indië verloren, rampspoed geboren*) było popularnym hasłem. Stosunkowo postępowy holenderski rząd mógł się zgodzić co najwyżej na ograniczoną autonomię Indonezji w ramach królestwa Holandii. I żadnych kompromisów w sprawie Indonezyjczyków, którzy kolaborowali z Japończykami.

To dodatkowo skomplikowało i tak już trudną kwestię kolaboracji i zemsty. Mieszkańcy Azji Południowo-Wschodniej, przynajmniej w pierwszych latach wojny, z dużym entuzjazmem słuchali japońskich haseł typu „Azja dla Azjatów”. Działacze, którzy współpracowali z Japończykami, na przykład Sukarno w Indonezji, pragnęli wyzwolić swoje kraje spod władzy kolonialnej. W oczach Holendrów Sukarno był jednak kolaborantem. Wobec tego po wojnie nie było mowy, aby zgodzili się pertraktować z nim w sprawie niepodległości Indonezji, wręcz przeciwnie: uważali, że powinien stanąć przed sądem za zdradę.

Oprócz tego w 1945 roku Azjaci pałali żądzą zemsty. Wcale nie zawsze jednak miała to być zemsta na europejskich właścicielach kolonii; często chodziło o odwet za inne rodzaje kolaboracji, datujące się sprzed czasów japońskiej okupacji. Podobnie jak w niektórych rejonach Europy, ofiarami zemsty Azjatów padły mniejszości narodowe, zwłaszcza jeśli postrzegano je jako bogate, uprzywilejowane i będące w zmowie z władzami kolonialnymi.

W Azji Południowo-Wschodniej Japończycy ze szczególną brutalnością prześladowali Chińczyków, często zwanych „Żydami Azji”. Na Malajach Japończycy preferowali Malajów, gdyż nie ufali Chińczykom. Uważali, że chińscy kupcy czerpali korzyści z zachodniego kolonializmu. Należało więc ich pognębić; w aparacie państwowym i policji awansowali członkowie malajskich elit. Malajskich czy indonezyjskich chłopów nie traktowano, rzecz jasna, z jakąś szczególną rewerencją, a robotnicy przymusowi budujący japońskie instalacje wojskowe, trzymani w jeszcze gorszych warunkach niż europejscy jeńcy wojenni, marli jak muchy. Spustoszenie terenów wiejskich wtrąciło miliony chłopów w najgłębszą nędzę. W splądrowanych miastach przestała działać infrastruktura, a ludzie żyli w strachu: władzę sprawowały gangi kryminalistów.

Japońskie rządy w Azji Południowo-Wschodniej były bezlitosne – a jednak narody, które wcześniej przyjmowały typową dla ludów skolonizowanych postawę niechętnej uległości, nabrały śmiałości i pewności siebie. Japończycy upokorzyli zachodnie mocarstwa i wykazali, że niezwyciężoność kolonizatorów to mit. Setki tysięcy młodych Malajów

i Indonezyjczyków szkoliły się pod okiem Japończyków na żołnierzy sił pomocniczych i sił porządkowych oraz bojowników rozmaitych paramilitarnych organizacji młodzieżowych. To rodziło nowe, niezwykłe poczucie dumy. Wykorzystując wspólne dla wszystkich narodów skolonizowanych poczucie upodlenia i niższości, Japończycy z pełną świadomością podsycali nastroje antyzachodnie i antychińskie.

W czasie wojny na Malajach istniał oczywiście antyjapoński ruch oporu, ale uczestniczyli w nim głównie Chińczycy. Organizowała go Komunistyczna Partia Malajów, częściowo zapewne pod wpływem Chińskiej Partii Komunistycznej, ale po części także natchniona ideałami internacjonalizmu, dzięki którym komunizm był wszędzie tak atrakcyjny dla mniejszości. KPM nie była przy tym nastawiona jakoś szczególnie antymalajsko, lecz jej członkami zostawali prawie wyłącznie Chińczycy. Antyjapońska Malajska Armia Ludowa, zbrojne ramię partii, w sierpniu 1945 roku liczyła około 10 tysięcy żołnierzy i kontrolowała większość terenów wiejskich. Powstało w ten sposób podziemne państwo z własnym systemem prawnym, w którym czystki nieprzychylnych urzędników były na porządku dziennym; bardzo przypominało to działalność partyzantów w Grecji.

Po wojnie MAAL błyskawicznie rozpoczęła porachunki z lokalnymi kolaborantami, z których większość stanowili Hindusi i Malajowie – urzędnicy magistratów, policjanci, dziennikarze, kapusie, byłe kochanki japońskich urzędników oraz inni „zdrajcy i podłe psy”. Stosowano wobec nich kary typu włóczenie ulicami czy wystawianie na widok publiczny w klatce. Doraźne sądy ludowe kończyły się publiczną egzekucją. Na Malajów padł blady strach. W październiku brytyjski rząd kolonialny, który wcześniej współpracował z MAAL przy zwalczaniu Japończyków, zdecydował, że Chińczycy powinni uzyskać pełne prawa obywatelskie. Malajowie, co zrozumiałe, wystraszyli się, że utracą kontrolę nad własnym krajem. Na tej obawie malajscy politycy grają do dziś.

Malajowie postanowili zatem wziąć odwet na Chińczykach. Ich przywódcą został były boss mafijny Kiyai Salleh, ojciec chrzestny w turbanie na głowie, który po wojnie stanął na czele formacji o nazwie

Czerwone Oddziały Świętej Wojny. Miały one bronić wiary mahometańskiej przed chińskimi poganami i pomścić Malajów upokorzonych i pomordowanych przez Chińczyków po klęsce Japonii. W teorii był to islamski dżihad przeciwko Chińczykom – czytano sury Koranu, wzywano sufickich świętych – lecz Salleh pozował na malajskiego mistyka i głosił, że jest niezwyciężony: „Kule się go nie imają, przez rzeki przechodzi suchą stopą, zerwie każde kajdany, w które go zakują, a głos jego paraliżuje nieprzyjaciół”[72]. Jego zwolennicy wierzyli, że nakłuwając ciało złotymi igłami i pijąc eliksiry pobłogosławione przez świętego wodza, otrzymują podobne moce.

Żołnierz Czerwonych Oddziałów najchętniej zabijał przeciwnika maczetą lub krisem, malajskim sztyletem obdarzonym magiczną mocą tak jak sam bojownik. Incydent, jaki zdarzył się 6 listopada w Padang Lebar, był typowy: oddział dżihadystów wpadł do chińskiej wioski i maczetami i krisami rozsiekł pięciu mężczyzn i trzydzieści pięć kobiet. Trupy dzieci wrzucono do studni. Malajscy politycy niekoniecznie popierali takie zachowania, lecz nie robili nic, aby im zapobiec. Według raportu brytyjskiego wywiadu wojskowego „wśród wykształconych Malajów panuje znaczna obawa o przyszły status ludności malajskiej na Malajach oraz rozpowszechniony pogląd, że Chińczycy przejmują kontrolę nad gospodarką kraju, co doprowadzi do zagarnięcia przez nich władzy politycznej, jeśli nie zostaną podjęte środki zaradcze”[73].

Indonezyjczycy obawiali się dokładnie tego samego, więc nie należy się dziwić, że do najbardziej zaufanych przybocznych malajskiego watażki należeli trzej indonezyjscy nacjonaliści z Holenderskich Indii Wschodnich. A sytuacja panująca w Indiach Wschodnich jesienią 1945 roku była znacznie gorsza niż na Malajach.

Major brytyjskiej piechoty morskiej G.F. Jacobs, Południowoafrykańczyk, uczestniczył w jednym z pierwszych alianckich desantów na Sumatrę w sierpniu 1945 roku. Miał za zadanie nawiązać kontakt z japońskim dowództwem, poczynić przygotowania do kapitulacji sił cesarskich i opracować plany lądowania aliantów. Jako jeden z pierwszych oglądał japońskie obozy jenieckie, wypełnione tysiącami

chorych, znużonych, wychudłych i poranionych cywilów. Wyzwoleni z niewoli Holendrzy nie mogli pojąć, dlaczego nie pozwolił im doraźnie wymierzyć sprawiedliwości japońskim strażnikom: „Czemu nas pan powstrzymał? […] Nie widzi pan, że chcemy się policzyć z tymi podłymi żółtymi kurduplami?”[74].

Major Jacobs ocalił japońskich strażników od linczu, ponieważ bał się kusić los. W całym kraju zbrojni w broń palną, sztylety i włócznie Indonezyjczycy wznosili okrzyk: „Bunuh Belanda! Śmierć białym!”. Japończycy byli potrzebni, aby w dalszym ciągu kontrolować ekswięźniów.

Rankiem 17 sierpnia, dwa dni po kapitulacji Japonii, Sukarno odczytał krótką, napisaną na maszynie deklarację: „My, naród indonezyjski, ogłaszamy niniejszym niepodległość Indonezji. Kwestie transferu władzy itd. zostaną załatwione skrupulatnie i tak szybko, jak tylko możliwe”. Rzecz działa się w Batawii (Dżakarcie); słuchała go tylko garstka ludzi.

Sukarno, samozwańczy prezydent nowej Republiki Indonezji, oraz wiceprezydent Mohammed Hatta przygotowali tę deklarację w ścisłej współpracy z dowództwem japońskiej armii i marynarki. Kiedy latem 1945 roku klęska była już nieunikniona, Japończycy uznali, że najlepszym wyjściem będzie utworzenie niepodległej, wrogiej Zachodowi Indonezji. Nadzieje na dominację w Azji właśnie się rozwiewały, lecz większość Japończyków wciąż z największą powagą traktowała hasło „Azja dla Azjatów”. Indonezyjczycy – znużeni latami przemocy, poniżeni przez okupantów, głodni i podatni na choroby przywleczone przez przymusowych robotników wracających z obozów na linii osławionej Kolei Birmańskiej i przy innych straszliwych projektach budowlanych Japończyków – nie byli pewni, co mają myśleć. W pierwszych tygodniach po kapitulacji Japonii traktowano holenderskich cywilów bez nieprzyjaźni. Sukarno, Hatta i inni przywódcy, jak na przykład Sutan Syahrir, wykształcony w Holandii socjalista, który nigdy nie współpracował z Japończykami, robili co mogli, żeby zapobiec wybuchowi zamieszek na archipelagu, nad którym mieli znikomą kontrolę.

Natomiast władza nowych przywódców nad masami wyszkolonych przez Japończyków żołnierzy sił pomocniczych – młodych, wojowniczych

radykałów – była praktycznie zerowa. A ci chłopcy palili się do walki. Broń dostawali do życzliwych japońskich oficerów, kupowali lub kradli z cesarskich magazynów. Według pewnych szacunków uzyskali tak ponad 50 tysięcy karabinów, 3 tysiące lekkich i ciężkich karabinów maszynowych i 100 milionów nabojów[75]. Tym, co Holendrzy powinni byli zrobić – i do czego zachęcali ich zachodni sprzymierzeńcy – było podjęcie negocjacji z Sukarno i innymi indonezyjskimi przywódcami, którzy obawiali się wybuchu rewolucyjnych rozruchów. Oto pobożne życzenie lorda Mountbattena: „Chcemy jedynie doprowadzić do tego, żeby Holendrzy i Indonezyjczycy pocałowali się na zgodę, a potem się wycofać”[76]. Tymczasem Holendrzy zaapelowali do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, porównując „tak zwany rząd Sukarno” do kolaborującego z hitlerowcami rządu Quislinga, a młodych indonezyjskich partyzantów do Hitlerjugend i SS. Ogłoszoną przez Sukarno deklarację niepodległości Holendrzy zinterpretowali jako japoński spisek, mający służyć utrzymaniu reżimu faszystowskiego w Indiach Wschodnich[77].

Owszem, Sukarno niewątpliwie kolaborował z Japończykami. Lata trzydzieste spędził w większości albo w kolonialnych więzieniach, albo na zesłaniu na odległą wyspę. Japończycy traktowali go z większym szacunkiem niż Holendrzy. Poza tym pogląd, że Japonia wesprze Indonezję na drodze do niepodległości nie był pozbawiony rozsądku. W 1942 roku Sukarno powiedział: „Po raz pierwszy w życiu przejrzałem się w zwierciadle, jakim jest Azja”[78].

Jednakże nawet wielu Indonezyjczyków było zdania, iż Sukarno posunął się za daleko w swojej życzliwości dla Japończyków. Reputację nadszarpnęło mu poparcie dla wywózki jego rodaków na roboty przymusowe. Młodzi radykałowie, którzy nie chcieli mieć z Japończykami nic wspólnego, mieli mu za złe współpracę z okupantami przy przygotowaniu deklaracji niepodległości. Nikt jednak nie kwestionował szczerości nacjonalistycznych poglądów Sukarno.

Holendrzy zamiast negocjować bezpośrednio z Sukarno, niejasno obiecywali Indonezji autonomię w zdominowanej przez Holandię federacji. Od września weterani Królewskiej Armii Holenderskich Indii Wschodnich

z zapałem demonstrowali, kto tu rządzi: paradowali po ulicach, strzelając w powietrze, zrywając czerwono-białe flagi Indonezji i strasząc ludzi. Szczególnie zła sława otaczała tak zwany Batalion X. W tej formacji dowódcami byli Holendrzy i Eurazjaci, ale szeregowcy rekrutowali się z lojalnych sług systemu kolonialnego: ciemnoskórych chrześcijan z Ambonu, Medańczyków i członków innych mniejszości, którzy znacznie bardziej bali się rządów Indonezyjczyków nad Indonezyjczykami niż dominacji Holendrów. Potem nadeszła informacja, że zbliżające się brytyjskie i holenderskie okręty wiozą żołnierzy sił alianckich, głównie Hindusów, oraz agentów Administracji Cywilnej Indii Holenderskich (Netherlands Indies Civil Administration, NICA), którzy zamierzają przywrócić stary porządek. Zaraz potem wybuchły najbardziej krwawe starcia w Azji Południowo-Wschodniej. Były to po części działania odwetowe, po części rewolucja, po części porachunki kryminalistów – ta sama mordercza kombinacja co w Europie Środkowej zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Oddziały zbrojnych ekstremistów, które w październiku i listopadzie 1945 roku zapoczątkowały okres terroru znany pod nazwą *bersiap* („Bądź gotów!”), składały się głównie z byłych członków zorganizowanej przez Japończyków straży obywatelskiej oraz z awanturników, często nastolatków, rekrutowanych z gangów ulicznych Dżakarty, Surabai i innych miast. W *pemuda*, oddziałach młodzieżowych, znaleźli się także studenci, robotnicy i chłopi. Wśród dowódców byli gangsterzy, którzy rabowali i zabijali bogatych oraz wpływowych współobywateli nie z pobudek politycznych, lecz z żądzy zysku, oraz charyzmatycy, jak na przykład watażka o pseudonimie Ojciec Tygrys, sprzedający swoim ludziom ochronne amulety. Mieszanka jawajskiego mistycyzmu z japońską indoktrynacją na temat nieugiętego ducha walki natchnęła młodych bojowników heroiczną brawurą: „Merdeka atan mati!” („Wolność albo śmierć!”). Zdarzało się, że chłopcy uzbrojeni w maczety i bambusowe włócznie rzucali się na czołgi.

Głównymi ofiarami zemsty rewolucjonistów padli Chińczycy, których kojarzono z przedsiębiorczością i podejrzewano o zdradę, Eurazjaci, tak

zwani Indosi, oraz członkowie innych mniejszości, często wysługujący się Holendrom, a oprócz tego wrogowie (nierzadko wyimaginowani) określani jako „szpiedzy NICA”. Definicja szpiega NICA była bardzo pojemna: za agenta władz holenderskich mógł być wzięty choćby mężczyzna, który nosił podejrzanie czerwono-niebiesko-biały sarong: to są barwy narodowe Holandii.

W Dżakarcie Chińczyk, Indos czy Ambończyk, gdy usłyszeli dźwięk bambusowych włóczni dzwoniących głucho o metalowe słupy latarni, wiedzieli, że zaraz będą kłopoty. Kiedy rozlegał się ten werbel, uzbrojeni japońscy żołnierze, którzy mieli rozkaz chronić ludność cywilną pod nieobecność wojsk alianckich, znikali jak kamfora. Rabowano sklepy, podpalano domy, oszaleli, pijani przemocą, literalnie zakochani w swych sztyletach chłopcy rąbali ludzi maczetami. Zdarzało się, że bojówkarze pili krew swoich ofiar. W jednej z dzielnic Dżakarty zabrakło wody, ponieważ studnie były wypełnione gnijącymi trupami Chińczyków aż po cembrowiny.

W dialekcie indoholenderskim słowo *tjintjang* oznacza zarąbać kogoś krisem lub maczetą. Był to najbardziej typowy rodzaj zabójstwa. Holenderskiego cywila, który nieopatrznie oddalił się od strzeżonego przez Japończyków obozu, lub japońskiego żołnierza, który nie chciał oddać broni albo odmówił bojówkarzom pomocy, spotykało zgetjintjangowanie. Dawne obozy koncentracyjne, wielkie obskurne osiedla pełne chorych i głodnych ludzi, również były narażone na ataki – ale i tak, dopóki japońscy strażnicy pozostawali na posterunku, tam właśnie było najbezpieczniej.

Pewnego wieczoru w Surabai grupa nastolatków uzbrojonych w włócznie z zaostrzonych bambusowych prętów złapała Petera van Berkuma, młodego Holendra urodzonego w Indonezji (wśród cywilów było wielu takich). Wrzucono go na ciężarówkę pełną przerażonych ludzi i zawieziono do lokalnego więzienia. „Ciężarówka jeszcze nie zahamowała, a już otoczył ją wrzeszczący tłum. Widziałem tylko zamazaną plamę spoconych, wykrzywionych, brązowych twarzy z otwartymi ustami. Grozili nam pięściami i potrząsali bronią”. Przy wtórze okrzyków „Śmierć

białym!” więźniów wypchnięto z ciężarówki. „Tłum natychmiast się na nich rzucił, bijąc, kopiąc, dźgając kijami, bagnetami i włóczniami, rąbiąc toporami, tłukąc kolbami karabinów”[79].

Do tego czasu *bersiap*, którego indonezyjscy przywódcy absolutnie nie chcieli wywołać, wymknął się spod wszelkiej kontroli. Na Jawie i Sumatrze pojawiały się już nie tylko akty zemsty na kolonizatorach i ich domniemanych sługusach, lecz także regularne bitwy między rebeliantami a Japończykami. Rozkręcała się krwawa spirala odwetu. W Semarang japoński oddział pod dowództwem majora Kido Shinichiro starł się z bojownikami z *pemuda*, przekonanymi, że Japończycy sabotują wodociągi. Japończycy, chcąc zastraszyć Indonezyjczyków, brutalnie zabijali bojówkarzy. W rewanżu Indonezyjczycy zamordowali ponad dwustu japońskich cywilów zamkniętych w miejskim więzieniu. Brytyjski raport wojskowy: „Trupy zwisały z dachu i z okien, inne wielokrotnie dźgano bambusowymi włóczniami. […] Ludzie próbowali pisać ostatnie słowa krwią na ścianach”[80]. Rozwścieczeni Japończycy zabili za to ponad 2 tysiące Indonezyjczyków.

Najgorzej działo się w przemysłowym mieście Surabaja, które pod koniec października było już całkowicie w rękach Indonezyjczyków. Więzienia się wyludniły. Ulice opanowały tłumy bojowników z *pemuda*, gangsterów i sentymentalnych młodzieńców podnieconych opowieściami o wyczynach jawajskich bohaterów, nadawanymi w Radiu Rebelia przez długowłosego charyzmatyka o pseudonimie Brat Tomo. Chińczyka, Ambończyka lub Indosa oskarżonego o szpiegostwo na rzecz NICA czekał cios sztyletem lub włócznią. Japończycy, bojąc się o własne życie, ochoczo dostarczali bojówkarzom bardziej śmiercionośnej broni.

Siostra Petera van Berkuma, Carla, została przywieziona wraz z grupą holenderskich cywilów z pobliskiego obozu koncentracyjnego: „Dopadł nas tłum tubylców. Agresywnie potrząsali w naszą stronę bambusowymi włóczniami. I cały czas wrzeszczeli: *merdeka! merdeka! merdeka!* [wolność]. Byli w łachmanach. Ich ciemne oczy miały przerażający wyraz. Bałam się”[81].

Alianci uznali, że czas coś zrobić. Kapitan marynarki holenderskiej P.J.G. Huijer przyjechał do miasta, aby przygotować lądowanie aliantów. To naturalnie zostało odebrane jako prowokacja. Bojownicy z *pemuda* wciąż przejmowali broń z japońskich arsenałów. 25 października na ląd zeszło około 4 tysięcy brytyjskich żołnierzy, głównie Hindusów i nepalskich Gurkhów. Rozeszły się pogłoski, że wielu z nich to w rzeczywistości Holendrzy. Tłum obszarpanych, ale bardzo zajadłych Indonezyjczyków zaatakował żołnierzy. Brytyjskie dowództwo przestraszyło się, że oddział desantowy zostanie zmasakrowany, i zwróciło się do Sukarno i Hatty z prośbą, żeby spróbowali opanować tłum. Usłuchali i do pewnego stopnia im się udało. Zawieszenie broni trwało aż do 31 października. Tego dnia zginął dowódca sił brytyjskich, generał brygady Aubertin Walther Sothern Mallaby, zabity przez Indonezyjczyków w przypadkowej strzelaninie.

Tym razem to Brytyjczycy szukali pomsty. Ostrzał i bombardowanie Surabai trwały od 10 listopada przez trzy tygodnie. Świadek wydarzeń opisywał, co działo się w śródmieściu:

> W rynsztokach leżały trupy ludzi, koni, kotów i psów, na ulicach – odłamki szkła, meble, kłęby drutu telefonicznego, odgłosy bitwy rozbrzmiewały echem wśród biurowców. […] Opór Indonezyjczyków miał dwie fazy, najpierw fanatycznego poświęcenia, kiedy ludzie uzbrojeni jedynie w sztylety rzucali się na shermany, a potem bardziej zorganizowanej i skuteczniejszej obrony prowadzonej dokładnie według japońskich podręczników sztuki wojennej[82].

Pod koniec listopada Surabaja była spacyfikowana. Jakim kosztem? Pozostały z niej ruiny cuchnące rozkładającymi się zwłokami Indonezyjczyków, Hindusów, Brytyjczyków, Holendrów, Indosów i Chińczyków. Indonezja uzyskała pełną niepodległość dopiero w 1949 roku. Zanim to się stało, następowały jeszcze kolejne akty zemsty, między innymi ze strony Holendrów, którzy w 1946 roku wysłali na południe Sulawesi szwadrony śmierci pod dowództwem Raymonda Westerlinga; zginęły tysiące cywilów. Sam Westerling, który podczas drugiej wojny światowej walczył z Niemcami w Afryce Północnej i nosił przezwisko „Turek”, został później zagorzałym muzułmaninem.

Lecz krew żąda krwi. Holendrzy nie tylko oskarżali Sukarno o zdradę, lecz także uważali go za zwolennika komunizmu. Dokładnie dwadzieścia lat po pacyfikacji Surabai doszło do puczu wojskowego. Oficerowie indonezyjskiej armii tłumaczyli, że Sukarno został odsunięty od władzy, aby zapobiec przejęciu kontroli nad krajem przez komunistów. Rozpoczęła się wielka czystka, która objęła cały kraj. Zginęło około pół miliona ludzi, w dużej części Chińczyków. Muzułmańska straż obywatelska, uzbrojona młodzież, wojsko, jawajscy mistycy, zwykli obywatele – kto tylko mógł, zabijał komunistów. Przywódcą puczu był przyszły prezydent Indonezji, generał Suharto, wyszkolony przez armię japońską i całkowicie zindoktrynowany przeciwnik zachodniego imperializmu, który w 1945 roku walczył przeciwko Holendrom. Jego prezydentura trwała 32 lata. W tym czasie, jako zajadły antykomunista, cieszył się serdecznym i niezmiennym poparciem wszystkich państw Zachodu, w tym także oczywiście Holandii.

***

W 1945 roku Francuzi lękali się utraty swoich kolonii dokładnie tak samo jak Holendrzy, a czuli się jeszcze bardziej upodleni niż oni – nie tylko z powodu swojej klęski w 1940 roku, lecz także z powodu kolaboracji rządu z okupantem. Francuskie władze kolonialne w *de facto* okupowanych przez Japończyków Indochinach kooperowały z rządem Vichy. Japończycy wykorzystywali kolonię jako bazę operacji wojskowych, podczas gdy w Sajgonie Francuzi sączyli drinki w klubie Cercle Sportif i ogólnie rzecz biorąc do niczego się nie wtrącali. Te złote czasy dobiegły końca w marcu 1945 roku. Od chwili wyzwolenia Francji Japończycy nie mogli już stuprocentowo liczyć na tę współpracę, więc szybciutko wtrącili francuskich wojskowych i urzędników do więzień w Sajgonie i Hanoi.

Kiedy w pierwszym tygodniu sierpnia klęska Japonii była już prawie pewna, Japończycy przekazali władzę polityczną w ręce królewskiego rządu Wietnamu, podczas gdy Vietminh, komunistyczna Liga na rzecz Niepodległości Wietnamu, przejął kontrolę nad północą kraju. Parę tygodni później północną granicę przekroczyły wojska chińskie, a lądowanie

Brytyjczyków na południu było tylko kwestią czasu. W tym momencie zarówno cesarz Bao Dai, jak i komunistyczny przywódca Ho Chi Minh dali bardzo jasno do zrozumienia, że cokolwiek się wydarzy, powrót Francuzów do władzy jest wykluczony. W Hanoi obalano już pomniki dygnitarzy francuskiego rządu kolonialnego. 2 września ponad 300 tysięcy Wietnamczyków zgromadziło się na placu Ba Dinh, opodal byłego pałacu gubernatora, aby wysłuchać wygłoszonej przez Ho Chi Minha proklamacji niepodległości. Orkiestry grały komunistyczne marsze, których słowa mówiły między innymi o „piciu krwi Francuzów". Przy obwieszonej czerwonymi sztandarami trybunie stała uzbrojona w pistolety gwardia Vietminhu. Nad głową „Wujka Ho" trzymano cesarski parasol. Wódz odezwał się cicho do mikrofonu: „Rodacy, czy mnie słyszycie?". Tłum ryknął, że słyszy.

Świadkiem tego wydarzenia był oficer brytyjskiego wywiadu, który doniósł zwierzchnictwu w Kunmingu na południu Chin: „Moim zdaniem ci ludzie mówią serio i obawiam się, że Francuzi będą musieli coś z tym zrobić. Tak naprawdę to wszyscy będziemy musieli coś z tym zrobić"[83]. Nie spodziewał się zapewne, że są to prorocze słowa.

W Indochinach Francuzi, w dużej części ciągle siedzący w więzieniach pod japońską strażą, czuli lęk, natomiast w Algierii wpadli w popłoch. W początkach 1945 roku zarówno w Algierii, jak w Indochinach panowała klęska głodu wywołana suszą i faktem, że żywność rekwirowało wojsko. W Indochinach zmarło ponad milion osób. W Algierii głód zdawał się podsycać furię tubylców, którą wystraszeni Francuzi uważali za zalążek krwawej rewolucji.

W rzeczywistości, pomimo agitacji ze strony algierskich komunistów i radykalnych nacjonalistów, większość Algierczyków pragnęła jedynie równouprawnienia. Ale za każdym razem, kiedy kamień rzucony muzułmańską ręką leciał w stronę francuskiego osadnika, Francuzi myśleli, że arabska rewolta jest tuż-tuż. W 1945 roku nowa administracja kolonii składała się głównie z lewicowców, wśród których było sporo dawnych bojowników ruchu oporu. Za to osadnicy w większości sprzyjali rządowi Vichy, a przy tym byli zajadłymi antysemitami. (Nawiasem mówiąc, często

zdarzało się, że praw Żydów pod rządami Francuzów bronili jedynie algierscy muzułmanie). Lecz muzułmanom, którzy dążyli do niepodległości Algierii lub równouprawnienia tubylców, szybko przyklejano etykietkę „nazistów”. To zupełnie jakby indonezyjskie i wietnamskie dążenia niepodległościowe uznać za element spisku japońskich faszystów. Jednakże zarówno dla lewicowych władz kolonialnych, jak i dla byłych zwolenników rządu Vichy był to doskonały pretekst do ataku na muzułmanów.

Zamieszki robiły się coraz gwałtowniejsze, zwłaszcza na północnym wschodzie Algierii, w najboleśniej dotkniętym klęską głodu regionie miasta Sétif. Osadnicy ścierali się z nomadami, butnych stróży porządku wypędzano z wiosek, prawicowa młodzież z Europy szydziła z muzułmanów okrzykami „Vive Pétain!”, a nawet „Vive Hitler!”, a francuscy policjanci strzelali do tłumu muzułmanów, którzy chcieli się przyłączyć do pochodu pierwszomajowego.

Łatwo się było domyślić, że jeśli gdzieś wybuchną poważne walki, to w Sétif, głównym ośrodku islamskiej agitacji i algierskiego nacjonalizmu. Część algierskich Francuzów popierała kolaboracyjny rząd Vichy, lecz dzień zwycięstwa aliantów nad Niemcami miał być obchodzony z pompą i patriotycznym zadęciem. Wczesnym rankiem 8 maja przed głównym meczetem zgromadzili się muzułmanie, przeważnie wieśniacy, z żonami i dziećmi. Wielu mężczyzn pod dżelabą nosiło tradycyjny sztylet, niektórzy mieli pistolety. Przywódcy muzułmańskiej organizacji Amis du Manifeste et de la Liberté (AML), która agitowała za równouprawnieniem, zapewnili władze, że nie jest to manifestacja polityczna i że nie pojawią się żadne transparenty z nacjonalistycznymi hasłami.

O ósmej rano tłum liczył już około 3 tysięcy ludzi. Manifestanci ruszyli aleją Clemenceau, aby złożyć wieńce przy pomniku poległych. Wbrew obietnicom AML grupa nacjonalistów rozwinęła transparenty z napisem „Chcemy równych praw!”. Kiedy czekający przy szlabanie policjanci zobaczyli transparent „Niech żyje niepodległa Algieria!”, wydarli go z rąk algierskiego chłopa, którego zabili go na miejscu. Wydawało się, że Francuzi tylko na to czekali: z balkonów i okien Café de France poszły w tłum serie z pistoletów maszynowych. Około 30–40 osób zginęło na

miejscu. Przerażeni muzułmanie rzucili się w boczne uliczki, atakując Europejczyków sztyletami i strzelając z pistoletów. Przywódca komunistów, Francuz Albert Denier, odniósł tak poważne rany, że trzeba mu było amputować ręce.

Pewna nauczycielka, Francuzka, siedziała w kawiarni naprzeciwko swojej szkoły, kiedy „zewsząd pojawiły się grupy wrzeszczących tubylców ze sztyletami w dłoniach. Biegli w stronę arabskiego targowiska. Widziałam okropne rzeczy. Piętnastu mężczyzn biło wielkiego przyjaciela Arabów, pana Vaillanta, maczugami. […] Straszne, jak się nad tym zastanowić. Najdziwniejsze, że większość ofiar to byli ludzie, którzy sprzyjali Arabom”[84].

Wiadomości o masakrze szybko dotarły do wiosek. Akty zemsty były sporadyczne, ale brutalne: „Mieliśmy noże i strzelby. Mój ojciec zabił piekarza za to, że był Francuzem. Wybijaliśmy drzwi, podpalaliśmy domy, oblewając je znalezioną naftą i benzyną”[85]. Francuscy osadnicy schronili się w budynkach komisariatów policji. Złapanych ćwiartowano nożami, kobietom odcinano piersi, mężczyznom wpychano do ust oderżnięte genitalia. W ciągu trzech dni zginęło około stu Europejczyków.

Gubernator Yves Chataigneau, socjalista, zamiast nawoływać do zachowania spokoju, wezwał wojsko: 10 tysięcy Marokańczyków, Senegalczyków i żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Nie chodziło o zwykłe przywrócenie porządku, tylko o udzielenie tubylcom lekcji. Zabójstwo obywateli Francji musiało zostać pomszczone.

Osadnicy utworzyli jednostki straży obywatelskiej i rzucili się na tubylców. Z Europy ściągnięto pułk piechoty złożony z zahartowanych w boju Algierczyków, odrywając go od zaciekłej walki z Niemcami. Wróciwszy do ojczyzny, żołnierze zostali wysłani w głąb kraju, by zabijać swoich rodaków. Pod koniec czerwca w spacyfikowanych miejscowościach zapadła straszliwa cisza. Przez kilka tygodni wsie i miasteczka były bombardowane i ostrzeliwane; aresztowano i rozstrzelano, często po torturach, tysiące ludzi. Według niektórych szacunków zginęło do 30 tysięcy Algierczyków, lecz ilu dokładnie, nie wiadomo. Zabójstwom towarzyszyło wyrafinowane upodlenie ofiar. Powróciła

dziewiętnastowieczna praktyka zmuszania tubylców do uroczystego upokarzania się przed zwycięzcami. Wygłodzeni chłopi, którzy wobec lecących im na głowy bomb rezygnowali z dalszej walki, tłumnie klękali przed francuskim sztandarem i błagali o wybaczenie. Innych rzucano na ziemię i kazano im krzyczeć: „Jesteśmy Żydami. Jesteśmy psami. Niech żyje Francja!”.

Niektórym Francuzom wydawało się, że w Algierii znów jest tak, jak być powinno. Bardziej wrażliwi, wśród których był generał de Gaulle, wiedzieli doskonale, że masakra tubylców w Sétif i okolicach to wstydliwa skaza na obliczu *La France éternelle*, która – przynajmniej według państwowej mitologii – tak heroicznie przeciwstawiała się nazistom. Nic dziwnego, że na temat tych wydarzeń władze nabrały wody w usta – i milczały przez wiele lat.

Natomiast Francuzi w Sajgonie odebrali wydarzenia w Sétif jako ostrzeżenie, co może ich spotkać, jeśli dążenia niepodległościowe Wietnamczyków nie zostaną szybko i skutecznie stłumione. W sierpniu sytuacja Francuzów wyglądała nieciekawie. Wielu wciąż było internowanych. Żołnierze Vietminhu otrzymywali od Japończyków, lub po prostu sami sobie brali, coraz więcej broni. Japońscy oficerowie przyłączali się do Vietminhu – albo z przekonania (bo przecież „Azja dla Azjatów”), albo żeby uciec przed karą za zbrodnie wojenne. Imperialistyczne projekty Francji były nie w smak Amerykanom, chociaż władze chińskie (w tym czasie wciąż rządzili nacjonaliści Czang Kaj-szeka) nie miały nic przeciwko zachowaniu Indochin przez Francuzów. Jedynymi nieugiętymi stronnikami Francuzów byli, cóż w tym dziwnego, Brytyjczycy.

Zamieszki często zaczynają się od pogłosek. Nie inaczej stało się w Hanoi 20 września. Szeptano, że Francuzi chcą siłą odzyskać władzę, więc spiskują z tubylczymi funkcjonariuszami kolonialnej służby bezpieczeństwa. Ktoś podobno znalazł zakonspirowane arsenały. Wspominano o gazach bojowych. Japończycy wypuścili jakoby francuskich żołnierzy z więzień i rozdali im broń. Aby pokrzyżować te podstępne plany, uzbrojeni w noże, włócznie i maczety Wietnamczycy zaczęli atakować

spotkanych na ulicach Francuzów i rabować domy. Japońscy żołnierze przyglądali się temu obojętnie.

Kelnerzy w Metropole, najlepszym hotelu w Hanoi, napadli na gości w ich pokojach oraz zabarykadowali w jadalni. Francuz, który zdołał uciec przez okno, zaalarmował Japończyków, prosząc, aby uwolnili francuskich więźniów i zaprowadzili porządek.

Młoda Francuzka Françoise Martin przyjechała do Hanoi „nie kierowana chęcią wzbogacenia się, lecz wręcz przeciwnie, wypełniona filantropijnym idealizmem". Do kultury sino-annamskiej czuła „wyłącznie szacunek". Lecz jej uczucia wobec Wietnamczyków wykrzykujących na ulicach niepodległościowe hasła nie różniły się zbytnio od uczuć innych francuskich kolonistów: „Niewykluczone, że byli wśród nich prawdziwi patrioci. […] Ale co się tyczy tego tłumu przestępców i durniów uwijających się z flagami po mieście, to widok pół tuzina karabinów posłałby ich z powrotem do ich szczurzych nor. Niestety, nie mamy pół tuzina karabinów, i długo nie będziemy mieć"[86].

W sierpniu znów rozeszła się pogłoska, że we francuskiej willi znaleziono magazyn broni. Demonstranci potępiali francuski imperializm. Na terenach wiejskich zamordowano parę osób, ale oprócz tego Wietnamczycy raczej zostawiali Francuzów w spokoju. Lecz ci ostatni i tak byli przerażeni, tym bardziej że wciąż czuli się bezradni. Niewiele pomagały im dochodzące z ojczyzny śmiałe zapewnienia; na przykład generał de Gaulle mówił, że Indochiny to „jeden z głównych celów działań [Francji] o odrodzonej potędze i na nowo odkrytej wielkości"[87].

„Wszyscy są uzbrojeni po zęby, Amerykanie, Chińczycy, Annamczycy – pisała Françoise Martin o sytuacji w Hanoi. – Tylko Francuzi nie mają nic, czym by się mogli bronić, oprócz kijów i pustych butelek"[88]. Jej analiza dążeń narodowowyzwoleńczych Wietnamczyków jest równie typowa dla tego miejsca i czasu, jak jej poglądy na temat „durnych" demonstrantów. Wszystko to był spisek: „Japończycy oficjalnie złożyli broń, lecz wciąż prowadzili wojnę, tylko w inny sposób, blokując odrodzenie się [władzy] Europejczyków w Indonezji i na Malajach; ich metody wszędzie były takie same: perfidny plan, doskonale przygotowany, starannie wprowadzony

w życie. […] Nowy, podziwu godny przykład dwulicowości Azjatów, na którą biały zawsze się nabierze”[89].

Zamieszki w końcu wybuchły, ale nie w Hanoi, tylko w Sajgonie. Pierwsze oznaki, że sytuacja robi się poważna, niezwykle przypominały wydarzenia w Algierii. 2 września w mieście zgromadziły się setki tysięcy Wietnamczyków (czyli, jak ich wtedy nazywano w zachodniej prasie, Annamczyków); wielu z nich przybyło ze wsi. Chcieli wysłuchać przez radio proklamacji niepodległości, którą Ho Chi Minh miał wygłosić w Hanoi. Rankiem uzbrojeni młodzi Wietnamczycy demonstrowali przed bramą obozu wojskowego, gdzie wciąż internowani byli francuscy żołnierze. Na szydercze okrzyki Wietnamczyków Francuzi odpowiedzieli obelgami i śpiewaniem *Marsylianki*. Potem nastąpiły problemy techniczne i przemówienia Ho Chi Minha nie było słychać. Tłum, już niespokojny, zdenerwował się jeszcze bardziej, podejrzewając Francuzów o sabotaż systemu radiowego. Demonstracja właśnie docierała do katedry, kiedy rozległy się strzały. Ludzie spanikowali i rzucili się na Francuzów, przekonani, że ta strzelanina to ich dzieło. Rabowano chińskie i europejskie sklepy, zabito kilku księży, kobietom wybijano zęby kopniakami.

Francuzi twierdzili, że strzały, które sprowokowały zamieszki, padły z broni wietnamskich prowokatorów. Nieco ponad dwa tygodnie później przekonali brytyjskiego generała Douglasa Graceya, że pora usunąć wietnamskich funkcjonariuszy z urzędów i komisariatów policji i zwrócić broń Francuzom. Brytyjczycy, w geście kolonialnej solidarności, usłuchali. 23 września wydawało się, że do Sajgonu powrócił spokój i że Francuzi odzyskali władzę. Przyszła kolej na Wietnamczyków – upokorzenia i bezradność, które Francuzi cierpieli przez wiele tygodni, miesięcy, a być może nawet i lat, zmieniły obchody zwycięstwa w orgię linczu. Brytyjski oficer raportował, że „była strzelanina i Annamczyków jawnie wleczono ulicami do więzień”[90].

Na odwet nie trzeba było długo czekać. Nazajutrz Wietnamczycy napadali na Francuzów w ich domach. Na brzegu rzeki torturowano ludzi. Wietnamki mające francuskich mężów kaleczono nożami. Według jednej z relacji kobietę, która była w ósmym miesiącu ciąży, wypatroszono. Walki

w Sajgonie trwały przez prawie dwa miesiące: Brytyjczycy, Francuzi i Japończycy przeciwko Wietnamczykom. Część Japończyków przeszła na stronę Wietnamczyków. W szeregach francuskiej Legii Cudzoziemskiej byli Niemcy, którzy wcześniej walczyli z aliantami w Afryce Północnej, a niewykluczone, że i esesmani. Tysiące Wietnamczyków poddano torturom i po „procesach”, które trwały góra pięć minut, skazywano na długoletnie więzienie lub śmierć.

W połowie listopada Francuzi znów sączyli drinki w Cercle Sportif, pewni, że życie wkrótce powróci do normalności. To złudzenie jeszcze trochę potrwa – na południu do 1949 roku, kiedy niepodległość uzyska Wietnam Południowy ze stolicą w Sajgonie, na północy do 1954 roku, kiedy świat uzna rząd komunistów Ho Chi Minha w Demokratycznej Republice Wietnamu ze stolicą w Hanoi. Nigdy jednak słowa Makbeta do lady Makbet, że krew żąda krwi, nie brzmiały prawdziwiej niż w odniesieniu do tego wąskiego kraju w Azji Południowo-Wschodniej, który kiedyś uważano za trzy państwa, potem za dwa, a w końcu za jedno.

CZĘŚĆ DRUGA

SPRZĄTANIE GRUZÓW

ROZDZIAŁ 4

POWROTY DO DOMU

Mój ojciec był jednym z 8 milionów *displaced persons*, które w maju 1945 roku bezradnie czekały na transport do ojczyzn, nie mogąc samodzielnie wyjechać z Niemiec. W innych częściach Europy tkwiło jeszcze około 3 milionów dipisów. Niektórzy z nich tęsknili za domem, inni za żadne skarby nie chcieli do niego wracać, a jeszcze innym wojna zabrała domy; na przykład Polacy nie mieli już czego szukać na zabranych przez ZSRR kresach wschodnich, przekazanych radzieckiej Ukrainie, Serbowie i Chorwaci w Austrii, biali Rosjanie w Jugosławii, a żydowscy uchodźcy w Kazachstanie. Statystyki dotyczące dipisów w Azji są równie wstrząsające: 6,5 miliona Japończyków, z czego połowa cywilów, ugrzęzło w różnych krajach na kontynencie i na wyspach Pacyfiku, a za to w Japonii pozostawał ponad milion robotników przymusowych z Korei. W Chinach i Japonii, na Tajwanie i w południowo-wschodniej Azji przebywało, bez żadnej możliwości powrotu do domu, tysiące byłych jeńców wojennych: Australijczyków, Europejczyków i Amerykanów, a także Indonezyjczycy i inni Azjaci ściągnięci przez Japończyków do pracy przy wojskowych projektach budowlanych. Przy budowie linii kolejowej z Tajlandii do Birmy pracowało około 180 tysięcy Azjatów; przeżyła połowa.

W czasie każdej wojny dochodzi do przesiedleń; wskutek wojny w Iraku, rozpoczętej w 2003 roku inwazją pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych, domy opuściło około 5 milionów ludzi[1]. Jednak skala przesiedleń w czasie drugiej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu jest

szczególnie przerażająca, tym bardziej że miały one nie tylko ideologiczne, lecz nieraz także bezlitośnie pragmatyczne przyczyny: wywózka do pracy przymusowej; wymiana ludności; czystka etniczna; zmiana przebiegu granic; emigracja w poszukiwaniu *Lebensraum* dla niemieckiej i japońskiej „rasy panów”; wybuch wojny domowej; transport całych grup ludności do obozów zagłady i tak dalej. W Europie głównymi winowajcami są Niemcy, lecz w Związku Radzieckim i na jego obrzeżach stalinizm bywał równie zabójczy[2].

Dla mojego ojca sama idea powrotu do domu nie przedstawiała większego problemu. Korespondencja z rodziną urwała się wprawdzie w 1944 roku, kiedy część Holandii, w której leżało jego rodzinne miasto, została wyzwolona przez aliantów i zabrakło możliwości komunikowania się z kimś, kto przebywał w Niemczech – ale jego dom wciąż istniał. Latem 1945 roku dipisi z brytyjskiego obozu pod Magdeburgiem zostali przewiezieni pociągami, autobusami i konwojami ciężarówek aż do granicy holenderskiej. W przygranicznym mieście Enschede już czekał komitet powitalny; pierwszym pytaniem, jakie usłyszał mój ojciec i jego towarzysze podróży, było: czy pracowali w Niemczech z własnej woli czy przymusowo. Osoby podejrzewane o pracę z własnej woli traciły prawo do kartek żywnościowych; to jednak był zaledwie przedsmak ich kłopotów, ponieważ kwestia ta jeszcze przez kilka dziesięcioleci miała stanowić narodową obsesję, ciągle na nowo rozdrapywany strup: kto był „dobry”, a kto „zły”, kto był odważnym bojownikiem i bohaterem, a kto tchórzem lub ohydnym kolaborantem. (Rzecz jasna niewielu ludzi dawało się jednoznacznie zaliczyć do którejkolwiek z tych kategorii). Nie było to miłe powitanie. Niemniej uprzejmość rozmówców zrobiła na moim ojcu spore wrażenie: przywykł, że urzędnicy na niego wrzeszczą.

Z chwilą powrotu do rodzinnego Nijmegen uczucia trochę się ojcu skomplikowały. Do zniszczeń był przyzwyczajony: Berlin, który właśnie opuścił, leżał przecież w gruzach. Z niejaką dezorientacją patrzył jednak na starówkę Nijmegen: zniknęło wiele pięknych, często jeszcze średniowiecznych budynków. W 1944 roku Amerykanie przypadkiem zbombardowali miasto. Po latach tęsknoty za domem mój ojciec nagle

zaczął się bać. Mówi, że nie mógł się wtedy zmusić, aby przejść te kilka kroków, które dzieliło go od domu – dlaczego, nie bardzo już pamięta. Może dlatego, że nie wiedział, czy jego rodzice żyją, czy dom jeszcze stoi. A może lękał się ponownego spotkania; przecież w tym czasie tyle się wydarzyło.

W końcu jednak poszedł do domu. Rodzina przeżyła w całości. Witano go z wielką radością. Wkrótce odnalazł swoje dawne miejsce w społeczności; wciąż do niej pasował.

Ojciec należał do szczęściarzy. W wielu wypadkach stan wysiedlenia okazywał się dużo trwalszy, a powrót do domu przynosił rozczarowanie, albo i gorzej. Skrajność wojennych doświadczeń wyżłobiła między ludźmi otchłanie wzajemnego niezrozumienia. Niejeden pragnął zwierzyć się ze swoich przeżyć. Ale jak ktoś, kto przeżył Auschwitz, miał przekazać, przez co przeszedł, ludziom, którzy o obozach zagłady w najlepszym wypadku ledwo coś słyszeli?

O tym właśnie niezrozumieniu mówi węgierski pisarz Imre Kertész w powieści *Los utracony* (1975). Autor, zasymilowany Żyd z Budapesztu, był więźniem obozów w Auschwitz i Buchenwaldzie; miał 14 lat kiedy go wywieziono, więc dorastał za kolczastym drutem. György, jego powieściowy *alter ego*, powraca do Budapesztu wciąż odziany w obozowy pasiak, z wychudłą i pokrytą plamami twarzą starca. W dawnym mieszkaniu rodziców zastaje obcych, nieufnych i nieżyczliwych ludzi, którzy zatrzaskują mu drzwi przed nosem. Takie przywitanie często czekało ludzi wracających z obozów, a zwłaszcza Żydów, bo nikt się nie spodziewał, że akurat oni wrócą. Spotkanie z dawnymi sąsiadami, Żydami, którzy przetrwali wojnę w Budapeszcie, jest w pewnym sensie jeszcze bardziej bolesne. György słyszy od nich, że „tu też nie było łatwo”[3]. Dowiedziawszy się, gdzie był, sąsiedzi dają mu radę: niech zapomni o tych koszmarach i myśli tylko o przyszłości. Coś podobnego mówi kolejny człowiek, który troszczy się o los chłopaka, spotkany w tramwaju dziennikarz: najważniejsze, że to piekło już się skończyło.

György nie potrafi im wytłumaczyć, że on przecież nie przebywał w piekle; jego doświadczenia nie były metafizyczne; on był w obozach

koncentracyjnych. Jak mógłby zapomnieć i myśleć tylko o przyszłości, jak gdyby cała jego przeszłość to był zły sen albo straszny film? Życie w obozach nie było ani miłe, ani swobodne, ale jednak było to życie – jego życie. Nie da się ignorować ciągłości. Problem w tym, że ludzie, którzy nigdy nie doświadczyli niczego podobnego, absolutnie nie są w stanie sobie tego życia wyobrazić – ani też nie chcą go sobie wyobrażać, i dlatego odwołują się do pojęć abstrakcyjnych, takich jak „koszmary” czy „piekło”, które należy zapomnieć tak szybko, jak tylko się da.

Ludzie opisani pod koniec powieści Kertésza, dziennikarz oraz sąsiedzi, pan Steiner i państwo Fleischmannowie, mieli przynajmniej dobre intencje. Nie zawsze tak było, gdy następowała konfrontacja między tymi, którzy spędzili czas wojny we własnym domu, a tymi, którzy wrócili z obozów koncentracyjnych i jenieckich lub z wywózki na roboty do Rzeszy. Cierpienie to sprawa osobista. Większość ludzi pragnie, by bliźni ich cierpienie szanowali. Cierpienie bliźnich natomiast, zwłaszcza jeśli było wyraźnie większe niż nasze własne, może rodzić irytację, a nawet poczucie winy: „Tu też nie było łatwo”.

Lodowate przyjęcie, z jakim spotykali się powracający do domów Żydzi – i to nie tylko w Polsce i innych skrwawionych krajach Europy Środkowej, lecz na Zachodzie, na przykład w Holandii również – miało sporo wspólnego z niejasnym, a przy tym nie do końca zepchniętym w podświadomość poczuciem winy, jak również z antysemityzmem, który lata hitlerowskiej okupacji podsyciły raczej, niż stłumiły; to kwestia skutecznej propagandy.

Uczucia takie żywili nie tylko kolaboranci czy sympatycy nazizmu. Po wyzwoleniu południa Holandii w 1944 roku młoda kobieta Netty Rosenfeld wyszła z kryjówki i zgłosiła się do pracy w stacji radiowej holenderskiego ruchu oporu. Usłyszała, że „Rosenfeld” to nie jest nazwisko, które może pójść w eter, prosimy zrozumieć, w radiu Herrijzend Nederland (Odrodzona Holandia) pracuje tylu Żydów, że słuchacze już kpią, że nasza stacja to Odrodzona Jerozolima. Ze swoich niefortunnych doświadczeń Żydzi koniecznie powinni wyciągnąć naukę, że nie warto pchać się na początek

kolejki i próbować na nowo zdominować społeczeństwo. I to było powiedziane w formie przyjaznej porady.

We wrześniu 1945 roku w „Paraat”, piśmie lewicy holenderskiego ruchu oporu, niejaki Siegfried Goudsmit opisał zaobserwowaną scenkę:

> Przystanek. Ludzie czekają na autobus do Amsterdamu. Wśród nich są dwaj Żydzi. Jeden siada na ławce. Jakaś dama, nie-Żydówka, protestuje i każe mu wstać. „Ktoś inny ma prawo do tego miejsca”. „Tak, proszę pani, w innych okolicznościach bym nie siadał, ale ja właśnie wyszedłem ze szpitala, gdzie trafiłem w stanie wyczerpania po powrocie z niemieckiego obozu koncentracyjnego, no i, jak pani widzi, wciąż jestem trochę osłabiony”. „Że też pana nie zatrzymali w obozie! Już i tak was tu mamy aż nadto”[4].

Wielu ludzi, wróciwszy z obozów, usłyszało, że nie oni jedni cierpieli; ich rodacy w Holandii też chodzili głodni, komuś ukradziono rower, i w ogóle. Żydom mówiono, żeby się nie dopominali o za wiele, żeby nie byli zbyt pewni siebie. Powinni znać swoje miejsce, a przede wszystkim okazywać wdzięczność.

2 lipca 1945 roku w „De Patriot”, gazecie uprzednio publikowanej przez ruch oporu, ukazał się list dotyczący problemu antysemityzmu w powojennej Holandii:

> Żydzi bez wątpienia spotykali się z wielką życzliwością ze strony ludności holenderskiej, i to właśnie dlatego, że byli prześladowani przez Niemców. Teraz byłoby słuszne, aby się hamowali i unikali przesady; powinni bezustannie pamiętać, iż mają obowiązek być wdzięcznymi oraz iż ta ich wdzięczność powinna przybrać formę przede wszystkim zadośćuczynienia za to, czemu zadośćuczynić można, tym, którzy z powodu Żydów padli ofiarą prześladowań. Mogą dziękować Bogu, że uszli z życiem. Jest też możliwe, iż roztrwonią ową [żywioną wobec nich przez Holendrów] życzliwość. […] Doprawdy nie są jedynymi, którzy cierpieli […][5].

Nic zatem dziwnego, że większość pozostałych przy życiu Żydów wolała milczeć. Milczeć o fakcie, że nie żyje około 75 procent z mniej więcej 150 tysięcy Żydów mieszkających w Holandii w 1940 roku. Milczeć o tym, że z obozów wróciło zaledwie jakieś 5 tysięcy. Milczeć o tym, że

holenderscy urzędnicy, policjanci i prawnicy ochoczo pomagali niemieckim mordercom. Milczeć o milczeniu, jakie otaczało wywózkę żydowskiej ludności, pociąg za pociągiem.

W pierwszych latach po wojnie wystawiono w Holandii masę pomników: bojowników z ruchu oporu, poległych żołnierzy, cierpienia narodu, poświęcenia bohaterów. Pierwszy pomnik zagłady Żydów powstał w roku 1950 w Amsterdamie, niedaleko dawnego żydowskiego targu, siedemnastowiecznego budynku Synagogi Portugalskiej i opuszczonych, splądrowanych żydowskich domów, z których siłą wywleczono mieszkańców. Pomnik ten jest z białego kamienia, zwieńczony gwiazdą Dawida; pięć płaskorzeźb symbolizuje życzliwość, opór, siłę i żałobę nieżydowskiej ludności Holandii. Nazywa się pomnikiem Żydowskiej Wdzięczności.

Fakt pozostaje faktem: Żydzi, którzy pozostali przy życiu, stanowili krępujący problem. Nie pasowali do heroicznej legendy pośpiesznie konstruowanej na powojennych gruzowiskach Holandii, Francji i każdego innego kraju, w którym próbowano zapomnieć niewygodne i bolesne prawdy o przeszłości. Ludzie, którzy poniżenie okupacji przeżyli, zginając kark i odwracając wzrok, gdy kogoś innego spotykało nieszczęście, teraz głosili, że przez cały tamten czas działali wręcz bohatersko. W latach pięćdziesiątych chodziłem do podstawówki i pamiętam, jak nauczyciele chełpili się błahymi aktami buntu; tym, że pytającym o drogę niemieckim żołnierzom pokazali niewłaściwy kierunek albo coś takiego.

Jako nastolatek uwielbiałem książki Klaasa Norela, które zawsze opowiadały o wyczynach dzielnych chłopaków z ruchu oporu i nosiły takie tytuły jak *Wypędzamy najeźdźców*, *Czuwać, chłopcy* albo *Opór i zwycięstwo*. W szeregach prawdziwych i wyimaginowanych bohaterów nie było miejsca dla Żydów. Stare uprzedzenia miały się świetnie. W *Wypędzamy najeźdźców* Norela czytamy: „Żydzi być może nie są bohaterami, ale sprytu na pewno im nie brakuje. Ocknęli się dopiero, gdy naziści zaczęli zajmować ich mienie i fundusze. Ale za to jak! Z wielką chytrością zakamuflowali przed wrogiem miliony a miliony”.

***

We Francji skończył się okres oszalałych prześladowań. Gaullistowski rząd jął starannie udawać, że wszyscy obywatele Francji jak jeden mąż dzielnie stawali przeciwko niemieckiemu najeźdźcy. To obłudne przymykanie oczu na prawdę było być może konieczne, by zacementować głębokie pęknięcia w społeczeństwie, lecz żołnierze powracający z obozów jenieckich nie pasowali do ogólnego wizerunku.

Tych zaniedbanych mężczyzn w mundurach obszarpanych i niemodnego kroju nie witano fanfarami, a wręcz przeciwnie, uznano ich za winnych haniebnej porażki w 1940 roku. We „Francji Walczącej, jedynej Francji, prawdziwej Francji, wiecznej Francji" – jak to ujął de Gaulle nazajutrz po wyzwoleniu Paryża – nie było dla nich miejsca. Mogli mieć nadzieję jedynie na kartkę żywnościową, odrobinę gotówki, badanie lekarskie i może jeszcze parę taktów *Marsylianki* (ale to tylko jeśli powracała na tyle duża grupa, że warto było organizować orkiestrę).

Fakt, że propaganda rządu Vichy właśnie jeńców wojennych przedstawiała jako dzielnych żołnierzy, którzy dla chwały Francji znoszą niewolę, także nie pomógł tym pechowcom. Roger Ikor, później słynny pisarz, dostał się do niewoli w maju 1940 roku i chociaż był Żydem, trafił wraz z innymi francuskimi jeńcami do obozu na Pomorzu. W pamiętniku napisał: „Niemi, niezdolni protestować, byliśmy dla Pétaina i jego szajki idealnymi sprzymierzeńcami. Czyż to nie naturalne, że przedstawili nas jako najczystszą krew Francji? Z dokładnie odwrotnego powodu gaulliści nami gardzili. Dwa miliony jeńców, i to jeńców skalanych piętnem pétainizmu, jakież to krępujące dla tych bufonów i ich idei Francji. Czyż nie pozwoliliśmy się wziąć w niewolę, zamiast tak jak oni dzielnie stawiać opór? Musieliśmy zatem być tchórzami, krwią nie najczystszą, lecz najbardziej skażoną"[6].

Po powrocie jeńcy byli więc traktowani z oficjalnym chłodem i milczącą pogardą, a w najlepszym wypadku z lekceważeniem. W biurach repatriacyjnych siedzieli apodyktyczni urzędnicy w mundurach, często płci

żeńskiej (i często przy tym wyższej rangi niż jeńcy, którzy spędzili wojnę za drutami), którzy bezpardonowo okazywali im swą wyższość.

Pisarka Marguerite Duras, która sama była w Résistance, tak opisywała te powroty:

> Wracają. Ciężarówka za ciężarówką. […] Wyrzucają jeńców w śródmieściu, w grupach po pięćdziesięciu. […] Biedni chłopcy spoglądają na budynek urzędu, wszyscy uśmiechnięci. Otaczają ich oficerowie repatriacyjni. „Jazda, chłopcy, do kolejki!”. Ustawiają się w kolejkę, wciąż uśmiechnięci […] Przez ostatnie parę dni byłam na Gare de l’Est, gdzie jedna z kobiet upomniała żołnierza z Legii i wskazała na swoje paski. „Gdzie salut, mój chłopcze? Nie widzisz, że jestem kapitanem?”[7].

Duras miała zdecydowanie lewicowe poglądy i nie cierpiała takich chełpiących się rangą urzędasów. Byli to dla niej reakcjoniści, o których jej kochanek i towarzysz z lewicowej bojówki, niejaki D. (Dionys Mascolo), mówił, że „będą przeciwni każdemu ruchowi oporu, który nie jest jawnie gaullistowski. Wezmą Francję pod okupację. Sądzą, że Francja myśląca, Francja z prestiżem, to oni”[8]. I wyłącznie na swój własny pożytek zbudują heroiczną legendę o „wiecznej Francji”.

W pamiętniku Duras znajduje się o wiele bardziej wstrząsający opis. Jej mąż Robert Antelme, także lewicowiec i także partyzant, został aresztowany i wywieziony do Buchenwaldu. Podczas wojny Marguerite związała się z D., ale miała nadzieję, że Robert przeżył. Chodziła więc od jednego urzędu do drugiego, a także na dworzec Gare de l’Est, szukając wieści o mężu. Przyszły prezydent Francji François Mitterrand odnalazł go przypadkiem w jednym z niemieckich obozów. Antelme ledwo był w stanie mówić, a co dopiero chodzić. Wreszcie jednak wrócił do Paryża:

> Beauchamp i D. podtrzymywali go pod ramiona. Zatrzymali się na podeście pierwszego piętra. Patrzył w górę.
>
> Niezupełnie pamiętam, co się stało. Chyba spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Krzyknęłam: nie, że nie chcę patrzeć. Znowu biegłam, tym razem w górę schodów. Wrzeszczałam. To pamiętam. W tym wrzasku wydzierała się ze mnie wojna. Sześć lat bez jednego okrzyku. Oprzytomniałam w mieszkaniu któregoś sąsiada. Wmuszali we mnie rum, lali mi go w usta. We wrzask.

W chwilę później Marguerite znów widzi Roberta, wciąż uśmiechniętego:

> Nagle rozpoznaję go, właśnie po tym uśmiechu, ale jak gdyby z ogromnej odległości, jakbym widziała go na drugim końcu tunelu. To uśmiech zakłopotania. Przeprasza, że tu jest, że taki z niego wrak. A potem uśmiech znika i to znów jest obcy człowiek[9].

Mój ojciec nie był w Buchenwaldzie. Nie miał w holenderskim ruchu oporu żony, która wkrótce by się z nim rozwiodła, wziąwszy sobie kochanka. Jego powrót do domu był o wiele mniej dramatyczny. Ale coś w tym urywku z pamiętnika Duras wskazuje, skąd wziął się jego lęk przed powrotem do domu, gdzie leżało źródło jego obawy, że stał się człowiekiem obcym.

***

Dla francuskich jeńców wojennych powrót do domu nie był łatwy, ale dla Niemców i Japończyków jeszcze trudniejszy. Na ich barkach spoczywało brzemię narodowej porażki, które samo w sobie byłoby wystarczająco ciężkie, a dodatkowo przygniatała ich pogarda, a wręcz nienawiść rodaków. Znienawidzono ich, gdyż odpowiadali za całą tragedię wojny, za niewyobrażalne zbrodnie, za to, że przed własnym narodem pysznili się jako niepokonani, a wrócili z podkulonym ogonem, pobici. Trudno to oczywiście uznać za całkiem *fair*. Kiedy szli na wojnę, rodacy – oraz, nie zapominajmy, rodaczki – wiwatowali na ich cześć, wymachiwali flagami i śpiewali patriotyczne pieśni; potem radowali się z ich zwycięstw, zarówno tych prawdziwych, jak i tych wymyślonych przez propagandę. W wysoce autorytarnym państwie, które właśnie osiąga stan podsycanej przez władze histerii, szary żołnierz odpowiada za bieg wydarzeń nie bardziej niż zwykły cywil wrzaskiem zagrzewający go do boju. W Niemczech można było przynajmniej za wszystko obwiniać nazistów. Japończycy, nie mając własnej wersji NSDAP, winę za swą klęskę przypisywali „militarystom” oraz, idąc za ciosem, wszystkim w jakikolwiek sposób związanym

z wojskiem. Tuż po wojnie pogląd ten z zapałem rozpowszechniała amerykańska propaganda, a prasa japońska wtórowała jej jak echo.

Japoński eseista Ango Sakaguchi pisał, że niedawni *tokkotai*, piloci kamikadze, „to dziś handlujący na czarnym rynku łajdacy”[10]. Winę za ten upadek z wyżyn, za gremialne wybudzenie z żywionych przez cały naród złudzeń, przypisano wyłącznie żołnierzom, którzy zostali wysłani, by umierać za cesarza, a tymczasem spotkał ich hańbiący niefart: wrócili żywi. Używane w Japonii tuż po wojnie określenie *tokkotai kuzure*, zdegenerowany kamikadze, oznaczało młodych mężczyzn, których chorobliwy idealizm runął w wir pijaństwa i rozpusty.

Na rozpanoszenie japońskich żołnierzy patrzono niechętnie jeszcze przed klęską 1945 roku, ale strach tłumił wszelkie narzekania. Kiedy ludzie zobaczyli, jak brutalność żołnierzy w mgnieniu oka degeneruje w zachowania przestępcze, skończyła się wiara w wyidealizowany obraz dumnej armii cesarza. Pod koniec wojny wojskowe składy były wciąż pełne wszystkiego, czego mógł potrzebować wynędzniały Japończyk, od broni po koce i ubrania. Potem generalicja wespół ze swoimi kumplami w cywilu (często przestępcami, którzy podczas wojny popełniali odrażające czyny) zorganizowała grabież na wielką skalę i magazyny opustoszały. Z czasem towary te wypłynęły na czarnym rynku, ale za takie ceny, że szary obywatel mógł o nich tylko pomarzyć.

Proces przyzwyczajania młodych mężczyzn, uprzednio nauczonych zabijać w imię narodu, z powrotem do życia w cywilu nigdy nie przebiega gładko, a hańba porażki wysoce go utrudnia. Nic dziwnego, że audycja radiowa na temat poszukiwań osób zaginionych, której emisję rozpoczęto latem 1946 roku, zawierała powtarzany dwa razy dziennie specjalny segment pod tytułem *Kim jestem?*, przeznaczony dla byłych żołnierzy zagubionych w cywilnej rzeczywistości[11].

Na zdemoralizowanych i wskutek klęski militarnej już duchowo wykastrowanych żołnierzy czekały kolejne ciosy: dom w ruinie, małżeństwo w kryzysie. Tak w Niemczech, jak i w Japonii w filmach oraz książkach dotyczących okresu tuż po wojnie przewija się wątek konfliktu między powracającym do domu żołnierzem a jego żoną, która

w międzyczasie, aby osłodzić sobie samotność albo zwyczajnie przeżyć, znalazła sobie kochanka. Wątek to znany odkąd istnieją wojny: już Agamemnon, powróciwszy spod Troi, poniósł śmierć we własnym domu, zamordowany przez żonę, jej kochanka albo przez oboje (zależy, którą wersję się czyta). Jednym z najdoskonalszych niemieckich przykładów jest film Rainera Wernera Fassbindera *Małżeństwo Marii Braun* (1979): mąż Marii wraca, ledwo żywy, z frontu wschodniego i widzi żonę nagą w ramionach czarnoskórego amerykańskiego żołnierza. W tej historii śmierć ponosi kochanek. O wiele mniej znany jest japoński film na ten sam temat: *Kura na wietrze* (1948) w reżyserii Yasujiro Ozu. Pod koniec następuje melodramat w stylu dość nietypowym dla Ozu, a mianowicie zazdrosny mąż zrzuca wiarołomną żonę ze schodów. Potłuczona i kulejąca kobieta błaga o przebaczenie. Rzecz kończy się strasznie łzawo, ale dobrze.

Historia, którą zamyka ta przesadna scena, jest absolutnie typowa dla tamtych czasów. Za grosze, które zarabia jako krawcowa, Tokiko próbuje wyżywić siebie i synka. Nie wie nic o losach męża. Dziecko zapada na zdrowiu, Tokiko nie ma z czego zapłacić za szpital, decyduje się spędzić jedną noc z nieznajomym. Kiedy jej mąż Shuichi wreszcie wraca z wojny, Tokiko wyznaje, że ten jeden jedyny raz się sprostytuowała. Rozwścieczony Shuichi dostaje obsesji na punkcie niewierności żony. Ale to nie o wierność tu chodzi: furia zdradzonego męża to tak naprawdę furia żołnierza, który poniósł klęskę, a teraz próbuje odzyskać szacunek do samego siebie. Jest to bardzo realistyczne, może z wyjątkiem faktu, że film kończy się pojednaniem; w prawdziwym życiu łzawe przeprosiny zapewne nie uratowałyby małżeństwa.

Listy do redakcji gazet uzmysławiają powagę problemu repatriacji żołnierzy. 16 grudnia 1945 roku gazeta „Asahi” wydrukowała list znanego powieściopisarza Naoyiego Shigi, zawierający tezę, że reedukacja byłych kamikadze jest obowiązkiem rządu. Jakimże sposobem ci młodzi mężczyźni, których uczono, że ich obowiązkiem jest ponieść śmierć dla chwały narodu, mieliby samodzielnie odbudować swoje życie w cynicznym świecie roku 1945, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem? – pytał pisarz. Jedynie specjalny program edukacyjny może ustrzec ich od pogrążenia się

w rozpaczy i zatrzymać na drodze do zupełnego upadku; a taki program musi zaproponować rząd. Niedługo potem w gazecie ukazała się odpowiedź, której autor w zasadzie zgadza się z Shigą, lecz wskazuje, że właściwie całemu japońskiemu społeczeństwu pilnie potrzeba reedukacji. Za to autor kolejnego listu, który sam jest byłym pilotem kamikadze, twierdzi, że wyszkolenie i duch bojowy *tokkotai* to dokładnie to, czego potrzebuje zdegenerowana kultura powojennej Japonii.

Jeden z najsmutniejszych listów publikuje „Asahi" z 13 grudnia. Jego autorem także jest były żołnierz:

> Bracia weterani! Jesteśmy wolni. Wyrwaliśmy się z mrocznej i okrutnej egzystencji w wojsku, powróciliśmy ze skrwawionych pól bitewnych. Lecz w ojczyźnie czekały nas bezlitosne spojrzenia cywilów, pełne pogardy dla militarystów; płomień wojny obrócił w popiół nasze rodzinne miasta. […] Krwawe bitwy dobiegły kresu, lecz prawdziwa batalia życia dopiero się zaczyna […][12].

Jego młodzieńczy idealizm, kontynuuje autor listu, legł w gruzach pod wpływem życia w wojsku. Napuszone przemowy na temat wierności narodowi i innych wzniosłych ideałów, jakie wygłaszali zapatrzeni w siebie, a tyranizujący szeregowców oficerowie, okazały się podszyte całkowitą pustką. Szeregowiec został zredukowany do roli automatu. A teraz, pisze z goryczą ten żołnierz, „weteran stał się synonimem łajdaka".

W innym liście, opublikowanym tego samego dnia, pada pytanie: „Co naprawdę ludzie czują wobec nas, weteranów?". Autor odpowiada sam sobie: „Ludzie sądzą, że żołnierz to to samo co militarysta. Jasne, że militaryści powinni wziąć na siebie odpowiedzialność za naszą klęskę. Ale zwyczajny żołnierz wcale nie był militarystą. Był po prostu patriotą walczącym za swój kraj. Naprawdę uważacie, że na polach bitewnych czy na Pacyfiku oddawaliśmy nasze młode życia w imię naszej własnej korzyści, z naszej własnej woli? Tak bardzo chciałbym, żeby ludzie okazali nam, weteranom, choć odrobinę więcej ciepła"[13].

Amerykańscy weterani wojny w Wietnamie bez trudu zrozumieliby te uczucia. Jednakże nawet zwycięzcy w wojnie, którą powszechnie uważano za sprawiedliwą, powróciwszy do swoich ojczyzn, mieli problemy

z przystosowaniem się do cywilnego życia. Żołnierze armii amerykańskiej, zapaleni czytelnicy „Stars and Stripes”, uwielbiali prześmiewcze komiksy Williama Mauldina. Ich bohaterowie, szeregowcy Willy i Joe, próbujący jakoś sobie radzić w woju, chwycili żołnierzy za serce, bo mówili i myśleli jak oni. A to, co myśleli o oficerach i sztabie, było do tego stopnia niepochlebne, że generał Patton zagroził karykaturzyście „wsadzeniem do kicia”. Na okładce „Time’a” z czerwca 1945 roku widnieje Willy: zmęczony, nieogolony, obszarpany, z papierosem zwisającym z lewego kącika ust, słowem – bardzo daleki od wizerunku herosa.

W *Back Home* (Powrót do domu, 1947) Mauldin słowem i rysunkiem podsumowuje powrót chłopców do ojczyzny. Kłopoty, z jakimi borykają się Willy i Joe, oraz ich zasugerowana cienką kreską postawa życiowa to nieco złagodzona wersja tego, o czym mówią listy od redakcji japońskich gazet. Na przykład niechęć wobec kadry oficerskiej: Willy i Joe w źle dopasowanych cywilnych garniturach czekają w recepcji hotelu na zameldowanie, a tymczasem ich walizki zabiera ponury portier ubrany w spodnie z lampasem, furażerkę i kurtkę z pagonami i złotymi guzikami. Joe: „O, widzę, że major Wilson znowu w mundurze”.

Willy i Joe nie czują do oficerów aż takiej odrazy jak Japończycy, którzy prawdziwie ich nienawidzili. Ale też japońscy oficerowie wysyłali tysiące tych młodych ludzi na samobójcze misje; w Nowej Gwinei i na Filipinach zdarzało się też, że kiedy skończyły się zapasy żywności, a ogień nieprzyjacielski uniemożliwiał jej dowóz, zabijali szeregowców i żywili się ich mięsem. W każdym razie jednak Japończycy doskonale zrozumieliby to, co pragnął przekazać Mauldin: zły szeregowiec najczęściej szkodzi tylko samemu sobie, podczas gdy „zły oficer jest w stanie napytać strasznej biedy swoim podkomendnym”[14].

Przepaść między życiem w wojsku a życiem w cywilu była trudna do pokonania dla bohaterów wojennych; kto wie jednak, czy dla tych, którzy niczym specjalnym się nie wyróżnili, proces adaptacji nie był równie, a nawet bardziej bolesny. Żony i narzeczone powracających żołnierzy czasami uważały ich za niedostatecznie heroicznych. W jednym z komiksów Willy, odziany w zaszargany garnitur, niezgrabnie trzyma

swoje urodzone podczas wojny dziecko, które właśnie ujrzał po raz pierwszy. Jego żona, w wytwornym kapeluszu i rękawiczkach, mówi: „Myślałam, że założysz mundur, żebym mogła być z ciebie dumna”. Komentarz odautorski: „Gdy wojna była na wczesnym etapie, a mundury wciąż śliczniutkie, pani Willie – która poznała Williego, będąc jeszcze na uczelni – i jej koleżanki z roku strasznie się nimi zachwycały. Willie trochę ją rozczarował, bo nie został oficerem i nie nosił szpicruty i różowych spodni”. Nie dostał nawet żadnego odznaczenia. Wobec tego, ciągnie Mauldin, pani Willie „została pozbawiona przyjemności popisywania się jego medalami, a w dodatku zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widziała męża w cywilnych ciuchach, a wygląda on w nich dość niechlujnie i niezbyt korzystnie”[15].

Nie należy się dziwić, że żołnierze, nieprzygotowani do życia w cywilu, rozczarowani nim, a niekiedy też cierpiący na rozmaite zaburzenia wywołane zetknięciem się z okrucieństwami wojny, czasami zachowywali się brutalnie. To zdarza się po każdej wojnie. Jednakże w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej prasa poświęcała brutalności byłych żołnierzy ogromnie dużo uwagi. Na jednym z rysunków Mauldina żona Willy’ego czyta gazetę, w której nagłówek krzyczy: „Weteran skopał ciocię”, a przygnębiony Willie siedzi w fotelu ze szklaneczką whisky. Podpis: „Na stronie 17 króciutka notka o zabójstwie trzech osób. Denatów zarąbano siekierą. W zabójstwie nie brał udziału żaden weteran”[16]. Mauldin wskazuje tu na smutny fakt, że takie sensacyjne teksty „podsycały plotkę, która zawsze i wszędzie pojawia się po wojnie: że byli żołnierze mają praktykę w zabijaniu i krzywdzeniu bliźnich, więc stanowią potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa”.

Problemy weteranów amerykańskich mogą się wydawać wprawdzie w miarę podobne, ale jednak błahe w porównaniu z problemami byłych żołnierzy w Niemczech i Japonii. Wracali przecież, i to jako bohaterowie, do najbogatszego kraju świata, który opromieniała ich chwała. Wkrótce będą mogli skorzystać z rządowego programu edukacji, wprowadzonego godną podziwu ustawą zwaną GI Bill[17]. Choć nawet w Ameryce ekszołnierze często nie dorastali do swojej legendy, między narodami

zwycięskimi a pokonanymi była jedna ogromna różnica, której skutki okazały się o wiele trwalsze niż jakiekolwiek trudności wywołane wojną. Otóż Niemców i Japończyków ideał bohaterstwa gorzko rozczarował. Oni naprawdę życzyli sobie już nigdy więcej nie mieć nic wspólnego z wojnami. Natomiast Brytyjczycy i Amerykanie nie zdołali otrząsnąć się z nostalgicznych wspomnień o dniach chwały – i stąd wzięła się ich fatalna skłonność do angażowania się w nieprzemyślane akcje zbrojne, dzięki którym żołnierze mogliby znów chodzić w glorii sławy, a naród czuć się dumny z siebie.

***

A co z tymi, którzy nie chcieli wracać do domu?

Słoweńscy uchodźcy z Jugosławii wynurzali się z ciemnego i wilgotnego tunelu, który robotnicy przymusowi przebili przez góry dla niemieckiej armii, lub wlekli się przez skaliste oblodzone przełęcze. Dolina Drawy w Karyntii musiała wydawać się im prawdziwym rajem; ta część Austrii słynie ze wspaniałego alpejskiego krajobrazu: chłodnych jezior górskich, ukwieconych łąk i sosnowych lasów. Jeden z uchodźców wspominał: „W tej przepięknej okolicy zdawało się, że zewsząd błyszczy i rozbrzmiewa majestatyczne, świetliste słowo: ŻYCIE”[18].

Wiosna 1945 roku była piękna i ciepła. Lecz wytężywszy wzrok, w tej słonecznej scenerii malowniczych wiosek i ślicznych kościółków można było dostrzec coś dziwnego i niepokojącego. Dolinę Drawy wypełniały namioty i naprędce sklecone baraki, w których koczowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi – byłych żołnierzy, kobiet, dzieci oraz ich konie, woły pociągowe, a nawet wielbłądy. Kogóż tam nie było: dumni Kozacy w baranich czapach; słoweńscy chłopi; czetnicy z Serbii – monarchiści, faszyści, albo wręcz nastawieni profaszystowsko monarchiści; złej sławy ustasze, chorwaccy faszyści; Ukraińcy; Rosjanie; byli jeńcy wojenni z całej Europy; nawet Niemcy. W górskich chatach ukrywało się kilku hitlerowskich zbrodniarzy, na przykład Odilo Globocnik (przez przyjaciół zwany Globusem), słoweński Niemiec, który między innymi organizował

obozy zagłady w Polsce. O tej hordzie umęczonych tułaczy, w większości uciekających przed komunistami z partyzantki Tity albo przed Armią Czerwoną, korespondent londyńskiego „Timesa” pisał: „Masowa migracja, jak ta ostrogocka sprzed 1500 lat”[19]. Nigel Nicolson, oficer brytyjskiego wywiadu, a później znany londyński wydawca, twierdził, że Karyntia jest „szambem Europy”[20].

W pewnym sensie okupowana przez Brytyjczyków Karyntia doskonale nadawała się na scenę dla nieszczęść, jakie niosą z sobą masowe migracje, ponieważ jeszcze niedawno tamtejszą politykę cechował ten właśnie typ nacjonalizmu, który wywołał humanitarną i kulturalną katastrofę w Europie. Gauleiter Karyntii, niemieckojęzyczny Słoweniec Friedrich Rainer, rozpoczął germanizację zamieszkanego głównie przez Słoweńców południa kraju, wydając nakaz mówienia po niemiecku oraz wysiedlając ludność słoweńską i zastępując ją Niemcami. Pod koniec wojny partyzanci Tity zajęli kraj i ogłosili przyłączenie go do Jugosławii, ale zostali wyparci przez armię brytyjską.

To jednak była tylko mała część problemów w tym „szambie Europy” wypełnionym żołnierzami i cywilami, którzy albo nie chcieli wracać do domów, albo tych domów już nie mieli. Nigel Nicolson zauważył:

> Wydawało się, że nieskończona liczba narodowości zwraca się do nas z prośbą o obronę. Niemcy chcieli, żebyśmy bronili ich przed ludźmi Tity, Kozacy – przed Bułgarami, czetnicy przed Chorwatami, biali Rosjanie przed czerwonymi, Austriacy przed Słoweńcami, Węgrzy chcieli ochrony przed wszystkimi innymi, i na odwrót, i z powrotem przez całą listę. […] [Karyntia] stanowiła ostatnie schronienie nie tylko dla hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, lecz także dla ludzi w porównaniu z nimi raczej niegroźnych, uciekających przed Rosjanami i Titą, niechcianych i niemalże prześladowanych wszędzie gdziekolwiek się udali[21].

A w wielu wypadkach gorzej niż prześladowanych. Słoweńców, Chorwatów i Serbów, którzy walczyli z komunistami Tity – czasami u boku Niemców, a czasami nie – czekały tortury i śmierć, gdyby wpadli w łapy swego jugosłowiańskiego wroga. Niejeden z Kozaków walczył już z komunistami podczas wojny domowej w 1917 roku, a później pracował

w którejś ze stolic Europy jako kelner, taksówkarz czy żurnalista jednego z wielu nikomu nieznanych emigranckich pisemek; ci z kolei byli świadomi, że w Związku Radzieckim grozi im egzekucja lub powolna śmierć w łagrze. Tego samego bali się Ukraińcy, którzy przyłączyli się do Hitlera w nadziei, że pozbędą się Stalina (nierozsądnie, ale cóż im się dziwić). Te pełne obaw oczekiwania spełniły się co do jednego. Stanowczo jednak nikt z tych ludzi się nie spodziewał, że to Brytyjczycy, uważani przez nich za najszlachetniejszy, najbardziej zacny i szczodry naród w Europie, wyślą ich w drogę ku śmierci.

14 maja dowódca 38. Brygady Irlandzkiej, brygadier T.P. Scott, zatrzymawszy się w południowej Karyntii, w leżącym tuż przy granicy Austrii z Jugosławią Bleiburgu, otrzymał meldunek, że do linii brytyjskich zbliża się właśnie 200 tysięcy chorwackich żołnierzy oraz pół miliona cywilów. Scott, który według wszelkich źródeł nie był człowiekiem pozbawionym współczucia, nie miał innego wyjścia, jak poinformować ich delegację, że przykro mu, ale nie może wpuścić ich w granice Austrii. Nie ma tu dla nich miejsca. Umrą z głodu. No dobrze, to umrzemy, odpowiedziało podobno kilku delegatów. Inni pytali, czy nie ma możliwości przetransportowania uchodźców do Afryki lub Ameryki. Nie, to także nie jest możliwe, usłyszeli. Odrzekli więc, że „wolą raczej umrzeć tam gdzie są, walcząc do ostatniego człowieka, niż poddać się jakimś bolszewikom”[22].

Po dłuższych namowach spragnieni, głodni, do granic wyczerpani Chorwaci zgodzili się poddać ludziom Tity. Brygadier Scott uzyskał od tych ostatnich solenne zapewnienie, że mężczyźni zostaną potraktowani przyzwoicie, jak jeńcy wojenni, a kobiety powrócą do domów, i przestał się martwić.

A co naprawdę się wydarzyło? – prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Opowieści tych nielicznych, którzy przeżyli, są przesycone goryczą i być może przesadzone, lecz sygnalizują, jaki los spotkał tych Chorwatów. Otóż podobno 15 i 16 maja po jugosłowiańskiej stronie granicy rozstrzelano 10 tysięcy oficerów i żołnierzy, a ich zwłoki wrzucono do przydrożnych rowów. 17 maja rozpoczął się marsz śmierci wzdłuż Drawy,

w stronę słoweńskiego Mariboru. Według jednego z przekazów „dziesiątki tysięcy Chorwatów z rękami związanymi drutem […] ustawiono w pewną liczbę kolumn. Następnie ci wygłodzeni, spragnieni, wychudzeni, okaleczeni i cierpiący ludzie zostali zmuszeni do długiego biegu obok swoich «wyzwolicieli», którzy jechali konno lub wozami. Tych, którzy nie wytrzymywali takiego marszobiegu, przebijano bagnetami, bito na śmierć lub rozstrzeliwano, a następnie ciała ich porzucano na poboczu lub w rowie”[23]. Według innej relacji „około 12 tysięcy Chorwatów” pogrzebano w dołach. „Krew zaczęła przesiąkać przez podłoże, a grunt się wydął, kiedy zwłoki napuchły, więc partyzanci zalali to miejsce roztworem wapna i narzucili więcej ziemi, a potem wszystko wyrównali [jeżdżąc] czołgami”[24].

Nawet jeśli te relacje są zabarwione nienawiścią, nie ma wątpliwości, że partyzanci Tity zamordowali ogromną liczbę ludzi, i to nie tylko Chorwatów podczas marszów śmierci, lecz także Serbów i Słoweńców, których rozstrzelano z karabinów maszynowych w pięknym, gęstym lesie pod Kočevjem, gdzie do dziś mieszkają dziki, rysie i jelenie. Dostali się oni w ręce komunistów, ponieważ Brytyjczycy powiedzieli im, że zostaną odwiezieni do Włoch… a potem wsadzili ich do pociągów jadących do Jugosławii. Wyjawienie tym nieszczęśnikom prawdziwego celu podróży spowodowałoby wybuch paniki, a tego Brytyjczycy starali się za wszelką cenę uniknąć.

Swą strategię oddawania – w razie potrzeby podstępem, a zdarzało się, że siłą – rosyjskich oraz wszystkich innych antykomunistów w ręce ich wrogów Brytyjczycy usprawiedliwiali stwierdzeniem, że wszyscy ci Chorwaci, Serbowie, Słoweńcy, biali Rosjanie i Ukraińcy to przecież zdrajcy, którzy walczyli po stronie Niemców – czyli, krótko mówiąc, wrogowie samych Brytyjczyków, nie tylko ich radzieckich sprzymierzeńców. Tymczasem rzecz wcale nie przedstawiała się tak prosto, nie wspominając już o tym, że kobiety i dzieci trudno zaliczyć do nieprzyjacielskich żołnierzy.

Prawdą jest, że około 10 procent żołnierzy w mundurze niemieckiej armii, wziętych do niewoli we Francji po lądowaniu w Normandii,

stanowili Rosjanie. Lecz Rosjanie ci, z których większość zresztą nie mówiła ani słowa po niemiecku, czuli się uszczęśliwieni, że mogą się podać Brytyjczykom, po prostu kamień spadł im z serca: bynajmniej nie popierali idei Hitlera. Wielu z nich trafiło do niewoli na froncie wschodnim. W 1943 roku, kiedy Niemcom zaczęło już straszliwie brakować rekruta, ci z nich, którzy jeszcze żyli (co wcale nie było oczywiste, biorąc pod uwagę, że w obozach stosowano politykę morzenia radzieckich jeńców głodem), zostali postawieni przed brutalnym wyborem: albo zaciąg do niemieckiej armii, albo rozstrzelanie.

Kwestia Kozaków była bardziej skomplikowana. Ich oficerowie, weterani wojny domowej, obecnie mężczyźni po sześćdziesiątce, uważali niemiecką napaść na Związek Radziecki za ostatnią szansę odzyskania dawnych ziem kozackich, gdzie mogliby żyć, tworząc, na wzór swoich przodków z XVIII wieku, coś w rodzaju kasty wojowników. Niemcy przyrzekli im spełnienie tego marzenia, jeśli staną po ich stronie – więc stanęli, gromada srogich wojaków uzbrojonych w wysadzane klejnotami kindżały i szable pradziadów. Była to romantyczna, nierozsądna i często nieludzko okrutna batalia o odzyskanie stylu życia, który najprawdopodobniej był już wtedy nie do ocalenia. Początkowo Kozacy walczyli na terenie Związku Radzieckiego, a gdy musieli wycofać się do Jugosławii, poszły za nimi tysiące cywilów, którzy nie mogli wytrzymać życia pod rządami Stalina. Pod koniec wojny Niemcy, tak samo jak Japończycy w południowo-wschodniej Azji, rozdawali swoim sprzymierzeńcom ziemię jako zachętę do dalszej walki. Kozacy usłyszeli wtedy, że będą mogli założyć „Kozaczyznę” we włoskich Alpach. Po nadejściu Brytyjczyków Kozacy zadeklarowali, że za swoich nieprzyjaciół uważają radzieckich komunistów, a nie armię brytyjską, po czym zdecydowali się opuścić Alpy i przejść do sielskich dolin Karyntii.

Mówi się, że chorwaccy faszyści pod dowództwem nieczułego jak kamień Ante Pavelicia popełniali takie bestialstwa, że nawet Niemcy byli zszokowani. Włoski dziennikarz Curzio Malaparte miał żywą wyobraźnię i częstokroć mocno podbarwiał swoje relacje; niemniej opowiada on, że prowadząc wywiad z Paveliciem, zauważył na jego biurku wiklinowy

koszyk pełen czegoś na kształt niedużych, śliskich małży, więc spytał dyktatora, czy to są te słynne ostrygi z Dalmacji. Na to Pavelić z chłodnym uśmiechem odrzekł, że nie; to dwadzieścia kilo gałek ocznych partyzantów, przysłanych mu w prezencie przez jego wiernych ustaszy.

Ustasze dopuszczali się niewiarygodnych okrucieństw – ale partyzanci Tity byli tacy sami, i Słoweńcy z gwardii narodowej, i serbscy czetnicy też. Jednak ten konflikt nie daje się zgrabnie zakwalifikować jako konfrontacja między aliantami a Niemcami, demokratami a faszystami, a nawet komunistami a antykomunistami. Formacje te brały udział w kilku wojnach domowych, które toczyły się jednocześnie, a dotyczyły podziałów etnicznych, politycznych i religijnych; bili się tam wzajemnie katoliccy Chorwaci – prawosławni Serbowie – muzułmańscy Bośniacy – serbscy monarchiści – komuniści z partyzantki – słoweńska gwardia narodowa – słoweńscy komuniści… Ideologie: faszyzm, komunizm czy nazizm, były tylko częścią problemu. Wszystkie strony zawierały sojusze z zewnętrznymi siłami, włączając w to niemieckich najeźdźców, jeśli tylko mogły przez to cokolwiek ugrać na froncie domowym. Stojąc twarzą w twarz z byłym czetnikiem czy partyzantem, z których i jeden, i drugi w tym czy innym momencie pomagał aliantom bić Niemców, skąd miał brytyjski żołnierz wiedzieć, który z nich to przyjaciel, a który wróg?

W końcu także i o tym wyborze zdecydowała siła. Harold Macmillan, pełnomocnik rządu Churchilla na kraje śródziemnomorskie, ujął to tak:

> Pod koniec grudnia 1943 r. w dobrze poinformowanych kołach brytyjskich panowała zgodna opinia, że władzę w Jugosławii zdobędą w końcu partyzanci Josipa Tito i że monarchia nie ma przyszłości, gdyż przestała być ogniwem jednoczącym naród. Z drugiej strony obszar, na którym działali partyzanci, nabrał pierwszorzędnego znaczenia militarnego. Przy odpowiedniej pomocy ze strony aliantów siły zbrojne Josipa Broz Tito mogły związać wiele niemieckich dywizji, wywierając w ten sposób bardzo korzystny wpływ na przebieg naszych operacji militarnych we Włoszech, a następnie we Francji[25].

Czetnicy, monarchiści, mieli pecha: stali po stronie, która wojnę domową przegrała.

W 1945 roku za cennego sprzymierzeńca aliantów był uważany nie tylko Tito, lecz także Stalin (jego wyrażający sympatię przydomek „Uncle Joe”, wujek Józek, wciąż dobrze pamięta wiele starszych wiekiem osób w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych). Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden bez specjalnych wyrzutów sumienia obiecał więc swemu radzieckiemu koledze podczas konferencji w Moskwie we wrześniu 1944 roku, że wszyscy obywatele radzieccy zostaną odesłani na powrót do ojczyzny „niezależnie od tego, czy będą chcieli tam wrócić czy nie”[26]. Utrzymanie dobrych stosunków z wojennymi sprzymierzeńcami uważano za sprawę kluczową; co więcej, Brytyjczycy byli gotowi zgodzić się na wszystko, aby nie utrudniać losu brytyjskich jeńców wojennych przetrzymywanych na terenach pod okupacją radziecką.

Inni członkowie rządu Wielkiej Brytanii, między innymi Winston Churchill, byli absolutnie świadomi, jakie konsekwencje dla zainteresowanych żołnierzy będzie miała ta polityka, i odczuwali pewne skrupuły. Minister gospodarki wojennej lord Selborne pisał do Churchilla, że odesłanie tych ludzi z powrotem do Rosji to dla nich pewna śmierć „w wyniku egzekucji lub wysłania na Syberię”[27]. Za to Eden, również w liście do Churchilla, stwierdził: „W tej sprawie nie możemy sobie pozwolić na sentymenty”. Przecież, podkreślał, ci ludzie zostali wzięci do niewoli „w czasie gdy służyli w niemieckich jednostkach wojskowych lub paramilitarnych, a ich zachowanie we Francji było często odrażające”. Dodał też: „Na pewno nie chcemy być na stałe obarczeni wielką liczbą tych ludzi”[28]. To właśnie w tym leżało jądro problemu. Podczas konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku już oficjalnie ustalono, że wszystkich się odeśle.

Zarówno Eden, jak i radzieccy przywódcy w nosie mieli to, że wielu Rosjan wstąpiło w szeregi armii niemieckiej pod przymusem, że kobiety i dzieci wywiezione na roboty do Niemiec jako żywo żołnierzami nie były oraz że Kozacy w znacznej części nigdy nie byli obywatelami radzieckimi, więc z prawnego punktu widzenia w ogóle nie powinni być „zwróceni”. Radziecką wierchuszką kierowała także potrzeba konstruowania heroicznej

legendy, chociaż w nieco innym sensie niż we Francji czy Holandii. Otóż to, że przeciwko Związkowi Radzieckiemu walczyło, i to często z własnej woli, tak wielu Rosjan i innych jego obywateli, oraz że są i tacy, którzy aby przeżyć, zdecydowali się podjąć pracę w Niemczech, to były fakty wysoce kłopotliwe. Według wersji oficjalnej faszystowskiemu najeźdźcy stawili opór wszyscy obywatele robotniczego raju. Poddać się to była zbrodnia. Ci, którzy wpadli w ręce Niemców, musieli być zdrajcami, i jako zdrajcy mieli być potraktowani.

Potem pojawił się kolejny kłopot. Partyzanci Tity może i byli sprzymierzeńcami aliantów w walce z hitlerowcami i przeciętny Brytyjczyk wyobrażał ich sobie wielce romantycznie jako szlachetnych ludowych bohaterów, ale ich żądania w sprawie części Włoch i południowej Austrii powoli robiły się naprawdę krępujące. Zachodni alianci absolutnie nie mieli ochoty na wojnę z dawnymi towarzyszami broni. Jednak obciążony ponad milionem jeńców wojennych marszałek Harold Alexander zapowiedział, że aby skutecznie odeprzeć ofensywę partyzantów, musi najpierw dostać zgodę na „oczyszczenie przedpola” w Austrii. To zaś oznaczało jak najszybsze odesłanie Jugosłowian do Jugosławii, a Rosjan do Rosji.

Podczas tego czyszczenia przedpola rozegrały się straszliwe sceny. Jeśli nie udało się podstępem wymusić współpracy na nieszczęśnikach, należało ich wepchnąć do ciężarówek i bydlęcych wagonów siłą – bijąc, a czasami dźgając bagnetami. Niejeden zaprawiony w bojach brytyjski żołnierz miał łzy w oczach. Kobiety z płaczem czepiały się nóg Brytyjczyków, przerażony tłum zadeptywał na śmierć dzieci, wielu ludzi zastrzelono, inni woleli śmierć niż deportację i sami podcinali sobie gardła albo skakali w nurty Drawy.

Najsmutniejsza jest chyba historia Kozaków. Czekali oni na decyzje władz wojskowych, dla zabicia czasu i ku rozrywce swych brytyjskich dozorców organizując niesamowite popisy sztuki jeździeckiej. Aby utrzymać ich pod kontrolą aż do chwili, gdy rozstrzygnie się ich los, z pełną premedytacją podsycano ich złudzenia, że zostaną wysłani do Afryki jako żołnierze Imperium Brytyjskiego albo do Azji do walki z Japończykami. Rozbrojono ich także podstępem: obiecano im nową, lepszą broń, jeśli

zdadzą starą. Brytyjczycy zrozumieli też, że pod nieobecność atamanów ludzie będą mniej skłonni od oporu. Pod koniec maja wszystkich pięciuset przywódców wezwano zatem na „naradę” w sprawie przyszłości Kozaków. Powiedziano im, że przed wieczorem wrócą do rodzin. Poszli – i już nigdy więcej ich nie widziano. Zostali przekazani wojskom radzieckim. Ci, których nie rozstrzelano na miejscu, znaleźli się w łagrach; stamtąd niewielu wyszło żywych.

Pozostali Kozacy, szalejąc z niepokoju o los zaginionych atamanów, robili się coraz bardziej nieufni wobec Brytyjczyków. Nadszedł czas przykręcić im śruby. Nieprzyjemne zadanie przymuszenia bezbronnych ludzi, aby oddali się w ręce swoich śmiertelnych wrogów, przypadło pułkowi Royal Irish Inniskilling Fusiliers, ponieważ generał-major Robert Arbuthnot sądził, że Irlandczycy raczej się nie sprzeciwią rozkazowi. Mylił się: zszokowani żołnierze byli bliscy buntu. Ich dowódca David Shaw relacjonował: „Ludzi aż skręcało ze złości, ale w końcu i oni również wykonali rozkazy. To było straszne. Pamiętam te kobiety – niektóre z nich ciężarne – jak tarzały się po ziemi, krzycząc. Żołnierze odkładali karabiny, wnosili te kobiety do wagonów, a potem, gdy zamknęli drzwi, stali patrząc, jak pociąg odjeżdżał z kobietami wrzeszczącymi z okien”[29].

1 czerwca w innym obozie nad Drawą Kozacy, otrzymawszy rozkaz wsiadania do wagonów, skupili się wokół ubranych w ornaty prawosławnych duchownych. Kobiety i dzieci klęczały wewnątrz kręgu, a młodzi mężczyźni na obrzeżu, przeplatając ramiona, żeby ich nie rozłączono. Wszyscy mieli przy sobie święte obrazki i czarne flagi; opodal stał ołtarz z dużym krzyżem. Śpiewano i odmawiano psalmy; Kozacy sądzili, że modlących się ludzi żołnierze przecież nie zaatakują. Łudzili się. Padł rozkaz. Major John Davies, znany jako Rusty Davies, który zaprzyjaźnił się z Kozakami, wspomina: „W czasie gdy odciągano na bok poszczególne osoby znajdujące się na obrzeżach, pozostali skupiali się w jeszcze bardziej zwartą masę i w miarę postępującej paniki poczęli wdrapywać się jeden na drugiego, próbując gorączkowo oddalić się jak najbardziej od żołnierzy. W rezultacie utworzyła się piramida

z krzyczących, rozhisteryzowanych istot ludzkich, pod którą znalazła się pewna liczba osób”[30].

Młoda kobieta, która mocno pokaleczyła nogi, kiedy tłum wepchnął ją przez rozbite okno do wnętrza baraku, opisuje, co się stało, kiedy pod naciskiem przerażonych ludzi pękło ogrodzenie:

> Ludzie przerażeni do szaleństwa pędzili tuż obok mnie. Najrozmaitsze dźwięki mieszały się ze sobą: śpiewy, modlitwy, jęki i wycie, krzyki złapanych ludzi, płacz dzieci i plugawe przekleństwa żołnierzy. Bito wszystkich, nawet kapłanów, którzy wznosili krzyże nad głowami i wciąż się modlili[31].

Ostatecznie rozkaz został wykonany. Kilkoro Kozaków i Kozaczek chwyciło swoje dzieci, rzuciło się wraz z nimi do rzeki i utonęło. Parę osób powiesiło się na sosnach za obozem. Ale większość wepchnięto do bydlęcych wagonów z jednym okienkiem i jednym wiadrem na nieczystości. Wagony zapieczętowano. „Bardzo paskudna sprawa” – powiedział swojemu dowódcy brygadier T.P. Scott. „Wciąż myślę o tym ze zgrozą” – przyznaje major Davies[32].

Kozacy byli tylko jednym z sierocych ludów pognębionych i w końcu unicestwionych przez historię. Lecz mówić tu o „historii” to za duża abstrakcja. Unicestwili ich ludzie, którzy działali w imię idei – idei rewolucji, idei czystego etnicznie państwa. Ofiarą tych samych idei padło jeszcze wielu, wielu innych; niewykluczone, że byli wśród nich i tacy, którzy sami w nie wierzyli.

***

Sformułowania, na które zgodzono się podczas upalnego lipca 1945 roku na konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie, brzmiały rozsądnie, wręcz kojąco. W kwestii usunięcia niemieckiej ludności z Europy Środkowej i Wschodniej ustalono, co następuje: „Trzy Rządy, rozważywszy sprawę pod każdym względem, uznają, że należy przedsięwziąć przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej lub jej elementów pozostałych w Polsce,

Czechosłowacji i na Węgrzech. Zgodne są one co do tego, że wszelkie przesiedlenia powinny odbywać się w sposób uporządkowany i ludzki”[33].

Brzmi w porządku. Ustalenia te współgrają z podjętą przez Churchilla, Roosevelta i Stalina na konferencji w Teheranie dwa lata wcześniej decyzją, że spora część wschodniej Polski zostanie przyłączona do Związku Radzieckiego. Co więcej, odzwierciedlają osobliwą atmosferę jowialnej sympatii, jaka zawiązała się szczególnie pomiędzy prezydentem Stanów Zjednoczonych Harrym Trumanem a Stalinem. (Churchill mniej przypadł Trumanowi do gustu, ponieważ próbował go urabiać pochlebstwami, co budziło u Trumana niesmak). Kiedy w Białym Domu Truman zabawiał Stalina i Churchilla, grając *Menueta G-dur* Paderewskiego, Stalin skomentował: „Taak, muzyka to wyśmienita rzecz, wypędza bestię z człowieka”[34].

W tym okresie wielu amerykańskich żołnierzy podzielało życzliwość Trumana wobec Stalina. W korespondencji z Poczdamu gazeta wojskowa „Yank” donosiła, że „z całej tej plejady prezydentów największym zainteresowaniem żołnierzy cieszy się Stalin. Tak było, nawet zanim rozeszła się pogłoska, że Wujek Józek nosi w kieszeni kapitulację Japonii. Tak oto opisuje Stalina kapral John Tuohy z Long Island w stanie Nowy Jork, który kiedyś był księgowym w Paramount Pictures, a obecnie trzyma straż przed wypełnionym sławnymi osobistościami Białym Domkiem: «niższy, niż się spodziewałem, ale nieskazitelnie wytworny mężczyzna, który nosi piękne mundury»”[35]. „New York Times” kreślił obraz zwycięskich przywódców obradujących nieopodal ruin niemieckiej stolicy jako „trzech mężczyzn wchodzących na cmentarzysko; trójki, która dzierżyła w rękach światową potęgę”[36]. W ich rękach spoczywał też los ponad 11 milionów ludzi, którzy mówili po niemiecku, ale korzenie mieli w ziemiach przejmowanych obecnie przez Polskę, Czechosłowację, Węgry i Rumunię[37].

Za kojącą retoryką deklaracji poczdamskiej kryły się uczucia wyrażane o wiele bardziej brutalnie. W tym czasie już kilka milionów Niemców zostało wygnanych z Sudetów, Śląska i Prus Wschodnich[38]. Tuż przed

konferencją w Poczdamie Stalin zapewnił premiera Czechosłowacji Zdenka Fierlingera: „Nie będziemy wam przeszkadzać. Wyrzućcie ich precz”[39].

Kiedy w Jałcie Churchill zapewniał Stalina, że „pomysł przesiedlenia siłą milionów ludzi” bynajmniej nie wydaje mu się szokujący, ten uspokoił go, że w Polsce „nie będzie Niemców, bo jak nadchodzi nasze wojsko, to Niemcy uciekają i już ich nie ma”. Na co Churchill zauważył: „Powstanie problem, co z nimi zrobić w Niemczech. Zabiliśmy ich 6 czy 7 milionów, a do końca wojny zginie zapewne jeszcze coś z milion”. „Milion czy dwa?” – chciał wiedzieć Stalin, który lubił precyzyjne statystyki. Na to Churchill: „Och, nie proponuję tu żadnych ograniczeń. Więc powinno być dość miejsca w Niemczech dla tych, którzy będą musieli zapchać tę dziurę”[40].

Wśród wysiedleńców znajdowało się wielu zagorzałych nazistów, a nawet zbrodniarzy wojennych. Można uznać, że większość niemieckich cywilów na obrzeżach Rzeszy życzliwie odnosiła się do NSDAP i pokrewnych organizacji lokalnych, szczególnie w Sudetach, gdzie Niemcy byli wprawdzie grupą bardziej zamożną od Czechów, lecz aż do 1938 roku uważali, że są przez nich traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Jednak wielu wysiedleńców nie miało nic wspólnego z nazizmem. Byli i tacy, którzy aktywnie działali w ruchu oporu. Ale ani Churchill, ani Stalin nie zamierzali się przejmować takimi szczegółami. Przestępcy, hitlerowcy, antyhitlerowcy, mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy Niemcy mieli iść precz.

Polityka zarówno Stalina, jak i Hitlera często uwzględniała transfery ludności, masowe wysiedlenia i zmiany przebiegu granic. Churchill jednak miał na myśli inny precedens: ustalenia traktatu lozańskiego z 1923 roku, na mocy których Grecy muzułmanie zostali przesiedleni do Turcji, a prawosławni Turcy – do Grecji. W rzeczywistości spora część tej wymiany odbyła się przed 1923 rokiem, spontanicznie (jeśli można to tak nazwać), w wyniku wojny grecko-tureckiej. Oficjalna część wymiany przebiegła w miarę bezkrwawo. Lecz exodus z Europy Środkowej i Wschodniej w 1945 i 1946 roku miał nieporównanie większą skalę. Owszem, swego rodzaju wymiana też nastąpiła: Polacy z Kresów Wschodnich, które przypadły Związkowi Radzieckiemu, zostali

przeniesieni na Śląsk, który wcześniej należał do Niemiec, a teraz został z ludności niemieckiej opróżniony. W rzeczywistości jednak około 11 milionów ludzi zostało siłą wyrzuconych ze swoich domów, i to bardzo rzadko „w sposób uporządkowany i ludzki”.

Hans Graf von Lehndorff, wspomniany już wcześniej lekarz z Królewca, który uważał, że ludzie zachowują się jak bestie, bo odwrócili się od Boga, próbował opuścić wypalone i doszczętnie splądrowane gruzy swojego rodzinnego miasta piechotą. Uznał, że próba wciśnięcia się do jednego z pociągów idących na zachód, a złożonych zwykle z węglarek lub wagonów bydlęcych, jest zbyt ryzykowna. W zimnym deszczu szedł więc przez „ziemię bezludną”,

> [mijając] niezżęte pola […], leje po bombach, wyrwane z korzeniami drzewa, leżące w rowach pojazdy wojskowe i spalone wsie. Chciałem się schronić od zimna i deszczu w zrujnowanym domu. Poczułem, że coś się tam rusza. Słychać było skrobanie po ceglanej podłodze. Wewnątrz stało kilkoro ludzi w łachmanach, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń. Wśród nich było troje dzieci, które przyglądały mi się wrogo. Okazało się, że chcieli uciekać z Królewca piechotą i ugrzęźli w tym miejscu. Rosjanie, którzy ich złapali, nie pozwalali im ani iść do przodu, ani wracać. Ostatnią rzeczą, jaką jedli, było kilka ziemniaków, które dostali, kiedy rosyjska ciężarówka zatrzymała się obok na krótki postój. Nie zapytałem, ile musieli za nie zapłacić. Z ich rozmów zorientowałem się, że kobiety zapłaciły dodatkowo. Mój Boże, któż może znaleźć jakiekolwiek zaspokojenie w takich widmach?[41]

Zdarzały się i znacznie gorsze rzeczy. Lecz ten epizod mówi o ludziach bezdomnych coś więcej niż inne opowieści o bestialstwach, zabójstwach i głodzie: on mówi o ich bezradności. Nie mogąc ani iść do przodu, ani wracać, wiszą oni w próżni na wyludnionej ziemi, która przestała już być ich ziemią.

Lehndorff słusznie się bał pociągów. Wysiedleńcy całymi dniami tkwili w przepełnionych wagonach towarowych, pozbawieni żywności, wody i sanitariatów, wystawieni na kaprysy pogody. Co więcej, istniało duże ryzyko, że wylądują w obozie pracy przymusowej, a w najlepszym przypadku stracą cały swój dobytek. Dziennikarz Paul Löbe, więziony

wcześniej przez hitlerowców socjaldemokrata, tak opisywał podróż przez Śląsk:

> Rosjanie odłączyli lokomotywę i zatrzymali nas na dwadzieścia cztery godziny. Takie postoje zdarzały się kilka razy […]. Pociąg został obrabowany czterokrotnie, dwa razy przez Polaków, dwa razy przez Rosjan. Metoda była prosta. W miejscach gdzie tor był uszkodzony, pociąg zwalniał, a wtedy rabusie wspinali się do wagonów, chwytali nasze walizki i worki i wyrzucali je na nasyp. Po półgodzinie wyskakiwali i szli zbierać łupy[42].

W tych czasach bezprawia, gdy w grabieży ochoczo uczestniczyli zarówno policjanci, jak urzędnicy, najbardziej niebezpieczne były dworce kolejowe. Szajki rabusiów żerowały na każdym, kto miał nieszczęście spędzać tam noc. Szukający rozrywki pijani żołnierze gwałcili wszystkie kobiety niezależnie od wieku. Jednym z horrorów bezdomności i całkowitej utraty praw jest to, że każdemu wolno uczynić z takim człowiekiem, co mu się tylko spodoba.

Niemców na Śląsku, w Prusach Wschodnich i Sudetach spotkał los pod pewnymi względami groteskowo wręcz podobny do losu, jaki oni sami wcześniej zgotowali innym narodom, zwłaszcza Żydom. Mieli zakaz wstępu do wielu miejsc publicznych; musieli nosić opaski z literą N, „Niemiec”; nie wolno im było kupować jajek, owoców, mleka ani sera; zabroniono im zawierania małżeństw z osobami narodowości polskiej.

To podobieństwo losów jest rzecz jasna ograniczone. Znajoma Ernsta Jüngera, konserwatywnego pisarza i pamiętnikarza, pisała do niego z czeskiego więzienia: „Tragedię, która dzieje się w niemieckiej, a także w węgierskiej części Czechosłowacji, daje się porównać tylko do tego, co spotkało Żydów”[43]. Nonsens. Wokół liczby Niemców, którzy ponieśli śmierć podczas wysiedleń, wciąż toczą się zażarte spory. Niektórzy niemieccy historycy mówią o ponad milionie. Inne dane wskazują na mniej więcej połowę tej liczby[44]. To i tak jest dostatecznie przerażające. Jednakże nie ulega wątpliwości, że nie istniał żaden plan systematycznej eksterminacji wszystkich Niemców. Niekiedy też Niemiec urodzony na Śląsku lub w Sudetach otrzymywał propozycję przyjęcia polskiego lub

czeskiego obywatelstwa; takiego wyjścia Żydzi pod władzą nazistów nie mieli nigdy.

Niemki, gwałcone bez wyjątku przez radzieckich żołnierzy, Polaków i Czechów, mówiły o sobie, że są *Freiwild*, zwierzyną łowną. Takim łatwym, każdemu dostępnym łupem staje się właściwie każdy człowiek, który jest bezdomny i pozbawiony praw. Latem 1945 roku o Śląsku mówiło się „dziki zachód". Szef tymczasowych polskich władz w Gdańsku porównywał wydarzenia na Ziemiach Odzyskanych do gorączki złota: „Po wszystkich drogach i wszelkimi środkami transportu ludzie ze wszystkich zakątków Polski dążą do tego Klondike, a ich jedynym celem jest nie praca, lecz rozbój i grabież"[45]. Po domy, przedsiębiorstwa, dowolne poniemieckie mienie wystarczyło wyciągnąć rękę, a samych Niemców można było bezkarnie oskubać.

Czystka etniczna roku 1945 wykraczała poza wysiedlenia lub wywóz na przymusowe roboty. Herbert Hupka, pół-Żyd, który mieszkał w Raciborzu na Górnym Śląsku, wspominał, jak kolumna wysiedleńców, w której się znajdował, maszerowała w deszczu obok szkoły, w której jego ojciec nauczał greki i łaciny. Zauważył stos podartych i mokrych książek: Tomasza Manna, Alfreda Döblina, Franza Werfla i innych pisarzy, których hitlerowcy umieścili na indeksie. Skonfiskowane przez władze książki wyrzucono na cmentarz żydowski. Nie wiadomo jakim sposobem trafiły na ulicę, gdzie leżały, jak to ujął Hupka, „niczyje na progu gimnazjum"[46].

Tym, co w 1945 roku ulegało systematycznemu niszczeniu, była kultura niemiecka, a wraz z nią ludzie, którzy nią żyli. Starodawne ziemie Rzeszy niemieckiej i cesarstwa austro-węgierskiego ulegały błyskawicznej „degermanizacji"; a przecież wiele leżących na tych terenach dużych miast: Wrocław, Gdańsk, Królewiec, Lwów, Brno, Czerniowce, Praga – jako Breslau, Danzig, Königsberg, Lemberg, Brünn, Czernowitz – było ośrodkami niemieckiej kultury wysokiej, której nosicielami byli często niemieckojęzyczni Żydzi. Na gwałt zmieniano nazwy ulic i szyldy, nazwy miejsc i miejscowości, niszczono niemieckie biblioteki, rozbijano pomniki, skuwano inskrypcje, niekiedy bardzo stare, w kościołach i na budynkach

użyteczności publicznej; zakazano używania języka niemieckiego. W reportażu z Pragi w piśmie „Yank” czytamy:

> Kiedy zapytasz o drogę po niemiecku (jeśli przypadkiem nie znasz czeskiego), tylko popatrzą na ciebie nieruchomym wzrokiem […]. To nie to, że Czesi nie rozumieją; niemiecki od dawien dawna jest dla nich praktycznie drugim językiem. Pewien Czech, który był robotnikiem przymusowym w praskiej fabryce, […] ujął to tak: „Proszę, nie mówcie tutaj po niemiecku. To jest język bestii”[47].

Motywacje tego dążenia do usunięcia z Europy Środkowej i Wschodniej nie tylko samych Niemców i ich kultury, lecz nawet wspomnień i pamiątek ich obecności, były rozmaite. Dla komunistów była to rewolucyjna akcja przeciwko znienawidzonej burżuazji. Niekomunistyczni nacjonaliści, jak na przykład prezydent Edvard Beneš, uważali, że to zemsta za zdradę: „Nasi Niemcy […] zdradzili nasze państwo i naszą demokrację, zdradzili nas, zdradzili poczucie człowieczeństwa, zdradzili całą ludzkość”[48]. Wysoki dostojnik czechosłowackiego Kościoła katolickiego stwierdził: „Po raz pierwszy od tysiąca lat nadszedł czas, by policzyć się z Niemcami, którzy są ludźmi złymi i do których wobec tego nie odnosi się nakaz kochania bliźniego swego”[49]. Natomiast pogląd podzielany przez absolutnie wszystkich wyraził Władysław Gomułka podczas obrad KC Polskiej Partii Robotniczej: „Wyrzucić ich [Niemców] musimy, gdyż wszystkie kraje buduje się na zasadach narodowych, nie narodowościowych”[50].

W ten oto sposób program Hitlera, oparty na ideach nacji i czystości etnicznej, które narodziły się w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku, a nawet wcześniej, zrealizowali do końca ludzie, którzy nienawidzili Niemców. Nie deprecjonując horroru, jakim była powojenna czystka etniczna w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii, pamiętajmy, że kulturę niemiecką w sercu Europy zniszczyli *de facto* sami Niemcy. Proces jej niszczenia rozpoczęli, unicestwiając środkowoeuropejskich Żydów, z których wielu było serdecznie przywiązanych do niemieckiej kultury wysokiej. Polacy i Czesi jedynie dokończyli dzieła. A że zrobili to, wywalając Niemców ze swoich krajów na zbity pysk? Cóż, tak było najszybciej.

***

Bynajmniej nie z miłości do Niemiec latem i jesienią 1945 roku takie mnóstwo Żydów znalazło się w tamtejszych obozach dla dipisów. Po prostu w Niemczech, kraju, którego obywatele zrobili, co mogli, aby ich wszystkich wymordować, Żydzi czuli się bezpiecznie, a przynajmniej bezpieczniej niż w niektórych ze swych rodzinnych krajów, na przykład na Litwie czy w Polsce. Mało prawdopodobne, by w obozach, czyli pod opieką sił brytyjskich lub amerykańskich, dosięgły ich prześladowania. Latem tego roku do Niemiec ściągnęły więc dziesiątki tysięcy Żydów, którzy ocaleli z obozów zagłady na terenie Polski, wyszli z lasów, gdzie walczyli w partyzantce, lub przetrwali wojnę w Związku Radzieckim. Obóz dla dipisów stanowił oczywiście tymczasowy azyl, nie dom. Lecz czym był wówczas „dom”? Domy przestały istnieć. Większość ocalałych miała je już tylko w wyobraźni. Pewien dipis stwierdził: „My nie jesteśmy w Bawarii […], my jesteśmy nigdzie”[51].

Ludzie, którzy stanowili niedobitki narodu żydowskiego w Europie, byli niejednokrotnie zbyt znużeni, żeby samodzielnie o siebie zadbać, a zbyt wystraszeni i pełni gniewu, by przyjąć pomoc od obcych, zwłaszcza od ludności nieżydowskiej. W obozach dla dipisów Żydzi mieszkali razem z nie-Żydami, a w paru pożałowania godnych przypadkach z byłymi nazistami – tu akurat zawiniły brak empatii oraz chaos w biurokracji. Warunki życia były niewyobrażalnie prymitywne. Jak ludzie jeszcze niedawno traktowani gorzej niż zwierzęta mieli odzyskać poczucie własnej godności? Generał Patton mógł uznawać Żydów za stojących „niżej od zwierząt”: w końcu bynajmniej nie był filosemitą. Ale nawet Żydzi z Palestyny, którzy przyjechali do Niemiec pomagać rodakom, ludzie twardzi i zahartowani, nie zdołali ukryć szoku. W autobiograficznej powieści Hanocha Bartova pod tytułem *Brigade* żołnierz Brygady Żydowskiej stwierdza: „Powtarzałem sobie, że to są ci ludzie, o których przez tyle lat mówiliśmy; ale czułem się od nich tak odległy, jak gdyby rozdzielał nas drut pod napięciem”[52]. Amerykański żołnierz pisał w liście do domu, że w toalecie publicznej w Monachium widział polskiego Żyda

„prosto z Dachau”. Człowiek ten „płakał jak dziecko”, skulony w rogu pomieszczenia. „Nie musiałem go pytać, czemu płacze; zawsze padały te same odpowiedzi, mniej więcej takie: rodzice zamęczeni, żona zagazowana, dzieci zmarłe z głodu, albo dowolna kombinacja powyższych trzech rzeczy”[53].

Jedynym narodem, który w owym czasie być może faktycznie potrzebował heroicznej legendy, byli Żydzi, bo chociaż podczas wojny krzywd doznali wszyscy, to ich krzywda była najstraszliwsza – czego zresztą jeszcze wtedy ani powszechnie nie wiedziano, ani nie uznawano. Nawet oni sami nie do końca zdawali sobie sprawę ze skali ludobójstwa popełnionego na narodzie żydowskim. Na przykład Salomon Schonfeld, główny rabin angielskiej ortodoksyjnej synagogi, w napisanym w grudniu 1945 roku sprawozdaniu z podróży po Polsce w celu rozpoznania warunków życia ocalałych z zagłady Żydów nie zawahał się zawrzeć następującego zdania: „Polscy Żydzi są zgodni co do tego, że umieranie w Auschwitz (z łaźniami, gazem oraz, w ograniczonym zakresie, służbą Czerwonego Krzyża) było bardziej humanitarne niż gdzie indziej”[54]. Humanitarne!

Prasa żydowska w Palestynie już w czasie wojny zrównywała bohaterski zryw w getcie warszawskim w 1943 roku z obroną Masady, ostatniej twierdzy żydowskich zelotów, przed Rzymianami w 73 roku naszej ery, gdzie pozostali przy życiu obrońcy popełnili zbiorowe samobójstwo. Nagłówek gazety „Yediot Ahronot” z 16 maja 1943 roku donosił: „Upadek warszawskiej Masady – naziści podpalili ruiny getta”; jednakże w zasadzie dopiero w latach siedemdziesiątych powstanie w getcie warszawskim stanie się mitem założycielskim Państwa Izrael. Natomiast próby podniesienia morale Żydów za pomocą heroicznych gestów podjęto zaraz po zakończeniu wojny. Wszystkie one ściśle wiązały się z syjonizmem – snem o ojczyźnie, który miał podtrzymać na duchu złamany naród. Na ciężarówkach, którymi wspomniana już Brygada Żydowska wjeżdżała z Włoch do Niemiec, wisiały transparenty: *Achtung! Die Juden kommen!* (Uwaga! Żydzi nadciągają!). 25 lipca żydowscy przedstawiciele komitetów obozowych z całych zachodnich Niemiec wydali odezwę z żądaniem

otwarcia granic Palestyny dla Żydów. Uczynili to w tej samej monachijskiej piwiarni, w której w 1923 roku Hitler podjął nieudaną próbę puczu; wybór miejsca niewątpliwie podyktowała chęć podniesienia morale rodaków.

Więź między Żydami w Ziemi Świętej a diasporą pozostawała wciąż jeszcze wątła. Stąd wzięło się porównanie Warszawy do Masady, tak jakby Mordechaj Anielewicz i jego towarzysze ginęli w warszawskim getcie za Erec Israel, Ziemię Izraela. Jednakże młodzieżówka syjonistyczna błyskawicznie tę więź wzmocniła, nie tylko w czasie wojny, lecz i po niej, jeszcze w obozach organizując ocalałych Żydów w kibuce. Major armii amerykańskiej Irving Heymont, któremu podlegał obóz dla dipisów w Landsbergu, pisał o tym bez entuzjazmu, mimo że sam był Żydem: „Na domiar złego dziś dowiedziałem się, że najmłodsza i najlepsza część obozowiczów zorganizowała się w kibuce. Wygląda na to, że kibuc to ściśle związana, zdyscyplinowana grupa przejawiająca gwałtowną chęć emigracji do Palestyny. Tam […] zamierzają zorganizować sobie byt według zasad ideowego kolektywizmu. Każdy kibuc jest zamknięty we własnym kółku i niezbyt zainteresowany życiem obozu”[55].

Spora część ocalałych Żydów marzyła o wyjeździe do Ameryki. W bawarskim Föhrenwaldzie, jednym z największych obozów dla dipisów, przeznaczonym wyłącznie dla Żydów, była ulica Nowojorska, ulica Michigan, ulica Wisconsin i tak dalej[56]. Urzekające; lecz Stany Zjednoczone wcale nie miały ochoty przyjmować niedobitków europejskich Żydów, a już z pewnością nie zaraz po wojnie. Młodość, stosunkowo dobry stan fizyczny, zdyscyplinowanie, wysokie morale, idealizm, nacisk na uczestnictwo w sportach, praca na roli i znajomość samoobrony zapewniły młodym syjonistom z Europy Środkowej wysoką pozycję wśród ocalałych z zagłady Żydów. Dziesięć dni po kapitulacji Niemiec rabin Levy, brytyjski kapelan wojskowy, w liście do londyńskiej „Jewish Chronicle” chwalił syjonistów w Belsen: „Czyż mógłbym zapomnieć […] te spotkania w barakach, gdy siedzieliśmy i śpiewaliśmy hebrajskie pieśni? Czy świat uwierzy, że może istnieć duch tak nieustępliwy i wytrwały? Dwa dni temu poznałem grupę młodych syjonistów z Polski. Mieszkali w jednym

z najbardziej wstrętnych baraków, ale ich własny kąt był czyściusieńki”[57].

Josef Rosensaft był najtwardszym z twardzieli z Belsen. Ten drobny, żylasty mężczyzna idealnie pasował do wzorca żydowskiego bohatera. Urodził się w Polsce w 1911 roku. Jako młodzieniec zbuntował się przeciwko surowym zasadom swej chasydzkiej rodziny i został lewicowym syjonistą. W lipcu 1943 roku znalazł się z żoną i pasierbem w getcie w Będzinie, a następnie w transporcie do Auschwitz. Udało mu się uciec z pociągu i pod ogniem karabinów maszynowych skoczyć do Wisły. Ponownie aresztowany w getcie, znowu uciekł, tylko po to, żeby po raz trzeci wpaść w ręce Niemców; tym razem wylądował w Birkenau. Po dwóch miesiącach pracy w kamieniołomie został przewieziony do innego obozu, skąd uciekł w marcu 1944 roku. W kwietniu został ujęty i odstawiony do Birkenau, gdzie mimo kilkumiesięcznych tortur nie wyjawił, kto pomógł mu w ucieczce. Po krótkim pobycie w Dora-Mittelbau, gdzie pod ziemią, w wilgotnych tunelach, więźniowie budowali niemieckie rakiety V-2, trafił do Bergen-Belsen.

Rosensaft nie należał do zamieszkującej miasta wykształconej żydowskiej elity. Mówił wyłącznie w jidysz; ale nie dlatego nalegał, by w negocjacjach z aliantami używać jidysz (czym zresztą mocno zirytował Brytyjczyków). To była kwestia honoru. Jako przywódca żydowskiego Komitetu Centralnego w Belsen chciał, aby Żydów traktowano jako odrębny naród posiadający ojczyznę, którą jego zdaniem mogła być jedynie Palestyna. Uważał, że władze powinny pozwolić Żydom odseparować się od innych narodowości, zorganizować własny obozowy samorząd i przygotowywać się do przeprowadzki do Ziemi Izraela[58].

Podobne głosy dobiegały też z innych obozów. Majora Irvinga Heymonta często drażniły żądania żydowskiego komitetu w Landsbergu; niemniej jednak w liście do domu zacytował przemowę jednego z członków komitetu, doktora Jacoba Oleiskiego, agronoma z Litwy, którą uznał za „bardzo pouczającą”. Wspominał on, jak to „spoglądając ponad drutami na Wilno, w stronę Kowna i innych litewskich miast”, Żydzi śpiewali pieśń *Chcę znów ujrzeć mój dom*. Dziś jednak, ciągnął Oleiski,

> po wszystkim, co się wydarzyło, po niemieckich obozach koncentracyjnych, po tym, jak ostatecznie stwierdziliśmy, że nasze dawne nadzieje legły w masowych grobach, możemy jedynie wyciągać ramiona, końcami palców chwytać cienie naszych bliskich i wołać z bólem: Nigdy już nie ujrzę mego domu. Zwycięskie narody, które w XX wieku wygnały z Europy czarną śmierć, muszą raz na zawsze zrozumieć specyfikę kwestii żydowskiej. Nie, nie jesteśmy Polakami, mimo że urodziliśmy się w Polsce; nie jesteśmy Litwinami, choć kiedyś szliśmy przez Litwę; nie jesteśmy Rumunami, choć w Rumunii pierwszy raz w życiu ujrzeliśmy światło słońca. Jesteśmy Żydami!!

Major Heymont nie był ani syjonistą, ani, jak się wydaje, człowiekiem religijnym. Swoje pochodzenie trzymał w tajemnicy, obawiając się, że skomplikuje ono jego dostatecznie już delikatną misję w Niemczech. Mimo irytacji miał jednak sporo zrozumienia dla wyrażanych przez Oleiskiego pragnień, między innymi dla „BUDOWY WSPÓLNOTY ŻYDOWSKIEJ W PALESTYNIE” (wersalikami w tekście listu). W rzeczy samej, pisał, „im więcej o tym myślę, tym mniej gniewam się na komitet. Jako grupa jest on żywotnie zainteresowany obroną praw swoich rodaków i wydostaniem ich z Niemiec. Przez prawa rozumiem traktowanie ich jako ludzi wolnych, a nie jako potrzebujących opieki lub miłosierdzia”[59].

Idea przekształcenia Żydów z mniejszości – wiecznie prześladowanej, uniżenie próbującej zadowolić każdą większość, wśród której przyszło jej bytować, kuszonej nadzieją na asymilację, lecz żyjącej w ciągłym zagrożeniu – z ludzi „potrzebujących miłosierdzia” w dumny naród wojowników uprawiających swą własną świętą ziemię, datowała się sprzed czasów hitlerowskiego ludobójstwa. Idea ta przybierała różne odcienie: socjalistyczne, religijne, nawet rasistowskie, popierane przez liczne frakcje stale, i często zaciekle, ze sobą rywalizujące. W Belsen i innych obozach partie polityczne zawiązały się, gdy tylko ludzie oprzytomnieli na tyle, by głosować. Kolejny pochodzący z Polski twardziel, Dawid Ben-Gurion, przywódca ruchu syjonistycznego w Palestynie, szybko dostrzegł, że cierpienie Żydów da się wykorzystać dla dobra sprawy, w którą tak gorąco wierzył. W październiku 1942 roku na forum kierownictwa ruchu syjonistycznego w Palestynie mówił: „Klęska przynosi zysk, jeśli skierować ją w pożyteczną stronę; cała sztuczka z syjonizmem polega na

tym, że on wie, jak obrócić naszą klęskę nie w zwątpienie czy upadek, jak dzieje się to w diasporze, lecz w źródło inwencji i pożytku”[60].

Ten najwcześniejszy przykład instrumentalnego podejścia do Zagłady wydaje się więcej niż odrobinę okrutny. Ben-Gurion zdecydowanie odrzucał wszelką czułostkowość; to był element jego stylu, być może konieczny, aby wykuć nową, heroiczną historię narodu żydowskiego. Będąc człowiekiem praktycznym, uważał demonstracje sentymentalizmu za bezproduktywne. Ale w 1942 roku także Ben-Gurion nie był świadom rozmiarów tragedii, jaka spotkała Żydów w Europie. Mało kto był. Jednym z pierwszych, którzy – jak się wydaje – pojęli skalę Zagłady, był Apolinary Hartglass, syjonista, członek Komitetu do spraw Ratowania Żydów Europejskich. Już w 1940 roku ostrzegał on, że naziści „eksterminują ludność [żydowską] w Polsce”. Ale kiedy dwa lata później uciekinierzy z Polski potwierdzili jego najgorsze przypuszczenia, nawet Hartglass odpowiedział: „Gdybym wierzył we wszystko, co mówicie, tobym się zabił”[61]. Ben-Gurion znał fakty. Nie potrafił tylko, jak zresztą większość ludzi, wyobrazić sobie, jak wygląda rzeczywistość.

Mimo tego zarówno Hartglassowi, jak i Ben-Gurionowi można zarzucić wykorzystywanie ludzkiego nieszczęścia do celów politycznych. W 1943 roku w memorandum do Komitetu do spraw Ratowania Żydów Hartglass pisał, że 7 milionów Żydów europejskich prawdopodobnie poniesie śmierć, i *jiszuw*, Żydzi osiedli w Palestynie, nic nie mogą na to poradzić. Jednak, jeśli uda się ocalić garstkę Żydów, „musimy chociaż odnieść z nich jakieś korzyści polityczne. Z punktu widzenia syjonizmu korzyści te odniesiemy pod następującymi warunkami. a) Jeśli cały świat będzie wiedział, że jedynym krajem skłonnym przyjąć ocalonych Żydów jest Palestyna, a jedyną społecznością, która zechce ich w siebie wcielić, są *jiszuw*”[62].

W październiku 1945 roku Ben-Gurion uznał, że musi osobiście obejrzeć byłe obozy koncentracyjne w Niemczech. Notatki w jego dzienniku są krótkie, suche i ściśle trzymają się faktów. W Dachau: „Widziałem piece, komory gazowe, psiarnie, szubienice, baraki dla więźniów i kwatery esesmanów”. W Belsen: „Do 15 kwietnia br. było tu 48 tysięcy Żydów. […] Od tego czasu umarło 31 tysięcy […] (na tyfus, gruźlicę)”[63]. Tymczasem

Ben-Gurion, zdaniem jego biografa Szabtaja Teweta, miał znacznie bardziej heroiczną wizję: wyobrażał sobie „ludzi ocalałych z obozów zagłady, przebijających się z bronią w ręku do brzegów Palestyny, łamiących zagradzające im drogę szeregi brytyjskich żołnierzy". Tewet stwierdza sucho: „Zapewne przyglądał się chudym jak szkielety ocalałym Żydom niczym generał, który robi przegląd swoich wojsk przed bitwą"[64].

Podróż Ben-Guriona szybko stała się tajemnicą poliszynela. Dokądkolwiek się udał, opadały go tłumy dipisów. Heymont dowiedział się, że Ben-Gurion przyjeżdża do Landsbergu, dopiero gdy zobaczył „ludzi biegnących, żeby ustawić się wzdłuż ulicy wiodącej z Monachium. Nieśli kwiaty i pośpiesznie zaimprowizowane transparenty. Wszędzie wykwitły najróżniejsze dekoracje. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy obozu ożywionego takim zapałem. Myślę, że wizyta prezydenta Trumana nie wywołałaby podobnego podniecenia"[65]. Dla mieszkańców obozu, stwierdził major Heymont, Ben-Gurion „jest Bogiem".

Najsłynniejsze z przemówień, jakie Ben-Gurion wygłosił podczas tej podróży do Niemiec, było skierowane do pacjentów szpitala dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych w starym benedyktyńskim opactwie Sankt Ottilien niedaleko tak Monachium, jak i Dachau. Raz przynajmniej na widok osieroconych żydowskich dzieci oczy wezbrały mu łzami. Szybko się jednak opanował: „Nie będę próbował wyrazić, co czuję, […] bo nie jest to możliwe". Zamiast tego oznajmił słuchaczom, z których wielu wciąż miało na sobie pasiaki:

> Mogę wam powiedzieć, że pełna wigoru żydowska Palestyna istnieje i nawet jeśli jej bramy są zamknięte, silne ramiona *jiszuw* je otworzą. […] Dzisiaj w Palestynie to my jesteśmy decydującą potęgą. […] Mamy własne sklepy, własne fabryki, własną kulturę i własne karabiny. […] Hitler dotarł w pobliże Palestyny. Tam też mogliśmy ponieść straszną klęskę. Ale to, co zdarzyło się w Polsce, nie mogłoby się zdarzyć w Palestynie. Nie wymordowaliby nas w naszych synagogach. Każdy chłopiec i każda dziewczyna strzelaliby do niemieckiego żołnierza[66].

Siła… potęga… własne karabiny… Heroiczny obraz, jaki malował przywódca syjonistów, był dokładnie tym, którego Brytyjczycy nie życzyli

sobie widzieć, mimo faktu, że w 1917 roku minister spraw zagranicznych Arthur James Balfour przyrzekł utworzyć w Palestynie „żydowską siedzibę narodową”. Brytyjczycy znaleźli się w kropce, bo jednocześnie w deklaracji Balfoura z 1917 roku rząd obiecał arabskiej ludności Palestyny, że „nie uczyni nic, co mogłoby zaszkodzić obywatelskim czy religijnym prawom istniejących w Palestynie społeczności nieżydowskich”. Wysoce problematyczne, skoro Arabowie stanowili 91 procent z około 700 tysięcy mieszkańców Palestyny. Dlatego Biała Księga, wydana przez rząd brytyjski w 1939 roku, ograniczyła imigrację żydowską do Palestyny do 10 tysięcy osób rocznie w latach 1940–1944, plus dodatkowe 25 tysięcy w razie pilnej potrzeby. I oto pilna potrzeba faktycznie zaistniała; do Palestyny ściągnęło mniej więcej tyle Żydów, by wyczerpać te absolutnie niedostateczne limity. Ben-Gurion był zdania, że – legalnie czy nie – należy przetransportować tam co najmniej milion Żydów ocalałych z Zagłady. Prezydent Truman, wstrząśnięty doniesieniami na temat kondycji żydowskich dipisów w Niemczech[67], przekonywał premiera Wielkiej Brytanii Clementa Attlee, że powinno się zezwolić na emigrację co najmniej 100 tysięcy osób, dodając: „Jak mówiłem panu w Poczdamie, naród amerykański jako całość jest głęboko przekonany, że imigracji do Palestyny nie należy zamykać i że rozsądna liczba prześladowanych europejskich Żydów winna otrzymać, zgodnie ze swoim życzeniem, pozwolenie na przesiedlenie się tam”[68].

Truman w swoim liście przemilczał, że jednocześnie nie życzy sobie, aby te 100 tysięcy Żydów osiedliło się w Stanach Zjednoczonych. Natomiast Brytyjczycy z powodów czysto praktycznych starali się czynnie, niejednokrotnie z użyciem siły – przeciwko ludziom, którzy ledwo przeżyli obozy zagłady – zapobiegać przesiedleniu Żydów do Palestyny. Otóż Palestyna była wciąż mandatem brytyjskim. Wielka Brytania, nawet rządzona przez laburzystów, potrzebowała wpływów na Bliskim Wschodzie, gdyż ten stanowił bramę do Indii. Gdyby na obszarze, gdzie ludność arabska stanowiła przeważającą większość, osiedliło się zbyt wielu Żydów, Arabowie (którzy zresztą cieszyli się wyraźną sympatią Foreign Office) chwyciliby za broń. Z brytyjskiego punktu widzenia byłoby to wysoce niewygodne. Właśnie dlatego Żydom próbującym nielegalnie

przedostać się do Palestyny groziło pobicie przez brytyjskich żołnierzy i zapakowanie z powrotem na zdezelowane statki, którymi przypływali, a nawet rozstrzelanie.

Lecz wysuwane przez Brytyjczyków argumenty były nie zawsze praktyczne, a często obłudne. Na przykład zaproponowali oni formułę żydowskiej tożsamości, która miała stanowić alternatywę dla wizji syjonistów. W odpowiedzi na raport specjalny w sprawie dipisów w Niemczech złożony przez przedstawiciela rządu Stanów Zjednoczonych w Międzyrządowym Komitecie do spraw Uchodźców Earla G. Harrisona brytyjskie Foreign Office stwierdziło, iż błędem jest nie tylko wprowadzać, zgodnie z sugestią zawartą w raporcie, segregację Żydów od innych dipisów, lecz także zakładać, że Żydzi nie mają przyszłości w Europie. Wszak „w implikacji takiego założenia należałoby *de facto* przyznać, iż naziści mieli rację, twierdząc, że dla Żydów nie ma miejsca w Europie". Obowiązkiem aliantów jest zatem „raczej stworzyć warunki, w których sami [Żydzi] poczują, że naturalnym i właściwym jest udać się do domu, niż na obecnym etapie zakładać, że stworzenie takich warunków jest niemożliwością"[69].

Foreign Office głębokim milczeniem pominęło tu kwestię, jak mianowicie miałyby rzeczone warunki powstać w takich krajach jak Polska, Litwa czy Ukraina. Swoją drogą także sami Żydzi nie byli zgodni, którędy wiedzie właściwa droga do Syjonu. Agencja Żydowska na rzecz Izraela, skupiająca syjonistyczne ugrupowania w Palestynie, oraz Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Pomocy (Joint), który starał się w miarę możliwości dostarczać żydowskim uciekinierom i dipisom fundusze, żywność i niezbędne zaopatrzenie, prowadziły zaciętą rywalizację. Komitet ostro sprzeciwiał się syjonistycznej indoktrynacji, uważając ją za autorytarną i bezproduktywną. Znane są przypadki, że Agencja utrudniała wyjazdy sierot do rodzin adopcyjnych w Europie lub Stanach Zjednoczonych, argumentując, iż to odwodzi te dzieci od „wstąpienia na wysokości" żydowskiej ojczyzny.

Zajmie to jeszcze kilka lat, ale w końcu syjoniści odniosą zwycięstwo. W 1948 roku Państwo Izrael ogłosi niepodległość; miliony Żydów znajdą

tam dach nad głową. Powstaniu żydowskiego państwa będzie sprzyjać większość krajów Europy, a także Związek Radziecki i Stany Zjednoczone – niewykluczone, że z poczucia winy, a może żywiąc niewygasłe dziewiętnastowieczne przekonanie, iż każdy naród potrzebuje mieć swoje państwo, albo też stwierdziwszy wreszcie, że dla wielu Żydów państwo izraelskie stanowi jedyne możliwe wyjście. Zresztą to, co Eden powiedział o Kozakach, w równym stopniu odnosiło się do europejskich Żydów: „Nie chcemy ich tutaj”[70].

ROZDZIAŁ 5

ODSĄCZANIE JADU

Wojna, okupacja czy dyktatura wywołują nie tylko fizyczne wyniszczenie, lecz i moralne spodlenie narodu. Władza przestaje być uprawomocniona. Cynizm i podłość niszczą poczucie wspólnoty obywatelskiej. W ustrojach despotycznych najlepiej radzą sobie jednostki najbardziej niegodziwe i pozbawione skrupułów, najłatwiej ulegające deprawacji. Kiedy zaś nadchodzą zmiany, bardzo często najsilniejszą legitymację ma władza tej grupy, która pod rządami dyktatorskimi była najsilniej marginalizowana. Po drugiej wojnie światowej grupą taką byli nieliczni bojownicy ruchu oporu – ludzie, którzy ryzykowali bardzo wiele, działając w okupowanych ojczyznach, a znacznie mniej w Londynie, gdzie istniały, choć tylko *pro forma*, rozmaite rządy „na uchodźstwie”.

Ruch oporu, po wojnie opromieniony świadomie budowaną romantyczną legendą, w rzeczywistości w minimalnym stopniu przyczynił się do klęski militarnej hitlerowskich Niemiec czy cesarskiej Japonii. Zuchwałe akcje, po których następował brutalny odwet na niewinnej ludności, często wywoływały więcej problemów, niż były warte. Stąd właśnie brała się niechęć co bojaźliwszych obywateli wobec heroicznych rodaków, których śmiałe czyny prowadziły do nasilenia terroru. Jako demonstracja, że jeszcze nie wszystko stracone, że despotyczną władzę daje się nadkruszyć, ruch oporu miał oczywiście wartość symboliczną. Jednak jego prawdziwe znaczenie staje się jasne dopiero po nastaniu pokoju. Byli tacy, którzy wbrew wszystkiemu mieli odwagę z podniesionym czołem stanąć

naprzeciw wroga – oto heroiczna legenda, jakiej potrzebują społeczeństwa zatrute jadem kolaboracji lub zwykłej bierności w obliczu krwawych reżimów. Przywrócenie demokracji zależne jest od tego rodzaju legend, ponieważ pomagają one odbudować poczucie obywatelstwa, a także nadają legitymizację polityczną ukonstytuowanym po wojnie władzom. Narracje takie stanowią mit założycielski odrodzenia narodów w powojennej Europie.

W niektórych krajach Europy Środkowej i Wschodniej rola ruchu oporu była nieco bardziej skomplikowana, ponieważ musiał on występować przeciwko dwóm dyktaturom jednocześnie. Ci, którzy za głównego wroga uważali Stalina, niekiedy kolaborowali z Niemcami. Najsławniejszym bojownikiem ruchu oporu na Ukrainie był Stepan Bandera, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Kiedy po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991 roku Ukraina wreszcie uzyskała niepodległość, Banderę zaczęto przedstawiać jako ojca ojczyzny, kogoś w rodzaju ukraińskiego Waszyngtona. Jak grzyby po deszczu wyrastały pomniki Bandery, posągi Bandery, muzea Bandery i różne inne przybytki ku jego czci. Trudno wszakże uznać go za bohatera unifikującego państwo, gdyż pochodził z zachodniej Ukrainy, niegdyś części cesarstwa Austro-Węgier. We wschodniej, prawosławnej części Ukrainy jest do dziś uważany za faszystę, ponieważ w 1941 roku opowiedział się po stronie Niemców. Nacjonaliści Bandery są też odpowiedzialni za wymordowanie około 40 tysięcy Polaków na Wołyniu w 1944 roku. Sam bohater był w tym czasie w niemieckim obozie koncentracyjnym, gdzie trafił po proklamowaniu niepodległości tak od Niemców, jak od Związku Radzieckiego. Po wojnie przebywał na emigracji w Monachium, gdzie w 1959 roku został skrytobójczo zamordowany przez agenta KGB.

Sytuacja w zachodniej Europie była mniej skomplikowana. Mitu bohaterskiego szczególnie potrzebowały takie państwa jak Francja, gdzie współpracą z kolaboracyjnym rządem Vichy głęboko skompromitował się aparat urzędniczy, a wraz z nim policja, sądownictwo, elita przemysłowców, a nawet wielu artystów. Kiedy 18 czerwca 1940 roku generał de Gaulle wygłaszał przez radio swą buntowniczą odezwę

z Londynu, większość Francuzów nie miała pojęcia, kto mówi. Szacownym ojcem francuskiej *patrie* był wciąż marszałek Pétain. Gdy de Gaulle w swój niepewny, lecz przedziwnie wzruszający sposób mówił: „Cokolwiek się stanie, płomień francuskiego oporu nie powinien zgasnąć – i nie zgaśnie”, bardzo niewiele osób w ogóle go słuchało.

W pierwszych latach wojny we Francji prawie nie istniał ruch oporu. Lecz w 1944 roku, po zwycięstwie aliantów w Normandii, de Gaulle – wysoki, prosty jak struna, odziany w nieskazitelny mundur, imponujący – powrócił do kraju na czele wojsk francuskich, które „wyzwoliły” Paryż, i stał się niekwestionowanym symbolem prawości narodu. Strzelali do niego proniemieccy snajperzy, a on maszerował dalej jak gdyby nigdy nic. Ten zdawałoby się nietykalny bohater był więc w stanie utworzyć rząd tymczasowy, który funkcjonował aż do pierwszych powojennych wyborów w październiku 1945 roku. Ponieważ zasiadało w nim wielu dawnych członków rządu Vichy, rząd ten był stale skłócony z ruchem oporu, którego rozmaitymi frakcjami kierowało wielu komunistów; ci ostatni nie bez powodu nie ufali de Gaulle’owi, zupełnie tak samo jak on nie bez powodu nie ufał im. Niemniej jego kierownictwo uważano za uprawomocnione, ponieważ niezłomny generał stanowił „twarz” ruchu oporu. Oto był człowiek zdolny dźwignąć swój naród z moralnego upadku.

Niemcy i Japonia nie dysponowały ani bohaterami, ani symbolami heroizmu (choć w komunistycznych Niemczech wschodnich starano się tworzyć coś w rodzaju mitu antyfaszyzmu). Oficerów, którzy w lipcu 1944 roku próbowali dokonać zamachu na Hitlera i zapłacili za to życiem, większość Niemców nie uważała jeszcze wtedy za bohaterów. Co więcej, spiskowcy w sporej części pochodzili z pruskiej arystokracji i byli żołnierzami z dziada pradziada, a więc nie tylko za granicą, lecz także w ich własnym kraju kojarzono tych ludzi z tradycją pruskiego militaryzmu, który powszechnie uważano za przyczynę wojny. W Japonii istniał wprawdzie skromny ruch oporu, ale niemal wszyscy jego członkowie, głównie komuniści i lewicowi radykałowie, spędzili wojnę w więzieniu. Ogólnie rzecz biorąc, przeciwnicy hitlerowskiej Rzeszy i rządu Japonii siedzieli albo cicho, albo – w przypadku Niemiec – na emigracji.

W Niemczech znalazła się garstka czynnych uczestników ruchu oporu, którzy ryzykowali życie w prawie całkowitej izolacji. Na przykład dziennikarka Ruth Andreas-Friedrich przyłączyła się do berlińskiej komórki „Wujka Emila”. Z niezwykłą odwagą ona i jej towarzysze ukrywali Żydów i antyfaszystów oraz rozpowszechniali antyhitlerowskie ulotki. Niewielu ludzi, którzy uczestniczyli w tego rodzaju akcjach, pozostało przy życiu; zdecydowanie nie dość, aby mógł powstać narodowy mit Niemiec Walczących. Po zakończeniu wojny, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, ludzie czuli jednak potrzebę jakiegoś narodowego odkupienia. 15 maja 1945 roku, żyjąc w ciężkich warunkach w okupowanych przez Rosjan ruinach Berlina, Andreas-Friedrich zapisała w dzienniku:

> Wszędzie gorączkowa działalność polityczna. Jakby trzeba było na gwałt nadrobić dwanaście straconych lat. „Antyfaszystowskie” ugrupowania wyrastają jak grzyby po deszczu. Transparenty i plakaty. Odezwy i godła. Na każdym rogu ulicy powstaje jakieś ugrupowanie polityczne. […] Nie wszystkie z tych antyhitlerowskich grupek mogą powiedzieć, że mają za sobą długi szlak walki. Dla niektórych walka zaczęła się dopiero wtedy, gdy Hitler walczyć przestał[1].

Przykłady podobnego, choć może nie aż tak bezczelnego zakłamania można znaleźć również w krajach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji. Lecz nawet tam, a co dopiero w Niemczech czy Japonii, heroiczne legendy nie wystarczyły, by podźwignąć naród z moralnego upadku. Legitymizacja powojennego ładu wymagała oczyszczenia narodu z nazistów, w Japonii – z militarystów, oraz z kolaborantów. Ludzie odpowiedzialni za wojnę, dyktaturę, prześladowania, pracę przymusową i ludobójstwa musieli odejść. Lecz gdzie zacząć? I co dalej? Jak zdefiniować winę? Czy współwina wystarczy, by uznać kogoś za podlegającego czystce? Jak odkryć winnych? I gdzie są granice? Jeśli eliminacji miałby podlegać każdy niemiecki urzędnik, który był nazistą lub z nazistami współpracował, niemieckie społeczeństwo, już przecież w strzępach, rychło uległoby kompletnej dezintegracji. Takich ludzi było za dużo. Gdyby całkowicie oczyścić administrację i establishment polityczny Japonii z osób aktywnych w czasie wojny, pozostałoby zbyt mało urzędników o dostatecznej wiedzy lub

umiejętnościach, by dalej zarządzać krajem, któremu groził głód. Należało jednak uczynić coś, aby ludzie poczuli, że sprawiedliwości stało się zadość.

Oprócz stracenia winowajców, najstarszym i najprostszym rozwiązaniem do zastosowania w społeczeństwie, w którym dzieje się źle, jest ich banicja. To właśnie proponował belgijski senator, chrześcijański konserwatysta, rozważając, co uczynić z byłymi kolaborantami: „Jeśli w naszym kraju rzeczywiście nie ma miejsca, w które można by na powrót włączyć tych ludzi, to może pozwolić im iść gdzie indziej? […] Są państwa, na przykład w Ameryce Łacińskiej, gdzie mogliby rozpocząć nowe życie”[2]. To wyjście, oczywiście potajemnie, wybrało całkiem sporo hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, ale nie bardzo można było je przyjąć jako oficjalną politykę. Zresztą pomysł, by wygnać wszystkich europejskich kolaborantów, o wszystkich niemieckich nazistach już nie wspominając, do Ameryki Łacińskiej był z zasady absurdalny.

Niemniej jednak na konferencji w Poczdamie w lipcu 1945 roku Wielka Trójka zgodziła się, że jedynie radykalne działania pozwolą oczyścić pokonane narody z ich toksycznej spuścizny i odbudować je jako demokracje, które już nigdy nie wstąpią na wojenną ścieżkę. Zarówno Niemcy, jak i Japonia zostaną więc „zdemilitaryzowane” i „zdemokratyzowane”. Nazistowskie organizacje i formacje policyjne zostaną oczywiście zdelegalizowane; oprócz nich zakaz działalności obejmie wszelkie „organizacje weteranów wojennych i inne wojskowe i paramilitarne, a także kluby i stowarzyszenia, podtrzymujące tradycje wojskowe w Niemczech”. W ramach procesu demokratyzacji Niemiec „wszyscy członkowie partii narodowosocjalistycznej, którzy byli kimś więcej niż nominalnymi tylko uczestnikami jej działań, jak również wszystkie inne osoby wrogo nastawione do celów sprzymierzeńców będą usunięte z urzędów publicznych i półpublicznych oraz ze stanowisk odpowiedzialnych w ważnych przedsiębiorstwach prywatnych”[3].

Między rządem radzieckim a jego zachodnimi sprzymierzeńcami istniała oczywiście różnica poglądów w kwestii tego, czym mianowicie jest demokracja. Poza tym nie do końca wyjaśniono, czym różni się (jeśli w ogóle się różni) bycie nazistą lub militarystą od bycia osobą „wrogo

nastawioną do celów sprzymierzeńców”. Nie tak trudno przecież wyobrazić sobie eksnazistę, który ochoczo zgadza się współpracować z siłami państw sprzymierzonych, lub eksantynazistę – na przykład komunistę w strefach zachodnich lub liberalnego demokratę w strefie radzieckiej – który zaciekle protestuje przeciwko polityce tychże państw. Następną niezupełnie wyjaśnioną kwestią, zależną poniekąd od opinii na temat katastrofy Niemiec, był sam przebieg planowanej czystki, chociaż przywódcy mocarstw raczej zgodnie postrzegali pruski militaryzm jako główny problem i uznawali, że trzeba go koniecznie wykorzenić. Dopiero później wyszło na jaw, że nie do końca trafili w sedno.

Ustalenia poczdamskie w kwestii Japonii brzmiały nieco inaczej: „Należy na zawsze odsunąć od władzy i wpływów ludzi, którzy oszukali i wprowadzili w błąd naród Japonii tak, by przedsięwziął on światowy podbój, zdecydowanie sądzimy bowiem, że wprowadzenie nowego ładu pokoju, bezpieczeństwa i sprawiedliwości będzie niemożliwe, dopóki nieodpowiedzialny militaryzm nie zostanie wyeliminowany ze świata”.

To też jest nie do końca sprecyzowane i w gruncie rzeczy mylące. Czy istnieje coś takiego jak „odpowiedzialny militaryzm”? I właściwie kto tam kogo „wprowadził w błąd”? Generał Douglas MacArthur, głównodowodzący sojuszniczych wojsk okupacyjnych (SCAP[4]), który w tym czasie stanowił najwyższą władzę w Japonii, nie przyjął propozycji cesarza Hirohito, który chciał wziąć na siebie odpowiedzialność za wojnę. MacArthur był przekonany, że osoba cesarza jest koniecznie potrzeba dla uniknięcia chaosu, więc nie może on nawet w najmniejszym stopniu zostać uznany za winowajcę. Jako najpotężniejszy człowiek w państwie, który zresztą świadomie kreował swój wizerunek „Wielkiego Białego Ojca”, MacArthur otrzymywał wiele listów od obywateli Japonii. Korespondenci niekiedy zwracali się do niego z osobliwą czcią. Miał zamiar odgrywać rolę wszechpotężnego szoguna przy boku symbolizującego Japonię cesarza, lecz wyszło poniekąd inaczej: jego samego otoczył nimb sacrum. „Szanowny panie generale – czytamy w jednym z listów. – Kiedy rozmyślam, jak wspaniałomyślne są kroki, które powziął Wasza Ekscelencja miast wywrzeć

zemstę, przejmuje mnie trwoga tak pełna uwielbienia, jak gdybym stanął w obecności Boga”[5].

Podczas wojny cesarz był dla wielu Japończyków postacią uświęconą. Ale nie dotyczyło to Japończyków o poglądach liberalnych bądź lewicowych. Autor jednego z listów do MacArthura, być może chrześcijanin, pytał, dlaczego władca nie poniesie odpowiedzialności za zbrodnie wojenne: „Aby uzyskać prawdziwą sprawiedliwość w majestacie prawa i ludzką przyzwoitość bez poczucia wstydu przez światem i przed Bogiem, prosimy Pana o surowe ukaranie obecnego cesarza jako zbrodniarza wojennego. Jeśli zostawia go Pan nietkniętego jedynie po to, by manipulować narodem, to jestem zdania, że wszystkie działania sił alianckich, choć podjęte w dobrej wierze, obrócą się wniwecz po waszym odejściu”[6].

Inne listy jednakże zawierały ostrzeżenia, że gdyby cesarzowi stała się najmniejsza krzywda, skutki byłyby straszliwe: „Oczywiście skończyłoby się to najgorszą tragedią świata. Sukces byłby możliwy dopiero po całkowitym unicestwieniu osiemdziesięciomilionowego narodu Yamato”[7]. Określenie Japończyków jako „narodu Yamato” sugeruje, że autor listu był zatwardziałym nacjonalistą. MacArthur uznał, że tego rodzaju głosów powinien słuchać. Cesarz, w którego imieniu zostały popełnione wszystkie militarne czyny, także te najbardziej zbrodnicze, został wobec tego uznany za „wprowadzanego w błąd”. Publiczne zaprzeczanie tej legendzie groziło – i niekiedy nadal grozi[III] – poważnymi problemami.

W Japonii nie było odpowiednika NSDAP, a już Hitlera na pewno; nie nastąpił też przewrót porównywalny do zmiany władzy w Niemczech w 1933 roku. Zamiast tego z Japonii należało wykorzenić „militaryzm,” „ultranacjonalizm”, a nawet „feudalizm”. Tak więc, cytując amerykańską dyrektywę wojskową, „osoby będące aktywnymi propagatorami idei militaryzmu i wojującego nacjonalizmu zostaną usunięte z funkcji publicznych i odsunięte od ich pełnienia, a także pełnienia jakichkolwiek funkcji zaufania publicznego oraz prywatnego”[8]. Przedsięwzięcie to okazało się w miarę łatwe w przypadku propagandystów, zbrodniarzy

wojennych i dowódców wojskowych. O wiele trudniej było przeprowadzić lustrację wśród urzędników administracji państwowej, którzy rozpoczęli kariery na długo przed wojną na Pacyfiku, oraz przedsiębiorców i przemysłowców, którzy w okresie wojny jak najbardziej współpracowali z rządem japońskim i odnieśli przy tym spore korzyści, lecz w wielu przypadkach nie byli ani militarystami, ani ultranacjonalistami.

Pomysł, że „militaryzm" czy „feudalizm" można usunąć, jak gdyby były nowotworami w ludzkim organizmie, miał szersze poparcie wśród lewicowych urzędników sił alianckich niż wśród konserwatystów. Wśród obywateli Niemiec, Japonii i byłych krajów okupowanych przekonania rozkładały się podobnie. W ruchu oporu wielu krajów dominującą rolę odgrywała lewica, wliczając w to komunistów, więc to właśnie lewicowcy szczególnie nalegali, powojenny ład był zgodny z ich przekonaniami. Dla nich rok 1945 stanowił idealną szansę, by ostatecznie rozliczyć się z kolaborującym z faszystami elementem wojskowego, finansowego i politycznego establishmentu.

Generał MacArthur był konserwatywnym republikaninem, lecz w pierwszych latach okupacji Japonii miał w swoim otoczeniu wielu prawników-idealistów oraz reformistów spod znaku Nowego Ładu, którzy uważali czystkę za niezbędną część procesu demokratyzacji i energicznie do niej dążyli. Ludzie ci nie byli ekspertami; nie mieli przedwojennych jeszcze powiązań z japońskimi elitami. Ich zdaniem znajomość szczególnych uwarunkowań kulturowych Japonii nie była do niczego potrzebna – dowolny kraj da się przecież przekształcić w demokrację, jeśli tylko wyposaży się go w odpowiednią konstytucję oraz dopomoże w organizowaniu związków zawodowych i innych postępowych instytucji. Pierwsze czystki nadzorował między innymi podpułkownik Charles Kades, zatrudniony w Sekcji Administracyjnej sztabu SCAP zwolennik Nowego Ładu. Jego szefem był generał brygady Courtney Whitney, w cywilu prawnik z Manili, który tak samo jak jego ukochany szef uwielbiał pompatyczną retorykę: „Filozofia Mac Arthura, niemająca precedensu w annałach okupacji wojskowych, stanie się wzorcem i wyzwaniem dla okupacji wojskowych w przyszłości"[9]. Ich głównym przeciwnikiem

w iście bizantyńskim sztabie SCAP w Tokio był szef wywiadu generał-major Charles Willoughby.

Willoughby, gładki w obyciu mężczyzna o cichym głosie i wrednym charakterze, a przy tym zapalony myśliwy, urodził się w Niemczech jako Karl von Tscheppe und Weidenbach. MacArthur mówił o nim per „mój oswojony faszysta”. I nie bez powodu. Willoughby widział spiski Żydów lub komunistów dosłownie wszędzie, w administracji wojskowej Stanów Zjednoczonych też. Ambasadora Francji uznał za wysoce podejrzanego, gdyż ten miał rosyjskie nazwisko. Był oczywiście w bliższych stosunkach z konserwatywnymi dworzanami otaczającymi cesarza Hirohito niż ze zwolennikami Nowego Ładu w sztabie SCAP. Po przejściu na emeryturę w latach pięćdziesiątych przeniósł się do Madrytu jako doradca generała Franco, którego bardzo podziwiał. W Japonii, jako szef okupacyjnej żandarmerii, Willoughby miał niestety oficjalny obowiązek usuwać ze stanowisk ludzi, których prywatnie aprobował. Wysłuchawszy kolejnej z niekończących się tyrad Willoughby’ego przeciwko czystkom, Whitney stwierdził jedynie: „Jestem zdania, że przeciwnik projektu nie jest właściwym człowiekiem do jego wdrażania”[10]. Na tym się skończyło, przynajmniej na jakiś czas.

Mózgiem, który zaplanował lustrację byłych hitlerowców w Niemczech, był Franz Neumann, marksista zatrudniony w Biurze Służb Strategicznych (Office of Strategic Services, OSS), poprzedniku CIA, Żyd, uciekinier z Niemiec, gdzie przed wojną cieszył się niejaką sławą jako teoretyk polityki oraz prawnik związków zawodowych. We współpracy z Herbertem Marcuse, jednym z kilkunastu przebywających na emigracji w Stanach Zjednoczonych marksistowskich uczonych ze szkoły frankfurckiej, Neumann przygotował dla rządu wytyczne denazyfikacyjne. Według postawionej w nich tezy Trzecia Rzesza była typowym przykładem „monopolistycznego totalitarnego kapitalizmu”[11], a za ruchem nazistowskim stali przemysłowcy. Prześladowania Żydów miały na celu odwrócenie uwagi od monopolistycznego kapitalizmu wywołującego niechęć społeczeństwa.

Osławiony *Fragebogen*, liczący 131 punktów kwestionariusz, który miał wypełnić każdy pełnoletni Niemiec, opracował Neumann przy poparciu wojskowego gubernatora amerykańskiej strefy okupacyjnej generała Luciusa Claya. Oczekiwano, że na podstawie nader szczegółowych pytań dotyczących przekonań politycznych i historii przynależności do rozmaitych organizacji amerykańscy urzędnicy wojskowi będą w stanie ocenić winę lub niewinność co najmniej 23 milionów osób. Typowe pytanie z *Fragebogen*: „Czy ty lub ktokolwiek z twojej rodziny przywłaszczył sobie mienie lub środki skradzione innym osobom z powodu ich wyznania lub rasy?". Inne pytanie dotyczyło przynależności do korporacji studenckich, zupełnie jakby były one przybudówkami NSDAP, a nie organizacjami zdelegalizowanymi po 1935 roku. Respondenci oczywiście często mijali się z prawdą lub odwlekali złożenie kwestionariusza, często *ad kalendas Graecas*. Składano za to niekończące się odwołania. Aliantom brakowało zarówno personelu, jak i wiedzy, by właściwie oceniać otrzymane dokumenty. Niewielu Amerykanów mówiło po niemiecku, nie wspominając o czytaniu. Administracja wojskowa, obarczona misją odbudowy demokracji w Niemczech i już przygnieciona nawałem obowiązków, otrzymała dodatkowe brzemię w postaci Ustawy nr 8, która weszła w życie 1 grudnia.

Ruth Andreas-Friedrich, była bojowniczka berlińskiego ruchu oporu, z wyraźną aprobatą odnotowała wprowadzenie tej ustawy:

> Trzy tygodnie temu przedsięwzięto pierwsze kroki przeciwko członkom partii. Eliminacja nazistów z eksponowanych stanowisk w przemyśle i handlu. Odsunięcie członków partii od wykonywania zawodów związanych z kulturą. Byli członkowie NSDAP mogą być zatrudniani wyłącznie jako robotnicy[12].

Andreas-Friedrich uważała zatrudnienie byłych nazistów do usuwania gruzu oraz do innych odstręczających prac fizycznych za świetny pomysł. Wydaje się jednak, że patrzyła na to z niezbyt typowej perspektywy; pisała bowiem, iż wszędzie dookoła ludzie narzekają: „Niewiarygodny terror! Przerażająca ta nowa niesprawiedliwość. Nie mogą uznać dwudziestu procent ludności za podlegające specjalnym prawom". Na co na kartach

swojego dziennika odpowiadała: „Ależ mogą! Czy [Niemcy] zapomnieli, jak łatwo to się robi? Czy umknęło im, że te specjalne prawa są niemal identyczne z tymi sprzed ośmiu lat, przeciwko Żydom?”[13].

Andreas-Friedrich nie miała ani krzty współczucia dla utyskiwań rodaków. Lecz przeprowadzone przez nią porównanie stanowiło właśnie część problemu. Naziści wykluczyli pewne grupy ze społeczeństwa; uczynić to samo w celu odbudowania demokracji to całkiem inna para kaloszy. Co więcej, członkostwo w NSDAP samo w sobie niewiele znaczyło. Pracę straciło około 140 tysięcy osób, lecz sporą część z nich stanowili drobni urzędnicy, oportuniści, którzy wstąpili do NSDAP powodowani ambicją lub ze strachu; tymczasem grubsze (i o wiele bardziej zasługujące na karę) ryby uniknęły posądzeń. Wśród nich: przedsiębiorcy, którym nie chciało się wstępować do partii, lecz zagarnęli odebrane Żydom olbrzymie kapitały; bankierzy gromadzący złoto wydarte z zębów zabitych Żydów; naukowcy promujący chore rasistowskie teorie; prawnicy i sędziowie, którzy co do joty trzymali się ustaw hitlerowskiej Rzeszy i wydawali surowe wyroki na osoby działające jakoby na szkodę nazistowskiego państwa lub popełniające „zbrodnię przeciwko czystości rasy” przez małżeństwo z osobą z „rasy niższej”.

Przed wojną Theodor Heuss był liberalnym dziennikarzem i politykiem. Nie uczestniczył w ruchu oporu, ale nazizmu i nazistów nienawidził. Należał więc do tego rodzaju Niemców, którym alianci byli gotowi okazać zaufanie. W 1945 roku Heuss został mianowany ministrem kultury Badenii-Wirtembergii. Do problemów, z którymi musiał się borykać, należał brak zdolnych nauczycieli, którym można by powierzyć kurację umysłów młodzieży po dwunastoletniej dawce hitlerowskiej propagandy. Tę sytuację pogorszyły czystki. W rozpaczliwym liście do administracji wojskowej Heuss pisał, że jego zdaniem najwyżej od 10 do 15 procent osób wyeliminowanych z rynku pracy w wyniku lustracji było nazistami z przekonania; a w dodatku tylu nauczycieli straciło pracę, że dzieci mają utrudniony dostęp do edukacji. Bez większego trudu dałoby się, przekonywał, „zeskrobać warstwę brunatnej farby” ze starszych wiekiem nauczycieli, wykształconych jeszcze przed nastaniem Trzeciej Rzeszy,

i „rozbudzić w nich znowu siły dobra”. Heuss błagał władze o odrobinę zaufania: „Przyrzekamy wyzwolić nauczycieli z pęt nazizmu i uczynić siewcami nowych i lepszych idei, aby mogli kształcić młodzież w słusznym duchu”[14]. Spotkał się z odmową.

Carl Zuckmayer, który wrócił do Niemiec z emigracji w Ameryce z zadaniem napisania raportu dla Departamentu Wojny Stanów Zjednoczonych, ostrzegał, że Amerykanie przeprowadzają lustrację w sposób tak niezdarny, a prawdziwi winowajcy tak często przemykają przez oczka sieci, że te działania denazyfikacyjne mogą łatwo doprowadzić do renazyfikacji. Niemieccy konserwatyści uważali denazyfikację za socjalistyczny spisek. Byli zdania, że władze alianckie z pełną świadomością popierają niemieckich radykałów, pragnących oczyścić kraj ze wszystkich ludzi, którzy chociażby otarli się o faszyzm. Zuckmayer przytoczył usłyszany w Austrii dowcip o człowieku, który przyszedł na miejscowy posterunek policji i chciał się zarejestrować. – A z jakiego powodu? – pyta policjant. – Bo jestem nazistą – odpowiada petent. – No to powinien się pan był zarejestrować u nas rok temu – mówi policjant. Na co petent: – Rok temu jeszcze nie byłem nazistą[15].

Zanim temu dowcipowi urosła broda, większość zadań związanych z odsiewaniem byłych nazistów od niewinnych obywateli z konieczności przejęły komisje złożone z Niemców. Fakt ten urzędowo zatwierdziła Ustawa o uwolnieniu od narodowego socjalizmu i militaryzmu. No i tu zaczęła się farsa. Niemieccy politycy nie mieli specjalnej ochoty kontynuować lustracji. Komisje, złożone rzekomo z radykalnych socjalistów, w rzeczywistości roiły się od eksnazistów. Katoliccy księża głosili, że dla Niemca jest grzechem składać zeznania, które mogłyby zaszkodzić rodakowi. Prowincjonalni notable, którzy zbili majątki za czasów Trzeciej Rzeszy, zwykli dowodzić swojej niewinności, przedstawiając świadka w postaci jakiegoś nieszczęśnika, który zdołał przeżyć nazistowskie prześladowania. Kluczowym pojęciem tego okresu rozpoczętego w 1946 roku było *Persilschein*, od nazwy Persilu, wybielającego proszku do prania. Wybielili się wówczas niezliczeni byli naziści; odpowiedni dokument sprał z ich niedawnej przeszłości

wszyściutkie brunatne plamki. Na czarnym rynku dawało się kupić zaświadczenie, że jest się ekswięźniem hitlerowskiego obozu koncentracyjnego – nietanio, bo za 25 tysięcy marek, ale niedawnych esesmanów zazwyczaj było na to stać.

We wschodniej części Niemiec było niewiele lepiej, chociaż komuniści twierdzili, że lustracja w „strefie demokratycznej" zakończyła się wielkim sukcesem. Późną wiosną 1945 roku zadanie to podjęły złożone z Niemców „antyfaszystowskie" komitety w rodzaju tych, które opisywała Ruth Andreas-Friedrich. Rozwiązały się one już wczesnym latem; ich obowiązki przejęła Komunistyczna Partia Niemiec. W teorii czystki były ostrzejsze niż w strefach zachodnich. Nieprzejednany antyfaszyzm stał się jednym z mitów założycielskich Niemieckiej Republiki Demokratycznej; to były te „lepsze Niemcy", Niemcy z ruchem oporu. Przekonanie o zbiorowej niemieckiej winie, o głęboko zakorzenionym teutońskim schorzeniu, które stało się obsesją komunistów, skaziło jednak ten piękny mit. Wydaje się, że nawet ich własna retoryka była zakażona tym niemieckim wirusem. KPD głosiła hasło „całkowitej likwidacji" śladów hitleryzmu[16]. W pewnym mieście w Brandenburgii eksnaziści musieli nosić naszytą na ubranie swastykę. Wiele mówiło się o surowych karach. W innym mieście urzędnik samorządu ostrzegał: „Nazistów potraktuje się tak samo, jak oni traktowali nas, a mianowicie: bezwzględnie. Nierobów zmusimy do pracy, a jeśli zajdzie taka potrzeba, wsadzimy do obozów. […] Do przyszłego roku chcemy mieć Niemcy oczyszczone z nazistów"[17].

Jednakże mimo tych ostrych środków lustracja w Niemczech wschodnich była prawie tak samo nieskuteczna jak w „strefach kapitalistycznych". Wprowadzono wprawdzie rozróżnienie między „aktywnymi" a „nominalnymi" nazistami, lecz różnica okazała się trudna do uchwycenia. Władze radzieckie, zniecierpliwione tym dzieleniem włosa na czworo, wydały decyzję o usunięciu wszystkich dawnych członków NSDAP ze stanowisk, i to w przeciągu kilku miesięcy – czego oczywiście nie dało się wykonać. Zresztą władze radzieckie nie ufały Niemcom w kwestii lustracji i nie dały im odpowiednich wytycznych. Brak zaufania faktycznie nie był tu nieuzasadniony. Wielu Niemców odmówiło

współpracy, ponieważ szybko stało się jasne, że zbyt dokładna czystka doprowadzi do załamania systemu edukacji i służb socjalnych, a z naprawą gospodarczą, choćby pozorną, będzie się można pożegnać. Tak więc nie tylko w Monachium czy Kolonii, lecz także w Lipsku czy Dreźnie znalazły się uzasadnienia, dlaczego należy przywrócić byłych nazistów na dawne stanowiska lub uwolnić ich od oskarżeń. Władze radzieckie jęły patrzeć na to przez palce, gdy okazało się, że usunięcie zbyt wielkiej liczby osób zlustrowanych zagraża wyrobieniu norm produkcyjnych w fabrykach. Partia komunistyczna gładko wchłonęła większość „drobnych" nazistów; jej autorytaryzm na pewno wyglądał im znajomo. Co ważniejszym byłym nazistom założono teczki – na wypadek, gdyby kiedyś przyszło im do głowy sprawiać kłopoty.

We wszystkich strefach dylemat wyglądał tak samo. Nie dało się przetrzebić – budzących niekiedy obrzydzenie – członków elity Niemiec, a jednocześnie próbować odbudowywać państwo, nieważne: komunistyczne czy kapitalistyczne. Alianci szybko uznali naprawę gospodarczą za cel ważniejszy niż osiągnięcie poczucia, że sprawiedliwości stało się zadość – lecz w zależności od tego, po której stronie żelaznej kurtyny siedzieli, kierowali się odwrotnymi powodami. Związek Radziecki pragnął odbudować swoje „antyfaszystowskie" Niemcy jako bufor przeciw kapitalistycznemu Zachodowi; za to Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i ich sprzymierzeńcy potrzebowali „swoich" Niemiec jako zwróconego przeciwko komunizmowi bastionu demokracji.

Poglądy na temat denazyfikacji i byłych członków NSDAP, jakie generał Patton wyrażał w 1945 roku: że „cały ten nazizm to coś całkiem jak przedwyborcza walka demokratów z republikanami" oraz że „ci ludzie będą nam potrzebni", dowodziły prymitywizmu w oglądzie historii oraz (z punktu widzenia kariery generała) okazały się wysoce przedwczesne. Eisenhower nie miał innego wyjścia, jak odwołać go z funkcji gubernatora wojskowego Bawarii. W zasadzie jednak Patton nie był w swoich poglądach odosobniony; wykazał się jedynie brakiem powściągliwości w ich wyrażaniu. W rok po kapitulacji Niemiec i początkowych czystkach większość administracji Stanów Zjednoczonych podzielała już jego opinię.

Brytyjczycy od początku uważali gorliwość Amerykanów w wymierzaniu Niemcom kar za niedorzeczną i bezproduktywną. Con O'Neill, urzędnik Foreign Office z zimną pogardą odnoszący się do ludzi, których nazywał „zapaleńcami z niższych szczebli", stwierdził, że klauzula Ustawy nr 8, zakazująca angażowania byłych członków NSDAP do pracy innej niż fizyczna, to „niedościgniony przykład konsekwentnego i skrupulatnego kretynizmu"[18].

Nader pouczająca jest historia bankiera Hermanna Josefa Absa. Może się wydawać, że jego przewiny są stosunkowo błahe w porównaniu z czynami innych przedsiębiorców i przemysłowców za czasów Trzeciej Rzeszy. Inaczej niż taki na przykład Alfried Krupp, Abs nie zatrudniał kobiet ani dzieci do pracy przymusowej. Nie był też bliskim przyjacielem Himmlera, inaczej niż Friedrich Flick, którego imperium przemysłu metalurgicznego szczególnie brutalnie wykorzystywało pracę więźniów obozów koncentracyjnych. W odróżnieniu od Wilhelma Zangena, prezesa koncernu Mannesmann z Düsseldorfu, lub ekonomisty Ottona Ohlendorfa, urzędnika rządu Trzeciej Rzeszy, a przy okazji dowódcy oddziału egzekucyjnego na Ukrainie, Abs nie był nawet członkiem NSDAP ani esesmanem.

Abs nigdy nie ubrudził rąk. Jako rodowity Nadreńczyk miał pruski militaryzm w głębokiej pogardzie. Był to człowiek subtelny i świetnie wychowany, anglofil płynnie mówiący po angielsku, katolik, który przed wojną pracował dla żydowskich banków i był dobrym znajomym Sigmunda Warburga. Prawdopodobnie za nic w świecie nie zadałby się z nazistami – gdyby nie to, że w latach trzydziestych był również wysoce ambitnym niemieckim technokratą. Solidnie wzbogacił Deutsche Bank, którego był dyrektorem, na „aryzacji" żydowskich przedsiębiorstw. Zarządzał prywatnym kontem Hitlera, a także finansami takich przedsiębiorstw jak Siemens, Krupp i I.G. Farben, które wokół Auschwitz wybudowały olbrzymie podobozy dla robotników przymusowych. Niemal na pewno nie powodowała nim prymitywna, podbudowana ideologią gorliwość. Lecz bez takich ludzi jak Abs zbrodnicza działalność Hitlera rozwijałaby się o wiele mniej skutecznie.

W czerwcu 1945 roku Abs został odkryty w domu pewnego wysoko urodzonego znajomego i zapakowany do brytyjskiego dżipa. Lękał się najgorszego – a tymczasem, zamiast znaleźć się w więzieniu, został grzecznie wprowadzony do jednego z niewielu hoteli w Hamburgu, które nie leżały w gruzach, i tam z wielką serdecznością przywitany przez starego znajomego z londyńskiego City, bankiera Charlesa Dunstona. Przed wojną prowadził on interesy w Niemczech i miał sporo podziwu dla imponująco umundurowanego nazizmu. „Było całkiem jak za starych czasów – wspominał Dunston to przyjacielskie spotkanie. – Nie wypytywałem go o wojnę. To było nieważne". Gość przeprosił za swój wygląd, tłumacząc, że nie miał przyrządów do golenia. Ale zdaniem Dunstona nic się nie zmienił: „Najmniejszy włosek na swoim miejscu. Natychmiast go spytałem, czy zechce pomóc nam w odbudowie niemieckiego systemu bankowego. Na szczęście się zgodził"[19].

Sprawy potoczyły się niezupełnie zgodnie z planem. Amerykanie uparli się, pomimo ostrego sprzeciwu Brytyjczyków, aresztować Absa jako podejrzanego o zbrodnie wojenne. Za bankierem zamknęła się brama więzienia. Ten natychmiast odmówił udzielania dalszej pomocy w sprawach finansowych – no, chyba że zostanie uwolniony. Przekonanie władz amerykańskich, że należy go wypuścić, zajęło Brytyjczykom trzy miesiące.

Alfred Krupp, który przybywających go aresztować Amerykanów powitał na progu swojej wiejskiej posiadłości pod Essen słowami: „To jest mój dom, co panowie tu robią?", stanął przed sądem w Norymberdze, podobnie jak przemysłowiec Friedrich Flick. Kiedy Brytyjczycy przyszli aresztować barona Georga von Schnitzlera, dyrektora I.G. Farben odpowiedzialnego między innymi za zatrudnienie więźniów Auschwitz w fabrykach koncernu, ten powitał ich uprzejmie, odziany w strój do golfa z najprzedniejszego szkockiego tweedu. Cóż to będzie za przyjemność, stwierdził, odnowić starą przyjaźń z lordem X i lordem Y, jak również rodziną Du Pontów z Wilmington w stanie Delaware; kiedyś blisko się z nimi znał i bardzo bolał, że w ciągu ostatnich paru lat był od tych przyjaciół odcięty[20]. Został skazany na pięć lat więzienia za „rabunek

i grabież”. Wrócił na łono społeczeństwa już po roku i zabrał się z powrotem do interesów. Kruppa skazano za zatrudnianie robotników przymusowych na dwanaście lat; odsiedział trzy. Skazany na siedem lat Flick wyszedł z wygodnej celi w więzieniu w Landsbergu po trzech latach. W czasie odsiadki zwrócił się z prośbą o poradę finansową do Absa, który nie odmówił pomocy. Zasiadając w radach nadzorczych Deutsche Banku, Daimlera-Benza, Lufthansy i wielu innych przedsiębiorstw, Abs odegrał kluczową rolę w odbudowie gospodarki Niemiec zachodnich. Gdy w latach sześćdziesiątych koncern Kruppa przekształcał się w spółkę, jednym z głównych koordynatorów tej operacji był właśnie Hermann Abs.

***

Kilku przedstawicieli elity przemysłowców Trzeciej Rzeszy spędziło przynajmniej trochę czasu w więzieniu (z doskonałym wyżywieniem i dostępem do naprawdę niezłych win). Ich japońscy koledzy uniknęli nawet tego. Z wyłączeniem aresztowanych na podstawie podejrzeń o zbrodnie wojenne, czystki w Japonii miały charakter „zapobiegawczy”, a nie „karny”. Miały mianowicie zapobiegać odrodzeniu się „militaryzmu”. Problem polegał na tym, że Amerykanie nie do końca wiedzieli, kogo właściwie należałoby usunąć, a w dodatku byli o wiele za bardzo skłonni uważać Japonię za dalekowschodnią wersję Trzeciej Rzeszy.

Kto właściwie „wprowadził w błąd naród Japonii”? Nie cesarz, bo SCAP już zdecydował, że on był niewinny. Organizacją wojskową, która najbardziej przypominała gestapo, była żandarmeria Kempeitai, doskonałą znajomością technik tortur i zabójstwa budząca grozę zarówno wśród rodaków, jak nie-Japończyków. Około 40 tysięcy oficerów Kempeitai straciło pracę; zdaje się, że nikt po nich nie płakał. Inne organizacje patriotyczne, zajmujące się wielbieniem cesarza, praktykami shintoizmu, sztukami walki lub wojennym planem gospodarczym, mogły przypominać organizacje nazistowskie, ale w rzeczywistości bardzo się od nich różniły. Stowarzyszenie Wspierania Władzy Cesarskiej, powstała w 1940 roku organizacja koordynująca działalność polityków, urzędników państwowych

i intelektualistów na rzecz wojny, nie posiadało jednolitej ideologii, a wśród jego założycieli znajdowali się nawet socjaliści. Kilku lewicowych ekonomistów zasiadało też w Komisji Planowania Militarnego. Nawet co do postępowania z oficerami armii nie istniały jasne wytyczne. Z początku Amerykanie uznali, że lustracji winni podlegać wszyscy wyżsi oficerowie do majora włącznie (zakładano chyba, że nikt poniżej tej rangi nie miał szansy nikogo wprowadzić w błąd). Usłyszawszy to, zastępca szefa sztabu generał-major Richard Marshall wpadł w szał. Wiedział z doświadczenia, że najgorszymi fanatykami w armii japońskiej byli kapitanowie i porucznicy. Jeśli się ich nie doda do tej listy, prorokował, to znów wprowadzą Japończyków w błąd. No to ich dodano[21]. Krótko mówiąc, Amerykanie w SCAP nie bardzo wiedzieli, na czym stoją.

Aparat państwowy odgrywał szczególną rolę w japońskim wysiłku wojennym: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych tłamsiło oznaki sprzeciwu, Ministerstwo Handlu i Przemysłu (podczas wojny wcielone do Ministerstwa Zaopatrzenia Wojskowego) nadzorowało gospodarkę i tworzyło plany produkcji na rzecz wojny, Ministerstwo Finansów zaś współuczestniczyło w rabunkowej eksploatacji zasobów podbitych krajów azjatyckich. Związany z przemysłem aparat administracyjny na wielką skalę wykorzystywał pracę przymusową w marionetkowym Mandżukuo, w innych regionach Chin i w samej Japonii, gdzie w fabrykach i kopalniach pracowało, zazwyczaj w straszliwych warunkach, setki tysięcy robotników przymusowych. Lecz amerykańskie wytyczne w sprawie okupacji znów nie były jasne. Urzędnicy wyższych szczebli mają być usunięci ze stanowisk; urzędnicy niższych szczebli – nie. Ci usunięci mają zostać pozbawieni wszelkich wpływów. Ale nigdzie nie zostało powiedziane, jak mianowicie powstrzymać ich od udzielania byłym podwładnym nieformalnych konsultacji; zatem ich udzielali.

Zdania administracji amerykańskiej w Japonii były najbardziej podzielone w kwestii tego, co zrobić z elitą tamtejszych przemysłowców i biznesmenów. MacArthur w zwykły sobie bombastyczny sposób zaopiniował: „To właśnie oni, feudalni panowie z urodzenia i wychowania, trzymali większość ludu Japonii w poddaństwie bliskim niewoli i […]

wyposażyli kraj tak w oręż, jak i wolę, by toczyć wojnę agresywną". Należy zatem „odebrać im sposobność wywierania wpływu na przyszłość gospodarki Japonii"[22].

MacArthur wyraził się tak w 1947 roku, w rok po powstaniu trybunału tokijskiego (oficjalnie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego dla Dalekiego Wschodu) wzorowanego na trybunale norymberskim. Inni Amerykanie mieli całkowicie odmienny ogląd sprawy. W tym samym roku główny prokurator trybunału Joseph B. Keenan, wcześniej dyrektor Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, oznajmił: „Nie otrzymaliśmy ani nie znaleźliśmy dowodów, że czołowi przedstawiciele przemysłu i przedsiębiorczości uczestniczyli w jakimkolwiek spisku mającym na celu planowanie wojny lub podżeganie do niej"[23].

Zdanie przeciętnego Japończyka na ten temat zależało od jego poglądów politycznych. Autor kolejnego listu przekonywał MacArthura, że „99 procent Japończyków było fanatykami i zagorzałymi militarystami, przynajmniej do chwili obecnej"[24]. Inny korespondent wyraził bardziej wyważoną opinię, iż „biurokraci są do tego stopnia pozbawieni zasad moralnych, że pozwolili pozostać na stanowisku takiemu faszyście i zbrodniarzowi wojennemu, jak […] były minister spraw wewnętrznych. Nawet gdyby był tam jakiś liberał, zachowywałby się bojaźliwie i biernie"[25].

Sprawę upraszczał fakt, że za „demilitaryzację" i „demokratyzację" Japonii odpowiadało tylko jedno z państw sprzymierzonych, czyli Stany Zjednoczone. W Niemczech nie było dowódcy nadrzędnego dla wszystkich sojuszniczych wojsk okupacyjnych; generał Lucius Clay nie miał takiej władzy, a już na pewno nie budził takich uczuć jak SCAP: „czcimy MacArthura jako drugiego Jezusa Chrystusa"[26]. Administracja amerykańska była jednak niespójna pod względem kompetencji i podzielona w kwestii przekonań politycznych, a stąd w zasadzie niezdolna zaproponować konsekwentnej strategii lustracji w aparacie państwowym. Zadanie administrowania krajem pozostawiono japońskiemu rządowi i to on nakazał urzędnikom wprowadzenie reform, które zresztą były w najlepszym wypadku powierzchowne. Na celowniku znalazł się całkiem

kto inny. Mimo przeświadczenia prokuratora Keenana, że przemysłowcy i przedsiębiorcy są całkiem nieszkodliwi, zwolennicy Nowego Ładu znacznie poważniej podchodzili do kwestii osób, które „nie wiodą przyszłości gospodarczej Japonii w wyłącznie pokojowym kierunku". Tych urzędników należało, ich zdaniem, usunąć, a „konsorcja przemysłowe i bankowe, które kontrolowały znaczną część handlu i przemysłu Japonii", rozwiązać[27]. To właśnie te konsorcja, czyli *zaibatsu*, kreowano na głównych podżegaczy do wojny.

To był szok dla przemysłowców, którzy podobnie jak niemiecki bankier Abs i jego koledzy mieli przed wojną kontakty w niejednej radzie nadzorczej Londynu i Nowego Jorku. Jeszcze przed kapitulacją prezes pewnego koncernu stalowego, absolwent Harvardu, na tajnym spotkaniu przemysłowców zawołał (po angielsku): „Nadchodzi nasz przyjaciel"[28]. Liderzy japońskiego biznesu mieli doświadczenie na rynkach światowych, wielu z nich studiowało w Europie lub Stanach Zjednoczonych, i teraz oczekiwali, że Amerykanie będą pełni zrozumienia dla swoich starych znajomych i im właśnie powierzą odbudowę gospodarki kraju – a oni tymczasem posłali ich na zieloną trawkę i rozmontowali im koncerny.

Co więcej, to właśnie ten demontaż, a oprócz niego reformę rolną, która zniosła jakoby „feudalizm" na wsi, zwolennicy Nowego Ładu w administracji MacArthura uważali za swoje największe osiągnięcia. Polityka Stanów Zjednoczonych dodała odwagi japońskim lewicowcom. W pierwszych latach okupacji Waszyngton był postrzegany jako najlepszy przyjaciel lewicy. Amerykanie proponowali wielkie innowacje: prawo głosu dla kobiet, prawo do strajków, negocjacje zbiorowe, a Japończycy chętnie i z wdzięcznością je akceptowali. Socjaliści, a wręcz i komuniści uzyskali duże wpływy w związkach zawodowych i na wyższych uczelniach.

Lecz nawet lewicowcy, którzy bynajmniej nie żywili ciepłych uczuć wobec rekinów przemysłu, z niejakim zdziwieniem słuchali oskarżeń przeciwko *zaibatsu*. W liście do swojego przyjaciela Donalda Keene'a oficer marynarki Theodore de Bary wspominał rozmowę z tokijskim przedsiębiorcą Miyauchim, który mówił o sobie, że jest socjalistą

i demokratą. De Bary spytał go o rolę *zaibatsu* podczas wojny. Miyauchi odpowiedział, że przemysłowcy nie cieszyli się żadną estymą u wojskowych przywódców. Owszem, kilka nowych *zaibatsu*, na przykład Nissan, z radością korzystało na wojnie, ale „wielka czwórka" starych rodów *zaibatsu*: Mitsubishi, Mitsui, Sumitomo i Yasuda, nie miała innej opcji niż współpraca: „Były słabe, *zaibatsu* były słabe"[29].

De Bary nie był do końca przekonany, że to prawda. Te słowa słyszał od tylu Japończyków, że podejrzewał wpływ propagandy wojskowej: „Zapewne w latach trzydziestych armia najpierw rozpropagowała to przekonanie, a potem dowiodła jego prawdy, przejmując kontrolę nad *zaibatsu* lub je zastraszając" – pisał.

Jedno jest pewne: rozpoczynając nagonkę na *zaibatsu* i pozostawiając aparat państwowy samemu sobie, Amerykanie pokazali jasno, że nie mają pojęcia, jak naprawdę funkcjonował militarny reżim Japonii. Zawiniło tu coś więcej niż niewiedza czy nieporozumienie; idealizm amerykańskich planistów pragnących zbudować nową Japonię był bardzo na rękę zasiadającym w rządzie „reformistom", którzy mieli nadzieję żelazną dłonią kierować gospodarką kraju – nie inaczej niż w czasie wojny, choć obecnie już w bardziej pokojowych celach.

Coś niecoś jednak udało się osiągnąć. Do roku 1948 przypatrzono się uważnie karierom ponad 900 tysięcy ludzi i przebadano ponad pół miliona kwestionariuszy. Zlikwidowano Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, rozwiązano armię i usunięto ze stanowisk 1800 urzędników państwowych. Aż 70 procent z nich było jednak ekspolicjantami lub pracownikami MSW; personelu administracji gospodarczej praktycznie nie tknięto. Z byłego Ministerstwa Zaopatrzenia Wojskowego usunięto zaledwie czterdziestu ośmiu pracowników, a z Ministerstwa Finansów – dziewięciu[30]. Dyrektor Ministerstwa Zaopatrzenia Wojskowego, niejaki Nobusuke Kishi, odpowiedzialny za wywózkę na roboty przymusowe do Mandżurii, a później współprojektant imperialistycznego bloku o nazwie Wielki Wschodnioazjatycki Obszar Dobrobytu (zwanego też Strefą Wspólnego Dobrobytu Wielkiej Azji Wschodniej), został aresztowany, ale nigdy nie

postawiono mu formalnego oskarżenia o zbrodnie wojenne. Po wyjściu z więzienia zrobił świetną karierę: z czasem został premierem Japonii.

***

Filipiny zajmują osobliwe miejsce w historii Wielkiego Wschodnioazjatyckiego Obszaru Dobrobytu. Japończycy wkroczyli tam 8 grudnia 1941 roku, dziesięć godzin po ataku na Pearl Harbor. W marcu następnego roku Douglas MacArthur, wówczas oficjalnie marszałek w siłach zbrojnych Filipin, ewakuował się do Australii, gdzie wypowiedział swoje słynne „Wrócę!”. Prezydent Filipin Manuel Quezon także uciekł do Australii, a stamtąd do Waszyngtonu; tam zorganizował rząd na uchodźstwie. Już samo to jest nietypowe: nie istniał na przykład rząd Indonezji na uchodźstwie czy rząd Birmy na uchodźstwie. Rząd Tajlandii na uchodźstwie, owszem, istniał, ale Tajlandia nigdy nie była kolonią. W momencie japońskiej inwazji Filipiny były czymś pomiędzy kolonią a państwem: otrzymały już status terytorium stowarzyszonego i miały uzyskać pełną niepodległość w 1946 roku. Japończycy przysięgali, jak ujął to generał Masaharu Homma, że wyzwalają Filipińczyków ze zniewolenia przez Stany Zjednoczone, lecz w rzeczywistości uczynili z kraju własną kolonię, i to w sposób wysoce brutalny. W 1943 roku Filipiny zostały ogłoszone niezależną republiką z prezydentem w osobie José P. Laurela, lecz całą władzę dzierżyli Japończycy. Każdy urzędnik filipińskiego rządu miał przydzielonego japońskiego „konsultanta”; za każdym z konsultantów stała armia Japonii oraz budząca grozę żandarmeria Kempeitai. Krótko mówiąc, republika była fikcją.

Błyskawicznie narodził się ruch oporu. Najbardziej zaciekli partyzanci należeli do Ludowej Armii Antyjapońskiej, czyli Hukbalahap, potocznie Huk, działającej na terenach wiejskich głównej wyspy Filipin, Luzonu. Byli to bosonodzy chłopi, którzy odżegnywali się od poglądów politycznych zarówno Quezona, jak i Laurela, a za wrogów uważali nie tylko Japończyków, lecz także rodzimych obszarników. Bogacąc się na olbrzymich plantacjach trzciny cukrowej i kokosów, ci udający demokratów

feudalni oligarchowie trzęśli całym krajem. Najsłynniejszy dowódca partyzantów, Luis Taruc, pochodził z rodziny dzierżawców. Jedną z barwniejszych postaci była Felipa Culala, silna i nieprzejednana bojowniczka znana pod pseudonimem Dayang Dayang. Nawet Japończycy się jej bali.

Podczas okupacji japońskiej wielu obszarników schroniło się wraz z rodzinami w Manili, więc partyzanci z Huk zrobili to samo, co komuniści w innych krajach: przejęli ziemię i założyli coś w rodzaju państwa w państwie. Zdyscyplinowane oddziały bojowe Huk bezlitośnie zabijały i Japończyków, i Filipińczyków podejrzanych o kolaborację lub brak kręgosłupa moralnego. Nawet groźna Dayang Dayang zapłaciła za złamanie zasad. Kierując się własną maksymą: „Kto się nie wzbogaci na tej wojnie, ten ma wodę zamiast mózgu”, wraz ze swoimi ludźmi grabiła co się dało, od bawołów błotnych po klejnoty. Została schwytana, postawiona przed sądem i rozstrzelana[31].

José Laurel i większość jego popleczników z marionetkowego rządu, na przykład Manuel Roxas i Benigno Aquino, pochodziła z elity rodów obszarniczych, przeciwko którym ludzie z Huk występowaliby, nawet gdyby Japończycy nie zajęli kraju. Biorąc pod uwagę, że współpracowali z Japończykami i popierali antyamerykańską ideę wszech-Azji, byli to zdecydowanie kolaboranci. Jednakże, podobnie jak w przypadku innych kolaboracyjnych rządów w krajach azjatyckich, mieli po temu skomplikowane pobudki. Laurel, imponująco wykształcony prawnik, absolwent Szkoły Prawniczej Yale, senator i przewodniczący sądu najwyższego w Manili, był wprawdzie członkiem kolonialnej elity, lecz niewykluczone, że szczerze wierzył, iż aby wyzwolić się z zależności od Ameryki, Filipińczycy potrzebują wojującego „azjatyzmu” w stylu japońskim. Twierdzenia, że wprowadzany przez hitlerowskie Niemcy nowy ład przywróci wigor podupadającym społeczeństwom, padały też ze strony europejskich quislingów. Niemniej wszystko to byli zdrajcy wolnych narodów; zarówno przed inwazją japońską, jak i po niej Laurel, Sukarno i im podobni działali pod obcą władzą lub nieprzyjacielską okupacją.

Partyzanci wzięli Laurela na muszkę. W czerwcu 1943 roku, gdy grał w towarzystwie Benigna Aquino w golfa na polu golfowym elitarnego klubu, Laurel został postrzelony w plecy przez dwóch zamachowców, niejakiego „Józia” i jego towarzysza. Szybko wróciwszy do zdrowia, jeszcze w tym samym roku uczestniczył w Konferencji Wielkiej Azji Wschodniej w Tokio, gdzie składano obietnice braterstwa i współpracy między krajami azjatyckimi. Następnego roku postąpił zgodnie z żądaniami Japonii i wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym.

Tymczasem w październiku 1944 roku generał MacArthur spełnił złożoną Filipińczykom obietnicę i wrócił. Z bezbłędnym wyczuciem chwili wysiadając z szalupy przy plaży Leyte, brodził przez spienione fale – imponująca postać w ciemnych okularach. A potem dla dobra dziennikarzy jeszcze parę razy przeszedł w bród przez spienione fale, aby kamery idealnie uchwyciły ten moment (i całą scenę powtórzył raz jeszcze u brzegów Luzonu). Następnie odezwał się w typowym dla niego biblijnym stylu, bez wątpienia obliczonym na użytek katolickich, a przy tym skłonnych do mistycyzmu Filipińczyków: „Ludu Filipin, wróciłem. Z łaski Wszechmogącego Boga nasze wojska znów stoją na ziemi filipińskiej, ziemi uświęconej krwią obu naszych narodów […] Zgromadźcie się wokół mnie […] Łaska Pana Naszego wskazuje nam drogę”[32].

Podczas długiego i często krwawego marszu na Manilę Huk energicznie wspomagała amerykańską armię. Partyzanci usunęli Japończyków z wielu rejonów środkowego Luzonu, na maszty obok flagi Filipin wciągali gwiaździsty sztandar oraz zorganizowali własne władze administracyjne – a wszystko to w nadziei, że Amerykanie poprą ich dążenia i pomogą stworzyć niepodległą socjalistyczną republikę Filipin.

Stało się jednak inaczej. MacArthur nie krył podziwu dla bojowego ducha Huk, lecz był przekonany, że najlepiej będzie przywrócić do władzy ludzi już dobrze mu znanych; a to oznaczało starą elitę obszarników. Mimo obietnic, że „kara doścignie każdego niewiernego [ojczyźnie] Filipińczyka”, mianował Manuela Roxasa, lojalnego członka marionetkowego rządu Laurela, generałem brygady armii Stanów Zjednoczonych[33].

Partyzanci otrzymali rozkaz złożenia broni. Odmówili; zaczęły się aresztowania. Niektórych wtrącono do więzienia bez sądu, między innymi Luisa Taruca, który wylądował w celi z kilkoma byłymi kolaborantami. Kiedy w proteście przeciwko jego uwięzieniu 50 tysięcy chłopów ruszyło na pałac Malacañang w Manili, Taruc został uwolniony; jednakże wielu jego żołnierzy nie odzyskało wolności. Ciąg dalszy jest mocno niejasny. Temu i owemu złożono propozycję nie do odrzucenia, pieniądze przeszły z rąk do rąk. Prasa w Manili rozpisywała się, jakimi to nieposzlakowanymi patriotami byli w czasie wojny Laurel i jego koledzy, jak to wszelkimi siłami bronili współobywateli przed bestialstwem Japończyków. MacArthur nazwał Roxasa „jednym z głównych działaczy ruchu partyzanckiego". Filipińczyków pouczono, że powinni „wznieść się ponad małostkową zazdrość" i „czcze nieporozumienia", bo to jedynie „hamuje postęp"[34].

Manuel Roxas, już jako pierwszy powojenny prezydent Filipin, ogłosił amnestię dla wszystkich, którzy współpracowali z Japończykami. Z więzień wyszły tysiące byłych kolaborantów. Luis Taruc uciekł w góry, a Huk zmieniła nazwę na Armia Ludowo-Wyzwoleńcza; była to poprzedniczka maoistowskiej Nowej Armii Ludowej. Stare rody obszarnicze znów objęły w posiadanie swoje latyfundia i dalej nadawały kierunek polityce Filipin. Po obaleniu Ferdinanda Marcosa przez „władzę ludową" w 1986 roku świat nabrał nadziei na triumf demokracji w Azji, lecz tak naprawdę nic się nie zmieniło. Idolką ludowców została tak zwana Cory – Corazon Aquino, synowa Benigna Aquino. Jej wiceprezydentem był Salvador Laurel, syn José Laurela. W chwili gdy piszę te słowa, prezydentem jest Benigno Aquino III, najstarszy syn Cory.

***

Posiadanie jakiejś symbolicznej postaci, w której skupiają się nadzieje, ułatwia proces dźwigania upodlonego narodu i zrujnowanego kraju z upadku. Na taką postać nadaje się szanowany monarcha, bohater ruchu oporu, od biedy nawet cudzoziemski generał, który może uchodzić za zbawcę. Styl bycia Douglasa MacArthura był może nieco zbyt teatralny,

tchnący rozbuchanym egotyzmem, lecz zarówno w Japonii, jak i na Filipinach generał perfekcyjnie odegrał rolę męża opatrznościowego. Kreowanie cesarza Japonii na symbol ciągłości służyło podkreśleniu jego własnego wizerunku tymczasowego szoguna. MacArthur potwierdza po prostu regułę, że heroizm to często jedynie teatr, a czasami kompletna fikcja. Na przykład w Korei Północnej tak zwany Wielki Wódz, czyli Kim Ir Sen, został wyniesiony do władzy przez Armię Czerwoną jako wielki partyzancki bohater, który w pojedynkę przegnał Japończyków z Półwyspu Koreańskiego, podczas gdy prawda jest taka, że większość wojny spędził w wojskowym obozie szkoleniowym pod Chabarowskiem.

Sytuacja, gdy przedwojenni przywódcy tracą wiarygodność, a legitymizacja władzy zaczyna być przedmiotem sporu, grozi wybuchem wojny domowej. Nie udało się jej uniknąć Grecji, a po roku walk z wyimaginowanymi przeciwnikami, a potem potyczek, wybuchła także w Chinach.

Terytorium Chin kontrolował generalissimus Czang Kaj-szek, którego Amerykanie nazywali „Gimo", a o którym dowódca wojsk amerykańskich w Chinach generał Joseph Stilwell nie mówił inaczej niż „Czaszka z Fistaszka" (przy czym generał sam znany był pod przezwiskiem Vinegar Joe, Józio Ocet). Ale tylko w teorii: widać było, że wiele rejonów kraju leży poza jego zasięgiem. Generalissimus przedstawiał siebie jako wielkiego wodza narodu, bohatersko walczącego z japońskim najeźdźcą, i na takiego też był kreowany przez amerykańską propagandę. Lecz Mao Tse-tung, bezpiecznie okopany ze swoimi partyzantami na północnym zachodzie, dowodził (nie całkiem bezpodstawnie), że Czang Kaj-szek w najlepszym wypadku jest bierny wobec Japończyków, a w najgorszym – współpracuje z nimi w walce przeciwko komunistom. Komuniści twierdzili, że to oni są prawdziwymi bojownikami ruchu oporu, a Mao prawdziwym bohaterem narodowym. W rzeczywistości obie strony traktowały Japończyków jako męczący szczegół, którym w końcu i tak zajmą się Amerykanie. Prawdziwy wróg był na froncie domowym. Dwie chińskie armie stały naprzeciwko siebie i gotowały się do boju, a legenda bohaterska jednej z nich mierzyła się z legendą drugiej.

Dwaj przywódcy nawet się spotkali, zaraz po wojnie, na konferencji w Chungkingu, wojennej stolicy nacjonalistów. Nie znosili się wzajemnie, ale mieli dla siebie sporo szacunku, zupełnie jak ojcowie chrzestni dwóch mafijnych rodzin. Podczas oficjalnego bankietu Mao wzniósł toast, życząc Czangowi dziesięciu tysięcy lat dobrobytu. Aby zażegnać wybuch otwartej wojny domowej, prowadzono uprzejme rozmowy na temat podziału władzy, okupacji tej czy innej części kraju przez jedne lub drugie wojska, możliwości stworzenia jakiegoś wspólnego rządu i tak dalej. Żadnego oficjalnego porozumienia nie podpisano. Mao powiedział swoim towarzyszom, że deklaracja przyjaznych intencji („demokracja", „jedna armia", „przywództwo" Czang Kaj-szeka) to „jedynie świstek papieru"[35]. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Chinach Patrick J. Hurley wciąż miał nadzieję że pogodzi obie strony. W jego pojęciu każdy Amerykanin, który wątpił w jego sukces na tym polu, wliczając w to dyplomatów o daleko większym doświadczeniu, był zdrajcą i najprawdopodobniej komunistą. Hurley, człowiek z lekka sfiksowany, na powitanie wydawał z siebie indiańskie okrzyki wojenne, czym zdumiewał swoich chińskich rozmówców, ale przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że jego wiedza o Chinach była właściwie zerowa.

Rację miał korespondent „New York Timesa", który 6 października pisał: „Ludzie z Zachodu, którzy się dziwią, o co te niekończące się targi, powinni pamiętać, że w chińskiej polityce decydującą kwestią jest liczba żołnierzy". Zapomniał jedynie dodać, że ich uzbrojenie też się liczy. To dlatego Czang Kaj-szek upierał się przy wyłącznym prawie do rozbrajania japońskich żołnierzy, Mao zaś postanowił zignorować jego żądania.

Latem 1945 roku nacjonaliści Czang Kaj-szeka mieli około 4 milionów żołnierzy rozlokowanych w południowych i środkowych Chinach. Było to jednak wojsko marnie wyszkolone, niezdyscyplinowane i często dowodzone przez skorumpowanych i niekompetentnych oficerów. Marionetkowe armie zorganizowane przez Japończyków w Mandżukuo, północnych Chinach i starej stolicy nacjonalistów Nankinie liczyły ponad milion żołnierzy. Byli oni lepiej wyposażeni i często lepiej wyszkoleni od nacjonalistów, więc zamiast rozbrajać, Czang Kaj-szek wolał wcielać ich do

własnej armii. Oprócz tego istniały pomniejsze oddziały prowincjonalnych watażków, którzy dbali wyłącznie o własne interesy i zmieniali strony w zależności od tego, skąd wiał pomyślny wiatr.

Chińscy cywile lękali się przemarszów nacjonalistów przez wioski i mniejsze miasta, ponieważ zachowywali się oni jak zbójcy raczej niż żołnierze: rabowali domy, kradli żywność, gwałcili kobiety, a mężczyzn siłą wcielali do wojska. Marionetkowe armie i oddziały watażków zachowywały się niewiele lepiej. Komuniści, którzy mieli około miliona żołnierzy i 2 miliony członków gwardii obywatelskiej, też potrafili być bezlitośni, ale przynajmniej wiedzieli, co to jest dyscyplina. Oprócz tego znacznie lepiej się promowali; rozumieli, że wojny wygrywa się po części propagandą. Wizerunek bohaterskiej armii ludowej był jednym z ich największych atutów.

Chiny były nie tylko straszliwie zniszczone, lecz także zdemoralizowane przez lata okupacji przez obce wojska i fatalnych rządów watażków oraz przez wielokrotne czystki i kontrczystki przeprowadzane w ramach konfliktu wewnętrznego, który był często równie brutalny jak wojna z Japonią. Japonista Donald Keene, wówczas młody oficer marynarki, stacjonował w Tsingtao, porcie nad Morzem Żółtym, słynącym z bazy marynarki wojennej, architektury w stylu europejskim i browarów w stylu niemieckim. Amerykańska piechota morska wkroczyła do miasta, zanim opuściła je japońska flota, i wkrótce Keene poczuł, że „coś tu śmierdzi” – a mianowicie miazmaty machlojek i korupcji; „oskarżenia o kolaborację są tak wszechobecne, jak ogólnie podejrzana jest atmosfera miasta”[36].

Keene odkrył, że władzę w Tsingtao dzierżą Chińczycy desygnowani na stanowiska jeszcze przez Japończyków, w większości typy spod ciemnej gwiazdy, które bardzo skorzystały na okupacji. Stwierdził również, że oficerowie japońskiej marynarki przechwalają się swoimi osiągnięciami w czasie wojny, a Chińczycy są usuwani ze stanowisk za kolaborację przez innych Chińczyków o podobnie niemiłej reputacji tylko dlatego, że ci ostatni ostrzą sobie zęby na ich mienie. Tsingtao było miastem ludzi przyjezdnych, różnej maści podejrzanych gości, gangsterów, szpiegów o chwiejnej lojalności i Japończyków wciąż zachowujących się jak

członkowie rasy panów. Takie szumowiny zbierały się nie tylko w Tsingtao. Keene słyszał, że z innych rejonów Chin nadchodzą raporty o nacjonalistach proszących doskonale uzbrojone oddziały japońskie o pomoc w walce z komunistami. Raporty te okazały się prawdziwe. Gorzej: prawicowa frakcja w rządzie Czang Kaj-szeka wystąpiła z projektem natychmiastowej wojny z komunistami przy aktywnym współudziale Japonii. Ostrożny generalissimus nie chciał posuwać się aż tak daleko, lecz wobec groźby sabotażu ze strony komunistów duże oddziały japońskie skierowano do ochrony torów kolejowych i innych kluczowych obiektów.

Tu i ówdzie nastąpiły jakieś akcje odwetowe przeciwko Japończykom, lecz ogólnie rzecz biorąc, zarówno komuniści, jak i nacjonaliści koncentrowali się na konflikcie wewnętrznym, a ci ostatni potrzebowali japońskiej pomocy. Poza tym relacje między Chińczykami i Japończykami były zbyt skomplikowane, aby dawało się zastosować proste rozwiązania.

Nankin, gdzie w 1937 roku wojsko japońskie urządziło wielodniową rzeź, podczas której zginęły dziesiątki, a być może setki tysięcy Chińczyków, był świadkiem jednej z najbardziej groteskowych scen, jakie miały miejsce tuż po wojnie. Rzeź Nankinu do dziś zaliczana jest do najstraszliwszych zbrodni drugiej wojny światowej. Generał Yasuji Okamura nie był w nią bezpośrednio zaangażowany, lecz popełnił równie przerażające zbrodnie wojenne. W 1938 roku oddziały pod jego dowództwem użyły broni chemicznej; zginęła niezliczona rzesza cywilów. W 1942 roku prowadził politykę spalonej ziemi, znaną Chińczykom pod hasłem „trzy razy wszystko” („wszystkich zabić, wszystko spalić, wszystko zrabować”), w wyniku czego śmierć poniosło ponad 2 miliony ludzi. Każdy mężczyzna w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu lat mógł zostać rozstrzelany na podstawie podejrzenia o antyjapońską postawę. Regularne porwania młodych kobiet, zwłaszcza Koreanek, do pracy w japońskich burdelach wojskowych to także dzieło podwładnych Okamury.

Lecz kiedy 9 września 1945 roku tenże sam Okamura poddawał się w Nankinie generałowi Ho Yin-chinowi, Chińczyk skłonił się Japończykowi i przeprosił za tę poniżającą ceremonię. Ho, absolwent

tokijskiej akademii wojskowej, w której pracował Okamura, tytułował go *sensei*, nauczycielem[37]. Potem Okamura dalej rezydował w budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Nankinie, jak gdyby nic się nie zmieniło. Trzy lata później został wreszcie oskarżony o zbrodnie wojenne i postawiony przed nankińskim sądem. Wtedy interwencja samego generalissimusa oszczędziła mu dalszych upokorzeń; nacjonaliści mianowali go swoim doradcą do spraw wojskowych. Yasuji Okamura zmarł spokojnie we własnym łóżku w 1966 roku.

Kluczem do wojny domowej w Chinach była Mandżuria. Pierwszy, który zająłby ten rejon założonych i zarządzanych przez Japończyków kopalń, hut i zakładów przemysłu ciężkiego, zyskałby niemal nienaruszalną przewagę. Jak już wspomniano, jako pierwsze wkroczyły do Mandżurii wojska radzieckie, które zagrabiły wszystkie obiekty przemysłowe i środki finansowe, jakie dało się wywieźć do Związku Radzieckiego. Pierwsze spotkania Sowietów z chińskimi komunistami nie zawsze przebiegały w serdecznej atmosferze. Oficerowie Armii Czerwonej gardzili obszarpanymi Chińczykami, a brak wykwalifikowanych tłumaczy właściwie uniemożliwiał rozmowy. Poza tym w imię równowagi pomiędzy mocarstwami Stalin zgodził się tymczasowo uznać generalissimusa Czanga za przywódcę Chin.

Do Mandżurii ściągało coraz więcej Chińczyków z komunistycznej 8. Armii, którzy przy wsparciu życzliwych radzieckich oficerów zaczęli przejmować lokalne urzędy. Nie było to zadanie łatwe, ponieważ większość kadry komunistów nie miała ani rodzinnych korzeni, ani żadnej wiedzy o tym regionie, który większość Chińczyków uważała za dziką Północ zamieszkaną przez koczowników i barbarzyńców. Relacje z wojskiem radzieckim pozostawały wciąż dość napięte, snujące się tu i ówdzie oddziały marionetkowych armii dodatkowo komplikowały sprawę, a oprócz tego 8. Armia musiała się rozprawić z różnej maści lokalnymi bandami partyzanckimi, z których część wspierali Rosjanie, część należała do lokalnych watażków, a część była sprzymierzona z nacjonalistami. Nacjonaliści prosili Japończyków i Amerykanów o pomoc w walce

z komunistami, komuniści zaś pragnęli pomocy Armii Czerwonej przy likwidacji „antyradzieckich bandytów”[38].

Tymczasem Czang Kaj-szek, zaniepokojony sukcesami komunistów w Mandżurii, błagał Stany Zjednoczone o współpracę przy transporcie swoich wojsk na północ. Amerykanie wyrazili zgodę, lecz bez entuzjazmu, ponieważ obowiązywała ich oficjalna polityka nieangażowania się w „bratobójczy konflikt”. Nacjonaliści przybywali na północny wschód za późno, w zbyt małej liczbie i często nie tam gdzie trzeba.

Potem było tylko gorzej. Szacuje się, że podczas oblężenia Changchunu przez komunistów w 1948 roku z głodu i chorób zmarło 300 tysięcy cywilów. Osobliwy charakter gniazda węży, jakim była podówczas Mandżuria, ilustruje historia słynnego burdelu w Andongu, mieście tuż przy granicy z Koreą Północną.

Jesienią 1945 roku Andong był miastem zaskakująco kosmopolitycznym, czymś w rodzaju Casablanki północno-wschodniej Azji. Mieszkali tu mandżurscy Chińczycy, Koreańczycy, Rosjanie oraz około 70 tysięcy Japończyków, nie tylko cywilów i stacjonujących tu żołnierzy, lecz także uciekinierów z innych obszarów nieistniejącego już marionetkowego państewka. Obawiając się, że nadciągająca Armia Czerwona nie będzie miała litości dla Japończyków, a zwłaszcza dla Japonek, przywódcy japońskiej społeczności postanowili zorganizować „kabaret”, czyli w rzeczywistości burdel, by odwrócić uwagę Rosjan od japońskich kobiet. Zadanie prowadzenia tego przybytku, który otrzymał nazwę Annei Hanten (gospoda Annei), powierzono pani O-Machi, czterdziestoparoletniej Japonce, która niegdyś była gejszą i pracowała w japońskich kurortach. Zgromadziła ona ekipę kobiet, z których część nie miała żadnego doświadczenia w tym fachu, apelując do ich patriotyzmu. Prosiła je, aby poświęciły się w imię Japonii; miały być żeńskimi kamikadze z Andongu[39].

W jej rodzinnym mieście do dziś stoi kamienny pomnik pani O-Machi, wystawiony przez wdzięcznych Japończyków, którym pomogła ocalić życie. Z dumą mówiąc o sobie, że jest „apolityczna”, pani O-Machi traktowała na równi wszystkich mężczyzn: wysoko postawionych i nisko

upadłych, Rosjan, Japończyków i Chińczyków. „Kabaret” pani O-Machi, założony dla rozrywki Rosjan, wkrótce przyciągnął także innych klientów, między innymi byłych oficerów japońskich, ojców miasta, Chińczyków kolaborujących z Japończykami popierającymi obecnie nacjonalistów, a nawet chińskich i japońskich komunistów. Rozgrzani nalewanymi hojną ręką sake, wódką i chińskim winem, klienci gospody Annei bez oporów wymieniali najróżniejszego rodzaju informacje.

Wszystko, co usłyszała od Rosjan na temat dyslokacji wojsk i planowanych aresztowań, pani O-Machi przekazywała władzom japońskim. Dzięki jej ostrzeżeniom niejeden człowiek zdążył zniknąć na czas. U pani O-Machi spotykali się szpiedzy i podwójni szpiedzy, tak zwane czerwone rzodkiewki, czyli antykomuniści udający czerwonych, oraz niebieskie rzodkiewki, czyli czerwoni infiltratorzy udający antykomunistów. Zawiązywano spiski i spiski przeciw spiskom. W gospodzie Annei zaaranżowane zostało małżeństwo między japońską kurtyzaną a chińskim szpiegiem, który był albo komunistą, albo jedynie czerwoną rzodkiewką – a wszystko po to, żeby Japończycy wiedzieli, co knują komuniści. Tutaj także chińscy nacjonaliści oraz eksoficerowie armii japońskiej, którzy ukryli działa na wzgórzach za Andongiem, zaplanowali pucz; lecz niestety oczekiwane posiłki od nacjonalistów nie przybyły i plan spalił na panewce.

Zamiast nich wkrótce później do miasta wkroczyła komunistyczna 8. Armia, która zastąpiła Armię Czerwoną. Początkowo nic się nie zmieniło. Komuniści zostali podjęci w gospodzie Annei wystawną chińską ucztą, bez towarzystwa pań, które kadry wojskowe uważały za niewłaściwe. Padło dyskretne pytanie, czy Japończycy mogliby służyć 8. Armii jakąś pomocą? Na przykład byli pracownicy japońskiego przedsiębiorstwa energetycznego w Mandżukuo zorganizowali właśnie „czerwoną trupę teatralną” i mają nadzieję wystawiać socjalistyczne „sztuki dla ludu”.

Ten flirt szybko się skończył. Komuniści uznali, że międzynarodowy burdel absolutnie nie pasuje do nowego ładu. Podejrzewając przy tym, że Japończycy maczali palce w nieudanym puczu, aresztowali panią O-Machi i kilku przywódców lokalnej japońskiej społeczności jako

nacjonalistycznych szpiegów. Niewiele wiadomo o ich dalszych losach. Pani O-Machi była przetrzymywana w więzieniu przez mniej więcej rok, a później, we wrześniu 1946 roku, została rozstrzelana na brzegu rzeki Yalu. Czy rzeczywiście była szpiegiem, a jeśli tak, to komu służyła, pozostaje tajemnicą.

***

Francja rozpaczliwie potrzebowała poczucia ciągłości i legitymizacji władzy. Zarzewie wojny domowej nie przestawało się tlić od czasu Wielkiej Rewolucji w 1789 roku. Reakcyjni monarchiści i katolicy zwalczali Republikę od dnia jej założenia. Okupacja niemiecka i rząd Vichy dały im przejściowe zwycięstwo. Generał de Gaulle nie był lewicowcem i bez entuzjazmu patrzył na bałagan, jaki wywołuje demokratyczna wielopartyjność, lecz w imię poczucia ciągłości kreował siebie na naturalnego dziedzica tej samej Republiki, którą pogardzał. Chociaż w 1940 roku Zgromadzenie Narodowe przyznało marszałkowi Pétainowi odpowiednie pełnomocnictwa, z chwilą gdy wojna się skończyła, rząd Vichy został uznany za nielegalny. W 1944 i 1945 roku przed de Gaulle'em stało zadanie połatania Francji tak, by z powrotem stanowiła jedną całość.

Groźba wojny domowej była realna. Odegrawszy tak znaczącą rolę w *Résistance*, komuniści już w 1941 roku mieli gotowe listy wrogów do odstrzału. Znaleźli się wśród nich nie tylko pomniejsi łajdacy z proniemieckiej *milice*, lecz także przemysłowcy. W zasadzie wszyscy ekspartyzanci zgadzali się, że najważniejsze jest ukarać elitę, przywódców, nie tylko tak zwanych *lampistes*, czyli podwładnych, którzy zawiśli na latarniach, podczas kiedy ich szefowie uniknęli kary[40]. De Gaulle zdawał sobie sprawę, że jego rodacy muszą na własne oczy zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość, ale że Francja nie może pozwolić sobie na wielką czystkę, która dodatkowo nadwątliłaby wystarczająco już umęczone społeczeństwo. Pragnął więc, aby cały proces odbył się jak najszybciej, najlepiej w kilka miesięcy. Jako ostateczny, oczywiście niemożliwy do dotrzymania, termin zakończenia lustracji wyznaczył luty 1945 roku.

Do tego czasu po części wymierzono już sprawiedliwość spontanicznie. Linczowano więźniów, na śmierć bez sądu posłano ponad 4 tysiące ludzi, z których część powiesił rozszalały tłum. Niektóre regiony, zwłaszcza na południu Francji, znajdowały się niemalże w stanie anarchii. De Gaulle mocno się sprzeciwiał takim ekscesom: prawo kary winno przynależeć wyłącznie państwu. Sporą liczbę byłych bojowników oporu aresztowano za nadmierną gorliwość w wymierzaniu domniemanym kolaborantom kary śmierci. Lecz czy de Gaulle miał prawo ich winić? W styczniu 1945 roku dziennikarz Pascal Copeau, uczestnik ruchu oporu na południu Francji, pisał:

> W ciągu czterech straszliwych lat najlepsi z Francuzów nauczyli się popełniać morderstwa, zamachy, akty sabotażu, wykolejać pociągi, niekiedy rabować, a zawsze gardzić tym, co przedstawiano im jako prawo. […] Kto tych Francuzów tego uczył, kto wydał im rozkaz zabijania? Kto, jeśli nie pan, *mon général*?[41]

Aby przywrócić państwu monopol na stosowanie przymusu, de Gaulle musiał przede wszystkim rozbroić ruch oporu. Było to zadanie wysoce delikatne, gdyż *maquisards*, bojownicy oddziałów Francji Walczącej, kosztem straszliwego ryzyka zdobywali swoją broń na Niemcach, gdy de Gaulle siedział sobie bezpiecznie w Londynie. Co więcej, komuniści wciąż mieli nadzieję na drugą Rewolucję Francuską, podczas której broń będzie im potrzebna. Nadzieja ta szybko się jednak rozwiała, nie tylko z braku entuzjazmu Francuzów wobec tak radykalnej akcji, lecz także ponieważ Stalin jasno stwierdził, że jeśli rewolucja wybuchnie w amerykańskiej strefie wpływów, to Związek Radziecki jej nie poprze. Stalin miał co innego na głowie. Nakazał więc francuskim komunistom, żeby przycichli. Potem zaś de Gaulle zawarł z nimi układ: jeśli chcą, aby ich przywódca, Maurice Thorez, który w 1939 roku zdezerterował z armii francuskiej i uciekł do Moskwy, otrzymał pozwolenie na powrót do kraju i uniknął przy tym sądu za zdradę, muszą się zgodzić na rozbrojenie swoich bojówek. Niejedną sztukę broni ukryto wówczas w odludnym gospodarstwie, pod podłogą mieszkania, w magazynie. Jednak ogólnie rzecz biorąc, komuniści ustąpili i państwo powolutku odzyskało kontrolę.

Kilku ludzi, którzy podczas okupacji byli na świeczniku i wyjątkowo narazili się rodakom, stanęło przed sądem. Znalazł się wśród nich sam marszałek Pétain, ale uznano go za zbyt sędziwego i zbyt szacownego, aby go rozstrzelać za zdradę, więc zamieniono mu karę na dożywotnie więzienie na małej wysepce na Atlantyku. Pozbawiony honorów wojskowych, zmarł tam jako słaby na umyśle starzec i tam też został pochowany, co wielu jego wiernych zwolenników uznało za hańbę. W 1973 roku podjęli oni próbę zdjęcia z marszałka piętna infamii przez ekshumację jego prochów, przewiezienie ich na stały ląd i pochowanie z honorami na cmentarzu wojskowym. Szczątki marszałka zostały jednak odkryte w garażu jego prawnika, *maître* Jacques'a Isorniego, i pośpiesznie odstawione z powrotem na wyspę, gdzie – na ile to można stwierdzić – spoczywają do dziś.

Najpotężniejszy minister w okupacyjnym rządzie Pétaina, odpychający i znienawidzony Pierre Laval, miał mniej szczęścia. Próbował popełnić samobójstwo, lecz cyjanek, który połknął, ze starości utracił skuteczność i wyrok śmierci wykonano: w październiku 1945 roku Laval został rozstrzelany.

Toczyły się też inne procesy o popełnienie zbrodni wojennych. Aby jednak wyroki można było uznać za wiążące, najpierw zlustrowano trybunały. To okazało się problematyczne, ponieważ w czasie okupacji tylko jeden sędzia odmówił podpisania deklaracji lojalności wobec rządu marszałka Pétaina. Komisja lustracyjna złożona z sędziów i byłych partyzantów oceniała, czy dany urzędnik sądownictwa zachowywał się jak lojalny Francuz. Okazało się, że według tej wysoce nieprecyzyjnej definicji 266 podsądnym należy zarzucić niedostateczną prawomyślność. Urzędników państwowych sądzono według tych samych kryteriów. Zakres sankcji sięgał od czasowego zawieszenia w obowiązkach z połową płacy aż do utraty pracy i całkowitej utraty praw obywatelskich. Ukarano 11 343 osoby z około miliona urzędników państwowych, a 5 tysięcy utraciło pracę. Elita przedsiębiorców i przemysłowców w większości wyszła z tej opresji obronną ręką, podobnie jak w innych krajach. Niektórzy, na przykład

założyciel koncernu kosmetycznego L’Oréal, nie ucierpieli w ogóle, mimo że byli jawnymi sympatykami hitlerowców.

Louis Renault, założyciel firmy samochodowej Renault, do nich nie należał. Według jego własnej relacji, okupanci postawili go przed wyborem: albo będzie produkował pojazdy dla niemieckiej armii, albo jego koncern przejmie Daimler-Benz, a jego robotnicy zostaną wywiezieni do Niemiec. Wybrał to pierwsze. Komunistyczne skrzydło *Résistance* uważało takich ludzi jak Renault za wrogów klasowych najgorszego gatunku: przemysłowców i jednocześnie zdrajców narodu. W sierpniu 1944 roku komunistyczna „L’Humanité” pisała: „Dyrektorzy fabryk Renault muszą zapłacić życiem za żołnierzy sił Sprzymierzonych, którzy zginęli z przyczyny ich entuzjastycznej współpracy przy wyposażaniu wroga”[42]. Zważywszy, jak niewielu innych przemysłowców dotknęły prześladowania, niewykluczone, że Renault był kozłem ofiarnym, ochłapem, który gaulliści rzucili lewicy na pożarcie. Nie mógł się bronić, gdyż nie stanął przed sądem: zmarł w więzieniu z powodu obrażeń głowy.

W wielu wypadkach sędziowie i urzędnicy państwowi, którzy utracili pracę, szybko ją odzyskali: albo wrócili na dawne stanowiska, albo zrobili imponujące kariery w sektorze prywatnym. Przypadek Maurice’a Papona, ostatniego Francuza sądzonego za zbrodnie wojenne, jest typowy pod każdym względem – oprócz finału. Jako wysokiej rangi urzędnik policji w Bordeaux odpowiadał on za deportację ponad tysiąca Żydów do obozów koncentracyjnych. Jednak w 1945 roku nie stanął przed sądem, a wręcz przeciwnie: pozostał urzędnikiem państwowym i szybko piął się po szczeblach kariery. W rządzie de Gaulle’a był sekretarzem stanu, prefektem Korsyki, potem prefektem w Algierii, gdzie współuczestniczył w tłumieniu antykolonialnych rozruchów, następnie – znów w rządzie de Gaulle’a, który wręczył mu Legię Honorową za zasługi dla Francji – szefem paryskiej policji, a w końcu ministrem finansów za czasów prezydenta Valéry’ego Giscarda d’Estaing. Nietypowe w imponującej karierze Papona jest to, że po wielu latach jego haniebna przeszłość wyszła na jaw. W 1995 roku został oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości. Skazany na karę pozbawienia wolności w 1999 roku, wyszedł z więzienia w 2002 roku.

Jakiś czas później musiał zapłacić karę w wysokości 2500 euro: nosił odznakę Legii Honorowej nielegalnie, ponieważ została mu ona odebrana.

De Gaulle naprawiał Francję tą samą metodą, jaką naprawiano Japonię, Włochy, Belgię, a nawet Niemcy: jak najmniej narażając na szwank przedwojenne elity. Nie mógł ryzykować dalszej polaryzacji narodu. Przedsiębiorcy, finansiści, prawnicy, uczeni, lekarze i urzędnicy państwowi mieli wiedzę i umiejętności, które były po prostu potrzebne. A poza tym znali kogo trzeba.

Członkowie ruchu oporu odegrali rolę śmiałków, którzy ryzykowali życie, podczas gdy inni kryli się po kątach. Zrobili to z najróżniejszych przyczyn: powodowani wiarą lub ideologią polityczną, ze znudzenia lub z wściekłości, z chęci przeżycia przygody lub ze zwykłej przyzwoitości. W każdym wypadku jednak wybór tej drogi sprawił, że byli mniej podobni do ogółu rodaków niż oportuniści i wazeliniarze.

Kara za przewiny, zarówno we Francji, jak wszędzie gdzie indziej, była często jedynie symboliczna, a przy tym wymierzana przypadkowo i bynajmniej nie *fair*. Elita w większości wyszła obronną ręką. Natomiast od grudnia 1945 roku dawna prostytutka, a przy tym niewykluczone, że kobieta-szpieg, niejaka Marthe Richard, prowadziła kampanię na rzecz likwidacji paryskich burdeli. W następnym roku na mocy „ustawy Marthe Richard” zamknięto wszystkie domy publiczne we Francji. Jako oficjalny powód tej jakże niefrancuskiej gorliwości podano fakt, że podczas niemieckiej okupacji to właśnie burdele były głównymi ośrodkami „kolaboracji”.

ROZDZIAŁ 6

RZĄDY PRAWA

Późną jesienią 1945 roku do Mandżurii wkroczyła komunistyczna 8. Armia. Chińscy nacjonaliści, którzy część miast odebrali wcześniej Japończykom, a pozostałe przejęli z rąk Armii Czerwonej, oddawali jej teraz jedno miasto za drugim. Wszędzie gdzie tylko przejęli władzę, komuniści od razu organizowali tak zwane sądy ludowe. Prosty, prymitywny wręcz obrządek egzekwowania prawa przebiegał błyskawicznie, a wyroki wykonywano bezzwłocznie.

Niekiedy w chińskich gazetach pojawiały się wezwania, by każdy, kto ma jakieś zarzuty wobec byłych urzędników Mandżukuo, stawił się na świadka. W Andongu przy granicy koreańskiej sąd ludowy urzędował w szkole podstawowej. Skargi bywały banalne, podyktowane goryczą i zastarzałą, długo tłumioną niechęcią. Jakiś rykszarz oskarżył japońskiego przedsiębiorcę, że ten stłukł mu latarnię i nie zaproponował odszkodowania. Młody mężczyzna wypominał japońskiemu przedsiębiorstwu, że jego ojciec, który pracował tam jako kulis, był zmuszany do takiej harówki, aż umarł z wyczerpania. Oskarżeni, którzy zazwyczaj nie pamiętali już swego wykroczenia, mieli szczęście, jeśli dostali jedynie karę grzywny, chociaż była ona zawsze bardzo wysoka.

Zdarzały się też o wiele poważniejsze oskarżenia. Lecz sąd ludowy nie działał wtedy ani trochę wolniej. W grudniu na brzegach rzeki Yalu rozstrzelano trzystu Japończyków i Chińczyków, funkcjonariuszy władz prowincji Andong, którzy wcześniej pracowali w administracji Mandżukuo.

Z relacji naocznego świadka wiadomo, jaki los spotkał dwóch z nich, byłego gubernatora Andongu, Chińczyka nazwiskiem Cao, oraz jego zastępcę, Japończyka Watanabe.

Na głowy założono im czarne kaptury, a na piersiach przypięto miejscowe ordery – symbol wyróżnienia zmienił się w symbol poniżenia. Potem wieziono ich głównymi ulicami Andongu na wozach zaprzężonych w konie; stali z głowami pochylonymi na znak skruchy, podnosząc wysoko, tak żeby wszyscy widzieli, drewniane tablice z namazanymi czerwoną farbą słowami: na jednej „reakcjonista”, na drugiej – „marionetka”. Trybunał ludowy obradował pod gołym niebem. Zebrał się wielki tłum, gdyż każdy chciał chociaż zerknąć na winowajców. Sędzia zawołał: „Co z nimi zrobić?” – „Zabić! Zabić!” – odkrzyknął tłum. Tak zapadł wyrok. Skazańców zaprowadzono nad Yalu i rzucono na kolana, a pluton egzekucyjny stanął za ich plecami. Podobno Japończykowi Watanabe przed rozstrzelaniem odcięto uszy, ale to nie jest pewne[1].

Takie doraźne sądy zakrawały na farsę; lecz najciekawsze jest to, że były w ogóle potrzebne. Po co? Dlaczego chińscy komuniści je organizowali? Czemu nie rozstrzelać łajdaków na miejscu? Najwyraźniej chodziło o to, aby nadać egzekucjom pozory legalności. Nawet dyktatura – a może zwłaszcza dyktatura – musi przedstawiać swoje działania jako uprawnione; inaczej władza nie uzyska legitymizacji. W procesach pokazowych pojęcie prawa jest jednak całkowicie upolitycznione. Proces taki to jedynie rytuał, którego celem jest uwidocznić władzę partii. Skazańcy z Andongu poszli na śmierć nie tylko za to, że kiedyś zasiadali we władzach kontrolowanego przez Japończyków marionetkowego państwa, lecz także za to, że po wyzwoleniu kolaborowali z „reakcjonistami”, czyli chińskimi nacjonalistami, co było przecież nieuniknione, skoro przed nadejściem komunistów to właśnie nacjonaliści zajęli Andong. A że partia komunistyczna wyrażała jakoby wolę ludu, ludowi przypadło w tym rytuale zadanie wykrzyczenia dokładnie takiego wyroku, jakiego odeń oczekiwano.

Pod tym względem Chiny nie były ani egzotyczne, ani nietypowe. Podobne sądy ludowe organizowano wszędzie tam, gdzie władzę przejęli komuniści. Sándor Márai był w Budapeszcie, gdy w 1945 roku do władzy

doszli popierani przez Armię Czerwoną węgierscy „antyfaszyści”. Ten rząd nie był jeszcze komunistyczny. Stalin uznał, że lepiej będzie przejmować władzę stopniowo; nie chciał, aby zachodni sprzymierzeńcy za szybko się połapali, co się święci. W listopadzie odbyły się wybory, w których komuniści uzyskali mierne poparcie. Wobec tego Rosjanie odgórnie wyznaczyli członków rządu. W ten sposób komuniści odcinali rywali od władzy „jak plasterki salami”, jak to ujął ich przywódca Mátyás Rákosi, aż do czasu powstania Węgierskiej Republiki Ludowej w 1949 roku.

Budapeszt mocno ucierpiał w 1945 roku podczas kilkumiesięcznego oblężenia przez wojska radzieckie i rumuńskie[2]. Zamek królewski leżał w ruinie, nie było prądu, nie działały telefony, zerwane mosty sterczały z wód Dunaju jak zdychające stalowe potwory. Brakowało żywności. Grupy chuliganów wdzierały się do mieszkań, żądając strawy albo po prostu rabując, co popadło, a wszystko inne niszcząc (aby wyrazić swą nienawiść, pisał Márai). Gniew „ludu” wyładowywał się na domach bogatych mieszczan. Izby tortur, jeszcze niedawno wykorzystywane przez faszystowskie stronnictwo strzałokrzyżowców, przejęły nowe władze, a gangsterzy rozbijali się amerykańskimi autami po podziurawionych ulicach. Márai zauważył, że miasto opanowała jakaś gorączkowa aktywność, która jednakże po jakimś czasie zmieniła się w ospałość i marazm. „Niegodziwość szerzyła się jak dżuma” – pisał w dzienniku. Prawo i sprawiedliwość „nie istniały, ale trybunały ludowe działały już wszędzie, a egzekucje polityczne zapewniały codzienną rozrywkę bezrobotnemu motłochowi, jak w Rzymie za czasów Kaliguli”[3].

Węgry nie miały króla; od roku 1920 roku władzę sprawował admirał Miklós Horthy, oficjalnie Najjaśniejszy Regent Królestwa Węgier. Ten osobliwy układ był wynikiem kontrrewolucji, która w 1919 roku położyła kres trwającym niecały rok rządom komunistów Béli Kuna. Po czerwonym terrorze nadszedł biały terror. Horthy, niezupełnie faszysta, chociaż zatwardziały reakcjonista, przez całe życie nienawidził komunizmu, który, podobnie jak wielu jemu współczesnych, kojarzył z Żydami; tych ostatnich nie znosił, ale nie aż do tego stopnia, aby im życzyć śmierci wszystkim razem i każdemu z osobna. Pod koniec lat trzydziestych Horthy

nieopatrznie zawarł przymierze z hitlerowskimi Niemcami, lecz odmówił współudziału w zagładzie Żydów. Aż do 1944 roku węgierscy Żydzi byli prześladowani, ale unikali deportacji; wtedy jednak Niemcy zdecydowali się wziąć sprawy w swoje ręce i zajęli Węgry. W Rosji armia niemiecka ponosiła właśnie klęskę za klęską, linie transportowe miała rozciągnięte do granic możliwości, brakowało wszelkiego zaopatrzenia, a wróg utrudniał dowóz tego, co jeszcze było dostępne. Na Węgrzech naziści pokazali, jakie mają priorytety: z bezwzględną skutecznością zgromadzili i wywieźli do obozów zagłady ponad 400 tysięcy Żydów. Większość z nich zginęła w Auschwitz-Birkenau. Horthy został odsunięty od władzy. Przez 163 dni nominalnie rządził brutalny przywódca strzałokrzyżowców Ferenc Szálasi. Był to zagorzały antysemita, który udzielił Adolfowi Eichmannowi, koordynatorowi akcji ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Budapeszcie, wszelkiej możliwej pomocy.

W 1945 roku było jasne, że wszyscy przywódcy strzałokrzyżowców staną przed sądem i zostaną skazani na śmierć; antyfaszystowski rząd uważał to za absolutnie oczywiste. Cechą wspólną wszystkich sądów ludowych jest to, że wynik procesu jest zwykle z góry znany. Ale w tym przypadku zaangażowano nie tylko sędziów ludowych: swoją rolę do odegrania miała także prasa. Zdaniem znanego dziennikarza finansista Béla Imrédy, który w 1938 roku został premierem i gorąco popierał prześladowania Żydów, podczas procesu wyglądał jak „miotający się w przerażeniu kościsty karzeł” oraz był „odpychającą, godną pożałowania figurą”, która „wiła się pod ciężarem dowodów jak szara jaszczurka”[4]. Trzeba przy tym wspomnieć, że podczas procesów hitlerowców także w prasie zachodniej pojawiały się równie obrazowe określenia.

Pewien węgierski prawnik wyjaśnił dokładnie, jaki jest prawdziwy cel sądów doraźnych: zbrodniarze wojenni podlegają karze wcale nie za „zwyczajne łamanie prawa”, tylko za „błędy polityczne, jakie popełnili”[5]. Ława sędziowska składała się z członków partii i związków zawodowych, a przewodniczyli zawodowi sędziowie. Niekiedy ci ostatni podlegali ostrej krytyce, zwłaszcza ze strony organu odwoławczego, Narodowej Rady Sądownictwa Ludowego, za zbytnią łagodność. Komunistyczna gazeta

„Szabad Nép” pisała z gniewem, że „zasiadający w Radzie sędziowie zawodowi całkowicie zapominają, że są sędziami z ramienia ludu. Lud nie bawi się dokumentami; w sprawach zbrodniarzy wojennych nie szuka okoliczności łagodzących, lecz żąda bezlitosnego odwetu na tych, którzy są odpowiedzialni za jego nieszczęście, cierpienie i poniżenie”[6].

Także przeszłość znalazła się pod ścisłą kontrolą nowych władz, które, trzeba to raz jeszcze powiedzieć, działały z ramienia Związku Radzieckiego, lecz jeszcze nie były komunistyczne. Sędziowie uznali niektórych podsądnych, na przykład Lászla Bárdossyego, który w 1941 roku pełnił urząd premiera, za winnych zdławienia „demokracji” w 1919 roku. To, co naprawdę wówczas zdławiono, to była komunistyczna dyktatura proletariatu pod przywództwem Béli Kuna, która wykształciła własny typ bandytyzmu i także posługiwała się sądownictwem doraźnym. Jednakże obecnie osądzeniu podlegali nie tylko ludzie, lecz także system, który reprezentowali. Minister sprawiedliwości w rządzie strzałokrzyżowców László Budinszky został skazany na śmierć, ponieważ w opinii Narodowej Rady Sądownictwa „dwadzieścia pięć lat uciemiężenia ze strony systemu sądowniczego doprowadziło państwo na skraj upadku”[7].

Jeśli wziąć pod uwagę liczbę skazanych, Węgrzy mimo wszystko nie byli najsurowszym z narodów. Belgowie postawili przed sądem za kolaborację ponad 57 tysięcy ludzi[8]. W Holandii skazano ponad 50 tysięcy kolaborantów[9]. Na Węgrzech było to mniej więcej 27 tysięcy. W Grecji pod koniec 1945 roku w więzieniach siedziało 48 956 osób – tyle że samych lewicowców.

Grecja stanowi najlepszy przykład kraju, w którym zarówno komuniści, jak i antykomuniści (czasami jednocześnie) nadużywali systemu sądowniczego dla osiągnięcia celów politycznych. Na terenach wyzwolonych przez lewicową formację ELAS, zbrojne ramię komunistycznego Frontu Wyzwolenia Narodowego (EAM), sądy ludowe działały już w 1943 roku. Powstawały one w ramach prób stworzenia w okupowanej Grecji socjalistycznego państwa. Sądy ludowe, złożone z partyzantów z ELAS i innych „towarzyszy”: rolników, kierowców

ciężarówek i tym podobnych, rozprawiały się z przestępcami pospolitymi i wojennymi oraz kolaborantami[10]. Wyroki były surowe. Większość podsądnych została po krótkim procesie, albo i bez procesu, rozstrzelana przez partyzantów.

Na terenach wiejskich najczęstszym przestępstwem była, jak się zdaje, kradzież bydła. W wiosce Deskati w środkowej Grecji partyzanci mieli jednak pełne ręce roboty i nie życzyli sobie tracić czasu na byle złodziei krów. Wieśniacy zostali więc poinformowani, że kradzieże mają ustać, gdyż „nie mamy więzień ani miejsc odosobnienia, żeby tam trzymać złodziei. Jeśli któregoś złapiemy, po prostu spytamy, co woli, żebyśmy mu ucięli: głowę czy stopy. Jego decyzja”[11]. Podobno podziałało. Kradzieże się skończyły, przynajmniej w Deskati. Przed sąd ludowy wniesiono także osobliwą sprawę młodzieńca, który wyznał miłość jednej dziewczynie, a potem oświadczył się innej. Sędziowie dali mu prosty wybór: ożenek z tą pierwszą albo rozstrzelanie. Wahał się do ostatniej chwili, ale w końcu uznał, że woli pozostać przy życiu.

Sądy ludowe nie miały litości dla kolaborantów. To oznaczało policjantów i żandarmów współpracujących z Niemcami, a także sympatyków faszyzmu, słowiańskojęzycznych mieszkańców Macedonii popierających Bułgarów, którzy starali się oderwać od Grecji część jej terytorium, oraz wrogów klasowych zagradzających drogę rewolucji. Wiosną 1944 roku, zaraz po wyzwoleniu Grecji spod okupacji niemieckiej, przez krótki czas funkcjonował tak zwany gabinet jedności narodowej; ale nawet po zorganizowaniu przezeń urzędowych sądów, które miały za zadanie rozliczać kolaborantów, sądy ludowe działały dalej, gdzieniegdzie jeszcze nawet w 1945 roku. Przez jakiś czas Grecja miała zatem dwa oddzielne systemy sądownictwa: urzędowy z ograniczoną władzą oraz nieurzędowy o szerszym zakresie kompetencji i działający skutecznie na znacznie większym terytorium. Już samo to dowodzi, jak słaba była oficjalna władza. A przy tym w Grecji nie narodził się żaden de Gaulle, który łagodziłby konflikty między komunistami a konserwatystami, między monarchistami a liberałami. Rany zadane przez wojnę były zbyt świeże, różnice zbyt głębokie.

Urzędowe sądy zorganizowane przez gabinet jedności narodowej czyniły pewne wysiłki w kierunku ukarania kolaborantów, ale procesy toczyły się powoli i często napotykały komplikacje. Premierzy okupacyjnych rządów przysięgali, że pozostali u władzy i współdziałali z Niemcami wyłącznie z pobudek patriotycznych. Tak akurat mówi każdy kolaborant; ale znalazły się dowody na poparcie ich zeznania, że to grecki rząd na uchodźstwie polecił im pozostać na stanowiskach i starać się łagodzić panującą w kraju tragiczną sytuację. Głową rządu na uchodźstwie był pierwszy powojenny premier Grecji Georgios Papandreou, którego syn i wnuk w przyszłości także zostaną premierami.

Kolaboranci winni rozmaitych bestialstw, jak na przykład członkowie Batalionów Bezpieczeństwa, w zasadzie w ogóle uniknęli procesów. W lutym 1945 podpisano tak zwane porozumienie w Varkizie, na mocy którego lewica zobowiązała się całkowicie rozbroić i oczekiwać referendum narodowego w sprawie przyszłej władzy. Sytuacja w Grecji natychmiast stanęła na głowie. Dawni prawicowi kolaboranci odmówili zdania broni i zaczęli terroryzować wszystkich podejrzanych o sympatyzowanie z lewicą. Wielu ludzi aresztowano, a niektórych rozstrzelano wyłącznie dlatego, że byli wcześniej członkami sądów ludowych. Tym razem państwo w państwie stworzyli prawicowcy. Jednostki straży obywatelskiej pozostawały poza kontrolą państwa. Policja popierała prawicę, więc mimo nakazów sądu odmawiała aresztowania byłych kolaborantów. Ludzie, którzy jeszcze niedawno współpracowali z Niemcami, teraz prześladowali ekspartyzantów i ich sympatyków. W 1945 roku w greckich więzieniach na jednego kolaboranta przypadało dziesięciu zwolenników ELAS.

Partyzant nazwiskiem Panayiotis zdał broń w lutym 1945 roku. Parę tygodni później wpadł w łapy niegdysiejszych członków Batalionów Bezpieczeństwa. Zabrali go do pobliskiej szkoły, powiesili głową do dołu i tłukli kolbami karabinów. Potem bili go w bose stopy tak długo, aż zmieniły się w krwawą miazgę. Kiedy go puścili, nie mógł iść, poczołgał się do domu na czworakach. Długo później, mieszkając już w Australii, mówił, że miał szczęście, gdyż padł ofiarą „zaledwie pierwszej fali

faszystowskiego odwetu”; w ten sposób uniknął „drugiej fali, kiedy faszystowskie sądy skazały na śmierć tysiące ludzi”[12]. W Grecji wyzwolenie nie przyniosło kresu niepokojów społecznych i niekończącego się łańcucha odwetu, lecz raczej zapowiadało nadejście jeszcze gorszych czasów.

***

Tragedia Ajschylosa *Eumenidy* rozgrywa się w Atenach prawie dwa i pół tysiąca lat wcześniej. Chodzi o zabójstwo. Orestes zabił swoją matkę w zemście za to, że zamordowała jego ojca. Ten straszny czyn ściąga na głowę Orestesa gniew Eumenid, czyli Erynii – bogiń pomsty, wyrzutów sumienia i sprawiedliwości oko za oko. Pallas Atena, bogini mądrości i opiekunka miasta, przekonuje go, aby poddał się wyrokowi sądu. Dopiero racjonalna argumentacja przedstawiona w toku postępowania sądowego udobrucha straszliwe boginie. Jednak nawet w sądzie argumenty rozumowe nie zawsze prowadzą do jasnych decyzji. Opinie sędziów są równo podzielone i w końcu to Atena w swej mądrości wydaje wyrok uwalniający matkobójcę od winy. Lecz chociaż jest to odgórna decyzja bogini, Eumenidy czują się zaspokojone:

> Groźny zgiełk, złowrogi gwar
> waśni chciwej zła i klęsk
> niechże ten omija gród!
> Gdyby zaś krwi się domowej napiła ta ziemia
> niech ciemny szał pomsty
> nowych za zgon zgonów,
> nowej nie żąda już krwi![13]

Niewiele się zmieniło od czasów, gdy Atena strzegła swego czcigodnego miasta. Najważniejszą przyczyną, dla której odbywa się proces sądowy, wciąż jest to, że wyrok sądu zrywa łańcuch odwetu. Jednak problem z procesami, które toczą się po wojnie lub po upadku dyktatury, polega na tym, że jest za dużo potencjalnych podsądnych. Podczas konferencji w Teheranie w 1943 roku Stalin powiedział Churchillowi, że 50 tysięcy

niemieckich oficerów należałoby rozstrzelać na miejscu. Niewykluczone, że był to jedynie typowy dla niego ponury żarcik. Rozwścieczony Churchill opuścił pokój; chyba się nie ubawił. Niemniej jednak Stalin trafił w sedno. Nawet jeśli uznamy, że nie istnieje coś takiego jak odpowiedzialność zbiorowa, winnych bywa czasem o wiele za dużo, by wszystkich postawić przed sądem; ale ludzie muszą ujrzeć, jak wymierzana jest sprawiedliwość. To nie oznacza, że człowiek, który staje przed sądem za zbrodnie popełnione przez tysiące osób i aktywnie wspierane przez tysiące osób, jest kozłem ofiarnym. Proces bywa czasem aktem symbolicznym: na ławie oskarżonych zasiada jeden człowiek, ponieważ winnych jest zbyt wielu, są poza zasięgiem, są pod ochroną z przyczyn politycznych lub z innych powodów postawienie ich przed sądem nie jest możliwe.

Jednym z najbardziej odrażających japońskich zbrodniarzy wojennych był lekarz Shiro Ishii, arogancki samotnik, którego nazwisko wypłynęło po raz pierwszy, gdy wynalazł aparat do uzdatniania wody. Nawet cesarz Japonii poczuł się zaskoczony, kiedy podczas demonstracji urządzenia wynalazca oddał mocz do filtrowanej wody i poprosił jego wysokość, aby się poczęstował. Cesarz grzecznie odmówił. Ishii był wielkim zwolennikiem broni biologicznej i chemicznej, na punkcie której miał wyraźną obsesję. W roku 1936 otrzymał pozwolenie na budowę tajnego ośrodka wojskowego pod Harbinem w Mandżukuo oraz prowadzenie tam wszystkich doświadczeń, o jakich tylko zamarzy. W ośrodku tym, tak zwanej Jednostce 731, Ishii i jego utalentowani pomocnicy, między innymi mikrobiolog Masaji Kitano, nie tylko eksperymentowali z zarazkami dżumy, cholery i innych chorób, lecz także mieli do dyspozycji tysiące jeńców wojennych, z którymi mogli robić, co tylko im się spodobało. Jako świnki morskie – w Jednostce 731 znane zresztą jako „kłody” lub „małpy” – służyli im głównie Chińczycy, ale także Rosjanie i garstka Amerykanów. Jednych poddawano działaniu ekstremalnie niskich temperatur, innych wieszano za nogi, żeby sprawdzić, po jakim czasie się uduszą, jeszcze innym usuwano organy podczas wiwisekcji bez znieczulenia lub wstrzykiwano śmiercionośne zarazki. Specjalnością Jednostki 731 była produkcja tysięcy zakażonych różnymi chorobami szczurów; szczury te

plus niewyobrażalne roje pcheł pakowano do ceramicznych pojemników, które zrzucano na niedużych spadochronach na chińskie miasta.

Latem 1945 roku, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej, wycofujący się Japończycy zniszczyli „zakład uzdatniania wody" pod Harbinem i zabili resztę więźniów. Dziś w ruinach Jednostki 731 mieści się „muzeum patriotyczne"; wśród eksponatów są figury woskowe doktora Ishii i jego kolegów wykonujących wiwisekcję. Ishii, Kitano i paru innych naukowców zdołało zbiec do Japonii; niższy personel dostał się w ręce Rosjan i stanął przed sądem za zbrodnie wojenne. Gdy generał MacArthur ogłosił, że japońscy zbrodniarze wojenni (oczywiście w żadnym wypadku nie cesarz) jednak staną przed trybunałem, Ishii przepadł jak kamień w wodę. Zdołał bowiem przekonać komisję śledczą, której przewodniczył „oswojony faszysta" MacArthura, generał-major Charles Willoughby, że dane uzyskane podczas prowadzonych w Chinach eksperymentów mogą się ogromnie przydać armii Stanów Zjednoczonych. Willoughby był zdania, że doświadczenia na ludziach, amerykańskim lekarzom poniekąd trudniej dostępne, dały niezwykle istotne i interesujące wyniki. Otóż obawiano się, że w tego rodzaju badaniach Związek Radziecki znacznie wyprzedza Stany Zjednoczone. Wojskowy specjalista do spraw medycznych pisał później w memorandum do Departamentu Stanu, że doświadczenia na ludziach są bardziej wiarygodnie niż doświadczenia na zwierzętach, a przecież „jakikolwiek proces za zbrodnie wojenne całkowicie ujawniłby wyniki tych badań wszystkim narodom; uważa się zatem, że w interesie obronności i bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych należy uniknąć tego rodzaju rozgłosu"[14].

Generał Shiro Ishii zmarł spokojnie w Tokio w 1959 roku. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył jego zastępca w Jednostce 731, jej późniejszy dyrektor, generał Masaji Kitano. Podczas wojny specjalizował się on w doświadczeniach dotyczących krwi, a od lat pięćdziesiątych kierował koncernem Zielony Krzyż, pierwszym komercyjnym bankiem krwi w Japonii. Niewiele śladów pozostało po tych ludziach: jedynie jakieś więzienia i laboratoria pod Harbinem oraz przedziwny pomnik, odkryty przypadkiem w opuszczonej piwnicy, w której

kiedyś mieściła się hodowla szczurów. Wystawił go Kitano ku pamięci gryzoni, które pokroił w celach naukowych.

***

Pierwszym zbrodniarzem wojny na Pacyfiku, który stanął przed sądem, był generał Tomoyuki Yamashita, którego nazywano (w Japonii z czcią, wszędzie gdzie indziej ze strachem) Tygrysem Malajów. W rzeczywistości generał Yamashita przebywał na Malajach bardzo krótko, ale na ten przydomek zasłużył sobie brawurowym zdobyciem Singapuru w lutym 1942 roku. Miał 30 tysięcy ludzi, a Singapuru broniło ponad 100 tysięcy żołnierzy z Wielkiej Brytanii oraz Wspólnoty Brytyjskiej. W galerii figur woskowych w parku rozrywki na singapurskiej wyspie Sentosa do dziś można obejrzeć tę poniżającą scenę: Yamashita stoi przed generałem Arthurem Percivalem i wymaga od niego natychmiastowej odpowiedzi: „Tak czy nie!”, na pytanie, czy się podda.

Ówczesny premier Japonii, generał Tojo, nie znosił Yamashity i zupełnie mu nie ufał. Nic dziwnego: ten ostatni dalece przewyższał go talentem wojskowym, a przy tym sceptycznie odnosił się do szans Japonii na wygraną w starciu z wojskami zachodnich aliantów. Tojo odwołał go więc z Azji Południowo-Wschodniej i wyprawił na tyły, do Mandżukuo, gdzie nie miał szans odznaczyć się w boju. Yamashita powrócił na południe dopiero po upadku rządu Tojo w 1944 roku. Filipiny były już wtedy straconą pozycją, a generał otrzymał niewdzięczne zadanie ich obrony.

Podczas procesu, który odbył się jesienią 1945 roku, Yamashita był oskarżony między innymi o to, że nie zareagował, gdy rozpoczął się jeden z najbardziej krwawych epizodów drugiej wojny światowej: rzeź Manili.

Przebieg wydarzeń nie ulegał kwestii. W lutym 1945 roku ofensywa wojsk amerykańskich zablokowała w Manili ponad 20 tysięcy japońskich żołnierzy, głównie z cesarskiej marynarki wojennej. Rozkazano im walczyć bez możliwości poddania się, a przy okazji w maksymalnym stopniu zniszczyć stolicę Filipin. Następnie oddano im do dyspozycji wielkie zapasy piwa i wina ryżowego. Rozpętała się orgia bestialstwa. Żołnierze

gwałcili i zabijali kobiety bez względu na ich wiek, niemowlęta i dzieci roztrzaskiwali o mur lub przebijali bagnetami, mężczyzn okaleczali przed śmiercią. W podpalonych szpitalach płonęli żywcem pacjenci. Rabowano i palono domy i budynki użyteczności publicznej. Jednocześnie miasto było przez cały czas ostrzeliwane przez Amerykanów. Japończycy odpierali ich ataki za pomocą miotaczy płomieni i granatników przeciwpancernych. Po miesiącu tego piekła z Manili pozostały dymiące ruiny. Miasto zostało zniszczone w podobnym stopniu jak Warszawa, a życie straciło około 100 tysięcy Filipińczyków.

Generał MacArthur przed wojną mieszkał w Manili. Teraz jego apartament w hotelu Manila poważnie ucierpiał. Później generał wspominał szok, jakiego doznał, obserwując z dala atak na hotel: „Nagle z najwyższego piętra buchnęły płomienie. Podpalili mój apartament. Nie jestem w stanie opisać uczuć, z jakimi obserwowałem unicestwienie mojego doskonałego zbioru prac z teorii i historii wojskowości, moich pamiątek, dorobku całego mojego życia. […] Aż do dna wypiłem czarę goryczy, jaką jest zagłada ukochanego domu”[15].

Dla MacArthura to, co wydarzyło się w Manili w 1945 roku oraz tamże trzy lata wcześniej, gdy musiał uciekać przed armią japońską pod dowództwem generała Masaharu Hommy, stanowiło osobisty afront. Z tego powodu manilskie procesy generałów Hommy i Yamashity też nabrały dość osobistego zabarwienia. Gdy w czerwcu 1945 roku alianci ostatecznie podjęli decyzję, by zbrodniarzy wojennych postawić przed trybunałem, z Waszyngtonu nadeszło polecenie, aby całą procedurę przeprowadzić jak najsprawniej. Jednakże trybunał manilski organizowały komisje wojskowe, których zwierzchnikiem był MacArthur, sędziów wyznaczył MacArthur i MacArthur określił procedury. W rezultacie wielu świadków tych wydarzeń odniosło wyraźne wrażenie, że manilskie procesy nie miały ugasić płomieni zemsty, lecz same były formą zemsty.

Ktoś musiał zapłacić za odrażające zbrodnie, jakie miały miejsce w Manili, a także za inne bestialstwa popełnione podczas japońskiej okupacji: za bataański marsz śmierci w kwietniu 1942 roku, za śmierć głodową tysięcy jeńców wojennych, za zniszczenie filipińskich miast i wsi,

za izby tortur Kempeitai. Ktoś musiał zadyndać – a tymczasem większości kolaborantów z filipińskich elit nie groziły żadne sankcje, najaktywniejszych partyzantów zaś właśnie likwidowano w imię antykomunizmu. Pilnie potrzebny był jakiś inny winowajca. Udręczonym Filipińczykom należało przecież pokazać, że sprawiedliwości staje się zadość; bezimienna masa morderców musiała zyskać odrażającą twarz.

Generał Tomoyuki Yamashita miał idealny po temu wygląd. Był to krępy mężczyzna o byczym karku i zmrużonych oczach krótkowidza – marzenie karykaturzysty, po prostu uosobienie japońskiego zbrodniarza wojennego. Trybunał zasiadał w dawnym biurze szefa brytyjskiej misji dyplomatycznej. Drzwi były otwarte, Filipińczyków wręcz zachęcano, by weszli i na własne oczy ujrzeli, jak sądzi się zbrodniarza. Jakaś staruszka przyniosła w torebce kamienie i chciała nimi obrzucić japońskiego potwora, by chociaż tak pomścić swoje krzywdy. A niektórzy amerykańscy dziennikarze uznali go za winnego, jeszcze zanim zrobił to sąd. Zgrabnie ujął to korespondent czasopisma „Yank": „Od samego początku nie znalazłbyś frajera, który by postawił dwa peso przeciwko dwustu za uniewinnieniem Yamashity"[16].

„W poznaczonym śladami kul budynku szefostwa misji, tym samym, w którym kiedyś panoszył się jako zdobywca, generał Yamashita stoi dziś przed pięcioosobowym trybunałem jako zbrodniarz wojenny – kontynuował „Yank". – Proces generała jest sprawiedliwy, zgodny z literą prawa; jego ofiary nie miały tyle szczęścia".

To prawie wszystko bujda. Yamashita nigdy wcześniej nie był w budynku misji brytyjskiej, a z pewnością nie jako zdobywca. Po raz pierwszy przybył na Filipiny niedługo przedtem, nim MacArthur wyszedł na brzeg w zatoce Leyte. Obrona Filipin była już wtedy beznadziejna. Yamashita nie znał terenu. Łańcuch dowodzenia nie istniał. Wojska rozproszyły się po wyspach. Łączność prawie nie istniała. Ustał dowóz żywności do oddziałów stacjonujących w górach. Brakowało benzyny. Żołnierze byli źle wyszkoleni, zdemoralizowani, osłabieni głodem i znużeniem dokuczliwym klimatem tropików. Walczący z filipińskimi partyzantami i przytłoczony przewagą Amerykanów, Yamashita nie miał

szansy nawet zobaczyć swoich oddziałów, a co dopiero stanąć na ich czele jako zdobywca.

Rzeź Manili była po części wynikiem dezorganizacji armii japońskiej. Kwatera główna generała znajdowała się w górach, w odległości prawie 200 km od Manili. Wiedząc, że nie zdoła utrzymać stolicy, Yamashita rozkazał wszystkim oddziałom japońskim wycofać się z miasta; rozkaz obejmował także piechotę morską, która nominalnie znajdowała się pod jego dowództwem. Manila byłaby wówczas miastem otwartym; zostałoby w niej tylko 1600 ludzi ze straży magazynów wojskowych. Ale dowódcy floty zwlekali. Kilku chciało bronić się do ostatniego żołnierza. Inni zgadzali się na odwrót, ale dopiero po wysadzeniu w powietrze portu. Nie było jasne, kto dowodzi kim. Rozkazów nie wykonywano. W końcu, jak to się często zdarzało w armii japońskiej, oficerowie średniego szczebla wzięli sprawy w swoje ręce i przeważyła wola tych najbardziej gorliwych. Rozwścieczony Yamashita ponownie nakazał odwrót, ale wtedy było już za późno: droga ucieczki została odcięta i Japończycy ugrzęźli w Manili. Jedynym wyjściem była śmierć.

Procesu Yamashity z całą pewnością nie można uznać za sprawiedliwy. Sądzili go urzędnicy wojskowi, których wiedza prawnicza była równie mierna jak ich znajomość warunków bitewnych. Jeden z nich tak się nudził, że prawie cały czas drzemał. MacArthur zapewnił oskarżycielowi wszelkie możliwe środki, podczas gdy obrońców wybrano pośpiesznie. Nie było czasu, aby zbadać ponad sześćdziesiąt zarzutów, jakie postawiono generałowi, a tymczasem tuż przed początkiem procesu dodano ich jeszcze więcej. Zasady przedstawiania materiału dowodowego oraz inne procedury były w najlepszym wypadku umowne, a być może wręcz ustawione. MacArthur wydał „proklamację specjalną”, w której powtórzył czerwcowe ustalenia aliantów: „Trybunału nie wiążą techniczne zasady przedstawiania materiału dowodowego. Trybunał przyjmie i w najszerszym możliwym zakresie zastosuje procedury przyspieszone i nietechniczne, a także zaakceptuje każdy materiał, który uzna za posiadający wartość dowodową. Wszystkie domniemane deklaracje przyznania się do winy oraz oświadczenia oskarżonego są dopuszczalne”[17].

Na nieszczęście dla Yamashity to oznaczało również wątpliwej wiarygodności zeznania złożone przez różne podejrzane indywidua, między innymi kilku byłych kolaborantów, którzy chcieli wybielić siebie, gorliwie oskarżając generała o planowanie eksterminacji całego narodu filipińskiego. Zeznawali także znerwicowani świadkowie przerażających wydarzeń, jakie rozegrały się podczas walk ulicznych w Manili. Ciąg dalszy reportażu w „Yank": „Szlochająca dziewczyna opowiada o wielokrotnej krzywdzie, jakiej doznała ze strony żółtków. Wiele dziewcząt poddało im się pod groźbą przebicia bagnetem. […] Oto fragment zeznań: «Na macie na podłodze leżała dwunastoletnia dziewczynka. Była cała zakrwawiona; mata, na której leżała, też była przesiąknięta krwią»".

I znowu: mało kto wątpi w prawdziwość tych historii. Pytanie jednak, czy Yamashita wiedział, co dzieje się w Manili, a jeśli wiedział, to czy był w stanie powstrzymać ten wybuch przemocy. Podczas procesów norymberskich, które toczyły się w tym samym czasie, niemieccy generałowie byli sądzeni wyłącznie za te zbrodnie, które rozkazali popełnić, przy których współdziałali lub w których osobiście uczestniczyli. Nie ma dowodów, że Yamashita był winien któregokolwiek z powyższych. Wręcz przeciwnie, jego rozkazy wskazują na chęć uniknięcia sytuacji, która doprowadziła do tragicznych wydarzeń. Został więc oskarżony o zbrodnię, która wcześniej nie istniała w kodeksie, a mianowicie o bycie niezdolnym do zapobieżenia aktom przemocy popełnionym przez żołnierzy, nad którymi nie miał kontroli i którzy z rozmysłem postąpili wbrew jego rozkazom. „Yank" twierdził dufnie, że proces Yamashity jest „zgodny z literą prawa". Jeśli tak, to było to prawo, którego ani Yamashita, ani żaden inny dowódca wojskowy nie mógł być w najmniejszym stopniu świadomy. Tomoyuki Yamashita został skazany na śmierć przez powieszenie 7 grudnia 1945 roku, w rocznicę ataku na Pearl Harbor. Usłyszawszy wyrok, skłonił się sędziom i podziękował Stanom Zjednoczonym za dobrodziejstwo wyznaczenia mu „uczciwych amerykańskich oficerów i dżentelmenów jako obrońców". Major Robert Kerr udzielił pewnemu dziennikarzowi wywiadu, w którym powiedział, że przybywając nad Pacyfik, spodziewał się, że

będzie strzelał do żółtków na plażach, a nie ich wieszał, ale że właściwie mu wszystko jedno[18].

Generał MacArthur odrzucił apel o skorzystanie z prawa łaski. Obrońcy Yamashity wystąpili do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych z prośbą o unieważnienie postępowania procesowego, chociaż nie mieli specjalnej nadziei na sukces. Jako podstawę unieważnienia zgłaszali fakt, że komisje wojskowe nie mają prawa sądzić byłych nieprzyjaciół po zawarciu pokoju; deklarowali, że proces był stronniczy. Sąd Najwyższy zdecydował się nie kwestionować legalności sądu wojskowego, lecz dwaj sędziowie wyrazili wysoce krytyczną opinię na temat sprawiedliwości procesu. Sędzia Wiley B. Rutledge junior zgłosił *votum separatum*: „Nie leży w naszej tradycji sądzić kogokolwiek za przestępstwo, które zostało zdefiniowane po popełnieniu przezeń odnośnego czynu. […] Odpowiedzialności za czyny zbiorowe nie przypisujemy jednostce – być może w żadnym przypadku, lecz z pewnością nie w przypadku, gdy człowiek ten nie jest oskarżony – ani też mu tego nie dowiedziono – o to, że aktywnie uczestniczył w czynach niegodziwych dokonanych przez innych lub że świadomie nie uczynił nic, aby zapobiec dokonaniu takich czynów, mimo iż miał po temu zarówno obowiązek, jak i możliwość”[19].

Generał Yamashita oświadczył, że sumienie ma czyste. Głęboko wstrząsnęły nim zeznania na temat rzezi Manili; do końca twierdził, że nie miał wówczas pojęcia, co tam się dzieje. Powiedział swoim obrońcom, że pozostawiwszy za sobą tyle trupów, i tak nie byłby w stanie wrócić do Japonii. Po ogłoszeniu wyroku napisał krótki wiersz:

> Świat, który znałem, jest dziś miejscem haniebnym
> Nie nadejdzie dla mnie lepszy czas
> Na śmierć[20].

Został powieszony 23 lutego 1946 roku w Los Baños, malowniczym kurorcie przy gorących źródłach, na południe od Manili.

***

Generał MacArthur osobliwie tłumaczył swą nieustępliwość wobec Yamashity. Jego zdaniem japoński generał ściągnął niesławę na cały stan żołnierski.

> Tradycje ludzi wojny są długie i zaszczytne. Są bowiem oparte na najszlachetniejszej z ludzkich cech: poświęceniu. Ten oficer […] nie dorósł do tego nieodwołalnie wymaganego poziomu; nie dopełnił obowiązku wobec swych żołnierzy, swego kraju, swego nieprzyjaciela, wobec całej ludzkości; zawiódł całkowicie w swej żołnierskiej powinności. Wynikłe z tego przewiny, jakie ujawnił jego proces, zhańbiły stan żołnierski, zbezcześciły cywilizację i stworzyły dziedzictwo wstydu i niesławy, które nigdy nie zostanie zapomniane[21].

W typowym dla siebie podniosłym stylu MacArthur wyraził tu powszechne przekonanie tamtych czasów: procesy niemieckich i japońskich zbrodniarzy wojennych oraz ich wspólników oznaczały nie tylko powrót rządów prawa, lecz także odrodzenie „cywilizacji". Podobnych sformułowań używali również oskarżyciele trybunałów w Norymberdze i w Tokio. Zrównanie cywilizacji z „żołnierską powinnością" jest typowe dla MacArthura. Natomiast idea przeprowadzania procesów, aby zmazać „dziedzictwo wstydu i niesławy" była najbardziej istotna w krajach upokorzonych okupacją obcych wojsk. MacArthur być może miał na myśli Filipiny, lecz to dziedzictwo niesławy kładło się cieniem na procesach polityków kolaborujących z okupantem, nawet jeśli czynili to z pobudek, które sami uznawali za szlachetne.

Pierre'a Lavala, dwukrotnego szefa rządu Vichy, oraz Antona Musserta, przywódcę Narodowo-Socjalistycznego Ruchu Holenderskiego (NSB), łączy to, że obaj postrzegali siebie jako ludzi honoru, patriotów, którzy uczynili wszystko co w ich mocy dla dobra swoich państw. Obaj zostali oskarżeni o zdradę stanu; po pośpiesznych procesach, które trwały przez jesień i zimę 1945 roku, obaj stanęli przed plutonem egzekucyjnym najgłębiej przekonani, iż umierają jako męczennicy i w przyszłości zostaną nie tylko rehabilitowani, lecz także uznani za zbawców narodu. Łączy ich jeszcze jedno: obaj umierali jako politycy najbardziej ze wszystkich znienawidzeni przez swoich rodaków. Owszem, istnieli ludzie od nich

gorsi, bardziej brutalni. Ani Laval, ani Mussert nie mieli w zwyczaju uciekać się do przemocy. Wręcz przeciwnie – podczas pierwszej wojny światowej Laval był lewicowym pacyfistą i nigdy nie pozbył się awersji do rozwiązań militarnych (nawet, zdaniem niektórych, jeśli rozwiązania takowe miałyby być zastosowane w obronie ojczyzny). Był ugodowcem, urodzonym rozjemcą i wierzył, że nawet w pertraktacjach z diabłem potrafiłby wyjść na swoje. Powiedział kiedyś swojemu obrońcy: „Dla mnie kolaborować znaczyło pertraktować”[22]. Obu politykom zdarzało się sprzeciwiać Niemcom w obronie interesów pewnej części swoich rodaków, zwykle bez wielkiego powodzenia. A mimo to byli powszechnie znienawidzeni. I dlatego wyrok w ich procesach był z góry przesądzony.

Laval i Mussert, podobnie jak generał Yamashita, mieli niezbyt imponującą aparycję; to im nie pomogło. Niski, tęgi, pucołowaty Mussert miał figurę tak fatalnie nieodpowiednią do noszonych w jego faszystowskiej partii czarnych mundurów i skórzanych płaszczy, że zawsze wyglądał komicznie. Laval, nieodmiennie w sztuczkowych spodniach i białym krawacie, nie był ulicznym demagogiem, lecz zawodowym politykiem; nigdy nie ubrałby się w mundur i oficerki. A jednak wyglądał na pokątnego handlarza towarami z podejrzanych źródeł: niski, śniady, o tłustych włosach i przymrużonych oczach, stale z papierosem w ustach, zęby i niechlujne wąsy miał zażółcone od tytoniu. Mussert zaczynał karierę jako inżynier (projektował między innymi autostrady); Laval jako prawnik. Laval odniósł znacznie większy sukces jako polityk. Przed wojną był dwukrotnie premierem, a w 1931 roku magazyn „Time” uznał go za człowieka roku – „opanowanego, cieszącego się wielkim autorytetem i popularnością” przewodnika narodu, który wyprowadził Francję z zapaści wielkiego kryzysu[23]. Mussert już pod koniec lat trzydziestych był powszechnie uważany za kabotyna; paradowanie w czarnych koszulach nie leży w holenderskim stylu.

Ani jeden, ani drugi nie życzył swojemu krajowi niemieckiej inwazji; w końcu obaj byli nacjonalistami. Autor biogramu Lavala jako człowieka roku „Time’u” wręcz chwalił nieustępliwość jego polityki wobec Niemiec. W 1935 roku Laval zawarł krótkotrwały sojusz z Wielką Brytanią

i Włochami, który miał powstrzymać remilitaryzację Niemiec. Wszystko, aby tylko zapobiec kolejnej wojnie. Mimo tego wojna jednak wybuchła, a wówczas zarówno Mussert, jak i Laval uznali niemiecką okupację za okazję, aby się wreszcie wykazać. Mussert miał wizję nowej Europy – oczywiście „zdominowanej przez narody germańskie" i z Hitlerem jako przywódcą, ale także z nim samym jako szefem rządu autonomicznej narodowosocjalistycznej Holandii. Laval nie uważał faszystowskiego idealizmu za atrakcyjny, lecz pod koniec lat trzydziestych jego gwiazda nieco przygasła i we wkroczeniu Niemców ujrzał szansę dla siebie. W tych trudnych czasach zostanie zbawcą ojczyzny. Posługując się wiekowym marszałkiem Pétainem jako dostojnym figurantem, wynegocjuje dla Francji najlepsze możliwe warunki. Nie koniec na tym: on też dostrzegał potencjał nowej Europy z Francją jako głównym sojusznikiem Niemiec w misji oczyszczania kontynentu z bliźniaczych plag: anglożydowskiego kapitału i rosyjskiego bolszewizmu. W 1942 roku w transmitowanym przez radio orędziu Laval wypowiedział słowa, które zemściły się na nim trzy lata później: „Pragnę zwycięstwa Niemiec, gdyż w przeciwnym wypadku jutro wszędzie zagnieździ się bolszewizm"[24].

Przed wojną ani Mussert, ani Laval nie wykazywali jakiejkolwiek osobistej niechęci wobec Żydów. Mussert miał niewielu przyjaciół, wśród nich jednak był jeden Żyd; w latach trzydziestych zachęcał też Żydów do wstępowania do jego stronnictwa. Jego zdaniem istnieli „dobrzy Żydzi" i „źli Żydzi"; źli byli ci, którzy krytykowali NSB lub nie chcieli się przyłączyć do niego, a tym samym byli „nieholenderscy". Na nieszczęście jego niemieccy koledzy mieli o wiele bardziej rygorystyczny pogląd na tę sprawę, co zresztą stanowiło kość niezgody między Mussertem a oficerami SS. W 1940 roku został zmuszony relegować z NSB pozostających w nim jeszcze kilku Żydów. Twierdził później, że głęboko nad tym ubolewał. Jak głęboko – nie wiadomo, zważywszy, że jeszcze w 1938 roku stworzył szczegółowy plan przesiedlenia europejskich Żydów do holenderskich, francuskich i brytyjskich kolonii w Gujanie; ani Himmler, ani Hitler nie wyrazili jednak zainteresowania tym pomysłem. (Co myśleli Brytyjczycy i Francuzi – nie wiadomo). Mussert bez skrupułów bogacił się też na

mieniu pożydowskim, i nie zapominał przy tym o swoich krewnych i przyjaciołach[25].

Laval nigdy nie podzielał zajadłego antysemityzmu francuskiej skrajnej prawicy. On także wśród przyjaciół i bliskich współpracowników miał Żydów. Niemniej był szefem rządu, gdy w 1940 roku *statut des juifs* pozbawił Żydów praw obywatelskich; a ustawę tę rząd Vichy wydał z własnej inicjatywy, bez przynagleń ze strony Niemców. Później Laval próbował uchronić Żydów urodzonych we Francji od deportacji do obozów koncentracyjnych – za cenę życia kilkudziesięciu tysięcy Żydów „obcych", urodzonych poza Francją, których oddał Trzeciej Rzeszy na pożarcie. Wśród nich znaleźli się naturalizowani obywatele francuscy, którzy z początkiem okupacji utracili obywatelstwo.

Kreując się na zbawców ojczyzny za pomocą współpracy z okupantem, megalomani pokroju Musserta i Lavala weszli prosto w zastawioną przez Niemców pułapkę. Mussertem kierowało połączenie próżności oraz ideologicznych iluzji; Laval był niewrażliwy moralnie i przesadnie wierzył we własną przenikliwość. Żaden nie zdawał sobie sprawy, że nacjonalistyczne mrzonki o Francji czy Holandii jako liczących się partnerach Niemiec w nowym europejskim ładzie kompletnie nie pasują do niemieckiego planu absolutnej hegemonii. Ci patriotyczni quislingowie byli po prostu przydatni – dopóty, dopóki brali na siebie odpowiedzialność za niepopularne, a niekiedy wręcz zbrodnicze przedsięwzięcia Trzeciej Rzeszy. Obaj krok po kroku ustępowali okupantom – czasem z oporami, a czasem nieopatrznie. Mussert pozwolił wcielić swoje bojówki do SS i złożył ślubowanie wierności Hitlerowi, który według jego mglistych wyobrażeń był Führerem nie tylko Niemiec, lecz także wszystkich „narodów germańskich". Współpraca Lavala nie ograniczyła się do wysłania do Niemiec grupy francuskich robotników przemysłowych w zamian za zwrot francuskich jeńców wojennych; zorganizował także gwardię obywatelską, która miała zwalczać ruch oporu, i wysłał na śmierć wielu Żydów. W lipcu 1942 roku to właśnie Laval, a nie Niemcy, nalegał, że żydowskie dzieci należy deportować do Polski wraz z rodzicami, aby – jak twierdził – nie rozdzielać rodzin.

W rezultacie Niemcy gardzili oboma politykami i nie ufali im jako „burżujom i nacjonalistom”, a właśni rodacy nienawidzili ich jako uosobienia najbardziej plugawych i haniebnych aspektów okupacji. Brzydzili się nimi nawet francuscy i holenderscy naziści, najbardziej zagorzali wspólnicy Trzeciej Rzeszy. Mussert i Laval mieli tak niewielu popleczników, że po wyzwoleniu stanowili doskonałych kandydatów do osądzenia i ukarania. Pokazowy proces dwóch najbardziej znanych twarzy kolaboracji poprawił samopoczucie milionom ludzi, którzy podczas wojny sami nie wykazali się szczególną odwagą.

Pétain także stanął przed trybunałem i został skazany na śmierć, lecz ocalił go podeszły wiek i powszechny szacunek, jakim się cieszył. De Gaulle w ogóle nie chciał go sądzić, byłby uszczęśliwiony, gdyby starzec siedział spokojnie na emigracji w Szwajcarii. Ale Pétain wrócił do kraju, dobrowolnie oddał się w ręce władz i zażądał procesu. Już samo to było dość kłopotliwe. Później zaś Francja absolutnie nie mogła sobie pozwolić na rozstrzelanie bohatera spod Verdun. Wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie. W miejsce marszałka chłopcem do bicia został Laval. Popularna w tym czasie piosenka mówiła: „Pétain pod pierzynę – Laval na pal – de Gaulle do roboty”. Ten sam „Time”, który niewiele ponad dekadę wcześniej tak entuzjastycznie wychwalał Lavala, pisał:

> W zeszłym tygodniu Pierre Laval stanął przed sądem. Nie towarzyszyła mu ani odrobina tej straszliwej litości, tego poczucia trudnego obowiązku, jakie wypełniały serce każdego Francuza podczas procesu sędziwego marszałka Pétaina, ogłoszenia wyroku jego śmierci i zamiany tej kary na dożywocie. Nieunikniony obowiązek likwidacji Pierre’a Lavala mógł stanowić zadowalającą pomstę. Laval sam obrócił go w haniebną farsę[26].

To jest ciut nie *fair*. Proces stanowił farsę, owszem, ale to nie Laval tu zawinił. De Gaulle niechętnie odnosił się do całej idei czystek i procesów pokazowych, ale dokładnie tak jak mówiła piosenka: musiał brać się do roboty, i to akurat zadanie chciał mieć jak najszybciej za sobą. Referendum w sprawie powojennej konstytucji było wyznaczone na 21 października; do tego czasu Laval musiał być już po wyroku. Laval siedział w celi, palił po

pięć paczek amerykańskich papierosów dziennie i wściekał się, gdyż odmówiono mu dostępu do dokumentów, które starannie zgromadził na swoją obronę. Pod sam koniec wojny Laval schronił się Niemczech, lecz został ujęty i odesłany samolotem do Francji. W jego teczce odkryto wówczas notatkę, która podsumowuje jego gorycz: „Cóż za przedziwny paradoks. Oto jestem zmuszony usprawiedliwiać przez sądem politykę i działania, za które należałby mi się szacunek ze strony mojego narodu. Wiem, że zarówno przed wojną, jak i podczas nieszczęsnych lat okupacji spełniłem swój obowiązek”[27].

Mussert, który zawsze był podatny na złudzenia, siedząc w celi więziennej, zaprojektował olbrzymią łódź podwodną i wyobraził sobie, że Amerykanie z pewnością zechcą skorzystać z jego wynalazku. Oczekiwał, że lada chwila zostanie deportowany do Stanów Zjednoczonych. Ostatnie tygodnie życia spędził więc na nauce angielskiego, ale było to kolejne przedsięwzięcie, które mu nie wyszło.

Jednym z krępujących szczegółów procesu Lavala jest to, że zarówno sędziowie, jak i oskarżyciele współpracowali z tym samym rządem Vichy co podsądny (czego zresztą Laval nie omieszkał im wytknąć) i także ślubowali wierność Pétainowi. Prokurator generalny André Mornet zasiadał w komisji, która zatwierdzała decyzje o denaturalizacji Żydów. Ława przysięgłych składała się z członków parlamentu i byłych bojowników ruchu oporu.

Szef paryskiej adwokatury Jacques Charpentier przyrównywał atmosferę procesu do rytuału drażnienia byka podczas korridy: „Członkowie ławy przysięgłych lżyli podsądnego i wdzierali się w tok rozprawy jak wskakujący na arenę andaluzyjscy ulicznicy. Sąd wydał wyrok, nie wysłuchawszy zeznań [Lavala]. […] Jak niegdyś opatrzono rannego Robespierre’a tylko po to, aby zaciągnąć go na gilotynę, tak teraz ożywiono trupa Lavala, aby móc jeszcze żywego zdrajcę rzucić na pożarcie lwom motłochu”[28].

Najbardziej dramatycznym momentem procesu był protest Lavala przeciwko uprzedzeniom sędziów: „Możecie mnie skazać! – krzyczał, waląc w stół oznaczoną swymi inicjałami teczką. – Możecie mnie

ukatrupić, ale nie macie prawa mnie oczerniać!”. „Zamknij się, zdrajco!” – wrzasnął jeden z przysięgłych. Rozwścieczony Laval zawołał, że jest Francuzem i kocha ojczyznę. Przysięgli odpowiedzieli, że jest łajdakiem, który „zasługuje na dwanaście kul” plutonu egzekucyjnego[29]. Na to Laval oznajmił, że woli zachować milczenie, niż stać się „współwinnym kryminalnego nadużycia sprawiedliwości”. Któryś z członków ławy przysięgłych zawołał: „On się nigdy nie zmieni!”; Laval odparł z przekonaniem: „Nie, nigdy”[30].

Proces Musserta, który odbywał się w pałacu królewskim w Hadze, przebiegał spokojniej, ale i tu nikt nie miał wątpliwości, jaki będzie wyrok. Oskarżyciel J. Zaaijer już w oświadczeniu wstępnym stwierdził, że „nawet bez procesu wiemy, na jaki wyrok zasługuje Mussert”; dość osobliwy początek przewodu sądowego. Wijckerheld Bisdom, utalentowany obrońca Musserta, wspominał później, że w tych pierwszych powojennych latach panowała zgodna opinia, iż „najgorsi narodowi socjaliści, a przede wszystkim Mussert, którego uważano za uosobienie holenderskiego narodowego socjalizmu, nie mogą się wywinąć z wyrokiem niższym niż śmierć”[31]. Tym procesom impet nadały emocje tłumu – prawo reagowało na nastroje ulicy.

Mussert wygłosił dramatyczną mowę, w której odpierał zarzut zdrady stanu. Wymachując ramionami, jak gdyby przemawiał na wiecu, wołał, że nigdy nie miał zamiaru poddawać kraju obcej władzy, wręcz przeciwnie: ideałem, do którego dążył, było sformowanie narodowego rządu zdolnego strzec interesów Holandii, gdy zwycięskie Niemcy będą budować nowy europejski ład. Natomiast pomoc Niemcom była konieczna, by „odpędzić Azję od progu Europy”. Rozpłomieniony własną elokwencją, Mussert zapomniał, gdzie się znajduje, i ku radości słuchaczy zwrócił się do wysokiego sądu per „moi wierni stronnicy”; była to jedyna chwila odprężenia podczas tego dość ponurego procesu[32].

Również egzekucja byłego holenderskiego przywódcy odbyła się z większą powagą niż egzekucja Lavala. Zawieziono go na wydmy na przedmieściach Hagi (w tym miejscu Niemcy rozstrzelali wielu bojowników holenderskiego ruchu oporu) i przywiązano do zwykłego

słupa. Kiedy pastor żegnał się ze skazańcem, Mussert przeprosił, że nie jest w stanie uścisnąć mu dłoni. Dwunastu żołnierzy uniosło karabiny – i koniec.

Laval martwił się, że jeśli otrzyma salwę w twarz, jego trup będzie oszpecony. Prawnicy uspokajali go, że w dzisiejszych czasach egzekucje wykonuje się bardzo czysto. Potem próbował popełnić samobójstwo, lecz jedynie się rozchorował, bo cyjanek, który połknął, był zwietrzały. Trochę podleczony, ale wciąż słaniający się na nogach Laval stanął opodal muru więzienia. Ubrany był w ciemny garnitur, charakterystyczny biały krawat i szalik w barwach narodowych Francji: czerwono-biało-niebieski. Nalegał, aby jego prawnicy trzymali się w pobliżu: „Chcę patrzeć na was, umierając". Jego ostatnie słowa brzmiały: „Vive la France!". Rozległa się salwa i trup opadł na prawy bok. Wtedy sierżant zrobił dokładnie to, czego Laval tak się obawiał: podszedł i dla pewności strzelił mu w głowę; z twarzy została miazga. Obecny przy egzekucji młody dziennikarz pisał: „Ludzie podbiegli do słupa i zbierali odpryśnięte odeń drzazgi. Najwyżej ceniono te zakrwawione"[33].

To niezupełnie prawda, że Mussert i Laval posłużyli za kozły ofiarne. Nie ulega wątpliwości, że byli winni daleko idącej współpracy z okupantem. To był ich własny wybór. Ponadto ich procesy zdołały spełnić swoje główne zadanie. Stawiając Musserta przed trybunałem, Holandia uniknęła krwawych „dzikich czystek" w stylu francuskim. Jego przyspieszony, nieprzyzwoicie wręcz, proces pozwolił również holenderskim władzom uzasadnić zwolnienie setek pomniejszych kolaborantów z i tak już przepełnionych więzień i obozów odosobnienia. Wyroki śmierci na Musserta i Lavala to była sprawiedliwość na pokaz; społeczeństwo zobaczyło, że powojenne władze robią, co do nich należy. Także paskudny koniec Lavala stanowił znak zamknięcia okresu rozliczeń i początku odbudowy kraju.

Ale nawet jeśli procesy te osiągnęły cel, który sformułowała Atena w *Eumenidach*, czyli nasyciły żądzę zemsty, to jednak ich tempo, z góry przesądzone wyroki, a także – szczególnie w przypadku Lavala – ogromne nieprawidłowości proceduralne kłóciły się z zasadami sprawiedliwego

postępowania sądowego. Jeden z obserwatorów podsumował w nieco histerycznym tonie: „Proces Lavala był niewybaczalnym błędem, gdyż sprawił, iż Francuzi zaczęli kwestionować realność francuskiej sprawiedliwości. […] Szkody są nieodwracalne. Francuski wymiar sprawiedliwości został zdyskredytowany. W ostatecznym rozrachunku Laval zwyciężył i dopełnił demoralizacji kraju”[34].

***

W 1945 roku często pojawiało się twierdzenie, że o wiele lepiej posłużyłoby sprawiedliwości, gdyby rozstrzelać głównych winowajców na miejscu, nie bawiąc się w żadne prawne gierki. George F. Kennan, który jako amerykański dyplomata był świadkiem tworzenia europejskiej polityki, a niekiedy jej współtwórcą, pisał w pamiętniku, że procesy zbrodniarzy wojennych budziły jego głęboki niesmak: „Osobiście byłem zdania, że najlepiej byłoby wydać dowódcom wojsk alianckich stałe rozporządzenie, że jeśli któryś z tych ludzi wpadnie w ręce aliantów, należy go rozstrzelać natychmiast po jednoznacznym stwierdzeniu jego tożsamości”[35]. Zbrodnie hitlerowskich przywódców były przecież tak straszliwe, że utrzymywanie tych przestępców przy życiu niczemu nie służyło.

Nie był to odosobniony pogląd. Na przykład amerykański sekretarz stanu Cordell Hull poinformował swoich brytyjskich i radzieckich współpracowników, że rozwiązaniem jego zdaniem idealnym byłoby „wziąć Hitlera, Mussoliniego, Tojo i ich głównych wspólników i postawić ich przed doraźnym sądem wojennym. A nazajutrz o świcie miałoby miejsce historyczne wydarzenie”[36]. Hull, nawiasem mówiąc, był laureatem Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1945. Jeszcze w czasie wojny brytyjskie Foreign Office rozesłało memorandum z protestem przeciwko idei powojennych procesów takich osobników jak na przykład dowódca SS Heinrich Himmler, gdyż wina za zbrodnie „tak ponure” jest „poza zasięgiem jakiegokolwiek wymiaru sprawiedliwości”[37]. Także Churchill uważał, że najlepiej byłoby „postawić ich w rządku i rozstrzelać”. Trochę to

ostre, ale stawianie ludzi przed trybunałem (zwłaszcza takim, w którym zasiadaliby również sędziowie radzieccy, sami bez czystych rąk) ze świadomością, że wyrok może być tylko jeden, jest w stanie przynieść idei wymiaru sprawiedliwości więcej szkody niż pożytku. Związek Radziecki upierał się przy konieczności zorganizowania procesów, Churchill długo protestował. Po czym, już w Norymberdze, sędziowie zachodni doznali szoku, gdy sędziowie radzieccy wznieśli toast za egzekucję hitlerowskich przywódców, zanim jeszcze procesy w ogóle się rozpoczęły.

Dziwna rzecz, ale także na Niemcach egzekucje zrobiłyby prawdopodobnie większe wrażenie niż procesy. Podczas wizyty w Hamburgu angielski poeta Stephen Spender dowiedział się, że większość Niemców uważa proces osób odpowiedzialnych za koszmar Bergen-Belsen za zwyczajną propagandę: „Ci Niemcy mówili, że skoro podsądni są faktycznie winni, a my wiemy, że są winni, to czemu nie załatwimy całej sprawy szybko i nie skażemy ich?”[38].

Wspominając o krańcowym charakterze winy Himmlera, memorandum Foreign Office trafiło w sedno bardzo istotnego problemu: czy obowiązujące prawa są przystające i w ogóle zdolne odnieść się do zbrodni dalece wykraczających poza typowe zbrodnie wojenne? Niewykluczone, że w tym czasie nie zdawano sobie jeszcze sprawy z rzeczywistych rozmiarów i charakteru hitlerowskiej próby eksterminacji całego narodu z pobudek ideologicznych. Nie używano jeszcze słowa Holokaust. Alianci widzieli już jednak dość, by zrozumieć, że stoją wobec czegoś niesłychanego. Implikacje prawne były oczywiste jeszcze przed Norymbergą.

Tylko wojska radzieckie oglądały pozostałości hitlerowskich obozów zagłady w Polsce, lecz aliantami z Zachodu już wystarczająco wstrząsnęło to, co zobaczyli w obozach koncentracyjnych: Dachau, Buchenwaldzie, Bergen-Belsen. 12 kwietnia 1945 roku generał Eisenhower przyjechał do Ohrdruf, podobozu Buchenwaldu pod Weimarem. Esesmani opuścili go dopiero niedawno, a przedtem nie zdążyli skremować wszystkich trupów, które leżały teraz rozrzucone jak połamane lalki; obok nich leżeli więźniowie, zbyt słabi by wstać. Korespondent „Yank”, sierżant Saul Levitt, pisał: „Mróz zakonserwował zwłoki i do tego stopnia osłabił smród,

że dawało się chodzić między nimi i przyglądać się z bliska”. Dostrzegł makabryczny szczegół: „Krew zakrzepła wokół ciał w placki czerwonego błota”[39].

Eisenhower pisał do żony, Mamie: „Nawet mi się nie śniło, że takie okrucieństwo, bestialstwo i zdziczenie może naprawdę istnieć na tym świecie”. Chciał, aby amerykańscy żołnierze obejrzeli obóz i dzięki temu pozbyli się wszelkich wątpliwości, po co walczą w tej wojnie. Chciał, żeby obozy odwiedzali korespondenci wojenni, aby nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że te ohydne zbrodnie są jedynie wymysłem propagandy. Amerykańscy senatorzy i kongresmeni oraz posłowie do parlamentu Wielkiej Brytanii zostali zaproszeni w podróż po obozach. Generał pragnął, aby wszystko: stosy gnijących zwłok, krematoria, izby tortur, zostało uwiecznione, z prostego powodu – ponieważ jest to „nie do ogarnięcia dla amerykańskiego umysłu”[40]. Zawiadomił też Churchilla, że „odkrycia, zwłaszcza te dokonane w Weimarze, dalece przerastają wszystko, co zostało ujawnione wcześniej”[41].

Mieszkający w okolicy Niemcy pod przymusem zwiedzali obóz. Zatykali nosy chusteczkami, odwracali wzrok, przy dołach pełnych sczerniałych zwłok wielu zwymiotowało. Wkrótce także obywatelom krajów sprzymierzonych zaczęto pokazywać, co uczynili Niemcy. Nie wszystkim się to podobało. W londyńskim Leicester Square Theatre widzowie, „nie mogąc wytrzymać pokazywanych w kronice filmowej potworności”, chcieli opuścić kino, lecz zostali zatrzymani przy drzwiach przez żołnierzy. Gazeta „Daily Mirror” donosiła, że „w całym kraju ludzie wychodzą z kin, lecz w wielu miejscach na wychodzących czekają żołnierze, którzy każą im wrócić na salę i patrzeć”, i cytowała słowa jednego z tych żołnierzy: „Ludzie wątpią, czy coś takiego mogło się w ogóle wydarzyć. Te filmy to dowód. Każdy ma obowiązek wiedzieć”[42].

Londyński „Times” ujął to samo innymi słowami: „To, aby świat cywilizowany pożegnał się z ostatnim pretekstem do uporczywego sceptycyzmu, a tym samym do obojętności wobec tych bestialstw, ma nadrzędne znaczenie dla samej cywilizacji”[43]. Gorąco popierane przez

Eisenhowera założenie, że świadomość zdolności jednostek do czynienia zła sprawia, iż reszta ludzkości staje się lepsza, że poznanie najgorszych aspektów ludzkiego charakteru jest procesem cywilizującym, stanowiło podłoże filozoficzne dla zbliżających się procesów zbrodniarzy wojennych.

Nie do końca zdawano sobie jeszcze sprawę, że koszmar Ohrdruf mimo wszystko blednie przy fabrykach śmierci na terenie Polski; dlatego niektóre współczesne źródła mówią o „obozach śmierci" w odniesieniu do obozów koncentracyjnych. Co więcej, ówczesne doniesienia prasowe rzadko wspominały, że w wielu z nich większość ofiar stanowili Żydzi. Eisenhower był przekonany, że dla dobra cywilizacji ludzkość musi się dowiedzieć o potwornościach hitlerowskich obozów. Rozszerzenie zasięgu procesów zbrodniarzy wojennych miało stanowić naukę moralną nie tylko dla Niemców. 2 czerwca Eisenhower wystąpił do Połączonego Komitetu Szefów Sztabu z wnioskiem o wniesienie oskarżenia przeciwko winnym tych zbrodni.

Pierwszy proces załogi obozu koncentracyjnego odbył się w Bergen-Belsen, pod jurysdykcją brytyjską, nie amerykańską. Była to poniekąd próba generalna przed procesami norymberskimi w 1945 i 1946 roku. Pokazała ona niezbicie, jak trudno będzie odnieść istniejące przepisy i procedury prawne do zbrodni hitlerowskich. Wielu podsądnych, między innymi Josef Kramer, odrażający komendant obozu w Belsen, oraz lekarz obozowy Fritz Klein, pracowało wcześniej w Auschwitz-Birkenau. Uznano, że należy ich osądzić także za zbrodnie popełnione w Auschwitz; w ten sposób aktywne uczestnictwo w masowej eksterminacji zostało powiązane z zarzutem rażącego zaniedbania popełnionego w warunkach obłędnie przepełnionego obozu, w którym tysiące głodujących ludzi umierało na tyfus i inne choroby. W gazetach, nawet w powściągliwym zazwyczaj „Timesie", codziennie pojawiały się dramatyczne nagłówki: „Dantejskie sceny"; „Świadek z komory gazowej"; „Śmierć milionów"; „Dziewczęta na szubienicy"; „Historia dziewczyny zakatowanej na śmierć". Nazwiska komendanta Kramera, czyli „potwora z Belsen", oraz nadzorczyni Irmy Grese, dwudziestodwuletniej blondynki zwanej „piękną bestią" lub „hieną z Auschwitz", były na ustach wszystkich. Wątpliwe jednak, czy to

w jakimkolwiek stopniu pomogło ludziom zrozumieć istotę nazistowskich zbrodni. Jeśli degeneracja poszczególnych „bestii” czy „potworów” wywołuje w kimś uczucie szoku, to poniekąd znaczy, że nie dotarło do niego najważniejsze: jak zbrodniczy był system, w którym ich czyny uznawano za normalne. Wysoce kontrowersyjny raport Hanny Arendt z procesu Eichmanna w Jerozolimie w 1961 roku ujmuje to wyraźniej. Gdy masowa eksterminacja z przyczyn ideologicznych staje się polityką rządu, współwinni są wszyscy, od Reichsführera SS aż do urzędniczyny odpowiedzialnego za rozkład jazdy pociągów. „Bestie” jedynie ubrudziły ręce bardziej niż inni.

Zaszokowana opinia publiczna domagała się, aby proces załogi Belsen zakończył się jak najszybciej; nic nowego. Brytyjczycy jednak szczycili się, że tok postępowania będzie należyty i sprawiedliwy – tego typu wybryki, jakie zdyskredytowały proces Lavala, nie wchodziły w grę; a tymczasem powstał problem prawny. Otóż w gestii brytyjskiego sądu wojskowego, jaki działał w pretensjonalnym dziewiętnastowiecznym budynku gimnazjum w Lüneburgu, leżały jedynie zbrodnie wojenne, definiowane jako „pogwałcenie prawa konfliktów zbrojnych i zwyczajów wojennych”[44].

Nastąpiła dłuższa debata między prawnikami, czy przewinienia podsądnych w ogóle leżą w gestii tego sądu. Potem paru świadków złożyło wstrząsające zeznania. Zofia Litwińska z Lublina, która przeżyła i Auschwitz, i Belsen, opisała, jak w wigilię Bożego Narodzenia 1941 roku kobietom kazano rozebrać się do naga, wypędzono je z baraków i trzymano przez wiele godzin na mrozie. Po południu następnego dnia nagie kobiety załadowano na ciężarówki i przewieziono pod krematorium, gdzie zostały wysypane z wywrotek na ziemię jak kartofle lub węgiel.

Doktor Ada (Hadasa) Bimko z Sosnowca, która później wyszła za mąż za syjonistę Józefa Rosensafta, składała zeznania 21 września. W Auschwitz straciła oboje rodziców, brata, męża i sześcioletniego syna. Jako sanitariuszka obozowego szpitala była naocznym świadkiem wszystkich potworności: selekcji, w których uczestniczyli zarówno Kramer, jak i doktor Klein, eksperymentów medycznych oraz działania krematoriów, gdzie najbardziej odrażające zadania, takie jak obcinanie

włosów, transport zwłok i obsługa pieców, wykonywali Żydzi, więźniowie z Sonderkommando. Doktor Bimko zeznała, jak pisał później „Times", że ludzi przeznaczonych do gazu „zabierano nagich na blok, a potem trzymano parę dni bez jedzenia i picia, aż przyjechały ciężarówki i zabrały ich do krematorium". Kiedy skazańcy się udusili, mówiła dalej Bimko, „zwłoki ładowano na wózki, które wyjeżdżały po szynach z pomieszczenia po przeciwnej stronie niż przebieralnia. Co jakiś czas członków Sonderkommando wysyłano do gazu i ich miejsce zajmowali inni. Można było jednak prowadzić coś w rodzaju rejestru"; znajomi więźniowie powiedzieli jej, że według ich obliczeń zagazowano około 4 milionów Żydów[45].

Znajomi doktor Bimko przecenili liczbę ofiar, ale najważniejsze, że brytyjski sąd wojskowy poznał nagie fakty na temat ludobójstwa Żydów. Obrońcy podsądnych próbowali wykryć luki w pamięci świadków oraz niekonsekwencje w ich zeznaniach. Obrońca Kramera, major Winwood, stwierdził, że więźniowie Belsen to były „szumowiny gett Europy Środkowej" (być może pragnął tu zagrać na uprzedzeniach, które w tym okresie bynajmniej nie były rzadkością); później przepraszał, mówiąc, że jedynie „wyraził głośno opinię oskarżonego"[46]. W zasadzie nikt nie miał wątpliwości, że do opisywanych zbrodni faktycznie doszło. To nie zmienia faktu, że był to sąd wojskowy i niektórzy prawnicy potrafili myśleć wyłącznie w kategoriach wojskowych. Major Winwood porównywał swojego klienta do „dowódcy batalionu, w którego gestii znajduje się więzienie, a rozkazy dotyczące tego więzienia przychodzą ze sztabu brygady". SS-Hauptsturmführer Kramer jest prostym żołnierzem, który słuchał rozkazów. Nie ma dowodów, że miała miejsce jakakolwiek „zamierzona próba niewłaściwego potraktowania osób internowanych w obozie"[47].

Obrona powołała pułkownika Herberta A. Smitha, profesora prawa międzynarodowego na uniwersytecie w Londynie, aby wykazał, że nie została popełniona żadna zbrodnia wojenna. To, co działo się w obozach, „nie miało nic wspólnego z wojną", a w danym miejscu i czasie nie było w ogóle uważane za przestępstwo. Profesor przypomniał, że Himmler był

szefem policji i miał prawo wydawać rozkazy, które „jako takie miały moc ustawy prawnej”[48].

Żaden z tych argumentów nie uratował Kramera, Grese i doktora Kleina od stryczka. Jednak z procesu załogi Belsen dało się wyciągnąć co najmniej dwa wnioski. Po pierwsze, społeczeństwa być może jeszcze nie w pełni zdawały sobie sprawę z różnicy między obozem koncentracyjnym a obozem zagłady ani też nie wiedziały, ilu ludzi zginęło w Europie Środkowej, zanim nawet rozgorzały piece w pierwszym krematorium. Ale to, że hitlerowska maszyna zbrodni działała systemowo, powinno było być jasne dla każdego, kto w 1945 roku przeczytał chociaż jedną gazetę. To dlatego uwagi na temat braku „zamierzonego niewłaściwego traktowania” brzmią tak kretyńsko. Po drugie, pedantyczne podejście profesora Smitha uwidoczniło fakt, że istniejące przepisy prawne i konwencje dotyczące zbrodni wojennych nie przystają do charakteru i skali postępowania nazistów. To przygotowało arenę dla największego ze wszystkich procesów zbrodniarzy wojennych, który rozpoczął się w Norymberdze 20 listopada, cztery dni po wykonaniu wyroków śmierci na bestiach z Belsen.

***

Jedno trzeba powiedzieć: dwudziestu dwóch oskarżonych w procesie norymberskim w niczym nie przypominało bestii. Obserwatorzy zwrócili uwagę, jak absolutnie zwyczajnie wyglądają ci bladzi, zmęczeni mężczyźni w pomiętych garniturach: Joachim von Ribbentrop ma przymknięte oczy, a na twarzy wyraz urażonej godności; Hermann Göring siedzi zgarbiony na ławie, chusteczką ociera ślinę z wykrzywionych w uśmieszku warg; Hans Frank ukrywa oczy za ciemnymi szkłami okularów; Fritz Sauckel, szef od spraw pracy przymusowej, wygląda jak nieśmiały konsjerż; Hjalmar Schacht odwraca się od pozostałych, jakby się bał czymś zarazić; Julius Streicher wierci się i wzdryga nerwowo. Jedynie spoglądający dziko spod krzaczastych brwi, kołyszący się w przód i w tył Rudolf Hess wyglądał trochę dziwnie, ale niewykluczone, że on akurat był chory umysłowo.

Oprócz niektórych świadków, tylko jeden człowiek obecny w norymberskim Pałacu Sprawiedliwości odczuł w pełni, na własnej skórze, potęgę systemu stworzonego przez podsądnych. Mało kto rozpoznałby jego nazwisko lub w ogóle zauważył jego obecność pośród setek prawników, tłumaczy, urzędników sądowych, sędziów, żandarmów i dziennikarzy. Ernst Michel był młodszym korespondentem w niemieckiej agencji prasowej Deutsche Allgemeine Nachrichtenagentur. Swoje sprawozdania podpisywał nie tylko imieniem i nazwiskiem, lecz także numerem 104 995, który nosił w Auschwitz. Uczył się jeszcze w szkole, kiedy w 1939 roku został wywieziony ze swego rodzinnego Mannheim – tylko dlatego, że był Żydem.

Armia Czerwona zbliżała się do Auschwitz. Więźniów, między innymi Michla, pognano w marsz śmierci przez pogranicze Polski i Niemiec do Buchenwaldu. Był styczeń: śnieg, mróz. Kiedy pod Buchenwald podeszła armia amerykańska, Michel wyruszył w kolejny marsz śmierci. Ważył 40 kilogramów. Cudem znalazł w sobie dość energii, by skoczyć w las. Jakiś czas przeżył w radzieckiej strefie okupacyjnej; ze strachu, że zostanie rozpoznany jako Żyd, chował pasiak pod łachmanami. Kiedy wreszcie wrócił do Mannheim, dowiedział się, że oboje jego rodzice zginęli. Nie odnalazł też nikogo z krewnych. Znał trochę angielski z liceum, więc badający zbrodnie wojenne amerykańscy śledczy zatrudnili go jako tłumacza. Dziś mieszka w Nowym Jorku. Powiedział mi: „Niemcy zawsze twierdzili, że pomagali Żydom. Aha, jak cholera! Sam znałem jednego, co tak mówił, i to był prawdziwy nazista”.

Następnie otrzymał pracę w agencji prasowej i miał pisać sprawozdania z procesu w Norymberdze. Martwił się brakiem kwalifikacji, ale usłyszał, że ma po prostu opisywać to, co zobaczy. No i siedział – pół roku po ucieczce z buchenwaldzkiego marszu śmierci, więzień Auschwitz numer 104 995 – na tej samej sali co Göring. Ponad sześćdziesiąt lat później wspominał: „Znałem wszystkie te twarze. I jako wolny człowiek byłem obecny na tym procesie jako jedyny z tych, którzy przeżyli. Oni mówili o mnie”.

Oto co Ernst Michel napisał w swoim pierwszym sprawozdaniu:

> Często podczas trudnych godzin w obozie podtrzymywała mnie wiara, że pewnego dnia ludzie odpowiedzialni za ten system staną przed sądem. Ta wiara dała mi siłę, aby przetrwać. Dziś nadszedł ten dzień. Dziś zaledwie parę metrów ode mnie siedzą ludzie, którzy dla wszystkich więźniów w obozach byli symbolem unicestwienia, a którzy teraz są sądzeni za swoje czyny[49].

Alianckie trybunały wojenne mogły być pełne usterek prawnych – i faktycznie były, tokijski jeszcze bardziej niż norymberski, ale to nieważne; niech słowa Michela posłużą za argument, po co w ogóle je organizowano. Procesowi norymberskiemu trzeba też przyznać, że był w większości przeraźliwie nudny. Rebecca West, która spędziła w Norymberdze ostatnie tygodnie przed ogłoszeniem werdyktów, nazwała Pałac Sprawiedliwości „cytadelą nudy". Ktokolwiek tam wejdzie, pisała, „pada ofiarą krańcowej monotonii […] to były nudy w wielkiej, historycznej skali. Z wolna zatrzymywała się machina, ogromna machina, dzięki której ludzkość, pomimo swego braku determinacji oraz powszechnego pragnienia śmierci, ocaliła swój byt"[50].

W Norymberdze przynajmniej nikt nie robił farsy z procedur prawnych. Nie był to pośpieszny proces napędzany podnieceniem dyszącej zemstą publiki. Wszystko szło swoim rytmem, i szło, i szło… Właśnie wtedy monotonia stała się znakiem rzetelności. Późniejsze procesy przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze będą wzorowane na Norymberdze, i to szczególnie pod tym właśnie względem. Nuda zagwoździła armaty zemsty. I o to chodziło. Już na początku 1942 roku dziewięć rezydujących w Londynie rządów na uchodźstwie utworzyło międzysojuszniczą komisję do spraw karania zbrodni wojennych. Deklaracja z St. James Palace, nazwana tak od miejsca jej podpisania, powstała z myślą o groźbie „aktów zemsty ze strony społeczeństwa". Z tego powodu „poczucie sprawiedliwości cywilizowanego świata" wymaga, aby wolne rządy „jednym ze swoich głównych celów militarnych uczyniły ukaranie, drogą zorganizowanego wymiaru sprawiedliwości, osób winnych tych zbrodni"[51].

W czasie procesu norymberskiego świadomość ludobójstwa popełnionego przez Niemców na narodzie żydowskim była wciąż niska, ale na pewno nie zerowa. Amerykańscy i europejscy sprzymierzeńcy zarzucili rządowi niemieckiemu, że prowadzi „bestialską politykę eksterminacji narodu żydowskiego w Europie", już w grudniu 1942 roku, zalewie kilka miesięcy po rozruchu komór gazowych w obozach zagłady. Wiedza ta nie zyskała szerszego oddźwięku z dwóch powodów: ogrom zbrodni wciąż jeszcze nie mieścił się w głowie, to po pierwsze, a po drugie, ani amerykański, ani brytyjski rząd nie uważał za stosowne rozgłaszać posiadanych danych, aby ludzie nie pomyśleli, że wojna ma na celu jedynie ocalenie Żydów[52].

Związek Radziecki milczał, gdy w 1942 roku zachodni sprzymierzeńcy potępiali ludobójstwo Żydów, i jeszcze długo po wojnie mówił wyłącznie o „ofiarach faszyzmu", nie wymieniając przy tym Żydów. W Norymberdze radzieccy oskarżyciele podnieśli jednak tę kwestię. Generał Roman Rudenko, jeden z pięciu głównych oskarżycieli, wcześniej osobiście przeprowadzał krwawe procesy pokazowe. Oprócz tego nie wahał się rozpowszechniać w Norymberdze kłamliwej propagandy, na przykład obciążając Niemców winą za wymordowanie ponad 20 tysięcy polskich oficerów w lasach pod Katyniem w 1940 roku, podczas kiedy doskonale wiedział, że zbrodnia ta była dziełem radzieckiej tajnej policji. Lecz jeśli chodzi o charakter ludobójstwa Żydów, Rudenko wyrażał się jednoznacznie. W jednym ze swoich sprawozdań Ernst Michel cytował jego przemowę: „Faszystowscy spiskowcy planowali eksterminację światowej populacji Żydów aż do ostatniego człowieka i prowadzili tę eksterminację od 1933 roku w ciągu całego okresu swojej działalności. Na Ukrainie, na Białorusi i w krajach bałtyckich nastąpiło bestialskie unicestwienie narodu żydowskiego"[53].

To była lekka przesada. Eksterminacja Żydów rozpoczęła się w 1941, a nie w 1933 roku. Rudenko prawdopodobnie wymienił wcześniejszą datę, aby podkreślić istnienie faszystowskiego spisku mającego na celu nie tylko zagładę Żydów, lecz także agresję na Związek Radziecki.

Ponieważ, jak to stwierdzono już podczas procesu belseńskiego, istniejące prawa odnosiły się wyłącznie do aktów wojny, należało stworzyć nowe prawa, obejmujące Trzecią Rzeszę przed 1939 rokiem, a także całe prawodawstwo dotyczące systemowej eksterminacji narodu. Fakt, że w hitlerowskich Niemczech nie istniały ustawy zabraniające zabijania Żydów (oraz pozostałych niewinnych cywilów), nie mógł być uznany za wymówkę. Nie uznano także rozkazu zwierzchnika za uzasadniony powód udziału w masowym morderstwie. Nowa kategoria prawna, „zbrodnie przeciwko ludzkości", określona w sierpniu 1945 roku w Karcie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego (tak zwana Karta Londyńska), rozszerzyła pojęcie zbrodni wojennej. Kolejną innowacją było pojęcie „zbrodni przeciwko pokojowi", oznaczające planowanie i prowadzenie wojny agresywnej. Planowanie poprzedzało działania militarne. Tu wchodzi do gry pojęcie spisku. Otóż w prawie anglo-amerykańskim można uznać kogoś za winnego spiskowania z zamiarem popełnienia zbrodni. Prawo to uznano za odnoszące się do hitlerowców (a później, na znacznie bardziej wątpliwej podstawie, również do armii i rządu Japonii).

Z prawnego punktu widzenia skazywanie ludzi za łamanie praw, które w chwili popełnienia przestępstwa jeszcze nie istniały, jest dyskusyjne. Kwestionować można także stawianie obywateli pokonanego narodu przed sądem złożonym ze zwycięzców. Fakt, że procesy tokijskie w 1946 roku prowadzono tak, jakby Japonia była w czasie wojny lustrzanym odbiciem hitlerowskich Niemiec, również wiódł do ogromnych wypaczeń. Pisarz Ernst Jünger, prawicowy nacjonalista, dostrzegał wielkie moralne zagrożenie w czynieniu z kanalii ofiar sprawiedliwości. Opisywał norymberski trybunał jako „składający się z zabójców i purytanów, trzymających rzeźnicze noże za rękojeść moralności"[54].

Z drugiej strony jest to opinia nieugiętego niemieckiego nacjonalisty, którego pogarda dla Amerykanów równała się nienawiści do radzieckiego bolszewizmu. Ogólnie rzecz biorąc, lepiej było przeprowadzić procesy, nawet jeśli sędziowie byli purytańscy lub mieli zakrwawione ręce, niż postąpić tak, jak sugerowali Churchill, Hull i Kennan. Doraźne egzekucje postawiłyby zwycięskich Sprzymierzonych na jednej płaszczyźnie moralnej

z pokonanymi hitlerowcami. Owszem, większość Niemców doceniła zalety procesów norymberskich dopiero później, kiedy już osłabła gorycz porażki i życie zrobiło się spokojniejsze; ale procesy dostarczyły Niemcom wzoru, według którego mogli już samodzielnie sądzić swoich zbrodniarzy wojennych. Japończycy nie poszli w ich ślady z wielu powodów: w Tokio to, że sprawiedliwość wymierzają zwycięzcy, było bardziej rażąco widoczne, popełniono więcej omyłek, samą wojnę postrzegano zupełnie inaczej – no i nie było ani nazistowskiego reżimu, ani Zagłady, ani Hitlera.

Czy zatem sprawiedliwość została wymierzona? Czy procesy i czystki wystarczyły, aby każdy zyskał świadomość, że została wymierzona? Na te pytania trzeba odpowiedzieć: nie. Zbyt wielu zbrodniarzy pozostało na wolności i często zrobiło wspaniałe kariery, podczas gdy innych, którzy nieraz mniej zawinili, ukarano jako kozły ofiarne. Lecz przecież nawet w najbardziej sprzyjających warunkach sprawiedliwość absolutna to utopijny ideał. Nie da się jej osiągnąć z przyczyn zarówno praktycznych, jak i politycznych. Nie da się postawić przed sądem milionów ludzi. Inne potrzeby muszą zrównoważyć pragnienie ukarania winnych. Zbytnia gorliwość w karaniu uniemożliwiłaby odbudowę społeczeństw. Zbytnia pobłażliwość dla najgorszych zbrodniarzy byłaby wbrew wszelkiemu poczuciu przyzwoitości. Szukanie równowagi między jednym a drugim to proces zbyt subtelny, by dało się uniknąć błędów. Zapewne niełatwo było młodym ludziom rosnąć w powojennych Niemczech, mając byłych nazistów za nauczycieli, lekarzy, wykładowców na uczelni, dyplomatów, przedsiębiorców i polityków. Zresztą nie tylko w Niemczech czy Japonii, lecz także w byłych krajach okupowanych. Stare elity, które dogadały się z Trzecią Rzeszą, po jej klęsce rzadko spadały ze swoich wygodnych stołków – a jeśli, to lądowały niedużo niżej.

Czasami jednak oportunizm bywa najbardziej przydatną cechą ludzkości. W czerwcu 1945 roku Ruth Andreas-Friedrich rozmawiała o tym z przyjacielem i towarzyszem z berlińskiego ruchu oporu, który miał na imię Frank. Powiedział on:

> Führer nie żyje. Jeśli chcesz żyć, musisz jeść. Jeśli chcesz jeść, i to dobrze jeść, lepiej, żebyś nie był nazistą. Więc nie są nazistami. Skoro tak, to nie byli nazistami, przysięgną ci na wszystko co święte, że nigdy nimi nie byli. […] Oskarżenia i potępienia nie pomagają w ulepszaniu ludzkości. Pomóc im się podnieść z upadku. Dać im szansę zadośćuczynienia za przewiny. A potem już żadnego odwetu. Nigdy i zupełnie[55].

Ciężaru moralnego tym słowom przydaje fakt, że wypowiada je człowiek, który zwalczając hitleryzm, ryzykował życie. Ten sam oportunizm, który pozwolił bankierowi przystosować się do zbrodniczego reżimu i finansować przedsiębiorstwa wykorzystujące pracę przymusową i budujące fabryki przy obozach zagłady, po wojnie mógł uczynić tego człowieka lojalnym obywatelem demokratycznych Niemiec i kazać mu przyłożyć rękę do ich odbudowy. Ale niewykluczone, że to niesprawiedliwe, a wręcz moralnie odpychające. Co więcej, Niemcy, Japonia, a nawet Włochy w końcu musiały za to boleśnie zapłacić. W latach siedemdziesiątych plagą wszystkich trzech krajów były skrajnie lewicowe organizacje; motorem ich działalności terrorystycznej stało się przekonanie, że ich kraje nic się nie zmieniły, że faszyzm nadal żyje, chociaż w nowym wcieleniu, i że ludzie, którzy walczyli w jego imię w latach czterdziestych, wciąż niosą jego sztandar. Młodzi ekstremiści wierzyli, że mają obowiązek stawić mu opór, ponieważ nie zrobiło tego pokolenie ich rodziców.

Robert H. Jackson, kolejny z głównych oskarżycieli w Norymberdze (oraz sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych), był bardzo daleki od rewolucyjnego ekstremizmu, lecz uważał, że w procesach zbrodniarzy wojennych chodzi o coś więcej niż ustalenie winy i ukaranie winowajców. Żywił przekonanie, że przemawia w imieniu cywilizacji. Po Norymberdze świat będzie lepszy. W oświadczeniu wstępnym stwierdził z dumą: „Fakt, że cztery wielkie narody, choć upojone zwycięstwem i zranione doznanymi krzywdami, postanowiły powstrzymać dłoń zemsty i dobrowolnie oddają pojmanych nieprzyjaciół osądowi prawa, jest chyba największym hołdem, jaki Siła złożyła kiedykolwiek Rozumowi”. Z myślą o przyszłości dodał zaś: „Nie wolno nam zapomnieć, że jutro historia osądzi nas na podstawie tych samych dowodów, które dziś służą nam do orzekania o winie lub

niewinności tych oto podsądnych. Jeśli podamy im zatruty kielich, tym samym podniesiemy go do własnych warg”[56].

Jackson był idealistą. Widział procesy jako etap budowy lepszego świata, w którym nigdy nie powtórzyłby się koszmar przeszłości. Kiedy proces norymberski dobiegł końca, w towarzystwie brytyjskiego adwokata Petera Calvocoressiego wybrał się na pierwszy od 1939 roku festiwal muzyczny w Salzburgu. Wysłuchali tam opery *Kawaler srebrnej róży*; ogromne wrażenie zrobił na nich przepiękny głos młodej niemieckiej śpiewaczki Elisabeth Schwarzkopf.

Nad głową wielkiej sopranistki unosiła się maleńka czarna chmurka: od 1940 roku była członkinią NSDAP, dawała recitale dla oficerów SS na froncie wschodnim i podobno miała romans z generałem SS, gubernatorem Dolnej Austrii. Może robiła to wszystko z przekonania. Może była oportunistką. W każdym razie wkrótce już znów cieszyła się doskonałą reputacją. Najbardziej przyczynił się do tego mężczyzna, którego poślubiła w 1953 roku: brytyjski producent muzyczny i impresario Walter Legge, Żyd.

CZĘŚĆ TRZECIA

NIGDY WIĘCEJ

ROZDZIAŁ 7

PORANEK JASNEGO DNIA

Ernst Michel, późniejszy autor sprawozdań z procesów norymberskich, był jednym z tysięcy więźniów, którzy w chłodny dzień 8 kwietnia 1945 roku wyruszyli z Buchenwaldu w marsz śmierci. Ci, którzy pod strażą uszczuplonej załogi pozostali w obozie, wiedzieli, że jeśli wkrótce nie nadciągną wojska amerykańskie, oni albo też wyruszą w marsz śmierci, albo zostaną zabici na miejscu. Pięknie położony na grzbiecie góry Ettersberg Buchenwald należał do najgorszych obozów koncentracyjnych. Często stosowano tam torturę powieszenia na gałęzi drzewa za związane na plecach nadgarstki. Niegdyś w lesie na Ettersbergu Goethe kontemplował uroki przyrody i konwersował z przyjacielem, młodym poetą, który skrzętnie zapisywał jego uwagi. A teraz ten sam las nazywano „śpiewającym lasem”, gdyż tak strasznie krzyczeli tam z bólu torturowani więźniowie.

W obozie działała kierowana przez komunistów nieduża organizacja podziemna. W barakach ukryte było kilkadziesiąt sztuk broni oraz nadajnik krótkofalowy zmontowany przez polskiego inżyniera. 8 kwietnia więźniowie nadali rozpaczliwą wiadomość: „Do aliantów. Do armii generała Pattona. Tu obóz koncentracyjny Buchenwald. SOS. Wzywamy pomocy. Będą nas ewakuować. SS nas zlikwiduje”. Trzy minuty później nadeszła odpowiedź: „KZ Bu. Wytrwajcie. Śpieszymy wam na pomoc. Sztab Trzeciej Armii”[1].

Mało kto miał dość energii, by zaatakować esesmanów, a kiedy Amerykanie już nadeszli – by świętować. Ale niektórzy członkowie obozowej organizacji, może zdrowsi, a może bardziej zdeterminowani od innych, zdecydowali się nie czekać na Trzecią Armię. Świadomość, że ratunek nadchodzi, dodała im sił. Wydobyli ukrytą broń, wzięli szturmem wieże strażnicze i zlikwidowali resztę załogi obozu.

Amerykańscy żołnierze próbowali dostarczyć wodę i żywność dla chorych i umierających, a tymczasem komuniści kierujący obozowym ruchem oporu myśleli już o przyszłości. Niemal natychmiast bramę obozu z żeliwnym napisem *Jedem das Seine* (Każdemu, co jego) pokryły tablice z napisem: „Nigdy więcej!”.

To samo czuli na pewno wszyscy ludzie, którym ten najstraszliwszy konflikt w historii ludzkości przysporzył cierpień: „Nigdy więcej”. Dla wielu jednak słowa te wyrażały nie tylko pragnienie, lecz coś więcej: utopijną być może ideę, że z popiołów powstanie nowy lepszy świat. Wielu ludzi, w tym mój ojciec, tęskniło do chwili powrotu normalności; inni jednak wiedzieli, że powrót ten nie jest możliwy, że przedwojenny świat przeminął bezpowrotnie. Dewastacja większości Europy i sporej części Azji, moralne bankructwo dawnych ustrojów politycznych (wliczając w to kolonializm), upadek nazizmu i faszyzmu – wszystko to podsycało nadzieję na nowy początek. Rok 1945 to *tabula rasa*; z ulgą odrzuci się historię; nic nie jest niemożliwe. To wrażenie rodziło takie określenia jak *Deutschland, Stunde Null*, wykorzystane przez Roberto Rosselliniego jako tytuł jego filmu o życiu w ruinach Berlina (*Niemcy – rok zerowy*), oraz nazwa formacji Gruppe Neu Beginnen (Grupa Nowy Początek), utworzonej przez niemieckich socjaldemokratów na emigracji w Londynie.

Oczywiście nie wszystko było możliwe. W biegu ludzkich spraw nie ma czegoś takiego jak *tabula rasa*. Choćby nie wiem jak się chciało, historii nie da się anulować. Co więcej, prawie wszyscy się zgadzali, że koszmar tej wojny nigdy więcej nie powinien się powtórzyć, ale w kwestii tego, jak to osiągnąć, panowały już większe różnice zdań. Utopijne ideały, a nawet znacznie skromniejsze nadzieje na zmiany polityczne przybierają wiele różnych kształtów.

Wiadomo, jaki model rewolucji mieli na myśli radzieccy i chińscy komuniści. Jasne jest też, jakie nadzieje żywili nacjonaliści w europejskich koloniach w Azji. Bardziej skomplikowane były cele partii komunistycznych w zachodniej Europie, którym Stalin z powodów geopolitycznych nałożył wędzidło. W każdym razie niezależnie od męstwa francuskich i włoskich partyzantów realna władza będzie poza ich zasięgiem. A mimo tego w zachodniej Europie zaszła zadziwiająca zmiana. Jej motorem byli socjaldemokraci, którzy robili plany na przyszłość na długo przed zakończeniem wojny. Najbardziej zaś radykalna zmiana nastąpiła nie w którymś z byłych państw okupowanych, lecz w bastionie tradycji, w konserwatywnym wyspiarskim kraju, którego bohaterski opór podsycał nadzieje Europejczyków w najczarniejszych godzinach wojny, gdy Hitler wydawał się niepokonany – w Wielkiej Brytanii.

***

Moja brytyjska babcia, której płomienny patriotyzm był typowy dla dziecka imigrantów, poczuła się wstrząśnięta i zgorszona, że jej rodacy mieli czelność zagłosować przeciwko konserwatystom Winstona Churchilla. W lipcu 1945 roku Brytyjczycy wysłali Winstona na zieloną trawkę: Partia Pracy odniosła miażdżące zwycięstwo i premierem został Clement Attlee. W liście do dziadka, którego obowiązki wojskowe wciąż trzymały w Indiach, babcia wyrzucała Brytyjczykom „czarną niewdzięczność” wobec „tego wielkiego człowieka, któremu wszystko zawdzięczamy”. Dziadek, który także wywodził się z rodziny żydowskich imigrantów, był mniej zaciekły w swoich osądach; no, ale on służył w wojsku i znał ludzi o rozmaitych przekonaniach.

Nawet sami zwycięzcy byli tak zdumieni skalą swego triumfu, że zanim wybuchły wiwaty, musieli wziąć głęboki wdech. Delegaci związków zawodowych siedzieli w kiepskich hotelach na północy Anglii i w milczeniu patrzyli, jak wyświetlane na wielkich ekranach cyfry idą w górę. Ostateczny wynik: laburzyści 393 miejsc w parlamencie, konserwatyści – 213. Sprawozdanie w „Manchester Guardian”: „Na lewicy

grom z jasnego nieba zmienił się w błyskawice, gdy tabele wyników rozjarzyły się zwycięstwem Partii Pracy. Tylko jedna jedyna rzecz odbywała się dziś w zwolnionym tempie: przyswajanie tej wiadomości przez zdumionych ludzi. […] Przez cały ten czas pan Attlee pozostał spokojny i pełen rezerwy. Wyglądał na nieco zmęczonego”[2].

Partia Pracy jęła wprowadzać autentycznie radykalny program, lecz cały czas zachowywała pozory skromności. Najsłynniejszy przejaw triumfalizmu miał miejsce dopiero rok później, gdy Hartley Shawcross – jeden z głównych oskarżycieli podczas procesu w Norymberdze i polityk dużo błyskotliwszy niż Attlee – oznajmił na forum parlamentu: „Obecnie to my jesteśmy górą, i pozostaniemy górą jeszcze przez czas dłuższy”[3]. Ta chełpliwa wypowiedź mściła się na nim przez resztę życia, co dowodzi, że nowa gwardia naprawdę bardzo się starała nie wyglądać na butną.

Po wyborach „The Guardian” zacytował amerykański komentarz: „Jakie to dziwne, że Anglia robi się socjalistyczna, podczas gdy Ameryka pozbywa się zwolenników Nowego Ładu i wraca prościutko do centrum”[4].

Inne reakcje z zagranicy też były interesujące. Żydzi z Palestyny się ucieszyli: laburzyści byli uważani za bardziej prosyjonistycznych niż torysi. Greckimi monarchistami wynik wyborów wstrząsnął, pognębiona zaś grecka lewica szalała z radości, mając nadzieję, że i dla niej powieje lepszy wiatr. Media radzieckie podały wiadomość o zwycięstwie laburzystów bez komentarza. W Hiszpanii faszystowski rząd generała Franco oczekiwał zerwania stosunków dyplomatycznych. W Indiach muzułmański arystokrata sir Khawaja Nazimuddin, były premier Bengalu, skomentował: „Wygląda na to, że brytyjscy wyborcy wyrzucili za burtę właśnie tego człowieka, który ocalił ich od zagłady, i zrobili to, jeszcze zanim wojna się skończyła”[5].

Może to i prawda, co powiedział wówczas pewien francuski polityk: że niewdzięczność jest cechą silnych narodów. Tyle że Churchill wciąż był głęboko szanowany. Dla wielu wyborców niemożliwym do osiągnięcia ideałem byłby laburzystowski rząd z Churchillem jako premierem. Niestety; „Kraj woli radzić sobie bez pana Churchilla niż dostać go za cenę

posiadania także i torysów” – celnie ujął rzecz korespondent polityczny „Guardiana”. Partia konserwatywna „nie tylko jest potępiana ze względu na swoją przeszłość; jest odrzucana, bo nie ma przesłania na dzisiejsze czasy. Wielka Brytania, tak samo jak kontynent, najwyraźniej pragnie nowego ładu”.

Sam Churchill był nieco ogłuszony rozwojem wypadków, ale przyjął cios w miarę pogodnie. Jego żona, Clementine, być może w nadziei, że teraz będzie częściej widywać męża w domu, powiedziała, że ta porażka może się jeszcze okazać utajonym dobrodziejstwem. A Churchill na to: „W chwili obecnej wydaje mi się ono bardzo skutecznie utajone”. Pragnął, żeby koalicja z czasów wojny przetrwała, przynajmniej do chwili kapitulacji Japonii. Nigdy nie czuł się dobrze jako polityk partyjny (dwukrotnie zmienił przynależność partyjną) i prawdopodobnie wolałby kierować rządem narodowym niż jednopartyjnym. Jednak Harold Nicolson, pamiętnikarz i dyplomata, który w tych wyborach utracił miejsce w parlamencie, twierdzi, że Churchill nie narzekał. Wykazał „spokojną, stoicką rezygnację, a prócz tego lekkie rozbawienie, że los zdołał tak dramatycznie z niego zadrwić, oraz cień podziwu dla objawionej przez elektorat niezależności”[6].

Niektórzy członkowie partii konserwatywnej, koledzy Churchilla, mieli więcej zrozumienia dla swoich przeciwników niż moja babcia. Harold Macmillan, który chyba wyczuł nastroje panujące w armii, zanotował w swoim pamiętniku, że biorąc pod uwagę czekający naród straszliwy wysiłek odbudowy, „być może dobrze się stało, że zdrowy instynkt podszepnął Brytyjczykom, iż rozsądniej będzie mieć u steru rząd lewicowy”[7]. Dodał jednak, że podczas wojny ludzie wmówili sobie, że „jak tylko walka się skończy, nadejdzie coś w rodzaju automatycznej utopii”. Jego zdaniem oczekiwano, że w brytyjskim państwie socjalistycznym „zapanuje niesłychany dobrobyt w warunkach światowego pokoju”[8]. Owszem, ten naiwny idealizm był dość powszechny, lecz ówczesnego przekonania, że Wielka Brytania doby Churchilla przeminęła i nadszedł czas zbudować bardziej sprawiedliwe społeczeństwo, nie można bagatelizować jako mrzonki. Niewykluczone, że Macmillan nie życzył

sobie przyjąć do wiadomości urazy, jaką ludzie, którzy w czasie wojny wzięli na swe barki większość harówki, odczuwali wobec klasy, do której on sam należał.

Inaczej Harold Nicolson: on dostrzegł to rozgoryczenie. Pod datą 27 maja, z wyraźną nutą uprzedzeń klasowych całkiem innego typu, pisał w swoim dzienniku, że ludzie żywią „niejasne i zagmatwane poczucie, iż wszystkim wyrzeczeniom, jakie musieli ponieść, […] winni są «oni» […]. Na drodze kompletnie nielogicznego rozumowania doszli do wniosku, że «oni» to klasy wyższe lub konserwatyści. Uczucia przynależności klasowej i niechęci klasowej są bardzo silne”[9].

Czy jednak aż tak nielogiczne jest poczucie, że społeczeństwo nie może powrócić do stanu poprzedniego, do „normalnego” stanu klasowej uległości, do naturalnej akceptacji przywilejów lub ich braku, do niemożności – z racji urodzenia – korzystania z dobrodziejstw porządnej edukacji, solidnego domu lub właściwej opieki medycznej? Po wojnie wiele pisano o solidarności międzyludzkiej, o zjednoczeniu w obliczu zagrożenia ojczyzny, o pogodnej zaciekłości brytyjskiego buldoga – „cokolwiek będzie, Londyn wytrzyma”, o wszechogarniającym duchu współdziałania. Cóż, doświadczenia, które podczas wojny zakopały przepaście społeczne, zrodziły również nowe poczucie uprawnienia, i po wojnie dawne nierówności okazały się już nie do przyjęcia. To była brytyjska wersja „Nigdy więcej!”.

Amerykański krytyk Edmund Wilson uczestniczył raz w wiecu laburzystów. Odbywał się on pewnego szarego popołudnia w przemysłowym mieście zabudowanym rzędami poczerniałych od pyłu węglowego kamienic. Przemawiał przewodniczący partii, teoretyk marksizmu Harold Laski. W ponurym skupieniu słuchał go tłum ludzi odzianych w niedobrane części polowych mundurów, których pozbyło się wojsko, i źle dopasowane garnitury typowe dla zdemobilizowanych żołnierzy. Winston Churchill jest „zwolennikiem tradycyjnej Brytanii i niewiele proponuje środków rzeczywistego rozwoju”, mówił Laski, a trzeba przy tym pamiętać, iż w tej tradycyjnej Brytanii zaledwie 1 procent

obywateli był w posiadaniu 50 procent majątku oraz że tylko 1 procent oficerów armii brytyjskiej wywodził się z rodzin robotniczych.

Słuchając, jak Laski opisuje dobrodziejstwa władzy socjalistycznej, Wilson dostrzegł starą kobietę (mogła ona zresztą wyglądać na starszą niż w rzeczywistości), która zachłannie wpatrywała się w mówcę. Jej wzrok przypomniał Wilsonowi widzianych w innych krajach Europy bladych i wychudłych ludzi, wyglądających inaczej niż nędzarze w czasach pokoju – jak gdyby należeli do „dziwacznej rasy istot o głodnych, zwierzęcych oczach", których spojrzenie „ogarnia jedynie potrzeby proste i ograniczone". Laski – „niewysoki, w okularach, z wysoko uniesionymi brwiami" – stał, „górując nad tą kobietą i jej milczącymi towarzyszami" i składał im obietnice, „które prawdopodobnie nie zawsze były możliwe do spełnienia"; jego słowa „to była po części jedynie demagogia". A jednak „na miejscu utrzymywało go jakieś hipnotyzujące napięcie, które zwracało go ku tej zasłuchanej kobiecie o poszarzałej twarzy i oczach kurczęcia"[10].

W Grecji Wilson zaznajomił się z grupą brytyjskich żołnierzy. Wyczuł, ku swemu dużemu zdziwieniu, powszechną niechęć szeregowców nie tylko w stosunku do oficerów, lecz i do samego Churchilla. Jeden z wiarusów „w nader mocnych słowach wypowiadał się na temat cygara Churchilla". Wszędzie, gdzie wojska brytyjskie spotkały się z amerykańskimi, żołnierze brytyjscy nie mogli nie zauważyć, że amerykańscy oficerowie o wiele lepiej traktują swoich podwładnych. W Delfach (*nomen omen*) Wilson stwierdził, że „jeśli chodzi o opinie na temat rządu Churchilla, podziały między oficerami a niższymi rangami biegną niemal dokładnie po liniach przynależności klasowej". Nie znalazł „ani jednego angielskiego szeregowca, który by nie głosował na Partię Pracy, i tylko jednego oficera, który na nią głosował"[11].

Ta informacja jest oczywiście niesprawdzalna; możliwe jednak, że na ogląd sytuacji rzutują tu poglądy obserwatora. Edmund Wilson był bowiem ogromnie wyczulony na rozmaite, bardziej lub mniej, subtelne oznaki poczucia wyższości, jakie Anglicy żywili nie tylko wobec żołnierzy niższych rang, lecz także wobec Amerykanów. Zresztą Wilson poznał tylko część prawdy. Przemian w brytyjskim społeczeństwie nie da się

wytłumaczyć wyłącznie walką klas. Noel Annan, w 1945 roku wysokiej rangi oficer wywiadu, a później między innymi rektor King’s College w Cambridge, był pod niemal każdym względem typowym przedstawicielem angielskiej wyższej klasy średniej (no, może z wyjątkiem szerokich zainteresowań intelektualnych). W 1945 roku głosował jednak na Partię Pracy, i nie on jeden, gdyż podobnie zrobiło całkiem sporo młodych oficerów. W pamiętniku Annan podał przyczynę swojej decyzji: owszem, podziwiał Churchilla, ale po prostu wątpił, czy Churchill „rozumie, czego kraj potrzebuje po wojnie”[12].

Wojna zmieniła postawy społeczne i poglądy polityczne Brytyjczyków, ponieważ wywołała zwiększenie świadomości klasowej, lecz również dlatego, że w jej wyniku poprawił się dostęp do edukacji. Podczas wojny rząd energicznie wspierał rozwój kultury. Rada Zachęty Muzyki i Sztuk Pięknych (The Council for the Encouragement of Music and the Arts, CEMA) organizowała koncerty muzyki poważnej i przedstawienia teatralne w fabrykach, salach parafialnych i schronach bombowych. Za granicą powstawały żołnierskie kluby dyskusyjne, a w oddziałach realizowano program edukacyjny. W Kairze, gdzie stacjonowało bardzo dużo wojska, w 1943 roku żołnierze-lewicowcy zorganizowali klub dyskusyjny o strukturze wzorowanej na brytyjskim parlamencie, aby – jak wyraził się jeden z lotników – debatować o polityce „tak, jakby nastały już czasy wytęsknionego pokoju”[13].

Niektórzy konserwatyści uważali to za głęboko niepokojące. Poseł z okręgu Penryn i Falmouth napisał list do sekretarza Churchilla do spraw parlamentarnych: „Mam rosnące podejrzenia co do sposobu, w jaki prowadzona jest cała ta kombinacja z wykładami i edukacją dla wojska […] na miłość boską, zróbcie coś z tym, jeśli nie chcecie, żeby ci nieboracy wrócili zupełnie zniewieściali”[14].

W 1940 roku etończyk, esteta i frankofil Cyril Connolly założył czasopismo literackie „Horizon”, które miało podsycać płomień sztuki i kultury w czasie, gdy (jak sam mówił) nad Europą przygasało światło. Żołnierze mogli je zaprenumerować po cenie, dla zachęty, bardzo obniżonej. Także Connolly był zdania, że nadszedł czas, by zejść z wieży

z kości słoniowej i nieść kulturę ludowi. „Horizon” trafił do zaskakująco wielu żołnierskich plecaków. W czerwcu 1945 roku Connolly opublikował artykuł, w którym wyjaśniał, dlaczego głosował na Partię Pracy. Nie dlatego, żeby laburzyści chętniej niż torysi popierali kulturę i sztukę, zazwyczaj bowiem bywało odwrotnie. Głosował na Partię Pracy, ponieważ każdy człowiek powinien mieć prawo do cywilizowanej egzystencji: „Aby Anglia stała się krajem szczęśliwym, musi nastąpić zrównanie, które potrafi zapewnić jedynie socjalizm”[15].

Jednym z najdziwniejszych filmów, jakie powstały w Wielkiej Brytanii w czasie wojny, a być może w ogóle, jest *A Canterbury Tale* (1944) w reżyserii Michaela Powella i Emeryka Pressburgera. Pierwszy z nich był angielskim konserwatystą i genialnym filmowcem, a drugi – urodzonym na Węgrzech Żydemanglofilem. Ta „opowieść kanterberyjska”, zbyt kuriozalna, by w latach czterdziestych spotkać się z uznaniem krytyków, wymownie ilustruje ówczesne pragnienia i tęsknoty, które bywały nie tylko natury politycznej, lecz i duchowej. Dwaj żołnierze, Anglik i Amerykanin, zbiegiem okoliczności trafiają na wieś w hrabstwie Kent, gdzie poznają młodą Angielkę, która pracuje w sklepie w Londynie. W nocy atakuje ją tajemniczy nieznajomy znany jako „klejarz”, który już kilku dziewczętom wylał na włosy puszkę kleju. Trójka bohaterów szybko odkrywa, że klejarzem jest mieszkający w okolicy bardzo kulturalny dżentelmen, który prowadzi gospodarstwo rolne i jest sędzią pokoju. Okazuje się, że chce on zmusić młode kobiety, aby przestały tracić czas na randki z żołnierzami, a zajęły się poznawaniem chwalebnych dziejów Anglii oraz uroków jej krajobrazu. Cała czwórka udaje się do Canterbury jako swego rodzaju współcześni pielgrzymi; tam każdemu z nich przydarza się coś, co jest dlań osobistym błogosławieństwem.

Klejarza można by łatwo uznać za zwariowanego zboczeńca. Owszem, jest to ekscentryk; ale przy tym idealista, człowiek niemalże święty, próbujący na swój dziwny sposób wyrazić, czemu warto jest walczyć i umierać za Anglię. Ukazana w filmie wizja Anglii, a zwłaszcza angielskiej wsi, jest niezwykle patriotyczna, a przy tym romantyczna; to coś jakby torysowska wersja *Blut und Boden*, tyle że uwzględniająca przekraczanie

tradycyjnych barier klasowych. Bohaterka filmu skarży się, że rodzice narzeczonego nie akceptują jej, ponieważ są z dobrej rodziny, a ona pracuje jako sklepowa; klejarz odpowiada wtedy, że w nowej Anglii takie podziały są bez znaczenia. W filmie ta „nowa Anglia” to miejsce metafizyczne, jej krajobraz jest źródłem przeżyć duchowych. To będzie jak trzęsienie ziemi, mówi dziewczyna. My już żyjemy w czasie trzęsienia ziemi, odpowiada klejarz. W jego pojęciu to trzęsienie ziemi ma charakter nie tylko społeczny czy polityczny; wśród zielonych pól Anglii ma miejsce objawienie religijne.

Socjalizm w wydaniu Clementa Attlee wydaje się bardzo odległy od torysowskiego romantyzmu Powella i Pressburgera. Ten pykający nieodłączną fajkę, małomówny syn prawnika nie był romantykiem w żadnym znaczeniu tego słowa. Mimo to jego polityka wcale nie odbiegała daleko od *A Canterbury Tale*. Brytyjski socjalizm miał silne korzenie chrześcijańskie, wyrósł z wiktoriańskich tradycji ulepszania świata, jego estetyczne powiązania z ideałem dziewiczej, wiejskiej Anglii narodziły się ze sztuk i rzemiosł. *Jerusalem* Williama Blake’a, hymn ku czci „Anglii zielonej, kraju łąk” w kontraście do miejsc, „gdzie Szatańskich Młynów mrok”[16], to wyraz religijności patriotycznej: wizja Chrystusa zmieniającego Anglię w raj. Blake był religijnym nonkonformistą. Hymn *Jerusalem* często śpiewali robotnicy podczas demonstracji przeciwko wyzyskiwaczom. O socjalistycznej Brytanii czasami mówiono per Nowa Jerozolima. Film Powella i Pressburgera, osadzony w scenerii rozsłonecznionych pól Kentu i kończący się w katedrze w Canterbury, jest w swoim duchu zaskakująco podobny do wizji Blake’a.

W ciągu miesiąca poprzedzającego lipcowe wybory Churchill i Attlee zaprezentowali elektoratowi swoje nieodmiennie patriotyczne, ale bardzo odmienne wizje Anglii. Churchill zadał cios jako pierwszy, oskarżając Partię Pracy o niewolnicze uleganie płynącym z zagranicy poglądom „odrażającym dla brytyjskiej idei wolności”. Ostrzegał, że „kontynentalna koncepcja społeczeństwa zwana Socjalizmem, a w swej brutalniejszej formie Komunizmem” niechybnie rodzi państwo policyjne; że rząd socjalistyczny będzie „zmuszony posługiwać się jakąś formą gestapo”. To

się nigdy nie uda, „tu, w starej Anglii, w Wielkiej Brytanii, tej wspaniałej wyspie, […] kolebce i bastionie wolnej demokracji” – grzmiał Churchill w porywającym stylu swoich najlepszych przemów z okresu wojny – a to dlatego, że Brytyjczycy „nie lubią giąć karku i nie pozwalają sobą komenderować”[17].

Dyscypliny potrzeba, gdy zagrożone jest istnienie narodu, ciągnął Churchill; „Wszyscy poddajemy się rozkazom, aby ratować nasz kraj”. Lecz kiedy wojna się kończy, dumni Brytyjczycy odtrącają te dobrowolnie założone kajdany, zrzucają ciężary i „opuszczają ponure jaskinie wojny, maszerując na owiewane wiatrem pola, gdzie świeci słońce i gdzie wszyscy mogą radośnie nurzać się w jego ciepłych, złotych promieniach”.

Oto leseferyczna wizja „Anglii zielonej, kraju łąk” w ujęciu Churchilla. Fatalnie na niej wyszedł. Zwykle bardzo wrażliwy na nastroje społeczne, teraz, gdy na horyzoncie widać już było czasy pokoju, kompletnie ich nie wyczuł. Wśród żołnierzy brytyjskich za granicą „zapanowało ogromne zaskoczenie – pisał „Guardian”. – Wszystkich zdumiała nagła przemiana pana Churchilla – przywódcy narodu – w Churchilla autora mowy o «laburzystowskim gestapo»”[18].

W odpowiedzi Attlee także oskarżył przeciwnika o czerpanie idei z podejrzanych źródeł zagranicznych; w przypadku Churchilla był to wiedeński ekonomista Friedrich Hayek, który wyemigrował z Austrii w latach trzydziestych. Uważał on, że rozwojowi totalitaryzmu w Europie winna jest centralnie planowana gospodarka. Churchill uważnie przeczytał jego *Drogę do zniewolenia*. „Nie będę tracił czasu – mówił Attlee w transmitowanym przez radio exposé – na teoretyczne bzdury, które są jedynie odgrzewaną wersją akademickich poglądów pewnego profesora z Austrii”.

Churchill za najszybszą drogę do tych słonecznych angielskich pól i łąk uważał rezygnację z wojennej gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Attlee był zdania, że wprowadzony na czas wojny system kontroli gospodarki należy utrzymać, aby posłużył budowie Nowej Jerozolimy. Dobra wspólnoty nie wolno powierzać jednostkom pragnącym jedynie powiększać osobisty majątek. Argumentował, że „wojna została wygrana dzięki

wysiłkowi wszystkich obywateli, którzy, z bardzo niewielkimi wyjątkami, na pierwszym miejscu stawiali dobro narodu, prywatne i partykularne interesy zaś na odległym drugim miejscu. […] Czemu mielibyśmy uznać, że cel, jaki stawiamy sobie w okresie pokoju: żywność, ubranie, mieszkanie, edukacja, rozrywka, ubezpieczenie społeczne i pełne zatrudnienie dla wszystkich – osiągniemy stawiając na pierwszym miejscu prywatne interesy?”[19].

Attlee, podobnie jak wielu ówczesnych Europejczyków, szczerze wierzył w gospodarkę sterowaną odgórnie. Nie było to z jego strony jedynie oportunistyczne wykorzystanie warunków powstałych z wojennej konieczności. Zarówno lewica, jak i prawica już od jakiegoś czasu z nieufnością podchodziły do gospodarki liberalnej; zrzucano na nią winę za wysokie bezrobocie oraz huśtawkę koniunktury i depresji, które wywołały tyle niepokojów społeczno-politycznych w latach trzydziestych. Hjalmar Schacht, minister gospodarki w hitlerowskich Niemczech, był planistą, który równie gorąco jak Attlee wierzył w kontrolę państwa nad gospodarką. W Azji Wschodniej wierzyli w nią japońscy „biurokraci-reformatorzy”, bardziej narodowi socjaliści niż socjaldemokraci, którzy przy współpracy cesarskiej armii starali się zlikwidować zachodni kapitalizm. Planowanie społeczeństwa idealnego jest jedną z idei, które zdominowały XX wiek.

Transformację systemu politycznego Wielkiej Brytanii projektowano już w pierwszych latach wojny. Opublikowany w 1942 roku raport Beveridge’a w sprawie ubezpieczeń społecznych i usług pokrewnych kładł nacisk na kwestie pełnego zatrudnienia oraz utworzenia systemu opieki zdrowotnej. Projekt systemu ogólnodostępnej edukacji ponadpodstawowej pojawił się w 1943 roku, projekt systemu ubezpieczeń społecznych w 1944 roku, a program polityki mieszkaniowej w 1945 roku. Lipiec 1945 roku ujawnił ogromne poparcie społeczne dla tych planów. Nie tylko Wielka Brytania, lecz także cała Europa była znużona, zrujnowana i na krawędzi bankructwa – doskonały klimat dla marzeń o tym, by zacząć wszystko od nowa.

***

We Francji zamiast o Nowej Jerozolimie mówiło się o *progressisme*. Nie tylko brytyjscy socjaliści, lecz także byli członkowie *Résistance* inspirowali się natchnionymi patriotyzmem propozycjami lewicowych idealistów. Komuniści, socjaldemokraci, a nawet całkiem liczni gaulliści nie walczyli z Niemcami i rządem Vichy wyłącznie z miłości do tradycyjnej *douce France*; wszyscy mieli jakieś ideały polityczne, za które zginęło wielu ich towarzyszy, i po wojnie chcieli je wprowadzić w życie, najchętniej osobiście. Zdominowana przez lewicę Narodowa Rada Ruchu Oporu (Le Conseil National de la Résistance, CNR) miała stanowić swego rodzaju rząd, sformowany w warunkach wojennych, lecz czekający na później.

Stéphane Hessel, młody Żyd, działacz ruchu oporu, który przeżył tortury gestapo i obóz w Buchenwaldzie, sześćdziesiąt sześć lat później tak wspominał ten okres: „Poczynając od 1945 roku, po zakończeniu okrutnego dramatu, siły obecne w Ruchu Oporu poświęciły się ambitnemu dziełu zmartwychwstania". Postulaty Rady ujęte były niemal identycznie jak program Attleego; Ruch Oporu, pisze Hessel, „proponuje «racjonalną organizację gospodarki zapewniającą podporządkowanie interesów prywatnych interesowi ogółu»". Powstawał plan powszechnych ubezpieczeń społecznych. Przemysł węglowy, wielkie banki, gaz i dostawa energii miały być znacjonalizowane. Ruch Oporu czynił to wszystko, jak wspomina Hessel, aby zorganizować gospodarkę „«wolną od dyktatury zawodowej wprowadzonej na wzór państw faszystowskich»"[20].

Hessel nie był komunistą. Zaciągnąwszy się do sił de Gaulle'a w Londynie, w marcu 1944 roku przedostał się z desantem spadochronowym do okupowanej Francji. Miał fałszywe papiery, ale i tak był to akt niewiarygodnej odwagi, tym bardziej w przypadku Żyda. (W lipcu ktoś wydał go gestapo i Hessel został aresztowany). Jego poglądy polityczne plasowały się zdecydowanie bardziej na lewo niż pomysł de Gaulle'a na powojenną Francję. Francuzi postrzegali de Gaulle'a podobnie jak Brytyjczycy Churchilla: bez wątpienia wielki człowiek, lecz reakcjonista i wróg postępu. Marguerite Duras, która działała w lewicowej

komórce ruchu oporu, uważała, że to „z definicji przywódca prawicy”. De Gaulle, pisała, „pragnąłby wyssać z ludzi siły życiowe. Chciałby, żeby byli słabi i służalczy, chciałby, żeby byli gaullistowscy jak drobnomieszczanie, chciałby, żeby byli drobnomieszczanami”[21].

Duras napisała te słowa w kwietniu 1945 roku. W miarę jak kolonialne wojny w północnej Afryce i Indochinach robiły się coraz krwawsze, coraz więcej ludzi postrzegało de Gaulle’a jako reakcjonistę. Owszem, de Gaulle bez wątpienia był konserwatystą i błyskawicznie blokował próby sięgnięcia po władzę polityczną przez byłych członków *Résistance*; miał jednak świadomość, że trzeba wypracować jakiś kompromis z *progressisme*. W 1945 roku decyzją rządu de Gaulle’a zakłady Renault i pięć wielkich banków, jak również wydobycie węgla, gazownictwo i transport publiczny zostały upaństwowione. W grudniu tego samego roku Jean Monnet, technokrata z Cognac, który większość wojny spędził w Waszyngtonie, przedstawił de Gaulle’owi program modernizacji francuskiej gospodarki. Pomysł poddania przemysłu, górnictwa i bankowości pod kontrolę państwa wyraźnie ujawniał wiarę Monneta w zalety gospodarki planowej. Planowanie, planowanie i jeszcze raz planowanie – oto miała być droga do lepszej przyszłości, nie tylko dlatego, że obiecywało większą sprawiedliwość społeczną, lecz także ponieważ uniemożliwiłoby Europejczykom ponowne podjęcie działań wojennych.

W całej Europie działo się podobnie. Arthur Koestler, żydowski ekskomunista, który uciekł z faszystowskiego więzienia w Hiszpanii i do mistrzostwa opanował sztukę przetrwania w Europie, z wyraźną obawą pisał, że „jeśli czeka nas epoka decyzyjnych superpaństw, to inteligencja z pewnością stanie się wydziałem specjalnym służby cywilnej”[22]. Organizacjom ruchu oporu nie udało się wprawdzie awansować na siłę polityczną, jaką miały nadzieję zostać, lecz wiele ideałów lewicy zostało wcielonych w życie. Rząd socjaldemokratyczny powstał w Holandii i Belgii. W wyniku reformy rolnej na Sycylii, w Rumunii, w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Polsce miliony chłopów otrzymało ziemię na własność, często kosztem niepopularnych mniejszości, na przykład Niemców z Prus Wschodnich i Sudetów. W radzieckiej strefie

okupacyjnej Niemiec socjaldemokraci próbowali zawrzeć sojusz z komunistami, ale daremnie.

W transformacjach tych dawał się wyczuć silny pierwiastek paneuropeizmu – wizja europejskiej, a nie tylko narodowej Nowej Jerozolimy. Major Denis Healey, późniejszy minister w kilku laburzystowskich rządach, uczestniczył w lądowaniu wojsk brytyjskich na Sycylii i pod Anzio. Lewicowe sympatie swoich towarzyszy broni tłumaczył „kontaktem z formacjami ruchu oporu i poczuciem, że Europę ogarnęła rewolucja”[23]. Healey był kiedyś komunistą, ale w 1939 roku wystąpił z partii w proteście przeciwko paktowi o nieagresji pomiędzy Trzecią Rzeszą a ZSRR, czyli paktowi Ribbentrop–Mołotow. Podczas zjazdu Partii Pracy w 1945 roku mówił jednak, że trzeba wspomóc rewolucje socjalistyczne w Europie; najwyraźniej lodowaty okruch komunizmu wciąż tkwił mu w sercu. Partia Pracy, przekonywał, nie powinna okazywać „świętoszkowatej obłudy, gdy od czasu do czasu dochodzi do jej wiadomości, że nasi towarzysze z kontynentu postępują jak ekstremiści”[24].

Cyrilowi Connolly’emu nie tylko zapatrywania polityczne, lecz także frankofilstwo oraz uwielbienie dla europejskiej kultury podpowiadały, że jedynie zjednoczenie Europy jest w stanie zapobiec wybuchowi kolejnej samobójczej wojny. „Każda wojna w Europie jest wojną przegraną przez Europę” – pisał w „Horizon” w grudniu 1944 roku, a „wojna przegrana przez Europę jest wojną przegraną przez Anglię; wojna przegrana przez Anglię pozostawia świat uboższym”. W jego pojęciu hasło „Nigdy więcej!” oznaczało „federację europejską – nie nominalną unię, lecz Europę bez paszportów, byt kulturowy, w którym każdy ma prawo udać się, dokąd chce. […] Jeśli Europa nie zdoła wyzbyć się nacjonalizmu gospodarczego na rzecz internacjonalnego regionalizmu, zginie tak, jak zginęły greckie miasta-państwa, z sykiem wzajemnej nienawiści i nieufności, pod obcasem najeźdźcy”.

Connolly nie był jedynie ekscentrycznym eurofilem, czego dowodzi fakt, że jego poglądy podzielał między innymi sam Churchill, chociaż nigdy nie było do końca jasne, czy ekspremier chce, żeby Wielka Brytania stała się

częścią tej nowej struktury, czy nie. Najprawdopodobniej nie. W mowie, którą wygłosił w Zurychu w rok po wojnie, z entuzjazmem wyrażał się o „Stanach Zjednoczonych Europy” – lecz miała to być zjednoczona Europa, dla której „Wielka Brytania i Brytyjska Wspólnota Narodów” byłyby „przyjacielem i gwarantem”[25]. Rola lewicy w całym przedsięwzięciu pozostawała jednak wysoce kontrowersyjna. Connolly uważał, że federację europejską może wykreować wyłącznie lewica, czyli „europejski Front Populaire, który będzie silny, stanowczy i zdecydowany zapobiec wybuchowi trzeciej wojny światowej”. Podobne idee propagował Związek Radziecki, zwłaszcza w Niemczech, których zjednoczenie zdaniem Moskwy miało nastąpić w ramach komunizmu. Harold Nicolson, zaproszony na obiad do ambasady Francji w Londynie, pisał później w swoim dzienniku o zagrożeniu komunistyczną propagandą: „Aby jej przeciwdziałać, musimy zaproponować alternatywny ideał; a jedyny możliwy ideał to federalne Niemcy w federalnej Europie”[26].

Inny argument przemawiający za federacją był natury patriotycznej: jedynie w zjednoczonej Europie narody odzyskają dawną wielkość. Najszersze grono zwolenników uzyskał on we Francji; podzielali go zarówno technokraci z rządu Vichy, jak i niektórzy z ich przeciwników. Kluczową postacią był tu znów Jean Monnet, który marzył o jedności ponad granicami. Jego opisane w pamiętniku życie stanowiło ciągłą walkę, by „chwytać wyjątkowe chwile” sprzyjające pokonywaniu różnic i wypracowywaniu jedności. Jedną z tych chwil był maj 1940 roku, kiedy Niemcy hulali już po całej Francji. Rok wcześniej Monnet próbował zainteresować Neville’a Chamberlaina ideą unii między Francją i Wielką Brytanią. W 1940 roku Churchill był gotów dać tej inicjatywie zielone światło, lecz podejrzliwość Francji sprawiła, że plan spełzł na niczym.

Kontrola państwa nad gospodarką miała być patriotycznym przyczynkiem Monneta do odrodzenia kraju. To jedyna droga do odzyskania przez Francję dawnej wielkości, przekonywał de Gaulle’a; aby na nią wejść, trzeba wykorzystać kapitał, jakim jest poczucie jedności narodowej Francuzów. Teraz, w 1945 roku, nadszedł idealny moment na taki „zbiorowy wysiłek, ponieważ patriotyczny duch *la Libération* jeszcze

nie wygasł, ale też nie znalazł szansy wyrażenia się w wielkim przedsięwzięciu”[27]. Pierwszym wielkim przedsięwzięciem była modernizacja Francji przez upaństwowienie gospodarki oraz skierowanie dostaw niemieckiego węgla do francuskich fabryk. Drugie przedsięwzięcie było na skalę europejską: najpierw stworzyć Wspólnotę Węgla i Stali, potem Europejską Wspólnotę Gospodarczą, a wreszcie w pełni urzeczywistnić marzenie Monneta: zjednoczyć Europę.

De Gaulle nie bez sympatii nazywał tego proeuropejskiego idealistę *L’Americain*. Monnet jako jeden z bardzo niewielu Francuzów w Waszyngtonie i Londynie czuł się równie swojsko jak w Paryżu. Ale w jego unifikacyjnych obsesjach było coś kontynentalnego, jak gdyby ciut rzymskokatolickiego, coś, co nie do końca pasowało do liberalnej demokracji. Nad jego paneuropejskimi marzeniami unosił się dymek kadzideł Świętego Cesarstwa. Jego uprzedzenia wobec polityki partyjnej, rywalizacji między partiami i gospodarki wolnorynkowej niekontrolowanej przez państwo zdradzały w nim technokratę. To podejście miało korzenie i na lewicy, i na prawicy – albo lepiej: ani prawica, ani lewica nie były w technokratycznej utopii kategoriami znaczącymi… w odróżnieniu od poglądu, że sprawiedliwość społeczną najskuteczniej zapewnia łagodna dyktatura. Churchill miał chyba rację, że nie pasowałoby to Brytyjczykom aż tak, jak w 1945 roku sądzili lewicowi planiści.

***

Niemieccy technokraci pracujący w Trzeciej Rzeszy też byli wielkimi planistami. Jedną z bardziej tajemniczych kart w historii drugiej wojny światowej jest współpraca między niemieckimi planistami a ich kolegami w krajach okupowanych. Architekci, urbaniści, projektanci zapór wodnych i autostrad odnajdywali się wzajemnie – nie jako naziści, lecz jako pokrewne duchy i współbudowniczowie nowego europejskiego ładu. Im także wojenne zniszczenia dały „wyjątkową chwilę” wielkich szans.

Pierwszym miastem w Europie Zachodniej, na które spadły bomby, był Rotterdam. Zniszczenia nie były aż tak straszliwe jak w Warszawie,

zbombardowanej we wrześniu 1939 roku, czyli osiem miesięcy wcześniej, lecz śródmieście Rotterdamu praktycznie przestało istnieć. Plan odbudowy powstał niemal natychmiast. Komitet holenderskich urbanistów-planistów, niekrępowany demokratycznymi procedurami ani jednostkowymi interesami, natychmiast zorganizował odgruzowywanie, wywłaszczanie prywatnych właścicieli i odbudowę miasta według racjonalnych wzorców. Komitet nie składał się z nazistów, wręcz przeciwnie, większość z jego członków odnosiła się do niemieckich okupantów z najwyższą niechęcią. Byli to jednak ludzie praktyczni i rzeczowi, których już od dawna drażniło typowe dla liberalnej demokracji niezdecydowanie, przepychanki i ogólny bałagan. Podobnie jak Jean Monnet, wierzyli oni w jednolitość działań pod silnym kierownictwem. Pod tym względem hitlerowcy dali im szansę zrobić to, czego oni sami już od dawna pragnęli.

Z punktu widzenia Niemców (bo holenderskich technokratów raczej nie) sprawa miała dodatkowo istotny wymiar paneuropejski. Rotterdam miał stać się jednym z głównych ośrodków większego regionu zamieszkanego przez ludy germańskie. W rasistowskim żargonie hitlerowców: „Holandia stanowi część europejskiego *Lebensraum*. Przeznaczeniem narodu Holandii jako przynależącego do germańskiego plemienia jest poddać się tej naturalnej więzi”[28]. W nowym ładzie nie ma miejsca dla przedwojennej „plutokratycznej” liberalnej gospodarki rynkowej. Wszystkie gospodarki, holenderska też, będą podporządkowane *Kontinentalwirtschaft*, systemowi gospodarki planowej w skali kontynentu. Interes kolektywny będzie zawsze górował nad jednostkowym (chyba że zainteresowaną jednostką będzie któryś z przywódców NSDAP).

Dywagacje na temat germańskich plemion nie obchodziły inżyniera kierującego odbudową Rotterdamu w 1940 roku, J.A. Ringersa (który został zresztą później aresztowany za udzielanie pomocy działaczom ruchu oporu). Był on jednak przekonany, że miasta planowane to idea słuszna i postępowa. W pierwszych latach wojny Niemcy bez oporów, wręcz chętnie, dzielili się z Ringersem i innymi holenderskimi technokratami swoją niezaprzeczalną wiedzą fachową. To nie oznacza, że między obiema stronami panowała całkowita zgoda. Niemcy planowali odbudować

Rotterdam w monumentalnym faszystowskim stylu, który Holendrzy uważali za niedopuszczalny. Co więcej, z góry zapowiedziano, że modernizacja Rotterdamu nie może odbyć się kosztem niemieckich portów, na przykład Bremy czy Hamburga. Tak więc w 1943 roku, już po aresztowaniu Ringersa, prace przy odbudowie stanęły. Sam Ringers trafił do obozu koncentracyjnego; przeżył, chociaż w strasznych warunkach. Zaraz po wojnie objął urząd ministra do spraw odbudowy kraju w Ministerstwie Robót Publicznych. Stał się jednym z czołowych budowniczych holenderskiej Nowej Jerozolimy, której projekt zawdzięcza trochę Karolowi Marksowi, trochę przedwojennej urbanistyce socjalistycznej, a trochę niemieckiej okupacji – ciut więcej niż ludzie mają ochotę pamiętać.

***

Największymi planistami ze wszystkich byli Japończycy. W latach trzydziestych i wczesnych czterdziestych Mandżukuo było najdoskonalej zaplanowaną kolonią świata, mekką japońskiego panazjatyzmu. Oficjalnie nie nazywało się oczywiście kolonią, gdyż Japonia kreowała się na wyzwolicielkę Azji spod jarzma zachodniego imperializmu. A ponieważ cesarstwo japońskie stanowiło też jakoby antidotum na „samolubny” wolnorynkowy kapitalizm w zachodnim stylu, Mandżukuo nie mogło być takim sobie zwyczajnym pseudoniezależnym azjatyckim państewkiem – musiało być modelowe, musiało świecić przykładem zbiorowej sprawiedliwości społecznej i egalitaryzmu. Prawda była zupełnie inna: w zbudowanych przez Japończyków fabrykach i kopalniach pracowali robotnicy przymusowi, a brutalność Armii Kwantuńskiej uprzykrzała życie Chińczykom i Koreańczykom. Gospodarka, jak zresztą wszystko w tym marionetkowym państewku, znajdowała się pod ścisłą kontrolą władz wojskowych, wspomaganych przez koncerny przemysłowe i banki rekomendowane przez rząd Japonii.

Do czasu założenia Mandżukuo przez Japończyków w 1932 roku jego stolica, po japońsku zwana Shinkyō, czyli Nowa Stolica, była niewielkim

węzłem kolejowym o nazwie Changchun. Prawie natychmiast zabrały się do roboty zespoły japońskich planistów, inżynierów, architektów, urzędników Kolei Południowomandżurskiej oraz wojskowych z Armii Kwantuńskiej. Cel: zaprojektować najnowocześniejsze, najbardziej wydajne, najczystsze i najlepiej zorganizowane miasto w Azji, po czym wybudować je w stylu „nowoazjatyckim". W projekcie Shinkyō wyraźnie widoczny jest wpływ urbanistyki zachodniej: paryskich wizji Haussmanna, dziewiętnastowiecznych brytyjskich koncepcji miasta-ogrodu, niemieckiego Bauhausu; lecz dachy ogromnych modernistycznych budynków rządowych miały charakterystyczne dalekowschodnie okapy skopiowane z japońskich pagód i chińskich pałaców.

W ciągu pięciu lat na równinie przez całą zimę pokrytej śniegiem powstało nowiuteńkie miasto. Budowano je w oszałamiającym tempie, pod patronatem Rady Państwa. Gdyby Albert Speer był Japończykiem, wybudowałby Shinkyō jako pomnik totalitarnej planistyki. Wzdłuż szerokich, idealnie prostych alej, zbiegających się na rozległych, kolistych placach jak szprychy gigantycznego koła, wyrosły przytłaczające budynki rządowe w stylu nowoazjatyckim – fortece biurokratyzmu[IV]. Wszystko zostało zaplanowane z matematyczną precyzją. I wszystko działało – od Expressu Azja, szybkobieżnych pociągów Kolei Południowomandżurskiej, które nigdy się nie spóźniały, aż po spłuczki klozetowe (wynalazek nieznany zresztą w większości domów w Japonii) w mieszkaniach socjalnych.

Oficjalne oblicze Mandżukuo miało rysy chińskie, i to aż do samej góry: Puyi, bezsilnego „ostatniego cesarza" z dynastii Qing. Za jego tronem, tak samo jak za fotelem każdego chińskiego urzędnika, stał Japończyk, urzędowo: „zastępca", który pociągał za sznurki. Nazywać japońskich włodarzy Mandżukuo faszystami byłoby przesadą. Wielu z nich było militarystami, wszyscy zaś – nacjonalistami; całkiem sporo wierzyło w głoszone przez propagandę panazjatyckie ideały, w nową Azję, wolną od zachodniego kapitalizmu i imperializmu, rozwijającą się pod światłym przewodnictwem Japonii.

Wszyscy urzędnicy wojskowi i rządowi opowiadali się za gospodarką planową, prowadzoną bez przeszkód w postaci demokratycznych procedur, partykularnych interesów czy potrzeb mieszkańców Mandżukuo, a zwłaszcza chińskiej większości. Za plecami Armii Kwantuńskiej, budzącej lęk policji Kempeitai oraz grupy gangsterów i podejrzanego autoramentu przybyszów z Japonii stały zastępy wysoko wykwalifikowanych urzędników, menedżerów i inżynierów; dla nich marionetkowe państewko było czymś w rodzaju wielkiej deski kreślarskiej, na której powstawał projekt idealnie zaplanowanej gospodarki. Plany te zabarwione były podobnym do kultu imperializmem, zogniskowanym na osobie boskiego cesarza Japonii oraz jego nieszczęsnego wasala ze starego Pałacu Solnego w Shinkyō: potulnego, trwożliwego i głęboko upodlonego marionetkowego cesarza Puyi.

Niektórzy planiści w swym gorliwym poparciu dla konserwatywnego wojskowego ładu byli zdecydowanie prawicowi; inni byli socjalistami, którzy dzielili awersję militarystów do kapitalizmu wolnorynkowego. Ale nawet prawicowi biurokraci mieli zaufanie do idei planów pięcioletnich w stylu radzieckim. Typowy „biurokrata-reformista” z Mandżukuo daje się opisać jako prawicowy radykał mający więcej wspólnego z komunistami niż z liberałami. Do tego właśnie typu należał niejaki Nobusuke Kishi, gładki w obejściu urzędnik o twarzy królika; absolutnie nie wyglądał na kogoś, kto żelazną ręką dzierży władzę nad tysiącami robotników przymusowych. Niemniej ten czterdziestokilkuletni Japończyk należał do najpotężniejszych ludzi w całym cesarstwie. Miał za zadanie zrobić z Mandżukuo potężny, ściśle kontrolowany przez państwo ośrodek górnictwa oraz przemysłu ciężkiego i chemicznego.

Celem polityki przemysłowej nie było zapewnienie zysków przedsiębiorstwom i koncernom (a przynajmniej nie na pierwszym miejscu), a już na pewno nie zaspokojenie potrzeb japońskich konsumentów, coraz bardziej ograniczonych z powodu wojennej reglamentacji towarów, lecz wzmocnienie władzy państwa. Niektóre koncerny bardzo na tym skorzystały. Na przykład Nissan w 1937 roku przeniósł swoje główne biuro do Mandżukuo, gdzie we współpracy

z władzami założył nowe *zaibatsu*, koncern finansowo-przemysłowy, który realizował plan pięcioletni i produkował wszystko: od samochodów wojskowych po torpedowce. *Zaibatsu* Mitsubishi produkowało myśliwce, Mitsui zaś zmonopolizowało handel opium w Chinach i w ten sposób pomnażało majątek zarówno własny, jak i rządu Mandżukuo. Dwa rekiny tego brudnego biznesu to Gisuke Ayukawa, założyciel koncernu Nissan, oraz właśnie Nobusuke Kishi, biurokrata, który przez całe życie starannie pielęgnował kontakty ze światem przestępczym. Lecz interesy wielkich korporacji nie zawsze harmonizowały z interesem armii. Nawet Ayukawa nie aprobował sojuszu Japonii z faszystowskimi Niemcami. Konflikt z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi nie zawsze sprzyjał interesom, a korporacje, mimo że korzystały ze specjalnych ulg podatkowych i subsydiów, niechętnym okiem patrzyły na wtrącających się w ich sprawy urzędników.

Metody wypracowane przez Kishiego i jego kolegów w Mandżukuo znalazły później zastosowanie w samej Japonii. Od wybuchu konfliktu z Chinami w 1937 roku aż do końca wojny na Pacyfiku gospodarka Japonii znajdowała się pod kontrolą organów rządu, między innymi Komisji Planowania, Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Ludzie kierujący wojenną gospodarką rekrutowali się z tego samego układu co biurokraci-reformiści, planiści strategiczni oraz antyliberalni ideolodzy tak z lewicy, jak i z prawicy, którzy z tak bezwzględną skutecznością uprzemysłowili Mandżukuo. Ministrem przemysłu i handlu był sam Nobusuke Kishi. W 1943 roku Ministerstwo Przemysłu i Handlu przemianowano na Ministerstwo Zaopatrzenia Wojskowego; nazwa ta znacznie lepiej pasuje do rzeczywistego charakteru ówczesnej gospodarki kraju. Kishi, oficjalnie wiceminister do spraw zaopatrzenia wojskowego, kierował gospodarką jeszcze przez rok. 26 sierpnia 1945 roku, zaledwie kilka dni po klęsce Japonii, na mocy dekretu cesarza przestało istnieć Ministerstwo Zaopatrzenia Wojskowego; na powrót pojawiło się Ministerstwo Przemysłu i Handlu.

Jakim cudem Amerykanie pozwalali Japończykom na takie hokus-pokus to jedna z tajemnic amerykańskiej okupacji Kraju Kwitnącej Wiśni.

W końcu zwycięzcy pragnęli, aby również w Japonii „nigdy więcej”. Także w Japonii rok 1945 miał być rokiem zerowym, idealną chwilą, aby na ruinach zbudować nowe społeczeństwo. Oczywiście pewne osoby należało usunąć. Nobusuke Kishi został aresztowany jako zbrodniarz wojenny klasy A; tak samo Gisuke Ayukawa. Instytucje, które zbudowali, działały jednak dalej, w zasadzie nietknięte; tylko zasoby przemysłowe Mandżukuo praktycznie w całości zrabowała Armia Czerwona.

Burzliwe spory wzbudzała kwestia, jak właściwie ma wyglądać odbudowa Japonii. Waszyngton promował przekonanie, że Japonia nie powinna w ogóle mieć przemysłu ciężkiego, a zamiast tego wyspecjalizować się w produkcji towarów pasujących do staroświeckiego dalekowschodniego państwa, takich jak zabawki, ceramiczne figurki, jedwab, artykuły papierowe, porcelanowe czarki i tak dalej. Serwetki stołowe na eksport do Stanów Zjednoczonych, zasugerował ktoś pomocny[29]. Japończycy widzieli to inaczej. Tuż przed lądowaniem wojsk amerykańskich szef *zaibatsu* Mitsubishi w liście do jednego z dyrektorów wspominał o „wielkim planie stuletnim”[30]. Określenie to jest zapożyczone z chińskiej literatury klasycznej i nie należy brać go dosłownie, ale widać, że Japończycy nadal traktowali planowanie na serio. W następnym roku raport Ministerstwa Spraw Zagranicznych podkreślał, że okres *laissez-faire* się skończył, a świat „nareszcie wkroczył w erę kapitalizmu państwowego, a więc kapitalizmu kontrolowanego i zorganizowanego”[31].

Mniej więcej to samo myśleli wpływowi zwolennicy Nowego Ładu Gospodarczego, wydelegowani do Japonii, aby wspierali generała MacArthura w wysiłku przekształcania jej w pokojową demokrację. Wczesne szkice ich projektów brzmią zupełnie jak dzieła leninistów. Przez jakiś czas z uwagą słuchano Owena Lattimore’a, lewicowego sinologa z Johns Hopkins University. Uważał on, że „faktyczna praktyka demokracji, którą widać w działaniu za rosyjską granicą” interesuje Azjatów bardziej niż demokratyczne teorie z Zachodu, które „idą w parze z bezwzględnym imperializmem”. Lattimore głosił jako pewnik, że jedyna prawdziwa demokracja w Chinach istnieje „w regionach

komunistycznych”[32]. Specjaliści od spraw chińskich w Departamencie Stanu z zainteresowaniem przyglądali się też propozycjom powojennych przekształceń państwa autorstwa Sanzo Nosakiego, przywódcy Japońskiej Partii Komunistycznej, który spędził wojnę na indoktrynowaniu japońskich żołnierzy wziętych do niewoli w Chinach. W jego wizji komitety zakładowe i związki robotnicze miały przejąć dystrybucję żywności oraz inne podstawowe służby państwowe z rąk „faszystowskich” urzędników. Ten pomysł odłożono *ad acta*, lecz kwestie reformy rolnej i niezależnych związków zawodowych potraktowano serio. Propagatorzy Nowego Ładu byli zdania, że amerykańskie władze okupacyjne powinny „popierać szerszą dystrybucję własności, zarządzania i kontroli systemu gospodarczego”[33].

Nowy Ład Gospodarczy dla Japonii przypomina trochę plan Attleego dla Wielkiej Brytanii. Oczywiście ani Attlee, ani zwolennicy Nowego Ładu nie byli komunistami, a wręcz przeciwnie: byli, jak większość socjaldemokratów, zaciętymi przeciwnikami komunizmu. Zresztą cała amerykańska administracja poważnie się obawiała, że doprowadzeni do ostateczności nędzą i ograniczeniami Japończycy staną się podatni na podszepty komunistów. Gdyby Japonia, uwolniona od wymagań militarystów i żarłoczności wielkiego biznesu, szybko odzyskała zdolność samodzielnego wyżywienia się i wydolność przemysłową, problem sam by się rozwiązał. Aby tak się stało, sugerowano powierzyć politykę gospodarczą japońskim funkcjonariuszom publicznym: ludziom o największym doświadczeniu, którzy by wiedzieli, jak przygotowywać plany na przyszłość, którzy by przedkładali dobro ogółu nad partykularne interesy, którzy by wyznawali ideały patriotyzmu i egalitaryzmu… innymi słowy – pracownikom Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Przemysłu i Handlu, których w większości nie poddano żadnej weryfikacji.

Nobusuke Kishi wyszedł z więzienia Sugamo w 1948 roku; jego sprawa w ogóle nie została wniesiona do sądu. Podczas uwięzienia utrzymywał kontakty ze starymi znajomymi ze środowiska zarówno prawicowej polityki, jak i przestępczości zorganizowanej (z niektórymi z tych ostatnich dzielił celę). W 1949 roku przestało istnieć Ministerstwo Przemysłu

i Handlu. Na jego miejsce powstało Ministerstwo Przemysłu i Handlu Międzynarodowego, potężny organ rządu, który stał za japońskim cudem gospodarczym lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W 1957 roku Kishi został premierem.

***

Usłyszawszy przez radio, że 15 sierpnia 1945 roku Japonia ogłosiła kapitulację, Koreańczycy zaczęli masowo wyrzucać na śmietnik wstrętne szarawary (kobiety) i krótkie wełniane portki (mężczyźni) – mundurek, w który przyodział ich okupant. Tłumy ludzi w tradycyjnych białych strojach wyległy na ulice, machając flagami, śpiewając patriotyczne pieśni i krzycząc: „Niech żyje niepodległa Korea!”. Seul leżał w gruzach, nie było prądu, brakowało żywności, ale ludzie płakali ze szczęścia. Po raz pierwszy od wielu lat mogli znowu zachowywać się jak Koreańczycy, nie lękając się kary za niedostatecznie niski ukłon przed portretem cesarza lub za odmowę używania japońskiego nazwiska.

Zdarzały się też nieporozumienia. Wszyscy byli pewni, że nadciąga Armia Czerwona, więc na dworcu kolejowym w Seulu czekała delegacja powitalna; lecz radzieccy wyzwoliciele nie przybyli. Na dworcach w Taegu, Kwangju, Pusanie i wielu innych miastach na południu Korei czekały podobne delegacje, trzymając w pogotowiu flagi Korei i Związku Radzieckiego oraz transparenty z wyrazami wdzięczności za radziecką pomoc w przywróceniu niepodległości.

Wielu Koreańczyków udało się prosto do shintoistycznych świątyń i próbowało zburzyć je za pomocą młotów, łomów i gołych dłoni; w końcu sanktuaria, które były głównym symbolem japońskiej kolonizacji i ucisku, zostały podpalone. Najpierw w Pjongjangu na północy, a później w całej Korei znienawidzone świątynie płonęły jasno przez całą noc ku przerażeniu Japończyków, którzy uważali je za miejsca święte.

Ale sami Japończycy w zasadzie uniknęli prześladowań (z wyjątkiem północy, gdzie czerwonoarmiści traktowali dziewczęta i kobiety w każdym wieku jako zdobycz wojenną). Rankiem 16 sierpnia w Seulu powstał

Komitet Przygotowawczy Niepodległości Korei. Założył go bohater koreańskiego ruchu oporu Yo Un-hyong, pobożny chrześcijanin o lewicowych poglądach i predylekcji do wytwornych angielskich garniturów z tweedu, we współpracy z grupą patriotów, między innymi świeżo zwolnionymi z japońskich więzień komunistami. Yo Un-hyong wygłosił do zgromadzonego na boisku szkolnym tłumu przemowę, która z dwóch powodów jest wyjątkowa. Po pierwsze, ze względu na wspaniałomyślność poglądów: „Teraz gdy Japończycy i Koreańczycy wkrótce się ze sobą pożegnają, powinniśmy uznać, że co było, to było, i rozstać się w przyjaźni". Po drugie, ze względu na wyraźny wydźwięk utopijny: „Zapomnijmy o tym, co wycierpieliśmy w przeszłości. Musimy stworzyć na naszej ziemi społeczeństwo idealne, raj rozsądku. Odłóżmy na bok jednostkowy heroizm i podążajmy naprzód w nienaruszalnej jedności"[34].

Tłum śpiewał patriotyczny hymn Korei, który mówi o nieprzemijającej miłości do narodu, na melodię *Auld Lang Syne*; podobno byli Japończycy, którzy sądzili, że lud koreański kieruje to czułe pożegnanie pod ich adresem.

Na północ od Seulu, za linią 38. równoleżnika, która wkrótce zyska sławę, mniej więcej tydzień przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Pjongjangu nadejścia niepodległości oczekiwał inny, podobnie czcigodny lewicujący chrześcijanin i patriota, Cho Man-sik (znany jako „koreański Gandhi" z powodu swojej łagodności i tradycyjnych szat). Cho, podobnie jak na południu Yo, współpracował z wieloma komunistami, byłymi więźniami politycznymi, lecz wtedy nie był im jeszcze podporządkowany. Zarówno na północy, jak na południu komitety ludowe przejęły władzę z rąk administracji japońskiej. Większość ich członków stanowili albo komuniści, albo lekko lewicujący i często chrześcijańscy nacjonaliści.

Podobnie jak w Europie, zarówno wschodniej, jak i zachodniej, lewicowcy, w tym komuniści, mieli doskonałe referencje jako patrioci. Od czasu aneksji Korei przez cesarstwo Japonii w 1910 roku ruch oporu miał silne zabarwienie lewicowe, podczas gdy konserwatywne elity władz, biznesu i wyższych uczelni zazwyczaj kolaborowały z okupantami, czasem

niechętnie, czasem ochoczo, w imię modernizacji i postępu lub we własnym interesie. Powstania – nie tylko przeciwko Japończykom, lecz także przeciwko koreańskim elitom – były często podszyte mesjanizmem, mieszaniną koreańskiego szamanizmu i wpływów chrześcijaństwa. Marksistowski ruch oporu wobec władzy japońskiej był pod wieloma względami nowoczesnym odpowiednikiem dawnych chłopskich buntów przeciwko koreańskim posiadaczom ziemskim.

Słowa Yo Un-hyonga brzmiały bardzo szlachetnie, lecz jedność miała kruche podstawy. W historii Korei stanowiła zresztą rzadkość. Krajem wstrząsały konflikty między regionami, zwłaszcza między północą a południem, oraz gwałtowne waśnie polityczne. Rok 1945 nie był tu wyjątkiem. Owszem, zarówno Cho Man-sik, jak i Yo Un-hyong marzyli o jedności narodowej; lecz lewica była podzielona na frakcje, a komuniści przejmowali władzę, gdzie tylko się dało. Kiedy Yo proklamował w Seulu Ludową Republikę Korei, musiał stawić czoła także protestom prawicy, czyli Koreańskiej Partii Demokratycznej, która skupiała ziemiaństwo i całą resztę dawnej, w znacznej części kolaborującej z Japończykami elity. Oprócz tego na emigracji w Stanach Zjednoczonych i Chinach przebywali rozmaici koreańscy politycy, którym też daleko było do jedności.

Jednak praktycznie wszyscy Koreańczycy niezależnie od poglądów politycznych zgadzali się co do jednego. Dla nich „Nigdy więcej!” oznaczało brak dominacji ze strony obcego mocarstwa. To właśnie oznaczają buńczuczne słowa proklamacji Ludowej Republiki Korei z 14 września:

> Jesteśmy zdecydowani unicestwić japoński imperializm i pozostałości jego wpływów, jak również antydemokratyczne frakcje, element reakcyjny oraz wszelkie niepożądane wpływy zagraniczne w naszym kraju, oraz osiągnąć całkowitą niezależność i niepodległość, w ten sposób uprzedzając nastanie prawdziwie demokratycznego państwa[35].

W języku koreańskim istnieje słowo *sadae*, dosłownie „służenie wielkiemu”; nazywano tak tradycyjny haracz płacony cesarzowi Chin przez peryferyjne królestwa, takie jak Korea. W swym nowoczesnym znaczeniu

sadae to służalczość wobec obcego mocarstwa, zwykle mająca na celu osiągnięcie przewagi nad rodzimym konkurentem. Ci, którzy kolaborowali z Japończykami, byli winni *sadae*. W „raju rozsądku”, jaki wyobrażał sobie Yo, hańba *sadae* zostałaby zmazana na wieki.

Koreańczycy nie mieli żadnych szans.

Kiedy parę tygodni po kapitulacji Japonii Amerykanie wylądowali wreszcie w porcie Inchon na południu Korei, nie mieli bladego pojęcia, co reprezentuje sobą ten kraj i jakie są aspiracje jego mieszkańców. Generałowi Johnowi R. Hodge’owi kazano zająć się tą sprawą tylko dlatego, że był w pobliżu, na japońskiej Okinawie. Jego doradcy polityczni wiedzieli o Korei tyle samo co on. Żaden nie znał ani słowa po koreańsku. Było jednak dużo dobrej woli, szczególnie po stronie koreańskiej. „Yank” relacjonował, że „koreańscy tubylcy” witali amerykańskie dżipy, ciężarówki i wozy zwiadowcze „okrzykami, uśmiechami, ukłonami i okrzykami *hubba! hubba!*”[36].

Mimo surowego zakazu fraternizowania się z tubylcami oficer wywiadu wojskowego Warren Tsuneishi, Amerykanin o japońskich korzeniach, zaczął rozmawiać z panem Kim, dyrektorem hotelu w Seulu. Kim powiedział: „Musimy wam podziękować za wyzwolenie. Dziękuję wam, bardzo wam dziękuję. Tyle wycierpieliście, żeby nas wyzwolić i przynieść nam niepodległość”. Oczy pana Kim wezbrały łzami. Tsuneishi nagle poczuł się „bardzo nieswojo”[37].

To było już po pierwszym nietakcie Amerykanów. Generał Hodge nie zdążył jeszcze nawet zejść na ląd, kiedy przysłano do niego prośbę, aby przyjął Yo Un-honga, brata Yo Un-hyonga. Był to człowiek o umiarkowanych poglądach; odgrywał rolę przedstawiciela tymczasowego rządu Korei. Podejrzewając, że to jakiś podstęp ze strony Japończyków, a może komunistów, generał odmówił przyjęcia gościa. Nazajutrz, już w Seulu, Hodge ogłosił, że japoński gubernator i cała jego administracja zostają przy władzy aż do odwołania. To był policzek dla Koreańczyków. Rozwścieczeni obywatele wyszli na ulice. Zażenowany tą reakcją amerykański Departament Stanu szybko ogłosił, że jednak Japończycy nie zostaną przy władzy. Zastąpią ich Amerykanie. Ponieważ jednak

Amerykanom brakowało urzędników, Japończykom i tak kazano pozostać na stanowiskach.

Tak „Yank” relacjonował ceremonię kapitulacji Japończyków:

> Przy maszcie flagowym przed pałacem japońskiego gubernatora w Seulu odbyła się krótka ceremonia przekazania władzy. 184. pułk sformował płytki czworobok mężczyzn w mundurach polowych, a orkiestra 7. dywizji grała marsz *Americans We*. Flaga Japońców została ściągnięta z masztu, pośpiesznie okazana nieuchronnie obecnym fotografom i zastąpiona flagą Stanów Zjednoczonych, podczas kiedy orkiestra grała hymn amerykański”. Następnie amerykańscy żołnierze „wymaszerowali poza bramy pałacu. Obowiązki okupacyjne przejęli Krzewiciele Sprawiedliwości, których Koreańczycy z radością powitali w swym starożytnym Państwie Trzech Królestw[38].

Armia Czerwona okupowała wprawdzie terytorium Korei powyżej 38. równoleżnika, lecz władzę radziecką wprowadzano z większą subtelnością. Pewien radziecki urzędnik zwierzył się amerykańskiemu dziennikarzowi, że Rosjanie lubią Anglików i Amerykanów, gdyż „wyglądają tak jak my”. Natomiast Koreańczyków, ciągnął Rosjanin, „nie lubimy. Zostaniemy, dopóki nie sformuje się odpowiedni stabilny rząd, a potem sobie pójdziemy”[39]. Nawiasem mówiąc, generał Hodge też nie lubił Koreańczyków. Uważał, że to w większości „niedokształceni Azjaci, na których fatalnie wpłynęło czterdzieści lat pod władzą Japońców [i] którym w zasadzie nie da się przemówić do rozsądku”[40].

Rosjanie jak powiedzieli, tak zrobili; ale ich koncepcja odpowiedniego stabilnego rządu nie byłaby po myśli takich patriotów jak Yo Un-hyong czy Cho Man-sik. Początkowo władzę w północnej części Korei przejęły komitety ludowe. Powstały trybunały ludowe i zaczęła się czystka wśród kolaborantów i „elementu reakcyjnego”. Usunięto, często brutalnie, urzędników administracji kolonialnej. Rozpoczął się ruch ku południu: właściciele ziemscy oraz wszyscy ci, którzy nie mieli nic do zyskania na popartej przez Rosjan rewolucji, czym prędzej uciekali z północy. Cho Man-sik wciąż stał na czele Ludowego Komitetu Politycznego, ale ten organ centralny miał ograniczoną władzę nad komitetami regionalnymi. Nie

był też w stanie zapobiec rabunkowi; Armia Czerwona rozmontowała i wywiozła wybudowane przez Japończyków fabryki.

Na południu armia amerykańska, inaczej niż radziecka, przejęła bezpośrednią władzę, po czym przyjęła założenia polityczne, do których w przyszłości będzie się jeszcze wielokrotnie uciekać – wszędzie tam, gdzie Stany Zjednoczone uznają, że najlepiej wiedzą, jak uszczęśliwić tubylców dobrymi rządami. Po części z niewiedzy, po części z nie zawsze usprawiedliwionej podejrzliwości wobec intencji komunistów amerykańska administracja wojskowa polegała na konserwatystach z koreańskiej elity, którzy mówili po angielsku lub – jeszcze lepiej – ukończyli amerykańskie uczelnie. Jako przywódcę przyszłego rządu Korei Amerykanie ściągnęli ze Stanów niejakiego Syngmana Rhee, absolwenta Harvardu i Princeton, chrześcijanina, bez wątpienia nacjonalistę, lecz przy tym zagorzałego antykomunistę. W Korei był on w miarę znany, ale nie miał szerszego grona sympatyków. Na emigracji w Stanach uważano go za kłopotliwe obciążenie; natomiast urzędniczka biura paszportowego w Departamencie Stanu stwierdziła, że to „sympatyczny starszy dżentelmen, patriota". Jej opinię plus antykomunistyczne poglądy Syngmana Rhee uznano za dostateczną rekomendację. 11 października Rhee powrócił do ojczyzny; podczas powitania generał Hodge nazwał go „wielkim człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił sprawie wolności Korei"[41].

Podobna scena rozegrała się trzy dni później w Pjongjangu. W zasadzie nikomu nieznany partyzant – ostrzyżony pod miskę grubasek trochę po trzydziestce, który większą część wojny spędził w obozie szkoleniowym Armii Czerwonej pod Chabarowskiem – był witany przez całą radziecką generalicję jako „bohater narodowy" i „znakomity partyzancki przywódca". Hołd „generałowi Kim Il-sungowi" oddało 70 tysięcy zgromadzonych przemocą ludzi. Przybysz wygłosił przygotowaną przez radzieckich opiekunów przemowę, w której jako „reprezentant pełnego wdzięczności ludu koreańskiego" pod niebiosa wychwalał Armię Czerwoną[42].

Dokładnie tydzień później w jednej z gazet w Pjongjangu pojawiła się pierwsza zapowiedź rodzącego się kultu Kim Il-sunga: opis jego bohaterskich dokonań, który wkrótce miał stać się elementem

pseudoreligijnej liturgii ku chwale rozmaitych boskich interwencji na Półwyspie Koreańskim; było to echo mesjanizmu specyficznego dla wielu ruchów politycznych w dziejach Korei. W grudniu Kim stanął na czele Komunistycznej Partii Korei Północnej. Jednakże ośrodkiem polityki państwowej wciąż było południe. Kwestia dwóch oddzielnych, niepodległych narodów koreańskich jeszcze nie istniała. Do czasu.

Koreańczycy, zawsze boleśnie świadomi tradycji *sadae* w dziejach swego narodu, zaczęli się martwić. W listopadzie 1945 roku Donald Keene, wciąż stacjonujący w chińskim Tsingtao, jadł kolację w towarzystwie kilku tamtejszych Koreańczyków. Raz wreszcie, pisał później w liście, nie kłóciliśmy się na temat niepodległości Korei: „Jedynym tematem rozmowy, który wywoływał jakiekolwiek różnice zdań, były stosunki rosyjsko-amerykańskie". Okazało się, że Keene'owi było „niezwykle trudno" przekonać koreańskich znajomych, że „między Ameryką a Rosją nie ma zatargu i oba kraje są w stanie współistnieć w warunkach światowego pokoju". Wyjaśniał swemu korespondentowi, że ci sami Koreańczycy „podczas wojny ryzykowali surowe kary [ze strony Japończyków], słuchając amerykańskiego radia", wobec czego teraz sądzą, że Stany Zjednoczone powinny wspomóc Koreę przeciwko Rosji. I z nutą zniecierpliwienia konkludował: „Rozwiązanie oparte na współpracy uznają za wykluczone. Widzą tylko dwie konkurencyjne koreańskie frakcje, z których każda chce wygrać wszystko; kooperację w tych okolicznościach uważaliby za zdradę"[43].

Znajomi Keene'a mieli rację: o losie Korei przesądziły decyzje obcych mocarstw. Ale frakcji było znacznie więcej niż dwie. Z początku, podczas grudniowej konferencji ministrów spraw zagranicznych w Moskwie, zdawało się, że optymizm Keene'a był usprawiedliwiony i że Stany Zjednoczone i ZSRR osiągną porozumienie. Korea miała znaleźć się pod kuratelą rady powierniczej złożonej z członków sztabów generalnych obu mocarstw. Władze Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego miały wspomóc Koreańczyków w sformowaniu rządu tymczasowego, a następnie z pomocą Wielkiej Brytanii i Chin skierować państwo koreańskie ku pełnej niepodległości. Całe przedsięwzięcie planowano na maksimum pięć lat.

Związek Radziecki bez wysiłku przekonał swych koreańskich sprzymierzeńców do poparcia tego planu. Głosy sprzeciwu szybko uciszono. Cho Man-sik, któremu rada powiernicza pachniała ciągiem dalszym kolonialnego wścibiania nosa w sprawy Korei, zaprotestował – i znalazł się w areszcie domowym. Później został przeniesiony z aresztu domowego do celi więziennej, a gdzieś w czasach wojny koreańskiej zniknął zupełnie i już nigdy więcej o nim nie słyszano[44].

Sytuacja na południu była bardziej napięta. Prawie wszyscy tamtejsi obywatele z przyczyn albo nacjonalistycznych, albo politycznych odrzucali propozycję utworzenia rady powierniczej. Konserwatyści nie chcieli mieć nic wspólnego z ingerencją Związku Radzieckiego. Nie widzieli też możliwości, aby do rządu narodowego mogła wejść Komunistyczna Partia Korei Północnej. Konserwatyści nie mieli jednak poparcia społecznego. Lewicowa Koreańska Republika Ludowa, mimo podejmowanych przez Amerykanów prób zdławienia jej, wciąż miała więcej politycznej wiarygodności[45]. Gwoździem do trumny okazała się dla niej kwestia rady powierniczej.

Zawiodła próba stworzenia koalicji lewicowców i konserwatystów. Lewica łaskawszym okiem spojrzała na pomysł utworzenia rady powierniczej. Wówczas zaczął się chaos. Udaremniono próbę zamachu stanu pod wodzą kolejnego nacjonalisty, byłego emigranta znanego pod pseudonimem „Skrytobójca”. Robotnicy zastrajkowali w proteście przeciwko amerykańskiej administracji wojskowej. Konserwatyści Syngmana Rhee zaczęli głośno, jak na prawdziwych patriotów przystało, nazywać koreańską lewicę radzieckimi pachołkami, czyli innymi słowy posądzać ją o *sadae*. Amerykanie naturalnie poparli Rhee i zaczęli twierdzić, że rada powiernicza to od początku był radziecki spisek i że Korea Południowa powinna utworzyć odrębny, konserwatywny rząd pod łaskawym namiestnictwem Stanów Zjednoczonych. Koncepcję tę można by nazwać inną formą *sadae* – i w następnych latach faktycznie będzie ona tak nazywana przez niedobitki lewicy.

Koreańska Republika Ludowa była skazana na zagładę. To, co nastąpiło potem, to tragedia. Kraj został rozdarty na dwoje; w Korei Północnej na

czele tymczasowego rządu partii komunistycznej stanął Kim Il-sung, Południową zaś kontrolował Rhee. Koreańscy znajomi Keene'a mieli więcej racji, niż przypuszczali. Straszliwa wojna koreańska, która rozpoczęła się inwazją Północy na Południe w 1950 roku, zakończyła się impasem. Zginęło ponad 2 miliony cywilów; Seul, który przetrwał drugą wojnę światową prawie nietknięty, leżał w gruzach, Pjongjang tak samo. Odtąd Północą będzie rządzić niby-cesarska rodzina despotów, a Południe przez dziesięciolecia będzie się uginało pod władzą dyktatury wojskowej.

U szczytu zimnej wojny, w 1961 roku, w Korei Południowej nastąpił przewrót i władzę objął zagorzały antykomunista. Pojawiło się wielkie ożywienie gospodarcze – a to dlatego, że zastosowano wypracowany przez Japończyków podczas wojny model gospodarki planowej pod zarządem wojskowym. Motorem boomu były ściśle współpracujące z rządem koreańskie *zaibatsu*. Zamordysta, który objął wtedy władzę, był prymusem wśród absolwentów rocznika 1942 w Akademii Wojskowej Mandżukuo w Shinkyō, a później porucznikiem w Armii Kwantuńskiej. W 1948 roku został usunięty z armii Korei Południowej za uczestnictwo w spisku przeciwko Syngmanowi Rhee. Jego japońskie nazwisko, które nosił podczas wojny, brzmiało Takagi Masao, a prawdziwe, koreańskie, Park Chong-hee. W Japonii miał serdecznego stronnika; był nim Nobusuke Kishi, dawny towarzysz broni z Mandżukuo.

***

Utopijne marzenia z zasady kończą na śmietniku zdeptanych iluzji. Ale nie wszystkie trafiają tam tą samą drogą. I zwykle nie nikną bez śladu. Brytyjska Nowa Jerozolima nie przeżyła tego, co John Maynard Keynes, najwybitniejszy ekonomista swoich czasów, nazwał „finansową Dunkierką". Keynes miał nadzieję, że Wielka Brytania będzie korzystać z pomocy udzielanej przez Stany Zjednoczone w ramach programu Lend-Lease, czyli uzyska stały dopływ towarów na wysoce preferencyjnych warunkach, przynajmniej do końca 1945 roku. To dałoby rządowi dość czasu, aby zażegnać bankructwo. W przeciwnym wypadku trudno

powiedzieć, skąd rząd miałby wziąć fundusze, żeby załatać katastrofalną dziurę w budżecie, a co dopiero wcielać w życie socjalistyczne marzenia. Keynes modlił się, by „Japończycy nas nie zawiedli, poddając się za wcześnie”[46].

Wybuch bomb atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki położył kres jego nadziejom. Przy tej okazji Harold Nicolson odnotował w dzienniku reakcję swojej żony, Vity Sackville-West: „Viti ekscytuje się bombą atomową. Uważa, i słusznie, że to oznacza początek nowej ery”[47].

Dla Japonii wojna skończyła się w sierpniu.

Nędza, kryzys gospodarczy, reglamentacja towarów, która w Wielkiej Brytanii trwała dłużej niż w innych krajach, niekończące się kolejki, ograniczone usługi, posępna monotonia życia i powojenne znużenie, a przy tym świadomość, że nie tylko skarb narodowy jest pusty, lecz także Wielka Brytania przestaje być światowym mocarstwem i traci prestiż – duch optymizmu nie mógł długo wytrzymać czegoś takiego i sklęsł. Projekty związane z mieszkalnictwem socjalnym, edukacją, kulturą, opieką zdrowotną i pełnym zatrudnieniem dalej wcielano w życie, ale finanse były w fatalnym stanie, a entuzjazm 1945 roku szybko się rozwiał. Dwa lata po zwycięstwie nad Niemcami i Japonią przewodniczący Partii Pracy Hugh Dalton ze smutkiem napisał w swoim pamiętniku: „Nigdy już nie będzie można być pewnym, czy wstanie jasny dzień”[48].

W 1951 roku Winston Churchill ponownie został premierem. Partia Pracy będzie czekała trzynaście lat na kolejną szansę, tym razem pod przywództwem Harolda Wilsona, który w gabinecie Attleego był przewodniczącym Rady Handlowej.

Bieg wydarzeń w innych krajach Europy Zachodniej był podobny. Stabilność i ciągłość, swoista normalność, którą przyrzekały katolickie i chrześcijańskie partie demokratyczne, wygrała z rewolucyjną energią lewicy. Holenderscy socjaldemokraci utracili władzę w 1956 roku. Generał de Gaulle proklamował Piątą Republikę w 1958 roku. Bliska hegemonii władza partii chrześcijańskich demokratów we Włoszech rozpoczęła się w 1948 roku, czemu znacznie przysłużyła się antykomunistyczna propaganda i pomoc finansowa Ameryki. Pierwszy socjaldemokratyczny

rząd w Niemczech zachodnich powstał dopiero w 1969 roku. Marzenia wschodnioniemieckich socjaldemokratów o współpracy z komunistami przy budowaniu lepszych, antyfaszystowskich Niemiec rozwiały się jeszcze przed proklamowaniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej w 1949 roku. Otóż w 1945 roku Niemcy mieszkający w radzieckiej strefie okupacyjnej zdecydowanie poparli socjaldemokratów, a komunistów – nie. Wobec tego rok później władze radzieckie wymogły na partii socjaldemokratycznej Niemiec wschodnich połączenie się z partią komunistyczną, która wkrótce ją wchłonęła.

Winę za zniknięcie niekomunistycznej lewicy w Korei, a także w Japonii – gdzie rząd socjalistyczny utrzymał się dokładnie przez rok, od 1947 do 1948 – można zrzucać na zimną wojnę. Trudno zaprzeczyć, że amerykańskie władze okupacyjne w Azji Wschodniej cechował dyletantyzm i konserwatyzm, ale za porażkę umiarkowanej lewicy w równym stopniu odpowiadał Związek Radziecki. Pod kontrolą ZSRR w Korei Północnej tak samo jak w Europie Środkowej i Wschodniej socjaliści zostali zdławieni.

Wszelkim projektom rewolucji w amerykańskiej strefie wpływów położył kres Stalin, który kazał francuskim i włoskim komunistom zapomnieć o przejęciu władzy. Swoją drogą przywódca tych ostatnich, Palmiro Togliatti, polityk raczej umiarkowany, unikał starć z konserwatystami i to pomimo faktu, że prawica wciąż była splamiona schedą po Mussolinim. Stany Zjednoczone i ich konserwatywni sprzymierzeńcy na Wschodzie i Zachodzie tak dalece nie ufali intencjom komunistów, że ze swojej strony robili, co mogli, by wszelkiego autoramentu lewicę utrzymać z dala od władzy, szczególnie w krajach, które znalazły się na linii frontu zimnej wojny – a tak się złożyło, że były to Niemcy, Włochy i Japonia. Od końca lat czterdziestych Japonię, podobnie jak RFN, trzeba było przekształcić w przedmurze chroniące przed komunizmem. Po zmianie kursu zwolennicy Nowego Ładu z roku 1945 zniknęli jak sen; zamiast tego rozpoczęła się remilitaryzacja, wzrosło uprzemysłowienie, działalność związków zawodowych uległa ograniczeniu, ze służby cywilnej i edukacji usunięto „czerwonych”; aktywne poparcie

Stanów Zjednoczonych uzyskali konserwatywni politycy, z których niejeden jeszcze całkiem niedawno oczekiwał na proces jako zbrodniarz wojenny. Na początku okupacji władze amerykańskie bardzo życzliwie odnosiły się do japońskiej lewicy, więc ten całkowity zwrot kursu jest przez nią do dziś uważany za haniebną rezygnację z idealizmu 1945 roku.

A jednak Hugh Dalton przesadził z pesymizmem, kiedy opłakiwał koniec brytyjskiego „jasnego dnia". Odczuwana po wyzwoleniu ekstatyczna radość przygasła, lecz wiele instytucji powstałych w blasku tego początku przetrwało; niektóre działają, zwykle ku powszechnemu pożytkowi, czasem ku szkodzie, po dziś dzień. Ani konserwatyści w Wielkiej Brytanii, ani chrześcijańscy demokraci w Europie kontynentalnej nie próbowali, będąc u władzy, na serio podminować podstaw europejskich państw opiekuńczych, wymyślonych przez przedwojennych planistów, a wprowadzonych po wojnie przez idealistów z ruchu oporu. Torysi Churchilla wybudowali nawet więcej mieszkań socjalnych niż laburzyści Attleego. Chadecy często traktowali leseferyzm z niemal taką samą nieufnością jak socjaliści. Zachodnioeuropejskie systemy państwa opiekuńczego jęły erodować dopiero w latach siedemdziesiątych, a w następnym dziesięcioleciu przeszły załamanie, szczególnie poważne w Wielkiej Brytanii za czasów Margaret Thatcher. Gospodarki Japonii i Korei Południowej wciąż pozostają pod dosyć ścisłą kontrolą rządowych planistów.

Najważniejszym pomnikiem powojennego planowania jest jednak sama Europa, a raczej Unia Europejska, która niby gnije od wewnątrz, niby chyli się ku upadkowi, a przecież wciąż stoi. W 1945 roku większość ludzi wierzyła w jedność Europy jako w szlachetny ideał. Myśl ta zawsze podobała się katolikom, słyszącym jeszcze dalekie echa idei Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Francuzi i frankofile z przyjemnością myśleli o Europie jako o centrum zachodniej cywilizacji, którego serce biłoby w Paryżu, a które dałoby odpór prostackiemu materializmowi Stanów Zjednoczonych. Socjalistów i innych zwolenników gospodarki planowej wabiła Bruksela, siedziba najważniejszych instytucji Unii Europejskiej – stolica nowej technokracji. Przede wszystkim jednak zjednoczona Europa

stanowi gwarancję, że Europejczycy już nigdy więcej nie będą toczyć bratobójczej wojny. Przynajmniej w tym sensie idealizm 1945 roku jak dotąd się opłaca.

ROZDZIAŁ 8

JAK UCYWILIZOWAĆ BESTIE

W 1943 roku Noël Coward napisał piosenkę pod tytułem *Don't Let's Be Beastly to the Germans*, która zrodziła pewne nieporozumienie. Przez jakiś czas jej emisja w BBC była zakazana, uznano ją bowiem za zbyt tolerancyjną wobec wroga:

Nie bądźmy wredni wobec Niemców
Skoro tę wojnę już wygraliśmy
To tylko ci wstrętni naziści
Namówili ich do zła
Znacznie gorszą przykrość nam robi
Ten ich Beethoven i Bach!

W rzeczywistości ta piosenka, jak Coward starannie podkreślił przed odśpiewaniem jej na scenie, to złośliwy komentarz pod adresem „tej niedużej mniejszości humanitarystów, których opinia o naszych wrogach była, moim zdaniem, odrobinę zbyt pobłażliwa".

Stwierdzenie, że alianckie okupacje Niemiec i Japonii były natchnione wyłącznie duchem humanitaryzmu, to przesada, ale niewielka. Ich wyjątkowość, przynajmniej w ciągu pierwszych paru lat, polega na tym, że okupanci podjęli szczery wysiłek – nie aby wywrzeć zemstę, lecz by reedukować, cywilizować, dbać o serca i umysły, a dyktatury przekształcać w pokojowe demokracje, które już nigdy nie zagrożą światu zniszczeniem.

Prawdą jest, że z początku planowano – głównie w Waszyngtonie – ukarać i unieszkodliwić pokonanych wrogów przez zniszczenie wszelkich środków, dzięki którym państwa te mogłyby stać się nowoczesne, uprzemysłowione. Wspomniany tu już wcześniej plan Morgenthaua, zwany tak od nazwiska Henry'ego Morgenthaua, sekretarza skarbu w rządzie Roosevelta, zakładał likwidację niemieckiego przemysłu ciężkiego, rozbicie kraju na mniejsze części oraz uczynienie z Niemców narodu rolniczego, który w najgorszym razie mógłby walczyć kijami. Podobne pomysły omawiano w stosunku do Japonii.

Te projekty spełzły na niczym i zostały zastąpione planem „trzech de" – demilitaryzacji, denazyfikacji, demokratyzacji[1]. To właśnie to trzecie „de" oznaczało reedukację, sięgnięcie do umysłu pokonanego narodu i to nie tylko w celu zmiany wzorców zachowań promowanych i narzucanych przez militarystyczne i dyktatorskie władze, lecz także w celu zmiany sposobu myślenia, „charakteru narodowego". Wyprodukowany przez Departament Wojny Stanów Zjednoczonych film instruktażowy pod tytułem *Our Job in Japan* (Nasze zadanie w Japonii) bardzo precyzyjnie określa cel tej misji. „Naszym problemem – wyjaśnia narrator w chwili, kiedy na ekranie ukazuje się czaszka – jest mózg w głowie Japończyka". Na końcu filmu narrator podsumowuje: „Jesteśmy tutaj, aby jasno uświadomić japońskiej mózgownicy, że mamy zupełnie dość tego krwawego barbarzyństwa; że już na zawsze wystarczy"[2].

Reformowanie tubylców to strategia, której początków można upatrywać w wysiłkach starożytnych Rzymian, by ucywilizować barbarzyńców. Zdaniem wielu badaczy zrodziła się ona z oświeceniowego przekonania, że naturą ludzką kieruje rozsądek, a więc można ją kształtować dzięki właściwej edukacji. Inni odwołują się do strategii kolonizacyjnych, takich jak francuska *mission civilisatrice*, do misyjnego zapału chrześcijaństwa lub do technik kształcenia imigrantów na dobrych obywateli amerykańskich. W pracach brytyjskich wspomina się również o wzmacnianiu charakteru, wpisanym w program wiktoriańskich szkół z internatami, które w założeniu kształciły usportowionych dżentelmenów z dobrą znajomością literatury

i języków klasycznych. Reedukację postrzegano także jako element wojny psychologicznej, militarnego wykorzystania propagandy.

W 1939 roku w czasopiśmie „Punch” ukazał się wiersz, w którym A.P. Herbert podkreślał konieczność wdrożenia programu reedukacji:

> Nic nie mamy do Niemców jako do narodu
> Któż miałby coś do stada ufnych baranich łbów
> Tylko że pokolenie po pokoleniu
> Rodzą włodarzy mącących spokój naszych snów […]
> Nic nie mamy do Niemców jako do narodu
> Nie będziemy się mieszać do ich wewnętrznych spraw
> Lecz duża operacja (na sercu i mózgu)
> To jedyna terapia, która może coś da.

W czasie kiedy tłumy wciąż świętowały 8 maja, koniec wojny w Europie, w londyńskim „Timesie” ukazał się list człowieka, który będzie miał znaczny wpływ na politykę edukacyjną w okupowanych Niemczech: Roberta Birleya, dyrektora słynnej prywatnej szkoły Charterhouse. „Staje się jasne – pisał Birley – że reedukacja Niemiec przez Sprzymierzonych to nie pobożne urojenie, lecz nieunikniony obowiązek”. A.P. Herbert sugerował, a większość ludzi święcie wierzyła, że problem z Niemcami polega na tym, że przez ponad stulecie byli „w fatalny sposób gotowi zaakceptować każdy rząd, który zdjąłby im z barków brzemię samodzielnego podejmowania decyzji”. Niemcy upodobnili się, zdaniem Birleya, do stada owiec ślepo idących za przewodnikiem, do pozbawionych indywidualności robotów, machin wojennych.

W dalszej części swojego listu Birley zwracał uwagę na bardziej interesujący aspekt sprawy – który zresztą w końcu brytyjskie władze okupacyjne całkowicie pominęły – a mianowicie że reedukacja, aby być skuteczna, musi się opierać na tradycji narodowej. Niemcy nie powinny być traktowane jak *tabula rasa*; Niemców należy przekonać, że „oni sami mają tradycję, choć dziś całkowicie zapomnianą, na której można oprzeć przyzwoite społeczeństwo. Istniały niegdyś Niemcy Goethego, które młody Meredith odwiedził, ponieważ były krajem liberalnych myślicieli, którego

uniwersytety stanowiły natchnienie dla takich Amerykanów jak George Bancroft”[V].

Założenia Birleya były z całą pewnością popularne wśród tych Niemców, którzy pragnęli zmyć z narodu brunatne piętno hitleryzmu i opromienić go chwałą Goethego, Kanta i Beethovena. Zostawszy doradcą do spraw edukacji przy brytyjskim rządzie wojskowym w Niemczech, Birley jeszcze w 1945 roku rozpoczął akcję zakładania bibliotek, hojnie zaopatrzonych w odpowiednie dzieła literatury brytyjskiej i niemieckiej, oraz ośrodków kształcenia dorosłych, zwanych *Die Brücke* (Mosty), promujących wymianę intelektualną i kulturalną między Wielką Brytanią a Niemcami. Niestety, ta obiecująca akcja spotkała się z protestami brytyjskich urzędników, którzy miewali czasem bardzo dziwne pomysły. Jedynie „daleko idące wymieszanie krwi z innymi nacjami” uleczy niemiecką zarazę, twierdził jeden z tych geniuszy[3]. Inny gorliwiec ze średniego szczebla hierarchii urzędniczej stwierdził, że wszyscy byli naziści powinni zostać deportowani wraz z rodzinami na wyspę na Morzu Północnym. Birley odpowiedział kąśliwie, że ich dzieci, chodząc do szkoły na stałym lądzie, mogłyby zarazić nazistowskimi poglądami swych Bogu ducha winnych kolegów i koleżanki, i co wtedy? Pomysł, podobnie jak plan Morgenthaua, szybko zarzucono.

Inny, poważniejszy już zarzut wobec pomysłu Birleya, by popularyzować to, co najcenniejsze w kulturze niemieckiej, brzmiał: akcja kładzie niedostateczny nacisk na promocję najlepszych aspektów kultury brytyjskiej. Generał Brian Robertson, bezpośredni zwierzchnik Birleya (a tak na marginesie: absolwent szkoły Charterhouse), zdecydował, że rząd wojskowy powinien odeprzeć krytykę swojej polityki wobec Niemiec. Inny generał stwierdził, że należy wyraźniej „forsować brytyjską cywilizację” i promować brytyjską politykę[4]. Birley złożył rezygnację i wrócił do Anglii.

Władze amerykańskiej strefy okupacyjnej były z początku bardziej skore karać, niż edukować. Więcej wysiłku włożono w czystkę wśród nauczycieli podejrzanych o nazistowskie sympatie niż w przebudowę niemieckiej umysłowości. Niemcy przebywający na emigracji w Stanach

Zjednoczonych przekonali władze amerykańskie, że reedukacja byłaby bezowocna. Powieściopisarz Alfred Döblin powiedział: „Edukacja Niemców jest sprawą niemal beznadziejną, ponieważ wysoko kwalifikowane grupy zawodowe to w większości naziści". Jego przyjaciel Lion Feuchtwanger, również słynny niemiecki powieściopisarz, twierdził z przekonaniem: „Trzy miliony nazistów trzeba aresztować, zabić lub deportować do pracy przymusowej"[5]. Z innych wypowiedzi wynika, że uczenie Niemców, jak stać się lepszymi ludźmi, uważano za pomysł równie absurdalny jak próby ucywilizowania pawianów.

Niemniej deklaracja poczdamska dawała jednoznaczną wykładnię oficjalnej strategii aliantów: „Nad wychowaniem w Niemczech rozciągnie się kontrolę w tym duchu, żeby całkowicie wyeliminować doktryny narodowosocjalistyczne i militarystyczne oraz umożliwić pomyślny rozwój idei demokratycznych"[6]. Sformułowane w Poczdamie ustalenia co do Japonii brzmią mniej surowo, a przynajmniej zakładają mniejszą kontrolę z zewnątrz: „Rząd japoński usunie wszelkie przeszkody dla odrodzenia i wzmocnienia tendencji demokratycznych w narodzie japońskim. Ustanowiona zostanie wolność słowa, wyznania i myśli, jak również poszanowanie podstawowych praw człowieka". Trudno wyjaśnić tę różnicę w tonie, zwłaszcza w świetle tego, co faktycznie się wydarzyło podczas okupacji; w Japonii zostały wprowadzone o wiele bardziej radykalne zmiany niż w Niemczech.

Mimo wszystko reedukację (którego to terminu, nawiasem mówiąc, Birley nie znosił, preferując zwyczajną „edukację") Niemców uważano za zadanie znacznie łatwiejsze niż reedukacja Japończyków. Niemcy znajdowały się przecież w kręgu cywilizacji zachodniej i były w przeważającej części chrześcijańskie. Fundamenty kulturowe ojczyzny Goethego i Kanta uważano za zdrowe. Należało tylko wykorzenić ideologię nazistowską i pruski militaryzm. Denazyfikacja i demilitaryzacja miały w znacznym stopniu rozwiązać ten problem. Należało też jasno udowodnić współwinę całego narodu w odniesieniu do zbrodni hitleryzmu. W tym celu rozpowszechniano filmy dokumentalne, na przykład *Nazi Concentration Camps* (Nazistowskie obozy koncentracyjne), wykonany na zlecenie armii

Stanów Zjednoczonych, lub *Death Mills* (Młyny śmierci); komentarz do tego ostatniego zawiera następujące słowa:

> Oto zwyczajna niemiecka stodoła w Gardelegen. Tysiąc stu ludzi wpędzono do niej jak bydło i spalono żywcem. Ci, którym w męce udało się wyrwać z wnętrza budynku, zostali zastrzeleni. Jakież nieludzkie istoty uczyniły coś takiego?[7]

Filmy te nie spotkały się w Niemczech z uznaniem. Ludzie odmawiali oglądania ich lub twierdzili, że to tylko propaganda. W 1945 roku Günter Grass miał siedemnaście lat; przez krótki czas służył w dywizji pancernej SS i dlatego znalazł się w obozie jenieckim. Szkolenie dla jeńców prowadził *education officer*, Amerykanin, „który chodził zawsze w świeżo wyprasowanych koszulach". Pokazywał zdjęcia z Bergen-Belsen, Ravensbrück, stosy trupów, żywe szkielety. A oni ani trochę w to nie wierzyli: „Nasze zdania powtarzały się: – I to mieli zrobić Niemcy? – Nigdy w życiu Niemcy tego nie zrobili. – Czegoś takiego Niemcy nie robią. A między sobą mówiliśmy: – Propaganda. Wszystko to tylko propaganda"[8].

Niewiele wnosiły także kluby dyskusyjne, w najlepszych intencjach organizowane przez amerykańskich urzędników. Pełne dobrej woli prelekcje o tym, „jak robimy [demokrację] w Stanach", nie przyciągały słuchaczy, gdyż były wygłaszane po angielsku, a tematy typu „państwo nazistowskie" spotykały się z reakcją defensywną: nie wiedzieliśmy, Hitler zrobił wiele dobrego i tak dalej[9]. W obozie Güntera Grassa za każdym razem, kiedy *education officer* zaczynał pouczać niemieckich jeńców na temat okropności rasizmu, ci zadawali mu krępujące pytania o traktowanie „czarnuchów" w Stanach Zjednoczonych.

Wygłodzeni ludzie mieli też ważniejsze kłopoty, nadchodziła przecież zima. Hans Habe, amerykański dziennikarz węgierskiego pochodzenia, który organizował prasę w powojennych Niemczech, powiedział: „Pomysł, że naród powinien spojrzeć w przeszłość, aby zadawać pytania i odczuwać wyrzuty sumienia, to koncepcja zdobywcy […] ludzie martwili się tylko o to, czym napełnić brzuchy i piece"[10]. A przecież Habe, Żyd i były

więzień obozu koncentracyjnego, nie miał żadnego powodu współczuć Niemcom.

Przybliżanie Niemcom dobrodziejstw demokracji nie było wcale łatwiejsze. Artykuł w czasopiśmie „Yank" zatytułowany *Re-education of Germany* (Reedukacja Niemiec) zawiera doskonały wywiad z Ernstem, dziesięcioletnim uczniem z Akwizgranu. Zapytany, czy wie, że już cała armia niemiecka została pokonana, chłopiec odrzekł: „Amerykanie mieli dużo armat i dużo Żydów". Następne pytanie: „Czy ktoś mówił ci cokolwiek o demokracji?". Odpowiedź: „Nauczyciele o tym opowiadają". A czy to, co słyszał o demokracji, go zainteresowało? Odpowiedź: „Śpiewanie jest chyba fajniejsze"[11].

Reedukacja Niemiec rozpoczęła się właśnie w Akwizgranie, położonej w samym sercu Europy dawnej stolicy Karola Wielkiego, lecz wcale nie z przyczyny historycznych sentymentów, tylko dlatego, że było to pierwsze miasto objęte aliancką okupacją. Z bombardowania ocalało zaledwie kilka szkół. Przed wojną Akwizgran miał 160 tysięcy mieszkańców; pozostało 14 tysięcy. W gruzach leżało 85 procent miasta. Cudem ocalała przepiękna romańsko-gotycka katedra, w której spoczywa Karol Wielki. Teraz jednak, pisze „Yank", „wojna pocisków […] ustąpiła nowej wojnie, wojnie idei. Cały świat będzie obserwował eksperyment, jakim jest próba dechuliganizacji młodych Niemców".

Przedstawiciel amerykańskiego rządu okupacyjnego major John P. Bradford oznajmił urzędnikom miejskim, Niemcom, którzy nie podlegli czystce, że spotyka ich wielka szansa: oto otrzymują „pozwolenie, by niemiecką młodzież uczyć, reedukować, zawrócić z drogi nazistowskiej niegodziwości"[12].

Pierwszym problemem był brak odpowiednich nauczycieli. Ci, którzy poszli do wojska, nie żyli, tkwili w przyfrontowych obozach jenieckich lub jako byli naziści nie mogli zostać zatrudnieni w szkole. W Hamburgu poeta Stephen Spender zapytał kilkoro dzieci, czego się uczą w szkole. Łaciny i biologii. To wszystko? Wszystko. „Bo wie pan, nauczycieli historii, geografii, angielskiego i matematyki wyrzucili w czasie czystki"[13].

Drugi problem stanowiły książki. Wiele podręczników spłonęło podczas bombardowań. Inne absolutnie się nie nadawały: gloryfikowały Führera i rasę panów, tłumaczyły biologiczną konieczność oczyszczenia niemieckiej ziemi z Żydów. Nawet książki szkolne z okresu Republiki Weimarskiej sławiły niemieckiego ducha bojowego i zawierały czytanki o bohaterskich czynach wielkich Niemców, na przykład Fryderyka Wielkiego. Skoro jednak w zasadzie nie było nic innego, musiały wystarczyć. Wykonane w Londynie matryce jednego z tych starych podręczników wyekspediowano z powrotem do Niemiec; cały nakład powstał w starej drukarni prasowej w Akwizgranie.

Kurator akwizgrańskich szkół dr Karl Becker był przekonany, iż młodsze dzieci dadzą się w miarę łatwo przekonać, iż ich przyszłość zależy od współdziałania „ze wszystkimi ludźmi na świecie, a nie tylko z mieszkańcami «wielkich Niemiec»”; natomiast starsze dzieci będą wymagać „bardzo silnej ręki”. Twierdził jednak, że „w klasie będziemy starać się stosować zasady demokracji nawet podczas wymierzania kar. Jeśli uczeń lub uczennica będą rozrabiać, czasami pozwolimy całej klasie podjąć decyzję, jak najlepiej ukarać winowajcę”. Becker podkreślał też, że jest „przeciwny karze chłosty”, z wyjątkiem „najbardziej skrajnych przypadków”[14].

Doktor Becker był konserwatywnym katolikiem. W walce o „zastąpienie emblematów nazizmu czymś namacalnym a dobrym” zwracał się ku chrześcijańskim wartościom duchowym. Robiło tak bardzo wielu Niemców, co tłumaczy zwycięstwa Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) w wyborach w RFN. Konrad Adenauer, przyszły lider CDU, a zarazem pierwszy powojenny kanclerz Niemiec, także był katolikiem z Nadrenii. Stephen Spender odwiedził go w kolońskim ratuszu; Adenauer był burmistrzem Kolonii przed dojściem Hitlera do władzy i powrócił na ten urząd w 1945 roku.

Z okna jego gabinetu Spender widział zniszczone ulice Kolonii. Ściany budynków jeszcze stały, lecz był to jedynie „cienki woal kryjący wilgotną, zapadłą, cuchnącą pustkę wypalonych wnętrz”. Podczas wywiadu Adenauer zwrócił jednak uwagę swego rozmówcy na krajobraz zniszczeń innego

rodzaju. „Nie mógł pan nie dostrzec – powiedział – że naziści obrócili niemiecką kulturę w taką samą kupę gruzów jak Nadrenię i Zagłębie Ruhry. Po piętnastu latach ich rządów Niemcy to duchowa pustynia”[15]. Ludzie potrzebują szkół, książek, filmów, muzyki, teatru tak samo jak żywności i opału: „Trzeba zadbać o strawę dla wyobraźni”[16].

Panował z pewnością wielki głód kultury, lecz miał niekiedy dziwne przyczyny. Jednym z powodów, dla których tylu Niemców przestało czytać książki, jest fakt, że nazistowska literatura była ogólnie rzecz biorąc śmiertelnie nudna. Po wojnie o potrzebie zapewnienia ludziom dostępu do kultury wysokiej mówiło się więc tak, jakby była to swego rodzaju pokuta. W Bonn Spender spotkał pewną panią, „czcigodną, pobożną *hausfrau* najbardziej obłudnego typu”, która gorszyła się frywolnością gustów swoich rodaków w kwestii masowej rozrywki. Jej zdaniem na moralnych ruinach Trzeciej Rzeszy nie powinno być miejsca dla kabaretów, a co dopiero jazzu. Niemiecka kultura powinna być poważna, „chociaż tego można by oczekiwać po tym wszystkim, czego Niemcy się dopuścili”. Niemców „powinno się zmusić”, twierdziła ta dama, aby robili użytek wyłącznie z „dobrej” kultury: „Mozart, Beethoven, Goethe. Wszystko inne powinno być zabronione”[17]. Adenauer nie byłby chyba aż tak surowy.

Pierwsza powojenna inscenizacja *Opery za trzy grosze* Bertoldta Brechta – sztuki, która za czasów hitlerowskich znalazła się oczywiście na indeksie – w Berlinie pokazuje jasno, jak wielki był głód kultury. Ludzie wędrowali godzinami, aby dostać się do Hebbel-Theater w amerykańskiej strefie okupacyjnej, jednego z niewielu teatrów, które przetrwały wojnę w znośnym stanie. Przedstawienie zaczynało się o szesnastej, żeby widzowie zdążyli bezpiecznie wrócić do domów; o zmroku na ulice wychodziły bandy opryszków. Premiera miała miejsce 15 sierpnia (nazajutrz po kapitulacji Japonii, ale to był z pewnością zbieg okoliczności) [18]. Próby odbywały się w trudnych warunkach: deszcz lał się przez dach, aktorzy byli głodni, kostiumy rozkradziono, rekwizyty uległy zniszczeniu.

Na widowni siedziała Ruth Andreas-Friedrich, dawna bojowniczka ruchu oporu. „Dławi mnie w gardle ze wzruszenia” – pisała później w dzienniku. Piosenek „z naszych konspiracyjnych czasów”, które „tak

często krzepiły nas i dodawały otuchy w godzinie rozpaczy", słuchała teraz jako wolny człowiek. Lecz wrażliwość na fałsz, dwulicowość i samooszukiwanie się nie opuściła jej nawet w tej chwili rozrzewnienia. Kiedy ze sceny padły słynne słowa: „Wy, którzy nas łaskawie pouczacie, / Jak zła unikać i szlachetnym być, / Coś może najpierw nam do żarcia dacie, / Nim nam powiecie, jak uczciwie żyć!"[19], rozległ się „grzmot oklasków". To natychmiast wytrąciło Andreas-Friedrich z „zaabsorbowania samą sobą". Ten wybuch obłudnego ubolewania nad nieszczęściami, które Niemcy sami sprowokowali, był według niej oburzający: „Czy musimy rozpoczynać nasz pierwszy sprawdzian wolności słowa od krytykowania innych?"[20].

***

Miałoby poniekąd więcej sensu, gdyby wysoce upolitycznioną, moralizatorską, lewicującą sztukę Brechta wystawić w strefie radzieckiej, a nie na okupowanym przez Amerykanów berlińskim Kreuzbergu. Przecież to właśnie w utworzonych w 1949 roku „demokratycznych" (czytaj: komunistycznych) Niemczech Brecht wybuduje własny teatr, choć przezornie zatrzyma świeżo otrzymany austriacki paszport. Związek Radziecki też z zapałem przystąpił do reedukacji Niemców. Co więcej, do kwestii kultury podchodził z większą powagą niż Brytyjczycy i Amerykanie. Pewien urzędnik brytyjskich sił okupacyjnych meldował smętnie, iż promowana na Zachodzie „kultura swobodna i indywidualna" nie jest żadną konkurencją dla radzieckiej „kultury upolitycznionej". „Działalności teatralnej, wydawniczej, artystycznej i muzycznej" prowadzonej w strefie radzieckiej towarzyszy „krzątanina, która wywołuje wrażenie, że dzieje się coś nowego i żywiołowego"[21].

No bo faktycznie coś się działo. Organizując specjalne kluby, dostarczając dodatkowe kartki na żywność i zapewniając mecenat artystyczny, władze radzieckie starały się przekabacić „demokratyczny" element w łonie niemieckiej inteligencji. Ta nowa „demokratyczna" kultura była często zabarwiona mieszaniną niemieckiego nacjonalizmu

i komunistycznej ideologii. Jednym z głównych animatorów kultury w Niemczech był Johannes Becher, marksistowski poeta i przewodniczący założonej z radzieckiej inicjatywy organizacji Kulturbund, czyli, aby użyć jej pełnej nazwy, Związku Kulturalnego dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec. Becher, w pewnym sensie tak jak brytyjski kurator edukacji Robert Birley, za właściwy fundament odrodzenia uważał „niemieckiego ducha" – oczywiście pod warunkiem że duch ten byłby „postępowy". Nie myślał tu o Goethem, tylko o komunistycznych męczennikach, którzy zginęli w hitlerowskich więzieniach. Tylko „sztuka antyfaszystowska" mogła być sztuką prawdziwie niemiecką.

Idea ta okazała się jednak zbyt pojemna jak na gust radzieckich komisarzy wojskowych, którzy mieli węższą i bardziej prowincjonalną koncepcję postępowej sztuki. Chętnie wspierali niemieckie inscenizacje dzieł rosyjskich klasyków, na przykład Czechowa czy Gogola, nowoczesnych dramaturgów rosyjskich, a nawet (jeśli sztuka była napisana w stylu radzieckim) niektórych postępowych dramaturgów z Niemiec, takich jak Friedrich Wolf, ojciec Markusa Wolfa, przyszłego asa wywiadu NRD. W tym celu komisarze z przyjemnością informowali niemieckich literatów, co trzeba koniecznie zawrzeć w tekście, co skreślić i jak należy te utwory inscenizować.

Publiczności w strefie radzieckiej zapewne nie zachwycał fakt, że decyzją władz spektakle muzyczne, kinowe oraz teatralne musiały być poprzedzone rozdawaniem ulotek oraz przydługimi przemowami oficjeli, którzy tłumaczyli widowni, jaka jest właściwa linia polityczna danego dzieła. Komunistyczne władze nie oszczędzały na reklamie takich filmów jak *Lenin w październiku* lub *Lenin w 1918 roku*, lecz widzowie, mimo że spragnieni rozrywki, pozostali nieprzekonani. Nawet członkowie Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) nie mogli się zmusić do entuzjazmu w stosunku do większości radzieckiej kultury. Z kolei władze radzieckie nie do końca ufały nawet Johannesowi Becherowi, którego komunistyczny życiorys był nieposzlakowany. Był przecież Niemcem; oprócz tego wydawał się chyba ciut za bardzo „kosmopolityczny", a na domiar złego nad jego przeszłością unosił się lekki smrodek trockizmu.

W listopadzie 1945 roku w Poczdamie urzędnik radzieckiego wydziału kultury zarzucił organizacji Kulturbund, że toleruje „burżujskie prądy w sztuce i literaturze; futuryzm, impresjonizm i tak dalej”[22].

Kolejny aspekt życia i kultury we wschodniej strefie miał się nie zmienić aż do upadku muru berlińskiego w 1989 roku. Komuniści gładko przejęli napastliwy, przesadny ton oficjalnej hitlerowskiej retoryki, a także zamiłowanie do masowych imprez oraz parad wojskowych, podczas których ogromny tłum ryczał hasła i wznosił do góry las zaciśniętych pięści (wszystko ku chwale przyjaźni i pokoju). Ruth Andreas-Friedrich nie tylko poszła na powojenną premierę *Opery za trzy grosze* w Berlinie, lecz także uczestniczyła w inauguracji Kulturbundu. Jej znużenie niekończącymi się przemowami szybko przerodziło się w niesmak. 3 lipca zapisała w dzienniku:

> Żaden z ośmiu notabli, którzy mówią tu o konieczności pogodzenia się z przeszłością i odnowienia naszego życia kulturalnego, nie zauważył chyba, że jak dotąd marnie im się udaje odnowić swój własny sposób mówienia. Dalej wszystko jest maksymalne, ostateczne największe i najwspanialsze. […] «Zdecydowanym krokiem maszerujemy do walki o pacyfizm» – grzmiał wczoraj jakiś polityk, zapewne nie zdając sobie sprawy, jak paradoksalnie brzmi jego niekłamany zapał, kiedy się go ujmie w te słowa. Chyba niełatwo jest się nauczyć ograniczać przesadę[23].

***

Czytając pierwsze czasopisma wydawane w zachodnich strefach okupacyjnych, nikt by się nie domyślił, że kultura amerykańska była ogólnie rzecz biorąc bardziej rozrywkowa niż kultura promowana przez władze radzieckie. Amerykańska administracja wojskowa zaczęła publikować czasopisma dla Niemców, zamiast powierzyć to zadanie samym zainteresowanym. Pierwszy numer przeznaczonego dla tamtejszych intelektualistów miesięcznika „The American Observer” zawierał artykuły na temat humanizmu i wiary, filozofii politycznej Thomasa Jeffersona oraz tekst pod tytułem „Odrodzenie doliny Tennessee”. Czasopismo „Heute” zawierało relacje z czasów okupacji Holandii oraz artykuły „Ludzie

w piekle obozów koncentracyjnych” i „Praca społeczna we wspólnocie doliny Tennessee”[24].

Przyjęcie, z jakim spotkały się te publikacje, jeden z amerykańskich obserwatorów określił jako „nierówne”[25].

Za to władze radzieckie od samego początku zezwalały godnym zaufania, prawomyślnym Niemcom samodzielnie wydawać czasopisma; była to znacznie bardziej owocna strategia. Pierwszy z nich, „Aufbau”, obok tekstów o wojennych przewinieniach Niemców zawierał artykuły Tomasza Manna, Paula Valéry’ego i Ernesta Renana. Cały nakład rozszedł się prawie natychmiast.

Niemcy przez ponad dekadę nie mieli dostępu do twórczości filmowej Hollywood, więc trzydzieści dwa filmy fabularne wybrane specjalnie w celu promocji amerykańskiego stylu życia spodobały się widzom niezależnie od zamierzonego przesłania. Nie zakwalifikował się żaden film gangsterski, nie należało wszak pokazywać widzom ciemniejszych stron amerykańskiego społeczeństwa. *Przeminęło z wiatrem* (1939) i *Grona gniewu* (1940) też uznano za zbyt negatywne. W zasadzie jednak Niemcy oglądali wówczas te same niezupełnie już nowe hollywoodzkie produkcje co inni mieszkańcy zachodniej Europy: *Gorączkę złota* Charlie Chaplina (1942), *Ich stu i ona jedna* z Deanną Durbin (1937), film biograficzny *Abe Lincoln w Illinois* (1940) i musical *Idąc moją drogą* (1944), w którym Bing Crosby grał księdza golfistę.

Niektóre filmy okazały się niefortunnie dobrane i trzeba było je wycofać. Film wojenny *Konwój* (1943) z Humphreyem Bogartem jako marynarzem floty handlowej na statku atakowanym przez niemieckie U-Booty wywołał awanturę w jednym z kin w Bremie. Widzowie znosili jakoś filmy dokumentalne o hitlerowskich zbrodniach, ale filmu rozrywkowego, w którym dranie z załóg U-Bootów prują z karabinów maszynowych do bezbronnych, tonących Amerykanów, już nie wytrzymali. Oburzeni weterani niemieckiej marynarki wojennej próbowali zmusić innych widzów, aby wraz z nimi opuścili kino.

Kłopoty, jakie napotykała reedukacja w wykonaniu amerykańskim, a w mniejszym stopniu również brytyjskim, brały się z nierozwiązanego –

być może nierozwiązywalnego – dylematu. Otóż celem całej akcji było wpojenie Niemcom, a później Japończykom, poszanowania dla takich wartości jak wolność, równość i demokracja. Z drugiej strony jednak lekcji wolności słowa udzielała administracja wojskowa, której władza była bliska absolutnej, której propaganda stanowiła często ciąg dalszy wojny psychologicznej i która stosowała cenzurę gdy tylko uznała to za stosowne. Kultura i edukacja nie były oczywiście ani w części tak znaczącym elementem aparatu ucisku jak za czasów hitlerowskiego czy japońskiego reżimu; poza tym to więcej niż dziwne, że eksesesmani, jak na przykład Günter Grass, mieli czelność drwić z Amerykanów, że są rasistami. To jednak nie zmienia faktu, że alianci sami się wystawili na oskarżenia o hipokryzję. Peany na cześć demokracji brzmiały ciut nieszczerze w ustach okupantów, którzy umieścili *Przeminęło z wiatrem* na indeksie i nie aprobowali żadnych poglądów, a nawet faktów, ukazujących ich własne strategie polityczne w negatywnym świetle.

31 sierpnia okupacja Niemiec uzyskała nowy status formalny. Kraj był wciąż podzielony na strefy, lecz oficjalnie miał być zarządzany przez Sojuszniczą Radę Kontroli Niemiec, w skład której wchodzili przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji. Ruth Andreas-Friedrich po raz kolejny udowodniła swą wrażliwość na fałsz, pisząc w dzienniku:

> Przynajmniej już wiemy, kto nami rządzi. Czemu w gazetach tyle się mówi o demokracji? Demokracja oznacza, że rządzą obywatele. Nami rządzi Rada Kontroli. Powinniśmy wystrzegać się nadużywania tego pięknego słowa[26].

Pracownicy komisji kontroli książek przeczesywali zawartość księgarń i bibliotek w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Nie wszystkie publikacje, które wycofali z obiegu, były autorstwa nazistów. Wśród lektur zakazanych znalazły się między innymi relacje z podróży opisujące Amerykanów lub nieniemieckich Europejczyków jako grubiańskich i zdegenerowanych, a także dzieła takich autorów jak Oswald Spengler (*Zmierzch Zachodu*) oraz historyk Heinrich von Treitschke, który był co prawda zagorzałym pruskim nacjonalistą, lecz umarł w 1896 roku, na długo zanim ktokolwiek

usłyszał o Hitlerze. Spengler z początku sympatyzował z nazistami, lecz niedługo przed swoją śmiercią w 1936 roku popadł z nimi w konflikt. Spotkał go osobliwy zaszczyt: niektóre jego książki były na indeksie zarówno u nazistów, jak i u Amerykanów.

Eliminacja książek, filmów i innych tekstów służących rozrywce, a zawierających nazistowskie treści propagandowe, to był tylko początek. Pracownicy sekcji kontroli informacji cenzurowali także doniesienia w mediach. Amerykański dziennikarz Julian Bach spędził większą część 1945 roku, obserwując ich przy pracy i z subtelnym wyczuciem absurdu opisując ich podejście. Ich zdaniem Niemcy przez wiele lat otrzymywali głodowe racje wolności myślenia. W wyzwolonych obozach koncentracyjnych nie wolno było podawać zagłodzonym więźniom zbyt wielkich porcji pożywienia, gdyż mieli żołądki skurczone z głodu; tak samo, rozumowali cenzorzy, skurczony intelekt nie przyjmuje zbyt pożywnych porcji informacji. „Według amerykańskich «lekarzy umysłów» zajmujących się uzdrawianiem niemieckiej mentalności – pisał Bach – głód informacji i świeżych idei musi być zaspokajany stopniowo”[27]. Większość z tych „lekarzy” miała nader nikłe pojęcie o kulturze, historii czy społeczeństwie Niemiec, co zapewne niespecjalnie sprzyjało właściwej ocenie dawkowania.

Z początku materiały w gazetach dostępnych niemieckiemu czytelnikowi pisali i redagowali wyłącznie pracownicy administracji wojskowej. Mimo to były one rozchwytywane. Na czarnym rynku egzemplarz takiej gazety kosztował dwadzieścia razy więcej niż oficjalnie. Gdy pierwszy numer pisma wydawanego w Kolonii pojawił się w sprzedaży ulicznej, tłum tak się pchał, że stojący w pobliżu amerykański pułkownik cały w nerwach sięgnął po broń. W porównaniu z prasą nazistowską nawet te okupacyjne gazetki musiały pachnieć wolnością. Dostęp do brytyjskich i amerykańskich książek i prasy w tak zwanych Domach Amerykańskich i Ośrodkach Brytyjskich, które pojawiły się w miastach obu stref okupacyjnych, był błogosławieństwem dla wielu ludzi, i to się bardzo długo nie zmieniało.

Jednakże przybliżając Niemcom zalety demokracji i wolności słowa, a także namawiając ich do odbudowy partii politycznych, zachodni alianci sprowokowali dokładnie to, czego wojskowi cenzorzy tak usilnie acz nieporadnie starali się uniknąć, a mianowicie krytykę okupacji wojskowej i związanych z nią strategii politycznych. Amerykańska polityka popierania przedsiębiorczości i wolnego rynku (a nie gospodarki planowej) drażniła socjaldemokratów. W strefie brytyjskiej, gdzie u władzy byli przedstawiciele socjalistycznego rządu Attleego, padały wręcz przeciwne zarzuty; niemieccy konserwatyści protestowali przeciwko narzuconej przez okupanta „bolszewickiej" gospodarce planowej. Głosy krytyki ze strony chadeków zawierały jeszcze mniej przyjemne aluzje. Na wiecu młodzieżowym w Hesji, w amerykańskiej strefie okupacyjnej, pewien mówca ostrzegał, iż denazyfikacja prowadzi do „bolszewizacji" Niemiec. Tej niefortunnej tendencji winni byli jakoby „emigranci w alianckich mundurach" (czytaj: Żydzi).

***

Niemcy żywili sprzeczne uczucia wobec wymogu naśladowania amerykańskiego modelu polityki oraz założenia, że to głównie na kulturze amerykańskiej – od musicali z Bingiem Crosbym do lucky strike'ów, od swinga do gumy do żucia – ma być wzorowana kultura powojnia. Kłóciło się to z poglądem większości konserwatywnych chrześcijan, że religia i klasyczna niemiecka *Kultur* to jedyna droga do duchowego odrodzenia i odkupienia win narodu. Charakterystyczna dla konserwatystów podejrzliwość wobec kultury amerykańskiej sięgała korzeniami dużo głębiej niż początki hitleryzmu. Jej masowość sprawiła, że od dawna była uważana za zagrożenie dla formułowanych i promowanych przez intelektualistów tradycyjnych wartości. Niektórym lewicowym intelektualistom też się to nie podobało. Jazz oraz inne formy amerykańskiej sztuki niskiej zajadle krytykował (oczywiście z marksistowskiej perspektywy) Theodor Adorno, filozof ze szkoły frankfurckiej, który lata wojny spędził na emigracji w Stanach

Zjednoczonych. Uważał, że muzyka jazzowa to część „przemysłu kultury” – spisku kapitalistów, chcących oślepić klasy pracujące blichtrem komercyjnej rozrywki i dzięki temu łatwiej je wyzyskiwać.

Takie opinie wyrażali nie tylko Niemcy. John Maynard Keynes, który latem 1945 roku został pierwszym prezesem brytyjskiej Rady Kultury, w transmitowanym przez radio wywiadzie wyjaśnił swój program okrzykiem: „Hollywood – precz!”. I to w czasach, kiedy Brytyjczycy drzwiami i oknami pchali się na amerykańskie filmy, podobnie jak Niemcy, Holendrzy i inne nacje Europy. Studio United Artists złożyło protest; wtedy Keynes napisał list do „Timesa”, prosząc UA o wybaczenie mu tego „dziwactwa”; miał na myśli, że każdy kraj powinien „wytworzyć coś […] charakterystycznego dla siebie”. Faktycznie miał na myśli: „Hollywood dla Hollywood”[28].

Keynes nie był tu do końca szczery. Wielu europejskich intelektualistów wyrażało podobną pogardę dla „Hollywood”, a jednocześnie niezupełnie potrafiło ukryć fascynację kulturą zza oceanu. Wiosną 1945 roku w „Horizon” ukazał się artykuł, w którym Cyril Connolly rozważał, jakie może być źródło przyszłego odrodzenia kultury w Europie. To, czego świat potrzebuje najbardziej, przekonywał, to „pozytywny i dojrzały humanizm”. Może dostarczy go Ameryka? Rozważywszy wszystkie za i przeciw, Connolly konkludował, że nie – Ameryka jest bowiem zbyt „przywiązana do pieniądza i maszynowo wyjałowiona”. Nie: odrodzenie to nadejdzie z jego ukochanej Francji. Jedynie Francja będzie „zdolna [sprawić] bezkrwawy 1789, na nowo ogłosić światu starą prawdę, że życie jest po to, aby żyć, a jego naturalną ciepłotą jest wolność”.

Jako symboliczne antidotum na „Hollywood” często przywoływany był Paryż – miasto Jean-Paula Sartre’a filozofującego w Café de Flore, czasopism literackich wyrosłych z pisemek *la Résistance*, seksualnie i politycznie wyzwolonej młodzieży. Ten jasny obraz Francji mieli w oczach wszyscy, aż po Japończyków, karmionych jeszcze większą porcją skoncentrowanej kultury amerykańskiej niż Niemcy. W pierwszej dziesiątce japońskich bestsellerów 1946 roku znalazły się trzy przekłady książek zagranicznych: były to *Mdłości* Sartre’a, *Intervues Imaginaires* André

Gide’a oraz *Łuk triumfalny* Ericha Marii Remarque’a[29]. Ruth Andreas-Friedrich zauważyła wśród berlińskiej młodzieży modę na francuskie berety: „Każdy, kto sądzi, że ma coś do powiedzenia, nosi czarny beret”. W środowisku intelektualistów japońskich ta frankofilska moda utrzymywała się do samego końca XX wieku.

Do szerokich mas frankofilstwo nie przemawiało. Zresztą Francuzi także bywali oczarowani Ameryką. Nawet sam Sartre. W listopadzie 1944 roku kilkunastu francuskich reporterów zostało zaproszonych z wizytą do Ameryki, by na tamtejszym gruncie zapoznać się z wysiłkiem wojennym Stanów Zjednoczonych. „Nigdy nie widziałam Sartre’a tak uradowanego” – wspomina Simone de Beauvoir, jak w dniu, kiedy się dowiedział, że zaproszenie obejmuje także jego. Opisuje też czar, jaki roztaczała Ameryka. Miliony ludzi na całym świecie odczuwały coś podobnego:

> Ameryka – to oznaczało dla nas tak wiele! Przede wszystkim coś, co było niedostępne; jazzem, filmem, literaturą syciliśmy naszą młodość, ale jednocześnie był to jakiś wielki mit […]. Ameryka była również ziemią, skąd nadeszło nasze wyzwolenie, kroczącą naprzód przyszłością, dostatkiem i widnokręgami bez granic, zawrotnym kalejdoskopem legendarnych obrazów; myśl, że można to wszystko zobaczyć na własne oczy, przyprawiała o zawrót głowy. Radowałam się nie tylko ze względu na Sartre’a, ale i na mój własny rachunek; byłam pewna, że skoro ta droga nagle została otwarta, sama na nią kiedyś wkroczę[30].

W czasie wojny Boris Vian i jego młodzi *zazou*[31] wyrażali protest przeciwko stęchliźnie umysłowej pétainizmu noszeniem ubrań w amerykańskim stylu, organizowaniem hucznych imprez i czytaniem podziemnych wydań Hemingwaya i Faulknera. W Niemczech podobnie robiła *Swingjugend*; młodzi ludzie pokazywali nazistom, że się ich nie boją, tańcząc do muzyki jazzowej na prywatkach (i ponosili przy tym znacznie poważniejsze ryzyko niż *zazou*, ponieważ jazz był zabroniony). Nadeszła wiosna 1944 roku, Vian i *zazou* odziali się w sprowadzone ze Stanów dżinsy oraz kraciaste koszule i w kółko słuchali tylko i wyłącznie jazzu.

Kontakt z rzeczywistością często wywołuje rozczarowanie. Sartre wrócił ze Stanów, jak to ujęła Beauvoir, „oszołomiony wszystkim, co zobaczył”.

Amerykanie wydali mu się sympatyczni, a Roosevelt – ujmujący; lecz odniósł także wiele negatywnych wrażeń. „W cywilizacji zaatlantyckiej raziły go nie tylko ustrój ekonomiczny, segregacja, rasizm, lecz także wiele innych rzeczy: konformizm Amerykanów, ich skala wartości, mity, fałszywy optymizm, ucieczka przed wszystkim, co tragiczne”[32].

Nic dziwnego, że Francję postrzegano – zwłaszcza we Francji – jako naturalną kulturową przeciwwagę dla Ameryki. Zarówno Republikę Francuską, jak Stany Zjednoczone zrodziły wszak rewolucje o uniwersalistycznych zapędach; ogólnie uważano, że owoce oświeconej cywilizacji Francji mogą, a nawet powinny, wzrastać ku powszechnemu pożytkowi na całym świecie. Amerykanie podobnie widzą własną republikę i jej światową misję. Na pewno było tak w roku 1945, kiedy Stany miały większą szansę głosić, a czasami także narzucać swoje wartości niż Francja. W początkach XIX wieku było inaczej: Napoleon rozpowszechniał francuski uniwersalizm siłą, na ziemiach niemieckich ze szczególną brutalnością. W reakcji obronnej umocnił się tam więc romantyczny nacjonalizm, świadomość wspólnoty krwi i ziemi, którego odrażająca, zdegenerowana odmiana legła u podstaw Trzeciej Rzeszy.

Prowadzona w stylu amerykańskim reedukacja *anno* 1945 była łagodniejsza, pomimo początkowej uporczywości w karaniu winnych. Może to także dlatego Niemcy odnajdowali się w „stuleciu Ameryki” z mniejszymi oporami niż Francuzi, choć też nie bez wahań, a nawet niechęci. Wiedząc, co oni sami uczynili narodom słowiańskim, o Żydach już nie mówiąc, Niemcy z ulgą przyjęli fakt, że Amerykanie traktują ich w miarę *fair*. W strefie brytyjskiej i amerykańskiej żyło się zdecydowanie lżej niż w strefie radzieckiej, a nawet, przynajmniej z początku, w znacznie od nich mniejszej strefie francuskiej, czyli w Nadrenii, przy granicy z Francją. Głównym miastem tej strefy stało się wytworne uzdrowisko Baden-Baden, w którym zabrakło przyjeżdżających do wód kuracjuszy. Z początku nie było wcale oczywiste, że Francja będzie miała własną strefę okupacyjną. Stany Zjednoczone sprzeciwiały się temu, ponieważ – mimo wysiłków generała de Gaulle’a (któremu Roosevelt zresztą nigdy nie ufał) i jego *forces françaises libres* – Francja odegrała nikłą rolę w pokonaniu

hitlerowskich Niemiec. Jednak de Gaulle jak zwykle przeprowadził swoją wolę. Inny kłopot z Francją polegał na tym, że bardzo wielu jej obywateli chciało wywrzeć zemstę na Niemcach, a przy okazji zrabować ile się da.

Szczególnie w pierwszym roku okupacji Francuzi zachowywali się jak zdobywcy. I to ostentacyjnie, znacznie bardziej jawnie niż Brytyjczycy czy Amerykanie. Żołnierzom brakowało dyscypliny. Bogactwa naturalne, na przykład węgiel, wywożono do Francji. Francuzi mieli nawet nadzieję zaanektować część Niemiec, zwłaszcza przemysłową Nadrenię i Westfalię oraz górnicze Zagłębie Saary, ale zabrakło poparcia ze strony pozostałych aliantów i w końcu nic z tego projektu nie wyszło. Zaprotestowało zresztą kilku francuskich generałów, wskazując, że akcja ta zapewne obudziłaby w Niemczech taki sam rewanżyzm, jaki doprowadził do świeżo zakończonej wojny.

Francuzi, jak zawsze natchnieni swą *mission civilisatrice*, traktowali kulturę z całą powagą – zwłaszcza kiedy chodziło o eksport ich kultury do Niemiec, by cywilizować tamtejszą barbarię. I nie tylko ją. We wszystkich strefach okupacyjnych odbywały się wystawy sztuki francuskiej, koncerty muzyki francuskich kompozytorów, pokazy francuskich filmów i promocja francuskiej literatury. Należało zademonstrować, jak ujął to decydent ds. kultury René Thimonnier, że „w kwestii wartości kulturowych Francja to nadal wielki naród, być może największy ze wszystkich”[33].

W kwestii denazyfikacji Francuzi zrobili mniej więcej to samo co Amerykanie: przeprowadzili czystkę wśród nauczycieli i innych pracowników umysłowych; z bibliotek usunęli niewłaściwe książki; cenzurowali treść gazet i audycji przygotowywanych przez godnych zaufania miejscowych dziennikarzy pod francuskim kierownictwem. Jednym z urzędników, którzy w Baden-Baden badali prawomyślność współczesnych publikacji, był powieściopisarz Alfred Döblin; przyjął on francuskie obywatelstwo w latach trzydziestych. Uderzyła go mętność prozy powstałej tuż po wojnie, skłonność do mistycyzmu, klimat chaosu intelektualnego; uznał, że Niemcy „niedużo przeczytali i niedużo się nauczyli”. Ziemia niemiecka z początku „rodziła jedynie trawę i chwasty”[34].

Francuscy urzędnicy mieli podobne zdanie jak pracownicy amerykańskiej sekcji kontroli informacji: Niemców nie należy jeszcze wystawiać na wpływ idei politycznych, nie są na to gotowi. Zamiast tego prasa powinna się skupić na problemach życia codziennego i sprawach kulturalnych, na takich tematach jak „współczesna ceramika francuska" oraz „malarstwo francuskie". W założeniu miało to wprowadzić Niemców, tak długo odciętych od nowoczesnych prądów sztuki za granicami Trzeciej Rzeszy, z powrotem do cywilizowanego świata. Sercem cywilizowanego świata była oczywiście Europa, a jego kulturalną stolicą oczywiście Paryż.

Cała ta akcja cywilizacyjna, poza przywracaniem francuskiej *amour propre* do należytego poziomu, miała też aspekt polityczny. Francji nie udało się zaanektować terenów przygranicznych wzdłuż Renu; wkrótce jednak w tym przemysłowym regionie wydarzy się coś jeszcze ważniejszego. Ku wspólnej korzyści Niemiec, Francji i innych członków założonej w Paryżu w 1951 roku Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, bogate zasoby tych surowców znajdą się pod kontrolą paneuropejskiej instytucji. Francuska strefa okupacyjna jest kolebką tego, co w przyszłości stanie się Unią Europejską. Inicjatywa wyszła ze strony Francji. Oficjalną propozycję wspólnoty złożył francuski mąż stanu Robert Schumann, urodzony w Luksemburgu syn Francuza i Niemki. Kanclerzem RFN, który zgodził się podzielić suwerenną władzą nad jednym z najbogatszych regionów Niemiec, był dawny burmistrz Kolonii Konrad Adenauer.

Powiedzieć, że Niemcy miały szczęście, że w 1945 roku zostały podzielone na strefy okupacyjne Sprzymierzonych, byłoby okrucieństwem wobec tych, którzy przez cztery dekady musieli znosić komunistyczną dyktaturę. Być może jednak te podziały najlepiej odpowiadały federacyjnemu charakterowi kraju. Okupanci nigdy nie zdołali scentralizować niemieckiego systemu edukacji ani wyrównać politycznych i kulturowych różnic pomiędzy regionami. Czy rzeczywiście udało się reedukować Niemców – wątpliwe. Niewykluczone, że największym zwycięstwem aliantów jest to, iż opuszczając Niemcy zachodnie, nie pozostawili po sobie wrogości. Zamiar reedukacji pokonanego wroga można uznać za protekcjonalność, ale jest to strategia subtelniejsza, a na

pewno o wiele mniej niebezpieczna niż szukanie zemsty. Pomóc dawnemu wrogowi podźwignąć się z kolan to zawsze lepsze niż wykrwawić jego kraj, nawet jeśli niejeden Niemiec zasłużył sobie na coś gorszego niż pomocna dłoń. Tym razem nie narodzi się żadna legenda o „ciosie w plecy”; młodzi bojówkarze nie będą się wyrywać, by zbrojnie pomścić hańbę narodu. Jednak to, co naprawdę nadało kształt przyszłości Niemiec, miało mniej wspólnego z kulturą czy edukacją, sprawiedliwością czy nawet zwykłą ludzką przyzwoitością, a więcej – z warunkami politycznymi, z zimną wojną, z potrzebą budowania w Europie silnych demokracji, z oportunizmem niemieckich elit, z interesami Ameryki oraz z utopijnym planem, aby, cytując Roberta Schumanna, „uczynić wojnę [w Europie] niemożliwością” i „nawoływać do powszechnego pokoju”.

Francuska okupacja Nadrenii nie przyniosła spektakularnych wyników militarnych czy politycznych, ale pomogła zakopać jedną z najgłębszych i najbardziej krwawych przepaści na kontynencie. Zjednoczona Europa była nie tylko francusko-niemieckim, lecz także chadeckim marzeniem. De Gaulle z dużym sceptycyzmem nazwał cały pomysł „wznowieniem działań Karola Wielkiego”[35]. Protest zgłosili zarówno niemieccy socjaldemokraci, jak i francuscy komuniści. De Gaulle sprzeciwiał się, ponieważ uważał, iż Francja jest wciąż zbyt słaba, aby zdominować unię. Być może sprawa zjednoczenia go irytowała, ponieważ nie był wówczas u władzy; przecież w 1945 roku pod wpływem Jeana Monneta wypowiadał się pozytywnie o pomyśle zintegrowania Zagłębi Ruhry i Saary z europejską federacją. (Za to o tym, czy w jej skład miałaby wejść Wielka Brytania, de Gaulle mówił dość niejasno). Cokolwiek przyniesie przyszłość nękanej obecnie rozmaitymi kłopotami Unii, to marzenie o jedności zrobiło więcej na rzecz wprowadzenia Niemiec na powrót do grona narodów Europy niż wszystkie programy reedukacyjne razem wzięte.

***

15 grudnia 1945 roku w „Saturday Evening Post” ukazał się artykuł na temat okupacji Japonii pod dziwnym – to znaczy dziwnym dla nas, nie

wtedy – tytułem: „Amerykański żołnierz cywilizuje Japońca”. Autor: William L. Worden. Depesza z Tokio, pocztą bombowcową[36].

Powyżej tego widnieje streszczenie artykułu Wordena: „Podczas gdy Nippończycy czekają, aż im ktoś powie, co mają myśleć, a ich ziomkowie-krętacze unikają tego obowiązku, skutek odnosi żywy przykład amerykańskiego żołnierza”.

„Przeciętny Japończyk to prostak stojący, jak podczas tej wojny wykazały liczne przykłady, niewiele wyżej od dzikusa” – dowiaduje się czytelnik. Dla tego prostaka jest jednak nadzieja: „Wygląda na to, że w chwili obecnej najskuteczniej demokratyzuje i cywilizuje Japończyka nie kto inny jak tylko amerykański żołnierz, który wcześniej tak samo skutecznie go poskromił”. Ten wizerunek „Japońca” jako dzikusa był podczas wojny bardzo rozpowszechniony. Gdy na Hiroszimę i Nagasaki spadły bomby atomowe, zabijając około 200 tysięcy ludzi, prezydent Truman napisał do przyjaciela: „Kiedy masz do czynienia ze zwierzęciem, traktujesz je jak zwierzę”[37].

Co ciekawe, gdy tylko okupacja na dobre się rozpoczęła, tego typu opinie natychmiast zniknęły. To nie oznacza, że wszyscy się zgadzali, iż dzięki reedukacji Japończycy zmienią się w pacyfistów i demokratów; byli i tacy, którzy traktowali tę myśl z najwyższym sceptycyzmem. Tak zwani japoniści, czyli pracujący w Departamencie Stanu specjaliści od kultury i społeczeństwa Japonii, natychmiast przypomnieli, że życie tego kraju od zawsze miało charakter kolektywny, i to od szczytu aż po podstawy drabiny społecznej. Japończycy nigdy się nie nauczą zachowywać jak odrębne jednostki, mówili „japoniści”, są przyzwyczajeni do posłuchu. Żyją według rozkazów z góry. Osoba cesarza jest świętością. Jego poddani, jak stwierdził jeden z „japonistów”, są „bierni i spętani tradycją”. Pełnomocnik rządu Wielkiej Brytanii w okupowanym Tokio stwierdził, że Japończycy „są równie niezdolni samodzielnie rządzić swoim krajem jak jakieś plemię afrykańskie, tylko o wiele bardziej niebezpieczni”[VI][38].

Przeciwko „japonistom”, których opinie często opierały się na informacjach udzielanych im przez członków japońskiej elity, wystąpili „sinolodzy”, w sporej części lewicowcy oraz zwolennicy Nowego Ładu

z dawnej administracji Roosevelta. Ich opinia przeważyła, przynajmniej w pierwszych latach okupacji. Kluczową datą jest tu 11 sierpnia, kiedy to podsekretarz stanu Joseph Grew, lider „japonistów” i były ambasador w Tokio, ustąpił na rzecz Deana Achesona. We wrześniu Acheson oznajmił, że „obecny społeczny i gospodarczy system Japonii, który rodzi wolę angażowania się w konflikt zbrojny, będzie zmieniony w taki sposób, iż wola ta zaniknie”[39].

Generał MacArthur, człowiek głęboko religijny, któremu w czasie wojny zdarzało się głosić zaskakująco prymitywne teorie na temat wrodzonego infantylizmu i okrucieństwa „umysłowości orientalnej”, żywił głębokie przekonanie, że jego powinnością jest reedukować Japończyków. Często powtarzał, że w tej misji jego mentorami są Washington, Lincoln i Jezus Chrystus oraz że idealnie byłoby, gdyby naród japoński nawrócił się na chrześcijaństwo. W każdym razie jednak – tu MacArthur zgodziłby się z Konradem Adenauerem – odnowa musi być nie tylko polityczna, społeczna i gospodarcza, lecz także duchowa. Tyle że MacArthur posuwał się o wiele dalej niż którykolwiek z niemieckich chadeków: okupacja Japonii w jego wykonaniu, twierdził, zakończy się „rewolucją duchową […], wstrząsem bez precedensu w historii społecznej świata”[40]. Podczas wizyty w Tokio Herbert Hoover nazwał MacArthura „wcieleniem świętego Pawła”[41] (dziwne, ale tak było). Tyle tylko, że amerykański wicekról nie miał chęci poznawać japońskiej kultury, Japonia jako kraj go nie interesowała. Wieczory zazwyczaj spędzał w domu, oglądając filmy kowbojskie. Jego tłumacz Faubion Bowers wspominał później, że w ciągu pięciu lat, jakie MacArthur spędził w Japonii, „tylko szesnastu Japończyków rozmawiało z nim więcej niż dwa razy i żaden z nich nie był niższej rangi niż, powiedzmy, premier, prezes Sądu Najwyższego lub rektor największego uniwersytetu”[42].

Japonia, inaczej niż Niemcy, nie była podzielona na strefy okupacyjne (Związek Radziecki chciał zająć północną część wyspy Hokkaido, ale wycofał się bez protestu, kiedy Stany Zjednoczone odmówiły na to zgody). Okupacja Japonii to była sprawa wyłącznie amerykańska, MacArthur zaś, jako głównodowodzący sojuszniczych wojsk okupacyjnych (czyli SCAP),

miał władzę bliską absolutnej, chociaż panował jedynie nad wyłonionym w wyborach rządem Japonii, który administrował państwem. Istnieje kilka możliwych przyczyn, dlaczego reedukacja w Japonii była prowadzona bardziej gorliwie niż w Niemczech. Po pierwsze doświadczenia niemieckie przetarły szlaki dla akcji reedukacyjnej w Japonii. Po drugie, działania, które w Niemczech blokowali inni alianci lub uniemożliwiały różnice regionalne oraz niechęć ludności do współpracy, w Japonii miały więcej szans powodzenia, ponieważ Stany Zjednoczone były wszechpotężne i nikt nie utrudniał pracy. Główny powód streszcza się jednak w przeświadczeniu MacArthura, że mieszkańcy tego kraju to infantylni dzikusi, proste duszyczki, które najwyższy czas nawrócić. Japończycy nie byli chrześcijanami, ich kultura nie miała korzeni w cywilizacji Zachodu. Dla japońskiej umysłowości to był faktycznie rok zerowy.

Zważywszy, jak brutalna była wojna na Pacyfiku, a propaganda wojenna po obu stronach konfliktu zajadła, Japończycy okazali się zaskakująco chętni do nauki. Gdy w 1951 roku MacArthur opuszczał Japonię, zdymisjonowany przez prezydenta Trumana za swą niesubordynację podczas wojny w Korei, Japończycy wyrazili mu swoją wdzięczność w sposób, który w Niemczech byłby nie do pomyślenia: wprowadzono specjalne prawo, na mocy którego został honorowym obywatelem Japonii. Powstał projekt pomnika głównodowodzącego w Zatoce Tokijskiej. Wzdłuż drogi, którą jechał na lotnisko, zgromadziło się setki tysięcy Japończyków; ludzie wykrzykiwali pozdrowienia i podziękowania, wielu płakało. Artykuł redakcyjny jednej z głównych japońskich gazet zawierał apostrofę: „O, generale MacArthur! Generale, generale, który ocaliłeś Japonię od głodu i chaosu!”[43].

Pewien japoński prawnik o wyraźnie komunistycznych zapatrywaniach pisał w liście do generała: „W imię przyszłości narodu japońskiego [przywódcy sił okupacyjnych] przynoszą nam pokój i jutrzenkę wolności, równości i życzliwości. Błyskotliwie wspomagają i sumiennie kierują wysiłkiem Japończyków przy budowie demokratycznego narodu […] aby wyrazić naszą wdzięczność za ich dokonania, powitamy siły okupacyjne

podczas masowego wiecu”[44]. Te słowa zostały napisane w listopadzie, zaledwie trzy miesiące po Hiroszimie i Nagasaki.

Można oczywiście interpretować zachowanie Japończyków jako przykład dalekowschodniej służalczości, jako nieszczere, interesowne pochlebstwo pasujące do długiej tradycji płaszczenia się przed potężnymi zwierzchnikami. Owszem, po części był to może serwilizm, ale absolutnie nie da się nim wytłumaczyć wszystkiego. Jestem przekonany, że wdzięczność ta była przeważnie szczera. Japończycy wycierpieli znacznie więcej niż większość Niemców (nieżydowskiego pochodzenia), utuczonych na zdobyczach wojennych z podbitych krajów i aż do ostatnich dni wojny żyjących w całkiem niezłych warunkach. Większość miast leżała w gruzach – owszem, tak było i w Niemczech; lecz Japończycy dodatkowo od kilkunastu lat żyli na głodowych racjach. W Japonii władze wojskowe i tajna policja ingerowały w życie obywatela silniej niż w Niemczech. W 1945 roku bardzo niewielu Japończyków miało jakikolwiek sentyment do militarystów, którzy sprowadzili na nich wyłącznie nieszczęścia – inaczej niż wielu Niemców, nadal wspominających Führera tęsknie i z aprobatą.

Kiedy więc Amerykanie – tacy bogaci, w czyściutkich, pięknie odprasowanych mundurach, tacy wysocy, tacy życzliwi, swobodni i wyluzowani – zadomowili się w Japonii, naprawdę zostali uznani za wyzwolicieli, i wielu Japończyków z największą chęcią dowiadywało się, jak mogliby sami stać się bardziej swobodni i wyluzowani. Nie był to też pierwszy przypadek w historii Japonii, kiedy kraj świadomie uczył się od obcego mocarstwa. Chiny od wieków dostarczały wzorców, a przykład Europy i Stanów Zjednoczonych naśladowano od drugiej połowy XIX wieku. Wojujący nacjonalizm, jaki zrodził się w Japonii w początkach XX wieku, stanowił po części reakcję na silną okcydentalizację kraju – na liberalizm gospodarczy, środki masowego przekazu, hollywoodzką kinematografię, partie polityczne, marksizm, indywidualizm, baseball, jazz i tak dalej. Po tragedii, jaką była druga wojna światowa, Japończycy z rozkoszą wrócili do nowoczesności, kojarzonej ze światem zachodnim, a od 1945 roku w szczególności z Ameryką.

Czy takie podejście faktycznie można nazwać reedukacją – nieważne. Wystarczy, że w tych kategoriach rozumowali zarówno nowi nauczyciele, jak i większość ich uczniów. Pytanie było inne: jak przeobrazić kraj. „Japoniści” uważali całą kwestię reedukacji Japonii za absurd, a ci z urzędników, którzy najgłośniej doradzali tu politykę twardej ręki, mieli minimalną wiedzę na temat samego kraju oraz jego historii. W ich pojęciu odpowiednik denazyfikacji, usuwania świeżej warstwy toksycznej ideologii z powierzchni dojrzałej cywilizacji, nie mógł tu się sprawdzić, ponieważ Japonia takowej cywilizacji nie posiadała. Japońską kulturę uważali za dogłębnie przegniłą.

Członkowie elity cesarskiego dworu oraz wysocy urzędnicy zgodziliby się z „japonistami”, że całkowita przebudowa państwa i społeczeństwa nie jest potrzebna, że nieduże, powolutku wprowadzane reformy absolutnie wystarczą. Pułkownik Charles Kades i inni zwolennicy Nowego Ładu w sztabie SCAP byli przekonani, że to nie dość. Japońscy przywódcy, zdaniem pułkownika, „chcieli choremu drzewu przyciąć gałązki […] My, aby pozbyć się choroby, uważaliśmy za konieczne obciąć konary i wyrwać korzenie”[45].

Aby oczyścić Japonię z jej „feudalnej” kultury, nie wystarczyło jedynie pozrywać flagi ze wschodzącym słońcem (znane wśród amerykańskich żołnierzy pod wdzięczną nazwą „pulpetów”) oraz zakazać oddawania czci japońskiej sztuce wojennej w muzyce i plastyce. Nie dość było zlikwidować armię, a nawet napisać nową konstytucję, likwidującą suwerenne prawo Japonii do angażowania się w konflikt zbrojny.

Wszystko to uważano za bez wątpienia potrzebne; przygotowania do stworzenia pacyfistycznej konstytucji czyniono już w 1945 roku. (Kto wpadł na ten nowatorski pomysł, nie wiadomo; podobno Kijiro Shidehara, premier Japonii w 1945 roku i zagorzały pacyfista, podsunął go MacArthurowi). Unieważniono „feudalne” prawo rodzinne, zagwarantowano prawa kobiet. Wszystko to mocno irytowało japońską elitę rządzącą, nawet względnych liberałów, takich jak były minister spraw zagranicznych Mamoru Shigemitsu, który pisał w dzienniku: „Armia okupacyjna działa po linii radykalnie odmiennej niż zwykła zgodność

z deklaracją poczdamską […] Oni chcą przekształcić japońskie społeczeństwo od szczytu do podstaw”[46].

Miał rację; takie właśnie było zamierzenie reformatorów. Zaczęto wykorzeniać wszystkie japońskie zwyczaje i nawyki, które uznano za „feudalne”. Widząc, że Japonki karmią piersią w miejscach publicznych, amerykańscy żołnierze próbowali z miejsca położyć kres tej praktyce. Skonfiskowano drewniane miecze używane w tradycyjnych przedstawieniach teatralnych. Zakazano wystawiania sztuk teatru kabuki, których bohaterowie byli samurajami. Earl Ernst, późniejszy wybitny badacz i znawca teatru kabuki, wmaszerował pewnego wieczoru do tokijskiego Teatru Cesarskiego i rozpędził przedstawienie *Terakoya*, sceny ze słynnej osiemnastowiecznej sztuki o upadłym samurajskim wielmoży, który otrzymuje rozkaz złożenia swego syna w ofierze. Jego były dworzanin, wciąż wierny swemu panu, zamiast młodzieńca zabija własnego syna. Tego rodzaju „barbarzyństwo”, choćby w teatrze, uznano za niedopuszczalne. Zamiast tego, ku zbudowaniu japońskiej publiczności, teatrowi nakazano wystawić operetkę *Mikado* Gilberta i Sullivana. Nie wiadomo, czy japońska publiczność czuła się zbudowana, ale podobno miała głęboko skonfundowane miny.

Zakazane zostało wszystko, co mogło budzić chociażby najdalsze skojarzenia z „feudalizmem”. Zabroniono nawet umieszczania pejzaży z górą Fudżi – w religii przyrody, jaką jest shinto, miejscem świętym – na ceramicznych ścianach łaźni publicznych, gdzie była to tradycyjna i lubiana dekoracja, o ukazywaniu góry w filmie czy sztukach plastycznych już nie wspominając. Od XIX wieku shinto faktycznie przekształciło się w coś w rodzaju kultu państwowego, skupionego na osobie cesarza i postrzeganiu Japończyków jako narodu wyjątkowego, błogosławionego potomstwa bogów, którego przeznaczeniem jest kierować mniej szlachetnymi narodami Azji. Zakaz wykorzystania shinto jako religii państwowej był w gruncie rzeczy bardzo rozsądny. Dyrektywa SCAP z 15 grudnia głosiła:

> Niniejsza dyrektywa ma na celu oddzielić religię od państwa, aby zapobiec niewłaściwemu jej wykorzystaniu w celach politycznych, a także aby zrównać

wszystkie religie, wiary i wyznania wobec prawa, uznając je za uprawnione do identycznej ochrony oraz tych samych szans rozwoju[47].

Nakłonienie cesarza, aby ogłosił przez radio, że jest taką samą istotą ludzką jak wszyscy, wydawało się równie rozsądnym pomysłem. W rzeczywistości Hirohito powiedział, że jego związek z narodem japońskim „nie opiera się na fałszywym założeniu, że cesarz jest istotą boską". To zadowoliło Amerykanów. Japończycy się nie zdziwili, ponieważ nigdy nie wątpili, że ich monarcha jest człowiekiem. Uważali go jedynie za potomka bogini słońca, a temu cesarz nigdy nie zaprzeczył. Wydaje się zresztą, że nie robiło im wielkiej różnicy, jak jest w istocie. Anons cesarza wyprowadził z równowagi jedynie ultranacjonalistów. Cała sprawa drażni ich zresztą do dzisiaj, nadal bowiem argumentują, że shinto powinno być traktowane inaczej niż inne religie, gdyż jest sednem japońskiej kultury.

Niektóre akcje podejmowane w ramach reedukacji kulturalnej, takie jak zakaz wystawiana sztuk kabuki i filmów zawierających walki na miecze, były jedynie irytujące i zwykle krótkotrwałe. Inne były tak dziwaczne, że aż zabawne; na przykład pewien administrujący wiejską okolicą amerykański wojskowy był przekonany, że ucząc Japończyków, jak się tańczy amerykańskie ludowe kadryle, wzmacnia w nich demokratycznego ducha. Zdarzało się jednak, że Amerykanie posuwali się za daleko i nawet najcierpliwsi Japończycy stawali okoniem. Na przykład pracownicy biura edukacji dogłębnie zbadali możliwość zastąpienia japońskich znaków alfabetem łacińskim, a następnie zarekomendowali to rozwiązanie władzom. No cóż, nie wyszło. Za to system edukacji, inaczej niż w Niemczech, został gruntownie przebudowany. Zlikwidowano elitarne jednopłciowe szkoły na rzecz systemu koedukacyjnych szkół powszechnych: podstawówki, gimnazjum i liceum, z których każda miała trzy klasy.

Leżące mniej więcej pośrodku wyspy Honsiu, niedaleko Kioto, miasto Omi można uznać za japoński odpowiednik Akwizgranu. Jesienią 1945 roku amerykański patrol wojskowy przyszedł na wizytację do miejscowej podstawówki. Na widok żołnierzy uczniowie zaczęli krzyczeć ze strachu.

Spytani, czy „lubią Amerykanów”, gwałtownie potrząsali głowami. W klasach wciąż wisiały plakaty z japońskimi żołnierzami w heroicznych pozach. Okazało się, że jeden z nauczycieli jest byłym oficerem. W szufladzie biurka znaleziono zakrwawioną czapkę marynarską. Tak nie mogło być; dyrektor szkoły otrzymał rozkaz zwolnienia byłego oficera oraz usunięcia wszelkich dekoracji nawiązujących do wojny.

Pół roku później kilku z tych Amerykanów wróciło do tej samej szkoły. Dzieci wydawały się mniej przerażone. Jeden z oficerów zagwizdał *Swanee River*; ku zdumieniu i radości wizytatorów dzieci zaczęły śpiewać tę piosenkę wraz z nim, po japońsku. Potem zaśpiewały *Auld Lang Syne* i *Maine Stein*. Wizytatorzy stwierdzili również z zadowoleniem, że wszystkie podręczniki zostały poddane cenzurze; ustępy „feudalne”, odnoszące się do wojny, zbrojnej przeszłości Japonii, cesarza i tak dalej zostały dokładnie zamazane czarnym atramentem. Dyrektor szkoły był pełen dobrej woli i mówił po angielsku. Obiecał, że plakaty z okresu wojny zostaną spalone oraz że zwolni jeszcze kilku nauczycieli, z których trzech służyło wcześniej w armii[48].

Wielu Japończyków zapewne doznało ulgi, widząc, że zwycięzcy z Ameryki zachowują się w miarę przyzwoicie; niejeden odczuwał też wdzięczność, że zmuszają japońską elitę władzy do wprowadzenia demokratycznych reform. Uczucia wobec wprowadzanej przez tych zwycięzców reedukacji bywały bardziej skomplikowane. Jakiś gimnazjalista przysłał do gazety „Asahi” fascynujący list, w którym idealnie wyraził reakcje młodych Japończyków na widok wolty, jakiej dokonywało właśnie starsze pokolenie: jeszcze wczoraj młodzież uczono, że należy oddawać cześć cesarzowi i popierać świętą wojnę w Azji, a dziś ci sami nauczyciele nakazywali potępiać japoński feudalizm i wprowadzać *demokurashii*.

Chłopak rozpoczął swój list od stwierdzenia, że wielu dorosłych zdaje się martwić, że młode umysły wychowane na militaryzmie trudno będzie odmienić. Tymczasem prawda jest taka, że niedawne doświadczenia podniosły świadomość polityczną nastolatków. Przez całe swoje życie byli świadomi, że Japonia jest stale w stanie wojny. Nastanie pokoju

przypominało „wyjście z ciemności w jasny blask słońca”. Wszystko, czego ich uczono, okazało się błędne. „Jak możemy kiedykolwiek znowu zaufać przywódcom, a nawet w ogóle dorosłym?”. Zresztą to raczej dorośli są wciąż zdezorientowani i niepewni, co myśleć o niedawnej przeszłości, więc to o nich należy się martwić, nie o młodzież, bo najwyraźniej trudniej im wyzwolić się spod jarzma militaryzmu[49].

Głos tego młodzieńca to głos jednej z najbardziej aktywnych politycznie generacji w historii nowożytnej Japonii. Generacja ta, w większości lewicująca, jak jeden mąż żywiła nieufność wobec starego japońskiego establishmentu – i poczuła się głęboko zdradzona, kiedy w obliczu zimnej wojny ci sami Amerykanie, którzy przybyli do Japonii, by uczyć ją wolności, pacyfizmu i demokracji, zaczęli współpracować z tymże establishmentem; a przecież wielu członków japońskiej elity władzy podczas ostatniej wojny splamiło ręce krwią. W 1960 roku Japończycy podobni do młodego autora listu do „Asahi” wyjdą na ulice Tokio, gdy premier Nobusuke Kishi, ten japoński Albert Speer, ratyfikuje traktat o bezpieczeństwie, który na zawsze uczyni z Japonii bazę dla amerykańskich operacji wojskowych w Azji. Zaprotestują przeciwko pośredniemu i bardzo dochodowemu zaangażowaniu Japonii w wojnę w Wietnamie, w którym pobrzmiewać będzie echo dawniejszych azjatyckich konfliktów. Japońska lewica będzie rozwścieczona rolą Japonii w amerykańskim „imperializmie”; prawica będzie podobnie rozwścieczona, że Japonia musi przestrzegać „amerykańskiej” pacyfistycznej konstytucji. Obie strony połączy jedno: przekonanie, że amerykańska okupacja Japonii właściwie nigdy się nie skończyła.

W opinii niektórych powojenna *demokurashii* przyszła Japończykom za łatwo, jako swoisty podarek od zwycięskich cudzoziemców. Na znanym rysunku Kato Etsuro tłum rozradowanych Japończyków wyciąga ręce ku niebu, z którego niczym manna opadają na spadochronach pojemniki z napisem „rewolucja demokratyczna”[50]. Otrzymać odgórnie coś, o co powinno się było walczyć samemu – tak, to może być poniżające.

Niekiedy gest lekceważenia był zamierzony, choć nie adresowany bezpośrednio do narodu japońskiego. Zdjęcie, które jest wymownym

symbolem okupacji Japonii, powstało we wrześniu 1945 roku podczas oficjalnej wizyty (a właściwie: audiencji) cesarza Hirohito u generała MacArthura. Czterdziestoczteroletni cesarz – dzieciuch w porównaniu z głównodowodzącym, który miał lat sześćdziesiąt pięć – stoi sztywno na baczność, odziany w oficjalny żakiet. Obok niego MacArthur; jego wyższość nad cesarzem podkreśla nie tylko pokaźny wzrost generała, lecz także wystudiowana niedbałość: koszula khaki rozpięta pod szyją, ręce wygodnie oparte na biodrach.

Fotografia ukazała się we wszystkich liczących się gazetach. Rząd Japonii był zaszokowany, gdyż sprawa pachniała obrazą majestatu, i natychmiast zakazał dalszego jej rozpowszechniania. Nazajutrz Mac-Arthur odwołał zakaz i nakazał podjąć dalsze kroki w celu zapewnienia wolności prasy. Czy to oznacza, że Amerykanie japońską prasę cenzurowali mniej starannie niż niemiecką? Ależ skąd. Nie wolno było na przykład zamieścić nawet wzmianki o Hiroszimie; negatywne uwagi na temat Stanów Zjednoczonych oraz wszelka krytyka administracji SCAP były wykluczone. (W 1946 roku zakazano rozpowszechniania japońskiego filmu pod tytułem *Japońska tragedia*, gdyż zawierał krytykę roli cesarza w czasie wojny, a przecież MacArthur całkowicie go rozgrzeszył).

Demokracja nie była jedynie pustym słowem. Te rewolucyjne zmiany, które spłynęły z nieba na spadochronach, były po części autentyczne – tak samo autentyczne, jak niemijające poczucie wstydu, które tak wymownie wyraził Jun Takami, jeden z najbardziej przenikliwych i uczciwych japońskich pisarzy tamtych czasów. 30 września zapisał on w swoim dzienniku:

> Myśląc o tym, że wolność, którą w naturalny sposób powinien był dać ludziom ich własny rząd, nie została im dana, a zamiast tego musiała być im ofiarowana po raz pierwszy przez wojska obcego państwa, […] nie jestem w stanie uniknąć poczucia wstydu. Wstydzę się jako ktoś, kto kocha Japonię, wstydzę się za Japonię[51].

Uczucie poniekąd zrozumiałe, ale tego rodzaju wypowiedzi mogą wprowadzić w błąd. Do dzisiaj często słyszy się opinie, że rozpoczęta w 1945 roku okupacja stanowiła pierwszy krok w kierunku okcydentalizacji

Japonii, że Amerykanie budowali tam nowoczesne instytucje od zera oraz że – dzięki dobrotliwemu przewodnictwu Stanów Zjednoczonych – w ciągu roku czy dwóch po klęsce militarnej Japonia dokonała przeskoku od „feudalizmu" do demokracji. W rzeczywistości demokratyczne instytucje, być może niedoskonałe i niestabilne, ale jednak, istniały tam już w latach dwudziestych. Po wojnie zarówno w Japonii, jak i w Niemczech zachodnich alianci stworzyli odpowiednie warunki, by te instytucje nie tylko przywrócić, lecz także osadzić na pewniejszych podstawach. Nie zawsze działo się to automatycznie. W wielu wypadkach japońskich polityków i biurokratów należało zmusić do przeprowadzenia demokratycznych reform, które większość obywateli witała z radością. Czegoś jednak nie przewidzieli ani Amerykanie, ani Japończycy: ta jedna, jedyna rzecz, którą Amerykanie wymyślili samodzielnie, miała stać się zarówno fundamentem, jak i brzemieniem dla powojennej tożsamości Japonii.

Artykuł 9 konstytucji Japonii powstał w roku 1946, a zatem wykracza poza ramy czasowe niniejszej książki; jednak warto go przytoczyć, gdyż stanowi najdoskonalszy wyraz idealizmu roku 1945:

> §1. Naród japoński, dążąc szczerze do międzynarodowego pokoju opartego na sprawiedliwości i porządku, wyrzeka się na zawsze wojny jako suwerennego prawa narodu, jak również użycia lub groźby użycia siły jako środka rozwiązywania sporów międzynarodowych. (§2) Dla osiągnięcia celu określonego w poprzednim ustępie nie będą nigdy utrzymywane siły zbrojne lądowe, morskie i powietrzne ani inne środki mogące służyć wojnie. Nie uznaje się prawa państwa do prowadzenia wojny[52].

Podczas wizyty w Japonii w 1953 roku Richard Nixon, wówczas wiceprezydent w administracji Eisenhowera, zaskoczył Japończyków deklaracją, że artykuł 9 to była pomyłka. Nie ma powodu, aby Japończycy go nie skorygowali. Stany Zjednoczone nie będą protestować. Wręcz przeciwnie, Stany Zjednoczone pragną, aby Japonia stała się ich silnym sprzymierzeńcem w walce z komunizmem. Japończycy mieli jednak inne zdanie. Odmówili wprowadzenia zmian do swojej konstytucji, gdyż byli z niej dumni. Pacyfizm dał narodowi, który podczas kilku straszliwych

wojen spowodował śmierć milionów ludzi, nowe poczucie celu moralnego, a nawet wyższości. Japonia wprowadzi narody świata w nową erę pokoju. W oczach Japończyków to Stany Zjednoczone zasługują na potępienie – za Koreę, za Wietnam, później też za Irak i za Afganistan; za to, że nie wyrzekły się nawyku angażowania się w wojny.

Taki był mniej więcej ton debaty publicznej w Japonii przez co najmniej pięćdziesiąt lat od zakończenia wojny. Pacyfizm miał jednak swoją cenę. Idealizm i realia szybko się rozeszły i Japonia wbrew swojej konstytucji odbudowała siły zbrojne, z początku rzekomo jako siły policyjne, później jako Japońskie Siły Samoobrony. Było to nie tylko wyrazem hipokryzji, lecz także nie zmieniło stanu rzeczy, do którego z podobną niechęcią odnosiła się zarówno lewica, jak i prawica. Otóż bezpieczeństwo Japonii wciąż zależało od Stanów Zjednoczonych; pacyfizm głoszony był pod nuklearnym parasolem w ręku jej dawnych pogromców. We wschodniej Azji nie powstał żaden odpowiednik NATO czy Unii Europejskiej, w ramach którego Japonia mogłaby zyskać zaufanie swoich sąsiadów i odnaleźć wśród nich nowe miejsce.

Artykuł 9, nadal gorąco popierany przez większość obywateli, lecz znienawidzony przez prawicowych nacjonalistów, komplikuje także podejście Japończyków do ich własnej przeszłości. Dopóki liberałowie i lewicowcy bronią pacyfistycznej klauzuli jako fundamentu pokuty za zbrodnię wojny, dopóty prawica będzie utrzymywać, że Japonia zawiniła nie bardziej niż jakiekolwiek inne toczące wojnę państwo. Jeśli rzeź Nankinu czy masakra w Manili to powód, by pozbawić naród suwerennego prawa, należy zrobić wszystko, by zminimalizować znaczenie tych „incydentów”. Ta beznadziejnie spolaryzowana debata polityczna (podszywająca się zresztą pod debatę historyczną), od kilkudziesięciu lat zatruwa stosunki Japonii z resztą Azji. Obok jednostronnej zależności Japonii od Stanów Zjednoczonych to także część dziedzictwa roku 1945 – roku, w którym wielkie nieszczęścia zrodziły wielkie nadzieje.

ROZDZIAŁ 9

ŚWIAT ZJEDNOCZONY

Parokrotnie wspomniany już na kartach tej książki młody oficer brytyjskiego wywiadu wojskowego Brian Urquhart – ten sam, który został wysłany na urlop zdrowotny, gdy ostrzegł przełożonych, że planowany na wrzesień 1944 roku zrzut sił alianckich w okolicach holenderskiego miasta Arnhem to straszliwie ryzykowna operacja – naprawdę powinien był skończyć jako zgorzkniały cynik. Operacja „Market Garden” dostała zielone światło, po czym kosztowała życie tysięcy młodych mężczyzn. Monty chciał za wszelką cenę prześcignąć swojego amerykańskiego rywala, generała George’a Pattona. Niewiele ponad pół roku później Urquhart, już rozczarowany uporem, głupotą i arogancją własnej strony, znalazł się wśród pierwszych alianckich żołnierzy, którzy wkroczyli do Bergen-Belsen. Najpierw idiotyzm, potem horror. Kiedy wojna wreszcie dobiegła końca, trudno mu było szaleć z radości.

A jednak jakimś cudem nie został cynikiem. W swoim pamiętniku napisał: „Nie martwiłem się, że już nigdy nie będzie jak dawniej. Stary porządek znałem krótko i nie wydawało mi się, abym miał za nim tęsknić. Wiedziałem natomiast, że obecnie naszym najważniejszym zadaniem jest sprawić, aby taka tragedia już nigdy więcej się nie powtórzyła”[1].

Przed wojną Urquhartowi ogromnie podobała się koncepcja Ligi Narodów. Jak wspomina, jego entuzjazm dla idei internacjonalizmu ma źródło w czasach jego dzieciństwa. Otóż jego matka pracowała jako nauczycielka w Badminton School, elitarnej szkole dla dziewcząt, której

dyrektorką była ekscentryczna, lecz budząca ogromny respekt panna Beatrice M. Baker. Ciotka Urquharta, Lucy, była partnerką pani dyrektor zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Wśród ponad dwustu uczennic pałętał się jeden jedyny chłopiec: sześcioletni Brian Urquhart.

Panna Beatrice miała zdecydowanie lewicowe poglądy. Podzielała dość powszechną wówczas życzliwość wobec „wujka Józka" Stalina. W latach trzydziestych gościła Żydów, uciekinierów z Europy. W tamtym okresie niewiele dyrektorek elitarnych szkół postąpiłoby podobnie. Podczas wojny z nakazu przełożonej uczennice, wśród których była zresztą moja matka, maszerowały ulicami Bristolu pod transparentem „Robotnicy wszystkich krajów łączcie się!".

Po wojnie Urquhart przez krótki czas pracował w kierowanej przez historyka Arnolda Toynbee specjalnej jednostce Foreign Office, założonej w celu gromadzenia danych wywiadu z okupowanej Holandii. Zważywszy, że Holandia nie była już wtedy pod okupacją, nie bardzo miał co gromadzić – ot, przykład jednej z wielu biurokratycznych osobliwości, jakie pozostawiła po sobie wojna. Wkrótce jednak przydzielono go do innej jednostki. Jego nowym zwierzchnikiem był brytyjski dyplomata Gladwyn Jebb, organizator struktur świeżo założonej Organizacji Narodów Zjednoczonych i współautor Karty Narodów Zjednoczonych. Przez resztę życia zawodowego Urquhart pozostał wierny tej instytucji. Jej wady notował ze sceptycyzmem, na jaki zasługiwały, lecz jej ideały nigdy nie przestały go wzruszać.

Czterdzieści lat później tak pisał o tej pełnej zdarzeń jesieni 1945 roku:

> […] niełatwo dziś wyrazić świeżość i entuzjazm tych pierwszych dni. W niczyjej pamięci nie zatarły się jeszcze doświadczenia wojenne. Wielu z nas było w wojsku, a inni byli członkami ruchu oporu w swoich krajach i zaledwie parę miesięcy wcześniej wyszli z podziemia. Praca na rzecz pokoju stanowiła spełnienie naszych marzeń, a to, że wszystko należało organizować od zera, dodatkowo zachęcało nas do działania[2].

Jednym z najbliższych współpracowników Urquharta w biurze sekretarza generalnego ONZ był już tu wcześniej wspomniany Stéphane

Hessel, francuski partyzant aresztowany i torturowany przez gestapo przed wywiezieniem do obozu w Buchenwaldzie i Dora. Byli z Urquhartem równolatkami, obaj urodzili się w roku 1919. Hessel też miał nietypową rodzinę; jego ojcem był Franz Hessel, znany niemiecki pisarz i tłumacz Prousta, a przy tym pierwowzór Jules'a z powieści *Jules et Jim*, tragicznej historii franko-germańskiego trójkąta miłosnego sfilmowanej później przez François Truffauta. Stéphane Hessel podobnie jak Urquhart pragnął budować lepszy świat na skalę globalną. Jego ambicje zrodziły się z doświadczeń mniej typowych niż zwyczajna nienawiść wobec wojny i tęsknota za pokojem. W pamiętniku pisał, że ku dyplomacji pchnął go „kosmopolityzm obozów koncentracyjnych"[3], gdzie tkwili razem ludzie wielu narodowości i o najróżniejszym pochodzeniu społecznym. Trzy lata po zakończeniu wojny pomagał redagować pierwszą Powszechną Deklarację Praw Człowieka, która została uchwalona w 1948 roku. Zmarł w 2013 roku w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat.

Urquhart i Hessel bez wątpienia byli nadzwyczajnymi ludźmi, lecz ich idealizm, zrodzony z bezpośredniej znajomości tragedii, jaką jest wojna, nie był czymś niezwykłym. Idea budowy nowego porządku, który kontrolowałaby organizacja o zasięgu światowym, lecz skuteczniejsza i bardziej odporna niż Liga Narodów, cieszyła się powszechnym poparciem. Niekiedy aż zbyt daleko idącym. Zwolennicy rządu światowego roztaczali apokaliptyczne wizje jeszcze nawet zanim na Hiroszimę i Nagasaki spadły bomby atomowe. W czasie wojny Arnold Toynbee głosił opinię, że trzeciej wojny światowej da się uniknąć, wyłącznie wprowadzając rząd światowy, który dysponowałby siłami policyjnymi o globalnym zasięgu. Pomysł na pozór wariacki; a jednak decydenci w amerykańskim Departamencie Stanu brali go na poważnie. W kwietniu 1945 roku sondaż Instytutu Gallupa ujawnił, że 81 procent Amerykanów pragnie udziału Stanów Zjednoczonych w „światowej organizacji pokojowej dysponującej władzą policyjną"[4].

Koncepcja rządu światowego nie była jakoś przesadnie sprecyzowana, więc jej zwolennicy często mówili o niej w kategoriach swoich własnych ideałów. Że Mahatma Gandhi uważał, iż federacja światowa powinna

opierać się na wyznawanej przezeń zasadzie niestosowania przemocy, akurat trudno się dziwić. Za to Toynbee twierdził, że przynajmniej przez jakiś czas światowe siły policyjne powinny być wyłącznie brytyjsko-amerykańskie i że na dłuższą metę należy dążyć do powstania „demokratycznej, angloamerykańskiej Wspólnoty Światowej”[5]. Nie on jeden. Jeszcze w 1939 roku lord Lothian, ambasador Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie, przedstawiał imperium brytyjskie jako model dla systemu światowej federacji. To też można uznać za kompletną mrzonkę, a przy tym wyraz samouwielbienia. Jednak ani w Wielkiej Brytanii, ani w Stanach Zjednoczonych pomysł wprowadzenia czegoś na kształt liberalnej anglosaskiej hegemonii nie był niczym niezwykłym. Nawet Churchill przez jakiś czas uznawał go za dobry. Idea zresztą wcale nie odeszła do lamusa historii: do dzisiaj karmią się nią anglojęzyczni marzyciele z przerostem miłości własnej, wliczając w to paru mieszkańców Białego Domu.

Wiosną 1945 roku korespondent „New Yorkera” E.B. White skomentował na jego łamach, że San Francisco to idealne miejsce na konferencję, której celem jest podpisanie pierwszej Karty Narodów Zjednoczonych, bo przecież „ludzie na całym świecie uważają Stany Zjednoczone za marzenie, które się spełniło, coś w rodzaju państwa światowego w miniaturze”[6]. Także tego rodzaju deklaracje słyszy się do dzisiaj, choć brzmiące w nich samozadowolenie jest gołosłowne. Zresztą White doskonale zdawał sobie sprawę z rys na świetlanym obrazie Ameryki. 5 maja, tydzień po otwarciu konferencji w San Francisco, pisał, że gdzieś w Kalifornii „grupa radykalnych ekologów (jak wskazują ulotki) próbowała ograniczyć możność osiedlenia się w pewnej okolicy do «osób rasy kaukaskiej»”[7].

Znaleźli się też Europejczycy, często członkowie ruchu oporu, którzy uważali wspólnotę państw europejskich za pierwszy krok w stronę wspólnoty światowej. Już w 1942 roku francuska grupa oporu Combat (znana także jako Ruch Wyzwolenia Narodowego, Mouvement de Libération Nationale, MLN) wydała manifest głoszący, że „Stany Zjednoczone Europy, etap w dążeniu do zjednoczenia świata, wkrótce staną się rzeczywistością, na rzecz której prowadzimy walkę”[8]. Jednym

z liderów Combat był ktoś, kto nie miał zwyczaju wyolbrzymiać: Albert Camus. Później zawarł porozumienie z innym antyfaszystowskim ugrupowaniem, które jeszcze wcześniej, bo w 1941 roku, deklarowało wolę przystąpienia do wspólnoty europejskiej. Manifest ten wydany został na Ventotene, maleńkiej wulkanicznej wysepce u wybrzeża neapolitańskiego. W ponurym więzieniu, zbudowanym tam w XVIII wieku za czasów Burbonów, Mussolini zamknął Altiero Spinellego i innych włoskich lewicowców. Manifest z Ventotene, który napisał jeden z więźniów, polityk i intelektualista Ernesto Rossi, zawierał tezę, iż polityka pronarodowa jest dla reakcjonistów; postępowcy winni dążyć do stworzenia „solidnego państwa ponadnarodowego”. Najpierw federacja europejska, potem federacja światowa.

Idea zjednoczonej Europy jest oczywiście o wiele starsza; jej korzenie sięgają co najmniej IX wieku i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Od tego czasu koncepcje zjednoczeniowe oczywiście sporo się zmieniły, ale dwa ich wątki pozostały takie same. Pierwszy to idea wspólnoty świata chrześcijańskiego, którego duchowym i politycznym ośrodkiem byłaby Europa. Tę myśl często propagowali katolicy, na przykład Erazm z Rotterdamu, a szczególnie popularna była we Francji. Maximilien de Béthune książę Sully (1560–16,41), hugenot, pisał o paneuropejskiej chrześcijańskiej republice, do której Turcy mogliby się dołączyć, jedynie gdyby porzucili islam.

Z tym łączyła się druga idea – wiecznego pokoju. W 1713 roku inny Francuz, tym razem katolik, Charles-Irénée Castel de Saint-Pierre opublikował swój „projekt wiecznego pokoju w Europie”. Proponował w nim założenie europejskiego senatu i europejskiej armii, a także wzajemną równość dużych państw członkowskich.

Dla wielu wczesnych paneuropejczyków koncepcje wiecznego pokoju i chrześcijańskiej jedności były jednym i tym samym. Pokojowe zjednoczenie należało do pojęć religijnych, było chrześcijańską utopią. Nie miało się poza tym ograniczać do kontynentu europejskiego – była to idea równie uniwersalistyczna jak samo chrześcijaństwo. Według ideału w tym

królestwie Boga na ziemi przestałyby istnieć granice państw i podziały narodowe.

Postoświeceniowi racjonaliści przyjęli model religijnego uniwersalizmu z leciutko tylko zmienioną retoryką. W 1841 roku francuski poeta i mąż stanu Alphonse de Lamartine napisał racjonalistyczną odę do jedności europejskiej pod tytułem *Marsylianka pokoju*: „W czasach oświeconych świat się jednoczy / Jestem rodakiem każdego człowieka myślącego / Krajem mym jest prawda". Lamartine był ministrem spraw zagranicznych Francji w niespokojnym roku 1848. Ogłosił wówczas manifest, w którym promował Republikę Francuską jako model państwa idealnego nie tylko dla Europy, lecz dla całej ludzkości.

Podobny przeskok od religijnego do racjonalistycznego idealizmu nastąpił pod koniec drugiej wojny światowej. W 1940 roku, czyli jeszcze zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Federalna Rada Kościołów Chrystusowych w Ameryce wyłoniła z siebie komisję, która miała wypracować „sprawiedliwy i trwały pokój" – inicjatywa może trochę pochopna, lecz bez wątpienia szlachetna. W wysiłku tym wspierali pastorów i świeckich protestantów niekiedy żydzi i katolicy. W większych miastach powstały „narodowe misje porządku światowego". Komisja podkreśliła potrzebę światowej organizacji pokojowej w deklaracji pod tytułem *Sześć filarów pokoju*. Na wypadek gdyby ktoś pomyślał, że był to płód umysłów pogrążonych w czczych mrzonkach, spieszę wyjaśnić, że przewodniczącym komisji był sam John Foster Dulles – we wczesnych latach trzydziestych admirator Hitlera, a w latach pięćdziesiątych zimnowojenny jastrząb pełniący obowiązki sekretarza stanu w administracji Eisenhowera.

Dulles maczał palce w kilku bardzo podejrzanych i moralnie dwuznacznych awanturach: popierał francuskie władze kolonialne w wojnie z nacjonalistami z Vietminhu, a w 1953 roku pomógł obalić demokratycznie wybrany rząd premiera Mohammada Mosaddeqa w Iranie. Mosaddeq miał opinię zwolennika komunizmu i jakoby zagrażał interesom brytyjskich i amerykańskich koncernów naftowych. Nastąpił zamach stanu, za którym stali agenci brytyjscy oraz CIA kierowana przez Allena Dullesa,

brata Johna Fostera. Jednakże antykomunizm Dullesa nie został podyktowany wyłącznie troską o interesy wielkich korporacji. Dulles był chrześcijańskim moralistą, który wierzył, że walka z bezbożnym komunizmem jest przede wszystkim obowiązkiem moralnym. Głosił również niezachwianą wiarę w to, co nazywał „siłą moralną" ONZ i uczestniczył w konferencji w San Francisco jako doradca delegacji Stanów Zjednoczonych[9]. Jego reakcja na użycie broni atomowej przeciwko Japonii może się wydać nietypowa zarówno dla człowieka tamtych czasów, jak i dla amerykańskiego konserwatysty, lecz nie jest nietypowa dla niego: „Skoro my, którzy głosimy, iż jesteśmy narodem chrześcijańskim, czujemy się moralnie uprawnieni do użycia energii atomowej w ten sposób, inne narody zaakceptują tę decyzję"[10].

To właśnie tragedia Hiroszimy zmieniła retorykę debaty na temat „zjednoczonego świata". Religijną moralistykę zastąpił świecki punkt widzenia, a poczucie, że sprawa jest paląca, stało się powszechne. Pierwsze ostrzeżenia co do implikacji użycia nowej broni wyszły od naukowców, z których niejeden ją współtworzył. Gdy 16 lipca 1945 roku na pustyni w stanie Nowy Meksyk nastąpiła pierwsza w dziejach eksplozja bomby atomowej, Robert Oppenheimer, jeden z głównych jej twórców, w niemalże religijnym odruchu zacytował *Bhagavadgitę*, świętą księgę hinduizmu:

> Jasność tysiąca słońc rozbłysłych na niebie oddaje moc jego potęgi.
> Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów.

Reakcja Einsteina na wieść o zbombardowaniu Hiroszimy była bardziej prozaiczna: „O, rety!"[11].

Einstein był jednym z sygnatariuszy opublikowanego dwa miesiące później listu do „New York Timesa". Oprócz niego list ten podpisali między innymi senator J.W. Fulbright i sędzia Sądu Najwyższego Owen J. Roberts. „Pierwsza bomba atomowa unicestwiła więcej niż miasto Hiroszima. Rozniosła też w pył nasze odziedziczone, przestarzałe idee polityczne" – pisali. Wśród tych idei była suwerenność narodowa. Uchwalona w San Francisco Karta Narodów Zjednoczonych to tylko początek: „Jeśli chcemy

zapobiec kolejnej wojnie atomowej, musimy wypracować konstytucję federacji światowej, skuteczny, globalny porządek prawny”[12].

John Foster Dulles twierdził, że energię atomową należy poddać pod kontrolę ONZ, po czym szybciutko zmienił zdanie, kiedy okazało się, że Związek Radziecki także dysponuje bronią nuklearną. W listopadzie 1945 roku w wywiadzie dla „Atlantic Monthly” Einstein powiedział, że „sekrety [konstrukcji] bomby powinno się powierzyć rządowi światowemu, a Stany Zjednoczone powinny bezzwłocznie zadeklarować gotowość oddania jej rządowi światowemu”.

Jednakże najbardziej wymownie podsumował potrzebę moralnego umiaru premier Wielkiej Brytanii Clement Attlee, skądinąd chrześcijański socjalista, w mowie do członków parlamentu Kanady. Było to w tym samym miesiącu, w którym w „Atlantic Monthly” ukazał się wywiad z Einsteinem. Mówiąc częściowo po francusku i bardzo wyraźnie nawiązując do Hiroszimy, Attlee powiedział, że nauka i etyka muszą pozostawać ze sobą w harmonii. Jego zdaniem, jak donosił londyński „Times”, „bez gorliwości moralnej równej zapałowi, z jakim naukowcy podchodzą do swoich badań, zbudowana w ciągu wieków cywilizacja ulegnie zniszczeniu”[13].

***

Sposób, w jaki świat zaczął się faktycznie zmieniać w 1945 roku, niemało zawdzięczał wzniosłemu idealizmowi dawnych bojowników ruchu oporu i walczących w obronie pokoju żołnierzy, wstrząśniętych naukowców i chrześcijańskich jednoczycieli – ale nie aż na tyle, jak by wyżej wymienieni sobie tego życzyli. Instytucje międzynarodowe po wojnie (a w rzeczywistości już w czasie wojny) kształtowała polityka, nie zaś religia czy ideały moralne. A że rozwiązania polityczne nigdy nie są idealne, nowy porządek także doskonałym być nie mógł.

Początek idei Karty Narodów Zjednoczonych, która uchwalona zostanie w San Francisco, dało spotkanie Churchilla i Roosevelta w zatoce Placentia u wybrzeża Nowej Fundlandii w sierpniu 1941 roku. Wielka Brytania

właśnie przeżyła, choć z trudnością, bitwę o Anglię. Niedługo przedtem, 22 czerwca, Niemcy wkroczyli na terytorium Związku Radzieckiego, atak na Pearl Harbor zaś już się zbliżał, miał bowiem nastąpić 7 grudnia. Roosevelt pragnął subtelnie zasugerować amerykańskiemu wyborcy, by zaaprobował bardziej aktywny udział Stanów Zjednoczonych w konflikcie w Europie. Dwaj przywódcy pojawili się zatem w zatoce, każdy na pokładzie swojego okrętu: Roosevelt na USS „Augusta", Churchill na HMS „Prince of Wales", aby nakreślić szkic Karty Atlantyckiej.

O dziwo, to Churchill nalegał, żeby zawrzeć w Karcie wzmiankę o przyszłej organizacji światowej. Roosevelt, rozczarowany porażką Ligi Narodów i boleśnie świadom oporu swoich rodaków wobec angażowania się w konflikty międzynarodowe, skreślił propozycje Churchilla. Nie był także bynajmniej zwolennikiem brytyjskiego imperializmu, chociaż zgadzał się z Toynbeem, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone powinny na parę lat przejąć rolę światowego policjanta. Roosevelt uważał swoje „cztery podstawowe wolności obywatelskie", które ogłosił światu w styczniu tegoż roku: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od ubóstwa oraz wolność od strachu, za podstawowe powody zwalczania faszyzmu. Norman Rockwell unieśmiertelnił je później w sentymentalnych obrazach.

Karta Atlantycka okazała się czymś więcej niż tylko rozwinięciem tych pięknych tez. Szczególnie jeden z jej punktów miał poważne i trwałe skutki. Wprowadzili go, co istotne, Amerykanie. Karta nie wyrażała zatem jedynie nadziei, iż „prawa suwerenne i autonomia" zostaną przywrócone „tym, którym je odebrano siłą", lecz szła dalej, zakładając, że szanowane będzie także „prawo wszystkich ludów do wybrania sobie formy rządu, pod jakim chcą żyć"[14].

Wiadomość o tej zasadzie natychmiast przedostała się do bojowników o wyzwolenie spod władzy kolonialnych imperiów. Ho Chi Minh w Wietnamie, Sukarno w Indonezji oraz inni przywódcy nacjonalistów wielokrotnie powoływali się na postanowienia Karty Atlantyckiej, żądając uznania niezawisłości politycznej swoich krajów, a także wsparcia Stanów Zjednoczonych w walce o nią. 8 maja w Sétif żądający równości

politycznej Algierczycy nieśli transparenty z hasłem: „Niech żyje Karta Atlantycka!”. Potem francuscy osadnicy otworzyli ogień.

Jawaharlal Nehru, który w czasie, gdy dwaj przywódcy kreślili Kartę Atlantycką, siedział w więzieniu za „nieposłuszeństwo obywatelskie”, wyczuł hipokryzję tych anglosaskich deklaracji, uznał Kartę za stek obłudnych frazesów i zbył ją wzruszeniem ramion. Jednak w następnym roku podczas kampanii „Precz z Indii” powoływał się na zawartą w niej proklamację prawa narodów do samostanowienia. Wzywał również do uchwalenia „światowej federacji”, która byłaby gwarantem zawartych w Karcie swobód.

Churchill musiał jak najszybciej upewnić parlament, że prawo do samostanowienia ma dotyczyć wyłącznie narodów znajdujących się pod okupacją nazistowską, a kolonie to coś całkiem innego. Przecież, jak to podkreślił w 1942 roku, „nie po to został premierem Jego Królewskiej Mości, aby przewodniczyć likwidacji Imperium Brytyjskiego”. Roosevelt miał dużo sympatii dla Nehru, a przy tym z zasady ignorował buńczuczne deklaracje, ale nie chciał przesadnie naciskać na Churchilla – w końcu trwała wojna. Za to Churchill nie znosił być pouczany przez Amerykanów, jak należy prowadzić politykę imperium, tym bardziej że oni sami bynajmniej nie mieli czystych rąk, zwłaszcza w kwestii Filipin. Prawda – ale z drugiej strony Churchillowi jakoś uciekło z pamięci, że Stany Zjednoczone obiecały Filipinom niepodległość jeszcze przed wojną, a proces przekazywania władzy przerwało wkroczenie wojsk japońskich.

Tylko mały kroczek dzielił Kartę Atlantycką od Narodów Zjednoczonych, chociaż z początku organizacja ta nie była światowym gwarantem pokoju, lecz koalicją przeciwko państwom Osi. W styczniu 1942 roku akces zgłosiło dwadzieścia sześć państw, wśród nich Chiny i Związek Radziecki. Nazwę wymyślił Roosevelt, niepomny swych wcześniejszych zastrzeżeń w kwestii organizacji ponadnarodowych. Było to parę tygodni po ataku na Pearl Harbor. Wesoły jak szczygiełek Churchill składał wówczas wizytę w Białym Domu; trwała konferencja pod kryptonimem „Arcadia”. Roosevelt próbował znaleźć nazwę dla nowej światowej koalicji. Któregoś dnia, tuż przed śniadaniem, doznał olśnienia.

Wdarł się do łazienki w apartamencie Churchilla i huknął: „Narody Zjednoczone!”. Brzmi nieźle, zgodził się Churchill ociekając wodą, bo właśnie wyszedł z wanny.

Główne kwestie, nad którymi przez całą wojnę głowił się sztab urzędników, planistów, dyplomatów i dowódców wojsk Sprzymierzonych, były następujące: Jak przekuć wojenną koalicję w stabilny porządek oparty na międzynarodowym pokoju? Jak uniknąć kolejnej powojennej recesji? Jak powstrzymać Hitlerów przyszłości od rozpętywania nowych wojen światowych? I jak to zrobić, nie drażniąc amerykańskich konserwatystów, którzy wszelkie ponadnarodowe inicjatywy mieli zwyczaj piętnować jako brudne sprawki „komunistów”? Jakkolwiek miałaby wyglądać nowa światowa organizacja (Churchill wciąż myślał o niej w kategoriach „narodów anglojęzycznych”, Stalin – „narodów miłujących pokój”, Roosevelt zaś – harmonijnej koalicji wielkich mocarstw), musiała koniecznie mieć prawdziwą władzę. Oto, czego zabrakło starej Lidze Narodów. Nowa ONZ musi mieć możliwość narzucenia pokoju – jeśli będzie trzeba, to nawet siłą. Aby skutecznie posługiwać się taką władzą, wielkie mocarstwa musiały dojść ze sobą do ładu. Po to właśnie były konferencje w Moskwie, Teheranie i Jałcie, gdzie Churchill, Roosevelt i Stalin kreślili, czasami na świstkach papieru, powojenny porządek, traktując świat jak szachownicę, a Polaków, Greków i inne narody jak pionki, które można na niej swobodnie przestawiać.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych organizowano ponadnarodowe instytucje, które miały dostarczać żywność i udzielać pomocy humanitarnej krajom wyniszczonym wojną. W 1943 roku powstała Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA). Churchill z początku uważał ją za niepoważną. Słyszano, jak siedząc (znowu) w kąpieli podśpiewywał sobie: „UNRR,! UNRRA! UNRRA!”, jak gdyby to była aria z operetki. Po wojnie amerykańscy republikanie oczywiście postawili UNRRA zarzuty sprzyjania komunistom. Oskarżenia były niezupełnie bezpodstawne: większość państw Europy Zachodniej uznano za samowystarczalne, więc lwia część pomocy faktycznie trafiła do krajów Europy Wschodniej i republik radzieckich, zresztą zazwyczaj do

grup politycznie uprzywilejowanych. Działalność UNRRA, zwłaszcza w początkowym okresie, była chaotyczna i często jedynie symboliczna; ale gdyby nie ona, o wiele więcej ludzi żyłoby i umarło w fatalnych warunkach.

W chwili gdy Armia Czerwona zaczynała pędzić śmiertelnie znużonych Niemców przez lodowate pustkowia Ukrainy z powrotem na zachód, a wojska Sprzymierzonych lądowały na plażach Normandii, Wielka Trójka miała już ogólne pojęcie, jak powinna wyglądać przyszła Organizacja Narodów Zjednoczonych. Będzie mieć Zgromadzenie Ogólne i Radę Bezpieczeństwa. Kontrolę nad tą ostatnią zachowają trzy mocarstwa. Współpraca gospodarcza w celu pokonania Niemiec – Lend-Lease i tak dalej – stanie się podstawą ponadnarodowego systemu monetarnego. Wprowadzi się ustawy, które zapobiegną nacjonalizmowi gospodarczemu oraz szkodliwym formom spekulacji. I powoła się jeszcze Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

System monetarny zaprojektowano w 1944 roku w kurorcie Bretton Woods w stanie New Hampshire. Spotkanie, Konferencja Narodów Zjednoczonych w Sprawach Monetarnych i Finansowych, odbyło się właśnie tam z dwóch powodów. Po pierwsze, senator z New Hampshire, który w Kongresie zasiadał w komisji do spraw bankowości i polityki monetarnej, był republikaninem oraz przeciwnikiem regulacji waluty i należało go ugłaskać. Po drugie, elegancki hotel w Bretton Woods przyjmował gości pochodzenia żydowskiego, co w tego typu obiektach wcale nie było regułą, zwłaszcza na prowincji. Głupio by wyszło, gdyby na przykład takiemu sekretarzowi skarbu Henry’emu Morgenthauowi pokazano drzwi.

W listopadzie 1944 roku Roosevelt został prezydentem Stanów Zjednoczonych na czwartą kadencję. Podczas kampanii wyborczej dał jasno do zrozumienia, że teraz już całkowicie popiera ideę powojennej ONZ. Jego zdaniem świat potrzebuje globalnego Nowego Ładu, ONZ zaś musi otrzymać dostateczne prerogatywy, aby być w stanie gwarantować światowy pokój. W czasie kampanii mówił: „Na mój chłopski rozum jest absolutnie jasne, że jeśli światowa organizacja ma naprawdę działać, nasi

amerykańscy reprezentanci muszą zawczasu uzyskać władzę wykonawczą z woli obywateli, na drodze konstytucyjnej przez ich przedstawicieli w Kongresie”[15]. Choć głosy, że Roosevelt i jego ideały trącą komunizmem, nie do końca umilkły, większość jego rodaków wydawała się z nim zgadzać.

Tuż przed wyborami, po których Roosevelt został prezydentem po raz czwarty, odbyła się jeszcze jedna konferencja w sprawie ONZ. Zorganizowano ją bardzo dyskretnie w zabytkowej rezydencji Dumbarton Oaks w Georgetown, dzielnicy Waszyngtonu. W czasie wojny politykę aliantów wyznaczała Wielka Trójka, czyli Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Radziecki. Obecnie zaproszono jeszcze Wielkiego Czwartego – Chiny. Te cztery mocarstwa miały pilnować porządku w powojennym świecie, przynajmniej w teorii, chociaż nadzieje na to, że Chiny zdołają odegrać swoją rolę, były nikłe. Churchill i Stalin nie mieli ani grama szacunku dla Czang Kaj-szeka i jego administracji, ale Amerykanie chcieli ratować generalissimusowi twarz. (Później, w San Francisco, Wielka Czwórka stała się Wielką Piątką; Francja także na gwałt potrzebowała ratowania twarzy).

Jednakże w Dumbarton Oaks nie udało się osiągnąć pełnego porozumienia co do kształtu przyszłego ONZ. Które kraje będą miały prawo zgłosić akces? Czy, jak uważała strona radziecka, misje oenzetowskie mają się ograniczać do spraw bezpieczeństwa, czy będą też obejmować kwestie gospodarcze i społeczne, jak chcieli tego Amerykanie (zresztą skutecznie, bo na tym stanęło)? Czy powinny zaistnieć ponadnarodowe siły powietrzne? Do kogo będzie należało zaopatrzenie wojsk ONZ? Czy każdy członek powinien mieć prawo weta wobec decyzji ONZ, tak jak to było w Lidze Narodów, czy tylko mocarstwa? Co dokładnie można będzie zawetować: tylko operacje czy także dochodzenia lub tematy poddawane pod obrady? Zawierano kompromisy, a trudne pytania (jak to o weto) zostawiano bez odpowiedzi. Członkostwo w zasadzie miało być dostępne dla wszystkich „ludów miłujących pokój”. Wyrażenie to pieściło uszy sentymentalnych Amerykanów, ale dla Stalina oznaczało coś o wiele poważniejszego: on o wszystkich, którzy krytykowali

Związek Radziecki, zwykł mówić per „wrogowie pokoju”. Na przykład Finlandia, która w 1940 roku zadała klęskę Armii Czerwonej, zdecydowanie była wrogiem pokoju.

Niemniej jednak grunt pod uchwały z San Francisco został przygotowany. 27 kwietnia 1945 roku zjednoczyły się tam ludy miłujące pokój i wojenna koalicja przekształciła się w to, co Roosevelt z przyjemnością nazywał „demokratyczną światową organizacją”[16].

Sam prezydent, już wcześniej poważnie chory i znużony konferencją w Jałcie (dawna letnia rezydencja cara, mimo całego swego przepychu, okazała się niezbyt wygodna; szczególnie dręczyły gości pluskwy) niestety nie dożył tego dnia; zmarł 12 kwietnia. Jednak jego następca, prezydent Harry S. Truman, miał jeszcze wyższe wymagania wobec demokratycznego ładu światowego niż jego poprzednik. W czerwcu, czyli niedługo przed złożeniem podpisu pod Kartą Narodów Zjednoczonych, otrzymał on doktorat *honoris causa* uniwersytetu Kansas City. W porywie jankeskiego optymizmu stwierdził wówczas: „Narodom będzie równie łatwo dogadać się z sobą w światowej republice, jak nam łatwo jest się dogadywać w republice Stanów Zjednoczonych”[17].

***

Flagi pięćdziesięciu narodów łopotały na wietrze znad Pacyfiku. Pięć tysięcy delegatów przybyło do budynku opery na ceremonię otwarcia konferencji, a setki tysięcy widzów tłoczyły się na ulicach San Francisco. Cały świat (oczywiście oprócz Niemców, Japończyków i ich sprzymierzeńców) stawił się jak jeden mąż. Ale czy na pewno cały? Niezupełnie. I nie każdemu z obecnych należało się zaproszenie. Argentyna zjawiła się w San Francisco w wyniku rozgrywek między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, mimo że tamtejsza junta wojskowa prawie do samego końca wojny wyraźnie sprzyjała państwom Osi. Chodziło o to, że Związek Radziecki domagał się pełnego członkostwa dla swoich republik, Ukrainy i Białorusi, więc Stany Zjednoczone,

potrzebując wsparcia ze strony Ameryki Łacińskiej, nalegały na włączenie Argentyny do grona zaproszonych.

Natomiast Polska, kraj, od którego rozpoczęła się druga wojna światowa, nie została zaproszona, ponieważ nie było jednomyślności co do tego, który jej rząd jest prawomocny. Związek Radziecki popierał rząd tymczasowy, potocznie zwany lubelskim, w Londynie zaś wciąż działał rząd na uchodźstwie, który nadsyłał protesty w tej sprawie. Wobec tego zaproszenie do San Francisco przedstawicieli rządu tymczasowego było wykluczone, choć domagał się tego Związek Radziecki. W Jałcie Stalin zapewnił Churchilla i Roosevelta, że w Polsce odbędą się wolne wybory, a szesnastu przywódców polskiego podziemia już zostało zaproszonych na przyjacielskie rozmowy z Rosjanami. Potem okazało się, że tych szesnastu Polaków przepadło jak kamień w wodę. To nie wróżyło dobrze. E.B. White z „New Yorkera" stwierdził obrazowo: „Kwestia polska wisiała nad miastem jak szkaradny ptak"[18].

Mimo to panował optymistyczny nastrój. Gapiom szczególnie podobali się egzotycznie odziani delegaci z krajów arabskich. Cytując czasopismo „Yank": „Amerykańscy łowcy gwiazd pchali się tłumnie, aby z bliska rzucić okiem na Arabów, i prawie każdy stwierdzał: «Szejkowie, co nie? Tylko popatrz!»". Arabowie byli równie zdumieni. „Yank" donosił, że Farid Zeineddine z Syrii odniósł następujące wrażenie: „Wydaje mi się, że Amerykanie to naród żujących gumę ludzi w okularach. Może noszą okulary z konieczności, bo budynki są tu takie wysokie, że muszą wytężać wzrok, kiedy na nie patrzą"[19].

Ale byli też tacy, którzy przyglądali się wydarzeniom z kwaśną miną. Korespondent „Daily Herald" Michael Foot (zresztą przyszły przywódca brytyjskiej Partii Pracy) jako dobry europejski socjalista martwił się zagrożeniami, jakie niósł „obecny status Ameryki". Stany Zjednoczone były po prostu za bogate, zbyt nietknięte przez wojnę, zbyt potężne. „Perspektywy gospodarcze Ameryki – pisał – zdają się kompletnie przyćmiewać samą konferencję". Co więcej, wyświetlane w kinach reportaże z niemieckich obozów koncentracyjnych „nie zachęcają do maffickingu"[20] (*mafficking* to tłumne i huczne fetowanie sukcesu; słowo

wzięło się od sposobu, w jaki Brytyjczycy świętowali koniec oblężenia Mafekingu w czasie wojny burskiej).

Inne filmy, jakie tamtej wiosny można było zobaczyć w amerykańskich kinach, na przykład *Powrót do Bataan* z Johnem Wayne'em i *Operacja Birma* z Errolem Flynnem, z pewnością miały podnosić morale, mocno już upadające w tych ostatnich miesiącach wojny na Pacyfiku. Weselszą zabawę zapewniali między innymi *Syn Lassie* wytwórni MGM, Dorothy Lamour w *Medalu dla Benny'ego* oraz duet Abbott i Costello wśród studentek: *Here Come the Co-Eds*.

Zakwaterowanie, za które delegaci mieli płacić samodzielnie, było zdecydowanie lepsze niż w Jałcie. Gladwyn Jebb, który jako doradca Churchilla do spraw dyplomacji uczestniczył w większości konferencji, jakie odbyły się podczas wojny, wliczając w to konferencję jałtańską, opisywał San Francisco jako „odrażający wybuch gościnności"[21]. Obrady Wielkiej Czwórki (wkrótce Piątki), którym przewodniczył sekretarz stanu Edward R. Stettinius jun., odbywały się w okrągłej bibliotece w penthousie hotelu Fairmont. „Time" donosił, że był tam „błękitny sufit oraz dwie dwuosobowe sofki obite na zielono"[22]. Pomniejsze delegacje pracowały na niższych piętrach.

Mocarstwa szybko doszły do porozumienia w kwestiach ogólnych. Pozostały jednak napięcia pomiędzy nimi a całą resztą państw – czyli pomiędzy tezą o dominacji mocarstw a z założenia demokratyczną światową organizacją. Mniejsze państwa, reprezentowane przez pompatycznego ministra spraw zagranicznych Australii Herberta Evatta, protestowały przeciwko prawu weta dla mocarstw w Radzie Bezpieczeństwa, ale musiały się poddać. Najbardziej skrajnie promocarstwową pozycję zajął minister spraw zagranicznych Związku Radzieckiego Wiaczesław Mołotow, domagając się prawa zawetowania każdego tematu, którego omawiania na forum ONZ Związek Radziecki by sobie nie życzył. To żądanie o mały włos nie pogrążyło całej konferencji, ale do Moskwy udała się amerykańska misja dyplomatyczna i Stalin kazał Mołotowowi się wycofać.

Już się wydawało, że wszystko w porządku, przynajmniej pomiędzy Wielką Trójką, kiedy Mołotow wydał wystawny bankiet na cześć swoich odpowiedników z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, eleganckiego Anthony'ego Edena i Edwarda Stettiniusa, którego Brian Urquhart opisywał jako „mężczyznę o urodzie aktora i nienaturalnie białych zębach"[23]. Stoły, jak zwykle na bankietach na modłę rosyjską, uginały się od smakołyków, alkohol płynął strugą. Fotografie z tej imprezy ukazują trzech panów wznoszących toasty za zdrowie kolegów; nawet nijaka fizys Mołotowa, w Politbiurze zwanym „żelazną dupą" z racji godzin, które był w stanie przesiedzieć za biurkiem, oblekła się w dobroduszny wyraz. Robiło się późno. Panowie byli już wyraźnie pod lekkim gazem.

Nagle padł grom z jasnego nieba. Mołotow w tonie życzliwego koleżeństwa ogłosił, że wreszcie jest w stanie wyjawić szanownym kolegom, co stało się z szesnastoma przywódcami polskiego podziemia. Zostali mianowicie aresztowani i oskarżeni o działalność dywersyjną oraz szpiegostwo przeciwko Armii Czerwonej, które to przestępstwa karane są śmiercią. Gdy minął pierwszy szok, rozwścieczony Eden zażądał dokładnych wyjaśnień. Urażony jego ostrym tonem Mołotow nadął się i odmówił komentarza. Wesoły nastrój ulotnił się w mgnieniu oka. Powodzenie konferencji po raz kolejny zawisło na włosku.

Ale czarne chmury znów się rozwiały. Myślenie życzeniowe zaćmiło trzeźwość oglądu sytuacji. Tygodnik „The Nation" zapewnił amerykańskich liberałów, że kiedy tylko w Polsce odbędą się „prawdziwie wolne wybory", „pozycja moralna Rosji" ulegnie „ogromnemu wzmocnieniu", a „nieufność zmniejszy się do minimum"[24]. Niesprecyzowana obietnica wolnych wyborów to listek figowy, który Stalin podsunął zachodnim aliantom w Jałcie, a oni ochoczo okryli nim nagą prawdę i teraz nikt nie kwapił się go zdzierać. Rosjanie byli w pełni świadomi, że szesnastu dzielnych Polaków, którzy za czasów okupacji z narażeniem życia organizowali działalność podziemia, już zostało poddanych torturom przez NKWD oraz że są oni oskarżeni o kolaborację z faszystami. Wyrok w procesie szesnastu zapadł 21 czerwca; konferencja w San Francisco jeszcze wtedy trwała. Trzech z nich nie wyszło już z radzieckich więzień.

W czasie kiedy szesnastu Polaków torturowano na Łubiance, mocarstwa omawiały sformułowania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, która miała się znaleźć w preambule do Karty Narodów Zjednoczonych (Powszechna Deklaracja Praw Człowieka została uchwalona później, w 1948 roku). Stéphane Hessel i jemu podobni uważali, że pogląd, iż prawa człowieka powinny przysługiwać nie tylko jednej wspólnocie, określonej przez swą wiarę, kulturę czy granice polityczne, lecz całej ludzkości – szlachetne dziecię myślenia oświeceniowego i chrześcijańskiego uniwersalizmu – to najistotniejsze dokonanie powojennego ładu. Powszechne prawa człowieka odniesiono do przyjętych w Norymberdze ustaleń prawnych w kwestii „zbrodni przeciwko ludzkości", które z kolei zostały powiązane z pojęciem ludobójstwa, zdefiniowanym w 1944 roku przez polskiego prawnika Rafała Lemkina jako czyn „dokonany w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych".

Oczywiście ani przez chwilę nikt nie zakładał, że przestrzeganie praw człowieka można czy należy wymuszać siłą. Wręcz przeciwnie. Historyk Charles Webster, doradca do spraw polityki zagranicznej delegacji brytyjskiej w San Francisco, ujął rzecz tak: „Nasza polityka dystansuje się od «gwarancji praw człowieka», choć raczej nie będziemy sprzeciwiać się deklaracji"[25]. Powstała więc deklaracja oparta na szkicu autorstwa generała Jana Smutsa, południowoafrykańskiego męża stanu i bohatera wojny burskiej, współtwórcy zarówno Ligi Narodów, jak i ONZ. W czerwcu mocarstwa zgodziły się na następujące sformułowanie: „My, ludy Narodów Zjednoczonych, zdecydowane […] przywrócić wiarę w podstawowe prawa człowieka, godność i wartość jednostki, równość praw mężczyzn i kobiet oraz narodów wielkich i małych […]"[26].

W swojej kolumnie w „Daily Herald" Michael Foot szczególnie chwalił moralne przywództwo Związku Radzieckiego. Przypominał przy tym, że w Wielkiej Brytanii rząd Neville'a Chamberlaina zataił wiadomości o zbrodniach popełnianych w nazistowskich Niemczech jeszcze przed wojną; ale że wtedy oczywiście „ofiarami byli jedynie liberałowie, socjaliści, pacyfiści i Żydzi". Obecnie, zauważył Foot wyniośle, „tego

rodzaju indywidua mają tę przewagę, że ich prawa wymienione są w preambule do nakreślonej przez generała Smutsa Karty wolności podstawowych. Karta ta odnosić się będzie nawet do murzyńskich ludów Afryki Południowej. Tylko czy aby na pewno?". Wątpliwości te nie były bezzasadne, ale nawet Foot wolał przemilczeć unoszący się nad obradami smród kwestii polskiej. Co więcej, pochwalił Rosjan za ich stanowisko w kwestii „praw politycznych narodów podległych", które jego zdaniem było „znacznie bardziej logiczne i wyraźne" niż stanowisko innych delegacji.

Obrady konferencji w San Francisco dobiegły końca w ostatnich dnach czerwca, lecz zanim to nastąpiło, miał miejsce jeszcze jeden kryzys. Miejscem akcji tym razem był Lewant. 29 maja siły francuskie walczyły z Syryjczykami na ulicach Damaszku i ostrzeliwały nie tylko starożytną stolicę, lecz także Aleppo, Hamę i Homs. Francuzi wezwali wojsko, gdy strona syryjska zażądała, aby oddziały syryjskie, dotąd pod komendą francuską, przeszły do narodowej armii Syrii.

Nazajutrz prezydent Szukri al-Kuwatli, błyskotliwy polityk i zręczny dyplomata, wystosował do prezydenta Trumana list, w którym wyraził identyczne nadzieje jak Ho Chi Minh i Sukarno, lecz ze znacznie lepszymi wynikami. Francuzi zabijają Syryjczyków, pisał z całkowicie usprawiedliwionym oburzeniem, z broni, którą kupili na wojnę z Niemcami za pieniądze pożyczone od Amerykanów. Stany Zjednoczone uznały niepodległość Syrii w 1944 roku. „Gdzie jest teraz Karta Atlantycka i cztery wolności? Co mamy myśleć o San Francisco?"[27] – zapytywał al-Kuwatli.

To wystarczyło: Amerykanie ochoczo stanęli po stronie Syrii. Waszyngton bardzo krzywo patrzył na imperializm europejski, a na francuski szczególnie. Inaczej niż Indochiny, które w tym okresie były jeszcze dla Amerykanów terenem mało znanym, Syria i Liban (i Chiny zresztą też) od dawna cieszyły się ich paternalistyczną życzliwością. Była to mieszanka misjonarskiego zapału i interesu gospodarczego: w Bejrucie Uniwersytet Amerykański, w Jerozolimie – misje chrześcijańskie, a w gospodarce – polityka otwartych drzwi. W tym okresie ulubionym

hasłem liderów amerykańskiej polityki było „przywództwo moralne”. Bez wątpienia uczucia ich były równie szczere, jak uczciwe wydają się intencje Johna Fostera Dullesa, ale nie mniej szczere było ich dążenie do przywództwa w regionie.

Alianci obiecali uznać powojenną niepodległość Syrii jeszcze w 1941 roku, kiedy siły brytyjskie zajęły Lewant, więc teraz nie bardzo mogli zignorować prośbę al-Kuwatlego. Churchill poinstruował więc dowódcę sił brytyjskich na Bliskim Wschodzie, generała Bernarda Pageta, aby zapędził żabojadów z powrotem do koszar. Zadanie było łatwe, gdyż niezbyt liczne siły francuskie nie były w stanie stawić oporu. Lewicujący „Manchester Guardian” donosił o tych wydarzeniach z patriotycznym ukontentowaniem. Jego korespondent „wmaszerował do Damaszku wraz z marynarzami […] przy oklaskach tłumu zdumionych damasceńczyków […]. Mieszkańcy Damaszku szyderczymi okrzykami żegnali długi konwój ciężarówek, czołgów i uzbrojonych w breny transporterów opancerzonych, które w eskorcie brytyjskich samochodów pancernych wywoziły żołnierzy francuskich z miasta”[28].

Na ten, jego zdaniem, ohydny anglosaski spisek generał de Gaulle zareagował wybuchem wściekłości: „Nie mamy obecnie możności rozpocząć działań zbrojnych przeciwko wam. Ale obraziliście Francję i zdradziliście Zachód. Nie zapomnimy wam tego”[29].

Na pierwszy rzut oka kryzys syryjski stanowił idealną próbę ogniową dla nowego światowego ładu wypracowywanego właśnie w San Francisco. Jeśli jakakolwiek sprawa zasługiwała na wdrożenie postanowień Karty Atlantyckiej i ukazanie światu etosu ONZ, to właśnie ta. Mimo przyrzeczeń złożonych w 1941 roku Francuzi próbowali przywrócić władzę kolonialną. Brytyjczycy słusznie pokazali im, gdzie ich miejsce; stąd dumny ton doniesień w „Guardianie”.

Oczywiście w rzeczywistości sprawy wcale nie przedstawiały się tak prosto. W Syrii, tak samo jak na całym Bliskim Wschodzie, Brytyjczycy grali w podwójną grę, składając rozmaitym grupom wykluczające się obietnice. W 1916 roku, kiedy imperium osmańskie już wyraźnie dogorywało, Brytyjczycy i Francuzi podzielili Lewant na strefy wpływów.

Na mocy umowy Sykes–Picot Francji przypadły Syria i Liban, a Wielka Brytania zajęła się Transjordanią i Irakiem. W 1941, rok po klęsce Francji w starciu z Niemcami, wojska brytyjskie wkroczyły do Damaszku, przyrzekając poparcie dla sprawy niepodległości Syrii, lecz uznając uprzywilejowaną pozycję Francji. Te dwie idee były wyraźnie nie do pogodzenia. W rzeczywistości Brytyjczycy sami chcieli objąć władzę w regionie. Śmiejąc się w kułak, obserwowali więc, jak Syryjczycy prowokują Francuzów. Gwałtowna reakcja tych ostatnich dała Brytyjczykom doskonały pretekst do wyeliminowania ich z gry. I to właśnie ten manewr nastąpił w Syrii wczesnym latem 1945 roku.

W kryzysie syryjskim było coś lekko staroświeckiego, jakby aura kolonialnych utarczek z końca XIX wieku. W każdym razie zarówno Francja, jak i Wielka Brytania miały wkrótce utracić przodującą pozycję na Bliskim Wschodzie, choć na etapie San Francisco nie było to jeszcze oczywiste. Niedługo politykę bliskowschodnią zaczną dyktować Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Okazało się, że jeden z pomysłów wysuniętych przez londyńskich planistów w czasie wojny był zaskakująco bliski rzeczywistości. Otóż plan zakładał, że po wojnie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone założą łańcuch baz wojskowych pod auspicjami ONZ i odtąd będą wspólnie działać jako światowy policjant, Stany zajmując się Azją, a Wielka Brytania – Bliskim Wschodem. Amerykanie od razu zastrzegli, że tereny wybrane pod ich przyszłe bazy wojskowe, tak zwane strategiczne terytoria powiernicze, zostaną wyłączone spod suwerennej władzy lokalnych rządów. Kształt imperium – mniej formalnego, ale jednak – zaczynał majaczyć na horyzoncie już w pierwszych miesiącach po wojnie. Z jednego Brytyjczycy nie zdawali sobie jeszcze prawy: jak mizerna miała być ich rola w rodzącym się układzie sił.

Nie tylko Syryjczycy domagali się niepodległości. Kwestia ta była jednym z tematów obrad w San Francisco. Michael Foot miał rację, że Związek Radziecki dużo wyraźniej popiera wszelakie dążenia niepodległościowe niż jego sprzymierzeńcy z Europy Zachodniej; kierował się w tym własnymi, niezupełnie filozoficznymi pobudkami. Chociaż jednak Zgromadzenie Ogólne z czasem stanie się głównym forum

antykolonialnej propagandy, w 1945 roku dekolonizacji jeszcze nikt nie planował. Maksimum ustępstw, na jakie poszły mocarstwa kolonialne, było zapisane w Karcie ONZ zobowiązanie do dbałości o „dobrobyt" mieszkańców „obszarów, których ludność jeszcze nie osiągnęła pełnego samorządu". Samorząd miał być wspierany „stosownie do szczególnych warunków każdego obszaru i jego ludów oraz do różnych stopni ich rozwoju". Były gubernator Pendżabu, baron William Malcolm Hailey z Shahpur i Newport Pagnell, zapewniał czytelników londyńskiego „Timesa", że nie ma w tym „nic, czego już wcześniej nie zakładałaby nasza własna polityka", a co ważniejsze, że „absolutnie nie ma takiej intencji, aby ONZ miała interweniować w sposób, w jaki konkretne państwo kolonialne stosuje zasady Karty"[30]. Jedyne, co Wielka Brytania, Francja i inne mocarstwa kolonialne byłyby obowiązane robić, to składać sekretarzowi generalnemu ONZ regularne raporty na temat warunków na „obszarach", które nadal by do nich należały.

***

Biorąc pod uwagę, jak wygórowane były nadzieje na rząd światowy, trudno się dziwić, że ostateczne rezultaty konferencji w San Francisco nie spełniły oczekiwań. Aby rząd światowy mógł działać, rządy państwowe musiałyby jednak zrezygnować ze swych suwerennych praw. Ze wszystkich mocarstw jedynie Chiny, reprezentowane przez biznesmena i polityka Song Ziwena (na Zachodzie znanego jako T.V. Soong), były gotowe rozważyć „rezygnację, w razie potrzeby, z części naszej suwerenności"[31], a nawet z prawa weta należnego im jako mocarstwu. Ponieważ jednak suwerenna władza Czang Kaj-szeka nad samymi Chinami zaczynała się już wyraźnie chwiać, ta wspaniałomyślność Chińczyków przeszła bez większego echa.

E.B. White doskonale określił główny paradoks konferencji. W korespondencji dla „New Yorkera" pisał, że „pierwsze kroki w kierunku internacjonalizmu zdają się prowadzić w stronę nacjonalizmu, a nie oddalać się od niego"[32]. Uważał, że widoczne wszędzie narodowe flagi i mundury, popisy orkiestr wojskowych, tajne spotkania i podchody

dyplomatów to „negacja społeczności światowej”. Za piękną ponadnarodową retoryką słyszał „równomierny łoskot motoru: suwerenność, suwerenność, suwerenność”.

Inny obserwator konferencji w San Francisco, świeżo zwolniony z marynarki John F. Kennedy, zgadzał się ze „światowymi federalistami”, że „światowa organizacja z równorzędnym podporządkowaniem wobec prawa to byłoby wyjście”. Zdawał sobie jednak sprawę, że nic z tego, jeśli poczucie, iż wojna to „ostateczne zło”, nie będzie dostatecznie silnie, by popchnąć rządy do współpracy. Jego zdaniem – mało prawdopodobne, aby to się stało[33].

Nawet zrzucenie dwóch bomb atomowych nie wzmocniło tego poczucia. Tydzień po zniszczeniu Nagasaki Londyn odwiedził Gladwyn Jebb wraz z komitetem wykonawczym ONZ. Był to zespół niezwykle wpływowych graczy. Związek Radziecki reprezentował Andriej Gromyko, Kanadę – Lester Pearson, Stany Zjednoczone – Stettinius w asyście wysokiego i eleganckiego Algera Hissa, który później został zdemaskowany jako radziecki szpieg, Wielką Brytanię – Philip Noel-Baker, wielki zwolennik internacjonalizmu. Jego doradca, historyk C.K. Webster, nosił tenisową opaskę z daszkiem, gdyż nie cierpiał reporterskich fleszy. Ernest Bevin, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, wydał uroczysty obiad, podczas którego przywitał gości. Ten szacowny komitet, mówił, wkrótce dokończy rozpoczęte w San Francisco dzieło. Użyta w Japonii straszliwa broń sprawia, że powodzenie światowej organizacji jest tym bardziej pożądane. Niemniej jednak, ciągnął Bevin, on sam zdaje sobie sprawę, że „ideę rządu światowego” będzie trzeba „troskliwie pielęgnować”. Narody mają swoje historie, pamięć zbiorową, tradycje. Z czasem wszystko to da się przezwyciężyć, tak jak on, Ernest Bevin, zdołał przezwyciężyć ograniczenia swego robotniczego pochodzenia. Wypracowana w San Francisco „podstawowa zasada” jest słuszna. Jednakże wytworzenie „właściwej atmosfery” wymaga czasu. Zanim to nastąpi, „współpraca między narodami, zwłaszcza dużymi, których wpływy, niezależnie czy dobre, czy złe, są największe, to jedyna praktyczna metoda działania, jaką możemy przyjąć”[34].

Bevin miał rację. Nieświadomie wyjawił tu jednak największy mankament ideału, jakim był rząd światowy. Otóż jego powodzenie zależało od współpracy między mocarstwami. Utrzymanie się sojuszu mocarstw groziło światowym autorytaryzmem, powtórką ze Świętego Przymierza zmontowanego przez Metternicha po upadku Napoleona. Z kolei po załamaniu się tego sojuszu nieokrzepła jeszcze światowa organizacja byłaby bezsilna, a na horyzoncie pojawiłaby się groźba kolejnej, być może nawet jeszcze bardziej wyniszczającej wojny.

Jak wiadomo, współpraca między mocarstwami wkrótce się skończyła. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie rozpoczęła się zimna wojna. Roosevelt starał się ugłaskiwać Stalina nawet za cenę całkiem zbędnego zastraszania Churchilla, ale poważne różnice poglądów uwidoczniły się już w Jałcie. John Foster Dulles jeszcze nie nazywał tego konfliktu zimną wojną, ale twierdził, że był świadkiem jego początku – pod koniec września 1945 roku, w Londynie.

Ministrowie spraw zagranicznych Wielkiej Piątki – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Związku Radzieckiego, Francji i Chin – spotkali się tam, aby omówić kilka traktatów pokojowych, szczególnie z Włochami, Finlandią i krajami bałkańskimi. Co do pryncypiów raczej się zgadzali. W imię zgody między mocarstwami Stany Zjednoczone już wcześniej zgodziły się uznać narzucony Polsce przez Związek Radziecki rząd tymczasowy, nie wnikając zbyt głęboko w jego naturę, i były gotowe zrobić to samo w kwestii Węgier. W raporcie z konferencji sekretarz stanu James F. Byrnes stwierdził, iż rząd Stanów Zjednoczonych „podziela pragnienie Związku Radzieckiego, aby rządy państw wschodniej i środkowej Europy były przyjazne ZSRR”[35].

Ale Mołotow miał inne plany. Oprócz Związku Radzieckiego, komunizm liczył się jeszcze w dwóch mocarstwach: we Francji, gdzie partia komunistyczna była wciąż bardzo potężna, oraz w Chinach, gdzie tląca się wojna domowa wkrótce miała rozgorzeć z całą mocą. Mołotow zamierzał upokorzyć chińskich nacjonalistów i Francuzów, a winą za ich upokorzenie obarczyć, przynajmniej w części, Stany Zjednoczone; zdawał sobie sprawę, że manewr taki ogromnie wzmocni światowy komunizm.

Zażądał zatem, aby Francja i Chiny wycofały się z rozmów pokojowych, gdyż nie były sygnatariuszami warunków kapitulacji państw, których dotyczyły omawiane traktaty. Zamierzał zastraszyć Francuzów, obrazić Chińczyków i rozdrażnić Brytyjczyków. W swoim pamiętniku John Foster Dulles nie kryje podziwu dla jego zimnej krwi i zdolności dyplomatycznych: „w Londynie w 1945 pan Mołotow był w szczytowej formie”[36].

Mołotow bez przerwy upokarzał, prowokował i znieważał Georges’a Bidaulta, ministra spraw zagranicznych Francji i jej przyszłego prezydenta, a przy tym dawnego działacza ruchu oporu. Miał bowiem nadzieję, że Francuz się obrazi i rozzłoszczony odjedzie do Paryża. Jednym z jego ulubionych chwytów było poprosić swoich brytyjskich i amerykańskich kolegów o przełożenie spotkania na później bez zawiadomienia o tym Bidaulta, żeby punktualny Francuz pojawił się w pustej sali. Ministra spraw zagranicznych Chin Mołotow zwyczajnie ignorował, jak gdyby go w ogóle nie było. Porywczy Bevin pod wpływem złośliwości Rosjanina wybuchał wściekłością, a potem z głupią miną przepraszał i stawał się gotów do ustępstw na rzecz strony radzieckiej.

Skoro jednak ta taktyka zawiodła, strona radziecka spróbowała szantażu. Bevin i Byrnes usłyszeli, że Związek Radziecki rezygnuje ze współpracy, jeśli Francja i Chiny się nie wycofają. Byrnes odmówił zgody na dalsze poniżanie sojuszników Stanów Zjednoczonych i konferencja zakończyła się fiaskiem. W opinii Dullesa to była chwila prawdy. Oznaczała ona „koniec epoki, epoki Teheranu, Jałty, Poczdamu. Oznaczała koniec pozorów «przyjaźni» ze strony radzieckich komunistów. Rozpoczął się okres, kiedy wrogość wobec nas była przez nich głoszona otwarcie na całym świecie”[37].

Stary jastrząb zimnej wojny z pewnością się w tej kwestii nie mylił. Nie był też jedynym, który dostrzegał pogłębiające się rysy na powojennym światowym ładzie. Redaktor do spraw wojskowych „New York Timesa” Hanson W. Baldwin, który – inaczej niż Dulles – był liberałem, 26 października napisał w swoim felietonie, iż wynalazek bomby atomowej oznacza, że świat, a w szczególności dwa z wielkich mocarstw, czeka

dramatyczny wybór. Jedna możliwość to wzmacniać ONZ. Dla mocarstw nieuniknioną konsekwencją tego wyboru byłaby oczywiście rezygnacja z dużej części suwerenności państwowej, a prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa uległoby likwidacji. Rosjanie mieliby prawo dokonywać inspekcji amerykańskich instalacji nuklearnych i odwrotnie.

Tę opcję Baldwin uważał za lepszą, nie z powodów moralnych, tylko w imię instynktu samozachowawczego. Dulles jak zwykle moralizował. ONZ zawsze pozostanie słaba, pisał, gdyż nie ma „powszechnej zgody w kwestii osądów moralnych”[38]. Jego zdaniem zimna wojna była konfliktem nie tylko politycznym, ale i moralnym, walką dobra ze złem.

Baldwinowi daleko było do naiwności. Nie oczekiwał, że Rosjanie – albo Amerykanie – zgodzą się na proponowane rozwiązania. A to jego zdaniem oznaczało „świat podzielony na dwa bloki, jeden nieufny względem drugiego, świat, który być może przez wiele lat pozostanie w równowadze, ale ostatecznie będzie zmierzał ku wielkiej wojnie”.

Tak też się stało. W miarę jak jesień szła ku zimie, bladły nadzieje wiosny 1945 roku. Nie powstanie światowy rząd, nie mówiąc już o światowej demokracji; nawet światowych policjantów nie będzie czterech czy pięciu. Niezbyt wielka siła przebicia, jaką wciąż miały dwa z krajów europejskich, które zasiadały w Radzie Bezpieczeństwa, nie wytrzyma krwawego kresu ich kolonialnych imperiów i wkrótce jeszcze bardziej się skurczy. Związek Radziecki i Stany Zjednoczone zmierzały ku otwartej wrogości. Chiny, kraj poważnie okaleczony japońską okupacją, także podzielił się na dwa bloki: skorumpowani i zdemoralizowani nacjonaliści trzymali się jeszcze w dużych miastach na południe od Mandżurii, a komuniści dzierżyli tereny wiejskie i większość północy.

Jesienią i zimą 1945 roku amerykańska prasa wciąż donosiła o pozytywnych zmianach w wojennej stolicy Chin, Chungkingu, gdzie negocjacje między komunistami a nacjonalistami ciągnęły się jak groteskowy seans teatru cieni. Mówiono o „kompromisie” i „rozejmie”, o „demokracji” oraz niechęci obu stron do „rozpoczynania” wojny domowej. Artykuł w „New York Timesie” z 14 października z pełnym

zaufania optymizmem ocenia przywódcze zdolności Czang Kaj-szeka. Dziwnie się go dzisiaj czyta:

> Niezależnie od swej demokratycznej ideologii Czang ma dziś większą władzę niż jakikolwiek inny światowy przywódca z wyjątkiem Stalina i ma więcej tytułów niż Stalin. Jest nie tylko prezydentem Chin, wodzem naczelnym armii oraz szefem Kuomintangu, lecz także głową co najmniej czterdziestu trzech innych organizacji […] Chiny to generalissimus. Jego słowo jest prawem, a wypowiada je w wielu sprawach, do których inni przywódcy delegują podwładnych.

Nic mu to nie da. Dokładnie cztery lata później generalissimus będzie zmuszony ograniczyć się do władzy nad niedużą wyspą u wybrzeży Fukienu, dawniej znaną pod nazwą Formoza, a dziś – Tajwan.

***

I tak dobiegł końca Rok Zerowy, zamknięty nutą wdzięczności z odcieniem niepokoju. Za to, że w większości świata wypracowany został jakiś pokój, ludzie byli z serca wdzięczni, lecz jednocześnie mieli coraz mniej złudzeń w kwestii świetlanej przyszłości, a coraz więcej obaw, co przyniosą rosnące podziały. Milionom ludzi było też zbyt chłodno i głodno, by mieli ochotę świętować nadejście nowego roku z choćby wątłą radością. Co gorzej, z różnych stron nadchodziły niewesołe wieści: w okupowanych Niemczech tak bardzo brakuje żywności, że spodziewane są zamieszki; ataki terrorystyczne pogrążają Palestynę w chaosie; Koreańczycy zaciekle protestują przeciwko statusowi półkolonii; w Indonezji trwają walki: wojsko brytyjskie i holenderska piechota morska, „w pełni zaopatrzone w amerykański sprzęt”, próbują stłumić powstanie tubylców[39].

Lektura artykułów z ostatniego dnia 1945 roku w gazetach ze wszystkich stron świata sugeruje jednak, że ludzie przestali przejmować się sytuacją na świecie; zbyt zależało im na podejmowaniu przerwanych przez wojnę wątków własnych istnień. W czasie wojny światowej każdy zakątek świata jest ważny. W okresie pokoju każdy dba o własny dom.

Brytyjczycy rozmawiali więc o pogodzie i sporcie. „Wojenny zakaz publikacji sprawozdań o pogodzie sprawił, że trochę brak nam wprawy w ocenie takich mgieł, jakie wystąpiły wczorajszej nocy na północnym zachodzie” – skonstatował „Manchester Guardian”. Za to przyjemnie się było dowiedzieć, że „Klub Szybowników Hrabstw Derbyshire i Lancashire ma nadzieję być pierwszym klubem szybowcowym, który wznowi działalność zawieszoną w chwili wybuchu wojny”.

Francuzi mówili o jedzeniu. Amerykańscy żołnierze, którzy zaledwie rok wcześniej przedzierali się przez zakrwawione śniegi Ardenów, teraz jeździli na narty do kurortów w Alpach. „Wikt, ku powszechnemu zachwytowi, zapewniają francuscy kucharze – donosił z Chamonix „Le Monde”. – To zdumiewające, jak wielki podziw budzi ten aspekt francuskiej cywilizacji”. Gazeta z radością informowała też, że „czwarty litr wina w grudniu” można dostać na kartki J3, M, C oraz V.

W poważniejszym tonie: „Frankische Presse” z Bayreuth wspomina nędzę i wstrząsające doświadczenia, jakie stały się udziałem „kulącej się po piwnicach i bunkrach” niemieckiej ludności, „masy złamanych i wyczerpanych ludzi o rozgorączkowanych oczach i drżących sercach, którzy mieli już tylko jedną nadzieję: nie na zwycięstwo, lecz na koniec wojny”. Z innych wiadomości, dwaj Niemcy zgłosili się na ochotnika, że dokonają egzekucji na zbrodniarzach wojennych w Norymberdze. Erich Richter z Marburga stwierdził, że będzie im odrąbywał głowy nie tylko chętnie, lecz i bezpłatnie. Josef Schmidt z obozu dla dipisów w Lipsku jest gotów wieszać bądź ścinać skazanych, ale życzy sobie „opłaty za każdą głowę”. Nie zaniedbano szukania pociechy w kulturze. Po raz pierwszy od lat orkiestra symfoniczna miasta Bayreuth miała wykonać utwory Claude’a Debussy’ego, „francuskiego kompozytora, którego […] systematyczna działalność zmierzała do wyzwolenia francuskiej muzyki spod wpływu niemieckiego romantyzmu i neoromantyzmu”. Pomyśleć tylko: w Bayreuth, kolebce wagneryzmu!

W Tokio artykuł redakcyjny japońskiego „Timesa” wzywał: „Bijcie w dzwony na pożegnanie starego! Bijcie w dzwony na powitanie nowego! Japonia bez żalu rozstaje się z tym rokiem, który właśnie dobiega końca.

Był to bowiem rok bólu i cierpienia, rozczarowania i zażenowania, i poniżenia, i pokuty. Rok tak gorzkich wspomnień można z serdeczną ulgą odesłać w nicość”. Gazeta informowała również, że „badania nad wykorzystaniem mąki z mielonych jedwabników, szarańczy, liści morwy oraz wielu innych substytutów pokarmowych, rozpoczęte w obliczu groźby kryzysu żywieniowego po wkroczeniu wojsk amerykańskich, […] są kontynuowane”. Reporter Eiichi Nishizawa pisał, że większość bohaterów sztuk teatru kabuki to niestety feudałowie, lecz są też nieliczne wyjątki; na przykład sołtys Sakura Sogoro, który w XVII wieku został ukrzyżowany, ponieważ miał czelność poprosić szoguna o zmniejszenie ubogim chłopom obciążeń podatkowych, był „męczennikiem za sprawę demokracji”.

„New York Times” przyjął pogodniejszy ton: „Wczoraj barometr bachanaliów Nowego Jorku zapowiadał burzę, co oznacza, że dzisiejszej nocy miasto przeżyje najbardziej szalonego sylwestra od 1940 roku”. Niewyobrażalną różnicę między poprzednim okresem a nadchodzącymi latami najlepiej ilustrują reklamy: „Zupełnie inne – kremowo gładkie masło orzechowe, które rozpływa się w ustach – posmaruj grubiej, mamusiu, to masło Piotruś Pan!”.

Te migawki wskazują, jakie były nastroje na świecie w przededniu Nowego Roku. Wydaje się, że ci szczęśliwcy, którzy byli w stanie wyprostować kark ugięty pod ciężarem nieszczęść pierwszych powojennych miesięcy, zaczęli już odzyskiwać poczucie powrotu do większej lub mniejszej normalności. Tego luksusu nie mieli ludzie, którzy wciąż tkwili w obozach dla dipisów w Niemczech i w japońskich obozach jenieckich albo też żyli w zawieszeniu w innych, równie ponurych miejscach.

Inni, zaangażowani w odbudowę swych zrujnowanych krajów, nie mieli czasu świętować, a nawet dalej opłakiwać tych, których zabrała wojna. Robota czekała. Ich rzeczywistość była bardziej szara i uporządkowana, mniej podniecająca niż wielkie zawirowania wojny i wyzwolenia, a i oni mieli na nią poważniejsze spojrzenie. Oczywiście w wielu miejscach walki – z kolonizatorem albo, podczas wojen domowych, z wrogiem wewnętrznym – będą trwały; powstaną też nowe dyktatury. Miliony ludzi

miały absolutnie dość życia w ciekawych czasach. Niektórzy pragnęli jedynie zapomnieć te dramatyczne lata; inni, którzy zapewne mieli wówczas więcej szczęścia, będą je wspominać z odrobiną nostalgii. Dla nich czasy już nigdy nie będą aż tak ciekawe.

W pamięci zbiorowej całego świata straszliwe obrazy z lat wojny oraz nowe dramaty, które miały dopiero nastąpić – w Korei, Wietnamie, Indiach i Pakistanie, w Izraelu, Kambodży, Rwandzie, Iraku, Afganistanie i tak dalej – przyćmiły wspomnienia o Roku Zerowym. Ale dla tych, którzy weszli w dorosłość po tym roku, w którym na ruinach tak wiele zbudowano, był to być może rok najważniejszy. Ci z nas, którzy wychowali się w Europie Zachodniej lub w Japonii, łatwo mogli przyjąć za pewnik to, co zbudowali nasi rodzice: państwa opiekuńcze, niepohamowany, jak się zdawało, rozwój gospodarczy, prawo międzynarodowe, „wolny świat", którego strzegł pozornie niezwyciężony amerykański hegemon.

To wszystko się skończyło, oczywiście. Nic nie trwa wiecznie. Jednak to nie powód, abyśmy nie myśleli z najgłębszym szacunkiem o ludziach, którzy żyli w roku 1945, o ich cierpieniach, nadziejach i ambicjach – nawet mimo tego, że wiele z nich z czasem obróciło się w popiół, w który prędzej czy później obraca się wszystko.

EPILOG

Czy wojna rzeczywiście skończyła się w 1945 roku? Pojawiały się opinie, że koniec konfliktowi położył rok 1989, ponieważ dopiero wtedy Polska, Węgry, Czechosłowacja, Niemiecka Republika Demokratyczna i inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej wyzwoliły się spod władzy komunistów. Narzucony przez Stalina w 1945 roku podział Europy był najboleśniejszą z jątrzących się ran, jakie pozostawiła druga wojna światowa. Niedotrzymane obietnice nie odeszły w niepamięć. Czechosłowacja była demokracją parlamentarną, którą hitlerowskie Niemcy pożarły jako pierwszą, w 1938 roku, przy biernej współpracy Francji i Wielkiej Brytanii; jak powiedział Neville Chamberlain, była to rozgrywająca się „w dalekim kraju konfrontacja między ludami, o których nie wiemy nic". W 1939 roku Wielka Brytania przystąpiła do wojny jakoby w celu przywrócenia niepodległości Polsce, i nigdy nie dopełniła tej obietnicy.

W roku 1989 upadek radzieckiego imperium obudził nadzieje na uleczenie tego pękniętego kręgosłupa Europy. A nawet więcej: w tym roku cudów znowu na krótko zaświeciła nadzieja, że świat wreszcie się zjednoczy – mimo tego, co zdarzyło się w Chinach w czerwcu, kiedy to obywatele żądający zniesienia dyktatury zostali wymordowani przez własne wojsko. Teraz zostało już tylko jedno mocarstwo. Mówiło się o nowym światowym ładzie, nawet o końcu historii. Runął wreszcie mur berliński.

Sylwestra 1989 roku – wigilię, po której zaświtać miała jutrzenka nadziei – moje siostry, mój ojciec i ja zdecydowaliśmy się spędzić pod murem berlińskim. Od czasu kiedy w 1945 roku oglądał jego zniszczenie, ojciec odwiedził Berlin tylko raz. W roku 1972 spędziliśmy tam przygnębiające kilka dni w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Przygniatała nas

wtedy rodzinna tragedia. Miasto było lodowate i ponure. Długi i męczący proces przekraczania granicy z Berlina Zachodniego do wschodniego zapisał się nam w pamięci kontrolą samochodu: rozdrażnieni strażnicy za pomocą lusterek zaglądali pod podwozie, żeby się upewnić, czy nie szmuglujemy towarów lub ludzi.

W 1972 roku Berlin wschodni wyglądał mniej więcej tak samo jak we wspomnieniach ojca. Było to mroczne miasto. W tle pompatycznie wspaniałych, lecz pustych socrealistycznych bulwarów wciąż widniały ruiny. Ojciec stwierdził, że odczuwa ponurą satysfakcję, podjeżdżając swoim nowiutkim citroënem pod bramę starej fabryki, w której kiedyś jako robotnik przymusowy wspomagał niemiecki wysiłek wojenny. Był to wielki, odpychający budynek z czerwonej cegły, wilhelmińska forteca przemysłu. Opodal znajdował się obóz, w którym ojciec mieszkał w byle jakim drewnianym baraku, bez żadnej osłony przed mrozem, pchłami, wszami, śniegiem i bombami aliantów. Wszystko wciąż było na miejscu, dosłownie jak gdyby czas się tam zatrzymał: i wieża strażnicza, i dół, który służył więźniom za toaletę i umywalnię jednocześnie.

W 1989 roku obozu już nie było. Na jego miejscu znaleźliśmy, o ile dobrze pamiętam, parking z brudnawą budką z parówkami, wokół której unosiła się woń tłustego sosu curry.

Świeciło słońce, kiedy przechodziliśmy przez Bramę Brandenburską. Przez prawie cztery dekady było to nie do pomyślenia, ktokolwiek spróbowałby ją przekroczyć, zostałby zastrzelony. Pamiętam rumieniec wzruszenia na twarzy ojca, kiedy przyłączyliśmy się do tłumu Niemców ze wschodu i zachodu, a także Polaków, Amerykanów, Japończyków, Francuzów i innych przybyszów z całego świata, którzy też zapragnęli doświadczyć prostej swobody przejścia spacerkiem przez samo centrum Berlina. Tu i ówdzie widać było mundury, ale żołnierze jedynie patrzyli, nie mając już prawa interweniować. Niektórzy uśmiechali się z ulgą, że nie muszą więcej strzelać do rodaków. Chociaż raz świat naprawdę pojaśniał.

Noc 31 grudnia była chłodna, ale nie mroźna. Idąc w kierunku Bramy Brandenburskiej, już z daleka słyszeliśmy wiwaty. Ojciec trochę się ociągał – nie lubi być w tłumie, zwłaszcza w tłumie Niemców. Nie podobały mu się

też hałas i wybuchy, budziły zbyt wiele wspomnień. Dziesiątki tysięcy ludzi, w większości młodych, zgromadziły się wokół muru, a nawet na samym murze. Rozlegały się śpiewy, okrzyki i strzelanie korków od butelek tego słodkiego musującego wina, które Niemcy nazywają sekt. Wszędzie czuło się jego zapach. Ludzie ochlapywali się wzajemnie lepką pianą.

Niektórzy skandowali: *Wir sind das Volk!* – Naród to my! Inni śpiewali: „Jedyny naród to my!”. Ale nastrój tej nocy nie miał w sobie nic groźnego, ani odrobiny nacjonalizmu. Było to coś w rodzaju upolitycznionego Woodstock bez kapel rockowych. Wielonarodowy tłum świętował wolność, rozradowany poczuciem jedności i nadziei na lepszy świat, w którym nie powtórzą się gorzkie doświadczenia przeszłości – nigdy więcej drutów kolczastych, obozów, zabijania. Dobrze było być młodym. Jeśli kiedykolwiek słowa poematu Schillera z muzyką Beethovena, że „wszyscy ludzie będą braćmi”, rozbrzmiewały prawdziwie, to właśnie w Berlinie w tę niezwykłą noc sylwestrową.

Mniej więcej kwadrans po północy zorientowaliśmy się, że zgubiliśmy ojca. Tłum zrobił się tak gęsty, że trudno się było przez niego przebijać, ale i tak się rozglądaliśmy. Dookoła wybuchały fajerwerki, a w niebo strzelały race. Hałas był ogłuszający. W świetle ogni sztucznych otaczające nas roześmiane twarze nabrały wyrazu lekkiej histerii. Nie było szansy, żebyśmy znaleźli ojca w tej ciżbie. Jakoś przeszła nam ochota do zabawy. Zmartwieni i zdenerwowani wróciliśmy do hotelu. Złapaliśmy parę godzin niespokojnego snu.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł ojciec z bandażem na twarzy.

Tuż po północy, gdy tłum berlińczyków hucznie witał Nowy Rok – praktycznie w tym samym miejscu, gdzie ojciec umknął kiedyś bombom Brytyjczyków, katiuszom Stalina i pociskom niemieckich snajperów – w końcu dogoniła go jakaś raca. I walnęła prosto między oczy.

PODZIĘKOWANIA

Nie wyobrażam sobie, jak zdołałbym napisać tę książkę bez stypendium w Cullman Center for Scholars & Writers przy New York Public Library. Dzięki dyrektor Jean Strouse, jej nieocenionej zastępczyni Marie D’Origny oraz zawsze skoremu do pomocy Paulowi Delaverdac ośrodek ten to raj dla pisarza. Prowadząc badania, korzystałem z rad, których zechcieli mi udzielić Robert Paxton, Fritz Stern, Hata Ikuhiko, Avishai Margalit, Ben Bland i Geert Mak. David Barnouw i Joggli Meihuizen służyli mi pomocą podczas kwerendy w instytucie badawczym NIOD w Amsterdamie.

Mark Mazower oraz Geoffrey Wheatcroft życzliwie czytali kolejne wersje tej książki i ustrzegli mnie od popełnienia błędów, których sam nigdy bym nie zauważył. Za wszystkie nieścisłości, jakie mogły pozostać w tekście, ponoszę oczywiście wyłączną odpowiedzialność.

Jestem głęboko wdzięczny Andrew Wyliemu, Jin Auh i Jaqueline Ko z Wylie Agency za nieustanne wsparcie. Scott Moyers opiekował się moją książką najpierw jako mój agent w Wylie Agency, potem jako redaktor w Penguin Press, i w obu rolach nadzwyczajnie się sprawdził. Dziękuję także Mally Anderson z Penguin Press, która zadbała o ukończenie projektu.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec mojego ojca Leo Burumy oraz mojego przyjaciela Briana Urquharta, którzy nie szczędząc czasu, opowiedzieli mi o swoich doświadczeniach w 1945 roku. Dedykuję im tę książkę jako wyraz wdzięczności i szacunku.

Dziękuję mojej żonie Eri za cierpliwość i wsparcie.

PRZYPISY

[I] Trzeba wspomnieć, że holenderscy mennonici bardzo się różnią od swoich amerykańskich braci: są raczej postępowi, przyjaźnie nastawieni wobec innych wyznań i ani trochę się nie izolują. Niemieccy i amerykańscy mennonici często postępują dokładnie odwrotnie. Ta właśnie różnica była źródłem drobnych nieporozumień, kiedy z oficjalną wizytą do mojego dziadka przybywali brodaci panowie w czarnych garniturach o nader staroświeckim kroju.

[II] Na etapie planowania tej operacji nie mówiono o niej inaczej jak „impreza". Pułkownik John Frost, który wsławił się podczas bitwy pod Arnhem, planował nawet zabrać do Holandii swoje kije golfowe.

[III] W 1988 roku burmistrz Nagasaki Hitoshi Motoshima, chrześcijanin, naraził się skrajnej prawicy publicznym stwierdzeniem, że cesarz Hirohito powinien ponieść część odpowiedzialności za wojnę. Dwa lata później został postrzelony w plecy przez prawicowego fanatyka.

[IV] Budynki te wciąż istnieją; chińskim komunistom spodobał się ich majestatyczny styl. Przeznaczenie gmachów zmieniło się natomiast w sposób zupełnie naturalny: dawna siedziba sztabu Armii Kwantuńskiej to dziś Dom Partii i tak dalej.

[V] George Bancroft (1800–1891), amerykański historyk i mąż stanu.

[VI] Głównym doradcą pełnomocnika był brygadier John Profumo, ten sam, którego późniejszą karierę polityczną złamał związek z luksusową prostytutką Christine Keeler.

ROZDZIAŁ 1

[1] Cyt. za: Ben Shephard, *The Long Road Home: The Aftermath of the Second World War*, New York 2010, s. 69.

[2] Martin Gilbert, *The Day the War Ended: May 8, 1945: Victory in Europe*, New York 1994, s. 128.

[3] Brian Urquhart, *A Life in Peace and War*, New York 1987, s. 82.

[4] Historię tę zgrabnie relacjonuje David Stafford w: *Endgame, 1945: The Missing Final Chapter of World War II*, New York 2007 [wyd. polskie: *Ostatni rozdział 1945. Zwycięstwo, odwet, wyzwolenie*, tłum. Grzegorz Woźniak, Władysław Jeżewski, Warszawa 2009].

[5] Ze wspomnień Żukowa, cyt. za: Gilbert, *The Day the War Ended*.

[6] O polskim przekładzie tej piosenki zob. http://www.bibliotekapiosenki.pl/Madelon [dostęp 15 V 2014 – przyp. tłum.].

[7] Simone de Beauvoir, *Siłą rzeczy*, tłum. Jerzy Pański, Warszawa 2009, s. 47–48.

[8] Gilbert, *The Day the War Ended*, s. 322.

[9] *Ibidem*, s. 319.

[10] Urquhart, *A Life in Peace and War*, s. 85.
[11] David Kaufman i Michael Horn, *De Canadezen in Nederland, 1944–1945*, Laren 1981, s. 119.
[12] Michael Horn, *More Than Cigarettes, Sex and Chocolate: The Canadian Army in the Netherlands, 1944–1945*, „Journal of Canadian Studies/Revue d'études canadiennes" 1981, t. 16, s. 156–173.
[13] Cyt. za: *ibidem*, s. 166.
[14] *Ibidem*, s. 169.
[15] Cyt. za: John Willoughby, *The Sexual Behavior of American GIs During the Early Years of the Occupation of Germany*, „Journal of Military History" 1998, t. 62, nr 1, s. 166–167.
[16] Benoîte Groult i Flora Groult, *Journal à quatre mains*, Paris 1962.
[17] Zob. Patrick Buisson, *1940–1945: Années érotiques*, Paris 2009.
[18] Rudi van Dantzig, *Voor een verloren soldaat*, Amsterdam 1986.
[19] Buisson, *1940–1945*, s. 324.
[20] Urquhart, *A Life in Peace and War*, s. 81.
[21] Ben Shephard, *After Daybreak: The Liberation of Bergen-Belsen, 1945*, New York 2005.
[22] *Ibidem*, s. 99.
[23] *Ibidem*, s. 133.
[24] Richard Wollheim, *A Bed out of Leaves*, „London Review of Books", 4 XII 2003, s. 3–7.
[25] Shephard, *After Daybreak*, s. 138.
[26] Atina Grossmann, *Jews, Germans, and Allies: Close Encounters in Occupied Germany*, Princeton 2007, s. 188.
[27] Shephard, *The Long Road Home*, s. 299.
[28] *Ibidem*, s. 70.
[29] Zdanie to nie jest do końca prawdziwe – w 1945 roku w obozach dla dipisów przebywały przede wszystkim osoby wywiezione przez Niemców na roboty przymusowe i więźniowie obozów koncentracyjnych. Dopiero po 1946 roku znaleźli się tam ci, którzy w czasie wojny przebywali w ZSRR, a po powrocie do krajów, gdzie mieszkali przed wojną, zdecydowali się na emigrację, obawiając się prześladowań [przyp. red. nauk.].
[30] Norman Lewis, *Naples '44: An Intelligence Officer in the Italian Labyrinth*, New York: Eland, 2011, s. 52 [wyd. polskie: *Neapol '44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch*, tłum. Janusz Ruszkowski, Wołowiec 2014].
[31] John Dower, *Embracing Defeat: Japan in the Wake of World War II*, New York 1999, s. 126.
[32] *Ibidem*, s. 102.
[33] Theodore Cohen, *Remaking Japan: The American Occupation as New Deal*, red. Herbert Passin, New York 1987, s. 123.
[34] List do Donalda Keene'a w: *From a Ruined Empire: Letters – Japan, China, Korea, 1945–46*, red. Otis Cary, Tokyo–New York 1984, s. 96.

[35] William L. Worden, *The G.I. Is Civilizing the Jap*, „Saturday Evening Post”, 15 XII 1945, s. 18–22.
[36] Doskonałym źródłem informacji o kulturze *panpan* jest *Embracing Defeat* Johna Dowera.
[37] *Ibidem*, s. 134.
[38] John LaCerda, *The Conqueror Comes to Tea: Japan Under MacArthur*, New Brunswick 1946, s. 51.
[39] *Ibidem*, s. 54.
[40] Dower, *Embracing Defeat*, s. 579.
[41] Giles MacDonogh, *After the Reich: The Brutal History of the Allied Occupation*, New York 2007, s. 79.
[42] Klaus-Dietmar Henke, *Die Amerikanische Besetzung Deutschlands*, Munich 1995, s. 201.
[43] Dagmar Herzog, *Sex After Fascism: Memory and Morality in Twentieth-Century Germany*, Princeton 2005, s. 69.
[44] Willoughby, *Sexual Behavior of American GIs*, s. 167.
[45] Groult, *Journal à quatre mains*, s. 397.
[46] MacDonogh, *After the Reich*, s. 236.
[47] Akiyuki Nosaka, *Amerika Hijiki*, Tokyo 2003 (pierwsze wydanie 1972).
[48] MacDonogh, *After the Reich*, s. 369.
[49] „The Times”, Londyn, 9 VII 1945.
[50] Willoughby, *Sexual Behavior of American GIs*, s. 158.
[51] „New York Times”, 13 VI 1945.
[52] Anonyma, *Kobieta w Berlinie: zapiski z 1945 roku*, tłum. Barbara Tarnas, Warszawa 2004, s. 92.
[53] Nagai Kafu, *Danchotei Nichijo II*, Tokyo 1987, s. 285.
[54] *Ibidem*, s. 278.
[55] Cyt. za: Donald Keene, *So Lovely a Country Will Never Perish: Wartime Diaries of Japanese Writers*, New York 2010, s. 149.
[56] LaCerda, *The Conqueror Comes to Tea*, s. 23–24.
[57] Henke, *Die Amerikanische Besetzung Deutschlands*, s. 199.
[58] *Ibidem*.
[59] Richard Bessel, *Germany 1945: From War to Peace*, New York 2009, s. 204.
[60] Elizabeth Heineman, *What Difference Does a Husband Make?*, Berkeley, CA 2003, s. 100.
[61] Cyt. za: Willoughby, *Sexual Behavior of American GIs*, s. 169.
[62] Keene, *So Lovely a Country*, s. 171.
[63] *VD follows V-E*, dosłownie: choroba weneryczna postępuje za Dniem Zwycięstwa w Europie [przyp. tłum.].
[64] Willoughby, *Sexual Behavior of American GIs*, s. 160.
[65] Curzio Malaparte, *Skóra*, tłum. Jarosław Mikołajewski, Wrocław 1998, s. 34–35.
[66] Cyt. za: Herman de Liagre Böhl, „De Gids”, maj 1985, s. 250.
[67] *Ibidem*, s. 251.

[68] Buisson, *1940–1945: Années érotiques*, s. 411.

ROZDZIAŁ 2

[1] J.L. van der Pauw, *Rotterdam in de tweede wereldoorlog*, Rotterdam 2006, s. 679.
[2] „New York Times”, 12 V 1945.
[3] Shephard, *After Daybreak*, s. 109.
[4] Edmund Wilson, *Europe Without Baedeker: Sketches Among the Ruins of Italy, Greece, and England*, London 1948, s. 125.
[5] *Ibidem*, s. 120.
[6] Antony Beevor i Artemis Cooper, *Paris After the Liberation: 1944–1949*, wyd. poprawione, New York 2004, s. 103 (pierwsze wydanie 1994).
[7] Stephen Spender, *European Witness*, New York 1946, s. 107.
[8] *Ibidem*, s. 106.
[9] Wilson, *Europe Without Baedeker*, s. 136.
[10] *Ibidem*, s. 146.
[11] *Ibidem*, s. 147.
[12] Sándor Márai, *Memoir of Hungary 1944–1948*, Budapeszt 1996, s. 193–194. W polskim wydaniu wspomnień Máraia w przekładzie Teresy Worowskiej (*Dziennik, fragmenty*, Warszawa 2013) tego fragmentu nie zamieszczono, lecz interesująca wzmianka o czarnorynkowym targowisku w Peszcie znajduje się na s. 107.
[13] Carl Zuckmayer, *Deutschlandbericht für das Kriegsministerium der Vereinigten Staaten von Amerika*, Göttingen 2004, s. 142.
[14] Spender, *European Witness*, s. 15.
[15] „New York Herald Tribune”, 31 XII 1945.
[16] *From a Ruined Empire*, s. 54.
[17] Dower, *Embracing Defeat*, s. 103.
[18] *Ibidem*, s. 63.
[19] MacDonogh, *After the Reich*, s. 315.
[20] Ronald Spector, *In the Ruins of Empire: The Japanese Surrender and the Battle for Postwar Asia*, New York 2007, s. 56.
[21] Nie można mówić o obecności ponad 10 mln wypędzonych Niemców już w 1945 roku. Proces napływu ludności do stref okupacyjnych w Niemczech był dłuższy i na przykład w przypadku Polski, która wysiedliła najwięcej Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, trwał do 1947 roku. Warto przypomnieć, że decyzję o usunięciu Niemców z Polski Czechosłowacji podjęto dopiero na konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie (lipiec–sierpień 1945 roku). Wydaje się również, że Autor przyjmuje maksymalne, szacunkowe przecież wyliczenia, dotyczące liczby Niemców wysiedlonych z krajów środkowoeuropejskich [przyp. red. nauk.].
[22] Cyt. za: Bessel, *Germany 1945*, s. 334.
[23] „New York Times”, 27 X 1945.

[24] Julian Sebastian Bach Jr., *America's Germany: An Account of the Occupation*, New Jork 1946, s. 26.
[25] „Daily Mirror", 5 X 1945, cyt. w: Shephard, *The Long Road Home*, s. 129.
[26] Cyt. w: *ibidem*, s. 156.
[27] Dyrektywa Kolegium Połączonych Szefów Sztabów nr 1380/ 15, par. 296, cyt. w: Cohen, *Remaking Japan*, s. 143.
[28] MacDonogh, *After the Reich*, s. 479.
[29] Oświadczenie na forum Kongresu, cyt. w: Cohen, *Remaking Japan*, s. 145.
[30] Cyt. w: Norman M. Naimark, *The Russians in Germany: A History of the Soviet Zone of Occupation, 1945–1949*, Cambridge, MA 1995, s. 181.
[31] Cohen, *Remaking Japan*, s. 144.
[32] *Ibidem*, s. 142.
[33] Herman de Liagre Böhl, *De Gids*, s. 246.
[34] Willi A. Boelcke, *Der Schwarzmarkt, 1945–1948*, Braunschweig 1986, s. 76.
[35] Ango Sakaguchi, *Darakuron*, Tokio 2008, s. 228 (pierwsze wydanie 1946).
[36] Dower, *Embracing Defeat*, s. 139.
[37] Sakuya Fujiwara, *Manshu, Shokokumin no Senki*, Tokio 1984, s. 82.
[38] Cyt. w: Bessel, *Germany 1945*, s. 337.
[39] Zuckmayer, *Deutschlandbericht*, s. 111.
[40] Irving Heymont, *Among the Survivors of the Holocaust: The Landsberg DP Camp Letters of Major Irving Heymont, United States Army*, Cincinnati 1982, s. 63.
[41] Carlo D'Este, *Patton: A Genius for War*, New York 1996, s. 755.
[42] Zob. Shephard, *The Long Way Home*, s. 235.
[43] „Yank", 10 VIII 1945, s. 6.
[44] Cyt. w: Stafford, *Endgame, 1945*, s. 507.
[45] Alfred Döblin, *Schicksalsreise: Bericht u. Bekenntnis: Flucht u. Exil 1940–1948*, Munchen 1986, s. 276.

ROZDZIAŁ 3

[1] Norman M. Naimark, *Fires of Hatred: Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Cambridge, MA 2001, s. 118.
[2] Tadeusz Borowski, *Milczenie*, [w:] *Utwory wybrane*, oprac. Andrzej Werner, Kraków 1997, s. 310–312.
[3] Gilbert, *The Day the War Ended*, s. 38.
[4] Shephard, *After Daybreak*, s. 113.
[5] Ruth Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin: Diaries, 1945–1948*, New York 1990, s. 99.
[6] Hans hr. von Lehndorff, *Ostpreußisches Tagebuch. Aufzeichnungen eines Arztes aus den Jahren 1945–1947*, Munich 1967, s. 67.
[7] *Ibidem*, s. 74.
[8] Naimark, *The Russians in Germany*, s. 72.

[9] Bessel, *Germany 1945*, s. 155.
[10] Okada Kazuhiro, *Manshu Annei Hanten*, Tokyo 2002, s. 103.
[11] *Ibidem*, s. 128.
[12] Naimark, *The Russians in Germany*, s. 108.
[13] Anonyma, *Kobieta w Berlinie*, s. 53.
[14] Naimark, *The Russians in Germany*, s. 79.
[15] Cyt. w: Buisson, *1940–1945: Années érotiques*, s. 387.
[16] *Ibidem*, s. 51–52.
[17] Autor w uproszczony sposób prezentuje ten problem, nie dostrzega zupełnie innych elementów wpływających na zachowanie społeczne Polaków, na przykład takich jak konsekwencje wojny oraz zmianę władz w Polsce, nie uwzględnia także najnowszych badań, na przykład Marcina Zaremby [przyp. red. nauk.].
[18] Opis nie oddaje do końca rzeczywistej sytuacji. O ile jest on prawdziwy w przypadku sytuacji w małych miasteczkach, które nie były bezpieczne nie tylko dla Żydów, ale także innych narodowości, o tyle w większych miastach żydowskie życie rozwijało się w miarę normalnie, oficjalnie powstawały i działały komitety żydowskie, partie polityczne oraz instytucje oświatowe, kulturalne i społeczne skupiające ocalałych z Zagłady Żydów [przyp. red. nauk.].
[19] Autor stosuje uogólnienia, nie popierając ich źródłami, tymczasem można obserwować zarówno postawy naganne, takie jak zabór mienia żydowskiego, jak i zupełnie przeciwstawne, takie jak oddawanie Żydom ich własności [przyp. red. nauk.].
[20] Są to dane szacunkowe, przyjmuje się, że w okresie od jesieni 1944 (a więc gdy wojna jeszcze trwała) do lata 1946 roku zginęło na pewno co najmniej sześciuset Żydów, chociaż niektóre szacunki są większe (http://www.yiwoencyclopedia.org) [przyp. red. nauk.].
[21] Wiadomo. W zajściach antyżydowskich w Krakowie zginęła jedna osoba (Róża Berger), a kilku Żydów zostało rannych. *Stwierdzenia* o kilku zabitych są błędne (zob. na przykład ustalenia D. Libionki i www.Jewish.Krakow.pl) [przyp. red. nauk.].
[22] Jan Gross, *Strach: Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Kraków 2008, s. 131.
[23] Autor sprowadza motywy wystąpień Polaków przeciwko ludności żydowskiej tylko do aktu zemsty. Jest to stwierdzenie nieprawdziwe, chodziło przede wszystkim o rabunek (czego doświadczali w równym stopniu także Polacy). *Częściowo* działania przeciwko Żydom, były związane z faktem, że byli oni funkcjonariuszami władz komunistycznych, narzuconych Polsce przez ZSRR [przyp. red. nauk.].
[24] Stwierdzenie to nie znajduje potwierdzenia w źródłach, zajmowanie przez Armię Czerwoną kolejnych ziem polskich traktowane było przez Żydów przede wszystkim jako wyzwolenie od okupacji niemieckiej, a nie ochrona przed Polakami [przyp. red. nauk.].
[25] Autor prezentuje uproszczony sąd. W rzeczywistości wielu Żydów odrzucało komunizm, ponieważ niszczył tradycyjne, religijne życie żydowskie [przyp. red. nauk.].
[26] Takie myślenie było obecne, ale znane były także inne postawy, na przykład współczucie dla sytuacji Żydów [przyp. red. nauk.].

[27] Propaganda komunistyczna nie używała tego argumentu [przyp. red. nauk.].

[28] Złożony problem relacji polsko-żydowskich w pierwszych latach po drugiej *wojnie* światowej został sprowadzony przede wszystkim tylko do antysemickich zachowań Polaków, tak jakby autor nie wziął pod uwagę innych elementów wpływających na sytuację Żydów w Polsce po drugiej *wojnie* światowej [przyp. red. nauk.].

[29] Wydarzenia rozgrywające się w Radziłowie w 1941 roku, w czasie okupacji Polski przez Niemców, miały miejsce w zupełnie innej rzeczywistości niż te z 1945. Ponadto sytuacja jest bardziej zniuansowana i należałoby wspomnieć przynajmniej o roli Niemców w części tych wydarzeń [przyp. red. nauk.].

[30] Anna Bikont, *My z Jedwabnego*, Wołowiec 2012, s. 77.

[31] *Ibidem*, s. 417.

[32] Świadectwo Haliny Wind Preston, 26 VII 1977: www.yadvashem.org/yv/en/righteous/stories/related/preston_testimony.Asp [dostęp 15 V 2014].

[33] Tony Judt, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, tłum. Robert Bartołd, Poznań 2013, s. 55.

[34] Należy pamiętać, że „Odrodzenie" było związane z obozem władzy rządzącej i takie stwierdzenia były elementem walki prowadzonej przez komunistów, którzy rządzili w Polsce z nadania Kremla od 1944 roku, z tradycyjnymi grupami istniejącej w Polsce struktury społecznej, poprzez pokazanie zacofania i tworzenie czarnego obrazu ich zachowań [przyp red. nauk.].

[35] „Odrodzenie", 9 IX 1945, cyt. w: Gross, *Strach*, s. 210.

[36] Autor mimowolnie powiela w tym miejscu obraz tworzony przez propagandę komunistyczną, gdzie wielowiekowe zmagania między Polską a Niemcami miały być częścią walki klasowej [przyp. red. nauk.].

[37] Naimark, *Fires of Hatred*, s. 122. Słowa polskiego premiera stanowiły raczej zachętę do walki z Niemcami w czasie drugiej *wojny* światowej, a nie do wysiedlenia Niemców [przyp. red. nauk.].

[38] Trudno zgodzić się z sądem, że wpływ na decyzję o wysiedleniu podjętą przez Wielką Trójkę miały opinie polskich władz. Warto dodać, że polski rząd na emigracji nie myślał o zbyt dużym przesunięciu Polski na zachód, ponieważ obawiano się , że w nowych granicach znajdzie się właśnie zbyt dużo Niemców, nie myślano zatem o żadnych wysiedleniach [przyp. red. nauk].

[39] Shephard, *The Long Road Home*, s. 122.

[40] Autor, zapewne pod wpływem wykorzystanych źródeł, przyjmuje niemiecki punkt widzenia. Stwierdzenia te nie odpowiadają prawdzie. *Armia* Czerwona dopuszczała się wszelkiego rodzaju niegodziwości wobec ludności niemieckiej, traktując zajęte tereny na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej jako ziemie niemieckie, a więc okupowane przez ZSRR [przyp. red. nauk.].

[41] Christian von Krockow, *Hour of the Women*, New York 1991, s. 96.

[42] Christian von Krockow, *Die Reise nach Pommern: Bericht aus einem verschwiegenen Land*, Munich 1985, s. 215.

[43] *Letzte Tage in Schlesien*, red. Herbert Hupka, Munich: Langen Müller, 1985, s. 138.

[44] Autor myli się, decyzja o wysiedleniu Niemców podjęta została przez Wielką Trójkę, trzy mocarstwa, w czasie ostatniej konferencji, w Poczdamie, w połowie 1945 roku [przyp. red. nauk.].
[45] *Ibidem*, s. 81. Po pierwsze, należałoby tu użyć nazwy Oświęcim, a nie Auschwitz, ponieważ obóz ten po wojnie był najpierw w gestii wojsk radzieckich, dopiero *potem* został przejęty przez Urząd Bezpieczeństwa. Przetrzymywano w nim Ślązaków, jeńców wojennych i osoby uznane za Niemców (I i II kategoria volkslisty). Z powodu głodu i zimna zmarło tam rzeczywiście wiele osób, ale chyba przesadą jest stwierdzenie, że „ani jeden Niemiec nie wyszedł żywy" [przyp. red. nauk.].
[46] Ernst Jünger, *Jahre der Okkupation*, Stuttgart 1958, s. 213–214.
[47] Krockow, *Hour of the Women*, s. 110.
[48] MacDonogh, *After the Reich*, s. 128.
[49] Margarete Schell, *Ein Tagebuch aus Prag, 1945–46*, Bonn 1957, s. 12.
[50] *Ibidem*, s. 48.
[51] *Ibidem*, s. 99.
[52] *Ibidem*, s. 41.
[53] MacDonogh, *After the Reich*, s. 406.
[54] Dina Porat, *The Fall of the Sparrow: The Life and Times of Abba Kovner*, Stanford, CA 2009, s. 214.
[55] *Ibidem*, s. 212.
[56] *Ibidem*, s. 215.
[57] Abba Kovner, *My Little Sister and Selected Poems, 1965–1985*, Oberlin, Ohio 1986.
[58] Judt, *Powojnie*, s. 50.
[59] Harold Macmillan, *Pamiętniki 1914–1945*, wybór i przekład Mariusz Giniatowicz, Warszawa 1981, s. 298.
[60] Wilson, *Europe Without Baedeker*, s. 147.
[61] Statystyka za: Roy P. Domenico, *Italian Fascists on Trial, 1943–1948*, Chapel Hill, NC 1991, s. 149.
[62] Wilson, *Europe Without Baedeker*, s. 157.
[63] Macmillan, *Pamiętniki 1914–1945*, s. 276.
[64] *Ibidem*, s. 278.
[65] *All That Grief: Migrant Recollections of Greek Resistance to Fascism, 1941–1949*, red. Allan Scarfe i Wendy Scarfe, Sydney 1994, s. 95.
[66] Macmillan, *Pamiętniki 1914–1945*, s. 276–277.
[67] *After the War Was Over: Reconstructing the Family, Nation, and State in Greece, 1943–1960*, red. Mark Mazower, Princeton, NJ 2000, s. 27.
[68] Harold Macmillan, *The Blast of War, 1939–1945*, New York 1967, s. 547. Fragment ten został pominięty w polskim wydaniu pamiętników.
[69] „The Times", Londyn, 13 VII 1945.
[70] Macmillan, *Pamiętniki 1914–1945*, s. 293.
[71] Wilson, *Europe Without Baedeker*, s. 197.
[72] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 90.

[73] Cheah Boon Kheng, *Sino-Malay Conflicts in Malaya, 1945– 1946: Communist Vendetta and Islamic Resistance*, „Journal for Southeast Asian Studies", 12 III 1981, s. 108–117.
[74] Gideon Francois Jacobs, *Prelude to the Monsoon*, Capetown 1965, s. 124.
[75] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 174.
[76] Benedict Anderson, *Java in a Time of Revolution: Occupation and Resistance, 1944–1946*, Jakarta 2005.
[77] L. de Jong, *Het koninkrijk der Nederlanden in de tweede wereldoorlog*, 11c, Staatsuitgeverij, 1986.
[78] Theodore Friend, *Indonesian Destinies*, Cambridge, MA 2003, s. 27.
[79] *The Defining Years of the Dutch East Indies, 1942–1949: Survivors' Accounts of Japanese Invasion and Enslavement of Europeans and the Revolution That Created Free Indonesia*, red. Jan A. Krancher, Jefferson, NC 1996, s. 193.
[80] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 179.
[81] De Jong, *Het koninkrijk der Nederlanden*, s. 582.
[82] Anderson, *Java in a Time of Revolution*, s. 166.
[83] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 108.
[84] Jean-Louis Planche, *Sétif 1945: Histoire d'un massacre annoncé*, Paris 2006, s. 139.
[85] Martin Evans, *Algeria: France's Undeclared War*, New York 2012.
[86] Françoise Martin, *Heures tragiques au Tonkin: 9 mars 1945–18 mars 1946*, Paris 1947, s. 133.
[87] David G. Marr, *Vietnam 1945: The Quest for Power*, Berkeley 1995, s. 333.
[88] Martin, *Heures tragiques au Tonkin*, s. 179.
[89] *Ibidem*, s. 129.
[90] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 126.

ROZDZIAŁ 4

[1] Dane te wydają się zawyżone, według szacunków domy opuściło 2,7 mln Irakijczyków (1,4 mln uchodźców, 1,3 mln poza miejscem zamieszkania) [przyp. red. nauk.].
[2] Szczegółową analizę tego problemu znajdzie czytelnik w znakomitej pracy Timothy'ego Snydera *Bloodlands: Europe Between Hitler and Stalin*, New York 2010 [wyd. polskie: *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Warszawa 2011].
[3] Imre Kertész, *Los utracony*, tłum. Krystyna Pisarska, Warszawa 2002, s. 261.
[4] Cyt. w: Dienke Hondius, *Holocaust Survivors and Dutch Anti-Semitism*, Westport, CT 2003, s. 103.
[5] *Ibidem*, s. 101.
[6] Roger Ikor, *Ô soldats de quarante!… en mémoire*, Paris 1986, s. 95.
[7] Marguerite Duras, *The War*, New York 1986, s. 15.
[8] *Ibidem*, s. 14.
[9] *Ibidem*, s. 53.

[10] Sakaguchi, *Darakuron*, s. 227.
[11] Dower, *Embracing Defeat*, s. 58.
[12] *Koe*, t. 1, Tokio 1984, s. 103; bez nazwiska autora, gdyż jest to zbiór listów do redakcji.
[13] *Ibidem*, s. 104.
[14] Bill Mauldin, *Back Home*, New York 1947, s. 18.
[15] *Ibidem*, s. 45.
[16] *Ibidem*, s. 54.
[17] Oficjalna nazwa: Servicemen's Readjustment Act, Ustawa o ponownym przystosowaniu wojskowych [przyp. tłum.].
[18] Nicholai Tolstoy, *The Minister and the Massacres*, London 1986, s. 31.
[19] Cyt. w: Gregor Dallas, *Zatruty pokój. 1945 – wojna, która się nie skończyła*, tłum. Jacek Sikora, Wrocław 2012, s. 534.
[20] Tolstoy, *The Minister and the Massacres*, s. 13.
[21] *Ibidem*.
[22] Nicholas Bethell, *Zdradzeni. Ostatni sekret II wojny światowej*, tłum. Sławomir Kędzierski, Warszawa 2001, s. 123.
[23] *Ibidem*, s. 125.
[24] Borivoje M. Karapandić, *The Bloodiest Yugoslav Spring: Tito's Katyns and Gulags*, New York 1980, s. 73.
[25] Macmillan, *Pamiętniki 1914–1945*, s. 255.
[26] Shephard, *The Long Road Home*, s. 80.
[27] Bethell, *Zdradzeni*, s. 28.
[28] *Ibidem*, s. 31.
[29] *Ibidem*, s. 186.
[30] *Ibidem*, s. 191.
[31] *Ibidem*, s. 195.
[32] *Ibidem*, s. 194.
[33] Uchwały konferencji poczdamskiej z 2 VIII 1945 r., rozdział XIII „Uporządkowanie przesiedlenia ludności niemieckiej", [w:] *Wiek XX w źródłach. Wybór tekstów źródłowych z propozycjami metodycznymi dla nauczycieli historii, studentów i uczniów*, oprac. Melania Sobańska-Bondaruk, Stanisław Bogusław Lenard, Warszawa 1998, s. 236.
[34] Dallas, *Zatruty pokój*, s. 576.
[35] „Yank", 24 VIII 1945.
[36] Dallas, *Zatruty pokój*, s. 565.
[37] Autor myli się, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia nie przejmowały żadnych ziem niemieckich. W przypadku Czechosłowacji odzyskała ona tzw. „kraj sudecki", zajęty przez III Rzeszę w 1938 roku [przyp. red. nauk.].
[38] Kilka milionów Niemców uciekło z tych terenów przed nadejściem Armii Czerwonej, usuwanie ludności na dużą skalę rozpoczęto dopiero po konferencji w Poczdamie i decyzji Wielkiej Trójki o wysiedleniu Niemców i trwało do 1948 roku. W 1945 roku z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej wysiedlono prawdopodobnie

kilkadziesiąt tysięcy osób w ramach tzw. dzikich wysiedleń, w drugiej połowie roku rozpoczęto także wysiedlanie Niemców z Czechosłowacji [przyp. red. nauk.].

[39] Naimark, *Fires of Hatred*, s. 109.

[40] *Ibidem*, s. 110.

[41] Lehndorff, *Ostpreussisches Tagebuch*, s. 169.

[42] *Letzte Tage in Schlesien*, s. 265.

[43] Jünger, *Jahre der Okkupation*, s. 195.

[44] Dane wg korespondencji autora z Fritzem Sternem.

[45] Cyt. w: Bessel, *Germany 1945*, s. 223.

[46] *Letzte Tage in Schlesien*, s. 64.

[47] „Yank", 21 IX 1945, s. 16.

[48] Naimark, *Fires of Hatred*, s. 112.

[49] *Ibidem*, s. 115.

[50] Antony Polonsky i Bolesław Drukier, *The Beginnings of Communist Rule in Poland*, London–Boston, 1980, s. 425. Por. Grzegorz Strauchold, *Problem ludności rodzimej na Ziemiach Zachodnich i Północnych a zagadnienie mniejszości niemieckiej w latach 1945–1948*, [w:] *Wrocławskie studia z historii najnowszej*, red. W. Wrzesiński, Wrocław 1995.

[51] Grossmann, *Jews, Germans, and Allies*, s. 199.

[52] Cyt. w: *ibidem*, s. 148.

[53] *Ibidem*, s. 147.

[54] „New York Herald Tribune", 31 XII 1945.

[55] Heymont, *Among the Survivors*, s. 21.

[56] Grossmann, *Jews, Germans, and Allies*, s. 181.

[57] Cyt. w: Hagit Lavsky, *New Beginnings: Holocaust Survivors in Bergen-Belsen and the British Zone in Germany, 1945–1950*, Detroit 2002, s. 64.

[58] Sam Rosensaft nie osiadł w Izraelu. Podobno jakimś Izraelczykom powiedział: „Tańczyliście horę, kiedy nas palono w krematoriach", cyt. w: Shephard, *The Long Road Home*, s. 367.

[59] Heymont, *Among the Survivors*, s. 47–48.

[60] Cyt. w: Shabtai Teveth, *Ben-Gurion: The Burning Ground, 1886–1948*, Boston 1987, s. 853.

[61] Avishai Margalit, *The Uses of the Holocaust*, „New York Review of Books", 14 II 1994.

[62] Tom Segev, *The Seventh Million: The Israelis and the Holocaust*, New York 1993, s. 99–100 [wyd. polskie: *Siódmy milion*, tłum. Barbara Gadomska, Warszawa 2012].

[63] Teveth, *Ben-Gurion*, s. 871.

[64] *Ibidem*, s. 870.

[65] Heymont, *Among the Survivors*, s. 66.

[66] Teveth, *Ben-Gurion*, s. 873.

[67] *Raport Harrisona, nazwany tak od nazwiska Earla G. Harrisona, przedstawiciela rządu amerykańskiego w Międzyrządowym Komitecie ds. Uchodźców.*

[68] List z 31 VIII 1945.

[69] PRO FO 1049/ 81/ 177, cyt. w: *Life Reborn*, materiały konferencyjne, red. Menachem Rosensaft, Washington DC 2001, s. 110.
[70] Bethell, *Zdradzeni*, s. 28.

ROZDZIAŁ 5

[1] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 27.
[2] Luc Huyse i Steven Dhondt, *La répression des collaborations, 1942–1952: Un passé toujours présent*, Bruksela 1991, s. 147.
[3] Uchwały konferencji poczdamskiej z 2 VIII 1945 r., rozdział III „Niemcy", [w:] *Wiek XX w źródłach*, s. 233.
[4] Jest to skrótowiec od Supreme Commander for the Allied Powers, głównodowodzący wojsk sojuszniczych) używany w odniesieniu do osoby generała, lecz także w odniesieniu do całego aparatu i personelu okupacyjnego [przyp. tłum.].
[5] *Dear General MacArthur: Letters from the Japanese During the American Occupation*, red. Rinjiro Sodei, New York 2001, s. 70.
[6] *Ibidem*, s. 87.
[7] *Ibidem*, s. 78.
[8] Dyrektywa Komitetu Koordynacji Państwa, Wojny i Marynarki, cyt. w: Hans H. Baerwald, *The Purge of Japanese Leaders Under the Occupation*, Berkeley 1959, s. 7.
[9] Cyt. w: Faubion Bowers, *How Japan Won the War*, „The New York Times Magazine", 30 VIII 1970.
[10] Cohen, *Remaking Japan*, s. 85.
[11] Por. Franz Neumann, *Behemoth: The Structure and Practice of National Socialism, 1933–44* z nowym wstępem Petera Hayesa, Chicago 2009, wyd. we współpracy z United States Holocaust Memorial Museum. (pierwsze wydanie 1942).
[12] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 100.
[13] *Ibidem*, s. 101.
[14] James F. Tent, *Mission on the Rhine: Reeducation and Denazification in American-Occupied Germany*, Chicago 1982, s. 55.
[15] Zuckmayer, *Deutschlandbericht*, s. 137.
[16] Timothy R. Vogt, *Denazification in Soviet-Occupied Germany: Brandenburg, 1945–1948*, Cambridge, MA 2000, s. 34.
[17] *Ibidem*, s. 38.
[18] Tom Bower, *The Pledge Betrayed: America and Britain and the Denazification of Postwar Germany*, Garden City, NY 1982, s. 148.
[19] *Ibidem*, s. 8.
[20] Henke, *Die Amerikanische Besetzung Deutschlands*, s. 487.
[21] Cohen, *Remaking Japan*, s. 161.
[22] Jerome Bernard Cohen, *Japan's Economy in War and Reconstruction*, Minneapolis 1949, s. 432.
[23] Cohen, *Remaking Japan*, s. 154.

[24] *Dear General MacArthur*, s. 176.
[25] *Ibidem*, s. 177.
[26] LaCerda, *The Conqueror Comes to Tea*, s. 25.
[27] Cohen, *Remaking Japan*, s. 45.
[28] Dower, *Embracing Defeat*, s. 530.
[29] *From a Ruined Empire*, s. 107.
[30] Chalmers Johnson, *MITI and the Japanese Miracle: The Growth of Industrial Policy, 1925–1975*, Stanford, CA 1982, s. 42.
[31] Teodoro Agoncillo, *The Fateful Years: Japan's Adventure in the Philippines, 1941–1945*, Quezon City 1965, s. 672.
[32] Stanley Karnow, *In Our Image: America's Empire in the Philippines*, New York 1989, s. 327.
[33] *Ibidem*, s. 328.
[34] Jay Taylor, *The Generalissimo: Chiang Kai-shek and the Struggle for Modern China*, Cambridge, MA 2009, s. 323.
[35] List Keene'a do T. de Bary'ego, cyt. w: *From a Ruined Empire*, s. 128.
[36] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 41.
[37] Odd Arne Westad, *Cold War and Revolution: Soviet-American Rivalry and the Origins of the Chinese Civil War, 1944–1946*, New York 1993, s. 90.
[38] Dwie wartościowe prace na temat Annei Hanten to: Okada Kazuhiko, *Manshu Annei Hanten*, Kojinsha 2002, oraz Sakuya Fujiwara, *Manshu, Shokokumin no Senki*, zob. rozdział 2.
[39] Peter Novick, *The Resistance Versus Vichy: The Purge of Collaborators in Liberated France*, New York 1968, s. 40.
[40] *Ibidem*, s. 77–78.
[41] Cyt. w: Beevor i Cooper, *Paris After the Liberation*, s. 104.

ROZDZIAŁ 6

[1] Fujiwara, *Manshu, Shokokumin no Senki*, s. 175.
[2] Budapeszt został zamieniony przez Niemców w twierdzę, walki trwały od końca grudnia 1944 do lutego następnego roku.
[3] Márai, *Memoir of Hungary*, s. 188. W polskim wydaniu wspomnień Máraia tego fragmentu nie zamieszczono.
[4] *The Politics of Retribution in Europe: World War II and Its Aftermath*, red. István Deák, Jan Tomasz Gross, Tony Judt, Princeton, NJ 2000, s. 235.
[5] *Ibidem*.
[6] *Ibidem*, s. 237.
[7] *Ibidem*, s. 235.
[8] *Ibidem*, s. 134.
[9] *Ibidem*, s. 135.
[10] *After the War Was Over*, s. 31.

[11] Lee Sarafis, „The Policing of Deskati, 1942–1946” w: *After the War Was Over*, s. 215.
[12] Scarfe i Scarfe, *All That Grief*, s. 165–166.
[13] Ajschylos, *Oresteja cz. III: Eumenidy*, [w:] *Tragedie*, tłum. i oprac. Stefan Srebrny, Warszawa 1954, s. 483.
[14] Cyt. w John W. Powell, *Japan's Germ Warfare: The US Cover-up of a War Crime*, „Bulletin of Concerned Asian Scholars” 1980, nr 12, s. 9.
[15] Lawrence Taylor, *A Trial of Generals: Homma, Yamashita, MacArthur*, South Bend, IN 1981, s. 125.
[16] „Yank”, *Tiger's Trial*, 30 XI 1945.
[17] Taylor, *A Trial of Generals*, s. 137.
[18] A. Frank Reel, *The Case of General Yamashita*, Chicago 1949, s. 34.
[19] Richard L. Lael, *The Yamashita Precedent: War Crimes and Command Responsibility*, Wilmington, DE 1982, s. 111.
[20] Taylor, *A Trial of Generals*, s. 195.
[21] Lael, *The Yamashita Precedent*, s. 118.
[22] Cyt. w: J. Kenneth Brody, *The Trial of Pierre Laval: Defining Treason, Collaboration and Patriotism in World War II France*, New Brunswick, NJ 2010, s. 136.
[23] „Time”, 4 I 1932.
[24] Geoffrey Warner, *Pierre Laval and the Eclipse of France*, New York 1969, s. 301.
[25] Szczegółowe dane na temat korupcji i chciwości Musserta w: Tessel Pollmann, *Mussert en Co.: de NSB-leider en zijn vertrouwelingen*, Amsterdam 2012.
[26] „Time”, 15 X 1945.
[27] Jean-Paul Cointet, *Pierre Laval*, Paris 1993, s. 517.
[28] Jacques Charpentier, *Au service de la liberté*, Paris 1949, s. 268.
[29] Hubert Cole, *Laval*, London 1963, s. 284.
[30] Cointet, *Pierre Laval*, s. 527.
[31] Jan Meyers, *Mussert*, Amsterdam 1984, s. 277.
[32] *Ibidem*, s. 275.
[33] Cointet, *Pierre Laval*, s. 537.
[34] Cyt. w: Novick, *The Resistance Versus Vichy*, s. 177.
[35] George Kennan, *Memoirs 1925–1950*, Boston 1967, s. 260.
[36] Dower, *Embracing Defeat*, s. 445.
[37] Telford Taylor, *The Anatomy of the Nuremberg Trials: A Personal Memoir*, New York 1992, s. 29.
[38] Spender, *European Witness*, s. 221.
[39] „Yank”, 18 V 1945.
[40] Strona internetowa Dwight D. Eisenhower Memorial Commission.
[41] „The Times”, Londyn, 20 IV 1945.
[42] „Daily Mirror”, Londyn, 20 IV 1945.
[43] „The Times”, Londyn, 28 IV 1945.
[44] Shephard, *After Daybreak*, s. 166.
[45] „The Times”, Londyn, 24 IX 1945.
[46] *Ibidem*, 9 XI 1945.

[47] Shephard, *After Daybreak*, s. 171–172.
[48] „The Times”, Londyn, 8 XI 1945.
[49] Ernst Michel, Raport DANA, 9 I 1945.
[50] Rebecca West, „The New Yorker”, 26 X 1946.
[51] Telford Taylor, *Anatomy of the Nuremberg Trials*, s. 25.
[52] *Ibidem*, s. 26.
[53] Ernst Michel, Raport DANA, 15 II 1946.
[54] Ernst Jünger, *Jahre der Okkupation*, s. 176.
[55] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 63–64.
[56] Telford Taylor, *Anatomy of the Nuremberg Trials*, s. 167–168.

ROZDZIAŁ 7

[1] Por. Hermann Langbein, *Against All Hope: Resistance in the Nazi Concentration Camps, 1938–1945*, New York 1994, s. 502.
[2] „Manchester Guardian”, 27 VII 1945.
[3] „Daily Telegraph”, Londyn, 11 VII 2003.
[4] „Manchester Guardian”, 27 VII 1945.
[5] *Ibidem*.
[6] Harold Nicolson, *The Harold Nicolson Diaries, 1907–1964*, red. Nigel Nicolson, London 2004, s. 321.
[7] Harold Macmillan, *Tides of Fortune, 1945–1955*, New York 1969, s. 32. Polskie wydanie, *Pamiętniki 1914–1945*, zawiera wybór z pierwszych dwóch tomów pamiętników Macmillana, *Winds of Change, 1914–1939* i *The Blast of War, 1939–1945*, i kończy się na dacie 29 IV 1945 roku.
[8] *Ibidem*, s. 33.
[9] Nicolson, *Diaries*, s. 318.
[10] Wilson, *Europe Without Baedeker*, s. 135.
[11] *Ibidem*, s. 186.
[12] Noel Annan, *Changing Enemies: The Defeat and Regeneration of Germany*, New York 1996, s. 183.
[13] Paul Addison, *Now the War Is Over: A Social History of Britain, 1945–51*, London 1985, s. 14.
[14] *Ibidem*, s. 13.
[15] Cyril Connolly, „Horizon”, czerwiec 1945, przedruk w: *Ideas and Places*, London 1953, s. 27.
[16] Tłum. Jerzy Pietrkiewicz.
[17] „Manchester Guardian”, 5 VI 1945.
[18] *Ibidem*, 26 VI 1945.
[19] Roy Jenkins, *Mr. Attlee: An Interim Biography*, London 1948, s. 255.
[20] Stéphane Hessel, *Czas oburzenia!*, Warszawa 2011, s. 7–8.
[21] Duras, *The War*, s. 33.

[22] Arthur Koestler, *The Yogi and the Commissar*, New York 1945, s. 82.
[23] Addison, *Now the War Is Over*, s. 18.
[24] Annan, *Changing Enemies*, s. 183.
[25] Winston Churchill, Mowa do młodzieży studenckiej, Zurych, 9 IX 1946.
[26] Nicolson, *Diaries*, s. 333.
[27] Jean Monnet, *Mémoires*, Paris 1976, s. 283.
[28] Zob. Tessel Pollmann, *Van Waterstaat tot Wederopbouw: het leven van dr. ir. J. A. Ringers, 1885–1965*, Amsterdam 2006.
[29] Dower, *Embracing Defeat*, s. 537.
[30] *Ibidem*, s. 537.
[31] *Ibidem*, s. 538.
[32] Owen Lattimore, *Solution in Asia*, Boston 1945, s. 189.
[33] Cohen, *Remaking Japan*, s. 42.
[34] Morita Yoshio, *Chosen Shusen no kiroku: beiso ryōgun no shinchū to Nihonjin no hikiage*, Tokyo 1964, s. 77.
[35] Bruce Cumings, *The Origins of the Korean War: Liberation and the Emergence of Separate Regimes, 1945–1947*, Princeton, NJ 1981, s. 88.
[36] „Yank", 2 XI 1945.
[37] *From a Ruined Empire*, s. 32.
[38] „Yank", 2 XI 1945.
[39] Cumings, *Origins of the Korean War*, s. 392.
[40] Spector, *In the Ruins of Empire*, s. 163.
[41] *Ibidem*, s. 160.
[42] *Ibidem*, s. 148.
[43] *From a Ruined Empire*, s. 197.
[44] Cho Man-sik został zamordowany przez komunistów prawdopodobnie w październiku 1950 roku [przyp. red. nauk.].
[45] Amerykanie nie podejmowali po wojnie prób zdławienia komunistycznej władzy w Korei Północnej ani w 1945 roku, ani nigdy potem [przyp. red. nauk.].
[46] Robert Skidelsky, *John Maynard Keynes, 1883–1946: Economist, Philosopher, Statesman*, New York 2005, s. 779.
[47] Nicolson, *Diaries*, s. 325.
[48] Judt, *Powojnie*, s. 113.

ROZDZIAŁ 8

[1] W rzeczywistości „cztery de" – oprócz wymienionych także dekartelizacja [przyp. red. nauk.].
[2] Dower, *Embracing Defeat*, s. 215–217.
[3] Annan, *Changing Enemies*, s. 160.
[4] *Ibidem*, s. 162.
[5] Döblin i Feuchtwanger cyt. w: Tent, *Mission on the Rhine*, s. 23.

[6] Uchwały konferencji poczdamskiej z 2 VIII 1945 r., rozdział III „Niemcy”, [w:] *Wiek XX w źródłach*, s. 233.
[7] *The Political Re-education of Germany and Her Allies after World War II*, red. Nicholas Pronay i Keith Wilson, London 1985, s. 198.
[8] Günter Grass, *Przy obieraniu cebuli*, tłum. Sławomir Błaut, Gdańsk 2007, s. 197.
[9] John Gimbel, *A German Community Under American Occupation: Marburg, 1945–52*, Stanford, CA 1961, s. 168.
[10] *The Political Re-education of Germany*, s. 173.
[11] „Yank”, 20 VII 1945.
[12] *Ibidem*.
[13] Spender, *European Witness*, s. 229.
[14] „Yank”, 20 VII 1945.
[15] Spender, *European Witness*, s. 44.
[16] *Ibidem*, s. 46.
[17] *Ibidem*, s. 158.
[18] Kapitulacja Japonii miała miejsce 2 września, 15 sierpnia cesarz Hirohito wygłosił orędzie, że jego wolą jest jak najszybsze zakończenie wojny bez niepotrzebnych ofiar [przyp. red. nauk.].
[19] Bertolt Brecht, *Opera za trzy grosze*, tłum. Jacek Buras, Wrocław 2008, s. 139.
[20] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 82.
[21] Naimark, *The Russians in Germany*, s. 399.
[22] *Ibidem*, s. 402.
[23] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 66.
[24] Bach, *America's Germany*, s. 228.
[25] *Ibidem*.
[26] Andreas-Friedrich, *Battleground Berlin*, s. 92.
[27] Bach, *America's Germany*, s. 218.
[28] „The Times”, Londyn, 11 VII 1945.
[29] Dower, *Embracing Defeat*, s. 190.
[30] De Beauvoir, *Siłą rzeczy*, s. 32–33.
[31] Subkultura we Francji podczas II wojny światowej. *Młodzi* ludzie wyrażali swą indywidualność przez *noszenie* zbyt dużych strojów i taniec [przyp. red. nauk.].
[32] *Ibidem*, s. 50.
[33] Corinne Defrance, *La politique culturelle de la France sur la rive gauche du Rhin, 1945–1955*, Strasbourg 1994, s. 126.
[34] Döblin, *Schicksalsreise*, s. 273.
[35] Cyt. w: Monnet, *Mémoires*, s. 339.
[36] Była to tzw. *bomber mail*: załogi bombowców na trasach transatlantyckich zabierały pocztę zarówno oficjalnie (korespondencję dyplomatyczną), jak i nieoficjalnie (listy prywatne); zob. http://bnatopics.org/hhlibrary/newsletters/mm/mm-1987-06-n074.pdf [przyp. tłum.].
[37] *The Atomic Bomb: The Critical Issues*, red. Barton J. Bernstein, Boston 1976, s. 113.
[38] Dower, *Embracing Defeat*, s. 218.

[39] *Ibidem*, s. 77.
[40] Edward T. Imparato, *General MacArthur: Speeches and Reports, 1908–1964*, Paducah, KY 2000, s. 146.
[41] Bowers, *How Japan Won the War*.
[42] *Ibidem*.
[43] Mainichi Shimbun, cyt. w: Dower, *Embracing Defeat*, s. 549.
[44] *Dear General MacArthur*, s. 33.
[45] Dower, *Embracing Defeat*, s. 77.
[46] Cyt. w: Bowers, *How Japan Won the War*.
[47] Cyt. w: *The Occupation of Japan*, Seminarium pod egidą MacArthur Memorial Library and Archives, listopad 1975, s. 129.
[48] LaCerda, *The Conqueror Comes to Tea*, s. 165–166.
[49] *Koe*, s. 115.
[50] Dower, *Embracing Defeat*, s. 67.
[51] Keene, *So Lovely a Country*, s. 118.
[52] Tekst konstytucji Japonii: http://www.pl.emb-japan.go.jp/relations/konstytucja.htm [dostęp 15 V 2014 – przyp. tłum.].

ROZDZIAŁ 9

[1] Urquhart, *A Life in Peace and War*, s. 85.
[2] *Ibidem*, s. 93.
[3] Stéphane Hessel, *Danse avec le siècle*, Paris 1997, s. 99.
[4] Mark Mazower, *Governing the World: The History of an Idea*, New York 2012, s. 208.
[5] *Ibidem*, s. 194.
[6] E.B. White, *The Wild Flag: Editorials from The New Yorker on Federal World Government and Other Matters*, Boston 1946, s. 72.
[7] *Ibidem*, s. 82.
[8] *European Identity and the Second World War*, red. Menno Spiering i Michael Wintle, New York 2011, s. 126.
[9] John Foster Dulles, *War or Peace, with a special preface for this edition*, New York 1957, s. 38. (pierwsze wydanie 1950).
[10] Neal Rosendorf, *John Foster Dulles' Nuclear Schizophrenia*, [w:] *Cold War Statesmen Confront the Bomb: Nuclear Diplomacy Since 1945*, red. John Lewis Gaddis *et al.*, New York 1999, s. 64–69.
[11] Joseph Preston Baratta, *The Politics of World Federation: United Nations, UN Reform, Atomic Control*, Westport, CT 2004, s. 127.
[12] *„New York Times", 10 X 1945.*
[13] *„The Times", Londyn, 20 XI 1945.*
[14] Karta Atlantycka, [w:] *Prawo międzynarodowe i historia dyplomatyczna. Wybór dokumentów*, wstęp i oprac. Ludwik Gelberg, t. 3, Warszawa 1960, s. 27.

[15] Dan Plesch, *America, Hitler, and the UN: How the Allies Won World War II and Forged a Peace*, London 2011, s. 170.
[16] Roosevelt, cyt. w: Mazower, *Governing the World*, s. 209.
[17] Mowa z okazji nadania doktoratu *honoris causa* uniwersytetu Kansas City, 28 VI 1945, trumanlibrary.org/publicpapers/viewpapers.php?pid=75.
[18] White, *The Wild Flag*, s. 82.
[19] „Yank", 15 VI 1945.
[20] „Daily Herald", maj 1945.
[21] Z rozmowy autora z wnukiem Gladwyna Jebba, Inigo Thomasem.
[22] „Time", 14 V 1945.
[23] Urquhart, *A Life in Peace and War*, s. 94.
[24] „The Nation", 30 VI 1945.
[25] Mark Mazower, *The Strange Triumph of Human Rights, 1933–1950*, „The Historical Journal" 2004, t. 47, nr 2, s. 392.
[26] Karta Narodów Zjednoczonych, [w:] Janusz Rydzkowski, *Słownik Organizacji Narodów Zjednoczonych*, Warszawa: Wiedza Powszechna 2003, s. 297.
[27] William Roger Louis, *The British Empire in the Middle East, 1945–1951: Arab Nationalism, the United States, and Postwar Imperialism*, New York 1984, s. 163.
[28] „Manchester Guardian", 4 VI 1945.
[29] Louis, *British Empire in the Middle East*, s. 148.
[30] „The Times", Londyn, 6 października 1945.
[31] White, *The Wild Flag*, s. 80.
[32] *Ibidem*, s. 81.
[33] Arthur M. Schlesinger Jr., *A Thousand Days: John F. Kennedy in the White House*, Boston 1965, s. 88–89.
[34] „The Times", Londyn, 17 VIII 1945.
[35] Raport sekretarza stanu J.F. Byrnesa, http://avalon.law.yale.edu/20th_century/decade18.asp.
[36] Dulles, *War or Peace*, s. 27.
[37] *Ibidem*, s. 30.
[38] *Ibidem*, s. 40.
[39] „New York Times", 31 XII 1945.

===Lx0vFiYXIFNiVGZWYAo8CD9ZaF5vCjJXYVZkUmYCZwMzUWNVNlU=



Mój ojciec, S. L. Buruma (pierwszy z lewej), z kolegami ze studiów, Utrecht.

Fot. Dzięki uprzejmości autora.



Dwie młode Holenderki i Kanadyjczyk świętują zwycięstwo.

Fot. Image bank WW2–Resistance Museum Amsterdam. VMA 113642.



Tańczący radzieccy żołnierze, Berlin.

Fot. Bundesarchiv, Bild 183-E0406-0022-018.



Amerykański żołnierz fraternizuje się z Japonką w tokijskim parku.

Fot. Associated Press/Charles Gorry.



Brytyjscy marynarze i ich dziewczyny w Dzień Zwycięstwa, Londyn.

Fot. © IWM (EA 65799).



Tłum szydzi z kobiety, która sypiała z wrogiem, Holandia.

Fot. Image bank WW2–NIOD. NIOD 95246.



Obywatele Holandii wiwatują na widok bombowców zrzucających paczki żywnościowe, maj 1945.

Fot. Image bank WW2–IOD.NIOD 187641.



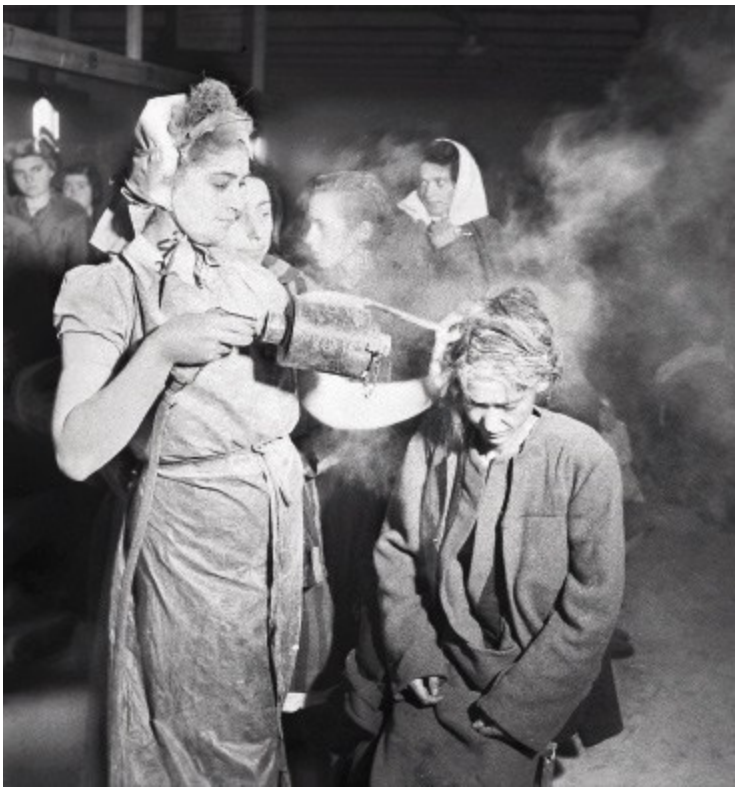
Grecy dostają zaopatrzenie od aliantów.

Fot. Associated Press/British Official Photo.



Kolaborantka za karę wymazana smołą, Amsterdam.

Fot. Nationaal Archief/Spaarnestad Photo/Wiel van der Randen.



Odwszawianie, Bergen-Belsen

Fot. © IWM (5467).



Wychudzeni jeńcy wojenni w japońskim obozie na Malajach.

Fot. © IWM (69972).



Brytyjscy żołnierze patrzą, jak płonie ostatni barak w Bergen-Belsen.
Fot. © IWM (6674).



Przerwa podczas odgruzowywania, Berlin.

Fot. Bundesarchiv, Bild 183-M1205-331.



Dzieci wysiedleńców, Berlin.

Fot. Bundesarchiv, Bild 183-S74035.



Japończyk na ruinach swego domu, Jokohama.

Fot. Za zgodą National Archives and Records Administration.



Greczynki opłakują zmarłych.

Fot. Associated Press.



Niemiecki generał przywiązywany do słupa przed egzekucją.
Fot. Associated Press.



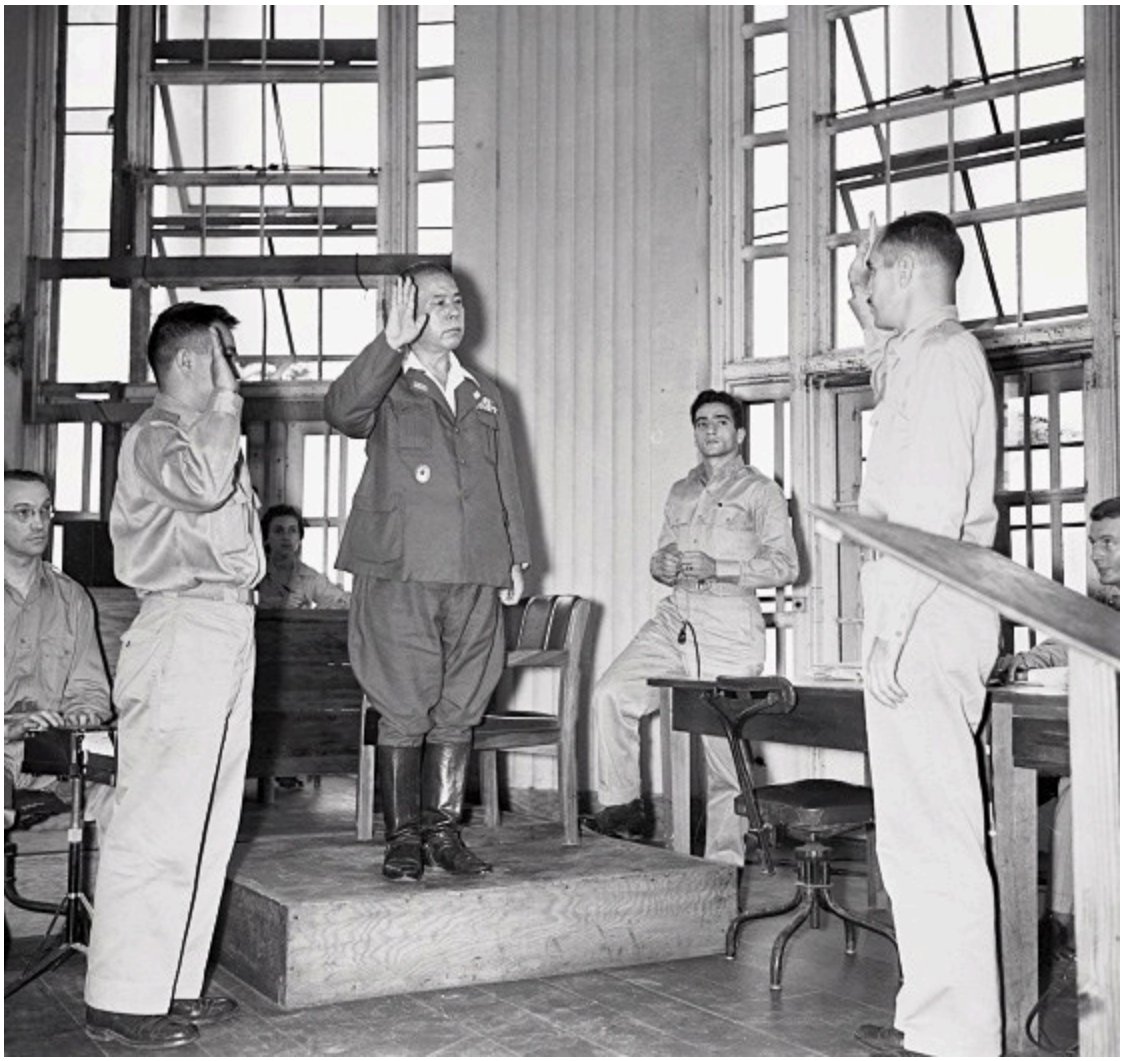
Niemieccy jeńcy wojenni zajmują się grobami poległych żołnierzy amerykańskich niedaleko plaży Omaha, Normandia.

Fot. Associated Press/Peter J. Carroll.



Niemieccy uczniowie przychodzą do szkoły, Akwizgran.

Fot. © Bettmann/Corbis.



Generał Yamashita składa przysięgę podczas swojego procesu, Manila.

Fot. © Bettmann/Corbis.



Generał de Gaulle we francuskim mieście Lorient, byłej bazie niemieckich U-bootów zniszczonej przez alianckie bomby.

Fot. AFP/Getty Images.



Laval składa zeznania podczas procesu marszałka Pétaina (z prawej, siedzi w fotelu), Paryż.

Fot. Nationaal Archief/Spaarnestad Photo/Photographer unknown.



Przywódca Narodowo-Socjalistycznego Ruchu Holenderskiego Anton Mussert aresztowany przez członków holenderskiego ruchu oporu, Haga.

Fot. Image bank WW2–Resistance Museum South Holland. VMZH 131931.

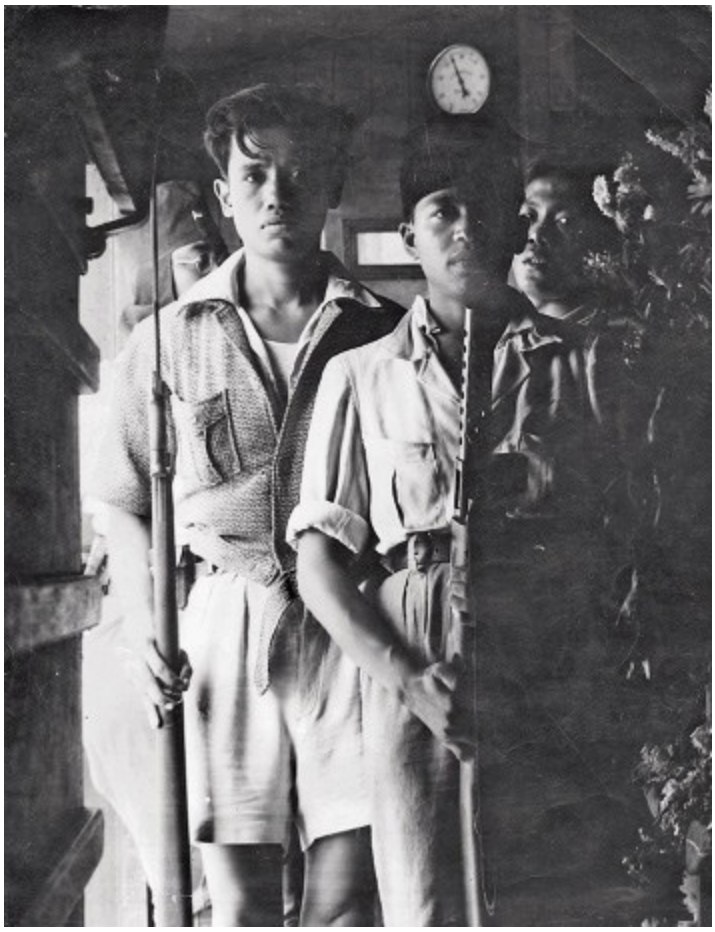


Japoński dowódca składa kapitulację na ręce RAF-u, Sajgon.

Fot. © IWM (CF 926).


LTD

Winston Churchill podczas kampanii wyborczej.
Fot. © IWM (HU 55965).



Bojownicy o niepodległość Indonezji.
Fot. Image bank WW2–NIOD. NIOD 61576.



Clement Attlee po zwycięstwie w wyborach.

Fot. Associated Press.